



**D
Ź
W
I
G
N
I
A**

ADRES:
WARSZAWA
WSPÓLNA 20
m. 39

N-r 1

CENA 1 zł 50 gr

**MIESIĘCZNIK
WARSZAWA
MARZEC
1 9 2 7**



P. I 153

Dźwignia

MARZEC

1927

Nr. 1.

Zadaniem „Dźwigni” jest skupienie tych pracowników kultury (literatów, plastyków i t. d.), którzy stoją na gruncie dążeń współczesnego proletariatu. Ludzi takich jest dziś w Polsce znacznie więcej, niżby się здаwać mogło, ale są oni rozproszkowi i odosobnieni. Pismo nasze ma ich łączyć, ogniskować ich usiłowania. Ma ono zarazem orjentować czytelnika w chaosie dzisiejszego rozpadu kultury mieszczańskiej oraz wskazywać drogę stwarzania nowych wartości.

Całkowicie zdajemy sobie sprawę z przygotowawczego charakteru naszej pracy, oraz ze szczupłych możliwości realizowania naszych poczynań w ramach dzisiejszego porządku rzeczy. Pracujemy dla przyszłości z pełnem poczuciem, że ona do nas należy i, że kiedyś w warunkach zupełnej swobody, bez porównania szerzej i skuteczniej pracę naszą prowadzić będziemy. Dziś do naszego programu minimalnego wchodzi przede wszystkim oczyszczanie gruntu w najbardziej zabagnionych w Polsce dziedzinach ideologii, pełnych najszkodliwszych fałszów, najwulgarniejszych oszustw. Będziemy starali się dawać oświecenie wszystkich dziedzin kultury, a zwłaszcza wszystkich procesów powstawania nowego świata myśli i sztuki.

W dobie gdy pewne hasła pewne słowa zostały — jaknajbardziej nadużyte i wykrzywione, gdy pod firmę międzynarodowości, klasowości, marksizmu podszysza się zjełczały kompromis, zablakanie myślowe poszczególnych inteligentów i pospolity snobizm globtrotlerski — akcentujemy tem silniej naszą stanowisko istotnie międzynarodowe i istotnie klasowe.

Najlepszą kontrolą celowości i skuteczności naszej pracy będzie ścisłe trzymanie się bazy marksowskiej — stosowanie metody materializmu historycznego, zarówno tam gdzie mamy przeświecenie krytyczne przejawów polskiego życia kulturalnego, obnażenie ich społeczno-klasowego podłoża — jak i tam gdzie zakładać będziemy podwaliny dla nowych zupełnie poczynań.

Struktura językowa społeczeństw klasowych

Szkic niniejszy nie rości sobie pretensyj do naukowości. System poglądów w tej sprawie wynikać może tylko z krytyki podstaw dzisiejszego językoznawstwa, z metodologicznego i materialnego powiązania go z całokształtem marksowskiej nauki o społeczeństwie ludzkim i jego historii. Chodzi mi tutaj jedynie o poruszenie niezmiernie ważnej sfery zagadnień, na które ludzie, myślący kategorjami klasowymi nie zwracali dotąd uwagi.

I. Gdzie tkwi pierwiastek klasowy w życiu językowym?

§ 1. „Objektywnie żaden język nie istnieje. Nie istnieje mowa ludzka wogóle. Nie istnieje tak zwany język polski w szczególności. Istnieją jako realności, jedynie indywiduala czyli osobniki ludzkie, a raczej pojedyncze głowy ludzkie oraz należące do nich części organizmu, w ten lub ów sposób ujęzkowane”. Tak rozpoczyna prof. Baudoin de Courtenay pierwszy paragraf „Charakterystyki psychologicznej języka polskiego”, podnosząc zarazem w zakończeniu tego samego paragrafu:

„Ale znowu indywidualno - psychiczne istnienie języka t. j. myślenia językowego, możliwe jest tylko pod warunkiem współistnienia innych istot ludzkich również ujęzkowanych i wzajemnie na siebie oddziaływających, czyli możliwe jest tylko w społeczeństwie, w zbiorowisku ludzkim. Ów indywidualnie istniejący świat psychiczno - językowy mógł powstać również tylko w społeczeństwie, tylko dzięki wzajemnemu oddziaływaniu jednych jednostek na drugie. Nareszcie jasną jest rzeczą, że język ma tylko o tyle sens, o ile służy do celów obcowania społecznego. Z tego wszystkiego wynika, że charakterystyka psychologiczna jakiegokolwiek języka musi być właściwie jego *charakterystyką psychiczno - socjologiczną*”. (Podkreślenia wszędzie należą do prof. B. de C.).

Analiza i charakterystyka życia językowego, podjęta ze stanowiska marksistowskiego, nim dotrze do konkretnych indywidualno - psychicznych *wytworów* tego życia, nim wyruszy w poszukiwanie praw, rządzących mową ludzką wogóle czy nawet językiem jakiegoś jednego środowiska etnicznego dajmy na to polskiego, — za punkt wyjścia winna obrać fakt istnienia różnych typów mowy w obrębie każdej społeczności językowej.

Codzienna obserwacja i codzienne doświadczenie poucza nas o istnieniu wśród bardzo a bardzo różnych sposobów wyśławiania się po polsku, jednego, gatunkowo w naszych oczach różnego od innych, który zależnie od potrzeby nazywamy polskim językiem literackim, kulturalnym, piśmiennym, poprawnym. Tę cechę poprawności podnosimy najchętniej i o fakty, właściwe temu sposobowi wyśławiania się, pytamy zazwyczaj: „jak to się mówi lub pisze *prawidłowo*? jak to *należy* powiedzieć, napisać?”.

Obok tego sposobu czy języka istnieje mnóstwo innych: istnieją różne dialekty chłopskie, gwary osad fabrycznych, siarczyste zwroty Antków nadwiślańskich, istnieje „polszczyzna” dzielnic żydowskich, żargonny zawodowy, szwargot złodziejski, istnieje oddawna i jakoś dotąd w Polsce nie wykazuje tendencji do zaniku konspiracyjna gwara partii rewolucyjnej, niejeden z tych języków toruje sobie w ten czy inny sposób drogę do wyrazu literackiego, czy to bezpośrednio — bodaj za pomocą kredy i węgla na ścianach i płotach, czy też pośrednio w dziełach pisarzy, posługujących się jedną z tych ~~odmian~~ gwiarowych jako tworzywem arty-

styczniem. Każdy z tych języków posiada własne wewnętrzne normy poprawności.

Ale w świadomości t. zw. ogółu kulturalnego „język literacki” nie stoi w jednym szeregu z tem mnóstwem gatunków mowy, jakie się mieści w obszernym zakresie pojęcia „język polski”. Przeciwnie, sama ich mnogość podkreśla tylko szlachetne odosobnienie tego jedyne go, „naprawdę prawidłowego” sposobu mówienia i pisania. Ten wyłącznie poprawny język — to niby szlachetny kruszec, prawdziwa podstawa waluty, tamto — tylko różne odmiany biletów zdawkowych czy bilonu.

Tu właśnie, w tem rozszczępieniu, w tym bimetalizmie waluty językowej, widzimy odzwierciedlenie rozbicia społeczeństwa ludzkiego na dwa obozy, z których jeden skupia klasy pracujące i uciskane, drugi zaś, zgarniając społecznie wytworzoną nadwartość, część jej obraca na zasilenie kultury, — tej prawdziwej, wyższej, jedynie obowiązującej.

Powiedziałem „tu właśnie”, mam więc obowiązek udowodnienia dwóch twierdzeń: 1), że „tu”, to zn. w fakcie istnienia norm języka literackiego znajduje wyraz podział społeczeństwa na klasy, 2), że głównym objawem oddziaływania czynnika walki klasowej w języku jest „właśnie” to rozszczępienie a nie inne szeregi faktów.

§ 2. Tezie pierwszej, że odmienne wartościowanie pewnego sposobu mówienia w danym języku zawdzięcza swój początek przewadze pewnej klasy lub pewnych klas w życiu gospodarczem, społecznem i kulturalnem, możnaby się przeciwstawić, albo jeżeli się założy, że owa wyższość nie jest wyższością funkcjonalną, ale immanentną, tkwiącą w samej istocie tego „lepszego” sposobu mówienia, albo też jeśli się uzna zależność funkcjonalną tego zjawiska od faktów natury *indywidualno* - psychologicznej. W jednym i drugim wypadku usunie się potrzebę odnalezienia podstaw *społecznych* tego wartościowania.

§ 3. Niejeden z nas, wspominając z gorzkim żalem piekło udręki gramatycznej, przez które się przedzierał za młodu, nim zdobył swobodę posługiwania się „normalnym typem poprawnego języka”, będzie się dopatrywał istotnej jego cechy a zarazem źródła jego wyższości kulturalnej w elemencie sztuczności, którego brak „naturalnym” stanom językowym.

Wbrew temu należy stwierdzić, że język, jak każdy inny system wymiany *znaków*, płynie z mniej lub więcej uświadomionej konwencji, nigdy zaś nie powstaje sam przez się, z natury.

„W szczególności — powiada prof. Rozwadowski w art. p. t. „Językoznawstwo a język literacki” — *jest nonsensem mówić o języku w stanie „naturalnym”, czy jak tam i przeciwstawiać go językowi „kulturalnemu” czy jak tam.*

Język jest specyficznym tworem ludzkiej „kultury” i mówić o języku pozostającym w czystym stanie przyrody jest *contradictio in adiecto*”. („O zjawiskach i rozwoju języka”, część I str. 20; podkreślenia prof. R.).

Inny znów wielbiciel przyrodzonej przewagi języka literackiego posu nie się do twierdzenia, że język ten jest wogóle, ot tak bez żadnej przyczyny lepszy od każdego innego, lepiej się nadaje do wszystkiego, wszystko w nim można wypowiedzieć: i „indywidualizm”, i „przewartościowanie”, i „kryzys pozytywizmu” i tyle innych mądrych rzeczy. Proszę powiedzieć to samo w języku chłop a czy w szwargocie złodziejskim!

Taki wielbiciel z przerażeniem zapewne dowie się o tem, że chłop do swoich chłopskich zajęć ma bardzo dokładnie przystosowane słownictwo, którego nie zna t. zw. język literacki, że o swoich czynnościach, o narzę-

dziach swej pracy będzie mówił z dużo większą precyzją, niż ta, na którą stać w tym wypadku język literacki, że zwroty z języka złodziejskiego tak samo się przydają w tym zawodzie, jak subtelne słownictwo filozoficzne w dobieganiach przyczyn wszechrzeczy.

Można się upierać przy tem, że rozważania metafizyczne i pisanie liryk stanowią szlachetniejsze zajęcie, niż rozpruwanie kas a nawet niż dozorowanie pasącego się bydła, ale niepodobna twierdzić, że wyrazy „empiryzm” i „triolet” w odmienny, lepszy sposób nazywają odnośne pojęcia, niż wyrazy chłopskie na oznaczenie części pługa czy cepu, różnych miejsc na klepisku, gatunków ziarna i mąki, części wozu, stanów pogody, różnych zajęć w polu i t. d., niż terminologia, odpowiadająca przeróżnym narzędziom i potrzebom kunsztu kasiarskiego.

Z różnicy zastosowania niepodobna wysnuwać wniosków o wyższości typu języka.

§ 4. Jeżeli więc ta różnica, różnica na korzyść języka literackiego nie jest samowolna lecz funkcjonalna, może tkwić ona poprostu w różnicy nastroju?

„Inaczej — powiada prof. Rozwadowski — ubieramy się na podomku, inaczej idąc w odwiedziny do znajomych, inaczej na uroczystą wizytę, bal lub posłuchanie. Rozmaicie się też zachowujemy, chodzimy, kłaniamy; inaczej siedzimy w domu po obiedzie, inaczej przy boku pięknej i światowej pani. I tak dalej i dalej. Oczywiście dlatego, że się znajdujemy w rozmaitych nastrojach, które także nazewną z koniecznością się ujawniają; szczegółowa zaś zewnętrzna postać tych nastrojów, to że raz kładziemy żakiet, raz długi redęgot, frak i t. d., to już jest wynikiem ustalenia formy czyli zwyczaju albo mody, Otóż te różne nastroje znajdują swój wyraz i w języku: rozróżnia się zazwyczaj typ mowy swobodny, codzienny i uroczysty, podniesiony, ale naprawdę jest cały szereg sposobów mówienia tak jak jest cały szereg sposobów ubrania i zachowania. Nie mogę do kościoła lub na ulicę wyjść w kamizelce, na posłuchanie nie ogolony, za trumną w jasnym ubraniu: nie mogę też, mówiąc w jakimkolwiek uroczystym nastroju, wymawiać „bede, matke”, a naodwrot na pytanie kogoś z domowników przy stole: czy będziesz jadł leguminę? wymówię odpowiadając „bede”, a nie dobitnie „będę”. Do znajomego powiem: masz dobre szkapę; sto razy w swobodnym nastroju wyrażę się: szkapę mi się spłoszyła, ale nie mogę powiedzieć, że cesarz pojechał gdzieś tam nie automobilem, tylko szkapami, że całe ćwiczenia odbył na szkapie, że pod hetmanem ubito szkapę”. („Język jako wytwór kultury” w cytowanym już zbiorze „O zjawiskach i rozwoju języka”, str. 9 — 10).

Przytoczyłem umyślnie ten długi cytat, bo przeciwnik teorii o społecznej, klasowej genezie „uroczystego typu mowy”, któryby w pierwszej chwili włączył to rozumowanie do arsenału swoich dowodów, postąpiłby nad wyraz nierozważnie. Z trafnych porównań autora wyziera tem jaśniej ukryta treść społeczna tej czy owej „szczegółowej zewnętrznej postaci” naszych nastrojów. „Dobre” manjery, „przyswoity” strój, „poprawny” typ języka — toć to wszystko są różne części niezbędnego uniformu kulturalnego bez którego niema dostępu do podwojów „jedynej i najwyższej” kultury klas posiadających.

I jasną jest rzeczą, że ani krój fraka, ani dobitna nosowość „ę” nie są naturalnym i koniecznym wpływem uroczystego nastroju, tylko wyrazem pewnej konwencji społecznej. A że konwencja taka, zastrzegająca pewnym warstwom społecznym monopol kulturowania jedyne go właściwego

typu ujawniania swych nastrojów uczuciowych, wywodzi się z panowania klasowego, tego czytelnikom „Dzwigni” nie mam zamiaru dowodzić.

§ 5. Skoro już zachodzi mowa o czynniku klasowym czy wogóle — (dla niektórych „ponadklasowych” umysłów) — społecznym w języku, mamy zazwyczaj na myśli te momenty społeczne, które spoczęły już w słowach gotowego, konkretnego materiału językowego, mniej zaś zwracamy uwagi na strukturę żywego społeczeństwa mówiącego, którą ja tu wysuwam na czoło rozważań.

Rzecz pewna, że marksowska historia kultury to zn. historia kultur klasowych, powinna w jaknajsilniejszej mierze zużytkować również dane języka. Znajdzie w nich niezmiernie dużo ciekawego materiału, przede wszystkim w najróżniejszych objawach wartościowania w języku. Stosunki między trzema rodzajami gramatycznymi, — że wskażę pierwszy przykład z brzegu, — mogą przy pogłębionej analizie faktów zasilić niejeden przyczynek socjologiczny.

Zresztą każdy, najpowierzchowniej nawet o rzeczach językowych myślący człowiek, tego rodzaju objawów konsekwentnego oddziaływania form myślenia społeczeństwa klasowego na język łatwo wskaże całe tuziny. Jeden oburzy się na towarzyszki zwrot per „pan” i „pani i nawet poradzi Żeromskiemu, żeby go wyrugował z języka. Innemu znów dopiero powiedzenie „proszę łaski jaśniewielmożnego pana” naprawdę przypadnie do gustu. Jeszcze inny, nieubłagany ateusz, będzie pomstował na „dzięki Bogu” i na zabobonne „do widzenia” i t. d. i t. d.

Znowu materiał dla historyka kultury — i nic więcej. Nasze „pan” samo w sobie nie jest wcale bardziej unizone, niż uroczysty plularis maiestatis, zawarty w „wy”. Jeśli go się w pewnych sferach wyłącznie używa, to bardziej jaskrawy fakt wyłączności klasowej ujawnia się w tem, jak go się używa, a nie w nim samym, w historii jego znaczenia, o której nikt, mówiąc „niech pan to zrobi” czy „niech pana gęś kopnie!” — nie pamięta. Można i należy oburzać się na obowiązek poniżenia się przed „jaśnie panami”, ale nie winić o to języka, który te fakty tylko notuje i odbija. A różne oklepane wykrzykniki w rodzaju „olaboga!”, „rany Boskie”, czy nawet — *horribile dictu!* — „Jezus Marja!” tak samo przyczyniają się do siania złudzeń religijnych w masach, jak okrzyki „cholera!” czy „choroba!” do rozpowszechnienia chorób zakaźnych.

Nie tu, nie w tych niewinnych choć rzucających się w oczy faktach, należy szukać terenu żywych i stałych wpływów klas posiadających na naszą mowę, nie tu, ale w codziennym i pospolitym, dlatego nieuchwytnym fakcie panowania tych klas nad całością życia językowego dzięki opanowaniu centralnej pozycji tego życia i języka poprawnego, otoczonego aureolą wyższości kulturalnej.

II. Funkcja społeczna mechanizmu językowego.

§ 1. Po przyjęciu powyższych twierdzeń nasuwa się z kolei podwójne zagadnienie: zagadnienie sensu społecznego i genezy historycznej tego faktu, że klasa, dominująca w dziedzinie gospodarki i kultury, rozciąga także swe panowanie na życie językowe.

Zagadnienie sensu społecznego, którego rozpatrzeniem w tej chwili się zajmujemy, przybiera postać następującą: język jest wszak tylko sposobem wyrażania pewnych rzeczy; skoro się więc panuje nad całym układem faktów, podlegających wyrażaniu, pocóż więc potrzebny jest wpływ na środki wyrazu?

W takim postawieniu sprawy tkwi zapoznanie specyficznej funkcji tworów językowych w psychice społecznej i jednostkowej, zapoznanie ich samodzielnosci i przeoczenie tkwiącego w nich pierwiastka uczuciowego.

§ 2. Stałe używanie tych samych znaków językowych dla oznaczenia pewnych pojęć i rzeczy wytwarza w nas naogół uświadomione wyobrażenie o jakimś stosunku koniecznego związku między jednym a drugim. Tymczasem fakt tak pospolity i oczywisty, jak istnienie różnych języków, przekonać nas może o tem, że związek między rzeczą a nazwą (wyjawszy pewne szczególne wypadki, jak naprz. nazwy onomatopieczne: bęben, syk, mamrotać...) jest tylko empiryczny, że nazwa w ten czy inny sposób przywarła tylko do rzeczy. Oczywiście, że nim powstanie pewna nazwa, musi istnieć owa rzecz, której tę nazwę przydzielamy. Ale w samej chwili swego powstania nazwa rozpoczyna, byt psychicznie niezależny od wyobrażenia o rzeczy.

Podczas gdy jeszcze u dziecka wyobrażenia językowe mają ścisły związek z pełnią intuicyjną wyobrażeń rzeczowych, u nas rzecz się ma inaczej. Przecież wartość społeczna znaku językowego polega właśnie na tem, aby nie odwoływać się stale do wyobrażeń, wchłaniających całkowite natężenie energii psychicznej, tak samo jak posiadacze znaków pieniężnych nie mają potrzeby wszędzie wlec za sobą takich wcieleń pracy społecznie użytecznej, jak korce żyta, sztuki tkanin, traktory i kamienice i wymieniać ich bezpośrednio jedno na drugie. Gdybyśmy nasze myślenie językowe chcieli obarczyć całkowitą pełnią psychiczną zaznaczanych w nim wyobrażeń, zwarjowalibyśmy poprostu: najsolidniejszy bank państwa zbankrutuje, jeśli nagle wszyscy posiadacze banknotów zgłoszą żądanie pełnowartościowego pokrycia.

Nie też dziwnego, że w tym olbrzymim obiegu znaków językowych znajdzie się niejeden fałszywy, bez żadnego pokrycia, który od czasu doskonale wywiązuje się ze swych czynności obiegowych.

Zapytajmy naprzykład najgorliwszego wyznawcę jakiejś religii monoteistycznej, co to znaczy „Bóg”. W odpowiedzi usłyszymy określenie sprzeczne, świadczące o tem, że nazwa ta reprezentuje w umyśle naszego rozmówcy pewną próżnię logiczną. Mimo to jakże często słowem tem wzrusza, karci, porywa. Jakże się to dzieje?

§ 3. Język nie jest czynnością wyłącznie logiczną. Przeciwnie, rozpatrując jego rozwój zarówno filogenetyczny jako funkcji społecznej, jak też ontogenetyczny — w każdym dziecku, widzimy, że jest to przejaw naszych uczuć, wtórnie zastosowany jako znak pojęć i wyobrażeń w obcowaniu społecznym.

Wyobrażenia językowe mają własne związki i skojarzenia z życiem emocjonalnym człowieka, które się niewątpliwie wytwarzają na tle stosunku uczuciowego do rzeczy i pojęć, ale z chwilą powstania autonomii psychicznej nazwy, przejmuje ona we własny zarząd drogi połączenia z ośrodkami uczuciowymi.

Weźmy przykład z innej dziedziny. Robotnik umie sobie doskonale uświadomić, co go związało z czerwonym sztandarem. Wie, że to znak tylko, że to symbol walki, która jest najistotniejszą treścią jego życia, najpotężniejszym źródłem wzruszeń; wartość tego znaku polega na tem, że przypomina o krwi przelanej w walce o wyzwolenie proletariatu. I czy sam widok czerwonego sztandaru nie wzrusza go do głębi, nie przyspiesza obiegu krwi w jego żyłach, choćby się miało potem okazać, że to inne, wrogie, bratobójcze dłonie, chwyciły za drzewce

że hasła owe na tej bojowej czerwieni wypisała demagogja, obłuda i zdrada.

§ 4. Przykład powyższy jest zarazem jaskrawym obrazem mistyfikacji uczuć przy pomocy nadużycia znaku, posiadającego własną wartość uczuciową.

A wszak język jest jednym ze społecznie ustalonych systemów oznaczania i każdy znak tego systemu posiada mniej lub więcej wyraźny odcień uczuciowy. Widzimy teraz, jakie niesłychane możliwości mistyfikacji daje posługiwanie się tym systemem. Przemycanie najsprzecznieszych z rzeczywistości potrzebami tendencji i tradycji, ukrywanie najbezczelniejszych kłamstw burżuazyjnej kultury i polityki staje się możliwe w znacznej mierze dzięki umiejętności posługiwaniu się aparatem językowym.

Bóg, ojczyzna, naród, przewrót moralny, czyste ręce — ileż to pracy wkładają kierownicy i mandatarjusze społeczeństwa burżuazyjnego, żeby wytworzyć podkład dla dodatniej reakcji uczuciowej na te słowa, jak umiejętnie wyzyskują istniejące już skojarzenia i usposobienia (przewrót! moralność!), jak misternie wytwarzają złudne więzy między temi słowami a rzeczywistością!

Szpicel, prowokator — z jaką artystyczną łatwością operują ludzie z najgorszych zakamarków defenzywy wstrętnym tonem uczuciowym tych słów, gdy chodzi o oplucie i sponiewieranie nieposzlakowanego przeciwnika.

Że burżuazja nietylko drogą tłumienia słowa opozycyjnego, nietylko drogą zapewnienia sobie panowania w innych dziedzinach kultury osiąga przewagę na polu językowym, na to wskazywaliśmy mówiąc o genezie klasowej języka literackiego. Formy tej przewagi postaramy się wskazać szczególnie w dalszym ciągu niniejszego szkicu, wyświetlając w pierwszym rzędzie ich powstanie.

S. Bur.



S Z A R Z Y Z N A

Szaro, nudno, bezmyślnie w literaturze polskiej i w teatrze. Realizacja przez tyle pokoleń wymarzonego państwa polskiego przyniosła nie rozkwit umysłowości polskiej, lecz szare uśpienie.

Musi to mieć swoje przyczyny.

Polska położona jest na rubieży dwóch światów. Walka klasowa, przeciwieństwa klasowe są u nas niezwykle ostre — nie tylko ze względu na układ stosunków wewnętrznych, lecz także z powodu olbrzymiego nacisku zzewątrz, wywieranego przez dwa światy, ścierające się ze sobą na terenie Polski. Każde starcie klasowe w Polsce budzi natychmiast zainteresowanie światowe. Polska burżuazyjna jest prawdziwą twierdzą kresową kapitalizmu światowego. Zapewnia to burżuazji polskiej wydatną pomoc, jednocześnie wszakże czyni z Polski kraj zbyt niepewny z kapitalistycznego punktu widzenia, aby można było zagospodarować się w nim spokojnie i na długą metę. — Wszystko to razem nadaje dzisiejszemu życiu polskiemu — zarówno gospodarczemu, jak kulturalnemu — szczególne znamiona tymczasowości. Brak perspektyw, chwiejność, niewiara w możliwość osiągnięcia zdobyczy trwałych, nastroj gorączkowego bronienia się przed czymś co odczuwane jest jako rzecz najbardziej nienawistna i jednocześnie, coraz fatalniej nieunikniona.

Sztuka wogóle, a literatura w szczególności nie może istnieć bez określonej postawy wobec najważniejszych zagadnień życia społecznego. Niema pisarza, którego na podstawie jego utworów nie możnaby zaliczyć do takiego lub innego obozu społecznego — choćby nawet głosił bezwzględna obojętność na te zagadnienia. Aspołeczne nastroje mistyczne są zwykle tylko pewną formą protestu przeciwko rzeczom niemiłym w życiu społecznym, są próbą ucieczki od życia społecznego, które mistyka razi dla takich lub innych powodów.

Były dwa wielkie okresy w literaturze polskiej wieku dziewiętnastego: — jeden — to wielcy romantycy, drugi — to ostatnie parę dziesiątków lat przed wojną, czasy Sienkiewicza i Żeromskiego.

Wielcy romantycy wyszli z tej szczególnie polskiej odmiany drobnomieszczaństwa, które było właściwie przeniesioną do miasta warcholsko radykalizującą, czepiającą się „nowinek”, uboższą częścią starej szlachty polskiej. Żaden z wielkich romantyków nie targnął się nigdy na świętość dworku szlacheckiego; a był między romantykami i pan na bardzo wielu chłopach. Ci synowie szlacheccy przekształcali się właśnie na urzędniczą inteligencję miejską, lub szykowali się do obejmowania stanowisk dyplomatycznych, kiedy carat wymierzył im brutalne uderzenie pałką po głowie.

Atak caratu był zresztą wyrazem dążeń kapitalizmu nowoczesnego, wypowiadającego ostrą walkę drobnomieszczańsko-prowincjonalnym metodom gospodarowania. Powstanie listopadowe, z którego wyprowadza się cała romantyczna literatura polska, zgola nie reprezentowało nowoczesnej demokracji kapitalistycznej w walce z feodalizmem carskim. Miało ono charakter szlachecko-pańszczyźniany. Kapitalizm zaś przyszedł do Kon-

gresówki nie z zachodu, nie w szatach demokracji kapitalistycznej, lecz ze wschodu, w półazjatyckich szatach samodzierżawnych. Pomimo tych szat samodzierżawnych zwycięstwo caratu było zwycięstwem nowoczesnych kapitalistycznych form gospodarowania i to właśnie nadawało szczególnie beznadziejny tragizm powstaniu polskiemu i jego emigracji. Ta beznadziejność i brak gruntu pod nogami prowadziły wprost w pozaświatową pustkę mistycyzmu, ujmowanego przez romantyków polskich całkiem na serjo — w przeciwstawieniu do romantyków zachodnio-europejskich, dla których mistycyzm był tylko frazesem literackim.

Po klęsce powstania masowo oderwano rodzącą się dopiero polską inteligencję mieszczańską od ziemi i społeczeństwa ojczystego i przeniesiono ją w bujne wówczas środowisko zachodnio-europejskie, gdzie właśnie wówczas jej siostrzyca — inteligencja mieszczańska krajów europejskich — święciła największe triumfy. Proletariat obudził się już był wówczas do życia, ale jeszcze sam w swoim własnym imieniu nie mówił. Był — według terminologii Marksa — klasą samą w sobie, ale jeszcze nie był klasą dla siebie. Mówili za niego inni. Myśliciele mieszczańscy układali dla niego utopje przebudowy społecznej, a poeci mieszczańscy z jego walk czerpali swój radykalizm i żarem proletariackim ożywiali mdłe frazesy swej czułościowości lub swego mistycyzmu.

W takie środowisko wpadli wysadzeni z siodła inteligenci polscy po roku 31. Utrata państwa własnego, pozbawienie stanowisk inteligenckich na ziemi ojczystej, ruina majątkowa mnóstwa rodzin szlacheckich — wszystko to łączyło się dla nich z narodzinami nowoczesnych państw kapitalistycznych. Stąd ich spiskowanie polityczne, ich tęsknota do wielkiego przewrotu stosunków europejskich, do przewrotu, którego głównym zadaniem byłoby rozbicie mocarstw rozbiorowych. Te uczucia emigracyjne porwane zostały przez mocny prąd tętniącej życiem, zapładnianej przez proletariat, europejskiej inteligencji drobnomieszczańskiej i wydały to jedyne w swoim rodzaju zjawisko, które nazywa się romantyzmem polskim. Jego rewolucyjność była wielkim nieporozumieniem: romantycy polscy czepiali się europejskiego ruchu robotniczego, bo mieli nadzieję, że odrodzi on ich szlachecką ojczyznę.

Wszystko to działo się w czasach kiedy drobnomieszczaństwo — choć żyjące zawsze tylko pożyczanem życiem księżycowem — było bardzo ruchliwe i miało przed sobą jeszcze wiele kart do napisania.

Druga fala wielkiej literatury polskiej, której wyrazem najpełniejszym jest Żeromski, przysłała w warunkach społecznie podobnych. Było to w okolicach roku 1905 — przed i po tym pamiętnym roku pierwszego wielkiego poruszenia mas pracujących. Stająca się burżuazja szlachta polska do cna już zlikwidowała marzenia z roku 63, albo też — jako czysta burżuazja, świeżo zrodzona pod opiekuńczymi skrzydłami caratu — zupełnie obca była tym marzeniom. Państwo rosyjskie było dla niej i wielkim rynkiem zbytu i niewiele co gorszym od innych państw obrońcą interesów burżuazyjnych przed masami pracującymi. O walce z caratem, burżuazja polska zgłębiła

nie myślała; — szło jej jedynie o pewne zmodernizowanie caratu, o uwolnienie się od biurokracji autokratycznej. Ograniczona autonomia dla Królestwa i prawo rozprawiania się na własną rękę z broniącymi się przed wyzyskiem robotnikami polskimi zupełnie jej do szczęścia wystarczały. Przed rokiem 1905 sojusz burżuazji polskiej z caratem był niewyraźny, jakby wstydlivy, po roku 1905 — kiedy w walkach z klasą robotniczą burżuazja polska cynicznie uświadamia sobie swe stanowisko społeczne — sojusz ten przybiera nawet formy manifestacyjne i burżuazja polska wydaje w ręce żandarmów cesarskich zarówno esdeków, jak bojowców z PPS.

Literackim wyrazem tej zupełnej likwidacji dążeń niepodległościowych, a także godzenia tradycji szlacheckich z ideologią burżuazji nowoczesnej był Henryk Sienkiewicz. Odwrócić uwagę mas czytających od najważniejszych zagadnień społecznych, wytworzyć zasłonę ideologiczną, poza którą burżuazja mogłaby niepostrzeżenie skonsolidować się, rozpalic wyobraźnię młodzieży bohaterstwem o tendencjach wybitnie klasowo-szlacheckich i napełnić ją wstrętem do zbuntowanego chłopstwa — oto zadania polityczne „Trylogii”. Pamiętajmy, że „Trylogia” drukowana była w organie ugodowców ówczesnych, w „Słowie”, cenzura zaś — było to w czasach Hurki i Apuchtina — nie skreśliła ani jednego zdania. Naturalną konsekwencją „Trylogii” był Połaniecki — apologja płaskiego dorobkiewicza.

Zjawiska takie jak Reymont, Kasproicz, Wyspiański wymagają właściwie specjalnego omówienia. Reymont po raz pierwszy w Polsce burżuazyjnej jął opiewać chłopów. Są to jednak nie chłopci, śmiała dłonią sięgający po życie nowe, lecz chłopci całkowicie starzy, na których ciężźnie pierwotnej chciała i chce się oprzeć burżuazja w swej walce z masami pracującymi. Chłopa tego można było wyśpiewać tylko w czasach przedwojennych i tylko w Kongresówce, gdzie nie brał on jeszcze czynnego udziału w życiu społeczno-politycznym. Z chwilą wystąpienia na widowie polityczną przybiera on wstrętną postać witosikowego karjerowicza i dorobkiewicza, a wtedy staje się — z literackiego punktu widzenia — tematem niemożliwym dla apologetycznego traktowania. Chłop Kasproicz miał inne koleje. Przeżarła go do cna kultura burżuazyjna: z chłopskiej ciężzyny, z chłopskich mocnych muskułów zrodził się mistycyzm, śpiewający hymny pogrzebowe ginącemu światu; — zresztą mistycyzm bez wiary, pełen zgńskiego sceptycyzmu, przeświadczony o nieuleczalnej — moralnej i fizycznej — nędzy tego świata i zgół nie wierzący w jakiegóś światy inne. Wyspiański wreszcie — to piwniczno - grobowcowa roślina podwawelskiego ghett polskiego, oddzielonego kordonem granicznym od wstrząsających Kongresówką rewolucyjnych prądów społecznych, i szlachecko - romantyczno - średnio-wiecznymi przesądami, niby wałem trumiennej zgnilizny, od walk i myśli zachodnio - europejskiej.

Jako wyraz całkowicie świadomej siebie ideologii burżuazyjnej pozostaje więc Henryk Sienkiewicz. Ale to prowadziło tylko ku Połanieckim,

wywołującym wstręt w budzącej się do życia i coraz liczniejszej drobnomieszczańskiej inteligencji polskiej.

Inteligencja drobnomieszczańska w całym państwie carów ma wówczas tysiące powodów do skrajnego niezadowolenia. Rząd carski opierał się przecie przede wszystkim na obszarnictwie i na wielkich przemysłowcach. Inteligencja polska, żywo odczuwająca na sobie nacjonalistyczną politykę carską, odsunięta od stanowisk rządowych, miała jeszcze więcej, niż inteligencja rosyjska, powodów do skrajnego przeciwstawiania się caratowi. Na tem tle z żywiołową siłą wybuchają — właściwe tylko zaborowi rosyjskiemu — dążenia republikańsko - niepodległościowe.

Ale drobnomieszczaństwo nie jest przecie zdolne do samodzielnych ruchów społecznych. Pisarze drobnomieszczańscy, zamykający się w swoim własnym środowisku, mogą tylko majaczyć mistycznie, lub też — realistycznie zachowawczo (Reymont) opiewać tego chłopca, na którym chce się oprzeć burżuazja. Twórcza siła społeczna tętniła tylko w proletariacie. Tam więc, jak do źródła, zwracają się tęsknoty zarówno polityków, jak literatów drobnomieszczaństwa. W takich warunkach powstaje ta jedyna w swoim rodzaju mieszanina marksizmu, romantyzmu, szlachetczyzny i najspolitszego kołtuństwa drobnomieszczańskiego, która nosi historyczną nazwę PPS. Tutaj także rodzi się nowoczesna niepodległościowa literatura polska, której przedstawicielem najprzedniejszym jest Żeromski.

Jak u wielkich romantyków, energią rzeczywiście czynną — choć pod imieniem własnym nie występującą na scenę — była rewolucyjna energia proletariatu. Podejrzewanie lub insynuowanie tej literaturze dążeń i sympatii rewolucyjnych wywołało nienawiść i protesty ze strony burżuazji i gorący entuzjazm ze strony robotników, względnie ze strony drobnomieszczaństwa, które pod wpływem wykrzykników lub tęsknot ku jakiejś bliżej nieokreślonej wielkiej przemianie społecznej samo nabierało rumieńców i przeżywało radosne złudzenia, że jest warstwą czynną, zdolną do walki, mającą naprawdę jakieś ideały górne i chmurne.

To, co Żeromskiego ożywia, co twórczości jego nadaje szczególny, ostry smak społeczny—to płynący przez niego, choć wbrew jego woli i niemal poza świadomością—żywy prąd walki klasowej. Rewolucja społeczna, jako coś wytęsknionego, groźnego lub nienawistnego, przeziiera poprzez wszystkie utwory Żeromskiego. Niekiedy zdaje się on niemal śpiewać na jej cześć, innym znowu razem łączy ją, lub trwożnie kryje przed nią głowę w zaduchy mistyczne. Bez wiszącej w powietrzu, bez nadciągającej rewolucji twórczość Żeromskiego byłaby pozbawiona mówiąc językiem twórczości tej właściwym — duszy.

Oczywiście postawa Żeromskiego wobec rewolucji jest zupełnie inna, niż postawa robotnika lub chłopca, dla którego rewolucja jest czemś po prostu gorąco upragnionem, ku czemu dążyć wszelkimi środkami każdy nie tylko może, ale i powinien. Żeromski przybiera wobec rewolucji taką samą postawę, jak wobec zagadnień erotycznych. Miłość jego bohaterów nie jest prostem i zdrowym pragnieniem gorącym. Jest w niej zawsze coś

z perwersji. Miłość ta zawsze jest grzechem, a często przekleństwem. — Postawa Żeromskiego wobec rewolucji — to dzieje jego własnego grzechu, to dzieje pierwotnego grzechu drobnomieszczaństwa. Pragnie on jej i nienawidzi jednocześnie; jest ona koniecznością i przekleństwem, najwyższym dopustem bożym. Przychodzi, przyjść musi nie jak wyzwolenie radosne, lecz jak nieunikniona kara boża za jakoweś ciężkie, bardzo ciężkie przewinienia.

Nie proletariusz mówi przez niego o rewolucji, lecz właśnie drobnomieszczanin, inteligent drobnomieszczański, który zbyt nienawidzi caratu i wszystkich jego sług, aby mógł nie szukać przeciwko nim oparcia, ale jednocześnie jest zbyt słaby i zbyt związany ze starym ładem burżuazyjnym aby nie czuć lęku przed rewolucją proletariacką i aby lęku tego nie odzwiercać w szaty obrazy moralnej.

Żeromski — to dusza przedwojennego inteligenta polskiego z zaboru rosyjskiego. Tradycje niepodległości szlacheckiej, tęsknota ku sile proletariackiej i lęk przed tą siłą, polska literatura romantyczna, Dostojewski i literatura opozycyjnej inteligencji rosyjskiej, bardzo powierzchowne, broszurowe czytanie w zagadnieniach społecznych, idiosynkrazja ku imaginacyjnemu potworkowi, nazwanemu „suchym badyłem marksizmu” — oto składowe części tej duszy, obdarzonej niezwykle wrażliwością, wprost zmuszonej do odtwarzania rzeczy, często dla niej samej strasznych lub potwornych.

Przez Żeromskiego śpiewa nadciągająca burza rewolucyjna. Ale Żeromski daleki jest od tych, którzy o rewolucję walczą, który ją robią. Proletariat rewolucyjny jest już na scenie i działa przemożnie, ale sam o sobie pieśni jeszcze nie śpiewa. Ani pieśni kunsztownych jeszcze składać nie umie, ani czasu na nie niema, cały zaabsorbowany walką bezpośrednią. Śpiewa natomiast, bardzo obficie i głośno śpiewa drobnomieszczaństwo, które odżywia się duchowo przez ocieranie się o proletariat. Prosta i jasna walka proletariacka, przeszedłszy przez pełną załamań wewnętrznych i sprzeczności duszę drobnomieszczańską, staje się mistycznym, niepojętym tragizmem dziejowym, staje się grzechem i pokusą szatańską. Inteligent drobnomieszczański, postawiony w obliczu rewolucji, wiję się w prochu, jak wobec swej własnej winy; pragnie rewolucji, tęskni ku niej i boi się jej, jak mistycznego grzechu śmiertelnego.

Inteligent drobnomieszczański, którego Żeromski był wieszczem i wyrazem, choć śmiertelnie bał się proletariatu i jego ruchów, nie zrywał z nim jednak, bo czuł, że ten groźny i tak niepojęty proletariat — to jedyne życie biednego inteligenta, to jedyna siła, ku której inteligent zwracał się z modlitwą o lepsze jutro, o życie duchowe, o odbudowanie mu niepodległego państwa burżuazyjnego.

Wszystko to było przed wojną i to właśnie dawało siły i wielkość przedwojennej literaturze polskiej.

Sienkiewicz był jawnie burżuazyjnym przeciwstawieniem się temu.

Ale cóż z Sienkiewicza i Żeromskiego mogło pozostać, po spełnieniu się marzeń, które tak niedawno wydawały się najbardziej niezniszczalnymi?

O dalszym ciągu pieśni sienkiewiczowskiej nie może już być mowy. Od biedy można było wyśpiewać Połanieckiego, gdy go jeszcze w całej okazałości nie było na scenie, ale niepodobna przecie śpiewać Korfantych, Hammerlingów i Lindych. Czyż można śpiewać opastych szlagonów, dorabiających się na wysokich cenach zboża i zagładzających własnych fernali? Czy można śpiewać generałów, obwieszczonych orderami i siedących na rentownych majątkach, nabytych za obronę ojczyzny przed zalewem bolszewickim.

Boryna należy teraz do orszaku dorobkiewiczów witosowych. Synów i krewniaków poumieszczał na wysoko płatnych stanowiskach państwowych i marzy tylko o tem, jak przerzucić wszystkie ciężary na barki robotników i biedoty wiejskiej.

A pokolenie Żeromskiego?

Prysła cała tyłu barwami mieniąca się ideologia romantyczna. Wyrośło wprawdzie państwo wymarzone, ale ani warunki jego powstania, ani jego treść wewnętrzna zgół nie odpowiadają założeniom tej ideologii. Pomimo pozornej realizacji marzeń, pomimo pozornego spełnienia się proroctw, wszystko przyszło tak nieoczekiwanie i tak dziwnymi dla romantyków drogami, że myśl romantyczna zawisła w próżni, bez jakiegobądź punktu zaczepienia. Z powodu zupełnego niezrozumienia sił działających, z powodu tego, że żeromszczyzna nie rozumiała, rozumieć nie mogła swej własnej treści, musiała stanąć oko w oko z rzeczami tak strasznymi, że zamarła w niemem przerażeniu.

Gdy majająca rewolucją żeromszczyzna zobaczyła twarz rewolucyjnej rzeczywistości, zlekła się śmiertelnie i, przekreślając całą swą przeszłość, zdecydowała odrazu: raczej z Sienkiewiczem, ze szlachtą polską i z kościołem katolickim, niż z tymi zbójami. Drobnomieszczańska dusza inteligenta ujawniła swą zasadniczo burżuazyjną treść. Odgraniczyła się od proletariatu i przez to postradała nawet to pozorne życie, które miała dotychczas. Pozostały jej panegiryki na cześć burżuazyjnych inżynierów opatrnościowych, plotkarskie opowiadania o złodziejstwach jakichś generałów, wyszarzana erotyka no i paszkwile, paszkwile, paszkwile na rewolucyjny ruch robotniczy.

Sam Żeromski zaś — genialny wieszcz drobnomieszczańskiego narodu inteligentów burżuazyjnych — dośpiewał swoją pieśń do końca. Ten wielki artysta niemal do ostatnich chwil życia zachował wrażliwość artystyczną, dźwięczał, jak cudowny detektor, odśpiewujący przechodzące nad Polską fale dziejowe. Nie rozumiał, niezdolny był rozumieć potężnego wiatru od wschodu, ale wiernie spełniał swą misję artystyczną i sygnalizował ten wiatr w taki sposób, na jaki go stać było. Zakończył dzieło swego życia sceną najbardziej tragiczną, jaką pomyśleć może polski inteligent burżuazyjny: wojsko polskie, wymierzające szereg luf karabinowych w piersi robotników polskich.

Tem wielkiem, tragicznem zapytaniem zakończył Żeromski pieśń ży-

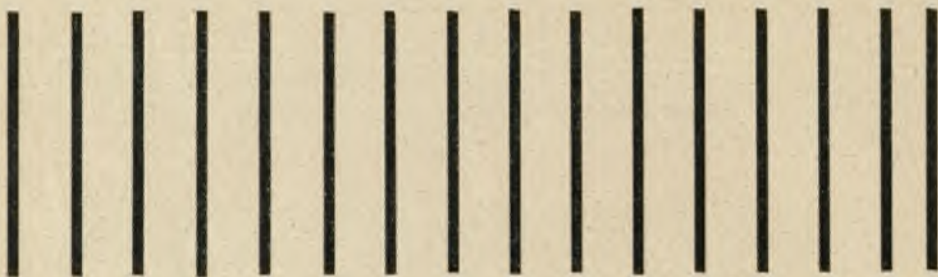
cia swego. Więcej nie miał już nic do powiedzenia. Spojrzeć dalej w przyszłość było już ponad siły całej jego klasy.

Burżuazja polska, będąca dalszym ciągiem szlachty polskiej, po raz ostatni zabrała głos przez usta Sienkiewicza. Żeromski do ostatecznego końca, do ostatnich najbardziej beznadziejnych konsekwencji dośpiewał pieśń drobnomieszczańskiego inteligenta polskiego, który zamarł w tragicznym znaku zapytania, stwierdzając, że życiem własnem nie żył właściwie nigdy. Pozostała szara pustka, którą licznemi tomami, zasypują przeważnie ludzie, nie mający nic nikomu do powiedzenia.

Czy to znaczy, że zamarło słowo, mówione po polsku? Ależ bynajmniej.

Kiedy zaś Polska znowu mocno mówić zacznie, będą to już słowa, płynące nie ze szlachcica, nie z burżuja i nie z drobnomieszczańskiego inteligenta, lecz z chłopa i z robotnika polskiego, który zabierze głos sam, w swem własnem imieniu, jako suwerenny słowa polskiego przedstawiciel. A mowa jego będzie zupełnie odmienna od wszystkiego, co przez całe polskie dzieje dotychczasowe mówiła szlachta, a potem burżuazja polska.

Jan Hempel.



TERAŻNIEJSZOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ

(Artykuł informacyjny napisany specjalnie dla naszego pisma).

Do inteligencji.

Nigdy dotychczas — co jest logiczne — nie namnożyło się tylu manifestów literackich i odezw do inteligencji, co obecnie.

Mimo wszystko jednak, mimo żeśmy zatopieni w powodzi owych świstków i ogłuszeni tą kakofonią — a może właśnie dlatego — ogłaszamy z kolei nasze wezwanie, ponad głowami innych.

A więc, przede wszystkim, czym jesteśmy obecnie? Żyjemy w epoce olbrzymiego materialnego postępu, a jednocześnie bankructwa; w epoce rozkładu, w epoce, która jest końcem pewnego okresu cywilizacji.

Sztukę i literaturę czuć dekadencją, jak wszystko inne. Przytoczę tu jedynie tytuły rozdziałów nazbyt wielkiego rekwizytorjum, które się samo przez się rozrasta, — obfitość lecz i chaos, kult szczegółów i subtelności, kwintesencjonalne analizy, niezręczne i pełne luk syntezy, sprzeczności, odnawianie starych przesądów — nieuctwo, zamęt, bezład. A także, obiektywnie, merkantylizm, brutalność reklamy, pozostającej w rękach potęg pieniężnych, sztucznie rozdęte sławy, wywieszone na krzyczącym szyldzie i narzucone odbiorcom, jak wyroby kosmetyczne. Eksploatacja na sposób amerykański i ciężka ręka przedsiębiorców handlowych, spoczywająca nie tylko na książce, ale na wszystkim, co może być dla publiczności realizacją artystyczną: na teatrze, music-hall'u, kinie, radio.

Pośród tego wszystkiego — zostajemy przy literaturze — pojawiają się mniej lub więcej samotne próby odnowy, lecz wypaczone często w karykaturę, kontentują się skandalem. Niektóre z tych poczyniń pochodzące od młodych artystów pełnych talentu i znajomości literackiego rzemiosła, nie pozbawione zaś ani wagi, ani znaczenia: zasługą ich jest dyskredytowanie starych szkolarskich reguł i przebrzmiałych formuł. Lecz, jak dotychczas, zajmują się one jedynie formą i nie wykraczają poza kwestję odnowienia sposobu ekspresji — muszli słów, jeżeli można tak powiedzieć.

Co się tyczy ogólnego stanu umysłów braci inteligentkiej — niepewność, chwiejność, poszukiwania, niepokój. Niepokój jest reakcją organiczną, kolką dekadencji. Ci, którzy myślą i usiłują spojrzeć nieco poza sprawy najbliższe, są niespokojni. Szuka się dróg, szuka się nowego. Wszyscy czują, że zbiera się na odmianę. Lecz nie każdy może ją zrozumieć.

Zasady marksizmu pozwalają nam zorientować się w zamęcie naszej przejściowej epoki, sięgnąć do przyczyn i skonstatować, że jest on najzupełniej logicznym wynikiem naturalnego biegu rzeczy. Taż sama doktryna pozwoli nam wyznaczyć ideologii jej rolę i wagę oraz połączyć w dokładnem oświeceniu niespokojnych i szukających.

Ideologia nie stanowi — jest to naszą pierwszą zasadą — oddzielnej, odrębnej dziedziny, czegoś nakształt raju wyśnionego przez artystę. Ideologia winna stanowić jeden organizm z ewolucją histoczną. Człowiek wyraża siebie i swoje otoczenie przy pomocy języka, doktryny, sztuki, według określonych reguł tych samych dla idei dzieł twórczych i rzeczy. Niema dwóch prawd, teoretycznej i praktycznej: istnieje jedna tylko prawda. Chodzi o to, aby jej nie rozoić w abstrakcji: każdej idei powinna odpowiadać jakaś rzeczywistość, inaczej staje się ona słowem bez treści.

Wypowiadając się, człowiek ustala i buduje. Sztuka i najogólniej wzięte słowo i pismo są instrumentami realizacji, są olbrzymimi narzędziami w ręku ludzi. Nowa sztuka przyjmuje więc, jako podstawę nowe charakteryzujące stadjum ewolucji historycznej. Ale nie należy twierdzić, jak to się często zdarza, że niema nic do roboty, póki nie powstanie nowy ustrój. Idea kroczy przodem. Zakreśla ona perspektywy, wytycza drogi, porusza i przerabia uczucia, buduje i spycha z miejsca, albo wzmacnia przekonania. Przynosi jasność i pewność. Taki jest sens istotny naszego materializmu literackiego i artystycznego (terminu tego użyła, jeśli nie mylę, Henryka Roland Holst).

Zgodnie z tem, nie uważamy, że ideologia powinna kierować faktami. Teza rzekomej *elity* rządzącej, arystokracji i autokracji myślicieli, nie ma żadnego uzasadnienia. Jest to naiwny bluff. Przywódca, prowadzący tłum, musi wyjść z tego tłumu, lub z jakiejś jego części.

Oto nasze stanowisko: przystosować się do impulsu faktów realnych, do logicznej doktryny, zdając sobie sprawę z analogii i ich powiązań. Zdać sobie sprawę z rzeczywistości, to znaczy być jej posłusznym, a nie przełamywać ją przy pomocy formułek, albo urojeń. Stosujemy do całokształtu życia zbiorowego i do jego idealnego wyrazu, piękna, lapidarną zasadę stoików wobec bóstwa: „Nie jestem posłuszny bogu, tylko się z nim zgadzam”.

Jednostka i „człowiek w społeczeństwie”.

Rozumie się samo przez się, że interesuje nas przede wszystkim człowiek w społeczeństwie, nie zaś człowiek, jako taki (co jest fikcją), nie jako jednostka.

Należy to jasno zdefiniować i z całą siłą ustalić.

Jednostka nie jest fikcją. Przeciwnie, jest to istotna komórka ludzkości. Nie przeczyśmy wcale walnemu znaczeniu jednostki. Nie zaprzeczał mu też Karol Marks, jak to mu lekkomyślnie zarzucają, ci, którzy nie obznajmili się z nim dostatecznie. Każdy z nas jest, jeżeli można tak powiedzieć — podwójny: jest jednością i jednostką, przez swój własny specyficzny bagaż, przez swoje kryzysy indywidualne, przez swoje własne stanowisko w odwiecznym dramacie życia.

Każdy z nas jest też jednocześnie integralną częścią powszechności socjalnej, kroplą tłumu, cyfrą w zbiorowości; a zbiorowość jest sama przez się organizmem. Istnieje, jak mówili starożytni, człowiek zewnętrzny i człowiek wewnętrzny.

Nie rozwiązuje się tej głębokiej antynomii ludzkiej, usuwając — raczej udając, że się usuwa — jeden z rzeczonych elementów, gdyż oba one istnieją w praktycznej rzeczywistości. Jeżeli sztucznie rozerwie się indywidualizm i obiektywizm społeczny, pierwszy z nich schodzi na bezdroża, drugi zastyga w martwocie; pozostają tylko mgławicowe abstrakcje, ulubione przez poetów, tych dyktatorów fantazji.

W chwili obecnej jednostka interesuje nas mniej, niż zbiorowość, porzucamy ją aby poświęcić się zbiorowości.

Jednostka, wypadek sporadyczny, prywatna przygoda, panowała dotychczas w literaturze i sztuce. Jeżeli nie można twierdzić, że wszystko zostało powiedziane na ten temat — nie możemy bowiem przewidzieć ewentualnych arcydzieł — pewne jest, że powiedziano, powtórzono i przeżuto

wszystko zasadnicze w tym względzie. A teraz chcemy spojrzeć gdzie-indziej.

Przestańmy się kręcić w kółko dokoła indywidualnych myśli i uczuć i upierać się przy zdobywaniu muru prywatnego życia. Należy pozostawić na stronie, choćby na czas pewien, wypadki niezwykle, rozmyślania samotne, analizy dośrodkowe, sprawy prywatne pana X., albo pani Y., moje, albo twoje.

Należy wstąpić do dziedziny zespołu.

Wszystko nas tam popycha. Przedewszystkiem rozwój ekonomiczny i historyczny, który wyznacza zbiorowości coraz rozleglejszą rolę, który nadaje piętno, a nawet formę przyszłości.

Lecz nie chodzi tylko o przystosowanie się do palących i olbrzymich wymagań społecznych. Na tej drodze istnieje postęp, ciągle zdobywanie nowych wartości, nieustanna twórczość — czego nie daje indywidualistyczne dreptanie na miejscu, odwieczne jednostkowe rozpoczynanie na nowo. To jedno powinniśmy zdecydować o wyborze drogi dla tych, którzy mają w myślach i w sercu dążenie do wykonania w życiu istotnej pracy.

W tym więc kierunku: stosunków ludzi między sobą, obowiązek nakazuje nam zwrócić się obecnie.

Nie wpadniemy jednak w drugą „ostateczność“, która polegałaby na traktowaniu czy to człowieka w społeczeństwie, czy też zbiorowości, jako rzeczy samej w sobie, jako istności metafizycznej. Sofistyczni przeciwnicy marksizmu, a czasem też i niezręczni marksiści, usiłują przetworzyć materializm historyczny i ekonomiczny, na materializm najzwyczajniejszy i najprostszy i patrzą na „objektywizm dogmatyczny“, jak na mechanizm, poruszający się niezależnie od wszelkiego oddziaływania indywidualnego, czy jakiegokolwiek czynu psychologicznego. Jest to zdrada myśli marksowskiej nadużycie słowa „materializm“ i zাপoznanie giętkości i żywotności realizmu marksowskiego, który ze względu na swoją rozległość mniej zasługuje na nazwę doktryny, niż na określenie nowego stanu umysłów, nowej metody orientacji wśród sił twórczych, szarmonizowanych z życiem, logiką, przyrodą i nauką.

Gdyby zjawiska ekonomiczne rozwijały się w sposób wyłączny i nieunikniony na terenie materialnym, stawałyby się one same przez się, wszystkie istniejące sytuacje zyskiwałyby stopniowo uzasadnienie i byłoby czężą demagogją nawoływanie proletariatu, aby zmienił bieg rzeczy, targając własne łańcuchy. A jednak do tego właśnie trzeba go wzywać.

Ten wąski determinizm zahypnotyzował szkołę bernsteinowską i doprowadził ją do szczególnego oportunizmu socjalistycznego, który pociągnął za sobą cały szereg ustępstw.

Zjawiska historyczne posłuszne są pewnym prawom, jak wszystkie zjawiska. To nie znaczy, że dzieją się one automatycznie. Człowiek potrafi je opanować, jak potrafi opanować żywioły i ująć w łożyska rzeki, które podlegają przecie prawom fizycznym. Istnienie ludzi na ziemi podlega fatalizmowi tylko o tyle, o ile ludzie nie zdają sobie z niego sprawy. Na tem polega sens propagandy, która jest tylko jasnem wtajemniczeniem. Ażeby zreasumować powyższe, powiem, że musimy patrzeć na człowieka, jako na jednostkę społeczną.

Koncepcja owa, która w połowie XIX w. rzuciła podwaliny współczesnego socjalizmu, podobnie, jak to uczynił Bacon dla nauki, a Kant, olbrzym myśli, dla całej filozofji; koncepcja owa jest bogata i płodna. Wyłącza ona „rzecz samą w sobie“, kontroluje walory definicji i tradycji, ni-

szczy przesady i widma, zastępuje „ideal” sentymentalny i mglisty, ideał baśniowy — celem ostatecznym na podłożu naukowem. Zlewa i godzi abstrakcję z rzeczywistością.

Ma za sobą siły organiczne zbiorowości ludzkiej. Idzie na spotkanie potęgom naturalnym. Jest głosem i dreszczem morskiego przypływu.

Dzięki temu, można powiedzieć, że materializm dziejowy jest o wiele głębiej idealistyczny, niż uroczyste utopje rycerzy i apostołów czysto słownego ideału.

Z tych przyczyn człowiek uczciwy i chcący uczciwie myśleć, winien — przynajmniej w stosunku do czasów, które nadchodzą — wyrwać siebie bezcelowy kult jednostki i skierować swój wzrok na sprawę *wszystkich*.

Dwie organizacje Międzynarodowe.

Nasza metoda, racjonalna, naukowa, rzucająca ostre światło na współczesny rozwój historyczny oraz towarzyszące mu ideje i idejki, pozwala dokładnie rozejrzeć się we wszystkim i rozróżnić, jak to już powiedziałem — motory działania, organizacje, z których wychodzi rozpęd.

Pierwszą z nich jest organizacja kapitalizmu, wyzyskiwaczy mas, t. j. wszechświatowej klasy rządzącej, która sama zależy od oligarchji wielkich finansistów, najwyższych władców koniunktur współczesnych. Kapitalistyczna konkurencja i centralizacja, działając po dziś dzień, przyjęły niezwykle rozmiary na skutek postępu przemysłowego, udoskonalenia narzędzi produkcji, rozwoju przedsiębiorstw i tej grawitacji majątków i przedsiębiorstw prywatnych — pochłaniania drobnych przez średnie a średnich przez wielkie — którą prokursorzy umysłowi tak świetnie określili i przewidzieli. Ta ewolucja oddała rządy nad światem w ręce Amerykanów — jedynych bogaczy. Doszedłszy do wysokiego stopnia zdolności przyswajających, cudze zdobycze, poczynają oni kolonizować wszystko, co jest do skolonizowania na naszym stałym kontynencie.

Giełda New Yorku stała się magnesem przyciągającym, kierującym, łączącym i rozdzielającym obieg światowy, sercem wielkiej maszyny, która wszystko porusza. Tam właśnie tworzy się najwyrazistszy obraz kapitalizmu: postęp materialny niewielu, bogactwo, przelewające się strumieniami, zastępujące wszystko, myśl zaś w zaniku.

Przeciwko organizacji wyzyskiwaczy — organizacja wyzyskiwanych. Proletariat przeciw kapitałowi. Rewolucja i kontr-rewolucja.

Takie są dwa prądy zasadnicze, głębokie, realne.

Wszystkie ruchy społeczne, wszystkie tendencje, które bądź szeregują swoich zwolenników, bądź poprostu przechodzą przez umysłowość współczesną, dają się, pośrednio lub bezpośrednio, odnieść do jednego z tych prądów przeciwnych.

Bez wątpienia, walka wciąż jeszcze jest bardzo nierówna. Wszędzie, prócz Rosji, siły żywe są po stronie kapitalizmu, jak i instytucje, prawa, potęga państwowa. Jesteśmy świadkami rozwoju faszyzmu, najgorszej reakcji; w tym ogólnym i zwięzłym przeglądzie pozwolę sobie go określić, jako orgnizację walki zaczepnej, stworzoną przez powszechną mobilizację klas średnich i mających na celu rozbicie powstającej organizacji proletariatu. Atutem wyzyskiwanych nie jest ich własna siła, wciąż jeszcze niedostatecznie zespolona, lecz zgubne wyniki panującego systemu bogacenia się indywidualnego czyli nieszczęścia człowieka. Obecny ustrój nie ma dalszych dróg rozwoju i jest skazany na zagładę przez własną hipertrofię, przez

tkwiącą w nim absurdalność, która coraz bardziej widnieje poprzez sztuczne środki, podtrzymujące go do dnia dzisiejszego: gwałt i oszustwo.

Z aparatem przymusu, którym rozporządza panujący imperjalistyczny kapitał, łączy się całkowita propaganda ideologiczna, wspierająca go i opierająca się o niego. Wielki system pasożytniczy, zasobny we wszystkie środki reklamy, minionych tradycji i głęboko zakorzenione niewolnictwo; wykorzystując demagogicznie lęk przed nowem i nieznanem, przekraczając ideje i czyny swych przeciwników, dotychczas ma za sobą zgodę ogromnej większości ludzi.

Owa ideologia ucisku jest niezmiernie różnorodna i wielopostaciowa, czasem otwarta, czasem uszmkowana, ukryta.

Pospolita formuła streszcza istotę rzeczy : idea porządku. „Porządek” znaczy w tym wypadku: porządek istniejący, innymi słowy — system wyzysku człowieka przez człowieka.

Dzięki grze słów, dzięki uleganiu fikcjom, które usiłują utożsamić „to, co jest” z „tem, co normalne”, dzięki wszelkiego rodzaju scholastyce i dyalektyce, które usprawiedliwiają i umacniają dzieło konserwacji społecznej większość ludzi, powtarzam, jest obecnie po stronie uprzywilejowanych i pasożytów.

Z idei Boga wypływała wielka siła uświęconego porządku, jakim był ustrój feodalny, zanim stał się — za zmianą etykietek — ustrojem burżuazynem; tyranja ukoronowanych awanturników, dynastji królewskich przemieniona w tyranję aferzystów.

Z koncepcji Boga czerpano elementy tego olbrzymiego fałszowania naturalnej ewolucji ludzkości, tej ofiary mas na rzecz niewielu.

Istotnie, obecność Boga obala wszelkie dzieło ludzkie. Bóg jest wielkim transformatorem, który przemienia wszystko. Jest kontr-rzeczywistością, przyłączającą rzeczywistość.

Zrozumiałym jest przeto desperacki wysiłek reakcjonistów i konserwatystów, aby wyłączyć możliwość „społeczeństwa bez Boga”. Prześladuje ich ten upiór. Jeżeli wymknie im się teatralny piorun z zaświatów, wymknie im się wszystko. Jest to więc zasadnicze hasło ideologów kontr-rewolucyjnych — poczynając od stronników „Action Française”, którzy twierdzą, iż są *tylko* nacjonalistami, aż do katolików wszelkich odcieni, i modnych obecnie zwolenników neo-chryścjanizmu i neo-tomizmu. Rozwijają oni pod różnemi postaciami tezę Józefa de Maistre'a, dla którego Wielka Rewolucja była szatańska, ponieważ wyłączała interwencję Boga do spraw ludzkich. Nie chcą, aby dotykano Bóstwa wraz z jego zagrobową terapią, która wszystkie porachunki odkłada dla tamtego świata, a tymczasem przynęca żyjących nakazami posłuszeństwa i rezygnacji.

Rzeczą poważniejszą jest wielka ilość surogatów Boga. Prócz Boga, otoczonego nimbem religijnym, istnieje cała serja bożków abstrakcyjnych i religij świeckich, równie opłakanych i błędnych, jak wiara kościoła, gdyż wszystkie one pochodzą z tej samej niedopuszczalnej działalności, która nadaje wartość samoistną, własny i niebezpieczny byt pojęciom lub mądrzeniom (sprawiedliwości, rozumowi, pokojowi), czyni z nich istności metafizyczne, gdy to są tylko ogólne pojęcia, wytworzone przez umysł, formy myślenia lub terminy opisowe. Charles Rappoport w swej Filozofji Historji świetnie powiada, że „a priori” jest „zastępcą Boga”.

Powyższe wywody pozwalają nam wyjaśnić i, — jeśli mi wolno tak powiedzieć, — obrócić wniwecz, powierzchowne i pozorne spory i rozbież-

ności w poglądach tych, którzy w rzeczy samej gromadzą się pod sztandarem Obrony Porządku.

Co nas obchodzą swary domowe wszech-nacjonalizmu, który w każdym wielkim państwie ma swoją pepinjerę, z jakąś sektą różnowierczą, jakąś Młodzieżą Patriotyczną, Ligą Obywatelską, nawet z Watykanem i papieżem.

Obroncy Porządku obierają sobie za platformę albo klasycyzm, albo antysemityzm, albo religję patriotyczną. Szukają argumentów równie dobrane w religjach państwowych, jak i w tak zwanej mądrości pogańskiej starożytnych. Walczący skryba, jak Maurras, jest równie pogański, jak i katolicki. Zresztą, chrześcijaństwo, rozległa, a sztuczna synteza sfabrykowana przez św. Pawła z żydowskiego monoteizmu i mesjanizmu zmieszanych z pewnemi dogmatami stoicyzmu i platonizmu oraz z mitami grecko-wschodnimi; chrześcijaństwo, jak mówię jest silnie zabarwione pogaństwem. Chrześcijaństwo postawiło się na miejscu imperjum rzymskiego, upodobniwszy się doń służalczo. Tenże św. Paweł głosił w sposób absolutny, kategoryczny i bezwstydnym biernym posłuszeństwem książętom i ustanowionym władzom. Był on przedewszystkiem obrońcą Porządku.

Co się tyczy hellenizmu, jest to koncepcja terazniejszości powierzchowna i skrócona, która w istocie rzeczy, mimo wszystkiego górne pretensje, jest w tymże stopniu „rozumem“, co chrześcijaństwo „miłością“, judaizm oficjalny — „sprawiedliwością“, a prawo rzymskie — „prawem“.

Pozwolimy więc tym panom gryźć się między sobą. Pozwolimy Młodociągnięciu Republice odrywać się, jeżeli tego pragnie, od Ludowej Partii Demokratycznej. Dajmy spokój pewnej publikacji zwanej „Ruchem“ (Le Mouvement), która posuwa ortodoksję i miłosierdzie chrześcijańskie aż do wskazywania po imieniu w kronice włoskiej nowych ofiar Mussoliniemu niechaj obejmie się czule z „Action Française“.

Toż samo można powiedzieć, raz na zawsze, o pacyfistach i moralistach, którzy marzą o udoskonaleniu natury ludzkiej i oddają część boską miłości i dobroci. Wnosząc swą utopję do istotnej walki społecznej, odwracają od niej uwagę i energję, zwodzą, przeszkadzają sięganiu do przyczyn anomalji (co jest jedynie uczciwym sposobem walki z nimi), sprawiają, że traci się z oczu drogi praktyczne dyscyplinowanej organizacji i pozytywnych zdobyczy. Czy chcą tego czy nie chcą, stoją oni po stronie konserwatystów.

Toż samo wreszcie można powiedzieć o „demokratkach“, republikanach, radykałach, socjal - radykałach, a nawet o wielu socjalistach.

W niczem nie zmienia postaci rzeczy, że championi półśrodków, paljatywów, prowizorycznych reperacyj, współpracy klas i powolnego postępu w ramach absurdalnych instytucyj współczesnych (złudzenia i zasadzki), wydawali grzmiące diatryby przeciw potwornościom wojny, wyzyskowi pracy i ekstrawagancjom faszyzmu. Wszyscy oni siłą i logiką rzeczy są obrońcami istniejącego ustroju i prawdziwymi wrogami mas ludowych.

Nie zapomnijmy nigdy, że głównem zadaniem dla organizacji kapitalistycznej jest utrzymanie tego, co istnieje; dla wszystkich innych — zmiana i tworzenie nowego. Jasne jest, że bardzo różne elementy mogą współdziałać w dziele konserwacji (nawet obojętne i „neutralne“) lecz inaczej się dzieje dla tych, którzy dążą do najgłębszej rewolucji. Możemy tu zastosować dwie znane recepty Ewangelji: Zachowawcy mogą powiedzieć:

„Kto nie jest przeciw mnie, jest ze mną”, rewolucjoniści winni twierdzić:
„Kto nie jest ze mną, jest przeciw mnie”.

Wobec tego świata wrogów i fałszywych przyjaciół, lud — proletarijat — stara się stać samym sobą, uchwyciwszy władzę stworzyć dla człowieka nowe prawo, które mu pozwoli zburzyć stare formy ustroju państwowego i zbudować nowe społeczeństwo według wymogów pracy i interesów ogólnych (w obecnym stanie rzeczy, interes ogólny, współpraca ofiar z katami, jest tylko mydleniem oczu), przy pomocy zniesienia klas i państwa. Możliwość powiedzieć, że ustrój oparty na równości politycznej i wytwórczej będzie dziełem demokracji, ale demokracji całkowitej, nie mającej nic wspólnego z werbalizmem demokratycznym, który szerzą z trybun oficjalnych nasi rzekomi republikanie.

Nasz program.

Nie czas teraz gubić się w subtelnych dyskusjach, odkrywać i kolekcjonować nieznaczące różnice. Należy porzucić wszelką mitologję.

Obowiązkiem naszym, inteligencji, pisarzy i artystów, pracowników zawodów wyzwolonych, jest usunięcie wszelkich sofizmatów i wszystkich szaleństw, którymi karmiła się dotychczas nędza ludzka. Musimy dać świadomość wyzyskiwanym, ażeby uzgodnili czyny swoje z wymogami rozumu i własnego swego, życiowego interesu. Powinniśmy podkreślać jaskrawo promienny akord woli mas ku zaprowadzeniu racjonalnego i naturalnego porządku rzeczy i ku prawu wszystkich do życia.

Na jakich podstawach próbujemy połączyć w tych różnorodnych środowiskach inteligenckich, elementy zapewniające przygotowanie nowych czasów? Zgrupujemy je nie przy programie politycznym, lecz przy trzech wielkich i rozległych zasadach działania:

1) zbliżyć pracowników fizycznych i pracowników umysłowych. Ci ostatnio są zresztą równie wyzyskiwani i skazani na nędzę, na żebractwo i służalność wobec potężnych i bogatych.

2) walczyć przeciwko propagandzie reakcyjnej, archaicznej ideologii i kultury burżuazyjnej.

3) wyzwolić i dopomóc rozwojowi sztuki kolektywnej.

Ze zbiorowością łączą nas nie tylko względy nieubłaganej konieczności, którą wykazałem powyżej, lecz również poczucie wielkości i życia. Sztuka odnowi się od dołu, jak i społeczeństwo. Nieograniczone perspektywy otwierają się przed tem odrodzeniem, którego zapowiedzi już dają się wyczuwać.

Oto są trzy zasadnicze punkty, przy których powinna się urzeczywistnić jedność międzynarodowa. Powyższe zasady przylegają do rzeczywistości i odmykają przyszłość.

Henry Barbusse.

(Artykuł informacyjny napisany specjalnie dla „Dźwigni“).

„MARTWY PUNKT”

Dzisiejszy stan rzeczy w literaturze mieszczańskiej odznacza się tem, że nie może ona nawet stawiać problemów, ani treściowych, ani też formalnych, o współpracy zaś i udziale w poważnym i odpowiedzialnym rozwiązywaniu tych problemów nie może być wprost mowy. Twórczość niemiecka w praktyce oddawna rzekła się pretensji do kierowania lub ustanawiania czegoś w zakresie ideologii. Jednym z najcharakterystyczniejszych objawów dzisiejszej twórczości jest jej anaukowość, lekceważenie wiedzy — zjawisko identyczne zwykle z zupełnym upadkiem kierunku w sztuce. Jałowy epigonizm z jednej, bezpłodność beziły z drugiej strony: cóż uczynić z prawdą, która jest przecież zwykle „już prześcigniętą wiedzą”. Następuje konieczność kurczowego odgraniczania się od niej, aby się samemu nie zniweczyć. Pytamy: czy dzisiejsza mieszczańska literatura stawia problemy, które naprawdę są na czasie i ogólnoludzkie; takie, które można się poważnie interesować; czy stwarza formy do których przyszłość przywiązywać będzie wagę; czy formuluje dokładnie upadek mieszczaństwa, czy istotnie kontynuuje dzieło tych wielkich pisarzy, którzy ten upadek sformułowali, czy może uzupełnia gmach, któremu kształt nadali z rozmachem olbrzymim jeszcze przed dziesiątkami lat Zola, Flaubert, Dostojewski?

Odpowiedź brzmi w każdym razie: nie! Rozkład niemieckiego społeczeństwa mieszczańskiego jest taki, że nie produkuje ono nawet więcej wartościowych pod względem artystycznym dokumentów tego upadku. Temat: niemiecka dżungla — zdaje się być wyczerpany, co dziwi jego mieszczańskich krytyków.

„Każde stanowisko dopuścić do głosu” (z wyjątkiem komunistycznego — oczywiście). Tego rodzaju stanowisko — braku stanowiska, jest programem najlepszych współczesnych przeglądów literackich. Np. „Literarische Welt”. Zajmujący, przepelniony wszelkiego rodzaju zabawnymi anegdotami miszmasz, w którym każdy zarodek powagi skomoinowany jest z istniami orgjami płaskości, najfrywolniejszego cynizmu, pustej patetyczności: to się nazywa (i słusznie zresztą może się nazywać) — reprezentacją niemieckiej literatury. Rzeczy najszkodliwsze nawet będą się w takim społeczeństwie podobały (nie chcemy mówić o krytyce, która doszła już do takiego stopnia korupcji, że stała się zupełnie jawnie t. zw. „krytyką ogłoszeniową”). Ci literaci są jeszcze w najlepszym wypadku aranżerami, duchownymi dekoratorami okien wystawowych. Świat — to dla nich potpourri — sensacyjne ragoût rzeczy, ludzi, poglądów, istniejących po to, aby przepędzać własną nudę, zapełniać pustkę w głowie i ubóstwo serca. Ze wstydem powiędzmy otwarcie — zjawisko to opisują nader malowniczo. Naszym obowiązkiem jednak jest wypowiedzenie tego, czego nie wypowiedziały oświadczenia tych klik literackich. Że zadaniem człowieka jest „również” przemiana świata, świadome kształtowanie życia ludzkiego — ach, o tem zapomniano oddawna, lub też, z kilkoma taniemi dowcipami, odrzucono to, jako „młodzieńczą romantykę”. (Podkreślić tu należy rolę „zdrajców i półzdrajców, jaką odgrywają przytem t. zw. „piewcy pracy”, jak Bröger, Lersch, Barthel).

Jest się dojrzałym i rozsądnym, tylko powierzchownie zauważa się świat — nie posiada się nawet jego znajomości, bo to byłoby już zbyt uciążliwe, i zawiele — i, nie opłaciłoby się. A tak będzie się zaspokojonym.

Zająć stanowisko? Poco? Mieć jakieś kryterja? Kompletne szaleństwo. Dlatego, że ich świat to bagno, w którym pogrąży się każde stanowisko.

Faktem jest, że i dzisiaj jeszcze istnieje znikoma mniejszość mieszczańskich pisarzy, którzy bardzo niechętnie i z głębokim obrzydzeniem przyłączają się do tych kół, tegich w geszeftach. Jedno ugrupowanie („Gruppe 1925“, do którego, między innymi, należeli Döblin, Bert, Brecht, Wolfenstein, Roth, Holitscher) niedawno jeszcze protestowało przeciw pozabawionej treści, salonowej działalności Penclubu, międzynarodowego zjednoczenia pisarzy mieszczańskich. Wiele bólu rozczarowania i oburzenia ludzie ci zdławiają, zmuszeni będą krok za krokiem kapitulować — i aby tylko móc nędznie vegetować, będą ustępowali z jednego ideału po drugim. Czyż wierzą oni naprawdę w dzień „zemsty“ — w czas, kiedy wszystko będzie z gruntu, od podstaw inne?

Najzdolniejszy niemiecki dziennikarz Kurt Tucholski, należący i dziś jeszcze do lewicowo-radykalnego czasopisma mieszczańskiego „Weltbühne“ — o ile wszystkie oznaki nie mylą, jest na naszej drodze. Egon Erwin Kisch, dla którego podróż do Rosji wyraźnie była uderzeniem obucha w głowę — w niedwuznacznych wypowiedzeniach posunął się wprost na lewy front. Również współpracowników doskonałego, redagowanego przez Gerharda Pohla czasopisma: „Die Bücherschau“ (Przegląd książek) zaliczyć można do sympatyków ruchu robotniczego (Max Hermann - Neisse, Mehring).

Inni zaś znajdują się dziś w sytuacji, którą nazwać można martwym punktem. Motor ich idzie biegiem jałowym. Osobiste przeżycia i doświadczenia spowodowały, że ośmielili się wyjść z mieszczańskiego środowiska. Zatrzymali się jednak w połowie drogi, ponieważ, konsekwentnie idąc nią dalej, musieliby wpaść w szeregi klasowo uświadomionego proletariatu. Tak zaś sterczą oni, niegdyś ludzie życia, pogrążeni w atmosferze, która nie zna ani „naprzód“ ani też „z powrotem“. W twórczości niektórych prawie dokładnie wskazać można punkt, po którym powinno było nastąpić „przejście przez barjerę“. U George'a Kaisera „Gaz“ — u Leonarda Francka: „Człowiek jest dobry“. Również Henryk Mann, w którym wielu u nas pokładało wielkie nadzieje zawiodł. Wszystkie inne dzieła oznaczają, w przeciwieństwie do tych dzieł o „osiągniętej pozycji“ — powolne, niepowstrzymane opadanie, odwrót pośród pewnych określonych form słownych i manewrów, niepewność i szukanie poomacku w stawianiu problemów; akcenty przesuwają się: to, co niegdyś było dla nich najważniejsze i najistotniejsze: rewolucja socjalna, usuwa się w cień, jako sprawa uboczna, jako epizod. Rezultatem tego jest niezdecydowane „zawieszenie w próżni międzyklasowej“ — „ani tu, ani tam“. — Atmosfera ta ma też swoją właściwą jej mowę. Albert Ehrenstein, jeden z najzdolniejszych pisarzy tego gatunku, dał w liryce najpełniejszy wyraz temu położeniu „między“.

Brak nadziei, zmęczenie, cynizm i sarkazm, wynikający z głębokiego wejrzenia w beznadziejność i szaleństwo bytowania swego. Bez widnokręgów, bez wyjścia. Zapora staje się murem, masywem skalnym, zaslaniającym oku widok każdej żywszej przyszłości.

BÓJ PRZED FABRYKAMI

„Bój przed fabrykami” — to tytuł opowiadania Abuscha, które zjawilo się w wydawnictwie „Viva”. — W związku z tem opowiadaniem nasuwają się pewne problemy naszej proletarjacko-rewolucyjnej literatury, których rozwiązanie również w przyszłości będziemy musieli starannie śledzić i rozważać. Wielką trudność w roztrząsaniu tego rodzaju kwestji stanowi to, że rozdział sztuki i życia, będący rozstrzygającym, charakterystycznym objawem każdego upadającego kierunku w sztuce, istnieje również i u nas a to w tem znaczeniu, że przy zjawisku literackim nigdy prawie nie możemy skontrolować, jak oddziałuje ono na masy, dla których jest przeznaczone. Krytyka mas pozostaje niema. Nie zrozumieliśmy zupełnie koniecznej życiowo łączności na tem polu między autorem i szerokimi masami. Tu i tam zapoczątkowano to, gdy w „Rote Fahne” — z okazji publikowania powieści „Mess-Mend” redakcja prosiła czytelników o przesyłanie opinji — i wybrane z pośród nich wydrukowano następnie po ukończeniu powieści. Ale skończyło się na tym obiecującym początku. W prasie prowincjonalnej własne sądy literackie są rzadkością. Liczba poszczególnych dzieł, będących w obrocie nie jest żadnym dowodem. W interesie naszej artystyczno - literackiej produkcji należy stan ten bezwzględnie usunąć — i spróbować, w miarę możliwości i tutaj również przewyciężyć rozdział między życiem, a sztuką. Nasi pisarze chcą i muszą się uczyć. — Do tego potrzebna im jest krytyka z dołu...



Co przedstawia „Bój przed fabrykami?” Treść jest zaczerpnięta z życia robotników. Opis przebiegu strajku. Opis prawdziwy i rzeczywisty dlatego, że strajk ten nie występuje, jako zjawisko odosobnione, zdarzenie jednorazowe, lecz jako etap wielkiej wojny o wolności klasy robotniczej. Wy-padek poszczególny rozpościera się na całość, ogólne prawo walki klasowej przedstawione jest widocznie, konkretnie. Rysy specjalne nigdy nie posuwają się tak daleko, aby nie uwidaczniać dosyć wyraźnie powagi zjawiska ogólnego. Strajk nie prowadzi do zbrojnego powstania, zostaje zerwany, zwalczony. Styl sam opada „nigdy nie wznosi ponad treść” dopiero na końcu dzieła podnosi się znowu, kończy akcentem nadziei, wesela, walki. Proletariusz, powracający z miejsca walki i porażki, gwizdże „Międzynarodówkę”. Wiadomo odrazu, co dzieje się w jego duszy. Cała historia opowiedziana szaro, monotonna, prawie czczo. Styl Abuscha niema nic z tej egzaltowanej forsowanej kunsztowności i załganej do gruntu „nowej rzeczowości” — o której pewni mieszczańscy artyści i krytycy sądzą, że ją dopiero odkryli. Styl Abuscha odpowiada tematowi. Nie znaczy to, że styl ten jest bez zarzutu, że rzecz cała nie mogła być ujęta o wiele mocniej, że wydobyć poszczególnych momentów nie powinno występować jeszcze silniej i bezwzględnej. Głębiej, w sposób jeszcze bardziej skoncentrowany i przejmujący.

Ale musimy, patrząc na ogólne położenie naszej proletarjacko-rewolucyjnej literatury, zaznaczyć z całym naciskiem przy tej pierwszej próbie literackiej Abuscha, że „Bojem przed fabrykami” stworzył świetną

placówkę, z której przy dalszej usilnej pracy zdobyć sobie może stanowisko dobrego, proletarjacko - rewolucyjnego pisarza.



Straszna słabość Kurta Kläbersa, również czerpiącego swe tematy z życia robotników, wynika, przynajmniej dotychczas, z ujęcia robotnika, jako takiego, zupełnie spontanicznie, tylko elementarnie, tylko głucho, prawie biologicznie. — Powstanie wybuchu bez żadnej organizacji, żadnej woli ani świadomego kierunku. Partja, dyrektywa nie istnieją. Z przedstawienia sprawy przez Kläbersa możnaby wysnuć wniosek, który też już wyciągnięto, że powstanie i wszystkie ofiary są szaleństwem. Napewno intencję Kläbersa nie było dostarczenie sposobności do podobnych wniosków. Ale w tej dziedzinie musi on swą twórczość skorygować, jeśli nadal chce być naprawdę rewolucyjnym artystą. Produkcji Kläbersa brak teorii. Bez rewolucyjnej teorii nie może też dzisiaj istnieć artystyczna praktyka. Siła obrazowania Kläbersa jest natomiast nadzwyczajna i nieodparta. Jego styl to ruch — osiągaający czasem najszybsze tempo.



Jeśli ujmujemy Herminję za Mühlen i Müller - Glöse — jako jedno poniekąd zjawisko, to postępując tak, zdajemy sobie sprawę z różnic, zachodzących i między temi autorami. Ale oboje w wielu pracach postawili sobie to samo zadanie: przezwyciężyć mieszczańską ideologję, którą sobie biorą za temat. — I temu zadaniu nie podołali — oboje w ten sam sposób.

Müller - Glösa wysypuje przed nami cały drobnomieszczański kramik; drobnomieszczaństwa często pełno jest jeszcze w życiu niejednego proletariusza, a Müller-Glösa przystępuje do swej pracy — w to nie można wątpić — napewno w najlepszej wierze — z zamiarem usunięcia w ten sposób drobnomieszczaństwa z serc i mózgów robotników. Cóż jednak się dzieje? W stylu, w sposobie wyrażenia się, w poetyckich środkach kształtowania materiału, staje się Müller - Glösa ofiarą swego tematu, krok za krokiem kapituluje, to znaczy z pisarza, w którego intencjach leży zwalczanie drobnomieszczaństwa — sam staje się mieszczuchem. Przedstawić drobnomieszczańskie środowisko tak, aby, samemu przytem nie przejąć się jego duchem — wymaga pokonania tego środowiska i opanowania go do czego Müller - Glösa absolutnie nie nadaje się. Może spletała mu przytem figla jego niemoc, jako rzemieślnika. Odczuwa się u niego również zupełnie brak zdolności do satyry i karykatury, właściwości, które należeć winny do arsenału każdego pisarza, przedstawiającego drobnomieszczań. Tak stał się on — wbrew swym zamiarom — krzewicielem bu'nych małomieszczańskich nastrojów i idei. Kicz nawet czerwono — purpurowo wprost zafarbowany — musi się należycie traktować. Müller-Glösa musi nauczyć się jeszcze wiele od świetnych, mieszczańsko - rewolucyjnych pisarzy, Zoli, Dickensa, Tołstoja, etc., aby w przyszłości choćby w pewnej mierze dorosnąć do swego zadania. Niedawno wskazywaliśmy na amerykańskiego pisarza, Sinclair Lewisa — autora powieści „Babbit”. U niego, a również, pewnemi zastrzeżeniami, u Leonarda Franka i u, niestety zmarłego Franciszka Junga — Müller - Glösa może uczyć się, jak robić się drobnomieszczańskie millieu, nie stając się samemu drobnomieszczańinem, jako pisarz.

Coraz więcej, jak to widać z własnej produkcji — i doboru ostatnich przykładów — grozi powyżej opisane niebezpieczeństwo także Herminji zu Mühlen, która urobiła sobie świetne imię, jako tłumaczka Uptona Sinclair'a. Dość dobrze znamy teorię podawania gorzkiej pigułki walki klasowej w małomieszczańskiej formie opłatka, znamy miodową teorię tego „wlewania podstępem po łyżeczce”. Szkoda tylko, że medycyna sama oddawna rozłożyła się przy tej nader chytrej próbie. Autorzy ci robią ustępstwo za ustępstwem, aby zwolna udusić się w jej szopce ustępstw. Niepotrzebne ustępstwa, zbyteczne kompromisy. Mają oni zbyt pesymistyczne perspektywy, przynajmniej o ile chodzi o ich proletariackich czytelników. Pesymizm byłby raczej usprawiedliwiony w stosunku do nich samych: czy taka produkcja, nawet dostarczana i krzewiona w wielkich ilościach, w najlepszym wypadku odrazu nie zniknie, wystrzeliwszy, jak pusty nabój?



Wszystkie wartościowe próby, dokonane w dziedzinie sceny proletariacko-rewolucyjnej, łączą się z imieniem reżysera, Piscatora. — Piscator w swych inscenizacjach stał się sam potężnym twórcą scenicznym. Dzieła, np. Tollera albo Paqueta napisane słabo — zarówno pod względem treści, jak i formy, są naprawdę, jeśli idzie o pozytywne elementy przy przedstawieniu teatralnym — dziełem Piscatora. Piscator jest mistrzem przerabiania, tworzenia na nowo, wydobywania tego, co najistotniejsze. Dzieło Piscatora wymaga wnikliwego rozpatrzenia w osobnym studjum. W związku z tą sprawą należy też wymienić imiona malarzy, jak John Heartfield, George Gross i Rudolf Schlichter, którzy zaopatrzyli nasze książki w rysunki na okładkach i ilustracje, doskonale nadające się do utorowania książkom drogi do szerokich mas. Nieliczne prace poetyckie George'a Grossa należą do najistotniejszych w nowej literaturze.

Dla całkowitej orientacji wymienimy jeszcze: Bertę Lask, Wingenhaima, Wittfogela, Ericha Mühsama i Oscara Kaehehla, przede wszystkim jednak Alberta Daudistela — którego powieść: „Lahme Götter” („Bogowie kulejący”) jest świetnym początkiem.

Krytyka literacka i sama literatura są nierozłączne. I tak proletariacko-rewolucyjne Niemcy rozporządzają całym szeregiem doskonałych essaistów, satyryków, krytyków. Są to: Kurt Kersten, Otto Steinicke, Wilhelm Herzag, Frieda Rubiner, Edward Fuchs, zu Marten, Seehof, Kamen, Komjat, Slang — że wymienimy tylko najwybitniejszych.

Wskazać też należy na bezimienną produkcję, objawiającą się, jako „korespondencje robotnicze” w naszych pismach — albo też przy przedstawieniu rewolucyjnych sztuk, jako wyraz stanu samych mas.



Mimo to musimy o wiele obszerniej, niż dotychczas, informować regularnie o wszystkich zarodkach literatury proletariacko-rewolucyjnej, o ile możliwości rozwijać ją, propagować nazewnątrz (radio etc.) — i wewnątrz żywo podsycać i pielęgnować ją. „Bój przed fabrykami” — to nie tylko tytuł jednej książki—, „Bój przed fabrykami” trafnie określa całą sytuację, w jakiej znajduje się teraz nasza proletariacko - rewolucyjna literatura. Ciągłe jeszcze nie udało się nam ani wdrzeć do samego centrum robotniczego, ani też przedstawić życie robotników zgodnie z rzeczywistością, tak,

aby serce bezpartyjnego nawet robotnika zostało głęboko wstrząśnięte. Nacisk położyć jeszcze musimy na takie społeczno-krytyczne dzieła literackie, które dostarczają robotnikowi koniecznego uzupełnienia do praktycznej walki — i teoretycznych studjów.

Najlepsze jest dla robotnika właśnie dosyć dobre. Robotnik niema czasu pożerać mnóstwa nudnych, rozwlekłych książek, aby w końcu zawyrokować o jednej, że opracowana, przerobiona — jest godna czytania. Godne czytania jest dla nas to, co wzmacnia siłę czytelnika w walce klasowej — trwale wzmacniając na nią wpływa. Jeśli zaś czytanie samo jest przerwą dla zaczerpnięcia oddechu, to jednak zawsze taką, która w specjalnie przejmujący, i sztuce tylko właściwy sposób pozornie pozwala siłom czytelnika odpoczywać, w istocie zaś gromadzi je i przygotowuje do nowej walki w dniu jutrzejszym.

Johannes R. Becher.

POMYŁKI PRZEDWIOŚNIA

(Z powodu książki J. Bronowicza „Stefana Żeromskiego tragedia pomyłek”).

Zupełnie wyjątkowy wpływ Żeromskiego na inteligencję polską w ostatnich latach dwudziestu kilku, stanowi fakt nie ulegający wątpliwości. Co innego jeśli idzie o wyjaśnienie tego faktu. Talent pisarski choćby największy odgrywa w takich wypadkach rolę nie jedyną i nie główną — muszą istnieć inne przyczyny tego wpływu. Tutaj mamy rzeczywiście do czynienia z wyjątkową elastycznością psychiki pisarza, poddającego się niesłychanie czujnie oddziaływaniom, idącym ze strony określonego środowiska społecznego.

Trzeba tu podnieść jedną rzecz. Żeromski ustalił za sobą opinię bezkompromisowości — opinię pisarza szczerego aż do okrócieństwa, bezwzględniego odsłaniacza najboleśniejszych i najwstydlivszych ran społeczeństwa burżuazyjnego. W pojmowaniu takim jest pewna doza słuszności, szczególnie jeśli brać pod uwagę osobiste stanowisko pisarza. Ale też prawdomówność owa wygląda zupełnie inaczej, gdy zestawimy ją z obiektywnym rozwojem tendencji społecznych w Polsce.

Rzecz naturalna, iż jeśli idzie o życie społeczne nie możemy się właściwie posługiwać pojęciem nieprawdy czy fałszu w ten sposób, w jaki odnosimy je do działań poszczególnych jednostek. Jeżeli człowiek prowadzący jakąś wielką zbiorową akcję — weźmy najjaśniejszy przykład — dowódca wojskowy, w czasie decydującej rozgrywki ukrywa starannie prawdziwą wiadomość o klęsce i ściga rozgłaszających prawdę — to postępowanie jego trudno oceniać jako zwykłe kłamstwo. Rozgłosiwszy bowiem prawdziwe fakty, naraziłby się na upadek ducha pozostałej części armii i klęskę nie do powetowania, podczas gdy ukrywając rzeczywisty bieg wydarzeń, zatrzymuje sobie w rękach możliwość jego poprawienia. W podobnym, tylko bardziej skomplikowanym położeniu, znajdował się pisarz taki jak Żeromski, w swoim rodzaju organizator świadomości zbiorowej całych grup społecznych.

Olbrzymi wpływ Żeromskiego polegał na niezrównanym taktycznym wyczuciu środowiska dla którego pisał i odpowiednim nagi-

naniu się do przenikliwie odczutyh jego potrzeb. Nie było tu wulgarne go schlebiana gustom publiczności, właściwego pewnemu bardzo pospolitemu gatunkowi autorów, choć naogół, przy bliższem rozpatrzeniu, śmiało można powiedzieć iż Żeromski i takimi środkami wcale nie gardził. Najważniejsze atoli jest owo wyczucie rzeczy zasadniczych, instykt taktyki społecznej powstający tylko na tle silnego poczucia klasowego i wyrażający się w subtelny m sposobie preparowania materiału myślowego i artystycznego ze stanowiska klasy, której służył. Na tem to polega doniosłość dzieła Żeromskiego dla burżuazyjnej inteligencji polskiej.

Jako typowy przykład klasowych tendencji Żeromskiego może służyć ostatnia jego powieść „Przedwiośnie“, która stała się punktem wyjścia dla serii artykułów Bronowicza*), wydanych niedawno w książce.

Pomijam tu pewne zasadnicze nieprawdopodobieństwa natury biograficzno-chronologicznej i psychologicznej w głównej postaci „Przedwiośnia“, Cezarym Baryce, choć i to może służyć jako ważny symptomat. Idzie o sam sposób przeprowadzenia zasadniczej myśli. Bronowicz w studjum swym bardzo ładnie wyjaśnia symbol zawarty w kaukazkiem pochodzeniu młodego Baryki i wędrowce reemigracyjnej ojca i syna. Ale jeżeli koło „Przedwiośnia“ zerwała się cała burza polemik, to chodziło tu nietylko o symbole.

Istnieje jeden konkretny fakt społeczny znany również krytykom burżuazyjnym — szybkie radykalizowanie się części młodzieży inteligenckiej. Cezary Baryka bardzo prędko został poznany jako przedstawiciel tej właśnie zrewolucjonizowanej młodzieży. Nie ulegało wątpliwości, że został przez autora „Przedwiośnia“ podniesiony bardzo wyraźny problemat społeczny. I tu napotykamy jedno z owych właściwych Żeromskiemu subtelnych zafałszowań materiału życiowego. Pomijając wszelkie symbole — na pierwszy plan wysuwa się owo kaukaskie wychowanie — istotna obcość młodego Baryki społeczeństwu polskiemu. A że ta część powieści, gdzie odbywa się starcie ideowe, nazwana została „Wiatr od Wschodu“, przeto zamiar autora jest zupełnie jasny. W ten sposób na cały ów przełom ideowy (a idzie tu przecież nietylko o indywidualnego Cezarego Barykę, ale o tych, których Cezary ma niby reprezentować) rzucone zostało odium obcości zasadniczej — nalo tu z zewnątrz. „Przedwiośnie“ jest świetnym dowodem działania ducha klasowego w utworze artystycznym. Samo taktyczne podniesienie problemu miało go obezwładnić — autor krytym sztychem zadaje cios wytaczanemu przez się zagadnieniu.

Oblicze klasowe „Przedwiośnia“ w zasadzie było więc bardzo jasne. W późniejszych artykułach, pisanych przez Żeromskiego w swojej obronie, widać szczerze zdumienie starego pisarza, iż część krytyki burżuazyjnej nie zrozumiała jego intencji. Ale tego niezrozumienia było kilka przyczyn.

W ostatnich czasach bardzo wiele przedsiębiorstw w celu uniknięcia pełnego wymiaru podatków prowadzi dwojaką księgowość. Księgi handlowe, prowadzone jawnie, służą do okazywania kontroli podatkowej, faktyczny zaś obrót firmy wykazywany jest w innych księgach, sekretnych, dla wyłącznego użytku przedsiębiorcy. Pisarze też niekiedy prowadzą (z innych co prawda pobudek) taką dwojaką rachunkowość i coś podobnego było z Żeromskim w czasie tworzenia „Przedwiośnia“. Tylko, że logika działania artystycznego bywa zdradliwa, — w tym wypadku rozbiła ona częściowo wyrachowania. Fałszywe cyfry i sumowania pomieszały się z prawdziwymi. Tu należy podkreślić właściwe Żeromskiemu liryczne akcentowa-

*) Artykuł niniejszy pisany był w marcu 1926 r.
<http://rcin.org.pl>

nie pewnych rzeczy silniejsze nieraz nad zamiar. Prawomyślność starego autora „Popiołów” została zakwestjonowana z innych jeszcze powodów.

W dobie podwójnego nacisku na myśl ze strony władz cenzury i policji oraz przestraszonego społeczeństwa burżuazyjnego, co znamienne charakteryzuje całe życie umysłowe Polski w ostatnich latach — wytworzyła się specyficzna próżnia duchowa domagająca się zapełnienia, głód na pewne problemy, który sprawia, iż przejawy same przez się niecałkowicie ujmujące dane zakazane zjawiska — lub ujmujące je w sposób przytłumiony i słaby — nabierają znaczenia rewolucyjnego. W przełomowych okresach historycznych niejednokrotnie notowane bywają dzieła w założeniu swem pozornie nawet małoznaczne, które jednak stały się ważnymi wypadkami dziejowymi, dając wyraz uboczny tendencjom rewolucyjnym, nie mogącym przejawić się wprost. Tak było ze słynnym „Weselem Figara” Beaumarchais’go. Coś podobnego zdarzyło się z „Przedwiośnią”. Pomogła tutaj wydawnie część krytyków burżuazyjnych.

Uważali oni, iż wszelka choćby najbardziej wroga, ale z pozorami rzeczowości prowadzona, dyskusja z komunizmem jest częściową propagandą przewrotu. Jedynymi według nich dopuszczalnymi argumentami są tutaj więzienia i sądy. W tej atmosferze agitacyjnej, właściwy sens „Przedwiośni”, przepadł, a Czarus Baryka przemówił nadspodziewanie głośno, ponad efektywną możność daną mu przez autora, a złe sumienie i strach burżuazji stworzyły ogromny stosunkowo rezonans.

Pisząc o książce Bronowicza, uważałem za niezbędne podkreślenie charakterystycznych momentów samego „Przedwiośni” i atmosfery, w której powstało dzisiejsze znaczenie tego dzieła. Autor „Tragedji Pomyłek” miał na myśli przeciwstawienie poglądom Żeromskiego — na stan rzeczy w Polsce współczesnej — poglądów z drugiej strony barykady. Sposób w jaki tego dokonał — przyjęcie jakiego doznała książka o „Przedwiośni” zwłaszcza w pewnych kołach młodzieży, przyznającej się do marksizmu — są to rzeczy, trzeba stwierdzić odrazu, przygnębiające i mogące doprowadzić do najbardziej ponurych wniosków o dzisiejszym poziomie ideologicznym ruchu robotniczego w Polsce.

Niezawodnie w samym założeniu książki Bronowicza tkwi pewna tendencja polityczna i to doprowadzona do krańcowych konsekwencji. Nie zaczepiając bynajmniej tego posunięcia politycznego, którego studjum omawiane jest jednym z przejawów ani wdając się w rozbiór owych konsekwencji, ograniczę się do poruszenia pewnych tez autora, które na książkę jego rzucają dostatecznie jasne światło.

Poszczególne twierdzenia Bronowicza dadzą się zgrubsza wydzielić w dwie grupy: Jedna, w której autor pisze wprost o Żeromskim i zagadnieniach bezpośrednio z jego utworami związanych, druga w której temat powyższy służy do „uwag na marginesie” (tytuł IV rozdziału).

Z pierwszej grupy najcharakterystyczniejsze i najbardziej interesujące są ustępy książki, w których autor porusza sprawy stosunkowo aktualne (rozdział III).

Przytaczam urywek wyjaśniający poglądy autora na dzieje wojen przecirewolucyjnych w Rosji, a w szczególności na epizod roku 1920.

„Wprawdzie, kto widział zbliżoną stan armji czerwonej w 1920 roku, wie, że nie mogło być mowy o technicznie wojskowej przewadze z jej strony*). Ale faktem jest, że te zastępy głodne, bose i obdarte odnosiły wal-

*) Była zato i to wcale poważna *niedowaga* liczebna w decydujących momentach z jej strony w porównaniu z armją polską, co przyznają zresztą polscy fachowcy wojskowi.

ne zwycięstwa nad nierównie lepiej wyekwipowanym i wyćwiczonym przeciwnikiem na Syberji i na Murmanie, na Kaukazie i na Krymie. Decydowała tam przewaga *moralna*, ta sama, dzięki której Taboryci bili najemne żołdactwo Cesarstwa, tkacze flamandzcy gromili najświetniejsze rycerstwo francuskie, dzięki której święcili tryumfu orężne purytanie Cromwella i zasłuchany w marsyljanek motłoch rewolucyjny z pod Valmy i we Włoszech. Jeśli ta kosa rewolucji — dość silna by odepchnąć wojska polskie ze swojej gleby z pod Kijowa — natknęła się na kamień w samej Polsce, to najniewątpliwiej dlatego, że tu jej się przeciwstawił czynnik *tej samej natury* — patriotyzm młodzieży polskiej" (podkreślenia autora).

Autor więc stwierdza stanowczo, że armja czerwona przegrała w 1920 roku dzięki przewadze moralnej ówczesnej armji polskiej t. j. czynnikowi *tej samej natury*, dzięki któremu Taboryci zwyciężyli żołdactwo Cesarstwa, tkacze flamandzcy — rycerstwo francuskie i t. d. — doświadczenie militarne Bronowicza jest, jak widzimy, dość obszerne. Przełożywszy ową nieokreśloną „przewagę moralną” na konkretniejszy obraz propagandy dwóch stanowisk, możemy rezultat wywodów Bronowicza wyrazić w następującym symbolu: armja czerwona przegrała dlatego, że ksiądz Skorupka (niezaprzeczony chyba przedstawiciel przytłaczającej większości owej patryotycznej młodzieży) zwyciężył moralnie „politruka” armji czerwonej i to zdecydowało o losie wojny. Nie chcę tu wchodzić w uzasadnienia twierdzeń Bronowicza *). — Sprawa jest za trudna, by ją omawiać w kilku zdaniach. Można

*) Pozostawiając tę, nienową zresztą, interpretację „cudu nad Wisłą” publicystom „radykalnym” jako wymarzony temat do bystrzych spostrzeżeń w ich stylu (nasuwać się analogje poprostu niesamowite) warto jednak zaznaczyć, że nikt kto trzeźwo obserwował wypadki i nastroje r. 1920 i nie miał oczu beznadziejnie zaćmionych przez wpływy literatury romantycznej lub przez feljetonistów patryotycznych gazet (którzy zresztą byli wtedy korespondentami z frontu) — nie podzieli egzaltowanych wywodów Bronowicza na ten temat. Nawet o nastrojach oficerstwa najprawowiciej endeckiego, nie mówiąc już o różnych, przenikniętych mniej lub więcej różowemi pasemkami, „rzodkiewkach” radykalnych — zwłaszcza na tle silnej niechęci do Ententy za niedostateczną pomoc — dałoby się wiele powiedzieć. Należy jednak zwrócić uwagę na bardzo charakterystyczne przemilczenia autora, np. faktu, że ta wojna wzięta jako całość (t. j. r. 1919 i 1920) nosiła charakter jednolicie ofensywny, przeciwrewolucyjny i skierowany na ziemię, będące domeną szlachty „kresowej”. Kilkotygodniowy pochód wojsk czerwonych na Warszawę, wynikł z załamania się frontu polskiego, wskutek tej zachłannej, a ślepo nieliczącej się z siłami akcji obejmowania olbrzymich terytoriów — i stanowił w gruncie rzeczy przez swoją szybkość prawie że niespodziankę nie tylko dla sztabu polskiego zresztą — ale i częściowo dla dowództwa armji czerwonej. Gdyby rządzące czynniki polskie chciały kiedykolwiek zawrzeć pokój, miałyby tą sposobność nieraz w 1919, 1920 r. — a choćby wtedy gdy ówczesna RSFSR zawierała ugody pokojowe z państwami bałtyckimi. Jak wiadomo niektóre z tych drobnoustrojów narodowych wogóle nie miały „niepodległego” życia nawet pozornego od czasów średniowiecza. Ciekawość jakimi cudami „przewagi moralnej” wyjaśniłby Bronowicz ocalenie ich burżuazyjnej „niepodległości” z natury rzeczy bardziej zagrożonej, niż polska. (Wystarczy wskazać, że jeśli Polska urządziła wyprawę na Kijów, to taka Estonia służyła jako baza wojenna do ataków na Leningrad). Jasne jest chyba, iż mamy tu do czynienia, by tak rzec, z hurtową produkcją historii — jeśli idzie o niepodległości państwowe — a zupełnie elementarna sumienność nakazywałaby szukać wspólnego wyjaśnienia dla wszystkich tych zjawisk.

Należałoby kiedyś raz na zawsze rozprawić się z takim z lekkiej ręki dobieraniem efektownych analogji historycznych: Taboryci, purytanie Cromwella, motłoch (II) rewolucyjny z pod Valmy i armja czerwona. Szczególnie u pisarzy stojących na gruncie

tylko zauważyć, że jeśli to jest właśnie „metoda społeczno-historyczna”, której ściśle i twarde stosowanie Bronowicz zaleca na str. 111 swej książki to o jedno możemy być spokojni: o rozpowszechnienie owej metody. „Naj-niewątpliwiej” wykładają ją we wszystkich szkołach dla grzecznych i nie-grzecznych dzieci polskich od wielu lat.

Z poglądami powyższymi wiąże się to, co o parę stronic dalej autor mówi o dramacie Żeromskiego „Ponad śnieg”. Bronowicz popełnia tu błąd, mówiąc, że jest to utwór bezpośrednio związany z wypadkami 1920 r., gdy w rzeczywistości dramat ten był napisany w 1919 r. i od samego początku 1920 r. grany w warszawskim teatrze „Reduta”. Autor pomieszał tu zdaje się „Ponad śnieg” z podobnym w tendencji dramatem Sieroszewskiego p. t. „Bolszewicy”, obrazującym rzeczywiście wypadki 1920 r. na podobnym tle dworu polskiego obszarnika.

Przypuszczenia autora na temat powstania dramatu „Ponad śnieg” są więc zasadniczo błędne — pomimo to przytoczyć je warto. Bronowicz pisze między innymi:

„Zdawaćby się mogło, że w danym razie uczucie i wyobraźnię (Żeromskiego) porwać powinien był przede wszystkim błysk młodzieńczego, dziecięcego niemal bohaterstwa na tle „snobizmu wojennego” i, łamiącej wszelkie snobizmy tchórzowskiej paniki. Albo też — piękny wątek dramatyczny — *rozdwojenie psychiczne młodego robotnika*, między dwoma wrogami sztandarami, z których każdy posiadał część jego duszy. Zamiast tego” i t. d. (podkreślenie moje).

Drugie zdanie powyższej cytaty przeczytajmy raz i drugi, a potem zastanówmy się uważnie. Surowy sędzia byłby w stanie przeciwko proletariatu polskiemu wysunąć cały szereg ciężkich oskarżeń. Można tu mówić o zacofaniu ideologicznym, braku uświadomienia, poddawaniu się wpływom inteligenckiej romantyki — i politycznemu kierunkowi P. P. S. czy N. D. — Możliwe też rzeczy owe wyjaśniać historycznymi warunkami bytowania klasy robotniczej w Polsce.

Ale poddawać myśl — choćby w formie projektu literackiego, jak to czyni Bronowicz — robotnikowi polskiemu, uświadomionemu klasowo (bo przecież tylko na gruncie uświadomienia może naprawdę powstać dramat) jakiegoś hamletowego konfliktu, na gruncie wyboru między „dwoma wrogami sztandarami”, w dniach gdy klasa robotnicza Europy przeżywała intensywny ferment rewolucyjny — to znaczy obracać się zupełnie w sferach przewrotnego sentymentalizmu. Wobec takich pomysłów błędną doprawdy perwersję, mistrza w malowaniu wszelkiego rodzaju sadyzmów moralnych, Żeromskiego.

Idźmy dalej. Mówiąc o „Turoniu”, Bronowicz analizuje między innymi zakończenie dramatu, polegające jak wiadomo na tem, że powstaniec Hubert Olbromski, ucieka przebrany z obozowiska Szeli dzięki pomocy jednego z chłopców. Autor — bardzo ładnie i słusznie zresztą — występuje przeciwko niedostateczności tego rozstrzygnięcia ze stanowiska społecznego i logiki rozwojowej dramatu. Ale zarazem Bronowicz podaje taki oto własny projekt zakończenia. Przytaczam go w całości:

takim, jak Bronowicz, podobne operowanie analogiami graniczy z lekkomyślnością. Jeśli idzie o współczesną rewolucję proletariacką, która ze względu na obszar w jakim się rozwija, cel i środki nie ma nic równego w dotychczasowej historii człowieka — to porównania z wypadkami z życia różnych narodów i narodków Europy — powinny być robione z największą ścisłością i ostrożnością.

„Bardziej zgodne z tragizmem sytuacji byłoby inne zakończenie: w duszy Huberta uratowanego z rąk chłopskich, rozegrać się mogła walka między ideją, której służył, a świeżym przeżyciem wojny klasowej, straszną śmiercią ojca i narzeczonej (której ocalenie jest w tym wypadku zbędne). W wyniku tej walki duchowej Hubert wraca w przebraniu do obozowiska chłopskiego, dostaje się do samego Szeli. Ma sposobność zemsty, ale przychodzi nie po zemstę. Daje się poznać. Nie chce być sędzią krwawego samosądu, który się dokonał. Pragnie poprzez tę rzekę krwi i głębszą od niej otchłań zadawnionej krzywdy przerzucić most między dolą chłopską, a ideją wolnej Polski.

Szela może (a nawet powinien) nic z tego nie zrozumieć i wydać „ciara” na śmierć. Byłoby to przecież rozwiązanie zgodne z duchem wielkiej tragedji i jej zasadniczym problematem”.

Powyższy, bardzo zresztą inteligentny, pomysł dowodzi, iż Bronowicz czytywał Hebbła nie bez pożytku dla siebie. Ale prawdziwe zakończenie „Turonia” świadczy o czem innem. Żeromski nie pisał dramatu klasowego, dla umiających inteligentnie marzyć, o „przeżyciach wojny klasowej” schöngestów, ani dla żądnych tego rodzaju podrażnień intelektualnych snobinetek. Obojętne czy słuszność mieli ci z krytyków burżuazyjnych, którzy upatrywali w „Turoni” proroczą aluzję do paktu lanckorońskiego. Natomiast faktem jest że Żeromski pisząc dramat w ten właśnie sposób opierał się na swem istotnem wyczuciu sytuacji burżuazji polskiej — na niezawodzącym go (przynajmniej w momentach najważniejszych rozstrzygnięć) instynkcie klasowym. Bronowicz dużo pisze o klasowości, ale instynktu tego nie posiada ani za grosz. Dlatego nie widzi rzeczy najprostszych i niewątpliwych.

Jeśli idzie o wojnę tak zwaną polsko-bolszewicką, to jej charakter klasowy w literaturze został udokumentowany aż nadto jasno dla każdego, kto umie czytać. Mówię o wspomnianych wyżej dramatach: Żeromskiego „Ponad śnieg” (1919 r.) i Sieroszewskiego „Bolszewicy” (1920 r.). Oba w gruncie tchną jednolitą ideologją obszarniczą — zamazaną i zwątpiałą u Żeromskiego; ostrą i zaczepną u Sieroszewskiego. Najważniejsze atoli jest samo postawienie sprawy: kto prowadzi walkę. I odpowiedź jest jasna bijąca w łeb: polski obszarnik z „kresów” ukraińskich czy z Kongresówki. A nie wadziłoby pamiętać o tem, że obaj ci pisarze to nie zdecydowana czarna reakcja, jak Weyssenhoff, ale kwiat wolnościowej inteligencji polskiej pierwszych lat XX wieku. To, co oni mówią jest chyba dość jasne i dość autorytatywne. Ale Bronowicz nie chce tu dostrzec brutalnej prawdy walki klasowej. Zato widzi dokładnie „odparcie bolszewików pierściami młodzieży od Lwowa, Płocka i Warszawy” (str. 55).

Na str. 21 Bronowicz określa stosunek autora „Przedwiośnia” do komunizmu i stwierdza: „Jest on bezwzględny i nieprzejednany wrogi”. Ale gdyby tak odpowiedź powyższą przenieść na cały stosunek Żeromskiego do proletariatu — autor „Tragedji Pomyłek” byłby z pewnością nieprzyjemnie zaskoczony. A nie jest to komplikacja bardzo znów zawiła. Nie trzeba nadzwyczajnej biegłości psychologicznej by uznać, że najczujniejsze współczucie dla nieszczęść indywiduum, filantropja choćby w najszerzej — „narodowej” skali, da się pogodzić z duchem klasowym i z morzem nienawiści klasowej w duszy filantropa. Lecz Bronowicz widzi w Żeromskim: „wielkie serce w cierniowym gąszczu pomyłek”. Takiemu sercu można naturalnie i warto pewne rzeczy tłómaczyć — pomyłki prostować.

A jednak czasby już może — choćby przynajmniej w krytyce operującej kryterjami klasowymi — zostawić w spokoju te wielkie serca litera-

tów kochające cały naród i cierpiące za miliony, zwłaszcza, że serca te mają w sobie komory oddane do dyspozycji bardzo określonych interesów. Ale Bronowicz jest zanadto gentelmanem by takie rzeczy dostrzegać. Dba on o „fair play”. Urękawiczniony pietyzm z jakim obnosi w swej książce owo wielkie serce Żeromskiego jest bardzo ładny — może wzruszający, ale zamyka mu do reszty możliwość wejrzenia w istotne ciaśniejsze zakamarki wielkiego serca.

Bronowicz przy pewnej okazji wyjaśnia zasadnicze nieporozumienia Żeromskiego i powiada w formie odkrycia: „Błąd leży, jak na dłoni: negowanie walki klas jako czynnika rozwoju”.

Porozumiejmy się: negowanie walki klas jest dziś bardzo popularną postawą bojową *przeciwko klasie robotniczej*. Nie dostrzeże tego ten, kto nie chce. Jak nieostrożne i mało uzasadnione są wnioski faktyczne autora studjum o „pomyłkach” Żeromskiego świadczy następująca gaffa.

Po zanalizowaniu twórczości Żeromskiego, Bronowicz stwierdza, że gdy teraz „powrócimy do „Przedwiośnia” jesteśmy odrazu jak w domu i z niezmaconym humorem patrzeć możemy na „harce krytyków dokoła tej powieści”. A pod adresem jednego z tych krytyków pisze: „Szczycem takiej pocziwej patryotycznej bufonerji jest pretensja p. Dębickiego (z Kur. Warsz.), żądającego od autora „Przedwiośnia” ni mniej ni więcej, tylko napisania „drugiej części tej powieści, „Wiosny” prawdziwej, budzącej wiarę, nadzieję i otuchę...” Ale czy humor autora jest w tym wypadku uzasadniony? Przypomnijmy sobie, iż Żeromski żądania Dębickiego spełnił, że śmierć zastała go właśnie w czasie pisania tej drugiej części powieści, żądanej przez krytyka z „Kurjera Warszawskiego”. Stało się to dlatego, iż Żeromskim i tutaj powodował ów duch klasowy i obowiązek dania burżuazji choćby illuzorycznej wiary, nadziei i otuchy... „Niezmacony humor” Bronowicza, jeśli idzie o rozumienie Żeromskiego był nieco lekkomyślny. A jeśli będziemy mówić o bufonerji, to chyba nie u p. Dębickiego ją znajdziemy.

Sądzę, iż przytoczone wyżej przykłady — a możnaby ich przytoczyć dużo więcej — charakteryzują dostatecznie metodę pracy Bronowicza. Przynajmniej jeśli idzie o pewne zupełnie określone klasowe cechy utworów Żeromskiego — metoda ta ogranicza się do zamykania oczu. Prostu to, co powinno być wyjaśnione i co z punktu widzenia klasowego jest właśnie najciekawsze, autor traktuje jako pomyłkę „wielkiego serca”. I nie można tego uważać za szereg przypadków. Jest w tem szaleństwie metoda. Interpretacja nadana wypadkom 1920 r. — tchnąca idealizmem i to zamaskowanym fałszowanym idealizmem, jakiego przykład może dać tylko pseudo-marksizm — świadczy o czemś istotniejszym, niż szereg potknięć możliwych do usprawiedliwienia przypadkowymi reminiscencjami nastrojów.

II

Nawet przy bardzo zewnętrznym zapoznaniu się z książką Bronowicza, uderza silnie oddziaływanie myśli Stanisława Brzozowskiego. (Na 127 stronach Brzozowski cytowany jest wprost lub pośrednio kilkanaście razy). Przytem Bronowicz posiłkuje się Brzozowskim nietylko jako najbystrzejszym z krytyków literackich piszących o Żeromskim. Mówiąc o analizie prądów umysłowych, panujących w ostatnim stuleciu w Polsce, autor stwierdza wyraźnie:

„Należałoby podjąć pracę tam, gdzie ją pozostawił Stanisław Brzozowski, uwzględniając doświadczenia ostatniego dziesięciolecia i stosując ściślej i twardziej, niż to czynił Brzozowski metodę społeczno-historyczną”. (str. 111).

Słowa powyższe można więc uważać za określenie zadań postawionych sobie przez Bronowicza w jego pracy. Pod niewyraźnym trochę terminem „metoda społeczno-historyczna” autor rozumie chyba materializm historyczny, który Brzozowski, mniejsza w tej chwili o to z jakim powodzeniem, stosował do badania tych właśnie prądów kulturalnych. Nie ulega wątpliwości, że podjąć czyjąś pracę i prowadzić ją dalej można tylko wtedy, jeśli w pracy tej, w jej założeniu tkwi określony cel — jest wytknięty dalszy kierunek, zgodny z tendencjami tego, kto dalej ową pracę myśli prowadzić. Jak więc wygląda kierunek ten u Brzozowskiego?

Brzozowski myślicielem społecznym we właściwym znaczeniu, a przynajmniej samodzielnym teoretykiem, nie był. Jego metody nie są nawet czysto publicystyczne: stanowił on raczej coś w rodzaju cywilnego kaznodziei inteligencji polskiej. Marksizm wzięty przeważnie z drugiej i trzeciej ręki, zwłaszcza od Sorela — służy mu, jako mistyczny poprostu środek dopingu moralnego, stosowanego do tejże inteligencji. Jeśli idzie o stosunek do marksizmu, to najcharakterystyczniejsze było tu „pogłębienie” i „rewidowanie” doktryny, z wyraźnymi tendencjami idealizmu etycznego.

Za wzorem Sorela Brzozowski stosuje metodę marksowską do materiału historycznego, przeżywanego pod kątem widzenia określonej tradycji. Te perypetie ideologiczne są bardzo ciekawe i niekiedy sięgają głęboko. Zresztą na zajmowanie się całokształtem stosunku Brzozowskiego do zasad materializmu dziejowego tu niema miejsca. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na jeden punkt kapitalny — stosunek Brzozowskiego do teorii walki klas. Najlepiej może wyraził się ów stosunek w jednym ze studjów zamieszczonych w „Głosach wśród nocy”. Brzozowski pisze tam między innymi, wyjaśniając stanowisko syndykalizmu: „Klasa robotnicza ma wszelki interes, aby każda grupa społeczna, o ile jest ona czynnikiem narodowym, wywiązała się ze swej roli jak najświadomiej i najpełniej”... Aby zaś usunąć pewne obawy, narzucające się przy takim pojmowaniu współczesnej rzeczywistości burżuazyjnej, Brzozowski dodaje następującą uwagę:

„Niewątpliwie przyrost charakteru w klasie rządzącej może zaostreżyć tu i owdzie warunki walki robotniczej: naogół jednak jest w interesie tej klasy, aby pozycje w tej walce określone były przez rzetelny stosunek sił”.

Takie postawienie sprawy jest zresztą wynikiem konsekwentnym pojmowania historii jako nieustannego starcia sił moralnych. Ale tu niespodzianie dochodzimy do ciekawego odkrycia: dla Bronowicza, jak to uwydatniłem wyżej, przebieg rosyjskich wojen rewolucyjnych, jest również przede wszystkim turniejem sił moralnych. Jeśli porównamy usilne podkreślanie przez Bronowicza znaczenia narodowego rewolucji rosyjskiej z innymi jego koncepcjami — staje się jasne owo uporczywe niedostrzeganie klasowej strony utworów Żeromskiego, czego przykłady podałem wyżej. Klasowość dla Bronowicza (podobnie jak dla Brzozowskiego) stanowi nie czynnik samoistny walki proletariatu, ale funkcję życia narodowego. Aluzji do takiego właśnie rozumienia czytelnik znajdzie na stronicach książki Bronowicza dosyć dużo.

Mimochodem zauważmy, że stanowisko Brzozowskiego w przytoczonych wyżej cytatach ma swoje ukryte ostrze antyproletarjackie. Klasa uciśniona, pozostająca na niskim poziomie życia i przynajmniej w olbrzymiej większości odsunięta faktycznie w państwach burżuazyjnych od funkcji społecznych i rządowych, może się dostać do władzy tylko na skutek daleko posuniętego rozkładu wewnętrznego klas panujących. Naturalnie rozkład ten uwarunkowany jest przyczynami obiektywnymi — ogólnym rozpadem ekonomiki, upadkiem dobrobytu, przewlekłym, a nie dającym

możności wybrnięcia kryzysem i t. p. Ale można też przewidywać — i tak się dzieje naprawdę — że klasa panująca nie zatraci tego, co Brzozowski nazywa charakterem — i władzy z rąk nie puszcza, lecz wyzyskuje wszystkie dostępne jej środki i rutynę panowania, aby się przy niem utrzymać. Wtedy to występuje na scenę historii stołypinjada albo mussolinjada dostarczająca możliwości gołego panowania, nieokrytego żadną legalnością, dopóki żywiołowy krach nie usunie podstawy władzy z pod nóg. Dlatego mimo reweransu w stronę klasy robotniczej („równa gra, panowie”) stanowisko Brzozowskiego jest wyrazem skrytej wrogości. W walce klasowej nie zwycięża się nigdy w równej grze.

Tego klasowego charakteru poglądów autora „Idei”, Bronowicz również widzieć nie chce i przyjmuje, z dobrodziejstwem inwentarza, wszystkie społeczno-historyczne konstrukcje Brzozowskiego. Najwydatniejszą z nich jest pogląd na rolę inteligencji szlacheckiej pierwszej połowy XIX wieku — a szczególnie tej elity emigracyjnej, która tworzyła w okresie lat 1831—50 literaturę i politykę. Brzozowski jak wiadomo, odrywa ową elitę od właściwego gruntu szlacheckiego — i Bronowicz z zapałem podchwytuje tę o tyle efektowną, o ile mało uzasadnioną koncepcję.

Oddzielanie elity intelektualnej szlacheckiej od gruntu szlacheckiego i uważanie jej za element zasadniczo zdeklasowany jest historycznie i ekonomicznie rzeczą wprost absurdalną. Owe kilka tysięcy ludzi: literaci, politycy, uczeni, oficerowie, cała ta masa, nigdy nie była i nie mogła być w takim stopniu oderwana od swej bazy ekonomicznej — w przeciwnym razie działalność jej byłaby się rozwiała bez pozostawienia śladu. Że ów element przodujący nie reprezentował średniego poziomu szlachetczyzny, że politycznie był daleki od niej naogół, dyplomatyzował z rewolucją, radykalizował, a nawet rewolucjonizował, na zachodzie Europy zwłaszcza, nie ulega zaprzeczeniu. Ale jako masa nigdy swego instynktu klasowego nie zatracił. „Próżnia międzyklasowa”, do której Bronowicz hurtem pakuje wszystkie wysiłki radykalnej inteligencji jest ładnem ale beztreściwym pojęciem. Zwłaszcza, iż Bronowicz sam stwierdza przecież brak sformowanego dojrzałego życia klasowego w Polsce poza szlachtą. Historia takich próżni międzyklasowych nie zna i ci szlachetni idealisci, pozornie oderwani od życia ogółu szlacheckiego spełniali tylko, przynajmniej w bardzo ciężkich warunkach, rolę awangardy klasowej — szlachty polskiej naturalnie. Szlachta ta dyskutowała ich powodzenia i ogół szlachty płacił za ich pomyłki. Gdyby Bronowicz nie pozwolił się zahypnotyzować efektywnym teoryjom Brzozowskiego, lecz trzymał się mocno marksizmu, nigdyby takich pojęć — nieporozumień nie wprowadzał.

Koncepcja powyższa była zresztą Brzozowskiemu niezbędna, gdyż jego inteligencki syndykalizm potrzebował preparowanej w ten sposób międzyklasowej genealogii współczesnej inteligencji polskiej. Dlaczego Bronowicz idzie jego śladem i puszcza się na takie podejrzane improwizacje? Pytanie to ma zresztą znaczenie czysto retoryczne — Bronowicz bowiem prowadzi tu zasadniczą linię swoich wywodów maskując ich treść antymarksofską, częstym powtarzaniem słów „klasa”, „klasowość”, „klasowy” i t. d. Istotny błąd polega tu na fikcyjnym podziale przedstawicieli dążeń jednej klasy na dwa obozy społeczne, przyczem brak istotnych różnic społeczno-gospodarczych łąta się, zastępuje się podziałem „moralnym” na dobrych i złych, filantropów i okrutników, idealistów i pasibrzuchów, Olbromskich i Chwalibógów — mówiąc za autorem.

Ten wulgarny podział stosowany był zresztą oddawna w Polsce przez pseudoradykałów różnego autoramentu. Trzeba zresztą przyznać, iż powtarzając za panią matką pacierz, Bronowicz usiłuje jednak korygować le-

gendę, co mu się słabo udaje dlatego, że sam pozostaje pod jej przemożnym wpływem. Autor nasz, stwierdziwszy brak sformowanego, dojrzałego życia klasowego w Polsce poza szlachtą, pospiesza wspaniałomyślnie zdjąć z niej winę. „Z moralizatorskim stosunkiem do historii trzeba raz skończyć”. Słusznie — chociaż stwierdzanie tego trąci komunalem. Ale w pracy swojej autor zupełnie się poddał specyficznej, rodzinnej manierze w jakiej pisze się w Polsce historię kraju.

W wyniku osobliwego przebiegu życia historycznego kraju, zgniecenia niemal zupełnego politycznego i ekonomicznego innych klas przez szlachtę, mamy w Polsce do czynienia z jedną tylko klasą, która sama tworzy lub podporządkowuje sobie kulturę i sztukę, sama jedna ma monopol na świadomą politykę. Niewątpliwie między różnymi odłami szlachty zachodziły pewne różnice polityczne (np. między demokratami lub czartorysczykami), mniej więcej na gruncie naturalnego konfliktu między wielkimi latyfundjarzuszami, a średnimi właścicielami czy dzierżawcami folwarków. Ale to nie były różnice, które mogły prowadzić do walki. Cel był wspólny a różnicowanie polityczne odbywało się częstokroć raczej na tle różnic temperamentów.*) Niema tu nawet właściwie wychodźstwa klasowego z klasy szlacheckiej — bo niema poprostu gdzie wychodzić. Ważne jest to, że jako aktywna, polityczna, świadoma siła istnieje tylko jedna klasa.

To, że w obrębie tej klasy znajdują się żywioły czynniejsze i mniej czynne jak powiada Bronowicz „osamotnieni bohaterowie” oraz „tchórze, pasibrzuchy i wydrwigrosze”, to są bardzo drugorzędne rozróżnienia natury raczej rodzinnej, które mogą interesować heraldyka ale nie pisarza społecznego. Bronowicz dostrzega wybornie pewne przesłanki, ale od wyprowadzenia należytych wniosków chroni się układaniem bajeczek o próżni międzyklasowej. Dlaczego? Aby ocalić tradycję narodowej „podniebnej reduty”. Idzie tu śladami nietylko już Brzozowskiego, ile Feldmana, generalnego pachciarza szlacheckiego romantyzmu, a również wroga pozytywizmu (nie myślę bynajmniej bronić warszawskiego pozytywizmu), ale doprawdy to padanie plackiem — z rzekomymi zastrzeżeniami — przed owym nieco podejrzanym a już z pewnością mocno prowincjonalnym, „Olimpem romantyzmu” polskiego*) i nienawistne kopanie wszelkiej przeciwstawiającej mu się ideologii staje się niemądre, a w końcu nudne).

A na tych patriotycznych, kochających lud, przodowych szlachciców również możnaby spojrzeć z innego cokolwiek punktu widzenia. W analo-

*) Charakterystyczne jest występowanie polityki rodzinnej w dziejach np. powstań. Jeden z Radziwiłłów był w roku 1831 naczelnym dowódcą wojsk polskich, a inny adiutantem Paskiewicza podczas zdobywania Warszawy. To samo w okresie 1862—63 r. w rodzinie jednego z dzisiejszych wybitnych mężów stanu, co nawet podniosła wroga mu prasa. To nie są rzeczy przypadkowe. Rzecz jasna, iż mamy tu do czynienia ze swojego rodzaju asekuracją rodzinną na dwa fronty i nie trzeba myśleć, że są to wyjątkowe wypadki. Wyjaśnia to między innymi zadziwiająca trwałość szlachty. Kolosalne represje polityczne rządu carskiego w pewnej mierze okazywały się fikcyjnymi, właśnie dzięki tej polityce rodzinnej.

*) „Genjusz tych, co zdołali nad pustkowiem życia stworzyć podniebną redutę, gdzie wybrańcy mogli pełną oddychać piersią, wytrzymuje porównanie z dziełem (z podobnych warunków zrodzonym) myślicieli aleksandryjskich i pierwotnego chrześcijaństwa. Stać będzie ta piramida ducha nad narodzeniem i śmiercią wielu w Polsce pokoleń, jak kamienne wały starożytnego Egiptu” (str. 114). Już to szerokiego rozmachu i panegirycznego frazesu nigdy w Polsce nie zabraknie.

gicznych stosunkach rosyjskich charakterystyczne światło rzuca na te rzeczy wypadek z dekabrystą Jakuszkinem. Jakuszkin po powrocie z podróży na Zachód, przejęty ideami liberalnymi, postanowił przywrócić wolność osobistą swoim poddanym. Po odczytaniu zebranym chłopom odpowiedniego aktu, Jakuszkin spodziewał się jakichś nadzwyczajnych objawów uciechy i wdzięczności. Nic podobnego. Chłopi, przygnębieni widocznie nowiną, stoją milcząc, ponuro przez dłuższy czas. Wreszcie jeden z nich wysunął się naprzód i zapytał: „A co będzie z ziemią”. Cóż się okazuje. Chłopi mieli specyficzną teorię prawną, wedle której ziemia cała należała do nich, a tylko oni osobiście byli własnością pana. W niespodziewanym nadaniu im wolności skłonni byli widzieć zakusy wywłaszczeniowe. Teoria ta człowiekowi o liberalnych poglądach musiała wydać się czemś potwornie poniżającym, niewolniczym, ale niemniej wpływała ona ściśle z interesów gospodarczych chłopów w ustroju pańszczyźnianym. Odwrotną interpretację w swoim interesie (ziemia cała po uwolnieniu chłopów z poddaństwa należała do dziedzica) wysuwała szlachta. O zastosowaniu tej zasady w czasach Księstwa Warszawskiego, pisze Bronowicz.

Bezsprzecznie pewna część szlachty (zarówno w Polsce jak i w Rosji) zwalczała przeżyty już gospodarczo feudalizm pańszczyźniany. Byli to najrozsunniejsi i najlepsi przedstawiciele swej klasy — ale zarazem przedstawiciele *dalej patrzącej polityki klasowej*. Wierzyli oni nieobłudnie, iż mają na celu idealne dobro całej ludzkości. W danym przytoczonym przemnie przykładzie Jakuszkińa trudno pomawiać o obłudę. Był człowiekiem odważnym i bezinteresownym — udział w spisku dekabrystów przypłacił 30 latami Syberji. Ale tacy właśnie ludzie szeroko, swobodnie na swój czas myślący, umiejący odrzucić doraźny osobisty interes — są zawsze czołowymi przedstawicielami swej klasy. A już bezwzględnie są lepszymi obrońcami jej jutra, niż zacietrzewieni w wyszysku okrutnicy i tyrani. Gdyby burżuazja i obszarnictwo dysponowali tylko Chwalibogami i Połanieckimi — położenie ich byłoby znacznie gorsze. Ratuja ich najczęściej Czarowice i Olbromscy. I to jest robota w ich guście zalepiać zupełnie jasne tendencje klasowe „ideją ojczyzny”, garnirowaną w dodatku przez Bronowiczów „klasowemi” kwiatkami.

Bronowicz nie posiada się z cnotliwego oburzenia stwierdzając, że „dzisiejsi hreczkosieje i właściciele stajni wyścigowych” „nie mają prawa przystrajać się w glorię bojowników walk niepodległościowych”. Otóż właśnie, że mają zupełne prawo. Prawo choćby z racji przynależności do wspólnego zbiorowiska klasy. I tak jest zawsze. Robotnicy również mają wśród siebie elementy produkujące, energiczne, dzielne oraz — elementy zacofane, tchórzliwe, ospałe, przeszkadzające wszelkim akcjom masowym. I u robotników najczęściej do walki występuje awangarda, pociągając za sobą nieraz z wielką trudnością żywioły ospałe. Ale jeżeli w wyniku tych walk poprawia się sytuacja robotników czy to w całym kraju czy też danym ośrodku lub gałęzi przemysłu — korzyść stąd odnoszą wszyscy robotnicy — zarówno żywioły przodujące jak i zacofane, bierne, — ba, nawet ci, którzy może łamali akcję strajkową. Ba, nawet bardzo często, przy połowicznym zwycięstwie jak to bywa np. gdy udana akcja ekonomiczna wywołuje falę represji politycznych, ci przodownicy opłacają zwycięstwo śmiercią, ranami, więzieniem, chwilową porażką organizacji, które prowadziły walkę, a najlepiej stosunkowo wychodzą ci, którzy nie wysuwali się naprzód. Ale tu nie idzie przecież o abstrakcyjną sprawiedliwość. Gdy w grę wchodzi kolektyw klasa, względy indywidualne stają się drugorzędne — kolektyw ma swoje prawa działania, które decydują.

Bronowicz tych zupełnie elementarnych rzeczy nie odczuwa. Na każdym kroku natomiast wysuwa fikcję ojczyzny panującej nad interesami klasowymi.^{*)} Do tego pomaga mu cały szereg perfidnych wprost wywodów i poddawanie się najdzikszym suggestjom (rok 1920). Trudno rozpatrzeć szczegółowo to wszystkie świadome i nieświadome fałsze, przecenienia, niedociągnięcia. Warto jednak odnotować najcharakterystyczniejsze ustępy o rewolucji rosyjskiej — konsekwentnie przylegające do tego co autor opowiada o Polsce.

A więc autor z lubością podkreśla kapitalistyczny — poza upaństwowieniem wielkiego przemysłu — charakter gospodarki sowieckiej.

„Pozatem cały mechanizm społeczeństwa kapitalistycznego doznał zmian stosunkowo nieznacznych i funkcjonuje naogół w ten sam sposób, co w reszcie świata. Ramy ustawodawcze ekonomiki sowieckiej (kodeks cywilny, ochrona pracy, opieka społeczna i t. d.) pomimo licznych inowacji, nie stoją zasadniczo w sprzeczności z kodeksami innych krajów” (str. 83).

Z „analizy” swojej autor, starannie wyczyszcza pierwiastki społeczne rewolucji rosyjskiej.

„...stawiam tezę, że rewolucja rosyjska, pomimo swych haseł kosmopolitycznych jest, przynajmniej w fazie obecnej, przedewszystkiem rewolucją narodową przeciwko nowożytnemu feodalizmowi finansowemu. *Nie jest to rewolucja społeczna*, przewidziana przez Marksa, jako następstwo szczytowego uprzemysłowienia i koncentracji kapitału, lecz bunt krajów eksploatowanych” i t. d. (str. 86). (Podkreślenie moje).

Ogólną tendencją jest aby jaknajszczelniej pokryć komunistycznego tygrysa skórą narodowego barana. W zapale ani się spostrzeża, jak reszta ornamentacyjnej klasowości ułatwia się z jego wywodów.

Oto określenie partii komunistycznej w Rosji: „Najbliżej istoty rzeczy będzie, gdy powiemy, że jest to zakon świecki o surowej regule i żelaznej dyscyplinie”. Sądy podobne bardzo często zdarza się spotkać u dyskredytujących komunizm publicystów. Jeżeli mówi to człowiek cokolwiek otarty o marksizm (a takich między współczesnymi publicystami nawet burżuazyjnymi jest sporo) to cel jest jasny — oskarżenie komunistów o sprzeczność między materialistycznym programem, a sekciarską jakoby treścią istotną. Ale Bronowicz robi to naiwnie, jak pensjonarka, która w najlepszej wierze powtarza zasłyszany gdzieś tłusty dwuznacznik, nie podejrzewając jego istotnego znaczenia. Pomimo wszystko nie wiadomo czy śmiać się, czy wzruszać gdy autor starannie podnosi każde idealistyczne łajno, rzucone na ustrój sowiecki, i — lepi z tego... apoteozę.

Rzecz naturalna, iż po takim przygotowaniu gruntu analiza współczesnej rzeczywistości w Polsce jest niemiennie osobiwa. Pomimo zastrzeżeń

^{*)} Pojęcie ojczyzny zawsze może się stać narzędziem klasy dzierżącej władzę. Świetnym tego przykładem jest kierunek rosyjskich „smienowiechowców”, sformułowany w r. 1921, lecz w praktyce istniejący daleko wcześniej. Suggestja słowa „ojczyzna”, pojęta zwłaszcza wśród elementów pośrednich, wahających się, czasem wprost neutralnych w walce klasowej, pozwala im skupić się koło każdego rządu trzymającego władzę w rękach — zarówno burżuazyjnego jak i — tego dowodzi przykład „smienowiechowców” — proletariackiego. Ale najważniejszym bodaj zadaniem jest wyrwanie poszczególnych jednostek z obozu przeciwnego. W wojnie domowej 1918—21 najwybitniejsze autorytety wojskowe armii carskiej walczyły z białą gwardją właśnie w imię ojczyzny. A ileż mamy przykładów wprost przeciwnych, gdy burżuazja rozrywa jednolitość proletariatu hasłem ojczyzny. Trzeba dużo ostrożności w używaniu takich gutaperkowych pojęć nadających się do każdej interpretacji. Do takich pojęć należy też oślawiona „niepodległość”.

natury raczej formalnej Bronowicz ze swojego punktu widzenia affirmuje i romantyzm i szlachecki radykalizm XIX wieku.

„Daleki jestem od pomniejszania jej zasług. Radykalna inteligencja szlachecka dokonała w dziedzinie myśli rzeczy, w danych okolicznościach istotnie niezwykłych, w dziedzinie czynu — wręcz wielkich i bohaterskich” (str. 97). „Ukazanie we właściwym świetle pochodzenia i funkcji dziejowej romantyzmu polskiego nie pomniejsza go, lecz wyolbrzymia” (str. 114).

Przypuśćmy — ale kto te piękne rzeczy dyskutował? Ludzie ci stworzyli przecież duchowo dzisiejszą Polskę. Romantyzm był wielki, genialny; szlachta radykalna, bohaterska, wspaniałomyślna, oświecona i... międzyklasowa. A co dzisiaj: tępienie ruchu robotniczego, bezmyślne prześladowania religijne (ot choćby niedawno istna dragonada w Jastkowicach) narodowościowe i t. d. i t. d. Jak się to stało? Bronowicz może odpowiedzieć, że wszystkie te piękne wysiłki romantyzmu, zapadły się w jego próżnię międzyklasową, niby w wielki kanał odchodowy — bez rezultatu. Ale z tą próżnią jak powiedziałem wyżej zgodzić się trudno.

Jest w polskim języku słowo „tromtadracja”, używane też jako określenie pewnego sposobu działania intelektualnego. — Kiedy pozycja zwłaszcza wskutek silnego załgania staje się niemożliwa, zaczyna się nadrabianie krzykliwym frazesem. Zresztą Brzozowski był w dziedzinie tromtadracji mistrzem, i poniższy ustęp jest niby z rzeczy jego wyjęty.

„W ten sposób z poręki możnych przyjaciół... w rozkosznym poczuciu nieodpowiedzialności za własną przeszłość, rozsiadł się pan Stach Połaniecki w fotelu ministerjalnym, a pan Podfilipski ujął w dystygnowane dłonie losy ojczyzny na forum międzynarodowym. Pan Zagłoba został senatorem i rad opowiada, jak to on fortelami ojczyznę z opresji wybawił. Dokoła nich rój Rzędzianów...”

Mamy więc nowe wyjaśnienie. Tamci: romantyczna i radykalna szlachta uplanowali sobie Polskę jaknajwspanialej i dążyli do niej w krwi i pocie. Ale cóż się stało? W odrodzonej ojczyźnie pierwsze miejsca zajęli i popsuli ich szlachetną pracę aferzyści w rodzaju Połanieckiego i niebieskie ptaki a la Zagłoba — oraz towarzyszący im Rzędzianowie. Trudno o coś bardziej naiwnego, nawet jako symbol. Można by sobie wprost wyobrazić, że skoro się wygna aferzystów i niebieskich ptaków, a miejsca ich zajmą figury z pierwszej połowy XIX w. odrazu wszystko się zmieni i nastanie raj romantyczny.

Należałoby chyba radykałom z „Głosu Prawdy” pozostawić biadania, że niema tamtych szlachetnych i szlacheckich radykałów. Byli i są — a widzimy tylko normalną realizację utopionego ideału „międzyklasowości” romantycznej. Umiejmy go poznać w jego czystej klasowej postaci. Jeżeli byłoby pracą wątpliwą wiązanie idei Mickiewicza z dragonadą jastkowicką, lub też myśli Żeromskiego czy Wyspiańskiego z prześladowaniami mniejszości — to jednak myślę, iż miejsce dla Połanieckiego dałoby się znaleźć w świecie Mickiewicza — a i być może poszukawszy dłużej — odnajdziemy Zagłobę w Żeromskim.

Bezsprzecznie jako studjum literackie „Tragedja pomyłek” jest robotą bardzo ładną, choć dowolnie traktowaną — posiada wiele myśli bardzo inteligentnych. Niezawodnie owa marzycielska motylkowatość teoretyczna, feljetonowa łatwość syntezy, posiada dla czytelnika pewien zniewalający wdzięk. Lecz operując pozornie kategoriami klasowymi — autor nie chce zrezygnować za nic z owych „wzlotów ducha” (i frazesu) będących

*) Przypominam, że artykuł niniejszy pisany był w marcu 1926 roku.

specjalnością romantyków, stwarzając przykrą i dysonansową mieszaninę sprzecznych metod myślenia.

A przecież jako pisarz i jako światopogląd Żeromski przedstawia ze stanowiska marksowskiego materiał wyjątkowo bogaty i w zasadniczych liniach bardzo wyraźny. Ale Bronowicz przechodzi do porządku nad brutalnymi przejawami walki klasowej ze strony omawianego pisarza. (Myślę, iż mało który z pośród wybitnych pisarzy europejskich walczył z prądami rewolucyjnymi tak brutalnie i ostro jak Żeromski). Zamiast jasnego, niedwuznacznego postawienia sprawy na właściwym gruncie, Bronowicz woli, nadrabiając frazesem komponować — zbliżka wcale znów nie tak tragicznie wyglądające — tragedje starych Chrystusów literatury narodowej, których n. b. nikomu nie chciało się dręczyć i zabijać. Przeżyli oni lata w spokoju i czci ogólnej — a opozycja przeciw nim w najgorszym razie wyrażała się mniej lub więcej grubym łajaniem.

Romantyczne rozdarcia i fermenty, łzy i bolesne podrażnienia wszechludzkiego sentymentu — wszechludzki idealizm i wrażliwość współczucia — toż to stałe rekwizyty „duchowe” teatru dziejów pokrywające z reguły każdą podobną do tej co zaszła w Polsce w ostatnich latach robotę klasową. I robota ta jest solidniejsza wewnątrz, niżby się wydawało, sądząc z powierzchniowych i sporadycznych nieporozumień jej twórców. Przyznanie takie nie jest pesymizmem, ale jasnym zdawaniem sobie sprawy z rzeczywistych przebiegów życia społecznego w Polsce. Ci, którzy po drugiej stronie barykady usiłują tragizować owe poszczególne rozdarcia i sentymentalizmy, mimowoli stają się aktorami znacznie niebezpieczniejszej *komedji pomyłek*, pokrywając główną pseudo - tragiczną mistyfikację.

Dodatnią stroną pracy Bronowicza może być wydobywanie na jaw pewnych zależałych wpływów myślowych i, dzięki niezaprzeczonemu talentowi autora, wyprowadzenie ich na względnie jasne światło konkretnego systemu. I w tem obnażeniu zasadniczych nieporozumień ideologicznych — może być duży choć negatywny pożytek tej książki.

Andrzej Stawar.



Roman Rybarski. — Naród, Jednostka i klasa. — Nakł. Geb. i Wolffa. — 1926, str. 276.

Znany publicysta endecki, p. Roman Rybarski, wydał grubą książkę. Pomimo dość krzykliwe wysuwanych na wstępie pretensji do naukowości, książka ta jest właściwie endecką broszurą agitacyjną.

P. Rybarski bardzo mocno nie lubi tego, co nazywa ideami wieku XVIII-go. Do tych idei zalicza on racjonalizm, liberalizm i indywidualizm. W życiu praktycznym zgubny wpływ tych idei ujawnia się przez demokrację, przyznający równe prawa wszystkim obywatelom, przez wysuwanie na czoło nauki zamiast wiary, przez łatwą rozerwalność małżeństwa — i inne tym podobne okropności.

Na szczęście jednak dla świata już to wszystko ma się ku końcowi. Rozdział pierwszy dzieła p. Rybarskiego zatytułowany jest: „Kryzys idei XVIII-go wieku”.

„Metafizyka odzyskała stracone pozycję — uspokaja nas p. Rybarski. — Był czas, kiedy uważano, że nauka, w zupełności zastąpi pierwiastki religijne. Dzisiaj poważni badacze z zakresu nauk ścisłych nie zapędzają się w kierunku tępienia wierzeń religijnych” (str. 15). — „Dzisiaj różne żywioły radykalne, nawet socjalistyczne, podobnie jak niegdyś Comte, zaczynają poszukiwać religii. Ruch ten jest ogromnie charakterystyczny dla niemieckiego socjalizmu, gdzie coraz więcej pisarzy poświęca swoją uwagę rewizji dotychczasowego, czysto negatywnego, stosunku do religii”. (str. 18). „Te sfery, które hołdowały ciasnemu materializmowi, dzisiaj mają skłonność do spirytyzmu”. (str. 37), — zapewnia p. Rybarski, mając prawdopodobnie na myśli „radykałów”, zwanych teraz także obozem sanacji moralnej.

P. Rybarski zastanawia się między innymi nad przyczynami dużej liczby samobójstw: „Społeczeństwa weszły w stan chronicznego kryzysu i niezadowolenia, niecierpliwości, i to jest właśnie główne źródło samobójstw”. — Oczywiście chronicznemu kryzysowi i niezadowoleniu winne są przede wszystkim te paskudne idee wieku XVIII-go, gdyby nie one, ludzie byłiby cierpliwsii, bo

spokojnie umieraliby z głodu i statystyka nie notowałaby codziennie długiej listy samobójstw. — I dalej powtarza p. Rybarski za Durkheimem: „Funkcje ekonomiczne w dzisiejszych społeczeństwach zajęły miejsce nieproporcjonalnie wielkie; zapchnęły one na dalszy plan funkcje wojskowe, administracyjne, religijne”. (str. 72).

Słowem pod wpływem idei XVIII-go wieku ludzie stali się wstrętными egoistami. Każdy myśli tylko o najeźdzeniu się i o swoich własnych interesach. Kłamią ci, którzy brnią nibyto praw jednostki. — „W rezultacie chodzi tu nie o prawa jednostki, lecz o interesy jednostek” (str. 49), woła z oburzeniem p. Rybarski i zdanie to każe drukować kursywą.

Na to wszystko zło, niema innej rady, tylko trzeba uidealnić społeczeństwo, przekonać je, aby mniej myślało o poziomych sprawach ekonomicznych.

„Niepodobna uregulować życia gospodarczego — stwierdza p. Rybarski — nie wprowadzając w nie wartości pozagospodarczych, innych motywów działania, niż bezpośredni interes gospodarczy jednostki, nie wprowadzając hamulców, które powstrzymują rozpętanie tego egoizmu. Jeżeli więc obniża się znaczenie wartości religijnych, moralnych, wogóle wartości duchowych, jeżeli ludzie są przede wszystkim przesiębiorcami, kapitalistami, robotnikami, a w małym stopniu czują się członkami narodu — to wówczas „prawa jednostki” w dziedzinie gospodarczej prowadzą do anarchii”. (str. 60).

Na szczęście Polska nie znajduje się w pozycji tak rozpaczliwej, ponieważ posiada endecję, która reprezentuje ten panujący ponad klasami idealny interes narodowy. Endecja bowiem zgółta nie jest partją, ani stronnictwem — to czysta emanacja ponadpartyjnego i ponadklasowego ideału narodowego. P. Rybarski wprowadzie nie umie określić, czym jest naród, ale też i nie uważa tego za potrzebne. To wartość irracjonalna — nie poddająca się żadnym określeniom. Tylko endecja w każdym poszczególnym momencie wie, gdzie jest duch narodu i dokąd on zmierzza — podobnie jak tylko kościół katolicki wie zawsze, jaka jest w dziejach wola Boża, choć woli tej zgółta określić niepodobna.

Jeśli zaś p. Rybarski raczy zniżyć się do poziomu określeń, to produkuje takie rzeczy:

„Naród jest wspólnością, która swoją indywidualność zaznacza w różnych dziedzinach, jest pierwiastkiem twórczym, który wszystkie sfery życia duchowego i materialnego chce ogarnąć, chce stworzyć z wszelkich dostępnych sobie materiałów wartości narodowe” (str. 248).

Słowem — naród jest pierwiastkiem twórczym, który stwarza wartości narodowe. Osiół jest pierwiastkiem twórczym, który stwarza wszędzie wartości osłe.

Ale to nas zatrzymywać nie może, ponieważ znajdujemy się w dziedzinie wartości irracjonalnych, nie poddających się rozumowemu określeniu.

Tak pojęty naród musi być gospodarzem w swoim państwie. Wprawdzie Rzeczpospolita posiada jakieś tam mniejszości narodowe, ale — „jeżeli chcemy z Polski zrobić państwo narodowości, jaką konkretną ideę możemy wskazać różnorodnym masom, do którychby one były przywiązane?” — zapytuje z rozbijającą zaiste szczerością p. Rybarski? (str. 244).

W państwie, rządzone absolutnie, „podstawą jego funkcjonowania jest np. przywiązanie do panującej dynastji. W innym podstawą jest religja, którą reprezentuje klasa rządzących kapłanów” (str. 144).

W Polsce taką podstawą może być tylko „wspólność narodowa”, której wcieleniem oczywiście jest endecja. — P. Rybarski jednak nie posuwa się tak daleko, aby mówić o „przywiązaniu” t. zw. mniejszości narodowych do endecji. Nie próbuje nawet podać sposobów rozbudzenia tego przywiązania, a wzoru dla ustroju Polski szuka w przedwojennym państwie węgierskim, które „jakkolwiek Węgrzy byli nawet w mniejszości pod względem etnicznym, było państwem narodowym” (str. 239).

Polak Węgier dwa bratanki i do korda i do szklanki.

Piszę te słowa niemal na byłej granicy węgierskiej i mam przed oczyma takie przykłady. Miasteczko Jasina za czasów narodowego państwa węgierskiego nazywało się oficjalnie Körösmező, a miasteczko Ruska Polana — Havasmező, — Niewdzięczna ludność słowiańska zgola nie ujawnia tęsknoty po tem „państwie narodowym”.

Pod koniec swego dzieła p. Rybarski podaje trzy następujące zasady, na których winno się oprzeć życie polityczne narodu:

1) Dobro narodu jest najwyższym dobrem społecznym, podstawą organizacji życia zbiorowego;

2) inne skupienia wewnątrz narodu są tylko częściami całości i należy je traktować jako części;

3) podstawowe idee narodowe muszą być przyjęte przez wszystkich, nikomu nie wolno ich kwestjonować, ani też podrywać istotnych warunków życia narodowego” (str. 265).

Tylko tyle!

Jest to próba stworzenia czegoś w rodzaju religji narodowej, której najwyższym kapłaństwem byłaby oczywiście endecja. Jak wszystkie religie stara się ona tak zagadać czytelnika, aby stał się człowiekiem wierzącym. W danym wypadku wiara jest nieskomplikowana. — „Społeczeństwo musi wierzyć, — twierdzi z całą szczerością p. Rybarski, — że ci, którzy prowadzą politykę, rządzą się tylko publicznym interesem” (str. 271).

Bynajmniej. — Nietylko nie nowe, lecz już mocno przestarzałe.

Przedewszystkiem przypomnieć należy, że pojęcie narodowego państwa burżuazyjnego jest dziecięciem tej samej rewolucji francuskiej, od której z taką nienawiścią odgranicza się p. Rybarski. Próby organizowania religijnego kultu narodu także stamtąd pochodzą. Racjonalizm i irracjonalizm, między którymi p. Rybarski widzi jakąś walkę zasadniczą — to zjawiska wtórne. — Kiedy burżuazja — w końcu XVIII-go wieku we Francji — była klasą, walczącą o miejsce naczelne, chciała cały ustrój społeczny przeświecić jasnym rozumowaniem i była racjonalistyczna (według terminologii p. Rybarskiego); dzisiaj zaś, kiedy zestarzała się przy władzy, pragnie przesłonić przed masami prawdę ustroju społecznego i dlatego wyznaje i propaguje irracjonalizm, wyrzeczenie się rozumowego poznania praw, rządzących ruchami społecznymi. Wtedy walczyła z religją, dziś chce wszystko ureligijnąć.

Próby stworzenia endeckiej religji dla narodu polskiego również są stare i przestarzałe. Endecja w czasach swej młodości — przed kilkudziesięciu laty — miała nawet z tego powodu pewne zatargi z Kościołem Katolickim. Zajmowali się tem tworzeniem różni ludzie — i tacy, jak gadający dotychczas, uczony narwaniec, prof. Wincenty Lutosławski,

i tacy, jak działacz galicyjski Stanisław Szczepanowski, i tacy jak bardzo utalentowany, zresztą poeta, Tadeusz Miciński i inni.

Ani ta religia jednak, ani nic, co zastępowałoby na miano filozofii narodowej (dużo swego czasu mówiono o takiej filozofii) zgoła nie powstało. — Endecja, jako partja, dawno zarzuciła te drogi i, doszedłszy bez trudu do zupełnego porozumienia z Kościołem Katolickim, w jego wytrawne ręce złożyła rząd dusz. — Ostatnio jeszcze p. Roman Dmowski wyznawał właśnie publicznie swe bardzo katolickie uczucia.

Czyżby więc „dzieło” p. Rybarskiego było zupełnym anachronizmem? Czyżby p. Rybarski wypracował tak gruby tom, zgoła nie mając poczucia tej klienteli, dla której jest on przeznaczony?

Tak źle jeszcze z endecją nie jest. — P. Rybarski ma klientelę, która przyjmie jego irracjonalne wywody za swoje własne.

Czyż nie mamy grupy, która właśnie szczyti się swym irracjonalizmem narodowym, która oparłszy się na imponderabiljach narodowych uważa się za kapłanów wieku, istego znicza narodowego i chwali się tem, że przez wnętrności swych przeciwników politycznych mogłaby przepuścić całe beczki oleju rycynowego?

Do nich właśnie postanowił „dziełem” swem przemówić p. Rybarski i w tym celu nabrał w siebie tonów z przed laty kilkadziesiąt, z czasów endeckiej młodości. Jak sprawny rybak zarzucił sieci i pewny jest, że ruchliwe karpięta obficie do matni mu należą. Włazłszy zaś tam, same uznają swe błędy dotychczasowe.

Tak buduje się kościół jedności narodowej.

Czy to rzeczy nowe? h.

W. M. Frycze. O społecznem znaczeniu sztuk pięknych. Z ros. przeł. R. O. B. Skład Główny „Książka” w Warszawie, 1926, str. 45.

Szkic Fryczego ma za zadanie w popularny sposób wyjaśnić czytelnikowi zależność stylów i prądów w sztuce od ustosunkowania się sił społecznych w danej epoce. Trudno powiedzieć by autor zadanie to wypełnił zadawalająco. Sama metoda pracy wydaje się dość powierzchowna. Co prawda,

szkic ten wyjęty został z większej całości, gdzie niezawodnie poglądy autora wyłożone są w sposób bardziej kompletny i wyjaśniają się wzajemnie, ale tem niemniej odnosi się wrażenie, że autor sam sobie nie wyjaśnił całego szeregu kwestji, zwłaszcza jeśli idzie o tendencje w sztuce ostatniej doby.

Aby nadać wywodom swym większą konkretność Frycze bierze kilka dzieł sztuki, które, jak uważa wyrażają tendencje miarodajne dla danego okresu. Bierze posąg grecki, katedrę średniowieczną, „Wenus” Giorgione’a i t. d., rozpatruje charakterystyczne cechy tych dzieł, odwołując się po wyjaśnienie do społeczeństwa, które je wydało. Daje to wykładowi charakter przypadkowości pewnej. Szkic zajmuje się wyłącznie sztuką oficjalną i tendencjami klas panujących w niej wyrażonemi, zaś nie wspomina o stosunku klas uciśnionych do sztuki oficjalnej, a kwestja to przecież bardzo ważna. Jeżeli się mówi o społecznem znaczeniu sztuki nie można tych rzeczy pomijać. Podobnie jak nieuwzględniony został opozycyjny nastrój mas ludowych w stosunku do sztuki oficjalnej klas panujących, — nie zostało też podniesione lub bardzo powierzchownie potraktowane, oddziaływanie przewrotów technicznych na sztuce.

Mówiąc o nowej sztuce i nowym stylu życia autor uważa, za najbliższy mu futuryzm i powiada: „Kwalifikując tu futurystyczny kierunek artystyczny, jako najdalej w swej istocie idący wyraz stylu współczesności, podkreślamy jednocześnie, iż ten styl artystyczny, jest właśnie stylem kapitalistycznego społeczeństwa i tylko chwilowo może być stylem sztuki proletariackiej”. Mówi to o pewnem pogmatwaniu poglądów autora. Pomijając już fakt, że futuryzm właściwy wywarł wpływ dość słaby (chyba że zaliczać do futuryzmu takie prądy jak kubizm i in.) to jakże styl kapitalistycznego społeczeństwa może być choćby „chwilowo” stylem sztuki proletariackiej i jak długo ma trwać taka chwilowość?

Po przeczytaniu szkicu czytelnik o ile będzie chciał skontrolować końcowe wnioski, znajdzie w gmatwaniu sprzecznych z sobą wyobrażeń. Można by podejrzewać, iż z autorem było coś podobnego w trakcie kończenia szkicu. A nieporozumień tych bynajmniej nie wyjaśnia końcowy dość niespodziewany ułkon w stronę konstruktywizmu. f.

Bruno Jasieński, *Słowo o Jakóbie Szeli*.
Paryż, 1926.

Szela spopularyzowany został w ostatnich czasach przez Żeromskiego „Turoń” miał w oczach wielu oznaki tej specjalnej aktualności którą Żeromski potrafił nadawać swym utworom. Problem Szeli był dla niego najgroźniejszym, najbezpośredniejszym niebezpieczeństwem, grożącym klasom posiadającym w Polsce. Jasieński daje gloryfikację Szeli jako klasowego bohatera chłopstwa polskiego, powiada:

„Gdyby nawet Szela historyczny nie istniał, to, w interesie o cały świat świadomości klasowej wzbogaconej kultury polskiej, należałoby go wymyślić”.

Sformułowanie jak widzimy nader mętne i naiwne. Co to znaczy ta wzbogacona o „cały świat świadomości klasowej” kultura polska. Takie świadome wzbogacanie „kultury polskiej” klasowością stanowi wysiłek dziwaczny i bezpłodny. Na usprawiedliwienie autora można rzec, iż koncepcję swą ma do zawdzięczenia publikacjom w rodzaju książki Bronowicza, która poszła w świat pod firmą nienagannego marksizmu i klasowości, nie mając nic wspólnego ani z jednym ani z drugim.

Można i należy oświeć Szelę inaczej niż oficjalna historia klas posiadających. Ale co innego osobistość Szeli, gdy go brać biograficznie a co innego mianować go „świadomym reprezentantem idei klasowej”, jak to robi autor.

Do tego Szeli daleko. Świadomość klasowa, to głębokie, daleko idące ujmowanie interesów klasy, — to nietylko chwilowe odruchy czy stały stan nienawiści w stosunku do wrogów klasowych. Szela nie był przywódcą chłopów na szerszą skalę, był pionkiem w rękę sił obcych klasowemu interesowi chłopstwa; skoro przestał być potrzebny, wycofano go prawie bez hałasu.

Inna rzecz, iż ani świadomości ani ufności w swe siły nie było wówczas u klasy do której Szela należał. Była natomiast tragedia wewnętrznej bezsilności, ślepoty, zagubienia chłopstwa polskiego. Gdyby autor dokonał głębszej analizy materiału historycznego niewądnym umocniłoby to i pogłębiło formalnie jego poemat. P. Jasieński wybrał koncepcję, która odskakiwała zbyt jaskrawo od oczywistości historycznej. To nieporozumienie zaciążyło na poemacie odjęło mu twardość za-

rysów i całkowitość. Stąd niezgoda, brak powiązania tez ideologicznych z właściwą treścią utworu. Część pierwsza nadaje „Słowu” charakter biograficzny, odskakuje od dwóch pozostałych — zakończenie się rozplywa właściwie.

Jest jednak w poemacie Jasieńskiego sporo miejsc mocnych. Połączenie motywów ludowych z manierą imaginistowską miejscami bywa bardzo efektowne, mimo nonszalanckiej „literackich” zestawień, które niekiedy odbierają wartość niektórym metafozom. Opis dworu opis nędzy chłopskiej na początku drugiej części poematu — ironizowany gorzko, ma wielką dobitność wyrazu. Dużą trafność psychologiczną wykazuje zwłaszcza traktowanie dworu ze stanowiska chłopskiego z naciskiem na brzydotę i potworność. To co się nienawidzi uważa się zwykle za potworne, brzydkie.

U dziedzica nos jak świeca

Koło nosa — krosta.

Nie pozwolił zgubić Szeli
tarnowski starosta.

Mamy tu zarazem niezadowolnienie i pomieszanie dziedzica, któremu starosta przeszkodził zadreżyć Szelę. Pewne szczegóły w fizjonomii (długi nos, krosta) uwydatniają się w zdenerwowaniu. W stylu chłopskim utrzymane jest spotkanie Szeli z Jezusem. W kontraście z poprzednim przedstawieniem dworu, jest duża wesołość rzezi, pewna krwawa dobroduszość opisów.

„Tańcowali z chłopem pan”

„Po zielonej komorze,
tańczył ogień we dworze, i t. d.

„Ta smarzowska gromada
ratownicy nielada”.

Ratują ogień aby nie zgasił.

Pomimo pewnego braku ambicji wykończenia, poddawania się wpływowi, co zresztą jest zjawiskiem powszechnym, poemat Jasieńskiego stanowi w dzisiejszej poezji polskiej przejaw bardzo wydatny.

A. Stawar.

Anatol Stern. *Bieg do bieguna*
Warszawa, Hoesick 1927..

Tom wierszy p. Sterna poprzedzony jest „Spowiedzią”, w której autor zwierza się czytelnikowi ze swych przełomów wewnętrz-

nych w ostatnich latach. Przedmowa ta stanowi znakomity przejaw miszmaszu ideowego panującego w pewnych kołach inteligencji. W wywodach związanych z sobą dość luźnie autor opowiada o swoim stosunku do bezrobotnych, do społeczeństwa, do poezji oraz do marksizmu, mówi o pragmatyzmie, rzuca mimochodem kilka nazwisk wreszcie opowiada o wrażeniach doznanych w pewnym wiejskim kościółku, przy pewnym obrazie o czterech kondygnacjach. Wspomniałszy Ewangelię, a z niej parę orzeczeń, Apokalipsę i Antychrysta dochodzi do przekonania „że nauka Marksa nie sprzecz się z uczuciem religijnym, i że są one swem wzajemnem dopełnieniem”.

„Jeśli książka, którą obecnie wydaje, wyraża mój pejzaż psychiczny, to chcę wierzyć, że czytelnik odczuje ją jako ożywiony pejzaż w którym panuje urozmaicona walka żywiołów...” Ileż żywiołowego zadowolenia z siebie okazuje to powiedzenie „urozmaicona walka żywiołów”! Zadowolenie z siebie jest rzeczą nader cenną ale trudno też dzisiejszemu czytelnikowi przejmować się zbytnio „walką żywiołów”, oraz tragizmem przełomów odbywających się w mikrokosmie poetyckiej psychiki. Mniejsza o to, iż widzieliśmy już masę podobnych walk i przeżyć — ale zdeziluzjonowano nas oddawna, nie bez przyczynienia się samych poetów. Wbrew temu co p. Stern mówi o zadaniach poezji, w osobie jego mamy do czynienia właśnie z egotystą bezwzględny i nieuleczalny, który traktuje ideologię jako coś co można brać, przykrawać wedle upodobania zupełnie dowolnie, w żadnym razie jako coś wiążącego naprawdę.

Przedmowa wprowadza pewien nastrój retrospektywny. Zawartość tomu, świadczy o pewnym zastoju, który zresztą odczuć się daje w całej współczesnej poezji. Są tam rzeczy typowe dla tak zwanej (od lat blisko dziesięciu) najnowszej poezji, wiersze w rodzaju — pomimo całej odrębności, której bynajmniej nie myślę odmawiać bardzo utalentowanemu autorowi „Biegu do bieguna” — spotykamy u każdego ambitniejszego poety, który zaczynał pisać w tym okresie. Mam na myśli pewne typowe wizje charakteru jakby apokaliptycznego, wizje jakiegoś rozkładu świata, burzenia wszystkich rzeczy. Tak w wierszu „Europa” są bałhantki, które po

dokonaniu całego szeregu spustoszeń wpadły:

w stłoczone stado
aut
lokomotyw
przerażonych jagniąt
beczących
zachrypniętymi trąbami

a dalej:

rozpędzają stado
Paryżów
Warszaw
Lizbon
Londynów i t. d.

To samo w wierszu „Zdobycie Paryża”.

Charakterystyczne powtarzanie się u poetów nowocześniejszych podobnych obrazów apokaliptycznego porządku, możnaby wyjaśnić pewnym kryzysem wyobraźni naginanej gwałtownie do przyjmowania nowych szeregów skojarzeń poetyckich. Jest to pierwotna reakcja na urbanizm. To pozornie dowolne rozbijanie przedmiotów, burzenie ustalonego porządku zjawisk, ma za zadanie ułatwić opanowanie poszczególnych odosobnionych elementów współczesnego miasta, przez poetę. Możliwość to określić jako przecieranie się pewnych rzeczy we wrażliwości, coś niby przecieranie się ząbków u dzieci. Zwłaszcza zębami na to wspólnego tyle, że bywa przy tem bardzo dużo krzyku.

Krzyku tego nie szczędzi i p. Stern — ale to nie jest już ten zuchwały krzyk młodości co przed kilku laty. To już powtarzanie, odwiedzanie miejsc gdzieśmy już byli. Z wielu rzeczy przegląda naiwny materializm Majakowskiego („Europa” „Drogą wysokiego zwycięstwa”) upewnający się tautologią

Świat drewnianego drzewa,
Świat żelaznego żelaza
i czworokątnych kwadratów —
to jedyny żywy,
jeden prawdziwy wśród światów.

Typowy dla tomu jest tytułowy, najdłuższy wiersz: „Bieg do bieguna”. Ma tu się przezwyciężać tragizm światopoglądu autora. To przezwyciężanie zaaranżowane zostało zbyt zdawkowo za pomocą rewii obrazów i nazwisk: różni święci, prorocy, uczeni,

rewolucjoniści — zamieszane to wszystko w humanitaryzmie dość tanim i zakończone wybuchami dziwacznej dewocji. Jedyne hasło: „O, być kompasem!” Kompas to zasadniczy ideał autora — jednak kompas, który może pokazywać parę biegunów odrazu. „Mój Bóg! Chrystus i drapieżny oprawca Chrystusa”...

Dodajmy, że „Ziemia” jest właściwie wierszem sjonistycznym, a będziemy mieć pojęcie o bukiecie ideologicznym tomu. Ale to nie jest beżładna pstrokaczna — stanowi ona raczej pewien układ ochronny, stworzony ze sprzeczności barwnych epoki. Wydawca reklamuje w jednym z pism literackich „Bieg do bieguna” jako „poezję sprawiedliwości społecznej i uczucia religijnego”. Absurdalnie okliwe zestawienie! W rzeczy samej jest to poezja przystosowania się, rezygnujący z całkowitej ideologii, a gotowa rezygnować z siebie — *poezja barwy ochronnej*. A. Stawar.

Marja Kuncewiczowa. Przymierze z dzieckiem. Powieść Warszawa 1927. J. Mortkowicz.

„Przymierze z dzieckiem” p. Kuncewiczowej wzbudziło zainteresowanie jako rzadki w dobie dzisiejszej debiut prozatorski. W takich razach, mając do czynienia z pierwszym tomem autora dotychczas nieznanego robi się zwykle wróżby na przyszłość. Wróżby takie to rzecz bardzo niepewna. U młodych początkujących artystów spotyka się często znakomite opanowanie techniki mijającego okresu, które imponuje starszym pisarzom. Tymczasem rzeczy te bywają prosto wyuczone, podpatrzone — a nie zdobyte. Uczuć się jest przecież dość łatwo przy pewnych zdolnościach.

Stąd częste pomyłki pisarzy starszych w ocenie młodych. Stąd owo dość często spotykane w dziejach sztuki zjawisko, że artyści, którzy w okresie niejako dziecięcym, niemowlęcym, w okresie uczenia się byli chwaleń, doznają całkiem innego przyjęcia z chwilą, gdy zaczęli działać jako ludzie dojrzały. Ceniono w nich bowiem to, co było w nich najmniej cenne: młodzieńczą uległość, plastyczność nieokrzesanego jeszcze materiału.

Natomiast bardzo ciekawe w takim wypadku bywa odnajdywanie tendencji tego

co się uważa za ideał techniczny pisarstwa. U p. Kuncewiczowej przebiega się wyraźnie przerost metafory, hyperboliczność w określaniu uczuć i w obrazach. Autorka zdaje się unikać prostego zdania i prostych wyrażań, nawet tam gdzie idzie o analizę uczuć. Łączy się z tem specyficzny niepokój — jakieś dążenie do wywoływania wstrząsów w otoczeniu sprawach i przedmiotach niejako z zewnątrz człowieka. Zwykły hałas uliczny „szturmuje” dom niby „spienione balwany tańczące u stóp skały”. Przedmioty w pokoju stają „na baczność”. „Drzewa na przechodniów spoglądają hardo”. „Kuzyn stanął w ogniu i, zanim dłoń uściśnął cały już zgorzał na próchno” (!) i t. d. i t. d. „Afisz mojej młodzieńczości — matka”, „dwie czerwone wstążeczki związane w uśmiech” (usta dziecka).

Nad techniką pisarską autorki panuje Kaden - Bandrowski. Przedewszystkiem — rzecz wcale nie drugorzędna — uwidocznia się to w tytule „Przymierze z dzieckiem” — („Przymierze serc” i dziecinne nowele Kadena). Użycie tytułu stanowiącego tak silną aluzję do rzeczy innego pisarza mówi albo o chęci przeciwstawienia się czy rywalizacji — albo o przygniatającym wływie. Tu mamy raczej to drugie. Poza tem daje się spostrzec materiał, wzorowany na innych autorach. (Reymont, opis porodu przypomina Żeromskiego i t. d.).

Pomimo pozorów wirtuozostwa zaznacza się pewna nieporadność techniki. Wypadki w nowelach nanizane są jak na sznureczek, sposobem biograficzno pamiętnikarskim. U bohatererek zaznacza się — charakterystyczny oddawna dla kobiecych „nowatorskich” (bo jest to właściwie nowatorstwo dokumentu nie artyzmu) powieści przesadny, słodkawy sentymentalizm w stosunku do własnego ciała, kokieterja stałego pozowania przed lustrem, co mają zresztą dawniejsze „kobiecte” powieści Nałkowskiej. Nawiasem mówiąc jest to świadectwem daleko idącego opanowania psychiki kobiecej przez mężczyznę. — patrzenie oczyma wyobrażanego mężczyzny — co rzuca zresztą mimowolny znak zapytania i nad „dokumentarnością” oraz zostawia pewien tonik przypominający artykuły w żurnalach mód.

T. zw. oznaki talentu rozłożone nierównomiernie. Najbardziej własną nowelą autorki wydaje się „Tamto spojrzenie”.

DOMY—OGRODY W MIASTACH—OGRODACH

Załączone tu reprodukcje obejmują projekty rozbudowy kwartałów mieszkaniowych (powierzchnia każdego z nich wynosi 211,600 m²). Kwartały oddzielone są od siebie 50 m. szerokości liczącami arterjami Pn — Pd, przecinającymi co 460 m — dzielnice mieszkaniowe. Przecznice W—Z teje samej szerokości co arterje Pn—Pd na długość liczą tylko po 560 m. Ustawione są tak — iż wylotami swymi trafiają w środek kwartałów mieszkaniowych. Takie rozplanowanie ma na celu uniknięcie niebezpiecznych dla ruchu pieszego i kołowego — skrzyżowań — oraz dla uzyskania naturalnego regulatora ruchu. Przy skrzyżowaniu się ulic mamy 12 zasadniczych — różnokierunkowych prądów ruchu kołowego. Przy podanym wyżej systemie — tylko 6.

Należy tu wspomnieć iż centrum miasta z całym aparatem państwowym, biurowym, handlowym i t. d. jest pomyślane jako pas zabudowań i krótkich poprzecznych arterji. — Pas ten jest tylko z dwóch stron ujęty dzielnicami mieszkaniowymi. — Ma to na celu racjonalny rozrost miasta: wzdłuż po linii centrum przybývają warsztaty pracy — wszcz — okręgi mieszkaniowe. Unikamy w ten sposób „zakorkowania” centrum miasta — i dajemy mu możność racjonalnego rozwoju.

Podane tu kwartały mieszkaniowe rozmieszczone są na kwadratowych placach (bok kwadratu wynosi 460 m) między arterjami Pn — Pd i W—Z. Rozbudowa przeprowadzona jest w ten sposób — iż dla uzyskania najlepszych warunków światła słonecznego dla poszczególnych mieszkań — zabudowania sytuowane są pod 45° do osi ulic. Nie mamy więc — śród tysięcy okien od mieszkań — jednego które wychodziłoby na północ. $\frac{1}{8}$ część terenu zostaje zabudowana — reszta t. j. $\frac{5}{8}$ oddana dla „oddechu miasta” — t. j. pod zielen — oraz na wewnętrzne arterje komunikacyjne. Budowanie wysokich domów pozwala na zaoszczędzenie cennego terenu — t. zn. uzyskujemy duże wolne przestrzenie — które oddajemy pod za-

drzewienie — zakładamy na nich parki, boiska i t. d.

Każdy z kwartałów mieszkaniowych ujęty jest jako samoistna (do pewnego stopnia) komórka wielkiego miasta. — Poza mieszkaniem zawiera — wspólne garaże, wspólne boiska i planty — wspólne przedszkola i szkoły powszechne, kooperatywy, lokale klubowe i związkowe, lokale dla celów oświatowo — kulturalnych i sportowych, sklepy z artykułami żywnościowymi i innymi pierwszej potrzeby — dla tych zaś mieszkańców, którzy nie chcą gotować u siebie w mieszkaniu — wspólne kuchnie i jadalnie.

Zabudowania mieszkalne — wieloparzystopiętrowe, od 2—6 podwójnych pięter — czyli typu „plastrowego” (alveole) — t. j. każde mieszkanie rozbudowane jest na dwóch piętrach połączonych ze sobą wewnętrzną mieszkaniową klatką schodową. Na dachach domów — wielkie tarasy dla treningów sportowych — kąpiele słoneczne — spacerów, oraz zielenie — wiszące ogrody.

Wysokość pokoiów minimum 2,5 m — 2,6 m i 2,7 m — co przy dobrym oświetleniu i systemie wentylacyjnym — gwarantuje utrzymanie świeżego i czystego powietrza wewnątrz mieszkań. Biegi schodów szerokości od 90 cm — 1 m, stopnie 16 cm. X 26 cm i 17 X 24 cm. Wszystkie ubikacje — jak klatki schodowe — WC — łazienki, kuchnie i t. p. mają naturalne oświetlenie. Ogrzewanie centralne — wodne — szybkoobiegowe — gotowanie na gazie.

5 typów mieszkań ze wszelkimi wygodami. W 2 typach zastosowano rozsuwane ściany — w 3 typach łóżka podnoszone — dające chować się do wentylowanych pomieszczeń. We wszystkich typach mieszkań — ściany w szafach. Meble — jak stoły do pracy — w ubieralniach i kuchenne — we wszystkich typach — w ścianach. W czterech typach — zamiast spiżarni — odpowiednio urządzone szafy w ścianach. Mieszkania minimalne — 2 pokojowe —maksy-

malne — 4 pokojowe. W dwóch typach mieszkań zaprojektowano balkony zewnętrzne — w trzech innych — balkony wewnętrzne (na tarasach).

Ponadto mieszkania posiadają nierozdzielnie związane z nimi wewnętrzne tarasy — o wysokości 2 pięter. Tarasy ze względów klimatycznych u nas — są oszklone. W jednym z typów tarasy są zewnętrzne — i

odkryte. W 3 typach mieszkań tarasy te stanowią w rozplanowaniu mieszkań zasadniczy kościec — koło którego zgrupowane są pozostałe ubikacje. W tarasach tych typów zostały przewidziane wewnętrzne balkony. W dwóch typach mieszkań przewidziano pokoje służbowe. Wszelkie okna sprowadza się zasadniczo do 3 typów — co znakomicie ułatwia ich produkcję, toż samo drzwi i t. d.

PROJEKT PIERWSZY

PROJEKT PIERWSZY obejmuje kwartały mieszkaniowe położone dalej od centralnego pasa. Opracowali *T. Żarnowerówna, M. Szczuka, P. Koziński i A. Karczewski* przy współpracy *J. Kowalskiego*, w latach 1925/26/27.

Na kwartał mieszkaniowy (rys. 1) składają się: kwadrat środkowy w kształcie krzyża (patrz: typ zabudowań projektu drugiego). Kwadrat środkowy przerysują 4 ulice i 2 pasy garażów podziemnych i naziemnych — na 325 aut z warsztatami, 4 boiska o powierzchni ok. 10.500 m², 90 mieszkań. Duży sklep kooperatywny o 2 kondygnacjach, klub, wspólna kuchnia, jadalnia, sala sportowa i administracja, wspólne pralnie. Wysokość zabudowań — 12 kondygnacji. Kwadrat ustawiony pod 45° do osi ulic.

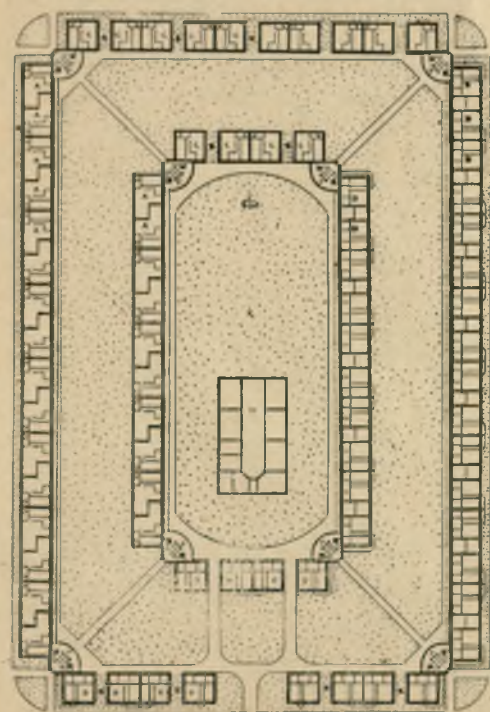
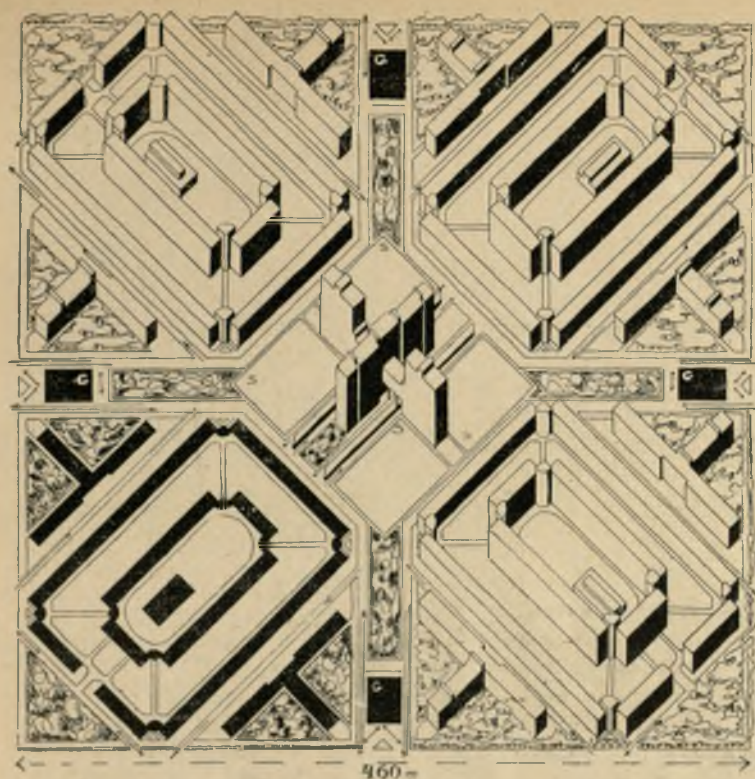
Do każdego z boków kwadratu środkowego przypierają (oddzielone jezdniami) węższym swym bokiem — prostokątne bloki mieszkaniowe (rys. 2). Bloki prostokątne zamknięte dwoma wieńcami zabudowań mieszkalnych. Wewnętrzne liczą 6 kondygnacji i obejmują sobą place i budynki szkolne (o łącznej powierzchni ok. 15.000 m² — 4 budynki i 4 place). Wieńce zewnętrzne liczą 4 kondygnacji. Dojście do mieszkań przez narożne klatki schodowe (po 8 wraz z windami w każdym z wieńców) i wiszące uliczki — balkony obiegające co drugą kondygnację — wieńce od wewnątrz. Mieszkania jednego typu (rys. 3 i 4) — (ogólna ilość 678). Niższa kondygnacja każdego mieszkania

(wys. 2,5 m) połączona wewnętrznymi schodami z wyższą kondygnacją (wys. 2,7 m). Mieszkania — których niższe kondygnacje stanowią przyziemia zabudowań — nie posiadają tarasów szklonych (rys. 5), miasto nich założono wentylacyjne przerwy oddane pod zielen. Udostępnia to dopływ świeżego powietrza do wielkich placów wewnętrznych. W każdym bloku w podziemiach centr. ogrzewanie i wspólne pralnie.

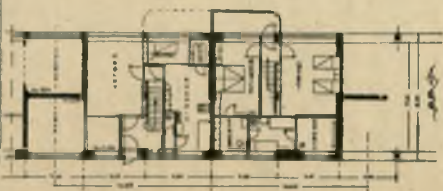
Do szerszych boków, prostokątnych bloków przypierają (oddzielone jezdniami) zabudowania mieszkalne w kształcie litery „T”. Zabudowań tych — 8. Liczą one 256 mieszkań (128 typu tego co w zabudowaniach wieńcowych i 128 — 2 typów, ze skrzydeł „C” w zabudowaniach krzyżowych). Nadto 16 sklepów (na miejsce tarasów). Dojścia do mieszkań bądź z wiszących uliczek — bądź to z klatek schodowych (po 4 w każdym zabudowaniu) lub też bezpośrednio z ulic. Wysokość zabudowań — 4 kondygnacje. W każdym zabudowaniu centr. ogrzewanie i wspólna pralnia.

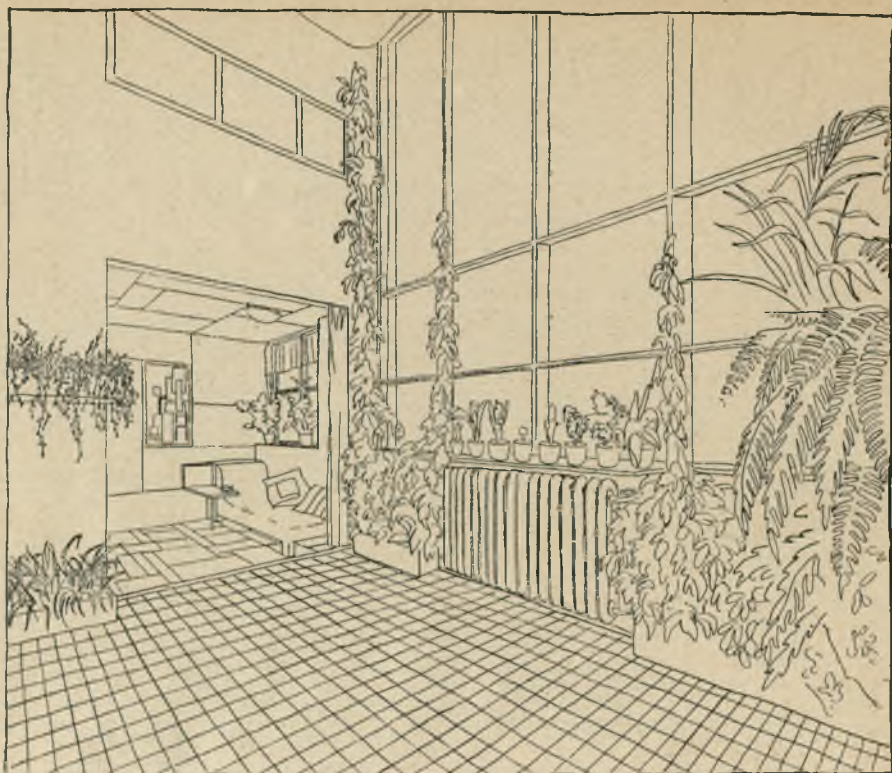
Z każdego wierzchołka kątów kwadratu środkowego bieżą 4 pasy plantów (równoległe do osi ulic) — ujęte w ramy jezdni. Na plantach stoją 4 sześciokondygnacyjne garaże mechaniczne na 800 aut — z warsztatami.

Ogółem kwartał liczy 1024 mieszkań (ok. 5.500 mieszkańców) i -8 uliczek wewnętrznych.



T. Żarnowerówna,
M. Szczuka,
P. Kosiński,
A. Karczewski.





Taras

T. Żarnowerówna, M. Szczuka,
P. Koziński, A. Karczewski.

PROJEKT DRUGI

PROJEKT DRUGI obejmuje kwartały mieszkaniowe położone bliżej centralnego pasa. Opracował M. Szczuka przy współpracy B. Targowskiego (1926—27).

Na kwartał mieszkalny (rys. 6) składają się: 4 kwadraty o zabudowaniach krzyżowych (pod 45 do^o do osi ulic) oraz 2 pasy plantów (równoległych do osi ulic). Planty (o łącznej powierzchni ok. 12,900 m²) ujęto ramami jezdni. 2 inne pasy przecinają prostopadłe planty — tworząc w środku kwartału okrągły plac ze stacją kolei podziemnej. Na tych dwóch pasach umieszczono 2 szkoły powszechne z placem do zabaw i 2 sześciokondygnacyjne mechaniczne garaże na 200 aut z warsztatami.

Zabudowania krzyżowe (rys. 7) z 4 typami mieszkań, zaopatrzonych w dwupiętrowe tarasy — przecinają ukośnie po 2 ulice (szer. 17 m) — biegnące koncentrycznie do środka kwartału. Ujęte ramami jezdni — na ulicach tych stoją parterowe garaże z dojazdem z jednej strony i wyjazdem z drugiej. 4 windy (w każdym pasie garażów) sprowadzają część aut do drugiej serji garażów — podziemnych (patrz rys. 8) — zaopatrzonych w warsztaty i jezdnię podziemną. Na dachach garażów — zieleńce. W podziemiach i piwnicach mieszczą się poza tem: centr. ogrzewanie, wspólna pralnia, piwnice i składy.

Między ulicami garażowymi bieżą zabudowania mieszkalne wysokości 10 kondygnacji o jednym typie mieszkań (rys. 9). W trzech punktach — przypierają do tego pasa poprzeczne zabudowania (wysokości 10 kondygnacji) — przebite przez ulice garażowe na wysokość 3 pięter najniższych. W zabudowaniach tych mieszczą się 2 typy mieszkań (skrzydła „C”). Nad ulicami — poprzeczne zabudowania skrzydeł „C” (miejscowości 2—3 pięter — zawierają: wspólną jadalnię, klub, przedszkole, administrację, salę sportową, biura (rys. 10 i 11).

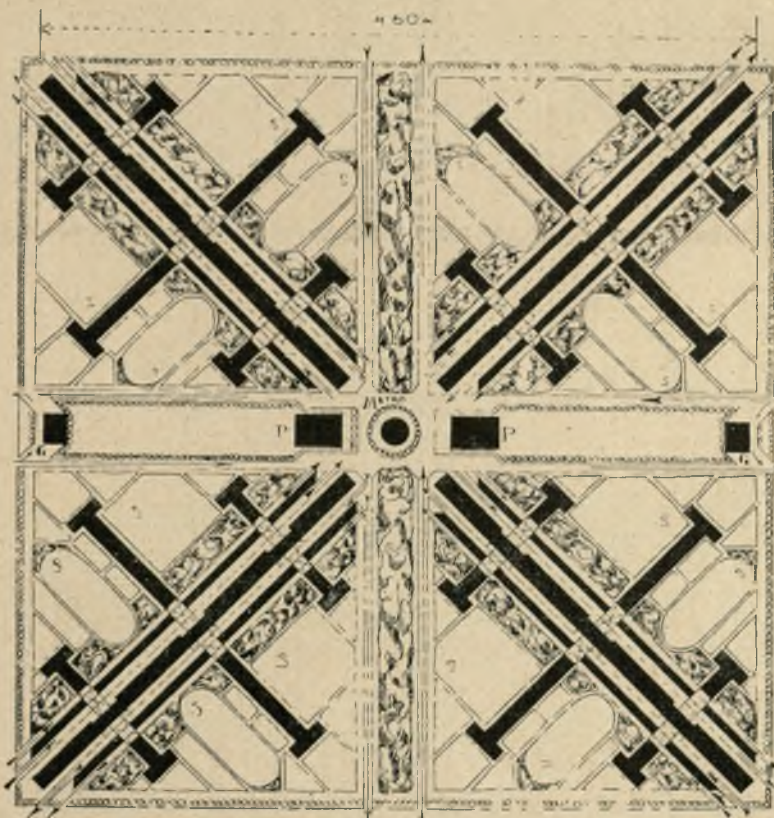
W miejscu skrzyżowań — zabudowania tworzą wieże („A—A”) o 12 kondygnacjach — zajęte przez sklepy (o wys. 2 i 3 kondygnacji), wspólne kuchnie, sale ogólne i mieszkania 2 typów (1 typ — w części

środkowej wieży na 6 górnych piętrach) (rys. 9, 10 i 11). Klatki schodowe (27 w jednym kwadracie) i tyleż wind ułatwiają i zabezpieczają doskonałą komunikację.

Ogółem w kwartale mieści się 1336 mieszkań (minimum ok. 6,000 mieszkańców) — garaże na 1070 aut z warsztatami, 2 szkoły powszechne, 4 przedszkola, 4 lokale sportowe, klubowe, administracyjne i jadalnie, 4—8 lokali dla celów handlowych i biurowych — oraz składy. 12 sklepów (o 2—3 kondygnacjach), 12 ulic wewnętrznych (4—9 m szerokości), plac i stacja „Metro”, 14 placów dla zabaw i sportów (ok. 42,000 m²), planty i ogródki.

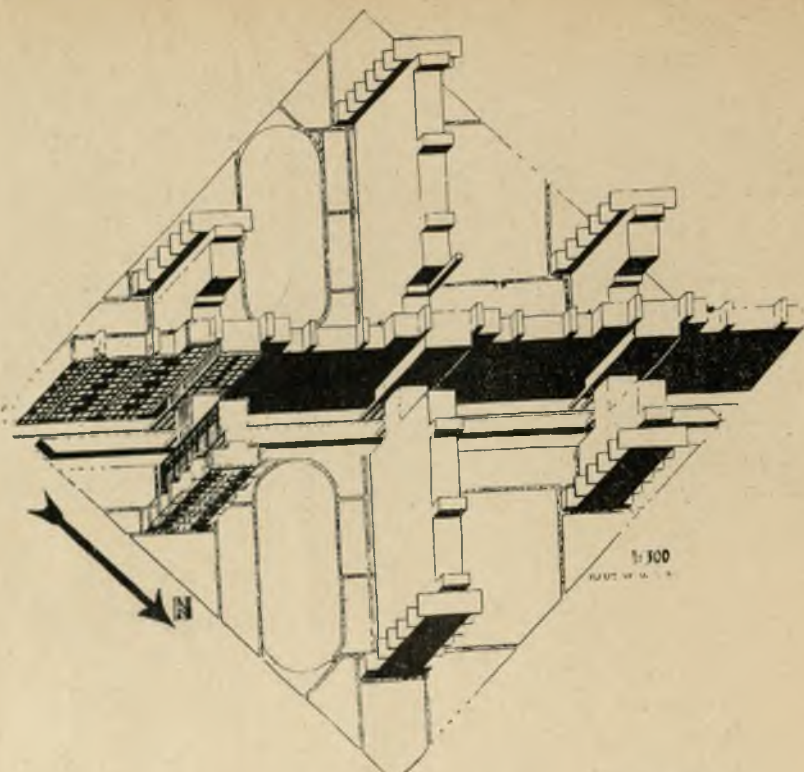
Mieszkania wys. 2,6 m.

Fragmety widoku zewnętrznego podają rysunki Nr. 7, 12, 13.

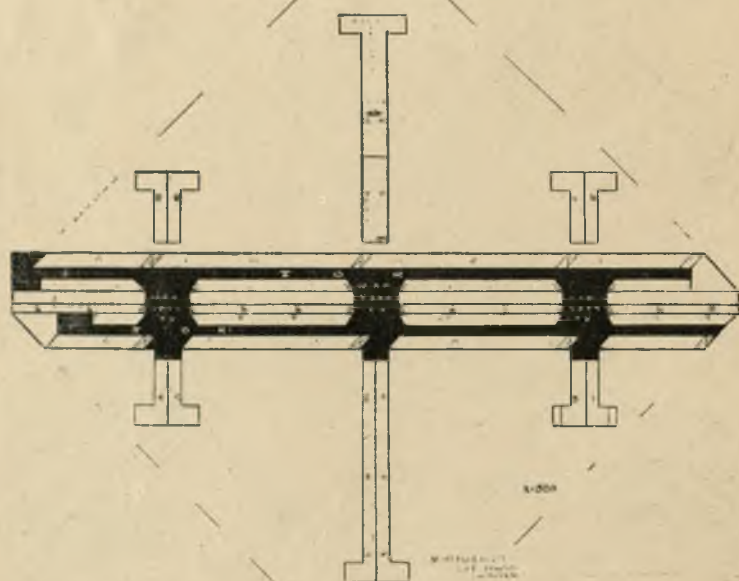


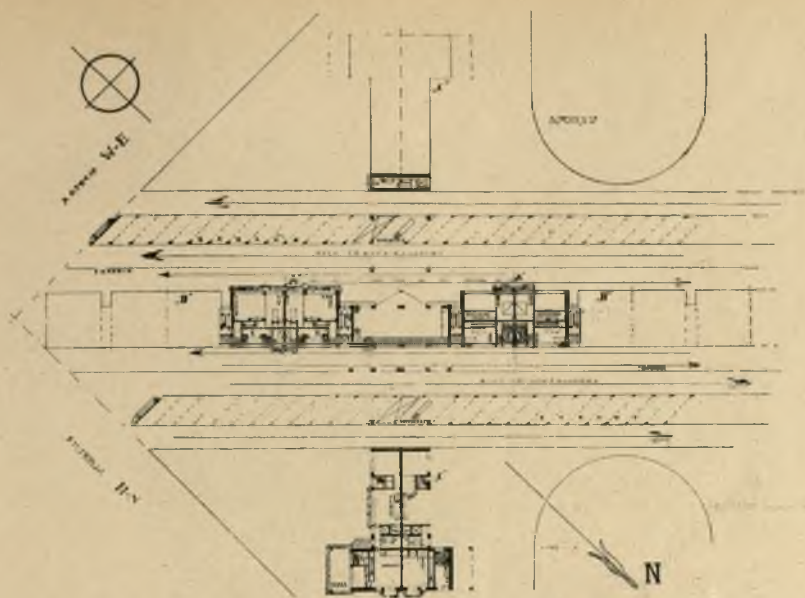
M. Szczuka

<http://rcin.org.pl>

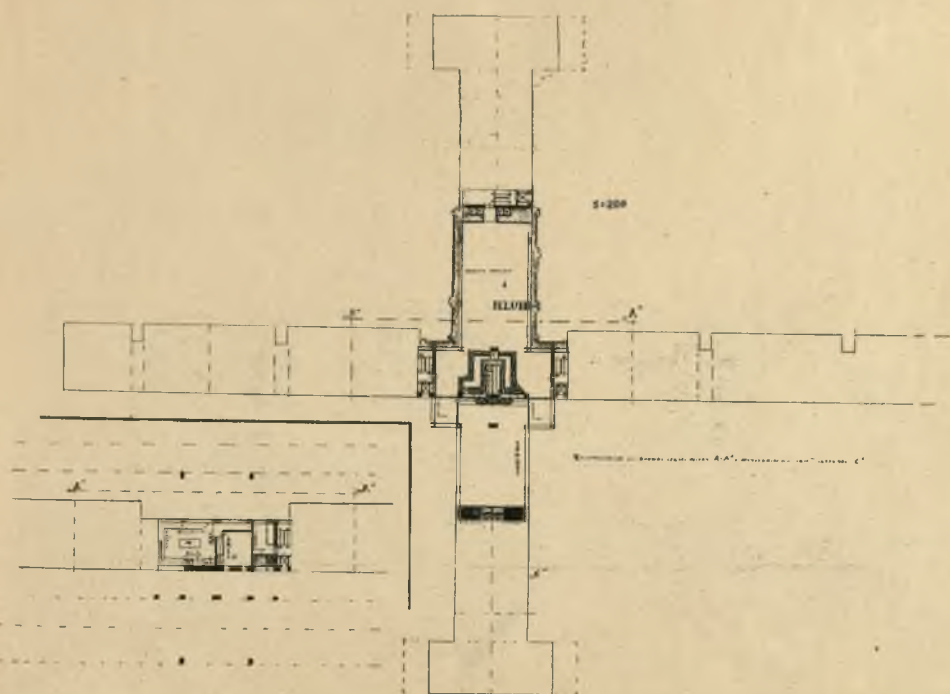


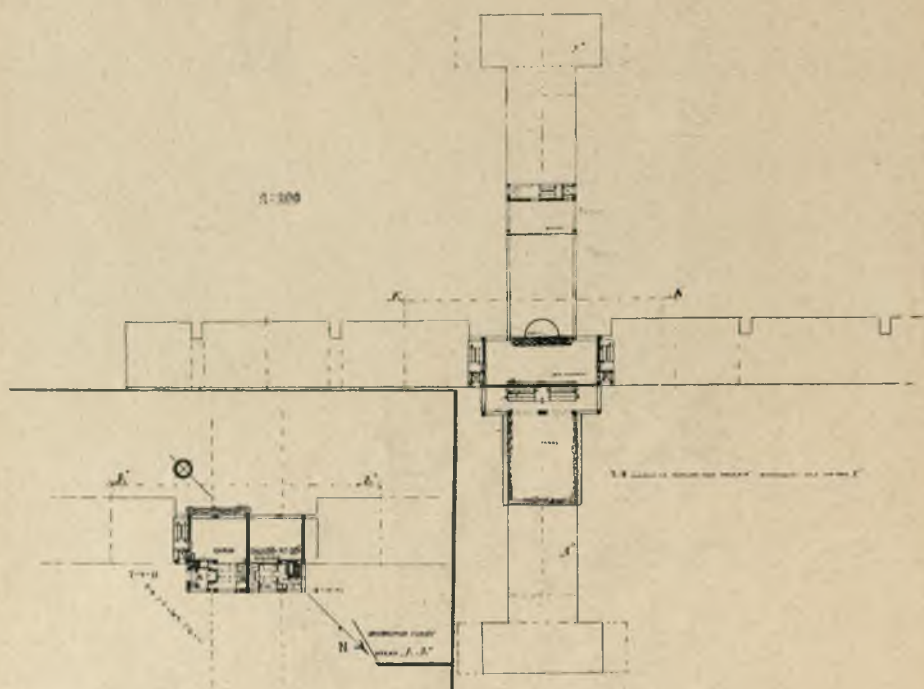
M. Szczuka





M. Szczuka





M. Szczuka





M. Szczuka

Z przyjemnością zauważyć można przenikania nowoczesnych prądów do sztuki w Polsce.

Budzi się jednak troska — czy idee te w sposób jaki tu uzewnętrzniają się nie są zaprzeczeniem zasadniczych wartości jakie wnosi t. zw. Nowa Sztuka?

Czy architekci nasi nie popełniają błędu wysilając zdolności swe i pomysłowość w kierunku *pomniejszenia* rozmiarów istniejących już szablonów mieszkaniowych — bez twórczej myśli nad radykalnymi zmianami naszych warunków mieszkaniowych?

Czy nasi malarze uważają łątaninę zakolorowanych prostokątów, poprzymocowanych do starych murów za wyraz Nowej Sztuki? Czy podobnie ponure dziwołagi jak malowidła w „Perskiem Oku” — to Nowa Sztuka i czy to wogóle sztuka? — Zdaje się że nie.

Winę za te obrzydliwości ponosi grupa „kwartalnika” (?) Praesens. A przecież między autorami „Perskiego Oka” widnieje nazwisko p. Stażewskiego — człowieka kulturalnego — dawnego współpracownika „Błoku”. Osoba p. Stażewskiego dawała (zdawało się) rękojmię poważnego potraktowania zadania stojącego przed nim. Stało się inaczej. Czyżby winić tu jego współpracowników jak — grałomana - architekta p. Syrkuśa — którego osobiste kwalifikacje nie upoważniają do stawiania na czele grupy artystów i to w dodatku nowatorów.

Mała rzecz — a duży wstyd.

M. S.

O ile brzydota „Perskiego Oka” razi nas przedewszystkiem jako objaw żerującego na „nowoczesności” geszefciarstwa, jako odstraszący przykład tego — co może zrobić sprytny a pozbawiony wszelkich zdolności reklamiarz — z zadania przekraczającego jego siły (jestem bowiem przekonany, iż winę za „Perskie Oko” ponosi wyłącznie kierownik robót — t. j. p. Syrkus) — o tyle autorowi gmachu kina „Casino” — p. Sosnkowskiemu — oraz dyrekcji — możemy serdecznie powinszować ich dzieła, odznaczającego się wysokim smakiem i młodzieńczą świeżością.

M. S.

Parę miesięcy już nas dzieli od ogłoszenia wyniku na konkurs p. n. „Tanie mieszkania”. Spóźnione byłoby zamieszczanie obszernego sprawozdania — jednak ze względu na aktualność samego zagadnienia należy wspomnieć o refleksjach nasuwających się w związku z konkursem.

Przedewszystkiem autorowie warunków konkursowych obmyśliли je tak, — by umożliwić swobodę pomysłów — t. j. najcenniejszego warunku przy podjęciu pracy nad tak trudnym zagadnieniem — jakim jest tanie i dobre mieszkanie.

Czy panowie ci sądzą, iż można zrobić racjonalne szablony mieszkaniowe — bez myśli o *całości osiedla* — na które przecież składa się coś więcej aniżeli same tylko mieszkania?

W ten właśnie sposób powstają takie dziwolągi, jak te biedne miniatURY normalnych mieszkań — na które wysiliła się wyobraźnia biorących udział w konkursie architektów.

Wobec takiego obrotu rzeczy — narzuca się myśl — by w analogicznych wypadkach, jak układanie warunków konkursowych na tanie mieszkania — należało uprzednio ogłosić konkurs na projekt tych warunków.

M. S.

Obszerne sprawozdanie z wystawy prac dyplomowych studentów architektury na Politechnice Warszawskiej — odkładamy do następnego numeru.

Na marginesie sportowym

W Nr. 4 Stadjonu z dn. 27.I.27 Dr. Marjan Sokołowski ogłasza artykuł p. t. „O nowo hasło w taternictwie.”

Świetny taternik z troską spogląda w przyszłość sportu wysokogórskiego — któremu grozi jakoby wycieńczenie z powodu braku nowych „problemów” — prawie, że wyczerpanych na terenie Tatr. Autor z wielkim znanstwem rozpatruje wymowę faktów i mimo właściwego mu optymizmu — nie daje żadnego środka zaradczego — gdyż dość niemożę.

Tatry są małe — a zaprawdę rozbudować je — to trochę trudno przyszloby. Nierozwiązane „problemy” padną zapewne w najbliższych latach (o ile oczywiście jest to wogóle możliwe). Faktu tego nie zmienia ani utrzymywanie *szlucznej* „pierwotności i tajemniczości gór” (projekt Guido Rey’a) dzięki dobrowolnemu i zgóry umówionemu zamłczeniu o nowych zdobywcach na szlakach wysokogórskich — ani taternictwo zimowe, ani „korygowanie” uprzednio odkrytych przejść — ani odkrywanie nowych warjantów — ani ekspansja w inne góry Europy i krajów pozaeuropejskich (które to góry czeka padobny los co i Tatry). Zdaniem mo-

im — istota taternictwa nie polega na zadowoleniu ambicji w dokonywaniu pierwszych przejść. Powtarzając odkryty — lecz mnie nieznaną szlak — zdobywam go dla siebie jako nowy. Uzależniony jestem jedynie od swych warunków fizycznych i psychicznych — i okoliczności zewnętrznych — poznaję go dla siebie i nic mnie to nie obchodzi, że był on już wielokrotnie „robiony” uprzednio. Nieznany szlak dostarcza mi wszechstronnych wzruszeń (po które wstępuję nań) i stawia mnie wysokie wymagania — których nie zmniejszą żaden opis, ani świadomość, że ktoś inny go przeszedł — gdy ja podołać mu nie mogę.

Ani ciężkie, hakami kute buty — ani trzewiczki turystyczne mych poprzedników nie zasłonią przedemną dzikiej piękności i grozy gór — nie ułatwią trudności — zaś wrażeń i wzruszeń doznam takich na jakie mnie stać.

Ambicja — że nie ja tu pierwszy dotarłem — może być podrażniona — nie przecież — lecz na tem najmniej chyba zależeć powinno.

Bardzo ciekawie autor porusza (między innymi) sprawę literatury taternickiej.

M. Szczuka.

Prenumerata: Kwartalnie 4 zł.—Półrocznie. 7 zł. 75 gr. Rocznie 15 zł.—**Zagranicą:** Półrocznie 1 dol. St. Zj., Rocznie 2 dolary. Cena pojedynczego numeru 1 zł. 50 gr., Zagranicą 25 centów.

Redakcja i Administracja: Wspólna 20 m. 39

Ogłoszenia: 1 kolumna 100 zł., ½ kol. 60 zł., ¼ kol. 30 zł.

Redaktor i wydawca: M. Szczuka.

Druk. „Rola” J. Buriana, Mazowiecka 11.

D Ź W I G

N-r 2-3

CENA
1 zł. 50 gr.

N

I

A

ADRES:
WARSZAWA
WSPÓLNA 20

MIESIĘCZNIK
WARSZAWA
KWIECIEŃ—MAJ

1 9 2 7

S P I S A R T Y K U Ł Ó W

	<i>Str.</i>
KRYZYS PROZY — A. Stawar	1—10
DROGI POWSTANIA JEZYKA KLASOWEGO — S. Bur	11—15
RODCZENKO W PARYŻU	16—25
TOWARZYSZ. PLAKAT — St. R. Stande	26—27
PRZYJACIEL MIKADA — W. Kawerin	28—31
O PŁASKICH DACHACH	
POZGONNE SUPREMATYZMU — M. Szczuka	33—37
WYSTAWA PROJEKTÓW DYPLOMOWYCH STUDENTÓW	
WYDZIAŁU ARCHITEKTURY — H.	40—41
JEZUS BARBUSSE'A — J. Hempel	42—45
O ŹRÓDŁACH ZATRUTYCH, SKORPIONACH LITERACKICH, O MECHANICZNYM WITRJONIE REWOLUCJI I O ZNA- ROWIONYM WYŻLE — W. Wandurski	48—55
KSIAŻKI. KINO	56—60
PUBLICZNOŚĆ PARSIFALA — j. n.	61
MIMOCHODEM	63—64

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Mieczysław Szczuka

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 6-ej do 7-ej pp.

Konto czekowe P. K. O. 14.700

Prenumerata: Kwartalnie 4 zł.—Półrocznie. 7 zł. 75 gr. Rocznie 15 zł.—Zagranicą: Półrocznie 1 dol. St. Zj., Rocznie 2 dolary. Cena pojedynczego numeru 1 zł. 50 gr., Zagranicą 25 centów

Redakcja i Administracja: Wspólna 20 m. 39

Ogłoszenia: 1 kolumna 100 zł., $\frac{1}{2}$ kol. 60 zł., $\frac{1}{4}$ kol. 30 zł.

Druk. „Rola” J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11.

<http://rcin.org.pl>



K R Y Z Y S P R O Z Y

A. STAWAR

Mówi się dużo o kryzysie w prozie — stanowi on zresztą fakt nie ulegający zaprzeczeniu. Jeżeli idzie o stosunki powojenne — to zarówno ilość jak i jakość naprawdę nowych przejawów w dziedzinie prozy artystycznej nie wytrzymuje żadnego porównania z poezją — ściślej mówiąc z liryką. Produkcja literacka idzie po linii najmniejszego oporu. Świadczyłoby to o prymitywności kultury literackiej w Polsce — proza jest tym gatunkiem produkcji literackiej, który rozwija się najpóźniej i najtrudniej.

Nie ulega wątpliwości, że poczęści tutaj należałoby szukać przyczyn. Przy tych pozornie wielkich zaszczytach, jakie spadały na literaturę z tytułu pełnienia problematycznej, ze stanowiska klas uciśnionych, „służby narodowej” — krzewiło się lekceważenie spraw rzemiosła pisarskiego zarówno wśród literatów jak i wśród publiczności czytającej. Przytem literatura w Polsce zawsze miała daleko węższą i uboższą bazę społeczną niż gdziekolwiek.

Pomimo to w okresie poprzedzającym proza osiągnęła dość znaczny rozwój i od tego właśnie odskakuje dzisiejszy zastój. Rzecz naturalna, iż jeśliby się mówiło o kryzysie w prozie wogóle, należałoby podnieść cały szereg spraw natury ogólnospołecznej np. sprawę cenzury nie tylko rządowej, mającej znaczenie raczej drugorzędne, ale nierównie ważniejszej cenzury idącej ze strony „społeczeństwa”. Ale to przeniosłoby sprawę na inną zupełnie płaszczyznę. Tutaj chcę poruszyć kwestję, leżącą raczej w dziedzinie techniki literackiej — bez oświecenia których dzisiejszy stan rzeczy w dziedzinie prozy artystycznej musi pozostać niezrozumiały.

Jeżeli wziąć ogólnie prozę okresu „Młodej Polski” — to spostrzeża się uderzające już nazewnątrż zjawisko stosowania w bardzo szerokim zakresie dialektów, archaizowania i stylizowania na wszelkie możliwe sposoby. Reymont, Tetmajer, Orkan swoją najlepszą prozę dają w stylizowanym dialekcie, Berent, Miciński stylizują i archaizują — w mniejszym stopniu robi to, tak czy owak, większość pisarzy.

Użycie dialektu, czy też użycie daleko idącej stylizacji językowej pociąga za sobą cały szereg zmian nie tylko w technice pisania, ale i w stosunku do czytelnika. Związane z tem są ułatwienia w psychologii bardzo niebezpieczne. Stylizowany dialekt w utworze literackim jest przede wszystkim odwołaniem się do pewnych pamięciowych wrażeń czytelnika, do jego prymitywnego poczucia egzotyizmu. Charakterystyczne słownictwo — podobnie jak pasiaste portki, sukmana, strój łowicki czy też góralski — usposabia do specyficznego traktowania psychologii danego osobnika, w pewien z góry ustalony sposób, jaki się w danym wypadku uważa za wskazany.

Podobną rolę odgrywa archaizowanie języka, to znaczy w praktyce, zabarwianie zdań słzami wyszlęmi z użycia słowami i formami gramatycznymi, starą modą językową (makaronizmy w powieści historycznej) i t. d. Wszystko co się powiedziało o użyciu dialektów, stylizowaniu, ar-

chaizowaniu — można odnieść również do powieści egzotycznej, której przedstawiciel Sieroszewski, zajmuje jedno z najwydatniejszych miejsc wśród prozaików tego okresu.

Owe ułatwienia, o których wspominałem są dlatego tak niebezpieczne z punktu widzenia techniki pisarskiej, że osłabiają — mówiąc starą terminologią — wysiłek „duszoznawczy” pisarza. Gros jego energii wchodzi w stylizację, stylizuje się również psychologię osobnika opisywanego. To znakomicie upraszcza zadanie i umożliwia mniejszą dbałość o szczegóły i wykończenie. Jeżeli autor opisuje stosunki, porusza problemy tego środowiska, do którego należy jego czytelnik — to utwór jego pozostaje pod nieustanną, mimowolną choćby, kontrolą tego czytelnika, który może zauważyć każdy banał, każdą niedokładność czy naiwność w szczegółach. W utworze zaś „egzotycznym” (a wszystko jedno czy będzie to egzotyka z okolic Łowicza, Podhala czy z Timbaktu) autor, jak to się mówi, „odkrywa” przed czytelnikiem „nowy świat” w którym wszystko jest nowe, oryginalne, nawet wyraźna pospolitość. A gdzież tu się spierać o szczególiki wobec tego „nowego zupełnie świata”. Stylizowany język zaciera również kanty, niedokładności a nawet bardzo grube szczyrby w myśleniu autora. Wszystko tu uchodzi za dobrą monetę — autor sam oznacza jej kurs — resztę robi głód egzotyki.

Wogóle zawsze można podejrzewać, że tam gdzie autor stwarza pewne elementarne trudności językowe dla czytelnika (naturalnie o ile nie będzie to czytelnik zanadto tępy lub wrogo usposobiony) — to służą one autorowi ułatwieniem w pracy. Naturalnie mogą to być ułatwienia trudne do skontrolowania — jakieś dalekie uproszczenia koncepcji, czy zacieranie pewnych szczegółów, nie można tego dokładnie wyliczyć — ale istnieją niewątpliwie. Da się to odnieść częściowo do wszelkiej stylizacji.

Charakterystyczne dla okresu nadużycie stylizacji i dżalektu występuje tem jaskrawiej, jeśli zważymy obojętność z jaką naogół przyjęte zostały np. analityczne prace Irzykowskiego. Tendencje okresu ujawniają się zarówno w akceptowaniu jak i odrzucaniu pewnych metod.

Pomiędzy utworami pisarzy wyżej wymienionych są takie, które najkonsekwentniej utrzymywały linię epicką. Pisarze ci rozszerzyli wydatnie istniejące zasób językowy, rozwinęli go w stopniu silniejszym może niż kiedykolwiek. Ale była to eksploatacja ekstensywna — użytkowanie prymitywne nie sięgające włąb. Podobnie działał wpływ Przybyszewskiego ostry, ale dość krótkotrwały, który zresztą przesiał do języka wszystkich prawie piszących w tym czasie.

Długie i powszechne oddziaływanie ma zato język Żeromskiego. Przyczyny tego są jasne. Żeromski w swoich najważniejszych powieściach (poza utworami, które noszą wyraźnie określony charakter eksperymentu językowego jak np. „Wiatr od morza” i in.) nie odgiął niczał się od czytelnika stawianiem na pierwszym planie szczególnych efektów zewnętrznych, ornamentów stylizowanego dżalektu. Archaizacja pewnych zwrotów, stosowana coprawda przezeń nawet w powieściach współczesnych, robiona była dość dyskretnie. Pisał przytem o sprawach głęboko dotyczących inteligenta współczesnego — poszukiwał tych zagadnień, których inni autorzy unikali lub też byli wobec nich bezwładni. Powieści jego stale bez większych przerw z roku na rok wysyłane były na rynek i stale wywoływały dyskusje rozszerzające koło czytelników <http://rcin.org.pl>

Żeromski jeden stworzył coś w rodzaju szkoły literackiej (nie mówiąc tu o samych tylko naśladowcach, ale o pisarzach, którzy mogli prowadzić tę linię dalej jak Strug i Daniłowski). Wpływ jego działał szeroko na sposób wyrażania się, styl pisania przeciętnego inteligenta, na język gazety. Wystarczy wziąć za przykład jakiegoś ambitniejszego reportera, sprawozdawcę sądowego i t. p.

To też językiem Żeromskiego trzeba się szerzej zająć. Niżej odnotuję jeszcze charakterystyczne związki z prozą publicystyczną Brzozowskiego (którego wpływ był może jeszcze silniejszy w dziedzinie publicystyki literackiej).

„Liryczny”, nieepicki charakter prozy Żeromskiego był zauważony od razu i podkreślany stale przez krytykę. Z biegiem czasu jednak stosunek krytyki uległ charakterystycznej zmianie. Żeromski stworzył sobie w literaturze pewien, by tak rzec, klimat umysłowy, tak, iż jego sposób pisania, który np. przed 20 laty nawet jego zwolennicy przyjmowali z wielkimi zastrzeżeniami — poczęto uważać za najzupełniej miarodajny *).

Dla zilustrowania charakterystycznych metod stylowych Żeromskiego, wystarczy parę przykładów. Oto pierwszy z brzegu urywek z tomu „Rozdziobią nas kruki, wrony”. Mamy tu krajobraz:

Ponura jesień zwarzyła już i wytrula w trawach i chwastach co żyło. Obdarła z liści, zczerniała rokitnicy żałośnie szumiały, zniżając pręty aż do samej ziemi. Kartofliska, ściernie a szczególnie role świeżo uprawne i zasiane, rozmiękły na przepaściste bagna. Bure obłoki, podarte i rozczochrane leciały szybko, prawie po powierzchniach tych pól obumarłych i przez deszcz schłostanych.

Ten opis krajobrazu jest typowy dla Żeromskiego nie tylko przez sposób wydobywania nastroju, doprowadzony do wirtuozowstwa (dobór i barwa samogłosek, rytm zdań i t. p.). Charakterystyczna jest ilość hyperbolicznych wyrażen, przez które opis ten rzuca się w psychikę czytelnika. Te właściwości występują jeszcze jaskrawiej w jakimś typowym opisie sytuacji życiowej:

Flirt wesół trwał w dalszym ciągu. Tylko gdy później doktor zbliżył się jeszcze i, zachęcony sukcesem, chciał rzecz ciągnąć dalej, już nie o Karbowskim, lecz o sobie, *struchlał*, ujrzawszy w jej oczach taki *blask ponurej dumy*, jakiego jeszcze nie widział w życiu. Zdawało mu się, że ten wzrok *hetmański*, *ubliżający* mu bez wzruszenia z głębi przymkniętych powiek *ubija się* w niego i *szarpie na sztuki*, *rozdziera na strzępy*, podobnie jak pazury orlicy *ćwiartują żywą zdobycz*. Słowa, które chciał powiedzieć, *zwinęły się i niby garść pakul utkwiliły w gardle.* („Ludzie bezdomni” t. II).

*) Sprzyjała mu słabość nowych przejawów w literaturze powojennej. Dla porównania warto przytoczyć dwa wypadki. Kiedy w swoim czasie Sienkiewicz z wyzyna dyktatora literatury wystąpił przeciw „Młodej Polsce” z zarzutami „rui i poróbstwa”, otrzymał od ówczesnych „młodych” odpowiedź natychmiastową i bezwzględna. W książce „Snobizm i postęp” Żeromski w sposób dość demagogiczny wystąpił przeciwko poetom powojennym, między innymi z tak delikatnie sformułowanym zarzutem, jak uleganie wpływow „kacapskim”. Ten zarzut dość pikantny u pisarza, który również dość mocno podlegał tymże „kacapskim” wpływom, tylko z innego okresu — jak się zdaje nie spotkał nigdy mocniejszej odpowiedzi. Bezpośrednio zainteresowana grupa futurystów, urządziła jedynie „wieczór poetycki” w celu zaprzeczenia twierdzeniom Żeromskiego.

Nic bardziej nie charakteryzuje sytuacji w tych dwóch okresach, jak to zestawienie.

4

Aby uwydatnić charakterystyczne cechy metody pisarskiej autora, trzeba zaznaczyć jedną rzecz. Samo zajście jest epizodem z nieobowiązującego flirtu — dr. Judym, który tu wchodzi w grę jest sercowo zaangażowany gdzieindziej. Bagatelność epizodu kontrastuje z wielkimi słowami i pełnemi ponurej siły obrazami (struchlał, „hetmański” wzrok, orlica szarpiąca żywą zdobycz i t. d.), służącemi do odmalowania drobnej nieprzyjemności towarzyskiej, która spotkała rozflirtowanego doktora.

Przykładów tego rodzaju — opisywania spraw w istocie swej bagatelnych wielkimi słowami — możnaby, niewiele szukając, wybrać z utworów Żeromskiego całe setki. Ludzie Żeromskiego przy byle okazji dławia, się, truchleją, skrecają z bólu, konają. Żeromski wybiera starannie słowa o dużej zawartości emocjonalnej i szafuje nimi w sposób jak najobfitszy. Lubi przymiotniki takie jak wielki, ponury, straszny, nieodwołalny, anielski, szatański i t. d. — wyszukuje w słowniku słowa, które mają tragiczne lub drażniące wrażliwość czytelnika zabarwienie. Żeromski posiada cały aparat wyrafinowanej kokieterji językowej, nastawiającej wrażliwość czytelnika w pożądanym kierunku. Nawet sprawy i zdarzenia stosunkowo drugorzędne opisuje tak, aby możliwie silnie wbiły się w pamięć czytelnika, niewiele dbając o rozplanowanie całości.

Obchodzi go tylko dany, opisywany w tej chwili stan, pozatem o nic nie dba. U ludzi jego niema właściwie rozwoju psychicznego, analizy przebiegów — są pewne gotowe fakty, koło których powstaje dana erupcja stylowa. Poczem następuje przeskok do nowego faktu i nowego ugrupowania słów z obliczeniem na maksymalną wyrazistość i jaskrawość opisu.

Żeromski lubi demoniczne słowa i kontrasty. Skalę stopniowań ma dość szczupłą. Byłaby jeszcze szczuplejsza, gdyby nie zasadniczy kontrast tych „wielkich scen” romantyka z podstawowem tłem opowiadania jakim są owe głośnie „referaty”, nad którymi tyle ubolewań wypowiedziała przychylna Żeromskiemu krytyka. Opowiadanie takie ma kostyczny, trochę żółciowy uśmiech, kpinkę niezdecydowaną, często żalostną lub zdawkowy cynizm rozczarowanego uczuciowca. Ale też owe „jałowe” referaty odgrywają rolę pozytywną — pozwalają bowiem i autorowi i czytelnikowi wypocząć oraz przygotować się do następnej wielkiej sceny.

(Technikę tą do ostatnich krańców doprowadził najlepszy uczeń Żeromskiego, Strug. Powieści tego pisarza, ostatnie zwłaszcza, są szeregami wizji luźno zczepionych jakąś postacią. Powieść toczy się urywkami, w pewnem miejscu rozdziału à capite zostaje ozdobiony trzema kropkami i przerwamy się w zupełnie inne miejsce akcji. (Ostatnia powieść Struga, „Fortuna kasjera Śpiewankiewicza”, drukowana w jednym z pism, jest wyjaskrawieniem, doprowadzonym do karykatury zarówno metod pisarskich jak i ideologii Żeromskiego).

Skutki oddziaływania takiej techniki słownictwa zdają się zupełnie jasne. Żeromski sam osiągał tą drogą duże wyniki. Ale na dalszą metę podobne nadużycie hyperboli, jaskrawych kontrastów, wybuchów egzaltacji językowej w sposób nieunikniony prowadzić musiało do stępienia, wyczerpania wrażliwości u odbiorców, przekroczenia granic możliwości frazesu literackiego i zerwania związku słowa pisanego z życiem.

Cóż dopiero gdy takie metody pisania ustaliły się w literaturze lub też w jej znacznym odłamie jako najmiarodajniejsze a nawet jako pewien ideał pisarstwa. A to właśnie nastąpiło pod koniec okresu „Młodej Polski”

z powodów, o których wspomniałem wyżej. Literaturę zalała wtedy fala zlizrywanej barokowej prozy, co prowadziło poprostu do wyniszczenia terenu języka literackiego. Trzeba wziąć pod uwagę, że nawet przy najściślejszej kontroli w literaturze — zwłaszcza jeśli idzie o naśladowców — przemycia się moc konwenansowej frazeologii. Trzeba też wziąć pod uwagę konieczność wzmacniania „dawek” emocji, aby sprawić efekt choć w części dorównywujący poprzedniemu. Nic też, dziwnego, że musiało nastąpić zjawisko, któreby można określić wprost jako licytowanie się sentymentalnego frazesu, orgja bufonady językowej.

Z punktu widzenia gospodarki językowej była to eksploatacja rabunkowa. Jest taki sposób łowienia ryb za pomocą dynamitu. Zakłada się ładunek w wodę, następuje wybuch, ryby na pewnej przestrzeni wypływają ogłuszone lub martwe. System taki jest łatwy i szybko przynosi doraźny rezultat. Ma tylko tę wadę, że gruntownie wyniszcza rybostan. Skutki działalności Żeromskiego oraz jego naśladowców w stosunku do języka literackiego, możnaby przyrównać do skutków takiego właśnie połowu z wybuchami.

Materiałem wybuchowym, służącym do wywoływania pożądanych wstrząsów był sentymentalizm patriotyczny, stałe odwoływanie się do podrażnionych uczuć narodowych polskiego czytelnika. Żeromski uprawiał to od czasu pierwszej swojej książki. Żaden pisarz polski nie wymieniał tak często słów: Polska, polski, i to przy najprzeróżniejszych okazjach czasem pozornie bez potrzeby *). (W dawniejszych powieściach ze względu na cenzurę zastępowała je pewna symbolika). Ale dla Żeromskiego ciągłe powtarzanie tych słów stanowi właściwie niezbędny element kompozycyjny.

Gdy się czyta pierwszy tom nowel Żeromskiego „Rozdziobią nas kruki, wrony” to przy wszystkich zaznaczonych już tam specyficznych właściwościach Żeromskiego — uderza bliskie, a zdawałoby się niespodziewane pokrewieństwo myślowe z Sienkiewiczem, pokrewieństwo języka z językiem Sienkiewicza oraz bliskość metod pisarskich. Silne różnice zaznaczają się dopiero później.

Podobieństwa nie są wcale błahie i wynikają z identyczności zasadniczej stanowiska, a owe różnice tylko podkreślają zasadnicze podobieństwo sytuacji obu pisarzy. Styl Sienkiewicza to styl prosty i jasny — technika jego ma specjalną przejrystość nawet tam, gdzie autor idzie na efekty ultrasentymentalne. Sienkiewicz wyraża określone zupełnie dążności klasowe i siła jego tkwi w jasnym, nieprzesadnym wyrażaniu swego świata. Reprezentuje on ideologię burżuazji z okresu intensywnej kapitalizacji pierwotnej. Jest to faza, gdy burżuazja, naiwna jeszcze przy całej swej zachłanności, nie podejrzewa nawet trudności, jakie powstaną w dalszym rozwoju stosunków, — kiedy tak zwana kwestja społeczna, strajki, ruch robotniczy, wydają się produktem zachodniego zepsucia, które na stałe nigdy nie zdoła się zaklimatyzować na szczęśliwych równinach nadwiślańskich. Odosobnione przejawy ruchu rewolucyjnego (jak partja „Proletariat”) nie wydają się niebezpieczeństwem poważnem. Dlatego Sienkiewicz może pozwolić sobie — poza zbawczemi dla narodu wspominkami historycznemi — na

*) Jest to fakt tem charakterystyczniejszy, * kontrastuje z działalnością pisarzy, którzy byli nacjonalistami stuprocentowymi jak Reymont, Kasprówicz. Ten ostatni napisał wiersz, gdzie z dumą wspomina, że rzadko używał słowa: „ojczyzna”.

sielankę i na płytki klasycyzm — nawet na taki luksus, jak analiza choroby „dziecięcia wieku”, analiza spłyconą zresztą do granic komizmu.

Styl Żeromskiego stanowi wyraźny kontrast stylu Sienkiewicza właśnie dzięki pokrewieństwu ich głębszych tendencji. Ale teren działania był odmienny. Żeromski wyraża ówczesne nowe elementy burżuazyjne, „Młoda Polska” burżuazyjna, stojąca w opozycji do tej Polski, która ukonstytuowała się w okresie poprzednim. Te nowe elementy burżuazyjne, widzą, niebezpieczeństwo, krzyczą na alarm. Nietylko to zresztą — zdobywają się na szeroki zasięg, podporządkowanie sobie pewnej części klas wyzyskiwanych — drogą swoistego kompromisu usiłują zapobiec niebezpieczeństwu nadchodzącej walki klasowej. Charakterystyczny tu jest brak tego tępo-niewinnego spojrzenia na sprawy społeczne, które cechuje rdzennego burżua — burżua, który nie ma żadnych wątpliwości co do prymatu swojej klasy i jej go trwania. Burżua taki nie czuje potrzeby prozelityzmu i nie rozumie kompromisu. Żeromski należy do typów zachwianych.

„Jasność”, „prostota” Sienkiewicza byłyby tu anachronizmem. Siłę Żeromskiego, jeden z zasadniczych warunków jego znaczenia stanowi właśnie jego zafałszowana świadomość, ukrywanie, maskowanie tendencji nawet przed samym sobą częstokroć. (Co bywa bardzo przydatne jeśli chodzi o osiągnięcie potrzebnej „czystości” i „szczerości” tonu). Uzgodnienie wewnętrznych sprzeczności, jasne postawienie dążeń byłoby równoznaczne ze zdyskredytowaniem się. Sposób pisania Żeromskiego jest taki właśnie, jaki był niezbędny na tem stanowisku. Zasadą było możliwie nie precyzować dążeń, dawać szerokie napomknienia, operować uczuciem, działać na sentyment podrażnionego patryjotyzmu i osłabiać uwagę czytelnika na konkretność zjawisk. Styl Żeromskiego z jego hyperbolizmami, bufonerją, histerycznemi wybuchami oraz małą dbałością o ład i całość kompozycji stanowi więc swojego rodzaju metodę, może napół świadomie używaną, ale zawsze metodę.

Że to nie są przypadkowe osobliwości organizacji psychicznej pisarza, że styl Żeromskiego ma swe uzasadnienie w ogólnej sytuacji społecznej dowodzi tego porównanie z pracami publicystycznymi najwybitniejszego teoretyka okresu — Brzozowskiego. Zapoznanie się z pracami Brzozowskiego wykazuje, zwłaszcza jeśli uwzględnimy odmienne dziedziny działalności, nastawienie zupełnie identyczne. Fragmentaryczność w pracy, mętność ogólnych sformułowań, nadzwyczajna chwiejność przekonań obok niezwyklej kategoryczności i impulsywności sądów — te najogólniej uznane właściwości Brzozowskiego — potwierdzają analogję z Żeromskim. Słownictwo obu pisarzy wykazuje bardzo bliskie podobieństwo. Styl Brzozowskiego jest równie hyperboliczny — ma on podobne jak Żeromski zamiłowanie do wielkich słów, kontrastów, infernalnych jaskrawości. Równie mało myśli o całości kompozycji.

Identyczność stanowiska, identyczność tendencji społecznej powoduje użycie tych samych metod pisarskich, ten sam stosunek do języka. Wyjaśnić technikę Żeromskiego tem, że był on „urodzonym lirykiem” i nigdy nie umiał nagiąć się do konieczności zawodu powieściopisarskiego*), albo Brzozowskiego tłumaczyć tem, że był on wielkim talentem ale złym pisarzem (wyjaśnienie spotykane bardzo często) — to znaczy mówić niedorzeczno-

*) Żeromski, zwłaszcza jeśli idzie o te sprawy, które go szczególnie interesowały, jak ekspresja słów, budowa zdań i t. d., miał prowadzić długotrwałe i cierpliwe studia, o jakich nie śniło się wielu jego krytykom.

ści. Styl obu pisarzy określa konieczność dyplomatyzowania z materiałem życiowym wziętym na warsztat, topienia pewnych kwestji w mętnych wnioskowościach, a wyolbrzymiania innych, unikania kontroli, zacierania śladów koncepcji, czemu pomaga minimalne zainteresowanie się całością. Cały ten aparat służy do tem pewniejszego zaskakiwania czytelnika, do przemycania pewnych rzeczy przy nastawieniu pozornie przeciwnem.

Kwestje te zresztą wymagają szczegółowszej analizy. Tu trzeba jeszcze zaznaczyć, że takie stawianie sprawy leżało w tendencjach okresu. Stoimy bowiem przed faktem wyjątkowego wpływu tych pisarzy, ich metod pisania na literaturę. W pewnych dziedzinach — z powodów zaznaczonych wyżej — wpływ ten był wprost bezkonkurencyjny. Zwłaszcza jeśli idzie o krytykę, gdzie mniej dawało się odczuć przeciwdziałanie — Brzozowski wywołał istną lawinę jałowej, bezmyślnej frazeologii, która z pustym hałasem metafizycznego żargonu, przerywanym grzmotami tragicznych słów zasypała cały prawie, z małemi wyjątkami — teren krytyki literackiej w Polsce.

Te prądy, które działały na gruncie polskim w latach wojennych i po wojnie, w prozie nie zaznaczyły się niemal niczem nowem. Na szerokim świecie obwieszczono kryzys psychologizmu w powieści — i to zostało powtórzone z absolutną bezmyślnością przez krajowych nowatorów, którzy nie pofatygowali się przeanalizować istotnego stanu rzeczy. Nie nadmiar psychologizmu, ale zlizywanie prozy, zarażenie jej do szpiku kości złym sentymentalizmem, jak również poszukiwanie egzotyizmu za wszelką cenę, łatwe szablony stylizowania, dżalektu — to możnaby zarzucić matadorom poprzedniego okresu. Psychologizm, o ile nawet był, to w bardzo złym gatunku i powierzchowny.

Czynniki wspomniane, jak zaznaczyłem wyżej, zaciążyły wydatnie na rozwoju techniki powieściowej i techniki, prozy. Należałoby tu poruszyć, sprawę „tradycji” literackiej w języku oraz sprawę ciągłości tej tradycji. Znaczna część tego, co możnaby określić, jako dorobek techniczny języka literackiego, wartość jego jako środka wypowiedzenia się, jego wyrobienie — przechodzi z jednego pokolenia pisarzy na drugie, jako pewne minimum środków formalnych. Wchodzą tu rzeczy niezmiernie trudne do uchwycenia — nie tylko kwestje wyrobienia składni, form gramatycznych, techniki obrazowania, wydobywania wartości plastycznych, muzycznych i t. p. języka — ale również pewne napięcia kierunkowe, które określają do pewnego stopnia dalszy rozwój i automatycznie niejako popychają w pewnym kierunku pisarzy.

Rozpatrzenie tych rzeczy — zwłaszcza jeśli idzie o specyficzne warunki polskie — rzuciłoby dużo światła na dotychczasowe tendencje rozwoju prozy polskiej. Z braku miejsca nie będę się teraz nad tem zatrzymywał. Ograniczę się do stwierdzenia, że pewna by tak rzec masa językowa, ustalony dorobek literacki, z którym ma do czynienia pisarz — do pewnego stopnia nadaje kierunek literaturze, niejako samorzutnie uprzywilejowując

te a nie inne tendencje *). Działanie tych czynników może być osłabione (rzadziej zupełnie zniszczone) tylko przez bardzo radykalny przełom w literaturze.

Takiego przełomu nie było. Wyżej zaznaczyłem tendencje, które działały w prozie polskiej w okresie „Młodej Polski”. Pierwsze skrzypce w powieści współczesnej trzymają autorzy, którzy wystąpili na kilka lat przed wojną i noszą bardzo wydatne cechy tamtego okresu, jak Kaden-Bandrowski, Z. Nałkowska, P. Chojnowski. Te kilka nazwisk, które pojawiły się w ostatnich latach, należą do autorów może utalentowanych, ale lawirujących raczej i bez wyraźnej fizjonomii. Aby nie rozszerzać ram niniejszego artykułu ograniczę się tu do autora, którego działalność może najlepiej charakteryzuje istniejące tendencje.

Niewątpliwie najbardziej aktywnym, najsilniejszy wpływ wywierającym stylistą jest dziś Kaden-Bandrowski. Co ciekawsze, wpływ jego manieri językowej zaznacza się nie tylko u autorów nowych, ale nawet i starszych jak Strug lub Nałkowska. Styl Kadena wychodzi konsekwentnie ze stylu Żeromskiego — z tych jego właściwości, o których wyżej wspominałem. Kaden nie jest zresztą naśladowcą Żeromskiego — pod wieloma względami stanowi wprost antytezę. Kładzie np. wielki nacisk na kompozycję całości — pod tym względem różnica jest duża. Ale to przeciwstawienie odbywa się na gruncie tradycji literackiej Żeromskiego — wychodzi z najistotniejszych założeń autora „Popiołów” w jego stosunku do słowa.

Styl ostatnich zwłaszcza utworów Kadena przyjęto charakteryzować ogólnikowo jako barokowy — nie wnikając w jego dalsze związki. A związki te właśnie prowadzą do Żeromskiego. Wyżej zaznaczyłem jakie skutki musiały wyrzucić metody Żeromskiego, hyperbolizowania obrazów, natężania pewnych emocjonalnych zestawień słownych, jednostronnego drażnienia uczuciowości czytelnika. Musiało to prowadzić do osłabienia wrażliwości czytelnika na słowo, do nieproporcjonalnie szybkiego wyniszczenia języka literackiego — do demoralizacji wyrażającej się w nieokiełznanym panowaniu frazesu literackiego.

*) Jeżeli dzisiaj o pewnych przejawach, określanych jako należące do sztuki proletariackiej, literatury proletariackiej, trudno mówić bez cudzysłowów, tak niewiele mają one w sobie częstokroć treści istotnie proletariackiej — to w znacznej mierze dzieje się tak z powodu lekceważenia, zaniedbania zagadnień formy. Temu też zawdzięczać należy fakt, że w marksowskiej krytyce literackiej spotyka się tyle lekkomyślności, błędów, a czasem wręcz niedorzeczności. Produkty nadbudowy kulturalnej przeniknięte są tendencją klasową aż do najsztubniejszych szczegółów formy ich podania. Technika pisania, sposób zażywania języka, utarte obrazowanie — wszystko to zawiera w sobie pewne momenty agitacyjne. Pisarz, uważający się za pisarza proletariackiego, który zwracając uwagę głównie na „treść”, idzie za prądem ogólnym w sposobie jej podania, wypacza zupełnie znaczenie swego utworu. Niektórzy ludzie, — należy do nich wielu robotników, — uważają, że ukulturalnienie robotnika polega na naśladowaniu sposobów bycia dzisiejszych warstw uprzywilejowanych. Jest to absurd. Naśladownictwo takie może być tylko śmieszną parodią. A przecież te pozornie drobne szczegóły życiowe, częstokroć więcej znaczą od wielkich, ileż razy nadużytych i sponiewieranych hasel.

Brak przemyslenia tych drobnych, pozornie nieuchwytnych szczegółów spotyka się na każdym kroku. Niewątpliwie, silne poczucie klasowe może te rzeczy zneutralizować, przezwyciężyć. Ale trzeba na to kłaść nacisk większy niż się to robi obecnie.

Kaden porusza się na terenie już wyczerpanym. Zna doskonale wszystkie niebezpieczeństwa „liryki” i usiłuje się przeciwko nim opancerzyć. Usiłuje okiełznać kompozycyjnie swój materiał, stuszczać, zredukować rolę jednorazowego efektu — działać masą powieściową, a nie szeregiem fragmentów. Wykpiwa „laksę liryczną” Żeromskiego. („Generał Barcz”).

Ale podobnie jak Żeromski Kaden musi się bać analizy — boi się psychologii, sprawdzenia, konsekwencji myślowych tych czy innych spraw. Boi się rozszerzenia skali porównań. Figury jego powieści mają przeważnie dobrze zarysowany charakter, są dobrze postawione, zróżnicowane należycie. Zewnętrzność ich bywa opisywana, rysowana, przerysowywana w nieskończoność. Mimika, gesty, ruchy podane są z dużym wyrafinowaniem plastycznym. Wydaje się tylko, że w ich przestronnych czaszkach tkwi nieproporcjonalnie mała ilość mózgu.

Jeśli idzie o język Kaden jest spadkobiercą okresu poprzedniego — a spadek to beznadziejnie deficytowy. Ta dziedzina odczuć, którą jednostronnie eksploatowali pisarze poprzedniego okresu jest na wyczerpaniu — Usiłowanie wydobyć z niej nowych akcentów daje wyniki niewspółmierne z wysiłkiem. Bezpośredni naśladowcy Żeromskiego doprowadzili jego technikę do absurdu. Kaden przerzuca cały ciężar zagadnienia na ruch. Wprowadza nadmiar ruchu, gestu, mimiki, rzecby można: zagęszczenie ruchu. Charakterystyczne, że ten nadmiar ruchu służy częstokroć do wymijania kwestji przez swą obfitość a zarazem nieokreśloność.

Jeszcze gdzieś *będę stał*, w nocy czy za dnia, na schodach czy na placu, jeszcze zdawać mi się będzie, że *sądzę, karzę, nagradzam, jakieś tby tępe świętym kiścieniem strącam*, czyjeś skarby *ratuję*, i natchnione dobro świata *krwawymi (!) rękami z zagłady wynoszę... Wynoszę, ciułam, pomnażam*. („Przymierze serc”). ...Bo się będę z nim o to *kłócić* w kancelarii dyrektora, w klasie, na korytarzu. *Stanę* w bramie szkoły, *zatrzymam* wszystkich wychodzących i na podwórzu jeszcze *kłócić* się będę. *Będę się spierać* o to, po drodze ze szkoły do domu” i t. d. („Miasto mojej matki”).

W ostatnim zwłaszcza urywku wielka ilość czasowników służy do markowania czynności. Nie chciałem tu analizować całego dużego urywku, ale jeżeli czytelnik zechce sprawdzić w książce przekona się, iż tezy postawione przez opowiadającego są tak bezsporne i tak niewinne, iż nikt się o to *kłócić* nie będzie^{*)}. A jednak autor ujmuje to wcale serjo.

Kaden używa obficie metafory i symbolu. Ulubionym jego sposobem jest alegoryzowanie specyficzne. Powiększa zasięg pojęć konkretnych dając pomieszenie słów abstrakcyjnych z konkretnymi: np. „rozwlekłę, dziurawę słowa” „bielmo starej ojczyzny” albo też ulubione, powtarzające się wielokrotnie łatanie losu: „strugasz, łatasz, polerujesz zużyta nędzę minionego dnia” „i jak łaty odzieży sztukuję ludzki los” „pozwól wreszcie samym, nasz los podarty łątać” i t. d.

Ale typowe dla techniki Kadena przekształcenie metafory ujawnia następująca inwokacja o Wiśle (z „Miasta mojej matki”) „Ona to, ona, czy-

*) „Otóż: 1) nie powinno być w szkole walki między uczniami, 2) podziału na bogatych i biednych, 3) różnicy ze względu na pochodzenie ucznia, czy też „rasę”, 4) wreszcie być nie powinno, by „nauczyciel przeklinał głośno swój profesorski los”. („Miasto mojej matki”, „Szkoła”).

sta *wstęga błękitna* płynie przez wszystkie myśli mojego dzieciństwa jako *wieczna kokarda radości* trwa dotąd" i t. d. Warto się nad tem zatrzymać. Widzimy tu jak zwyczajna, stara, zbanalizowana *wstęga rzeki* zawija się w kokardę. Główny wysiłek stylistyczny Kadena polega na odrzucaniu się od starego szablonu. Grunt na którym pracuje jest już spustoszony. Stąd szalone trudności, szarpanina częstokroć niewspółmierna do efektu. Np. w podanem wyżej przekształceniu metafory ztraca się zupełnie obrazowość. O ile „*wstęga rzeki*” jeszcze zachowuje, przy całem oklepaniu, ślad obrazu, to „*kokarda*” nic absolutnie nie wyraża.

Dlatego też niektóre rzeczy Kadena są tak mało czytelne nawet dla ludzi nie lękających się trudności stylowych.

Trudność jego stylu mętność, powikłanie, wielka ilość pozornego ruchu, służącego dla zamaskowania tego faktu, że właściwie nic się nie dzieje — uderza szczególnie przy znacznej dbałości o kompozycję. Ta wypaczona aktywność w połączeniu ze stale stosowanymi metodami stylowymi, o których mówiłem, prędzej czy później prowadzi do zerwania kontaktu autora z czytelnikiem, zerwania związku między życiem a literaturą. Dojdzie do tego niezawodnie pomimo nawet wszystkich najstaranniejszych obserwacji życia „na gorąco”. Rozdział ten będzie stanowił zarazem antydotum na wpływ tej literatury na życie. — Z tego punktu widzenia ma on swe strony pozytywne.

W dzisiejszej literaturze mamy do czynienia z procesem likwidacji swoistej długoletniego bagażu odczuć, sentymentów i nawyków. Kaden dlatego jest dziś taki reprezentatywny i wywiera taki wpływ, że najsilniej związany z okresem poprzednim, wyraża najpełniej ów proces likwidacji. Z dzisiejszych prozaików on jeden być może posiada ambicje stawiania poważnych zagadnień.

Kwestje w formie bardzo szkicowej poruszone wyżej wymagają bliższego rozpatrzenia — spodziewam się jeszcze wrócić do tych spraw i oświetlić je w sposób bardziej kompletny. Proces obumierania tej starej napół publicystycznej, a jednocześnie najbardziej żywotnej linii literatury polskiej stanowi fakt znaczenia ogólnospołecznego, a zarazem otwiera nowe perspektywy rozwojowe dla literatury. Wyłonia się one jednak należycie dopiero w rezultacie dokładnego zburzenia tych podstaw ideologicznych, które dotychczas służyły dla niej oparciem.



DROGI POWSTANIA JĘZYKA KLASOWEGO

S. B U R

I

Na całej kuli ziemskiej wśród wszystkich szczepów ludzkich, niema dziś ani jednego, w którymby się nie zaznaczały pierwiastki podziału klasowego. Wpływ tego podziału na powstanie „wyższych, niecodziennych” form języka, jest zupełnie oczywisty. Dowody tego przebiegać się będą nawet w „ogólno - kulturalnem”, „ponadklasowym” ujęciu.

„Każdy język, choćby wedle określenia lingwistycznego najnaturalniejszy, język pierwszego lepszego szczepu, zgola niepiśmiennego, wykazuje także ten typ, którybyśmy nazwali „literackim”, piśmiennym, czy wyższym, niecodziennym, a zatem niby „sztucznym” — stwierdza prof. Rozwadowski w art. „Językoznawstwo a język literacki” („O zjawiskach i rozwoju języka”; str. 18).

„Wszędzie jest „literatura”, wszędzie jest język także „literacki” czy „sztuczny”, wszędzie jednostka, bardziej obdarzona, wpływa indywidualnie, bo wszędzie i zawsze jest całe bogactwo nastrojów i falowań duszy, chęć wypoczynku i wzniesienia się nad szarą i ponurą powszedniość, chęć zaznaczenia swego „ja” i wzniesienia się nad innych. wszędzie są radości, bóle i ogromne tęsknoty, pragnienia swobodnej igraszki i przeraźliwe pytania o życiu i śmierci, człowieku i Bogu”. (str. 20; podkreślenia moje B.).

Ale przecież wiadomą jest rzeczą, że na najwyższych szczeblach rozwoju społecznego tylko „jednostka, bardziej obdarzona” pod względem sytuacji społecznej, posiada monopol „wypoczynku”, który nie jest koniecznym bezruchem wycieńczenia. Tylko „wznosząc się nad innych” może taka jednostka również próbować „wzniesienia się nad szarą, ponurą powszedniość” i wśród „swobodnej igraszki” rozpatrywać ze swego uprzywilejowanego stanowiska „przeraźliwe pytania o życiu i śmierci, człowieku i Bogu”. Taka jednostka, wpływając na mniej „obdarzone” otoczenie, to zn. na niższą warstwę społeczną, chętnie jej rzuci rozwiązania tych pytań, rzuci nieraz z ukrytą myślą, żeby w ten sposób uchronić szarych i ponurych od stawiania sobie pytań o mniejszej doniosłości metafizycznej, ale znacznie bardziej „przeraźliwych” dla „obdarzonych” jednostek.

Kiedy w takim społeczeństwie dokoła wyobrażeń religijnych zaczynają się skupiać elementy późniejszej t. zw. kultury duchowej, jednostki, obdarzone monopolem ich kulturowania, wytwarzają też rytuał uroczystego, sztucznego języka, niedostępnego — w praktyce, w opanowaniu — szerokim rzeszom niewtajemniczonych.

I prof. Rozwadowski, którego, jak widzieliśmy, niepodobna posądzić o skłonność do klasowej analizy procesów kulturalnych, doskonale zilustruje nasze wywody powołaniem się na wyniki badań Bronisława Piłsudskiego *) nad językiem i folklorem Ajnów:

*) Nieżyjący już brat obecnego dyktatora, zesłaniec polityczny i badacz dzikich szczepów na krańcach Sybiru.

„Cóż widzimy? Ten szczep, żyjący na Sachalinie, te dzieci przyrody, którym obce jest pismo, mają swoją „literaturę”, tak jest, rzeczywistą „literaturę”, starszą i nowszą, z najrozmaitszymi działami i rodzajami, prozaiczną i wierszową. I w zgodzie z tem język także „literacki, piśmienny”, zwłaszcza ten język starszy, z całym zasobem wyrazów, form i zwrotów, w życiu codziennem zgola nieużywanych, wielu Ajnom nawet nieznanym” (cyt. dzieło, str. 19; podkreślenia moje B.).

Mniejsza o to, że nawet u najdzikszych plemion poeta i recytatorem nie musi być sam członek grupy panującej. Kto wie, czy zawód kapłana, wogóle „ideologa”, rzemieślnika kultury duchowej nie powstał jeszcze wtedy, kiedy na miejscu późniejszych zawodów istniało tylko wyodrębnienie funkcji organizatorskich i pradawny podział pracy między mężczyzną a kobietą. Zawodowa organizacja władztwa duchowego przy boku władzy społecznej jest niezmiernie stara, utrzymywanie stróżów znicza tradycji religijnej, pieśniarskiej, językowej opłacało się z dawien dawna szczytowym warstwom społeczeństwa.

2

Tak więc język t. zw. literacki starszy jest znacznie, niż zwyczaj utrwalania słów za pomocą pisma. Pieśni homeryckie o bogach i herosach, hymny religijne Rig-wedy podawano sobie z ust do ust w ciągu szeregu wieków, nim zostały przekazane pismu. Niesamowita, majestatyczna szata językowa zwiększała urok dzieł i ich odtwórców.

Wynalezienie pisma poparło te tendencje. Z chwilą gdy pierwotne naiwne sposoby graficznego odtwarzania myśli zaczęły się przekształcać w pismo, to zn. w konwencjonalnie obowiązujący system symbolów, zostało ono otoczone aureolą religijnej tajemnicy. Genezę jego wywodzą podania zawsze z bożego natchnienia. Zazdrośnie strzeżony kastowy monopol pisma, legł u podstawy ostrego podziału językowego w rozwiniętym społeczeństwie kastowym.

Za wzór takiego społeczeństwa niech nam posłużą dawne Indie. Tam między klasą a klasą biegł mur drakońskich przepisów prawa i równoległe do tych murów biegle ostre linie graniczne języka.

T. zw. sanskryt, którym członkowie kasty bramińskiej posługują się biegle do dziś dnia, już w III wieku przed Chrystusem był językiem martwym. Rzeźbione na skałach napisy propagandystyczne buddyjskiego króla Asoki, który wtedy właśnie panował, reprezentują już znacznie młodsze od sanskrytu stadium rozwoju języka.

W dworskim, bramińsko-rycerskim średniowiecznym dramacie hinduskim, m. in. u Kalidasy, językiem sanskryckim mówią tylko mężczyźni, należący do pierwszych trzech kast, z kobiet zaś tylko braminki i hetery. Reszta osób używa różnych t. zw. prakrytów scenicznych, dialektów okresu średnio - hinduskiego. Prakryty nie występują tu zresztą w formie zbliżonej do ówczesnej żywej mowy, ale w konwencjonalnej stylizacji. Indologowie nie widzą w tej dwoistości języka znamion kultury klasowej. Dowodzą oni, że jest to raczej wpływ różnych źródeł, jakie się łożyły na powstanie dramatu hinduskiego. Powołują się przytem na analogię tragedji greckiej (attyckiej), w której chór przemawia zawsze narzeczem doryckiem i na całą poezję grecką, w której pewne rodzaje wiązały się zawsze z właściwymi sobie dialektami; to samo dotyczy np. liryki hin-

duskiej, która w okresie panowania sanskrytu w eposie i dramacie posługiwała się jednym z prakrytów — dżalektem maharasztri. Takie postawienie sprawy odsłania przed nauką wdzięczne pole badania genezy różnych rodzajów poezji w starożytnych Indjach i Grecji, w związku ze strukturą kastową różnych części tych krajów, ale w żadnym wypadku nie pozwala uznać stosunków językowych w dramacie hinduskim za rzecz przypadkową, niezwiązaną z podziałem na kasty.

Sama nazwa sanskrytu — języka ozdobnego, stylizowanego — w przeciwieństwie do prakrytów — języków „naturalnych” — uwypukla istotę tego przeciwstawienia.

3

Życie gospodarcze świata grecko - rzymskiego, oparte na używaniu niewolnika w roli maszyny, wytwarzało wśród wolnej części społeczeństwa formy nadbudowy, przypominające stosunki dzisiejsze. Dotyczy to w pewnej mierze układu stosunków językowych.

Historia nie przekazała nam języka ówczesnych niewolników. Mowa ich w oczach ludzi wolnych nie potraçała o sferę objawów językowych, godnych uwagi i utrwalenia. Była dla wolnych posiadaczy tem, czem dla rolnika są głosy zwierząt domowych, dla nas turkot maszyn i zgrzyt dźwięgarów. Z czasem poczęto używać niewolnika do spełniania pracy kulturalnej w interesie jego panów. Nie wyzwalał się on wówczas wcale z pod ucisku warstwy panującej, ale zrywał więzy łączności klasowej z warstwą niewolników. Niewolnik, jako typ kulturalny, a przeto też językowy, nie istniał poprostu dla tych, którzy mieli możność przekazywania spuścizny kulturalnej następnym pokoleniom.

W „wolnem” zaś społeczeństwie klasycznym nietylko już kult, nie-tylko mity o bogach i bohaterach zaczęły wytwarzać potrzebę wyjątkowego, uroczystego kroju szaty językowej. Cały aparat rządzenia, prawo pisane, życie polityczne i wogóle publiczne, które obejmowało również filozofję i sztukę, — wszystko to wytworzyło własny uroczysty styl, między innymi także językowy.

Wzory i martwe formuły hamowały rozwój tego języka, odrywały go coraz bardziej od codziennej, żywej mowy. I tylko członek szczupłej warstwy, obdarzonej monopolem kulturalnym, władał niezbędnym aparatem językowym, aby oskarżać i bronić w sądach, pouczać o istocie bytu, przemawiać na rynkach miast greckich czy na forum. Tylko taki człowiek mógł dawać upust swym zdolnościom artystycznym i oblekać w nakazane formy swe utwory — ku ucieście wybrańców lub ku wzmożeniu potęgi ich wpływów na szary tłum łaknący wzruszeń.

Rzecz godna uwagi, że chrystyanizm, to zn. nauka ap. Pawła i jego szkoły, narzucająca swój wyraz ideowy ruchowi szerokich mas, nie przemawiała do nich wykwinnym klasycznym stylem. Literatura tej szkoły spisana została w t. zw. „kojne”, języku potocznym, który powstał w procesie ciągłego ocierania się o siebie języków różnych okolic Grecji. Tak samo na gruncie rzymskim barbaryzmy literatury chrześcijańskiej, płoszyły wybladłe cienie klasycznych mistrzów prozy, przekreślając całą tradycję ich stylu.

Inna rzecz, że odwołując się do popularniejszych form języka, chrystyanizm od razu je literaryzował, wznosił je nieco w górę, aby i swoją

kulturę oddać w ręce zamkniętego grona, aby i jej nie pozbawiać zewnętrznego splendoru niesamowitości. Mowę codzienną ludu rzymskiego odtwarzamy drogą porównania jej pobocznego potomstwa francuszczyzny, włoszczyzny i innych języków romańskich — z nielicznymi zabytkami samej tej ludowej łaciny. Mowa ta była bardzo różna nie tylko od „złotej” i „srebrnej” łaciny Cyceironów i Wergilich, ale także od aljażu, którym się posługiwał św. Augustyn i jego szkoła.

4

Ta „zwulgaryzowana” przez rzymskich ojców kościoła łacina stała się językiem porozumiewawczym kleru katolickiego, który całkowicie oparł życie kulturalne średniowiecznego Zachodu. W hodowaniu tej martwej tradycji odbijała się ponadplemienna kastowość organizacji kościelnej. Była to nade wszystko organizacja obrony zysków, płynących z rozległych latyfundiów, i władzy na nich opartej, musiała przeto być skupiona, spoista, wznosząca się nad resztą świata ludzkiego. Skoro jednak organizacja ta potoczyła się ku upadkowi, kiedy życie duchowe tych monopolistów kultury, płynące ciasnymi ściekami scholastyki, rozplywać się zaczęło w cuchnącem bagnie obskurantyzmu, wtedy również i łacina średniowieczna zaczęła nabierać kształtów wprost karykaturalnych. Tradycyjnie wyświechtana, rozpierana wpływami języków żywych, nie imponowała, lecz już raczej śmieszyła swą obcością.

Ówczesne języki etniczne miały w średniowieczu również pewną domenę kulturalnego zastosowania. Kulturowano je w poezji rycerskiej i w krzewiącej się już wówczas literaturze popularnej. Język tych utworów odbijał dialekty różnych okolic; nie rozwinęła się jeszcze wówczas hegemonia takiej klasy, któraby stworzyła powszechnie obowiązujący język literacki z elementów języka etnicznego.

Kandydat do tej roli — mieszczaństwo, tworzyło wtedy jeszcze skupienia jedności kulturalnej u bram niejako kultury klas rządzących; silniejsze gospodarczo grupy i jednostki przedostawały się do otoczenia magnatów duchownych i świeckich, nasiąkały cechami ich kultury i zapożyczały od nich języka; reszta zbierała ochłapy, które jej ci wychodźcy przynosili.

Stan ten zaczął ulegać zmianie. W państewkach włoskich rozwój kapitału handlowego umożliwił mieszczaństwu szybsze niż gdzieindziej wytworzenie własnej kultury i własnego języka literackiego.

Zasadniczą zmianę stosunków językowych w całej Europie zachodniej sprowadził dopiero okres reformacji wraz z całym kompleksem ruchów społecznych, które go częściowo poprzedziły, towarzyszyły mu i nie uciły po ustaleniu modus vivendi między reformacją a reakcją katolicką. Ruchy te nie rozsadziły podstaw ustroju feodalnego, ale zmusiły go do kompromisu społecznego i kulturalnego z górną warstwą atakujących go klas.

Wyrazem tego kompromisu w stosunkach językowych było dopuszczenie do godności literackiej poszczególnych języków narodowych. „Narodowe” przekłady Biblii, „narodowa” literatura polemiczna najpierw protestancka, potem w odpowiedzi także i katolicka — były to zdobycze kulturalne wyższych warstw każdego narodu. Z drugiej strony w tym samym fakcie mieściła się też urzędowa kanonizacja pewnego typu wulgarnego dotąd języka. Chcąc nadać swój wyraz walczącym siłom społecznym,

trzeba było zejść ze spróchniałej łacińskiej kazalnicy i mieszać się z tłumem. Chcąc utrwalić swe wpływy wśród wybranej części tego tłumu, a zarazem dopomóc tym wybrańcom do wzniesienia się kulturalnego ponad resztę, trzeba było obdarzyć każdą taką grupę wybrańców własną, narodową łaciną.

Z takim dorobkiem językowym dochodzi burżuazja do rozprawy ostatecznej z ustrojem feudalnym. Najjaskrawszy, najpotężniejszy wybuch zogniskowanych antagonizmów społecznych, nastąpił w rewolucyjnej Francji końca XVIII stulecia.

Tu pierwotna walka mieszczaństwa przeciwko feodałom przybrała bardziej niż gdzieindziej, świecki charakter. Feodalizm monarszy oparł się w walce z feodalizmem możnowładców o dążenia górnych warstw mieszczaństwa. Stąd też sankcję literacką otrzymuje nie narodowy przekład pisma świętego, lecz unarodowiony język dworu. Dworzanie hrabiów Paryża i królów Francji mówili narzeczem paryskim. Zaczęli go się uczyć zgębieni feodałowie całej Francji, którym zależało na łaskach dworu. A za nimi w w. XVII i XVIII podąża inteligencja mieszczańska, gdzieś w ogońie drepcze wyśmiany przez Moljera mr. Jourdain („Mieszczanin szlachcicem”), który też za swoje pieniądze chce nabyć porządną szlachecką „prozę”.

Próżno żymała się szlachta na rozpasanie pp. Jourdain'ów i ich wysłanników — inteligentów w różnych dziedzinach życia kulturalnego. Próżno zamykała się w cieplarniach salonów, w których nietylko „krowa” uchodziła za wyraz nieprzyzwoity, ale nawet zamiast „lustro” omawiano: „conseiller des grâces” — „doradca wdzięków”, bo inaczej nie wypadało. Moljer — mieszczanin, tryumfujący w literaturze i świetnie operujący zdobyczami szlachecko - dworskiego języka, kpi sobie z pocziwego p. Jourdain'a, który jeszcze kulturalnie „nie zmądrzał”, nie wzniosł się ponad swój stan, ale kpi też w komedji „Les précieuses ridicules” („Pocieszne wykwintnisie”), z nędznego wybiegu szlachty, która wyparta została z szanców przewagi kulturalnej i chroni się na wewnętrzne pozycje jałowizny salonowej. Prosty lokaj w tej komedji z powodzeniem udaje pana i wyjaśnia naiwnemu dziewczęciu mieszczańskiemu, że już minął czas naśladowania języka szlachty, bo szlachta zwyrodniała wraz ze swym językiem, a mowa dobrze wychowanych panny z rodzin burżuazyjnych, jest właśnie tą poszukiwaną przez p. Jourdain'a porządną literacką prozą.

Dlatego właśnie wielka burżuazyjna rewolucja francuska nie wyrządziła większej szkody normom języka literackiego.

Gdzieindziej normy te dojrzewały i kostniały wcześniej lub później, wahały się jeszcze silniej lub słabiej. Wszędzie jednak doprowadziły do jednego: pewien typ języka miejscowego po zasymilowaniu mniej lub więcej ważkiego dziedzictwa języków panujących poprzedniego okresu (dworskich, kościelnych), obejmował funkcje swoich poprzedników, stawał się monopolistycznie zabezpieczonym od wewnątrz przewodnikiem wpływów kulturalnych klasy panującej.

RODCZENKO W PARYŻU

Z LISTÓW DO DOMU

Niżej przedrukowujemy wyjątki z listów wybitnego konstruktysty rosyjskiego, które ukazały się w Nr. 2 „Nowego Lefa”. Wrażenia te, ujęte naprędce bez żadnego opracowania literackiego, iem niemniej są niezmiernie ciekawe i rzucają światło na charakterystyczne przeobrażenie ideologiczne artystów Rosji dzisiejszej. Zawierają przytem sporo ciekawego materiału obserwacyjnego.

19 marca 1925. Ryga

Jutro, 20 marca, rano o ósmej wyjeżdżamy z Rygi do Berlina. Bilety wzięliśmy do Paryża.

Kupili mi 2 kołnierzyki i krawat, djabli wiedzą do czego jestem teraz podobny. Co będzie dalej? Lepiej było nie jechać. Jak widzisz zacząłem już nawet pisać.

Teśnię do wszystkich. Dorożkarze w Rydze podobni do Beethovenów. Jak dotychczas zagranica ta dość kiepskawa. Przyjadę prawdopodobnie niedługo.

23 marca 1925. Paryż

Jestem w Paryżu. Siedzę w mansardzie. 4 piętro. Pokój — 15 franków dziennie. Łóżko dwuosobowe; tu tak zawsze. Umywalnia z gorącą i zimną wodą obowiązkowo. Skrzypiący stół. Kawa ranna — trzy franki.

Wiosna już, okna otwarte. Ruch olbrzymi. Wysłałem dziś depeszę z moim adresem.

Pisz jaknajprędzej.

Zabrali mi wszystkie papierosy. Rzeczy są w całości, było dużo kramu na granicy. — Dlaczego okładki z Leninem? Dlaczego plakaty z Leninem? Ale nic, wszystko się jakoś ułożyło. Wogóle dużo rzeczy jest trudno wozić.

O Belgji, o Łotwie, Niemczech, Litwie napiszę osobno. Reklama w Paryżu dość słaba, w Berlinie są dobre rzeczy. Dużo oglądam, dużo widzę, uczę się i jeszcze więcej kocham Moskwę.

Wieźliśmy śnieg aż do samego Paryża. Nawet tu padał wczoraj.

Cieężko bez francuskiego języka.

Żałuję, że nie zabrałem z sobą brzytwy.

W Niemczech odbiornik z lampą kosztuje 36 marek t. j. 9 rubli.

Będę tu prawdopodobnie do pierwszego czerwca.

Chciałoby się, aby u nas był taki przemysł.

Wstają tu wcześnie — o siódmej albo o ósmej, spać idą również wcześnie.

24 marca 1925. Paryż

Obawiam się jeszcze chodzić gdziekolwiek sam jeden.

Jaki jest Paryż, to miasto szyku, opowiem po przyjeździe.

Za grosze to znaczy za 80 rubli kupiłem garnitur, trzewiki i wszelkie drobiazgi: kołnierzyki, sprzączki, skarpetki i i.

Dawny ja znikłem, niestety. Ale tutaj tak chodzić nie można.

Kobiety strzygą się po męsku, jak ty, noszą przeważnie płaszcze brązowe, obcisłe z tyłu, niedługie — krótkie suknie prawie do kolan i ciemne koloru pończochy, pantofle.

Wogóle coś w rodzaju dziewczynek. Mężczyźni — różnie, ale naturalnie nie tak, jak ja byłem ubrany.

Ruch samochodów tak wielki, że trzeba czekać na trotuarze, potem biec szybko na środek ulicy, znowu czekać i wreszcie na drugą stronę — mój towarzysz podróży w strachu biegnie za mną. Okazuje się, że ja orjentuję się w tem doskonale, a on był już dawniej zagranicą. Śmieję się z niego. Autobusy wielkie, pędzą w dużych ilościach, po 10 odrazu, przeważałem je nosorożcami.

Można powiedzieć, że koni niema zupełnie. Taksówki biorą np., jak od Poczty na Preczystienkę 6, 5 franków t. j. 40 — 50 kopiejek.

Dużo szoferów rosjan. Reklama w Paryżu zła. Niektóre pomyslane są interesująco, ale źle wykonane. Wieczorem wszystko świeci.

Mieszkam na 4 piętrze. Gorąco straszne, palą na całego. Siedzę w koszuli przy otwartym oknie.

Cieężko bez języka. Moja znajomość zaś jest kiepska — nie dam rady.

Widziałem zdaleka szczyt naszego pawilonu na wystawie. Dotychczas jeszcze tam nie zachodziłem, pójdę jutro.

Zewnątrz Paryż jest większy od Berlina, podobny do Moskwy. Zewnątrz nawet ludzie. Niemcy są już zbyt specyficzni.

Wydaje się, że dym cygar przenika wszędzie.

Grosz bardzo dobrze wykazał to, co jest najcharakterystyczniejsze w społeczeństwie berlińskim, które naprawdę jest takie.

W Berlinie byłem bardzo krótko — od 10 rano do 9 wieczorem i dlatego mało co widziałem, chociaż patrzę bardzo chciwemi oczyma.

W Kolonii byłem od 11 rano do 10 wieczorem, widziałem katedrę kolońską, od wewnątrz i od zewnątrz. Wewnątrz jest to las wyrażony przez kolumny, u góry jakgdyby listowie, a okna z kolorowymi szklami, to przeświecanie lasu w różnych godzinach dnia i nocy. Ascetyzm i jałowość, suchość niewiarogodna.

23 marca 1925. Paryż.

...Pawilon prawie gotów. Pawilon nasz będzie najlepszy w sensie nowości. Zasady konstrukcji budowy tutaj zupełnie inne niż u nas, — bardziej lekkie i proste.

Otwarcie wystawy oficjalnie w końcu kwietnia ale napewno otworzy się ją w maju. Z tego co tu nabudowano, wynika jasno, że jest o wiele słabsza w sensie artystycznym od naszej wystawy (gospodarczo - rolniczej).

Włóczyliśmy się wczoraj wieczorem i trochę w dzień po Paryżu — ku mojemu zdziwieniu, reklamę mają tak słabą, że niema o czem mówić. Reklama świetlna jeszcze niczego i to nie przez to co z niej zrobiono, lecz dlatego, że jest jej dużo i że technika jej stoi wysoko. Zaszedłem do jakiejś *Olimpii*, gdzie do rana tańczą te tam foxtrotty i i. Zrobiło to na mnie duże wrażenie. Kobiety ubrane w jedną tylko tunikę, wysmarowane, nieładne i nieskończenie okropne. To jest poprostu dom publiczny, podchodzą, tańczą i uprowadzają jaką chcą. Ale okazuje się, że to nie

Francuzi — to dla cudzoziemców zrobione zostały różne takie rzeczy, a sami Francuzi inaczej czas spędzają — jak, nie wiem dokładnie, ale w każdym razie, nie w taki idiotyczny sposób.

Wstaję o 7 rano, myję się bez końca gorącą wodą, wycieram się chłodną i piję kawę. Obiad jem gdzie wypadnie. Cierpię bardzo z powodu papierosów bez ustnika i zbieram się kupić fajkę. Teraz rozumiem, że fajkę można palić we Francji, jako najlepsze co można palić, a w Rosji fajka to tylko naśladownictwo.

Tutaj wszystko tanio, naturalnie stosunkowo (t. j. dlatego, że nasze pieniądze są drogie; jeżeli się tu będzie żyło to mniej się będzie zarabiało).

Wczoraj, gdym patrzył na foxtrottową publiczność, tak chciało się mi być na Wschodzie a nie Zachodzie. Ale na Zachodzie trzeba się uczyć pracować, organizować pracę, a pracować trzeba na Wschodzie.

Jaki ten Wschód jest prosty, zdrowy, dopiero stąd widzi się to wyraźnie. Tutaj, pomimo, iż kradną tańce, kostjumy, kolory, chód, typ, bytowanie Wschodu, wszystko — robią z tego wszystkiego taką obrzydliwość, że Wschodu żadnego w tem niema.

Tak, ale inni siedzą i pracują, i przez nich tworzy się przemysł wysokiej marki — znowu robi się boleśnie, że na najlepszych statkach oceanicznych, aeroplanach i t. p. będą i są znowu te foxtrotty, pudry.

Kult kobiety jako rzeczy. Kult kobiety jako robaczywego sera i ostryg, dochodzi do tego, że modne są teraz „kobiety brzydkie”, kobiety jak cuchnący ser, o chudych i długich biodrach, bezpiersne i bezzębne z potwornie długimi rękoma, okryte czerwonymi plamami, kobiety w typie Picassa, w typie „murzyńskim”, kobiety w typie „szpitalnym”, kobiety w typie „męty wielkowiejskie”.

I znowu mężczyzna tworzący i budujący, cały w dreszczach tej „wielkiej zarazy”, tego światowego syfilisu sztuki.

Oto do czego doprowadza. Oto jej podwójne kwiaty.

Sztuka bez życia grabiąca zewsząd i wszystkich od najzwyczajniejszych ludzi począwszy i zamieniająca wszystko to w szpital.

Będziemy jeść kał w srebrnym zawinięciu, wieszać w złotych ramach zabłocone spodnie i spółkować ze zdechłą suką.

No, rozpędziłem się, wybacz.



M... opowiadał, że ktoś tam spytał go, jak mu się w Paryżu podoba (a on był wtedy z jednym rosyjskim artystą). M... odpowiedział: „Bardzo ładnie, bardzo mi się podoba” i ujrzał, że rosyjski artysta się odwrócił. Wtedy M... go zapytał: „A wam?” Ten odrzekł „Nie” a w oczach miał łzy.

Powiadają, że są tu rosyjskie kawiarnie, gdzie siedzieć jest poprostu nieznośnie, śpiewają rosyjskie pieśni i literalnie płaczą ze zmartwienia. Powiadają, że ten kto nie może jechać do ZSRR, nie może tego unieść.

Jestem pewien, iż gdyby mi dziś powiedziano, że nie wrócę więcej do ZSRR, tobym siadł na środku ulicy i rozplakał się — „Chcę do mamy”. Naturalnie, że te dwie mamy są odmienne: dla nich to Rosja, a dla mnie ZSRR.

Od 12 do 2 cały Paryż je śniadanie, wszystko zamknięte z wy-

jątkiem kawiarni i restauracji. Wino cudowne lecz bardzo słabe. Żyję bez herbaty, absolutnie nigdzie jej nie widać podobnie jak i papierosów. Ale co dziwniejsze, nie chcę mi się nawet herbaty.

Tanio tutaj poczęści dlatego, że materiał marny, ponieważ dla nich ważne jest kupić tanio i ubrać się modnie, a gdy nowa moda nastąpi kupować nowe. Trzeba kupować produkty angielskie i amerykańskie, tam panują inne zasady.

28 marca 1925. Paryż.

...Dzisiaj włączyłem się po przedmieściach Paryża, to bardzo zabawne. Robotnicy grają w piłkę nożną, chodzą objawszy się ramieniem, grzebią się w ogrodach i tańczą w kawiarniach.

Machnąłem pieszo 15 wiorst pod górę, skąd widać było cały Paryż. Wróciliśmy do Paryża kolejką elektryczną o 9 wieczorem, zjedliśmy obiad i pili prawdziwe Chablis. Rzeczywiście w ustach pozostaje smak winogron. Bardzo smaczne. W tych dniach zobaczę fabrykę samochodów i budowę pracowni kinowej. Proponują mi bym robił dekorację do filmu.



Jest jakiś sposób drukowania na materjale, można w domu robić modne chusteczki: myślę, iż po przyjeździe urzędę ci pracownię wyrobu i drukowania różnych drobiazgów.

W kinie idzie „10 przykazań” Cecil de Mille’a, wybieram się iść. Jeżeli dawniej myślałem, że ujrzę na ulicach naszych generałów lub oficerów — to okazało się, że niema ani jednego. Oficerowie zostali szoferami, a generałowie nie wiem czem. Wogóle wielu pracuje.

Powiadają: „Francuzi są dziwnie tępi — tyle lat mieszkają w Paryżu i nie znają języka rosyjskiego”. I jeszcze tak: „Paryż to rosyjska prowincja”. Mówią, że rosjanie lepiej pracują. Prawda, że francuzieją bardzo, żenią się z francuzkami. Wystawa ma być jednak otwarta koło 20 — 25 kwietnia. Ileż tam nędzy wybudowano, — aż strach bierze!

1 kwietnia 1925, Paryż.

Trzeba będzie kupić przekłety kapelusz, ponieważ w czapce chodzić nie można dlatego, że ani jeden francuz tak nie chodzi, a na mnie wszędzie patrzą z niechęcią, myśląc, że jestem Niemcem. Ot tak.

Rzeczywiście, wszystko tu idzie według szablonu. Nawet kobiety również ubierają się zupełnie jednakowo, tak, iż własną żonę trudno rozpoznać.

Oddałem wykresy dostawcy, byłem w fabryce wyrobów drzewnych i metalowych, oglądałem maszyny.

Hotel swój poznaję po tem, że można zdaleka ujrzeć egipski obelisk na placu Zgody. Mojem marzeniem jest mieszkać w pobliżu wieży Eifla, wtedy zawsze łatwo znaleźć dom.

2 kwietnia 1925. Paryż

...Chcieli mi wczoraj dać do roboty szkice dekoracji do filmu, ale, przeczytawszy scenariusz, odmówiłem — taki banał i obrzydliwość. Zaczyna ogarniać przygnębienie. I — napewno tak, a nie inaczej — wszyst-

ko to dlatego, że wszystko to jest obce i łatwe, jakgdyby z papieru, — pracują i wyrabiają dużo dobrych rzeczy ale na co. Niewątpliwie: tu wszędzie można pracować, ale na co to. Noś kapelusz i kołnierzyki, bądź jak wszyscy, nie inny... I oto myślę czempredziej wszystko urządzić, zrobić, kupić i — co za szczęście — zbliżyć się do Moskwy. Stąd ona jest mi tak droga.

Siedzę, patrzę w okno i widzę niebieskie niebo i te rzadkie, obce, nieprawdziwe domy, wyszłe ze złych filmów. Te stada samochodów na gładkich ulicach, te obciśnięte kobiety, kapelusze.

Jakże by się chciało za kilka godzin przylecieć do Moskwy na Junkiersie.

Idjoci, jakże oni nie rozumieją, dlaczego Wschód jest cenniejszy od Zachodu, dlaczego oni go również kochają i chce im się uciekać z tego hałaśliwego papierowego Paryża na Wschód.

Ależ dlatego, że tam wszystko jest takie prawdziwe i proste.

Zanimem go ujrzał, ten Zachód, kochałem go więcej, nie widząc. Odjąć mu technikę, a zostanie parszywą kupą gnoju, bezradny i schorowany.



Nie lubię i nie wierzę tutaj niczemu i nawet nie mogę nienawidzić. Zachód jest taki podobny do starego artysty który ma dobrze zrobione złote zęby i sztuczną nogę. Oto Paryż, który mnie dawniej nie pociągał, ale który szanowałem.

Dziwne, że wszyscy pracują i, że wszystko idzie dobrze, tak jakby się chciało, aby szło u nas. Ale gdzież cel tego wszystkiego. Co będzie dalej? I po co? Doprawdy: lepiej jechać do Chin i tam leżąc, marzyć niewiadomo o czym. Zagłada Europy — nie, ona nie zginie. To co zrobiła wszystko pójdzie w ruch, trzeba tylko wszystko wymyć, wyczyścić i dać cel. Przecież nie dla kobiet robi się to wszystko.

P. mówił dziś, że Picasso bardzo mnie chce zobaczyć jak również Erenburg, powiedziałem, że za kilka dni. Są takie bardzo małe amatorskie aparaty kinowe. Widziałem aparat korespondencyjny 5 metrowy, ale nie wiem jeszcze ile kosztuje. Wogóle francuzi lubią pieniądze. Piszę bardzo bezładnie dlatego, że opowiedzieć wszystkiego nie można, a wrażenia są bardzo różne.

5 kwietnia 1925. Paryż

... Jadłem wczoraj obiad w bardzo zwyczajnej restauracji, wrażenia jak w kinie — bufetowy w kamizelce, gruby z zawiniętymi rękawami a publiczność à la apache. Rzecz interesująca, że francuski malują się bardzo mało i ubierają się niezbyt szykownie, dużo jest zupełnie nie malowanych. To przyjezdne tak przefrancużyły.

Niema żadnych niebieskich i fioletowych pudrów. Nawet jeśli kto się tak pudruje, to są to jednostki. Dotychczas nic nie widziałem na ulicach, poza napotkaniami konstrukcjami metalowymi, a tego wszędzie jest dużo i interesujących. Z wystawą mamy zamieszanie, wysyła się bez końca telegramy. M. denerwuje się, chwyta za wszystko, pije fosfor a sprawa nie porusza się z miejsc. Ciągłe listy, telegramy, rozmowy. On

jest za wszystko odpowiedzialny i za nic nie odpowiada. Bez niego nie można nic dostać, a on nikomu nie daje pieniędzy.

Niema nic interesującego, ubrany jestem w te idiotyczne kostjумы i czuję się w nich wstrętnie. I wogóle trzeba jeździć oglądać Amerykę, a nie ten babski Paryż.

Samej wystawy oglądać niema po co; nabudowali takich pawilonów, że nawet zdaleka mdło się robi, a zbliżka okropność. Nasza wystawa była poprostu genialna. Wogóle, w sensie smaku artystycznego, Paryż — to prowincja. Mosty, windy, przesuwane schody, — tak, to co innego.

8 kwietnia 1925. Paryż

... Co do aut, to się nie obawiaj, szoferzy jeżdżą bardzo dobrze i mogą momentalnie hamować. Oględziny Paryża oraz włóczęgę po nim tymczasem odkładać na później z powodu terminowej roboty. Kiedy będę swobodniejszy, rozejrzę się. W Asnières mieszka dużo robotników i ja z zadowoleniem przypatruję się jak żyją i pracują. Rzeczywiście zrobiono dla nich wiele pozorów wygód i niezawisłości, a zwłaszcza tanich przyjemności w rodzaju kawiarni i restauracji; ostatnie są zorganizowane bardzo swobodnie i wygodnie dla potrzeb człowieka miejskiego. Chciałoby mi się bardzo wejrzeć bliżej w ich życie. Ale to jest trudne. Naturalnie, masz rację — ulice są interesujące w ruchu i wieczorem przy świetle. Ta reklama, o której myślisz w rodzaju Lautrec'a — nie wiem gdzie się znajduje. Bardzo rzadkie są reklamy t. zn. plakaty, na które można jeszcze patrzeć.

Przeniosłem się na ulicę zdaje się, Arc de Triomphe. Hotel „Star”. Siedzę i piszę, pokój lepszy, z kominkiem, na kominku zegar, który nie chodzi, i 3 — lub 8 - osobowe łóżko.

9 kwietnia 1925. Paryż

Gdyśmy weszli w podziemia stacji, metro, usłyszałem pieśni, śpiewane chórem, i zdziwiłem się, ponieważ tego nigdy nie było. Wszedłszy na stację, ujrzałem odchodzące i przychodzące pociągi metro, zatłoczone przez wesołych mężczyzn, śpiewających Międzynarodówkę. Wtedy to zrozumiałem po raz pierwszy, że w Paryżu nie jestem sam. Wszystkie te kapelusze i obcisnięte zadki chodzą nad metro...

W Paryżu niedawno rozpoczęło się zapotrzebowanie na wszystko co nowe, i teraz wypuszczają tkaniny, nietylko z fantazjami, — co u nas w Moskwie tak lubią naśladować — ale widziałem również rysunki geometryczne. Takimi samymi rysunkami obite są wszystkie pokoje. Powiedz to w fabryce — przez tchórzostwo znowu cofają się wstecz. Pomimo najlepszych chęci nie mogę wysłać w terminie katalogów, dlatego, że to dotychczas jeszcze nie jest w mojej mocy, a tych magazynów nie widziałem, a nie mam czasu szukać. Znam już sporo ulic, ale jest ich tu ilość niesłychana. Jeżdżę sam autobusem, a nawet w metro.

13 kwietnia 1925. Paryż

...Byłem wczoraj... coś w rodzaju Casino de Paris. Widziałem słynną Mistinguette i ze dwa wagony gołych bab, o czym napiszę oddzielnie. A dziś byłem na Chaplinie. Nie lubię tych serów „brie” i Roquefort, zaś od ostryg, którymi się inni zażerają, dostaję mdłości. Wypróbowałem wszystkie papierosy, zatrzymałem się na najzwyczajniejszych, w guście naszego III sortu, te są najlepsze. <http://wszystcy.francuzi> również palą te...

„jaunes”, to znaczy żółte; kosztują 1 fr. 70 cent., to znaczy 20 szt. 17 kop., lub też „bleus”, to znaczy niebieskie, — 12 kop. Przywiozę na spróbowanie. Z początku i te mi się nie podobały, ale teraz już przywykłem — innych nie palę. Ubrany jestem rzeczywiście, od stóp aż do głów we wszystko nowe, prócz zegarka. Zato w Moskwie nie będę nic kupował przez dwa lata.

Syn twój biega ciągle po Paryżu, zmiata przed autobusami. Wczoraj ruch był taki, że pod wieczór stępiałem zupełnie. Niedarmo samochody ocaliły Paryż w czasie oblężenia. A powiadają, że w New - Yorku i Londynie jest ich o wiele więcej.

... Prócz tego jeżdżę w metro... rosjanie mówią na metrze, jeden plac który się nazywa „Philippe de Roule” nazywają „Filip duralej”. Na metrze za 35 centimów można jechać gdzie się chce, nawet cały dzień pod ziemią, dopóki się nie wylezie — bilet ciągle jest ważny.

15 kwietnia 1925. Paryż

...Jacy zabawni są, ci robotnicy tutaj, mówią... „po kiego diabła odwalac te wszystkie głupstwa, ja zdechnę wkrótce, a oni ciągle urządzają wystawy” i przytem śmieją się do rozpuku. Jednak francuzi to wesoły ludek.

Kiedy Herriota wylali, usiadł, śmiejąc się, obok szofera i rzekł: „No, teraz jestem wolnym człowiekiem...” Rzecz bardzo zabawna, gdy starszy robotnik, pracujący w Grand Palais, na zapytanie nasze, czy zdążymy wszystko zbudować, wskazuje na swoje barki i mówi ze śmiechem: „widzi pan, ramiona mam szerokie...”, a że całe są jak połowa moich, więc ja śmieję się do upadłego... A jednak jeżeli kto jest tu zdrowy, to tylko oni.

Tyłu paralityków jeździ po Paryżu w specjalnych wózkach. Ja się tu wydaje wielki i szeroki, jak Majakowski u nas.

17 kwietnia 1925. Paryż

Pomalowali pawilon tak, jak ja pomalowałem projekt — czerwone, szare i białe; wysłała rzecz bardzo interesująca, a nikt nawet słówkiem nie piśnie, że to ja — gdy trzeba się radzić wszyscy do mnie.

Grand Palais 6 sal, kolory doбираłem ja i znowu o mnie milczą...

Polaków i ja zrobiliśmy sale: 1) Przemysłu domowego, 2) Wchutemasa, 3) Grafiki, reklamy, architektury, 4) Szkła i porcelany, 5) Tekstyl, zrobimy jeszcze izbę czytelną i prawdopodobnie teatr.

Wogóle jestem spokojny, a niech ich tam, — ze mną tak być powinno, powinienem rozdawać to czego posiadam dużo — a czego oni nie mają na owinięcie palca. Fidlerowi pomalowałem atelier kinowe; projekt interesujący, kupił szkło i ramę. Nie miał jeszcze podobnego projektu. Jeszcze zrobimy niejedno. Zwycięży ten, kto wytrzyma...

Jeśli idzie o nastrój to siadłbym sobie do pociągu i za tydzień był bym w domu... ale... w maju myślę wyjechać na trzy dni do Londynu, to kosztuje 25 rubli. Dziwiłaś się, że w niedzielę pracują. Nie, żaden francuz nie będzie pracował w niedzielę podobnie jak w dni powszednie od 12 do 2.

19 kwietnia 1925. Paryż

... Wczoraj wieczorem wałęsałem się sam jeden, widziałem dużo kin, cyrków, cyrków i cyrków, i nie zdecydowałem się iść sam jeden, dlatego, że kas jest moc, a tuż wejścia do różnych barów i tancbud. Złe bez języka. A nasi przeważnie chodzą oglądać nagie kobiety...

Tutaj w kronice przyjęte jest powtarzanie kawałków sportowych w odwrotnym zdjęciu i z rozłożeniem ruchu.

Byłem w kinie, widziałem 10 przykazań... droga bujda... Widziałem słynny oraz Chaplina *Brzdąc* z Jackie Cooganem, to jest naprawdę godne uwagi.

Ciągle oczekują mnie w Rotondzie. Wszyscy wiedzą, że jestem w Paryżu, a ja ciągle tam nie idę — Picasso, Legèr i różni rosjanie. Myślę w tych dniach zmienić front oględzin techniki na oględziny sztuki... znajduje, że najładniejsze kobiety w Paryżu to murzynki, które służą po domach; jak one zaraźliwie śmieją z Chaplina!

23 kwietnia 1925. Paryż

... Dziś wieczorem byłem w jednym z cyrków, wszystkiego jest ich tu 4. Widziałem słynnych Fratellinich, nic osobliwego, ale, naturalnie, majstry. Uderzyło mnie co innego, mianowicie, szczególna miłość publiczności, a co najważniejsze, ich garderoba — która jest z jednej strony otwartymi drzwiami, przez które wszyscy patrzą w głąb i oknem, przez które można patrzeć, mają pięć pokoi i to jest całe muzeum rzeczy, fotografii, rysunków i t. d.

Byłem na wystawie salonu niezależnych — bzdury i nieudolność. Francuzi wyjałowili się rzeczywiście. Tysiące płócien, wszystko duby smalone, poprostu prowincja: tego nawet ja się nie spodziewałem. Rzeczywiście po Picass'ie, Bracque'u, Léger'ze pustka, niema nic. Nasi rosjanie popychają bezprzedmiotowość, przywiózłszy ją z Moskwy i oni są lepsi od innych, ale stopniowo zniżają się do ogólnego różowego smaku i wtedy nadchodzi koniec.

Zapoznano mnie z D. — niema to żadnego sensu, ponieważ on nie umie po rosyjsku, a ja po francusku, popatrzyliśmy jeden na drugiego i poszliśmy każdy w swoją stronę. Wszyscy jakoś nas ogromnie rozglądają, nas, to zn. ludzi w pawilonie, prawdopodobnie zaciekawiają ich ci tacy owacy bolszewicy.

1 maja 1925. Paryż

... Dziś 1 maja — ani jednej taksówki niema w całym Paryżu, tylko własne, ulice opustoszały odrazu. Rozumiesz, ani jednej, a wszyscy robotnicy spacerują jak w duże święto. Jest to tak przyjemne tutaj... jak wtedy przyjemnie było słuchać Międzynarodówkę.

2 maja 1925. Paryż

Siedzę i podziwiam wszystko. Durnie, idjoci — mają wszystkiego dużo i tak tanio, a oni, djabli wiedzą co, „ciągle robią miłość“. To się u nich tak tkliwie nazywa.

W kinie pracują z tem samem. Kobiety urobione przez kapitalistyczny Zachód, ich zgubią. Kobieta - rzecz — to ich zguba.

Kobiety tutaj rzeczywiście są gorsze niż ich rzeczy, wszystko zrobione na obstalunek: ręce, chód, ciało. Dzisiaj jest moda, aby nie było piersi... i żadna ich niema...

Dziś jest moda aby był brzuch — wszystkie mają brzuch. Dziś jest moda by wszystkie były szczupłe — i wszystkie są szczupłe. One rzeczywiście wszystkie są jak z żurnala.

Wojna i groźba Niemiec. Oto jedyne co zmusza ich do robienia czegoś pozątem. Inaczej wszyscyby oni „robili miłość“.

Do diabła z nimi... szybciej niż kula wypadnę z tego kraju, gdzie republika zbudowana jest na kobietach.

Przecież tu jest masa teatrów, gdzie przez cały wieczór wychodzą na scenę nagie kobiety, chodzą i milczą w drogich, ogromnych piórach, na drogich tłach i nic więcej, — przechodzą i to wszystko... różne, różne i, rozumiesz, przechodzą nagie i wszyscy są zadowoleni... „a na co to...”

Oto ich ideał — „różne” i nagie... Milczą, nie tańczą, nie poruszają się. Poprostu przechodzą... jedna... druga... trzecia... pięć odrazu, dwadzieścia odrazu... i to wszystko...

Nie mogę nawet napisać dokładnie do jakiego stopnia to jest „nic”, do jakiego stopnia to są „rzeczy”, do jakiego stopnia tu się przejawia, że tylko mężczyzna jest człowiekiem, a kobiet ludzi niema i można z nimi robić wszystko, — bo to rzecz...

4 maja 1925. Paryż

S. jest reżyserem — oto co mówi: z początku francuzi z zachwytem przyjmowali sztukę rosyjską, a potem przestraszyli się przemocą i zdolnościami rosjan. Patrzą na wszystko, podoba im się wszystko, ale się boją.

... Anglicy palą fajki i patrzą na wszystko z pogardą. Anglicy w Paryżu tak samo jak i w koloniach nie chcą znać francuskiego; a tu w sklepach napisy: „mówi się po angielsku”.

I cóż... jak dawniej nie było nic gorszego niż być rosjaninem, to teraz nic lepszego niema jak być obywatelem Z. S. S. R., ale są ale... To znaczy, że należy pracować, pracować i pracować... Światło ze Wschodu to nie tylko wyzwolenie pracy, światło ze Wschodu jest w nowym stosunku do człowieka, do kobiety, do rzeczy. Nasze rzeczy w naszych rękach powinny być również, towarzyszymi, równymi, a nie tymi czarnymi, ponurymi niewolnikami jak tutaj.

Sztuka Wschodu powinna być znacjonalizowana i racjonowana. Rzeczy otrzymują sens, zostają przyjaciółmi i towarzyszami człowieka i człowiek potrafi śmiać się, radować i rozmawiać z rzeczami. Popatrz tylko, ile tu rzeczy, które zewnętrznie ozdobione — chłodno zdobią Paryż, a wewnątrz, niby czarni niewolnicy, tając katastrofę, prowadzą swą czarną pracę, przygotowując rozprawę ze swymi ciemnocyicielami.

Majakowski ma słuszość w 150,000,000 — książki rozprósza się na kartki, rewolucyjnym tłumem rozniosą zgniłe mózgi ich twórców. Domy rozpadną się od stałego... i przemycania organów płciowych, a dwuosobowe łóżka staną dębą, wywalając zwiędłe syfilityczne ciała. No, ale ja się zafilozofowałem. Tutaj to często na mnie przychodzi.

A nasze nieprzyjemności tam w Z. S. S. R. stąd wydają się zupełnymi drobiazgami.

Nie Sterenberg i Łunaczarski tu budują — ale my.

Tu są miliony rzeczy, aż w głowie się kręci od nich, chce się wszystko kupować wagonami i wieźć do nas. Wytwarzają tak dużo rzeczy, iż wszyscy wydają się nędzarzami z powodu niemożliwości ich kupienia. Chcąc tu żyć — albo trzeba być przeciwko temu wszystkiemu, lub też zostać złodziejem. Kraść, aby mieć to wszystko.

Oto dlaczego tu właśnie zacząłem kochać rzeczy z naszego punktu widzenia. Rozumiem teraz kapitalistę, dla którego wszystkiego mało, ale to przecież opium życia — rzeczy. Można być albo komunistą, albo kapitalistą. Nic pośredniego tu nie powinno istnieć.

Co prawda, oni tu niezupełnie rozumieją, co jest rzeczą, a co surrogatem rzeczy.

I oto myśmy powinni wytwarzać i kochać prawdziwe rzeczy.

21 maja 1925. Paryż

Trzeba trzymać się razem i budować nowe stosunki między robotnikami pracy artystycznej. Nie organizujemy żadnego życia, gdy nasze wzajemne stosunki podobne będą do stosunków cyganerii Zachodu. Oto gdzie tkwi zło. Pierwsze — to nasze życie. Drugie — dobierać się i trzymać razem twardo i wierzyć jeden w drugiego... Jeśli jeden nie uznaje drugiego, czemuż wtedy będziemy się odróżniać od artystów Zachodu? — tem chyba, że tu nawet umieją dobierać i szanować niektórych...

1 czerwca 1925. Paryż

...Zrozumiałem teraz, że naśladować niema potrzeby, ale brać i przerabiać po naszemu.

... no, klub jest gotowy, przesyłam zdjęcia. Prawda, że on jest taki prosty, czysty i jasny, że nawet umyślnie nie można go zanieczyścić. Błyszcząca ripolina, dużo czerwieni, szarości... Codziennie tu przedostają się rosjanie i czytają pisma oraz książki, nie bacząc na to, że wejście zaopieczono sznurem.

10 czerwca 1925. Paryż

Na otwarciu zebrał się olbrzymi tłum robotników francuskich, którzy spotkali Krasina okrzykami: „niech żyją sowieci” i zaśpiewali Międzynarodówkę. Policja poprosiła Krasina, by wszedł do budynku, oraz rozproszyła tłum, zaś de Monzie rzekłszy: „Przepraszam, ale nie jestem upoważniony przez swój rząd do obecności na demonstracji”, odrzekł szybko.

Gdy Krasin w mowie swojej powiedział, że w sztuce wszędzie jest Lenin, ponieważ pamięć jego jest dla nas wielką, de Monzie odrzekł: „Bardzo mi przyjemnie, że wy również czcicie wielkie mogiły”...

Prawie wszystkie gazety piszą o rosyjskim pawilonie, o żadnym tak dużo nie pisano i nie piszą — jest to pewien rezultat.

T O W A R Z Y S Z

S. R. STANDE

Niema ciszy, niema spokoju w mieście!
chwilę przelotną tłamszą trąbki fordowskich pudeł —
przyjacielowi memu ręce czyjeś ku ustom podnieście,
niech mu w chaosie zgiełków cichym zakwitną cudem.

Kwiatów dajcie mu prostych: jaskrów, maków, stokroci —
wybaczcie mu, on taki zmęczony przez cały tydzień —
jemu drażnią łechtliwie czoło nawet po nocy
piżmem i heljotropem dyszące języki orchidej.

Na oklep sady przez ulice miasta —
każdej chwili coś pisze, radzi, mówi, opętanie
rwie się na wszystkie strony i tylko czas ma
z jednego miejsca na inne popędzić spotkanie.

Lufami oczu mierzy w pułki wlokących się godzin,
pod czaszką piętrzą się stoły zielone posiedzeń, —
sensacje dnia łyka, w czarne litery tłoczy je codzień,
z kanwy wypadków wypruwa wspaniały deseń.

Dławi go energia, drut o napięciu tysiąca wolt —
jaki on śmieszny! z tą twarzą wiecznie zziądaną,
gdy przegląda gazety, wszyty w kawiarni kąt,
lub z chmurą snu w oczach z domu wybiega rano.

A gdy czasem spokój mu złamie równowagę dnia:
sale obrad zmieniają się w maskowe rauty
i z jakichś głębin nieznanych, z morskiego dna,
wypływają w czas burzy zatopione dreadnoughty;

na pokładach tłum stoi topielców — domaga się głosu —
pięści jak reje podnosi i woła o słowo!
a mój przyjaciel, choć słów rozrzuca codzień dosyć,
tego jednego szuka i próżen wraca z połowu;

wtedy się tuli do czyjejs pod głównym masztem wiszącej ręki —
bezludem drżących półsłów zbawia się w dotyku
i patrzy w czyichś oczu podłużnych przydymiony błękit,
gdy nagle wie: na piątą ma oddać gotowy artykuł.

Więc z pasją rzuca na papier słowa ostre, rozumne
i znów jak motor pracuje jasny przeraźliwie mózg —
a w drukarni o piątej rosną czarne kolumny,
przecięte jemu tylko znaną linią czyichś ust.

O szóstej znów będzie plątał się w postronkach ulic
przemówi na wiecu pod zakładami amunicji
aż mu ktoś krzyknie brutalnie: gębę stulić!
dokądś go poprowadzą w asyście policji —

Po drodze rozwiąże równanie o trzech niewiadomych:
x — skłębione, światem przygniecione morze,
y — wlokący się nad niem dni codziennych płomyk,
z — słowo, którego szuka i znaleźć nie może;

potem go cisza z nóg zwali i na wznak położy,
na sztabach kraty obliczy, ile mu czas jeszcze winien?
aż nagle jakiejś nocy drzwi się otworzą,
dozorca poda mu klucz - słowo

jedno — jedyne.

P L A K A T

Krzycz wyj wrzeszcz pluź ostrą śliną na chodnik
wściekłą mordę rozdziaw na wszystkich murach
zgrzytaj zębami liter i gryź przechodniów
aż ci ulegną w hołdzie i krzykną hurra!

Klinami wykrzykników wbij się w mózgi upartych
bomby kropek niech z hukiem pękają nad miastem
śrubami pytańników wkręć się w oczy otwarte
linją w pierś uderz przeraż zygzakiem jasnym

ogłoś z tysiąca armatnich wystrzałów siłą
że najlepsze są wyroby fabryki Plutos!
zmuś miasto by wszystkie inne zniszczyło
a wroga pogrzeb zdław go i ukorź

stań nad miastem wspaniałej wódz awantury
rzuć rozkaz: wszyscy na wystawę radjową!
niech opuszczą dom szkoły urzędy i biura
niech są gotowi płacić za „Point Bleu” głową

zwołaj na plac Kercelego robotniczy wiec
pięściami słów trzaśnij w policyjne hełmy
wydzieraj się wydrzyj ponad głowy wleć
w kamieniach serc wyrźnij cudowne gammy

wstrzymaj motory krzykiem: żądamy amnestji!
białym murem więziennym wyrwij się z czarnego tła
przewal się groźnym tłumem przez środek jezdni
niech się bestja w człowieku uciszy i niech serce łka

niech ludzie drżą przed tobą i w proch niech się kruszą
bądź jak legja zawsze gotowa iść w atak
nic że się wściekasz ty masz wielką duszę
krzycz wyj wrzeszcz ostrą śliną pluź

P L A K A T!!!

<http://rcin.org.pl>



PRZYJACIEL MIKADA

W. KAWERIN

Czyż nie wszystko jedno, gdzie się zdarzyło to, co się zdarzyło Kato Sadao. Pokój, który zajmował, pomimo wyszukanego umeblowania, przypominał salę więzienną systemu Saint-Gilles: okna były dostatecznie duże, żeby, umierając, spojrzeć w niebo. Poprzez matowe zasłony rozpościerała się nieskończoność. Za oknami, w nieskończoności, kołysał się żółty kisiel, udający mgłę; za mgłą leżało miasto. Miasto nazywało się Londyn. Zresztą, bardzo możliwe, że miasto nazywało się Chicago.

Kato Sadao był szpiegiem. To nieścisle. Kato Sadao był vice-hrabią Kato Sadao. Zjadliwy Japończyk, mała, suchoreka małpa z obwisłymi uszami, z brudnymi kosmykami wąsów nad chytremi ustami... W latach siedemdziesiątych, gdy głodujący samuraje walczyli bez powodzenia o władzę, był ranny. W latach siedemdziesiątych Japończycy walczyli strzałami. Strzała trafiła w rękę, rozerwała ścięgno. Ręka uschła. Teraz był to pomarszczony, krzywy haczyk, na który w ciągu dwudziestu lat starał się naśladować Europę.

Nie buntował się więcej, cenił lewą rękę i wiedział doskonale, że armia japońska od łuku i strzał doszła do karabinów maszynowych.

Był szpiegiem. Ależ, nie! Był prawomocnym przedstawicielem swego kraju w mieście, które leżało za masą kołyszącego się, żółtego kisielu.

Kisiel dyszał za oknami i bez powodzenia udawał mgłę.

Różowy blankiet telegraficzny wisiał i kołysał się w zdrowej ręce Kato Sadao.

Były na nim wydrukowane tylko dwa słowa. Pierwsze wydawało się Kato szlafrokiem szpitalnym, drugie — odgłosem bębnow, który się wdziera do uszu powieszonoego: worek zarzucony na głowę, mlecz pacierzowy rozerwany namydlonym stryczkiem.

Zadzwonił. Nakrapiana portjera drgnęła, odsunęła się na bok. Młodzieniec uklonił się od progu, wszedł szybko, smoking automatycznie poruszył mu się na ramionach. Zatrzymał się o dwa kroki przed vice-hrabią.

Kato spojrział na niego, podniósł brwi.

— Cesarz umarł — powiedział chłodno — proszę, niech pan to przeczyta, panie Matamura.

Sekretarz w milczeniu spojrział na depeszę. „Tak, cesarz umarł — pomyślał sobie — cesarz umarł, cóż...”

Cesarz umierał sześć lat. Sześć lat temu zwarjował. Karmiono go łyżeczką, cierpiał na chorobę dziecięcą. Żył tak długo, że można było pomyśleć: wrogowie Japonii sprzedali jego śmierć Anglikom, na przydatek do kopalni miedzi, albo do nafty sachalińskiej.

— Cesarz umarł — powtórzył obojętnie Kato i wcisnął głowę w ramiona — to znaczy, że pan mówi z trupem. Otóż to, mówi pan z trupem, panie Matamura. Niegdyś byłem jego bliskim przyjacielem. Obowiązkiem moim jest pójść w jego ślady.

Sekretarz zmęczył się w ciągu tej nocy. Ta mgła za oknami, nakrapiane portjery...

Majaczyła mu się różowa noga kobieca od biodra do pięty. Nie spał trzy doby.

„Pójść w jego ślady, to znaczy — zarżnąć się, to zabawne”, pomyślał leniwie... I w myśli wzruszył ramionami.

— Będę sobie uważał za wielki zaszczyt... Niech mi pan wybaczy moją śmiałość, brak wychowania — odpowiedział z machinalną grzecznością — lecz jeżeli będę mógł wyświadczyć panu przysługę, będzie to dla mnie niezaskuszoną zaszczytem. Stanowczo, nie jestem godzien tego zaszczytu... („Zaszczyt, zaszczyt — o czym ja mówię?” — pomyślało mu się niezrozumiale).

Nie powatpiwam o pańskiej uczynności — mruknął Kato — wiem, że pan zawsze gotów mnie zarżnąć, jeżeli się zdarzy po temu okazja.

Sekretarz zmarszczył brwi, ramiona pod smokingiem poruszyły się w górę i opadły w dół. Vice-hrabia żartował, ale żartować tak, gdy cesarz umarł — nie wypada.

— W tem rzecz, że chce mi się żyć, panie Matamura — rzekł vice-hrabia w zamyśleniu — żal, rozumie pan; cóż, śmierć jest bezcelowa.

— W każdym bądź razie jestem do pańskiej dyspozycji — rzekł sekretarz matowym głosem i przypomniał sobie zdarzenie z Takutomi. Przyjaciele jego, leaderzy Kensejka, przyszli do niego z wizytą. Takutomi uważał piętnastominutową rozmowę z nimi za czas mile i pożytecznie spędzony. Gdy odeszli, znalazła się w pokoju mała, złota trumienka, w której leżał pugiński. Była to grzeczna i pełna szacunku propozycja zarżnięcia się. A Takutomi...

„On, zdaje się, rzeczywiście się zarżnął — myślał powolnie sekretarz — chociaż nie, odesłał trumnę na pocztę, do zużytkowania nieznanemu... Nie zarżnął się, zabito go”.

Kato mówił nie mniej niż pół godziny, a on nie słyszał ani słowa. Gdy się wkońcu wsłuchał, przraziła go twarz vice-hrabiego. Twarz była płaska jak cień i zielona, jak zielona farba.

— Nie chcę, żeby mój kraj żywił się padliną — ciągnął Kato ochryplym głosem — jestem synem dajmio, rodem z Kagosziny, a Europa mnie

otrula. Jesteśmy otruci, panie Matamura, gdziekolwiekbym pojechał, wszędzie to samo. Oni zniweczyli przestrzeń, pożarli czas, a teraz i to i tamto okazało się trucizną. Dwadzieścia lat nie widziałem Japonji, odczyłem się umierać w Europie.

Spojrzał na sekretarza i zamilkł.

— Gdzie pan spędził tę noc, panie Matamura?

Sekretarz ściągnął wąskie oczy ku skroniom, zacisnął zęby. Vice-hrabia jest chory, potrzebuje doktora, a jednak, zdaje się, zadaje obrażające pytania...

— Będę sobie uważał za wielki zaszczyt — mruknął z chłodnem uszanowaniem — prosić pana o pozwolenie niedawania odpowiedzi na to pytanie. Oprócz tego, pozwolę sobie mniemać, iż jest pan trochę niezdrów, ma pan wygląd zmęczony, chorobliwą cerę.

Mała małpa, ze skrzyconą, szerniącą ręką skurczyła się w swym fotelu, nieoczekiwanie wyprostowała się, ze stukiem oparła ostre łokcie na stole.

— Byłem gotów oddać życie za cesarstwo... — rzekł Kato zapalczywie. „Był gotów...” — pośpnie zauważył sekretarz.

— Ale cesarstwo i tak przepadło. Słońce wschodzi na zachodzie, a nie na wschodzie. Zaczyna mi się wydawać, że o wiele rozsądniej byłoby zginać pięćdziesiąt lat temu pod sztandarami starego Sajigo. W tem rzecz, że teraz już jestem za stary, ażeby nie cenić życia. Jak pan sądzi, panie Matamura?...

Wzrok jego padł na depeszę, przypomniały mu się dachy koloru martwych liści, różowe drzewa brzoskwiniowe, fioletowe góry Szymbaru.

„On się lęka, tak, tak, on się boi śmierci, jest przestraszony; to, zdaje się, hańba”, pomyślał sekretarz z pewnym niesmakiem. Natrętny uśmiešek oddawna już zrywał się i skakał mu w piersi, Matamura był rozstrojony, obawiał się, żeby nie zapłakać lub nie roześmiać się. Lecz nie on się roześmiał, roześmiał się Kato.

— He-he! Syn dajmja jest, zdaje się, przestraszony? — chrypiał ze śpiwnym akcentem japońskim. — He-he. Prostý przypadek, nie zabrał ze sobą rodowego miecza, żeby wypruć kiszeki. Czyż on nie przewidywał, że cesarz może umrzeć, że nie wypada nie zarznąć się?...

Czyż nie wszystko jedno, kiedy się zdarzyło to, co się zdarzyło Kato Sadao. Okna były dostatecznie duże, żeby, umierając można było spojrzeć w niebo. Za oknami... Za mgłą... Miasto nazywało się... Otóż właśnie on, Matamura, nie mógłby powiedzieć, jak się miasto nazywało. Znadto zmęczył się tej nocy, a oprócz tego w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć... Plamy i kropki, zerwawszy się z portjery, z przykrą dokładnością krążyły wokoło, majaczyły mu się karty, i Matamura, niewiedomo dlaczego, musi za wszelką cenę obserwować ten nużący kołowrót. Tak, trzeba by zasnąć... zasnąć chociażby na godzinę, na pół godziny, ale właśnie nie można... Cesarz, zdaje się, umarł, vice-hrabia, zdaje się, zwarjował.

— Jeszcze nie zwarjowałem — ponuro, omal że nie nieprzytomnie mówił Kato — mogę wyliczyć wszystkich cesarzy wszystkich wielkich dynastyj, wiem, która godzina, widziałem śmierć admirała Nogi, widziałem, jak płakali samuraje w roku sześćdziesiątym ósmym...

Niespodzianie uśmiechnął się, wykrzywił usta i poufale mrugnął na sekretarza.

— I tem nie mniej nie chcę umierać. Tak, tak, byłem jego bliskim przyjacielem, zarżnąć się jest moim obowiązkiem, naturalnie, ale ja mam dużo obowiązków, o jeden więcej czy o jeden mniej, czyż to nie wszystko jedno, panie Matamura?

— Będzie to dla mnie wielkiem zaszczytem, jeżeli z całym uszanowaniem przypomnę panu, że obowiązki bywają różne — rzekł sekretarz z nieoczekiwaną dobitnością.

„Zdaje się, że powinienem go zabić, on obraził cesarza”, pomyślał mętnie i znów próbował przypomnieć sobie... „Coś się zdarzyło, tak, coś się zdarzyło tej nocy, cztery czy pięć godzin temu”.

— A jeżeli się zarżnę, co się wówczas z panem stanie, panie Matamura? — Kato z ironją machnął uschniętą ręką. — W tem rzecz, że pan się rozpije, pan prowadzi straszne życie: kobiety, hazard, pijaństwo. Gdybym pana poprosił o asystowanie mi przy takiej operacji, być może, iż straciłby pan przytomność, panie Matamura?

Sekretarz drgnął, ramiona pod smokingiem, jak na manekinie, poruszyły się w górę i w dół.

— Będzie to dla mnie wielkim zaszczytem, jeżeli z całym uszanowaniem wyjaśnię panu — powiedział dobitnie — że gdyby cesarz był moim przyjacielem i bratem, i gdyby mój przyjaciel i brat umarł, nie namyślałbym się tak długo nad tem, czy mam podążyć w jego ślady, czy też nie.

Kato powstał i odetchnął głośno. Jego ukośne oczy przymrużyły się, dolna szczeka wysunęła się naprzód, nad nią, jakgdyby w powietrzu, zawisły białe kosmyki wąsów.

— Wezwałem pana nie poto, żeby mi pan opowiadał o swych przekonananiach. Wezwałem pana poto, żeby mu zakomunikować, iż mikado umarł... Proszę przejąć sprawy. Składam wszystkie me tytuły, order, rangi i odznaczenia. Darowuję je panu. Może je pan sprzedać do muzeum brytyjskiego, zastawić w lombardzie, przegrać w ruletkę, zapłacić niemi kobietom, z którymi spędza pan noce. Odchodzę. Może pan odpowiedzieć do Tokjo, że cesarz, zdaniem byłego vice-hrabiego Kato Sadao, umarł sześć lat temu, wtedy, gdy zawarował, że były vice-hrabia spóźnił się... spóźnił się z samobójstwem, a teraz uważa to za niezupełnie wygodne dla siebie.

„Naturalnie, że powinienem go zabić — pomyślał sekretarz leniwie — on mnie obraził, obraził cesarza i, zdaje się, że obraża Japonję...”

Włożył rękę do tylnej kieszeni od spodni. Mętne wspomnienie wciąż jeszcze mu dokuczało. To wspomnienie było różową nogą kobietą od biodra do pięty, chociaż nie, to było coś innego, coś, czego nie można było zobaczyć, ani wziąć w rękę. Data, list, wiadomość z historii?

„Cóż to takiego może być — myślał uparcie — to coś tam, w Japonji... Chociaż nie, to się zdarzyło tu... I nie cesarz, coś zupełnie innego...”

Kato wyszedł z sąsiedniego pokoju, ubrany w kraciaste palto podróżne, z małą walizką w ręku. Wielkie, okrągłe okulary zmieniły go, szedł, stąpając twardo, wciskając głowę w ramiona.

Sekretarz, chwiejąc się zlekka, poszedł za nim. Wyciągnął z kieszeni rewolwer, niklowany, nieoczekiwanie lekki.

Plecy Kato, ostre plecy, wyschnięty kark pod kratkowanym kołnierzem, bez pośpiechu kołysały się we drzwiach; nakrapiana portjera ze zdumiewającą, zdawałoby się, powolnością odsunęła się na bok.

„Tak, tak, powinienem go zabić — myślał Matamura uspakajająco — właśnie tak, od razu tak pomyślałem: zabić... i gdybym sobie jeszcze przypomniał...”

Palec znalazł kurek. Sekretarz podniósł rękę, zgął ją w łokciu i zatrzymał się. Kratkowane plecy oddalały się. Matamura spojrział na oślepiający rewolwer i w zamyśleniu schował go z powrotem do tylnej kieszeni od spodni.

— Przypomniałem sobie nareszcie — mruknął z mętną wesołością — proszę zaczekać, vice-hrabio. Odchodzę razem z panem... Tej nocy... Sprzedałem nasze papiery urzędowe, wszystko przegrałem tej nocy... Jeżeli nie uciekniemy, to i tak nas zarżną.

Pzelożył W. B.

O PŁASKICH DACHACH

„C—A” (Moskwa) w Nr. 4 przytacza wynik ogłoszonej w Dessau ankiety o płaskich dachach. Odpowiedzi, ilustrowane przeważnie rysunkami technicznymi konstrukcji już wykonanych, nadesłali architekci niemieccy E. Mendelschon, L. Hibersheimer, Schneider i inni, Dud i van Laghen z Holandji oraz Le Corbusier. — Rezultat ankiety da się streścić następująco: dachy płaskie można stosować nie tylko w klimacie umiarkowanym lecz i surowym kontynentalnym; materiały użyte do krycia winne być w dobrym gatunku a wykonanie bardzo staranne; koszt krycia większy, lecz za to niewątpliwa długotrwałość, łatwy remont i możność wykorzystania dachu na tarasy, ogrody, solarja i t. p.

Jako warstwę izolacyjną stosują wymienieni architekci materiały ogólne znane, jak tektura smołowcowa, gudsonit, piksolit, asfalt i t. p.; winne być one przyklejane do powierzchni możliwie gładkiej gorącą smołą pogazową lub podobnymi do niej złożonymi spoiwami. W razie konieczności urządzenia na dachu tarasu lub ogrodu należy warstwę izolacyjną zabezpieczyć od uszkodzeń mechanicznych przez pokrycie jej warstwą piasku i żwiru, posadzką terrakotową, cementową lub klinbierową. Jako izolację cieplną w dachach, będących jednocześnie stropami nad pomieszczeniami mieszkalnymi, używane są albo płyty korkowe, albo — w Niemczech — płyty z torfoleum (prasowany miał torfowy i piasek) albo wprost warstwa powietrzna. Ważnym punktem jest osadzenie wlotów rur spustowych i połączenie poziomej płaszczyzny dachu z pionową przylegającej ściany; przeważnie doradzają uszczelniać je ołowiem *) Le Corbussier twierdzi, że w klimacie o obfitych opadach atmosferycznych i dużych różnicach temperatury dla budynków z ogrzewaniem centralnem (ogrzane poddasze), najpraktyczniejsze są dachy płaskie, jako mające pokrycie szczelne i nieprześciągliwe; doradza również w ustawienie rur spustowych wewnątrz budynku, gdyż przez to unika się zatkania wlotów lodem, powstałym przez zamrażnięcie wody z topniejącego w dolnej swej warstwie śniegu.

*) Van Laghem uważa, że najracjonalniej byłoby przeciągać warstwę izolacyjną po przez ściany zewnętrzne aż na gzyms okopowy.

POZGONNE SUPREMATYZMU

(Wystawa retrospektywna Kazimierza Malewicza w Warszawie).

Wystawa Kazimierza Malewicza w Polskim Klubie Artystycznym (koniec marca i początek kwietnia), charakter jej i tendencje żywo przypominają mi pierwsze kroki modernizmu w Polsce, który debiutował również w Klubie Artystycznym. Był to okres osobiście dla mnie bardzo bliski (lata 1919 — 1924), okres formowania się polskiego modernizmu, którego założenia podjęli później (poza jego twórcami) i inni jeszcze ludzie — inne formy nadali mu — lecz który wtedy *powstawał*.

Rozpadał się podówczas „formizm”. Schodził z areny artystycznej działalności Leon Chwistek; Tytus Czyżewski coraz bardziej popadał w ludowy prymitywizm — jedynie najzdolniejszy z formistów Kamil Witkowski twardo stał przy głoszonych przez siebie założeniach, które konsekwentnie rozwija po dzień dzisiejszy.

W tym to czasie grupa „najmłodszych” doprowadziła do krańcowości niektóre z istniejących już w formizmie zagadnień formalno-plastycznych — oraz występowała samodzielnie z zupełnie nowymi — obcymi dotychczasowej sztuce polskiej hasłami. W roku 1924 Teresa Żarnowska dała inicjatywę do zjednoczenia się w grupie p. n. BLOK. (Marzec 1924 — pierwsza wystawa grupy i pierwszy numer pisma programowego tejże nazwy).

Dzisiaj mamy 1927 rok. W grupie „Blok” zaszły rozłamy — stanęły przed nami inne cele i inne zadania.

Lecz dla naszej małej z przedblokowego okresu — grupki, nie znającej podówczas zachodnio i wschodnio-europejskiego suprematyzmu i konstruktywizmu — *które to jednak kierunki odkrywaliśmy zupełnie niezależnie od wpływów zzewnątrz* — powtarzam — dla nas paru osób retrospektywna wystawa Malewicza jest echem i wspomnieniem naszych własnych poszukiwań i usiłowań z lat 1919 — 1924.

Wystawa Malewicza jest na naszym terenie o kilka lat spóźniona.

Kazimierz Malewicz jest twórcą wschodnio-europejskiego suprematyzmu. Malewicz pierwszy postawił problem malarski: płaskość (jako konsekwencja technicznych możliwości materiałów malarskich).

Suprematyzm jest drugim (po kubizmie) krokiem ku stworzeniu obrazu — dla obrazu — obrazu jako rzeczy samej dla siebie — „organicznie różniącej się od otoczenia”.

Tak postawione zagadnienie obrazu (pokrywające się z hasłem: „sztuka dla sztuki”) prowadziło do dążenia zamiany realistycznego malarstwa muzealnego na *abstrakcyjne malarstwo muzealne*.

Kazimierz Malewicz jest wyrazicielem tego dążenia.

„Suprematyzm zrywa ostatecznie z deformowaniem natury. Płaskość. Abstrakcjonizm. Geometryzm form wynikający z geometryzmu blejtramy (Blok Nr. 1). Suprematyzm nie wszystkie powyższe postulaty w praktyce zrealizował.

Przedewszystkiem nie mógł osiągnąć (rzeczy nieosiągalnej) — bezwzględnej płaskości.

W obrazach suprematystycznych malowanych nawet wyłącznie jednym kolorem (np. białym) poszczególne fragmenty obrazu różnią się między sobą jednak fakturą, t. j. sposobem nakładania, gdyż np. chropawa powierzchnia jednej części obrazu wchłania w siebie światło, szarzeje — w przeciwieństwie do polerowanej sąsiadki, która odbija światło — jaśnieje. Dwie te płaszczyzny różnią się więc stopniem nasycenia przez światło i dają złudę trójwymiarowości.

Wschodnio-europejski suprematyzm (Malewicz i inni) nie zamyka obrazu ramami — poza nie wydiera się tło, które potraktowane jest jako czysto materialny środek techniczny, utrzymujący na sobie kompleks geometrycznych form — będących w ścisłej zależności między sobą. Tę błędnie unika suprematyzm powstały na zachodzie, a stojący na pograniczu konstruktywizmu (Mondrian i inni). Również pewnego rodzaju literackość, wynikająca z działania zestawień abstrakcyjnych kształtów, rzuconych na niezwiązane z nimi tło — jest cechą wyłącznie wschodnio europejskiego suprematyzmu.

Przystąpmy do oceny prac Malewicza. Przypominając wartości odkrywcze jakie on wnosi jednak w perspektywie historycznej, stwierdzić musimy, iż Malewicz *nie umie komponować obrazu*. Obraz jest rzeczą zamkniętą w sobie — granicami jego są ramy — w ramach tych Malewicz nie umie zakomponować płaszczyzny obrazu: stwarza konflikt między tłem obrazu, a rzuconą nań kompozycją abstrakcyjną. Odbija się to na całym kierunku, stworzonym przez Malewicza — suprematyzmie. Już w obrazach Malewicza z okresu przedsuprematystycznego — uwydatnia się wyraźnie brak umiejętności kompozycji. Jaskrawym zwłaszcza dowodem tego są dwa pejzaże stylizowane nieco à la Cézanne. Oba obrazy nie mieszczą się w ramach, które przy nich są czemś przypadkowym, zaś granica, którą powinny określać płaszczyzny obrazów — jest wręcz fałszywa. Każdy z tych pejzażów może być dosztukowany, co wyszłoby mu nawet na dobre. Obrazy Malewicza z okresu wczesno-kubistycznego są jako takie — wręcz słabe. Są one zbiorowiskiem różnorodnych elementów, słabo związanych z sobą — luźno pomieszczonych w ramach.

Wczesny kubizm *budował* obraz z poszczególnych elementów płaszczyzn — od ramy ku środkowi jego powierzchni.

Malewicz w okresie tym zrozumiał z całego procesu — powierzchowną grafikę linearną kubizmu, istoty kubizmu nie zgłębił — poprzestał

na *wrażeniu*, jakie odniósł od dzieł kubistycznych. (Dowodem tego jest obraz namalowany pod *wrażeniem* słynnego „Mówcy” Picassa + *wrażenia* z obrazów futurysty Severiniego).

Charakterystycznym rysem dla psychologii Malewicz jest wstręt do słowa „konstrukcja” w zastosowaniu do dzieła sztuki. Jest on romantykiem, miłującym jednocześnie walory malarskie same dla siebie. Malewicz uzmysławia swoje wzruszenia artystyczne w kształtach abstrakcyjnych (zaniedbanych poniekąd w formie) nie umiając zaś z surowych elementów czysto plastycznych stworzyć całości obrazu — szuka ratunku. W literackości i mętnej metafizyce znajduje materiał z pomocą którego lepi całość swych obrazów — niedostatecznie związanych pod względem czysto formalnych założeń plastycznych. Następcy Malewicz robili suprematyzm znacznie lepiej od niego.

Zasługą suprematyzmu jest to, iż wzbogacił on sztukę o pewne nowe możliwości plastyczne i że skończył się.

Poza obrazami Malewicz wystawił wykresy graficzne — stanowiące próbę teoretycznego ujęcia historii zagadnienia formy w malarstwie, a 25 marca wygłosił odczyt, w którym mówił o sobie i swych poglądach na sztukę. Malewicz przeciwstawił się stanowczo „użyteczności sztuki”. „Sztuka dla sztuki”, obsługuje ją kapłan-artysta, a życiu wara czegośkolwiek żądać od jednej i od drugiego. Nad wywodami tego rodzaju (wygodnemi zresztą dla pewnego gatunku artystów, bo usprawiedliwiającymi ich bierność i lenistwo w stosunku do spraw społecznych) należy czemprędzej przejść do porządku. Wzamian chcę zwrócić uwagę p. Malewiczowi na pewne, powiedzmy, pomyłki, które zakradły się do wykresów.

Więc 1-o fotograficzny montaż — mający wyobrażać elementy obrazów futurystycznych — nie daje żadnego pojęcia o zasadzie budowy obrazów futurystycznych. Polegała ona na odtworzeniu wielości wrażeń odbieranych od otaczających i przenikających nas zjawisk na pewnej przestrzeni i w pewnym (dłuższym lub krótszym) okresie czasu. Z tej wielości zjawisk futurysta starał się środkami malarskimi dać jednoczesność zjawiska obrazu — (kojarząc najsprzeczniejsze elementy (niemożliwe nieraz do wyrażenia środkami malarskimi)).

Malewicz pokazał nam zamiast tego — parę ułożonych obok siebie fotografii — wyobrażających maszyny, balony, salę tańca i t. p.

2-o gama kolorowa Légera — wręcz fałszywie przedstawiona itd. itd.

Spekulacje mistyczno-teologiczne, w ramy których Malewicz usiłuje zamknąć swą koncepcję sztuki oddziaływały deprymująco i na jego przedstawienie kwestji techniki artystycznej.

Załączony na następnych stronicach wykres ilustruje nasz stosunek do tego rodzaju sztuki jaką uprawia p. Malewicz i jemu podobni artyści.

M. Szczuka.

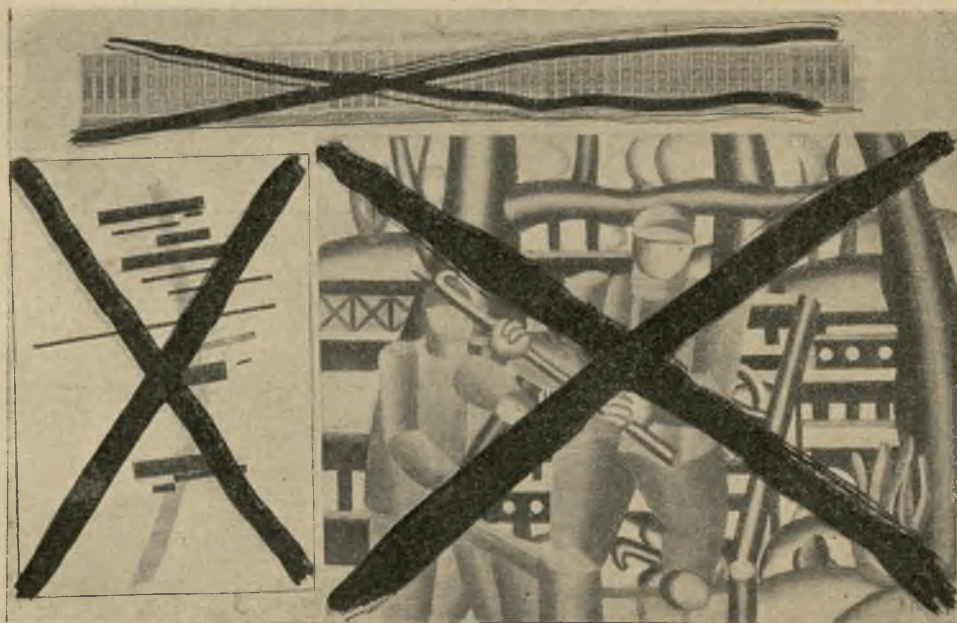
**N O W A
SZTUKA**

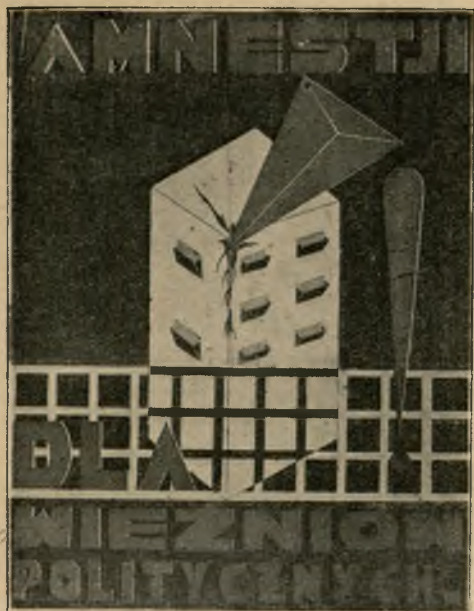


NALEPKA

SZTUKA
DLA
SZTUKI

S Z T U K A
U T Y L I T A R N A

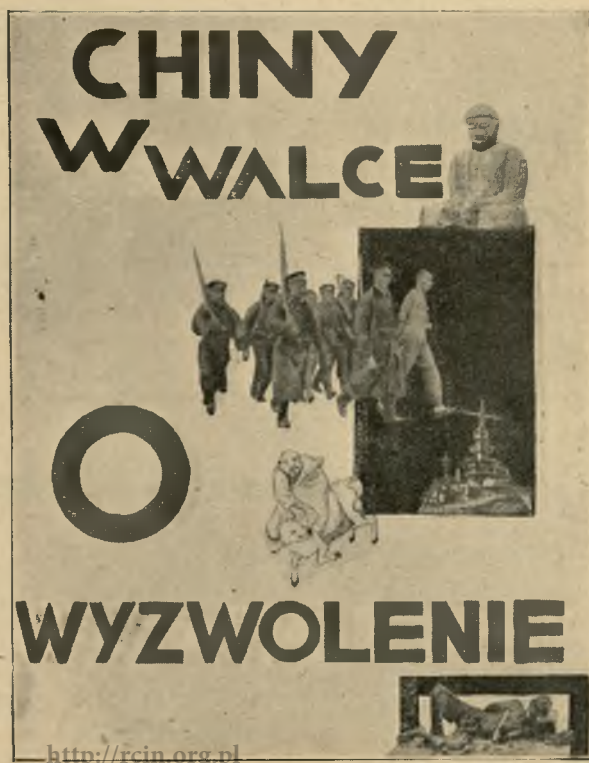




PLAKAT



TYTUŁOWA STRONA
JEDNODNIÓWKI



OKŁADKA KSIĄŻKI

TYP MIESZKAŃ WIĘNCOWYCH

PROJEKT PIERWSZY

opracowali:

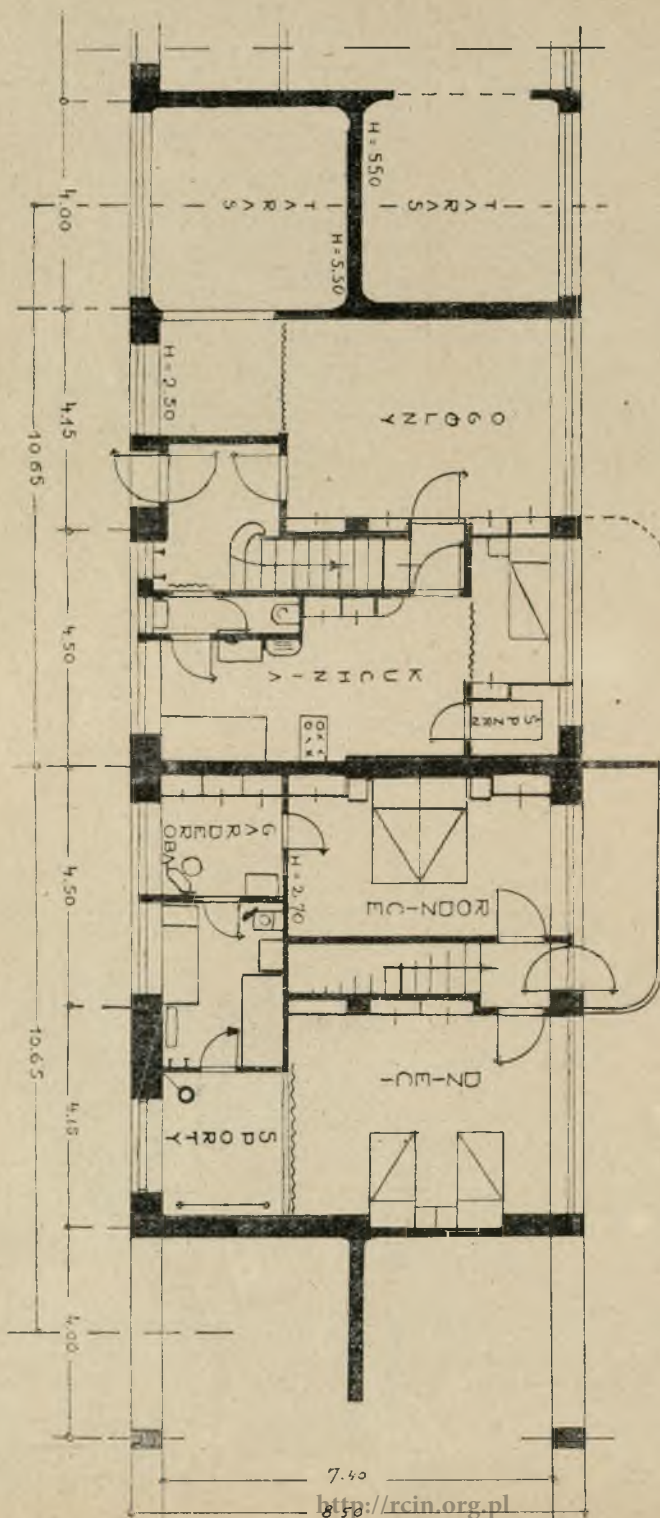
T. ŻARNOWERÓWNA,

M. SZCZUKA,

P. KOZIŃSKI

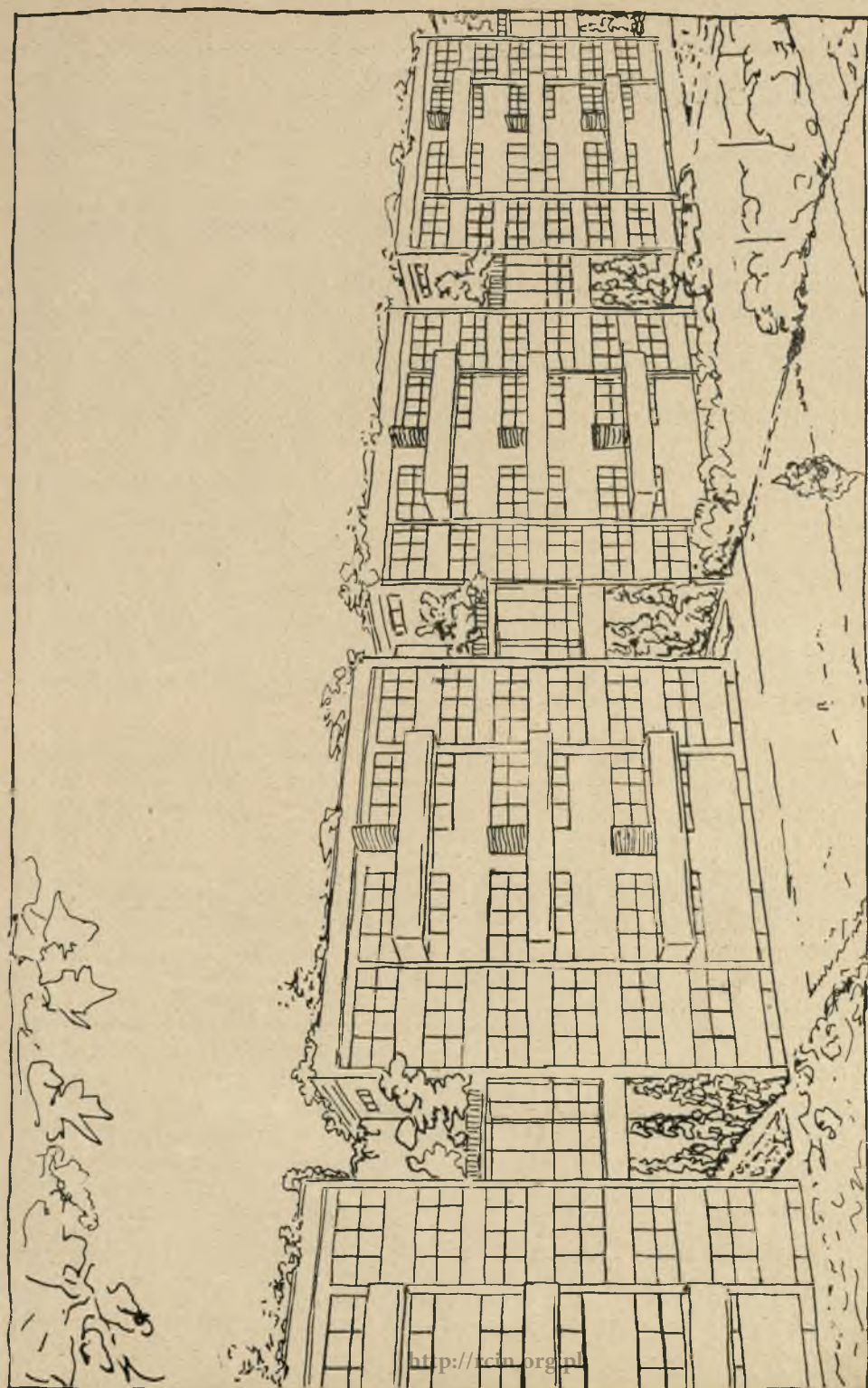
i A. KARCZEWSKI

(Do Nr. 1 „Dźwigni”)



Strona lewa: plan niższych i wyższych kondygnacji mieszkaniowych.

Strona prawa: fragment widoku zewnętrznego (widok na balkony i tarasy).



Wystawa projektów dyplomowych studentów wydziału architektury

Wrażenie ogólne: bogata, chwilami pretensjonalna szata zewnętrzna i różnorodność tematów.

Mimowoli nasuwa się myśl — czy celowe jest (niespotykane nigdzie poza Wydziałem Architektury w Warszawie) pieszczenie się w opracowaniu graficznym projektów?

Czy nawał walorów graficznych ma coś wspólnego z zagadnieniami samej architektury — i czy nie topi on w sobie samej treści architektonicznej?

Uwaga druga — tematy są za ciężkie. To co powinno wychodzić z pod ręki poważnych architektów — jest dla studentów politechniki warszawskiej (jak to widać z wystawy) niestrawnym chlebem powszednim. Dalej — większość projektów nosi na sobie piętno najnowszych kierunków w architekturze. Jest rzeczą zrozumiałą, iż studenci, ludzie młodzi, *garną się do świeżych prądów* — *lecz słusznie należy wymagać*, by profesor przyszedł im tu z pomocą, by radą swą i doświadczeniem pomógł w poszukiwaniach, w wyborze i wskazał na różnicę między „staremi” i „nowemi” ujęciami danego tematu.

Sądząc z prac profesorów, nie są oni wszak nowatorami w ścisłym słowa tego znaczeniu. Przeciwnie, prace uczniów są niejednokrotnie radykalniejsze w sensie nowatorskiego ujęcia przedmiotu. Stajemy wobec drażliwego punktu — profesor jest osobą *już niekompetentną*, a uczeń pomomacku wybiega naprzód.

Że zaś każde nowinkarstwo usiłuje zasuggestjonować przede wszystkim najjaskrawszymi hasłami — powierzcownie w większości wypadków przyjmowanymi (czemu sprzyja niepewność tolerancyjnych profesorów) — więc w wyniku całokształtu pracy na Wydziale Architektury uderza — pewnego rodzaju — *pseudonowatorstwo*.

Typowym tego przykładem jest projekt p. Szanajcy — dom z tanimi mieszkaniami. Rysunkowo uderza tu niezliczona ilość śrubek, kółek, lampek elektrycznych, dźwigów zwykłych i szybkobieżnych itp. szczegółików — które nie mają nic wspólnego z istotą pomysłu architektonicznego. Odnosi się wrażenie, iż zagadnienie najważniejsze: higiena mieszkania — zostało zatopione w powodzi instalacji higieniczno-sanitarnych. Olbrzymie straty niewyzyskanego pod żadnym względem miejsca między (połączonymi klatkami schodowymi) pasami zabudowań — mroczne pomieszczenia sypialne dla dzieci — karygodny pomysł łączenia dwóch kondygnacji jednego mieszkania kręconymi schodami — nie wiadomo komu i na^{co} potrzebne korytarze służbowe, przy dobrem użytkowaniu poszczególnych mieszkań i walorach fasadowych (podanie wypieszczone), oraz gadulstwie opisu — jest najdobitniejszym wyrazem niedostatecznego wnikięcia w istotę nowych prądów.

Pan Winkler w projekcie klubu wioślarskiego (pierwszorzędne podanie) urządza szatnię na kilkaset osób w podziemiach chyba po to, by odwieczający tłoczyli się do 5 dźwigów po swoje palta i kapelusze. Urządzenie rozbieralni na kondygnacjach jest równie nieszczęśliwym pomysłem:

biegnę oto na siódme piętro, rozbieram się i pędzę na parter do basenu. Czy nie zawiele ruchu? Wjazd i wejście wymagają specjalnej reklamy — by je odnaleźć. Sytuacja całości niepotrzebnie rozrzucona — czy dla użytkownika różnych brył? A przecież nowoczesna architektura nie szuka bryły — lecz planuje poziomy w przestrzeni.

O wejściu do budynku zapomniał również i p. Berliner w swojej szkole agrotechnicznej. Aleja wejściowa, w sytuacji niewytłumaczona, przebiega obok gmachów głównych — by utknąć w podwórzu gospodarskim. Plany poprawne.

Ostatni z projektów modernistycznych — obserwatorium astronomiczne p. P. Kwickiego daje rozwiązanie sytuacji może właściwe, lecz dość szpetne. Poszczególne pawilony wydają się przemysłane, główny korpus zaś — zbagatelizowany. Na ogólną liczbę 19 plansz — 11 wygląda jak prospekty przyrządów astronomicznych. Wykończenie nadzwyczajne.

Pałac handlu i przemysłu p. Zarębskiego jest jasny i spokojny w planach, bryły niezbyt dobrze ustosunkowane, elewacje nic nie mówią. Sytuacja niedociągnięta.

Dom zdrojowy p. Kornblumówny równie spokojny. Plany opracowane i przejrzyste. Bryły nierozwiązane — elewacje utylitarne, ale nudne.

P. Grochowski dał poprawny projekt domu towarowego — natomiast kasa chorych p. Wróblewskiego jest pracą nader słabą.

Dworzec kolejowy w Wilnie p. Kodelskiego jest w założeniu banalny. Szczegóły konstrukcyjne przemysłane.

Oddzielnie wypada omówić grupę projektów urbanistycznych, które naogół odznaczają się dużym umiarem w rozwiązywaniu planów. Architektura słabsza — znać nieopanowanie motywów przestrzennych. Projekt p. Czernego, rozbudowa Gdyni — przemysłany. Architektura o charakterze monumentalnym w duchu merkantylnizmu z przed 20 lat.

P. Plater Zyberk dał projekt toru wyścigowego a p. Prohaska nie opracował projektu rozbudowy Warszawy.

H.

SKANALIZOWANY KOŚCIUSZKO. Dnia 3 maja odbędzie się w Łodzi na Placu Wolności założenie „kamienia węgielnego” pod pomnik Kościuszki, według projektu art.-rzeźbiarza Lubelskiego. Pomnik ten przedstawiać będzie coś osobliwego — jedyne w Polsce — nie tylko ze względu na liche wartości tej słojdowej robótki, ile na pewien szczegół: w mieskanalizowanej Łodzi jedynie pomnik Kościuszki będzie gruntownie skanalizowany! P. Lubelski, w wywiadzie, udzielonym reporterowi łódzkiego „Expressu Ilustrowanego” dwa miesiące temu, opowiada szczegółowo, jak to posąg będzie urządzony od wewnątrz, jaki system rur i rezerwuarów zamaskowanych wymyślił „nowoczesny” autor, by zakonserwować to arcydzieło dla potomstwa. Należy przypuszczać, że i łódzki wydział sanitarny skorzysta przy tej sposobności z systemu rur i rezerwuarów p. Lubelskiego. Łodzi brak czegoś podobnego dotychczas.

JEZUS BARBUSSE'A

J. HEMPEL

Ludziom, wychowanym w kulturze burżuazyjnej, jest niezmiernie trudno wyzbyć się myślenia idealistycznego. Nie udaje się to nawet wówczas, gdy przedsiębrane są wysiłki w tym kierunku. Do takich należy Henry Barbusse, znakomity pisarz francuski, głośno przyznający się do swej solidarności z walczącym proletariatem.

Niedawno ukazała się w sprzedaży książka Barbusse'a p. t. „Jésus” (nakładem Flammariona w Paryżu). Na okładce widnieje takie motto:

„I ja także widziałem Jezusa. Ukazał mi się w pięknie, ścisłości i jasności (dans la Beauté de la précision). Kocham Go, przyciskam Go do serca i w razie potrzeby gotów jestem spierać się o Niego”.

Zanim zajmiemy się koncepcją Barbusse'a, warto przypomnieć pewne rzeczy, o których wielu społeczników, piszących o Jezusie, zapomina zbyt często.

Między ewangeliczną nauką Chrystusową, a klasowym poglądem na społeczeństwo, czyli między chrystjanizmem a socjalizmem istnieje zupełnie rozwinięta i niepokonalna sprzeczność. — Chrystjanizm jest niewątpliwie najbardziej społecznym ze wszystkich systemów religijnych. To znaczy — żaden inny system religijny nie umiał tak mocno powiązać się z dążeniami mas wyzyskiwanych, żaden inny nie umiał tak skutecznie dążeń tych opanować i unieszkodliwić.

Spółeczna rola wszystkich religii polega na tem, aby przez postawienie przed ludźmi zadań zasadniczo niewykonalnych i zasadniczo złudnych, odwrócić uwagę mas od zagadnień bytu społecznego. Dzięki religii podstawy opartego na wyzysku ustroju społecznego zostają przesłonięte, wytwarza się zasłona, poza którą warstwy uprzywilejowane czują się doskonale. — Żadna jednak religia nie odegrała tej roli z takim powodzeniem, jak chrystjanizm. — Dworsko-bohatersko-erotyczne legendy dawnego *poganizmu greko-rzymskiego* nie mogły obudzić oddźwięku w duszy niewolnika. Nie miały więc zdolności opanowywania go. Wysoko rozwinięty i pod wielu względami bardzo zbliżony do chrystjanizmu *buddyzm* wyrósł jako religia inteligentckiej elity umysłowej i nie zdobył się na nic, prócz typowo literackiego, zupełnie biernego spółczucia ze wszystkim uciśnionem. Najwyższą jego zdobyczą społeczną jest cicha bierność, spokojne poddanie się losowi — choćby najsroźszemu. Tylko chrystjanizm zdołał osiągnąć to, co wydawało się nieosiągalne, zdołał tak opanować duszę wyzyskiwanego niewolnika, że niewolnik nietylko wyrzekł się wszelkiej myśli o buncie, nietylko poddał się losowi, ale gorąco umiłował swego pana, a służenie mu uznał za swój najwyższy obowiązek moralny. — Słusznie więc chrystjanizm uważany jest za najdoskonalszą z religii.

Legenda Chrystusowa, będąca wytworem olbrzymiego procesu dziejowego i mająca w swych korzeniach wielkie ruchy mas uciśnionych, obfituje w zupełnie obce innym legendom religijnym momenty demagogiczne. Są to zapewne szczątki osadów rewolucyjnych poruszeń masowych. Te właśnie momenty dają się doskonale wykorzystać jako materiał agitacyj-

ny. Ubożuchne — chociaż królewskie — urodzenie; gromadzenie wokół siebie tych, którzy łakną, poto jednak, aby ich przekonać, że powinni łaknąć tylko chleba duchowego; ostre frazesy, rzucane pod adresem możnych tego świata, niepołączone jednak z podburzaniem masy przeciwko tym możnym; wreszcie ciche, pokorne wzięcie wszystkich win na siebie i poddanie się bez najmniejszego oporu wyrokowi możnych prześladowców — toż to taka skarbnica momentów wychowawczych, że prześladowanie chrześcijan w Rzymie i zarzucanie im dążności wywrotowych, można wytłomaczyć chyba tem, że początkowo — póki nauka ich nie skryształizowała się w Ewangeljach — gminy chrześcijańskie posiadały nieco inne oblicze społeczne.

Zadanie przesłaniania istoty ustroju społecznego spełniają wysoko rozwinięte religie w ten sposób, że całkowicie wydzielają jednostkę ze społeczeństwa. Pod działaniem kultury religijnej powstaje niesłuchanie bogaty świat wewnętrzny, rozwijający się z obcowania jednostki z powstającymi w niej samej złudami zaświatów, będącymi w rzeczywistości odzwierciedleniem, lub raczej karykaturą stosunków społecznych. Jednostka obcuje z bóstwem, zwalcza swoje własne grzechy, boryka się ze swymi domnieraniami upadkami, przeżywa olbrzymie tragedie wewnętrzne, gdy wszystko to jest odwróconym do góry nogami refleksem stosunków społecznych. — Uciśniony, uciemniony, wyzyskiwany poczuł się grzesznikiem i zamiast walczyć z uciskiem, zwalcza w sobie samą chęć walki. — Czyż to nie cudowny rezultat?

Chryścjanizm rozwinął to życie wewnętrzne, to zagłębianie się w fantastyczne tajniki swej jaźni, to borykanie się z wytworzonymi przez wyobraźnię przeciwnikami do nieznanej przedtem w dziejach doskonałości i potęgi.

Socjalizm wytwarza postawę duchową zasadniczo przeciwną tej postawie religijnej. Idąc za zdrowym instynktem mas, socjalizm organizuje te masy do walki o zmianę warunków społecznych — prowadzi walkę rzeczywistą z rzeczywistymi przeciwnikami. Dlatego też jest i musi być znienawidzony zarówno przez klasy posiadające, jak przez wszystkie religie. Religie, które oświadczają, że nie prowadzą walki z socjalizmem, albo są nieszczerze i oświadczenie ich jest tylko podstępem politycznym, albo też są to sekty jeszcze tak słabe, że nie zdobyły sobie poparcia burżuazyjnego i na razie bardziej zabiegają o względy mas pracujących, niż o względy warstw uprzywilejowanych.

Swą książką o Jezusie Barbusse dowiódł, że pomimo sympatyj dla klasowego ruchu robotniczego tkwi głęboko w burżuazyjnym sposobie myślenia.

Barbusse postępuje z Jezusem mniej więcej tak samo, jak Ernest Renan. Bierze z pism kanonicznych i apokryficznych to, co mu do jego konstrukcji pasuje, i w ten sposób wytwarza swego własnego nowoczesnego Jezusa.

Ernest Renan, typowy umysł drobnomieszczański, niezdolny był do spojrzenia na olbrzymią postać dziejową Boga-Jezusa. Zamiast najpotężniejszego w dziejach bóstwa, będącego bardzo skomplikowanym osadem olbrzymich walk klasowych pierwszych wieków chrześcijaństwa i doskonale spełniającego w ciągu dwóch tysięcy lat swe zadania społeczne w ręku klas uprzywilejowanych, Renan opisał żywot sentymentalnej i naiwnej społecznie jednostki, którą mordują ludzie źli i głupi. — W powieści Re-

nana (jego książka jest tylko powieścią) Jezus był niepotrzebnie zamordowanym pocziwcem. — Cały ogrom chrześcijaństwa dziejowego był — podług Renana — rozwinięciem zgola nienowych nauk moralnych, które ten umęczony syn stolarski propagował w zapadłym kącie starożytnego świata.

Coś podobnego czyni z Jezusem Barbusse. Jego Jezus urodził się w rodzinie biednego stolarza. Był dzieckiem bardzo inteligentnem. Potem kochał się w Marji Magdalenie. Potem wędrował po kraju żydowskim, rozsiewając prawdy o życiu duchowem i rozdając cudowne uzdrowienia. Mądrość jego nie jest — podług niego — ani wytworem społeczeństwa i walk społecznych, ani darem boskim, lecz tryska z tajemniczych głębi jego własnej jaźni — jak mądrość każdego nowoczesnego inteligenta mieszczańskiego. Zetknięcie się z nim budzi życie duchowe w jednostkach. Rozdawane przez niego cudowne uzdrowienia są właściwie także tylko budzeniem się życia w uzdrawianych jednostkach, które nie wiedzą, że naprawdę leczą się same swoją własną wiarą. Jezus ten, nie wierzy w nadświatowego Boga i wyraża się jak współczesny inteligent, który czytał Upaniszady: „*Każdy jest swoim własnym Chrystusem*”. „*Kto widział siebie, ten widział Boga*”. (str. 145).

Również, jak nieznający swych własnych źródeł społecznych inteligent nowoczesny, Jezus Barbusse'a uważa się za wybrańca i mówi do swoich o sobie: „*Nam dane jest poznanie prawdy, ale im (masie ludowej) nie jest dane*” (str. 143) dlatego musimy mówić do nich przez parabole. — Jest on pełen miłości do ludu, ale ten lud—to masa biednych, ciemnych, nieszczęśliwych „paralityków” (str. 121), którą ktoś natchniony musi prowadzić.

Jezus Barbusse'a przeżywa kuszenia.

Przychodzą do niego przedstawiciele uciśnionego narodu żydowskiego i proponują mu, aby stanął na ich czele jako mesjasz, czyli wódz narodowy żydowski. Ale Jezus im odpowiada: „*Rewolucja wasza nie jest dość wielka*”. — Potem staje przed nim św. Paweł, ten „wielki Faryzeusz” — jak nazywa go Barbusse (str. 184) — i proponuje mu zorganizowanie wielkiego kościoła. — Ale to także była pokusa, którą Jezus odrzucił.

Wreszcie dochodzi do wniosku, że winien oddać swe własne życie i takie daje wskazania zasadnicze:

„*Uczyńcie przede wszystkim rewolucję we własnych głowach. Rewolucja jest rzeczą duchową, ponieważ polega ona na zamienianiu tego, co jest, na to, co powinno być podług wymagań ducha. — Wiedźcie, że jest tylko jedna prawda i że to, co musi się stać z ducha, stanie się samą siłą rzeczy*” (str. 208).

Jezus, modlący się przed męką, patrzy na spokojnie śpiących swych uczniów i dochodzi do takich wniosków:

„*Czyż nie mogli czuwać razem ze mną? Mymi najgorszymi wrogami są ci biedni ludzie krótkowzroczni. Jak umieli, tak podłożyli swoje słowa pod moje. — Zdradzą mię z powodu swej mierności*” (str. 239).

Znalazł się wszakże jeden młody uczeń, na którego Jezus był nie zwrócił dotychczas zbyt wiele uwagi, który nie spał. Podeszedł do Jezusa i, padłszy przed nim na twarz, oznajmił:

„*Uwielbiam cię, ponieważ nie jesteś bogiem... Przebacz mi, o ty wiel-*

ki, ty wystawiony na męki, ty, który nie zmartwychwstajesz, zem cię zapoznał i że niekiedy uważałem cię za Boga”...

Odezwała się także Marja Magdalena i tak zakończyła swe przemówienie:

„Niech każdy pokona swego Boga, niech wszyscy pokonają swoich królów” (str. 231).

Jezus — to oczywiście sam Barbusse, który odstąpił swą duszę inteligenta drobnomieszczańskiego. Inteligent ten świeżo stoczył we wnętrzu swej duszy walkę zwycięską z Bogiem i o zwycięstwie swem z tryumfem obwieszcza światu. Walka z Bogiem wydaje mu się czemś niesłychanie ważnem i niesłychanie trudnem. Na miejscu dawnego Boga czuje on teraz w duszy upanisadową pustkę. — *„Ty jesteś to”* — powiada mądrość Wedanty do ucznia, pytającego o boskość najwyższą.

Barbusse, opowiadający te swoje przeżycia, jest przekonany, że daje masom pracującym coś bardzo wartościowego. Wydaje mu się, że każda jednostka tych mas musi przejść taką samą walkę wewnętrzną z bogami i że dopiero po odbyciu tej drogi staje się zdolna do wysiłku rewolucyjnego.

Gdyby Barbusse zamiast traktować masy pracujące z pogardą drobnomieszczańską, jako gromadę nieszczęsnych krótkowzrocznych „paralityków”, gdyby zamiast przychodzić do nich z przeświadczeniem, że ma im coś niesłychanie cennego do dania, oddał się studjom nad temi masami, dowiedziałby się, że robociarz-masowiec zgół nie przeżywa tragedii walki wewnętrznej z Panem Bogiem. — Religja jest początkowo dla niego pewnego rodzaju kosmogonią i socjologią, daje obraz porządku świata i porządku społecznego. W pewnej chwili przekonuje się masowiec, że ta kosmogonia jest fantastyczna, a ta socjologia jest utworzona w myśl interesów wyzyskiwaczy. Wówczas religja odstania mu bezpośrednio swą istotę społeczną — ujawnia się jako narzędzie władania — i cała sprawa załatwiona jest ostatecznie.

Taki brak wewnętrznych przeżyć religijnych nie jest niższością masowca w zestawieniu z inteligentem drobnomieszczańskim, lecz przeciwnie — jego wyższością. Masowiec ten poznał społeczne oblicze religji z polityki księdza proboszcza — to znaczy poznał religję prawdziwą. Nie przeżywał wewnętrznie ani Czwartej Ewangelji, ani Kanta, ani Wedanty. Barbusse zaś chce go zatruć temi wszystkimi przeżyciami. Nie rozumie on, że posługujący się religją klasowy interes burżuazyjny stara się doprowadzić do wewnętrznych zmagani choćby z samym Bogiem wówczas, gdy zmagania się z ludzkimi namiętnościami dla pojednania się z Bogiem nie znajdują już zwolenników — byleby tylko energję ludzką zaprzatnąć walką z urojeniami. Wewnętrzne pokonywanie Boga jest czemś nie mniej religijnem, niż wsłuchiwanie się w jego rozkazy.

Kończy się ta książka, napisana w pierwszej osobie, w formie pamiętnika samego Jezusa, takim wykrzyknikiem:

„Tchnijcie czystą mądrą i sprawiedliwą ideę rewolucji w wielką religijną duszę ludzkości!”.

Co oznacza termin — „wielka religijna dusza ludzkości” — zgadnąć dość trudno. Niewątpliwie jest jednak, że rewolucja, która w tej duszy ma się odbyć, nie jest rewolucją mas pracujących.

SCENA ROBOTNICZA



EPILOG — BR. JASIEŃSKIEGO



RÓŻA — BRONIEWSKIEGO

W m. Ł O D Z I



INWALIDZI — ST. R. STANDEGO



GRA O HERODZIE — W. WANDURSKIEGO

(Artykuł o Scenie Robotniczej w Łodzi w następnym numerze).

O źródłach zatrutych, skorpionach literackich, o mechanicznym Witro- nie rewolucji i o znarowionym wyżle

WITOLD WANDURSKI

Erenburg, Erenburg...

Kto dziś w Polsce nie zna tego „rewolucyjnego” autora? Aż się roi w witrynach prowincjonalnych nawet księgarenek od „Konwencjonalnych cierpień bywalca kawiarnianego”, „Miłości Jeanny Ney”, „Andrzejów Łobowych”... Fabrykaty te wyrzuca pospiesznie na rynek księgarski wytwórnia taniej kokainy do masowego spożycia — wydawnictwo „Rój”. Ilja Erenburg stał się obecnie najpoczytniejszym bodaj u nas pisarzem. Świadczą o tem wszystkie wypożyczalnie książek. Konkurować w poczytności z tym „nieprzejednanym wrogiem świata burżuazyjnego” może chyba tylko podróżujący stręczyciel „Madonn sleepingowych” — Maurycy Dekobra.

Jak się to dzieje? Erenburg nie jest przecie pisarzem bulwarowym? A nie jest. Ale fabrykuje świetnie ostre serki z zapaszkim trupim — rozmaite roquefort’y i limburgi literackie. Trafił na złotodajną żyłę — na temat rewolucji. Temat ten eksploatuje sprytnie: „głęboko” — „obiektywnie” — „psychologicznie”. Zadanie niełatwe: szkalować rewolucję według gustów burżuazyjnej Europy — a zarazem nie narazić się zbyt wladzom rewolucyjnym. Grozi to utratą olbrzymiego rynku czytelniczego. Ale jest wyjście. Przydała się mądra zasada kupczyków nosyjskich: „i niewinność” — i kapitał priobresti”. Jaki taki kapitalik — w słowie i honorariach — udało się istotnie Erenburgowi uciułać. Z zachowaniem „niewinności” natomiast stoi sprawa gorzej.

Istota erensburczyzny da się określić w kilku słowach. Jest to specyficzny amalgamat perwersyjnego nekrofilstwa, quasi-filozofii lokaja Smierdiakowa (z „Braci Karamazowych”) i zwykłej podlutkiej mieszczańskiej mściwości na chamach, co pozbawiają poetyckich snobów tak miłego ich sercu i kieszeni „ciepliką”.

Erenburg jest synem żydowskiego kupca pierwszej gildji, osiadłego przed wojną w Moskwie. W 1905 r. jako sztubak, młodzieńki Erenburg kolportuje bibułę rewolucyjną. Po kilku miesiącach wpada, zostaje wylany z gimnazjum i nawet aresztowany. Píše o tem z pewną nonszalancją w autobiografji, jakgdyby powołując się na oblig, wystawiony mu przez rewolucję. Zresztą, weksel ten poszedł zaraz do protestu. Przerażony tatuńcio wydłubał rewolucyjnego synalka z ochrony i wytransportował go zagranicę. Młodzieniaszkowy flircik Iljuszki z Rewolucją urwał się na samym wstępie. Zainstalował się w paryskiej Rotondzie. Olsniony wdziękami „mle Lucy Flamengo” — burżuazyjnej Europy — nawiązuje z nią romans. Z romansu tego na kanapce Rotondy rodzą się pierwsze potworki — wierszyki dekadenskie.

Syn innego kupca rosyjskiego, dobrze kuty w sprawach poetyki seksualno-mistycznej — Walery Briusow — daje przytułek bachorom Erenburga w założonym przez niego w Moskwie miesięczniku „Wiesy”.

Już pierwsze wiersze sparyzowanego kupieckiego synka zalatywały mocno zapaszkim trupim i kadzidłem. Lecz w latach przygnębienia ogólnego po zdławieniu przez carat pierwszej rewolucji było to najlepszą kartą

wstępu do mistycznych salonów literatury pięknej. Burżuazja rosyjska, zawiedziona w swych nadziejach, wystraszona luną płonących dworów obszarniczych i groźnym pomrukiem zatrzymanej, lecz wciąż przybierającej fali rewolucji socjalnej — wpada w dezorientację i zamęt. Proces rozprzężenia gospodarki kapitalistycznej, krępowanej przez carat i towarzyszący mu uwiąd tak młodego, lecz już nadwątłego w siłach mieszczaństwa — odbił się bezpośrednio niemal w literaturze rosyjskiej. Pozbawiona normalnej ekspansji kulturotwórczej, zdławiona garotą brutalnej cenzury carskiej, młodzież literacka rzuciła się w mętne nurty erotomanji perwersyjnej, chorobliwych „poszukiwań boga” („bogotworczestwo” i „bogoiskatielstwo”) oraz ponurej chwalby samozagłady.

Prowodyrami tego kierunku byli: Walery Briusow, Andrzej Biłyj (Bugajew), Aleksander Błok, Konstanty Balmont, Wiaczesław Iwanow, Zenaïda Gippius, Teodor Sołłogub... Grupa ta popierana finansowo przez kilku milionerów, założyła w Moskwie wydawnictwo pod znamienym tytułem symbolicznym: „Skorpjon”. Na Kaukazie twierdzą, że skorpjon, położony pomiędzy rozżarzone węgle, wbija sobie w rozpaczę zatruty czubek ogona we własny kark. Kapłani ponurej religji samozagłady, zrzeszeni pod znakiem Skorpjona, wbijali zatrute żądło swej rozpacz w mlecch pacierzowy własnej klasy. Najgorętszymi druidami kultu śmierci — i zarazem bezpośrednimi nauczycielami Erenburga byli Walery Briusow i Teodor Sołłogub. Pierwszy dał mu wzory propagandy nekrofilskiej (zbiór nowel „Ziemnaja Os’”) drugi nauczył go „pieredonowszczyzny” (powieść „Mielkij Bies”) i specyficznego „na-wsie-plujstwa”. — W atmosferze rozkładu, gloryfikacji śmierci i perwersyjnych dłuhań w zawilosciach zboczeń erotycznych rósł talent Erenburga. Pobyt na „emigracji”, w atmosferze cyganerii z Rotondy, wysubtelnił jeno i zaostrzył dekadencje zamięłowania twórcy tyków nekrofilskich, w rodzaju Mr. Delé, Jana Boota i Juljo Jurenity.

Podczas wojny światowej „żywiolowy pacyfista” Erenburg, zwolniony z wojska, łązikuje na tyłach frontu, zwabiony zapaszkami rozkładających się trupów. Z łązikowania tego powstaje książka — „Oblicze wojny”. Ten nasiąkły sentymentalno-pastorskim pacyfizmem dokument literacki wyróżnia jednak Erenburga z grona innych „skorpjonów”. Tamci — Briusow, Błok, Sołłogob, Balmont — nie zdobyli się czasu wojny na nic innego, niż kilka banalnych, łązikowo - patryotycznych wierszyków.

Wojna, widziana nawet od tyłu, popsowała nieco sympatie Erenburga do kultury burżuazyjnej Europy i ukazała mu podszewkę niezbyt czystą jej eleganckich garniturów. W Erenburgu zaczyna się ferment niezadowolenia przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy. Ferment ten, w połączeniu z nałogami dekadencjami, pod wpływem międzynarodowej bohemy, skupiającej się w paryskiej Rotondzie, przybrał wkrótce formy bliżej nieokreślonego anarchizmu indywidualistycznego. Na ten anarchizm kawiarniany wygodny, bo nie wymagający od adepta żadnych studjów socjalnych, a nadający mu pewnego „demonicznego” blasku — była wielka moda wśród poetów i artystów mieszczańskich w latach bezpośrednio powojennych. Różne nasze „Ca ira” i „Czarne Wiosny” pod wpływem tej właśnie mody powstały.

W roku 1917 przybywa Erenburg do Rosji. Ale przewrót listopadowy napełnia go przerażeniem. Odzywa się nań żalonym lamentem — tomikiem wierszy „Modlitwa za Rosję”. Pełno tam histerycznego załamywania rąk, pełno płaczu po poległych białogwardyjskich junkrach, po tej Wielkiej

Rosji, co to „R ma na granicy Polski, zaś A koło muru chińskiego” (!)... Cała ta „Modlitwa” przypomina opętaną płasawicę obłąkanego sektanta.

Rewolucję ogląda Erenburg w takim samym nastawieniu, jak setki tysięcy innych cymbałów. Godzinami wyczekuje w kolejce przed jadłodajnią na cuchnącą „wobłę”. Zbiera plotki bab, przekupek na rynku — tem forum wolnej myśli mieszczańskiej czasów terroru. Pęta się po urzędach sowieckich i zbiera skrzętnie szeptem podawane bajdy i anegdoty o żydach i komisarzach, kolportowane przez „sowsłużów”. Jeżeli różni się czemśkolwiek od innych „bezpartyjnych” zawalidrogów, to tylko specjalnym niuchem na wszelkie cuchnące odpadki społeczne, które fala rewolucji podniosła z dna obalonego ustroju i wyrzuciła na powierzchnię.

W ciasne pole obserwacji kupieckiego synka, obcego dążeniom proletariatu i chłopstwa, wpadało to tylko, co odpowiadało jego percepcji klasowej. Na przegryzioną kwasami dekadencji płytę wrażliwości artystycznej Erenberga galwaniczny prąd rewolucji osadzał tylko produkty rozkładu. Twórca pierwiastek rewolucji nie dotarł do świadomości autora „Życia i śmierci Mikołaja Kurbowa”.

Dekadent, wężący wszędzie śmierć, rozkład i zagładę, darowałby jeszcze rewolucji jej żywiołowe niszczeni zapleśniałej budowli carsko-kapitalistycznej. Nie daruje natomiast jej energii twórczej. „Anarchista” Erenburg poczuł się w Rosji nieswojo. Przy pierwszej więc sposobności powrócił do swej ukochanej „mle Lucy Flamengo”, na stamm-kanapkę Rotondy.

Po powrocie z Z. S. R. R. nawiązuje Erenburg na nowo romans z mle Lucy. Lecz, wiadomo, wojna rozchwieła niejedno szczęśliwe dotąd stadło. Dawniej przed wojną, kiedy moskiewski kupczyk, oczarowany socjetą Rotondy, pętał się olśniony po pracowniach malarskich Picassa, Lèger'a, Marcussisa zachwycał się nową sztuką i elegancją Europy burżuazyjnej w paryskim wydaniu — symbol tej Europy, mle Lucy Flamengo, wydawał mu się wcieleniem piękna i zalotnej młodości, kobietą „niezwykłej urody o rudej grzywce i matowej cerze”. Lecz „chamy” poderwały weń wiarę w fundamenty cnoty i w kwitnące zdrowie mle Lucy. Po powrocie do Paryża Erenburg „odkrył największe w historii fałszerstwo”. Panna Lucy zdążyła wyjść za mąż za paskarza pana Blancafore. „W rzeczywistości okazała się zgoła nie królową Fenicji, lecz *starym grubym babszylem*, podobnym do taniej dziewczki ulicznej z Marsylji lub Genui”. Nawet „ostatnia nadzieja” — ruda grzywka! — zawiodła: „śród rudego zachodu występowały brudno zielone smugi, niby strugi mułu błotnistego”. Trudno: kryzys gospodarczy! A więc — „licha woda utleniona”.

Takie oto nieszczęście spotkało Erenburga. Biedaczyna znalazł się w sytuacji przykrej. „Azja” bolszewicka zraziła go do siebie, „Europa”, wytęskniona Europa burżuazyjna, okazała się *starym otynkowanym babszylem*.

Ale do niej należy miła sercu kanapka w Rotondzie... Ale ona jedynie może dać tę trochę wygod, tę trochę komfortu, którego tak spragniony jest subtelny, zapoznany w ojczyźnie schamiałej, pełen tęsknoty do Człowieka przez duże C — artysta! Zostanie. Będzie płodził nądal w konkubinacie z tym babszylem — tylko już nie bachorki liryczne, a potężnych drabów prozaicznych — na pohybel „chamom!”

Oto „tragedja rodzinna” Erenburga.

Nic dziwnego, że progenitura liczna, z tego stadła powstała, nie zu-

pełnie się udała rodzicom. Każde z dzieci ma pewien przymiot. Medycyna określa to ściślej: *lues hereditaria*.

Przyjrzyjmy się uważniej niektórym bodaj z rodzeństwa.

„Juljo Jurenito” — benjaminek Erenburga. Jego ojcem chrzestnym był wolterowski „Kandyd”. Na kształtowanie „Jurenity” wpłynął niemało zgryźliwy dziadyga z Farney. Proszę przeczytać uważnie „Kandyda”. Rzuca się wprost w oczy podobieństwo budowy utworu, technika pisarska, opierająca się pozornie na akcji, która służy tylko jako pretekst do uwypuklenia defektów chylącego się ku upadkowi ustroju.

Figurynki, które postępują się obaj, potrzebne są autorom do powiązania w jedną narracyjną całość szeregu udratyzowanych osądów współczesności. Można by przeprowadzić nawet paralele: u Erenburga — Tiszyn, Cool, Delé, Aysha, Bambucci mistrz Jurenito; u Woltera — mistrz Pangloss, Marcin, Kokamba, Kunegunda, baron Thunderten-trochh...

Pomysł więc i budowa „Julja Jurenity” ma swój pierwowzór w „Kandydzie”. Nawet motor, puszczający w ruch cały aparat marjonetkowy — ów zgryźliwy — wrogí stosunek autora do współczesności — nie jest oryginalnym wynalazkiem Erenburga. Wypożyczył go u Waltera, walczącego dostępnymi mu wówczas środkami z absolutyzmem feodalnym.

Tu jednak kończą się podobieństwa zestawianych utworów.

Nasładować zewnętrznie Woltera, Erenburg przeoczył jedno: rozum i celowość rewolucyjnej myśli autora „Kandyda”. Zwalczał on przeżytki swej epoki w imię pozytywnych ideałów własnej klasy, burżuazji, która dążyła wówczas do władzy. Wolter kpi sardonicznie z monarchów i szlachty, nie cofając się przed grubą karykaturą, wali prosto po łbie kler wojujący, wyszydza krwawo rzezie wojenne i chłoszcze bestjałską politykę kolonialną *). Oszczędza jednak mieszczaństwo i zwalczanemu światu przeciwstawia utopję, zbudowaną według ideologii tego właśnie gotującego się do rewolucji mieszczaństwa. W swych wędrówkach Kandyd z Kokambą docierają do fantastycznego Eldorado — do krainy gdzie rządzi „święte i nietykalne prawo własności” — wolność — równość — braterstwo — gdzie niema więzień ani sądów, gdzie wszyscy żyją według zasady „kochajmy się” i robią świetne interesy. Erenburg z potrzeby przeciwstawienia ośmieszanemu ustrojowi czegoś pozytywnego wykreca się sianem. Czysto zewnętrznie małpuje mistrza z Farney. Obwiesie, szwendający się po świecie za Jurenitą, przyjeżdżają „na wypoczynek” do Senegalu. Według przepisów kawiarnianych „prymitywistów murzyńskich”, robi Erenburg z tego Senegalu coś w rodzaju Ciechocinka Szczęśliwości. Wałkonie wygrzewają się — po trudach — w afrykańskim słońcu (to niby przy 65 — 73° R.?). Plażowanie, dolce far niente — oto jedyne wyjście z zabagnionych stosunków świata burżuazyjnego!

Krytykę tego świata zawdzięcza Erenburg lekturze tak pogardzanych przezeń „broszurek” sowieckich. „Sprawiedliwość” nakazywała mu „zjechać” również rewolucję z którą zresztą miał porachunki. Więc autor „Juljo Jurenity” prowadzi Mistrza do rewolucyjnej Rosji. Co pokazuje? To tylko, co sam widział, ukryty za portjerą w niezarekwirowanym mieszkaniu. Co mu każe słyszeć? Ploty bab i „sowśłużów”. Raz tylko pro-

*) „Dają nam, za całe odzienie, gatki płócienne dwa razy do roku. Kiedy pracujemy w cukrowniach i tryby chwycą nam palec, ucinają nam rękę; kiedy próbujemy uciekać, ucinają nam nogę; mnie zdarzyło się jedno i drugie. Oto cena, za którą jadacie cukier w Europie” — żali się okaleczony murzyn Kandydowi.

wadzi Erenburg mistrza na wiec — i to na wiec prostytutek i złodziei *). Zapoznaje go z jakimś stadłem połamanych komunistów — jakichś kwadrów partyjnych typu przedwojennego — i wmawia czytelnikom, że tacy właśnie są ci „lepsi” komuniści... Watowaną kukłę Ayszę pcha do Kominternu — takich tylko tam brakowało! Dyrektora uniwersalnego zakładu pogrzebowego, p. Delé, posyła do Rosji po to, by na truposzach mógł robić — pod skrzydełkiem Nep’u — dobre interesy... Ano, wiemy przecie z dzieł pp. Ossendowskiego i Goetla, że Bolszewja — to jedno cmentarzysko...

Raz tylko w „Juljo Jurenito” nie może Erenburg zdecydować się na skalowanie: w rozmowie „genjalnego prowokatora” z „Wielkim Inkwizytorem”. Lecz — rzecz znamienita: ilekroć Erenburg staje wobec zjawiska potężnego, przerastającego skalę jego odczuwań i zrozumienia — ucieka się zawsze do pomocy chwytów romantycznych, romantyczną błagą wykręca się z napotkanych trudności. Tak i w tym wypadku. Zarówno postać jak i włożone jej w usta przez Erenburga słowa — wypadły dość żałośnie i głupawo.

Tak widzi „dorosłych” mały Morycek...

Naiwność, płytkość i chybiona przez to samo złośliwość obrazków rewolucji w „Juljo Jurenito” musiały nie zadowolnić samego Erenberga. Postanawia więc uderzyć w samo serce komunizmu, pokazać jego sztuczność utopijność, nieżywotność. Dowieść, że komunizm nie może wytrzymać próby „istotnego” życia. Pisze więc powieść „Życie i śmierć Mikołaja Kurbowa”.

Idea tej powieści ma być konflikt zmatematyzowanej gruntownie przez doktrynę komunistyczną jednostki ze zwykłymi życiowymi potrzebami „normalnych” śmiertelników — konflikt, zakończony zatraceniem tej jednostki. Tezę tę lokuje Erenberg na wstępie książki, jako dwa jej „motta”:

$$1) X = \frac{-P}{2} \pm \sqrt{\frac{P^2}{4} - 2}$$

gdzie X ma być owym irracjonalnym pierwiastkiem życia z wszystkimi jego powikłaniami — druga zaś część tego równania ma być abstrakcyjnym rozwiązaniem owych powikłań sposobem algebraicznym.

2) „Kurczątka także pragną żyć”.

To drugie motto — refren popularnej w czasie rewolucji piosenki andrusów odeskich — jest znacznie prostsze. „Kurczęta” te, których jedyną racją bytowania jest nieprzeparta chęć życia, życia za wszelką cenę, bodaj w gnoju, bodaj w pohańbieniu i upodleniu — to masa drobniomieszczańska z przyległościami (lumpenproletariat, nożowcy, prostytutki i t. p.).

W „Życiu i śmierci Mikołaja Kurbowa” środowisko bliskich sercu Erenburga tych dziwnych „kurcząt” oddane jest po mistrzowsku. Zwłaszcza świat zbrodniczy i wół-zbrodniczy, pętający się po spelunkach w rodzaju

*) Wiec elementów przestępczych miał istotnie miejsce jeszcze za rządów Kiereńskiego w Moskwie. Urządzono go staraniem *patronatu nad więźniami*. Przypadkowo byłem obecny na wiecu. Przemawiało bardzo oryginalnie kilku przedstawicieli świata zbrodniczego, amnestjonowanych przez rewolucję. Kilku adwokatów wygłosiło referaty o reformie więziennictwa i sądownictwa. Powzięto szereg rezolucji natury praktycznej. — Ale o tem wszystkim ani słowa u Erenburga. Nic dziwnego. Opis rzeczywistego przebiegu tego oryginalnego wiecu w cyrku popsuły linje kompozycyjną paszkwilanta.

Brodu Karaluchowego udał się fabrykantowi gnijących serków doskonale. Taka stenotypistka Bielorybowa, były żandarm Ignatow, tragicznie-groteskowy Josit Peskis, seminarzysta Naum, agent śledczy Czyr, andrus na usługach wywiadu Leszcz *) — to już poniekąd „klasyczne” figury, które mogą pretendować do swego rodzaju „nieśmiertelności”.

Inaczej stoi sprawa z owym gnębiącym „kurczęta” światem matematycznych formuł — niby z tym komunizmem erenburgowskim.

Jakżeż naiwnie i żałośnie — wobec istotnych trudności zadania — wygląda uproszczony ideał schematyczny erenburgowskiego komunisty Kurbowo! Romantyczny ten „książe niezłomny” skonstruował sobie obraz przyszłego życia — powtarzany w powieści kilkakrotnie, jak wagnerowski leitmotiv bohatera — z kubów, trójkątów i ostrosłupów, ułożonych na płaszczyźnie! Nietrudno domyśleć się genezy tego „ideału”. Erenburg przeniósł go żywcem z jakiejś „martwej natury” — z djabelnie wymyślnej łamigłówki „kubistyczno-suprematycznej”, zawleczonej do Rotundy przez Marcussia’a, Jeanneret’a, Ozenfant’a albo innego snoba plastycznego.

Nowoczesnych artystów burżuazyjnych „z bożej łaski” nie obowiązuje znajomość rzeczy, które się obiera za temat. Nie obowiązuje pisarzy tych znajomość ideologii, którą się zwalcza lub szkaluje. Wystarczy wszechpojęta „intuicja”. Nie rozumiejąc ludzi i zjawisk, które przerastają skalę jego zrozumienia, Erenburg w „Życiu i śmierci Mikołaja Kurbowo” — podobnie jak w scenie z „Wielkim Inkwizytorem” — ucieka się do romantycznych sposobów literackich, przypominających młodzieńcze powieści Wiktora Hugo i Balzaka. *Kurbow jest specjalnie skonstruowany z zachowaniem pięty achillesowej w ten sposób, by go potem można było zniszczyć.*

Budowa charakterologiczna Kurbowo przypomina pierwszą z „Sześciu opowieści o lekkich końcach” **) tegoż autora. Jakieś pomyłone biedaczysko buduje tam z trójkącików blaszanych, drutu, tektury, dykty i t. p. śmiecia sztucznie poruszający się automat, nazwany „Witrjonem”. Automat ten, zaopatrzony w motorek — coś w stylu pokracznych figur Lipszyca i dadaistycznych dziwołagów à la Tatlin z pierwszego okresu — demonstruje jego twórca na cyrkowej arenie w rewolucyjnej Moskwie. „Witrjon” ucieka, autor zaś warjuje. Można też znaleźć analogię pomiędzy Kurbowem a owymi manekinami roboczymi, fabrykowanymi w firmie „R. U. R.” w dramacie utopijnym br. Capków. Automaty te dopóty pracują sprawnie, dopóki wynalazca nie obdarzy je zdolnością głębszych emocji, co jest przyczyną katastrofy.

Otóż, Mikołaj Kurbow, zmajstrowany rzekomo przez komunizm „Witrjon” czy manekin „R. U. R.” działa sprawnie dopóty, dopóki nie styka się z życiem „prawdziwym”, uosobionem w dość sympatycznej kwocze, instytucie Kati. Intencje swoje Erenburg bardzo sprytnie okrywa do połowy powieści dyskretnie tylko od czasu do czasu obnażając piętę achillesową swego bohatera. Tą piętą jest stosunek Kurbowo do dzieci. Aż do czasu

*) „Leszcz, straciwszy nadzieję odbicia u Pelagieja dziewczek, przyłapał jakąś beznosą starke i wali ją po łysinie szkieletem obgryzionego śledzia” (str. 169 oryg.) — Oto skrót artystyczny o ostrym rysunku jakiegoś Felicjana Ropsa! — Takich świetnych chwytów znaleźć można u Erenburga dużo — za każdym razem, kiedy za smakiem opisuje coś ohydneho, cuchnącego, gnijącego, zatracającego ścierwem.

**) Przekładem tych opowieści jeszcze nie uszczęśliwiono polskiego czytelnika. Widocznie z powodów technicznych. Ultra - cerebralny („zaumny”) język tych nowelek chroni je od zakusów tłómaczy.

nawiązania romansu z Katią, Erenburg obdarza Kurbową wszelkimi możliwymi cnotami i zaszczytami rewolucyjnymi. Dla większego efektu robi go nawet kierownikiem słynnej Cze-Ka na Łubiance w Moskwie.

Witrjon — Kurbow poznaje kurczątko — Katię. Zaczyna się romans, który zajmuje większą połowę powieści — laba dla autora i czytelnika substelnego! Historia miłości Kurbową — to historia jego zatracenia. Mane-kin R. U. R., w którym budzi się ludzkie uczucie — musi zginąć! Ginie, oczywiście, nie tylko Kurbow — *ginie cały system* algebraiczny, który go na swoją modłę wyrobił. Dla tego z krwi i kości partyjnika i rewolucjonisty — raptem przestaje istnieć partja i rewolucja. Co to wszystko znaczy w porównaniu z kiecką?

„I jon smutłłsia — i zastrielłłsia —
Cyplonki toże choczut żyt“

Wulgarna piosenka mętów z Brodu Karaluchowego rozbrzmiewa w końcu powieści — w chwili, gdy Witrjon kieruje lufę rewolweru do skroni. Tym sardonicznym — tem niemniej subiektywnie szczerym — akordem, tym triumfem plugawstwa, zalewającego cuchnącem gnojem każdego, kto niepokoi swą energją śmietnisko, w którym grzebią „kurczątko“ — kończy się romantyczna powieść o „Życiu i śmierci Mikołaja Kurbową“.

Jeżeli, pisząc „Kurbową“, Erenburg zadał sobie nieco trudu w przeprowadzeniu planu kompczycyjnego, aczkolwiek z chybionym — ideologicznie — wynikiem, to w następnej powieści „Trust D. E.“, pisanej byle jak, nekrofil - paszkwilant użył sobie „na całego“.

„Trust D. C.“ — to pretensjonalny „film monumentalny“. Ta sama płytkość koncepcji utopijnie-społecznych, ta sama po gazeciarsku tandetna „socjologia“*) z której końby się uśmieł, ta sama „demoniczna“ pompatyczność „wystawy“ z krokodylo-sentymentalną łezką w zakończeniu. Potworny ten feljeton z pisemka kinowego cechuje niesłychane okrucieństwo, lubieżne delektowanie się wyimaginowaną masakrą masową, radosny kwik wieprza, taplającego w gnojówce, która zalewa cuchnącą cieczą wszystkich i wszystko.

...Francja właśnie okupuje Ruhr. We Włoszech zdobywa władzę Mussolini. Frank się zachwiał. Człowiek nie jest zupełnie pewny swej kanapki w Rotondzie. Ale po Paryżu włóczą się Amerykanie. To naród z mocną walutą. Nie zawadzi napisać film powieściowy, przeciwstawiający osłabionej kapitalistycznie Europie — zdrowy ekspansywny kapitalizm amerykański.

Nim się frank francuski ustabilizował — ustabilizował się już Ilja Erenburg. Ma się, dzięki paszkwilom, niezgorszy dochód z tłómaczeń. Na rynek czytelniczy Z. S. R. R. można już gwizdnąć. Czy nie lepiej wziąć się za sensację? — „czystą“, sensację „jako taką“? Dekobra zarabia ładnie. Warto z nim konkurować.

Więc pisze się „Konwencjonalne cierpienia bywalca kawiarnianego“. Zajrzyjmy. Str. 53 — 56. Nowela „Café Olimpja“. Na początku i na końcu — teza: „Fabryka Forda w Detroit wykańcza co dziesięć sekund

*) Socjologia erenburgowska gotowa jest stworzyć szkołę. Przykład? Tom nowel Aleksandra Wata: „Bezrobotny Lucyfer“. Zbieranina elukubracji niby „paradoksalnych“, z palca wyssanych spekulacji pseudo-socjologicznych, mających dać syntezę współczesności. Podane to na modłę „Julja Jurenity“ i „Trustu D. E.“ Posiew erenburgszczyzny daje już plony.

automobil". W środku: papa Veroux przybywa z żoną i synkiem do kawiarni. W kawiarni są również midinetki. Papa Veroux „czuje wyraźnie darcie nóg”. Więc — do klozetu. Czeką już „tamta”. Krótko: „Trzy minuty, pięćdziesiąt franków”. — Idą do budki telefonicznej. „Po trzech minutach rozmowa telefoniczna skończona”.

Droga Erenburga zarysowała się wyraźnie i od szkalowania rewolucji — przez mordownie masową dla sensacji amerykańskiej — do paryskich „fotostudji aktu”...

Krag zamknięty.

— Ależ, pozwólcie — tak nie można! Ilja Erenburg — to jednak talent niepospolity!

Talent Erenburga przypomina mi rasowego wyżła o czujnym węchu, który ma jednak fatalny defekt: nie przejdzie spokojnie koło padliny... Przeciwnie, wszędzie zwęszy ścierwo — i zaraz się w niem wytarza, ile wlezie. Nabrawszy w szerść smrodu i cząstek rozkładającego się padła, biegnie zadowolony, łaszcząc się i merdając ogonem.

Z takiego znarwionego wyżła nie będzie miał nikt pociechy.

Zastanawia jednak fakt dlaczego z całej nowej literatury rosyjskiej z całej falangi nowych prozaików, jeden Erenburg potrafił nie tylko prze dostać się przez pilnie strzeżony, przed „zalewem barbarzyństwa” kordon, lecz stać się nawet łakomym kąskiem dla rozmaitych sprytnych dostawców kokainy literackiej. Ale też na jego produkt istnieje wyjątkowe zapotrzebowanie. Hodowla gnilna dostarczana przezeń jest mocniejsza od tej, na którą stać dostawców krajowych. To prawda. Ale dlatego trzeba wreszcie powiedzieć

do luftu z erenburszczyzną!

K S I A Ź K I

CHOUCAS

Zofja R. Nałkowska. Choucas. Powieść międzynarodowa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa. Str. 233.

Choucas to są ptaki w rodzaju kawek, których karmienie stanowi „najżywszy interes dnia” dla gości pewnego szwajcarskiego hotelu, będącego terenem „międzynarodowej” powieści p. Nałkowskiej. Pojawienie się literaturze pewnych tematów w pewnych okresach stanowi zjawisko bardzo znamienne. Przed paru laty powieściopisarz niemiecki, Tomasz Mann wydał powieść hotelowo - sanatoryjną „Zauberberg”, o tendencji podobnej.

Taka pacyfistyczna powieść hotelowa doskonale określa się przez swój teren właśnie. W hotelu p. Nałkowskiej zebrani są „ludzie z towarzysstwa” różnej narodowości, wieku, stopnia zdrowia lub zachorzenia, niektórzy zaś bliscy śmierci. Wojna była niedawno i pozostawiła ślady głębokie, więc się o niej mówi. Wojna toczy się i dziś w kolonjach, więc mówi się i o tem. W hotelu znajduje się kilkoro ormian, którzy opowiadają o rzeziach ormian w zarządzanych przez nacjonalistów tureckich. Są też fanatyczni przedstawiciele imperjalizmu europejskiego i znów mówią swoje. Autorka zachowuje modny obiektywizm, który w rzeczy samej wcale nie jest obiektywny.

Ten obiektywizm polegający na rzekomo beznamietnym rejestrowaniu faktów bywa fikcyjny choćby dlatego, że dobór faktów rejestrowanych należy do autora. Rzecz w tem, iż autor żenuje się wypowiedzieć własne zdanie. Rejestracja poszczególnych zjawisk i opinii nabiera znaczenia przedewszystkiem przez środowisko na terenie, którego odbywa się owa rejestracja. To decyduje o podłożu ideowym utworu. P. Nałkowska porusza zagadnienie wojny, krzywdy narodowej rzezi i t. p. — ale rozpatruje je dogmatycznie jako rzeczy wieczne — nie interesuje się zupełnie analizą podniesionych problemów. A to już bardzo dokładnie określa stanowisko wobec tych zagadnień. Zagadnienia współżycia gości hotelowych bardzo niewiele światła rzucają na sprawy życia codziennego. Ta hotelowa legitymacja „internacjonalistów” powieści jest mało wystarczająca: Pacyfizm stał się modny, cieszy się uznaniem ministrów, ale to też ma swoje głębsze powody. P. Nałkowska zaś opowiada szereg mniej lub więcej interesujących (raczej mniej) wypadków z życia gości hotelowych — językiem jasnym i przejrzystym ze znaczną dozą mniej przyjemnej minoderji — a „pacyfizm” traktuje jako taką właśnie modną dekoracyjną ozdobę. Nie ma tu nawet próby jakiegos ujęcia bardziej serio.

Ciekawe zjawisko stanowi ton religijnego rezonerstwa otrzymujący przewagę zwłaszcza pod koniec książki. Mówi się tam „internacjonalizacja Boga”, „Bóg ponad narodami”. Powieść kończy się modlitwą do Trójcy.

Interesuje to jako zjawisko typowe. Religijantwo tego rodzaju spotyka się coraz częściej w produkcji literackiej doby ostatniej. Ma ono swoje przyczyny natury dość szczególnej częstokroć. Pewnego młodego poe, który produkuje wiersze z niezmiernie obfitości i niemniej obficie używa mitologii katolickiej, zapytano czy też naprawdę wierzy w to wszystko. Poeta ów odpowiedział, że nie, skądże — ale to jest bardzo ładne, przytem niezmiernie pomaga przy kończeniu utworu. To rozbrajające wyjaśnienie nie jest takie naiwne jakby się wydawało — przeciwnie rzuca ono światło na przyczyny tej mody czy „prądu”, ogarniającego dzisiaj powieściopisarzy, krytyków, poetów.

Ogólny wzrost prądów reakcyjnych wśród burżuazji europejskiej, wyczerpanie się ideologii, postępujące wykruszanie się podstaw, na których ta ideologia się opierała powoduje żywiołowy ciąg do dogmatu — niechęć do myśli, która coraz częściej prowadzi do wyników karygodnych.

W literaturze zawsze używano pewnych słów o charakterze metafizycznym, słów niezmiernie pojemnych, wieloznacznych, stąd nadających się do wszechstronnego użytku. Było to szczególnie ważne tam gdzie potrzeba zmuszała autora do maskowania niekonsekwencji, zalepiania dziur w myśleniu — tam gdzie czytelnik żądał jakichś wniosków, jakichś ogólniejszych wyników. Pisarz dawał mu absolut, ducha, wolę albo znowu postęp i t. p. Ale operowanie temi pojęciami wymagało jeszcze znacznego wysiłku myślowego — na co nie stać dzisiejszych epigonów burżuazji. Następuje odwołanie się do Boga, to jest łatwiejsze, Bogiem można bardzo łatwo zakończyć książkę, wiersz, artykuł — a przytem nie trzeba zanadto wyteżać mózgu.

Od niepamiętnych czasów przechowało się, siłą nawyku językowego wyrażenie „Bóg zapłać!” W podzięce za jakąś drobną usługę, jałmużnę i t. p. zlecało się Bogu zapłatę. Kiedy dzisiejszy autor pomieszcza słowo

„Bóg” na końcu artykułu, wiersza czy książki postępuje podobnie. Jest to swojego rodzaju próba wykwitowania, się czytelnikowi, podzięką za przeczytanie, przeprosiny za obezwładniającą czczość myśli, nudę, narzucanie indolencji, lenistwa autorskiego. Jest zarazem pewien znak porozumiewawczy, filuterne mrugnięcie okiem w stronę pewnej kategorii czytelników...

„Bóg zapłać!”

Z D N I A N A D Z I E Ń

Ferdynand Goetel. Z dnia na dzień. Gebethner i Wolff. Wyd. II.

Jest to drugie wydanie w czasie dość krótkim. P. Goetel zdobył sobie powodzenie powieściami na tle rewolucji. O powodzenie było łatwo — byle tylko dobrze „opisać” bolszewików i jako tako znać teren. Autor zaś przebywał wtedy w Turkiestanie jako jeniec wojenny. I dziś jeszcze plamflety na rewolucje — choć się cokolwiek naprzykrzyły — mają zbyt zapewniony. „Z dnia na dzień” wykazuje już poważniejsze usiłowania i zaciekawia techniką.

Technika ta została napozór obrana dowolnie i wydaje się sprawą kaprysu autora czy dążenia do oryginalności za wszelką cenę. Główną figurą jest literat, którego pamiętnik stanowi właściwą powieść. Literat ten, równoległe z pamiętnikiem, pisze jeszcze powieść na podstawie swych dawnych przeżyć w czasie rewolucji, przyczem pamiętnik przeplata się z „powieścią” w miarę jej narastania. Mamy więc do czynienia jakby z dwoma powieściami: ramową — pamiętnikiem — i wewnętrzną, pisaną przez bohatera. Ta druga powieść nie udaje się i zostaje przerwana — następuje połączenie obu wątków. Miejscami przypomina to znane wiersze napisane na temat: jak trudno jest poecie pisać wiersze na dany temat.

Bo też ta zawikłana technika jest wyrazem trudności bardzo istotnych. W zasadzie akcja głównej ramowej powieści została umiejscowiona bardzo ściśle. Odgrywa się ona w Krakowie w 1923 i 1924 roku. Są wyraźne aluzje do powstania krakowskiego w listopadzie 1923 roku. Rzecz bardzo charakterystyczna, że dzieje się ono niejako na marginesie. Bohater p. Goetla zamyka się w domu i zajmuje się porządkami domowymi. Proponują mu, by wstąpił do bojówki faszystowskiej przeciw robotnikom — odmawia, robiąc mętne aluzje do swych przeżyć w Rosji. Chce być „apolityczny” — wyraża zupełnie szczery wstręt do tych rzeczy. Boleje, ubolewa — a zresztą żąda by mu dać spokój. Wyraża dokładnie nastrój autora.

Ambitny powieściopisarz z przed lat dwudziestu lub piętnastu postąpiłby zupełnie inaczej. Starałby się dać oświetlenie takiego doniosłego wydarzenia — być może zrobiłby je centralnym punktem powieści. P. Goetel stara się je uchylić, odsunąć jak najdalej — nie chce robić choćby nawet pozoru analizy z jakiegokolwiek stanowiska. „Wypadki krakowskie” stara się zepchnąć do starego przeżytego kompleksu turkiestańskiego, którego energia już dawno została wyeksploatowana.

Powstanie krakowskie zajmuje w książce p. Goetla — zaledwie kilka stron — zdawałoby się że autor mógłby je pominąć zupełnie. Ale to jest coś więcej niż zwykły zaniedbany epizod. Można tu znaleźć potwierdzenie charakterystycznej taktyki społecznej, dającej się zauważyć w literaturze ostatnich lat. Zaznacza się zjawisko niezmiernie ciekawe. Mieszczan-

stwo traktuje dziś bojowo usposobionych pisarzy antyrobotniczych jako Don Kichotów. Doskonałym przykładem może służyć przyjęcie „Antychrysta” K. H. Rostworowskiego. Dramat napisany był na tle wypadków krakowskich. Burżuazja warszawska bynajmniej nie zmanifestowała swej solidarności z bojowym szermierzem reakcji. „Antychryst” szedł w podrzędnym teatrzyku warszawskim przy pustej sali. „Z dnia na dzień” w ciągu niespełna roku ma drugie wydanie.

Jest to symptom pewnego kursu na zacieranie, pomijanie zagadnień wewnętrznych — niezależnie od sposobu ich ujęcia. Nie rozmażywać przeciwnieństw społecznych, zatopić je w dniu powszednim — o ile możliwości naj-
mniej o nich mówić. Ta instynktowna taktyka publiki burżuazyjnej ma swoje głębsze podstawy. P. Goetel zrozumiał to doskonale.

Wrómy do techniki powieści. Autor nie może się oderwać od swej dotychczasowej bazy Turkiestanu w okresie rewolucji. Tam idzie jego motor. Jak wyżej zazaczyłem do tego kompleksu zepchnął autor nawet strajk i walkę zbrojną w Krakowie w 1923 roku. Ale zarazem ta turkiestańska egzotyka już się wyczerpuje — autor robi wysiłek sprowadzenia swego Turkiestanu do dzisiejszości. Stąd przeplatanie ustępów powieści zewnętrznej, ramowej, dziejącej się w Krakowie i sztucznej „powieści” turkiestańskiej. Owa wewnętrzna powieść „nie udaje się” — wobec czego przychodzą nowe motywy pomocnicze.

Rewizje ustalonej techniki zostały w czasach ostatnich mocno spopularyzowane w różnych działach literatury. Średni majster teatralny Pirandello zdobył sobie tą drogą światową renomę. Przypomina to trochę odświeżanie potraw pozostałych z poprzedniego dnia, uprawiane w niektórych restauracjach z wielką szkodą dla zdrowia gości. Specyficzny smaczek rozłożonego mięsiva zaciera się dodawaniem ostrych przypraw i sosów. Rolę takiej ostrej przyprawy odgrywa właśnie to wprowadzenie czytelnika za kulisy „twórczości”, pokazywanie mu, jak się robi to a tamto — w jaki sposób preparują się efekty. Sama rzecz jest stara — nowa tylko jej popularność.

Autor mówi np. o trudnościach w pisaniu: „Nie tak się pisze. Monotonja niedołęstwo, jakiś paraliż postępowy słowa”. „I znowu coś „ni przypiął ni przylatał”. Potem myśli o przekształceniu głównej figury powieści „Nic mi to nie pomoże, gdyż i mnie samemu składają się usta do gwizdania na widok tej „nowej” postaci”. Autor robi tu kokieterję z wad istotnych. Użył do swej powieści dwóch koncepcji, z których każda z osobna ma podstawy niedostateczne.

Trudności te odbijają się na stylu. Zgodnie z planem zasadniczym w fikcyjnej „powieści” wewnętrznej język powinien być bardziej „literacki” — w pamiętniku zaś codzienny. Autor mógł dać lekką karykaturę na dzisiejszy szablon powieściowy ale tak daleko nie poszedł. P. Goetel posiada energję w wyrażeniach wiele z tego co się nazywa swadą. Na jego stylu nie znać jednak śladów poważniejszej pracy. Są miejsca zaniedbane techną szablonem.

Na tem co możnaby określić jako pozytywną ideologję powieści (to znaczy tam, gdzie autor nie przemilcza i nie wykręca się) zaciążył silnie Sienkiewicz. Wpływ zwłaszcza „Rodziny Połanieckich” daje się odczuć nawet na sytuacjach. Ztamtąd rodem jest praktyczna mądrość bohatera „Z dnia na dzień”. Wygłasza on takie np. aforyzmy: „Dajmy spokój morąom. Gdybym powiedział, że są, musiałbym się zaczerwienić, gdybym rzekł, że ich nie ma, powinienym poszukać powrozu!” Zaraz zresztą autor

wierny swej metodzie, robi z tego kokieteryjny gest w stronę czytelnika dodając: „Jakżeż mi nie udają się te dygresje!”.

Lubi przytem stawiać tezy godne owej słynnej mszy Sienkiewicza. Np. zastanawiając się nad pobożnością dziewięcioletniej córeczki, bohater jego dowodzi, że dorasta nowe religijne pokolenie. To jest poprostu naiwne: dzieci w tym wieku zawsze są fetyszystycznie usposobione, zwłaszcza, gdy nie brak im podniet zewnętrznych w tym kierunku.

Pan Goetel wogóle czerpie obficie z tej mądrości, którą Sienkiewicz rozsiał hojną ręką. Charakter tej mądrości najlepiej określił w swoim czasie Nowaczyński, pisząc: „Sienkiewicz to jest taki ogromnie genialny pan, który patrzy na świat przez rurę od barszczu”. W powieści p. Goetla dochodzi jeszcze ostry katzenjammer inteligenta, który widział rewolucję. No i „rura od barszczu”, symbolizująca dobrobyt leży raczej w sferze tęsknot.

Z innych elementów kompozycyjnych charakterystyczne jest użycie romantycznej tajemnicy. Wciela ją „Automobilista” oraz, częściowo, ustylizowany na modnego „głuptaska bożego”, Szmid (ma on bliskie związki z dawną powieścią rosyjską). Pozatem jeszcze powieść dokomponowana jest Bogiem. To co się powiedziało wyżej, z okazji „Choucas” p. Nałkowskiej o głębszych przyczynach pobożności autorów współczesnych — całkowicie odnieść można do powieści p. Goetla.

A. Stawar.

Halina Krahelska. — Łódzki przemysł włókienniczy wobec ustawodawstwa pracy. — Nakł. Instytutu Gospodarstwa Społecznego, Warszawa, 1927, str. 48.

Niewielka ta książeczka jest od początku do końca aktem oskarżenia dla przemysłu łódzkiego. Autorka, która z tytułu piastowanego urzędu, miała możność zapoznania się z warunkami pracy w łódzkim przemyśle włókienniczym, stwierdza zaraz na początku, że gospodarka ta jest „iście rabunkową i antyspołeczną”.

Ośmiogodzinny dzień pracy w przemyśle łódzkim nie istnieje. Praca w jednej zmianie przedłuża się do 9, 10, 11 i 12 godzin; praca w dwóch dziennych zmianach odbywa się również w zmianach 10-godzinnych. Przeciężenie robotników i robotnic pracą jest niebywałe i wyczerpujące zupełnie ustrój nerwowy robotnika.

Przemysł zatrudnia ogromną ilość kobiet i młodocianych (prawie 60%)), przyczem nie stosuje zupełnie ustaw ochraniających pracę kobiet i dzieci w przemyśle. W nocnych zmianach pracują przeważnie kobiety i dziewczęta. Zmiany t. zw. „dzienne” najczęściej zaczepiają o noc tak, iż niweczą tem odpoczynek nocny (pierwsza „dzienna” zmiana rozpoczyna się o 3, 3½ godz. nad ranem). Jednocześnie wszelkie świadczenia, zawarowane we współczesnem ustawodawstwie dla kobiet pracujących, wzbudzają w środowisku przemysłowców łódzkich szczególny opór. Pod naciskiem przemysłowców łódzkich zostało odroczone na 2 lata wprowadzenie artykułu o żłobkach fabrycznych na koszt fabrykanta.

Przemysł łódzki cechuje również zupełna pogarda dla higieny to też stan zdrowotny robotnika jest zastraszający. Gruźlica wzrasta się wśród proletariatu łódzkiego z roku na rok, robiąc niebywałe spustoszenia w jego

środo­wisku: sdrowy robotnik staje się fenomenem, niespotykanym prawie w Łodzi.

Książeczka ta nie wyciąga wniosków, boć przecież nie można nazwać wyciągnięciem wniosków to „uzgodnienie interesów przemysłu z interesami państwa”, od którego winno zacząć się — według zdania autorki — uzdrowienie stosunków, — lecz każdy uważny czytelnik sam te wnioski wyciągnie.

S. W.

K I N O

Film „Wielka Parada” ma niewątpliwie pewne zakusy na tendencję pacyfistyczną. Ten gatunek pacyfizmu jest niezmiennie ciekawy, wynika on z przystosowania się do nastrojów szerokich rzesz drobnomieszczan­stwa. Przy całej naiwności niektórych szczegółów ideologia takiego monu­mentalnego filmu amerykańskiego preparowana bywa z ołówkiem w rękę z obliczeniem na rynek światowy. Prawidła ścisłej kalkulacji zabraniają przeprowadzenia jakiejś tendencji aż do końca. Towar obliczony jest na to by podobać się wszędzie, o ile możliwości przeniknąć wszędzie, nie spotykając się z jakimś zakazem, bojkotem i t. d.

„Wielka Parada” ma interesujące miejsca satyrycznego oburzenia. Np. gdy milioner amerykański wpada na swego marnotrawnego syna z wie­ścią o wybuchu wojny i oznajmia, że wskutek tego jego młyny zaczynają pracować na dwie zmiany — to jest podkreślone z pewną ironją. Gdzie­indziej podaje się okropność w rodzaju dobijania rannego, dwuznacznie wygląda brawura oficerów amerykańskich i t. d. Podobnie przemawia spe­cyficzna melancholia przemarszów, odjazdów, zrobionych bardzo dobrze.

Ale odwrotną stronę medalu stanowi dziar­skość, demokratyzm wo­jenny (trójka przyjaciół: milioner, posługacz, robotnik budowlany). Inte­resujące byłoby porównanie tego filmu z mowami dzisiejszych urzędowych „pacyfistów” w rządach burżuazyjnych. Potępia się szerokim gestem woj­nę, ze szlachetnem oburzeniem mówi się o jej okropnościach — to na teren międzynarodowy. W domu chyłkiem przemycą się kult munduru, kult bohaterstwa wojennego i przygotowuje się nastroje do następnej wojny. To drugie jest i ważniejsze, i istotniejsze, i prędzej przejawia swoje groźne rezultaty.

Taka towarowa kalkulacja jak w „monumentalnych” filmach ame­rykańskich oparta na wyrachowaniu, że pieniądz przyciąga pieniądz, że trzeba dużo pieniędzy włożyć w interes, by ściągnąć inne pieniądze (czem amerykańskie, zupełnie słusznie zresztą, biją równie bezideowy film euro­pejski) — jeżeli idzie o stronę formalną, sprowadza straszliwe przeładowa­nie szczegółami. Te szczegóły są zresztą najciekawsze — wszystko inne jest przecie pod rządami szablonu handlowego. Widza prędzej czy później zacznie oblegać nuda, podobna jak w teatrze — teatr też został pobity przez szablon. Szablon nie może dać nawet złudzenia niespodzianki.

W nowszych filmach amerykańskich coraz więcej rzuca się w oczy stosowanie techniki kinomontażu.

PUBLICZNOŚĆ PARSIFALA

Opera warszawska grywa od pewnego czasu Parsifala przy stałe wypełnionej widowni. Warszawa jest miastem o niskim poziomie kultury muzycznej. Parsifal jest operą zgoła niepopularną, a miejsca w operze są bardzo drogie. Nie występuje przytem żadna okrzykana gwiazda zagraniczna. Powodzenia więc Parsifala należy szukać nie wyłącznie w jego wartościach muzycznych, jakoby ocenianych przez warszawiaków.

Na przedstawieniach Parsifala bywa inna publiczność, niż na zwykłych widowiskach operowych: bardzo dużo radykalizującej inteligencji drobnomieszczańskiej — dużo tych, którzy głoszą hasła odrodzenia moralnego, odrodzenia duchowego, różni zwolennicy rewolucyj etycznych czy duchowych — socjal-literaci i socjal-mistycy.

Wagner — uczestnik rewolucji drezdeńskiej r. 1849 i przez pewien czas emigrant polityczny — uważał swe dramaty za czyny, prowadzące ku odrodzeniu duchowemu ludzkości. Potępiwszy bardzo ostro dawną operę włoską, jako rozrywkę dla „panów i szachrajów” (w rozprawie „Sztuka i Rewolucja”) usiłował swemi własnymi utworami odrodzić dawną tragedję grecką, będącą ponoć nie przedstawieniem teatralnem, lecz wielkim, świętym obrzędem ludowym. Tematy czerpane z pogańskiej mitologii germańskiej (Pierścień Nibelungów) miały właśnie obudzić ludową duszę germańską. Wagnerowskie dramaty muzyczne miały być narodowymi misterjami germańskimi, w których „dusza” germańska odnajdywałaby i przeżywała sama siebie. Oczywiście wszystkie te fantastyczne zamierzenia pozostały w dziedzinie frazesu. — Nowoczesne masy ludowe niemieckie mają równie mało wspólnego z Wotanem i Walkirjami, jak z Zeusem i Ateną. Wagner, tworzący swe arcydzieła muzyczne pod łaskawym protektoratem królewskim, ostatecznie dał tylko nowy styl opery, dał nową formę rozrywki dla tych samych „panów i szachrajów”, których traktował z taką pogardą. To też dzisiaj w operach wagnerowskich nikt nie szuka już nic innego poza pewnym szczególnym stylem muzycznym.

Wzruszone wystawieniem Parsifala Towarzystwo Teozoficzne organizuje odczyty o Parsifalu i Monsalwacie, przygotowując swych członków do godnego przyjęcia tych tajemnic, które mają spłynąć na nich ze sceny Teatru Wielkiego. Na przedstawieniu spotyka się radykalizujących działaczy oświatowych, którzy rozprawiając obficie o bohaterstwie i pragnąc wychować naród polski na naród bohaterów, uciekli z robotniczych instytucyj oświatowych ze strachu, aby ich kto nie pośadził, że mają coś wspólnego z rzeczywistem bohaterstwem robotniczem. Spotyka się socjal-mistyków, pomagających w poskramianiu narodów kresowych i pragnących koniecznie rozmawiać z Panem Bogiem po polsku, a nie po łacinie. Spotyka się różnego rodzaju poszukiwaczy zgubionego Boga i t. p. i t. p. Wszyscy ci ludzie usilnie nadają swym twarzom i całemu zachowaniu się jaknajbardziej kościelno-sakramentalny wygląd, powstrzymują teatr od okłasków i dokładają wszelkich starań, aby wytworzyć nastrój świątyniowy - misterjowy.

Na scenie tymczasem zażywny czterdziestoletni tenor (o wyszarzanej twarzy i grubej fałdzie tłuszczu na podbródku — odgrywa rolę czystego i naiwnego młodzieńca, napróżno kuszonego przez działające z poduszczenia djabelskiego grono pięknych dziewcząt. Potem tłusty tenor pozuje się na Chrystusa, a Kundry-Magdalena — grzesznica nawrócona dzięki temu, że

on oparł się jej wdziękowi — namaszcza mu nogi i włosami je swemi ociera. Wreszcie ten sam tenor Parsifal odprawia wielkopiątkowe misterjum Graalowe, przyciska guzik elektryczny i zapala w kielichu czerwoną krew Chrystusową.

Legenda o Graalu i Monsalwacie niema żadnych znamion legendy ludowej. To legenda wybitnie rycerska. Legendy takie rodziły się i wędrowały po zamkach średniowiecznych, gdzie umyślnie w tym celu utrzymywani śpiewacy bawili niemi znudzone księżniczki, chętnie podniecające się słuchaniem opowiadań o rycerzach niezłomnie czystych.

Muzyk (zgoła nie dramaturg) Wagner znał to za kanwę dogodną dla rozwinięcia cudownych efektów muzycznych. Niezmiernie intensywny, żywiołowy erotyzm wagnerowski nabiera szczególnych blasków przez rzucenie go na tło pozornie antyerotycznych nastrojów ascetyczno-mistycznych. Nie brak przytem pierwiastków sadystycznych, wyraźnie występujących, w tak znamieniem dla Wagnera, pogardliwie-nienawistnem traktowaniu kobiety.

Ale skołowaciemu inteligentowi polskiemu wydaje się, że opera wagnerowska może mu dać coś zasadniczo innego, niż tylko tę wyśpiewaną w muzyce przedziwnie subtelną grę uczuć erotycznych. Wychowany na Monsalwatowych frazesach Artura Górskiego, zbankrutowawszy wszędzie, do cna postradawszy drogę, kupił sobie bilet na operę w poszukiwaniu zagubionej jaźni własnej.

j. h.

M I M O C H O D E M

OBŁOCZEK. Wzrużające objawy poetyckiej gościnności wykazała literacka Warszawa względem nieszczęśliwego wygnańca z barbarzyńskiej Rosji. — Wszak:

„Jest tam za duszno człowiekowi, który umie pisać i mówić tylko to, co nakazuje mu sumienie”.

A Konstanty Balmont w 1907 roku pisał już naprzykład:

„Nie kljanicie, mudyry!

Czto wam do mienia?

Ja wied' tolko obłaczko

Polnoje ognia...

Ja wied' tolko obłaczko...

Widitie? Pływu

I zowu miecztatielej —

Was ja nie zowu”)*.

To było w roku 1907. Nasz obłoczek miał wtedy latek czterdzieści i grubo więcej wdzięku. W 1927 sześćdziesięcioletni wędrowny obłoczek przyjechał do Warszawy balmontyzować kwietniowym deszczykiem na pół- i ćwierć-urzędowe główki zebranych w Towarzystwie Hygjenicznym marzycieli.

*) „Nie przeklinajcie, mądrale! Co macie do mnie? Jestem wszak tylko obłoczkiem, pełnym ognia. Jestem wszak tylko obłoczkiem... Widzicie? Płynę. Wzywam marzycieli. Was nie wzywam.

Aliści tu, w Towarzystwie Higienicznym obłoczek spotkał niepospolitą chmurę gradową, która go zniosła. Mąż, zwany Belmont powstał i zdradą powalił Balmonta. Dzieje tego wstrząsającego starcia dwóch potęg, opisuje „Kurjer Poranny”.

W ubiegłą sobotę miał wygłosić odczyt znakomity poeta rosyjski, Konstanty Belmont; odczyt jego ofiarował się poprzedzić paroma słowy wstępu p. Leo Belmont, adwokat i literat warszawski. Atoli p. Belmont jest krasomówcą... Przemówienie jego, okraszone własnymi pięknymi przekładami z Balmonta, trwało tyle, ile miał trwać sam odczyt... W czasie tego, Belmont, uwięziony na estradzie, kręcił się, spoglądał na zegarek, bladł i czerwienił się naprzemian. Publiczność, widząc co się dzieje, pragnąc doczekać się Balmonta, zaczęła wołać Belmontowi „dosyć”, Belmont atoli, niewzruszony, dokończył swoich blisko godzinnych „paru słów”.

Po wymownym adwokacie wystąpił na estradę poeta, mówiący nie najlepiej po polsku, cicho, zdenerwowany widocznie tym incydentem. Mówił poemat... Kwadrans... drugi... Robiło się późno... Wyczerpana przez Belmonta uwaga publiczności nie umiała się skupić dla samego Balmonta... W czasie odczytu publiczność zaczęła po jednym wyciekać z sali. Belmont zabił Balmonta, którego miał uczyć...

Marzyciele!

ŚWIĄTOBLIWIE REKLAMIARSKA figura p. Zegadłowicza przypomina raz po raz o sobie. W Nr. 14 z r. b. „Wiadomości Literackich” zamieszczono którąś tam z rzędu „Rozmowę z Emilem Zegadłowiczem”. Budująca ta rozmowa zaopatrzona jest w „rubensowską” fotografię Brata Emila z Gorzenia Górnego. Tym razem mamy szczęście oglądać słodkie lica świątka beskidzkiego en face. Przedtem ukazywał się wiernym tylko en-trois-quatre, z profilu, albo — jak Jehowa Mojżeszowi — zgóła od tyłu — w mrokach drzew, worytów i akwafort. Reklamę dobrze zmajstrowaną zdobi przytulny obraz p. Mrozińskiego, wyobrażający niezgorszy piętrowy dworek z kolumnami, w stylu jezuickiego baroku — skromny przybytek Biedaczyny. Na przybyłych tu z różnych parafji literackich „przybłądów bożych” patrzy zewsząd szczurzem, zaropiałemi oczkami oleodrukowa mistyka. Pełno „kozikami zmajstrowanych” „świętych Barbar, Katarzyn, Magdalen, Florjanów, Janów Nepomucenów” i t. d. W tej niezgorzej zopatrzonej kapliczce tworzy „vir simplex et idiota” miłe sercu eleganckich parafjanek i wędrownych handlarzy dewocjonaljami od św. Franciszka z Assyżu — zgrzebne kantyczki rosiste, suto nakrapiane łzami księżycego rozczulenia nad losem maluczkich „powsinogów beskidzkich” — druciarzy, szklarzy, kamieniotłuków, garnkotłuków i szlifbruków. Na plebanji w Gorzeniu Górnym ułożył braciszek Emil niejedną wzniosłą mszę teatralną — niejedną „Noc św. Jana Ewangelisty”... Nietylko księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu wydaje „Godziny przed jutrznią” rozmodlonego prostaczka w modnym krawacie. Wysokie protekcje fundatorki „Kontryfalitych ołtarzy od św. Agnieszki” oraz miłosiernego brata Huberta (w świecie — hrabiego Karola Huberta Roztworowskiego), sprawiły, że nawet Żydowiny uznają za kalkulujące się handlowo wydanie kwiatuszków błogosławionego Emila z Gorzenia. Na szczęście, luksusowo wydane „Dziewanny” — jak i inne wściekle drogie estetyczności religjanckie pana Zegadłowicza, opiewające w łzawej i wniebowziętej prostocie pokornie rozmodloną biedę górali, zacofanych i izolowanych gospodarczo w bezdrożach beskidzkich — niedostępne są dla czytelnika masowego. Niechże więc zasilają nadal poetycko-ewangeliczne głody cierpiących na niestrawność estetyczną snobów.

MALAGA DLA PROLETARJATU. W tygodniku „Pobudka” niosącym ciężar pracy kulturalnej partii P. P. S. drukowane są w formie szarad przejrzyste panegiryki ku uczczeniu wodzów tej partii. Przedrukujemy jeden z tych nieporównanych utworów — na cześć pośła Marka:

*Pierwsza — równa „posiada”, lub — „moja” w skróceniu,
Druga — rzecz do ćwiczenia; zgadnij zatem Geniu
Całość: po os do wozu poszedł na jarmarek,
Słowem swoim przykuwa, by śpiewem kanarek,
Pierwszej klasy polityk, w palestrze powaga,
Wybitny zdawna poseł, w Pe-pe-es... malaga,
Krakowskim socjalizmem, jak ojciec, kieruje,
Mniej Go lubią dewotki, klechy i burżuje,
I stronnictwa tak zwane arcynarodowe,
Że nie darmo na karku tęgą nosi głowę,
Witosa wraz z Kiernikiem odrzucił z Krakowa —
Niechaj Go za to wszystko Bóg zdrowiu nam chowa.*

Słusznie! Oraz tgo który tej malagi dostarcza „Pobudce”. Podpisuje się Nolens.

TEGOŻ PRZEZNACZENIA STRUCLA. Ten, kto prócz „Pobudki” zgłębia jeszcze dodatkowo „Robotnika” może natrafić na pożywną, niewiadomo dlaczego koniecznie „przystojną” ale zało słodką struclę ideologiczną, w rodzaju ballady p. Włodzimierza Słobodnika „O piekarzu sprawiedliwym”.

Do pewnego miasta, gdzie dzieje się biednym wszelka krzywda przybywa człowiek, „w piekarskiej czapie i fartuchu” i w dłuższym przemówieniu głosi między innemi:

*Budujcie się, albowiem wieszczę
Kres głodu i początek wiecznej
Sytości tym, co wygłodzeni,
Tym, którym bieda jest piastunką,
Tym, którzy z głodnych najgłodniejsi!*

Owemu reformatorowi przychodzi to równie łatwo, jak wierszowane słowo autorowi ballady:

*Jutro piekarnia tutaj stanie.
Będzie w niej tyle chleba, bułek,
Będzie w niej tyle rogalików,
Tyle maślaneł, obwarzanków,
Tyle przystojnych, słodkich strucli,
Że w krótkim czasie będą syci
Ci, którym bieda jest piastunką,
Przychodźcie tłumnie do piekarni!
Za darmo będę chleb rozdawał,*

Słowo się rzekło a już piekarnia stoi.

*Ściągały ku niej zewsząd tłumy.
Szedł żebrak, inteligent chudy,
Poeta, pies i bezrobotny.*

Hierarchja zachowana! Za darmo chleb dostają — ba, rogaliki. I trwałaby ta sielanka socjologiczna długo gdyby nie czarne charaktery, gdyby naraz

*Spółka piekarzy - właścicieli
Nie wzięła sprawy w swoje ręce.*

Wzięli, zaskarżyli do sądu o czary — zaprowadzili na plac:

*Raz! Dwa! I głowa sprawiedliwa
Spadła z piekarskich silnych ramion,*

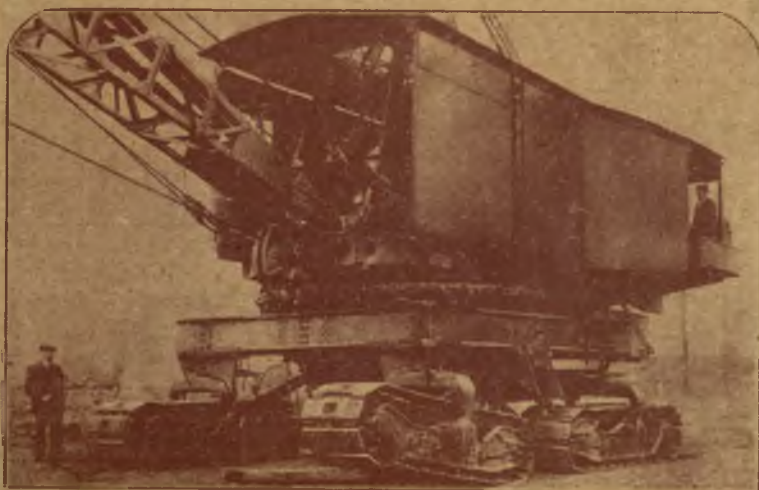
Żeby to tylko spadła — ale przebiła bruk, wpadła w ziemię i zakwitła. Serjo. Uważalibyśmy za usprawiedliwione — zwłaszcza ze strony prenumeratorów „Robotnika” — życzenie, aby sprawiedliwemu a niewinnemu piekarzowi, który spłodził tę balladę na pompowano jakąś drogą odrobinę oleju do głowy. Chociaż kto wie: może nasz poeta straciłby wtedy sens istnienia dla redakcji „Robotnika”? Może niech już lepiej zostanie tak jak jest?

ADRES: WARSZAWA, WSPÓLNA 20—35

**D
Ź
W
I
G
N
I
A**

N-r 4

**MIESIĘCZNIK
WARSZAWA
L I P I E C
1 9 2 7**



SPIS ARTYKUŁÓW

	Str.
ZACHÓD W POLSCE — A. Stawar	1—10
ŁÓDŹ — W. Broniewski	11
SZTUKA A RZECZYWISTOŚĆ — S-z	12—18
SCENA ROBOTNICZA W ŁODZI — W. Wandurski.	19—31
FOTOMONTAŻE DO ART. O „SCENIE” — L. Oli	26—27
PROJEKT — A. Łęczycki	32
DUSZA GRUZJI — W. Lidin	33—34
KSIAŻKI („Dymy nad miastem”. „Powrót Buddy”. „41”	35—41
TEATR (Wieża Babel. Percy Zwierzontkowskaja)	42—44
MIMOCHODEM	45—49
ODPOWIEDZI REDAKCJI, KSIĄŻKI, PISMA NADEŚLANE.	

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Mieczysław Szczuka

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 6-ej do 7-ej pp.

Konto czekowe P. K. O. 14.000

Prenumerata: Kwartalnie 4 zł.—Półrocznie 7 zł. 75 gr. Rocznie 15 zł.—Zagranicą: Półrocznie 1 dol. St. Zjed., Rocznie 2 dolary. Cena pojedynczego numeru 1 zł. 50 gr., Zagranicą 25 centów

Redakcja i Administracja: Wspólna 20 m. 39

Ogłoszenia: 1 kolumna 100 zł., 1/2 kol. 60 zł., 1/4 kol. 30 zł.

Druk. „Rola” J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11

ZACHÓD W POLSCE

A. STAWAR

Zachodowość Polski, przynależność Polski do Zachodu, stanowi jeden z najulubieńszych motywów w rozważaniach ideologicznych przedstawicieli polskiej inteligencji burżuazyjnej. Podkreślana ostantacyjnie i ambitnie zachodowość owa staje się, dzisiaj zwłaszcza, pewnem hasłem agitacyjnem. Zjawisko to odnieść można zresztą nietylko do samej Polski — ma ono znaczenie ogólniejsze, zwłaszcza w zastosowaniu do burżuazji tak zwanych „młodych” narodów europejskich (rumunów, serbów i i., prądy podobne istnieją również wśród ukraińców). Najcharakterystyczniejsze jest to, że równocześnie wewnątrz społeczeństw zachodnio-europejskich powstają całe teorie historjofobiczne, mówiące o upadku Zachodu właśnie, a co ważniejsze, teorie owe podkreślają tylko bardzo wydatne tendencje rozwoju stosunków gospodarczo-politycznych (załamywanie się kapitalizmu, wyzwolenie dążeń ludów kolonialnych i t. d.). Choćby dla samego tego przeciwstawienia warto zająć się rozpatrzeniem tych haseł i ich konkretnego znaczenia dla burżuazji tych narodów, traktowanych jako młode przez burżuazyjny Zachód.

Przedewszystkiem co oznacza samo pojęcie „Zachód” wzięte najogólniej. Niezmiernie często używane ono było i bywa obecnie w różnych idealistyczno-dogmatycznych koncepcjach historyków burżuazyjnych, w sensie przeciwstawienia pewnych dogmatycznie ustalonych cech „dwóch światów” (traktowane często, szczególnie u nas, w naiwny sposób jako przeciwstawienie „dobra i zła” i „białego i czarnego”), co tworzy materiał dla rozumowań w duchu popularnej uczonej szarlatanerii.

Niepodobna więc mówić o „Zachodzie” i „Wschodzie” w tem znaczeniu. Natomiast można „Zachód” rozumieć relatywnie jako pewne przeciwstawienie dialektyczno-historyczne, określane raczej przez pewną konjunkturę historyczną, a nie przez zespół cech stałych. Rozumiane w ten sposób przeciwstawienie między krajami Zachodu Europy, a resztą globu (bynajmniej nie między „Zachodem” a „Wschodem” — podkreślam to, aby zapobiec ewentualnym nieporozumieniom) zwłaszcza w perspektywie historycznej ostatnich kilku wieków — przeciwstawienie to, powtarzam, ma swoje głębokie uzasadnienie.

W okresie tym kraje Zachodu Europy w stosunku do reszty globu odgrywały rolę taką, jaką przed dwoma, trzema tysiącami lat spełniały kraje, położone nad morzem Śródziemnem w stosunku do krajów ościennych (a między innemi, i do krajów dzisiejszego Zachodu Europy). Kraje nadśródziemnomorskie nadawały wówczas pewien cywilizatorski kanon życiu, wytworzyły pewien typ gospodarki, miarodajny dla innych typ ustroju społecznego, poziom techniczny życia, jego urządzeń i t. d., co razem wzięte możnaby właśnie określić, jako rolę cywilizatorską owych krajów.

Coś podobnego w ciągu ostatnich kilku stuleci, spełniały kraje Zachodu Europy, tylko na skalę niesłychaną w dotychczasowej historii ludzkości, bo w stosunku do olbrzymiej części globu, obejmując w XIX wieku całą niemal kulę ziemską siecią imperjalizmu gospodarczego i rozszerzając ją niepostrzeżenie aż do ostatnich czasów. Ta właśnie rola zachodnich krajów

Europy stanowi bardzo istotną podstawę do przeciwstawiania „Zachodu” reszcie świata, mniej lub więcej biernie poddającej się owym wpływom.

Czyli, że zachodowe ambicje burżuazji polskiej (zarówno jak burżuazji rumuńskiej czy serbskiej), ambicje reprezentowania tego, co w dziedzinie kultury i ekonomiki zrobił zachód Europy, mają poniekąd pewne uzasadnienie (subiektywnie) wystarczające. Stwierdzenie tego może być punktem wyjścia dla oceny pewnego całokształtu ustosunkowań społecznych. Ale samo zagadnienie oddziaływania Zachodu europejskiego na bliżej położone kraje sąsiadujące z nim, posiada inną stronę niezmiernie ciekawą, — tembardziej, że ujawnia się ona szczególnie jaskrawo właśnie w Polsce.

Zasadniczy warunek trwałej ekspansji form zarówno bytowych jak i ustrojowych, stanowi ich wyższa (w danych stosunkach) skuteczność życiowa — to jest bezsporne. Mówi się wtedy o wyższości nowych form, przeniesionych zzewnątrz, nad dawnymi. Jeżeli teraz przyjmiemy ogólnie, że jakieś określone społeczeństwo o pewnym różniczkowaniu klasowym, podlegnie przez dłuższy okres czasu oddziaływaniu tego rodzaju wyższych (absolutnie czy tylko relatywnie) form, to stosunki wewnętrzne tego społeczeństwa zmienić się muszą radykalnie. Daleko trudniej bywa określić kierunek tych zmian, nie ulega bowiem wątpliwości, że wystąpią tu pewne powikłania rozwoju—wywołane przez kombinowanie się nowych wpływów, z dawnymi tendencjami, przyczem pierwsze do pewnego stopnia popierają drugie.

Wyjaśnię to na przykładach. Będą one może nieco ogólnikowe i nieco (w stosunku do interesującego nas zagadnienia) jaskrawe, ale tem łatwiej będzie na nich uwydatnić mechanizm przemian w innych bardziej skomplikowanych wypadkach ukryty, działający cząstkowo, lecz niemniej wydatnie.

Weźmy ogólny przykład jakiegoś osiadłego plemienia barbarzyńskiego z pewnymi śladami podziału społecznego na tle przywilejowo-ekonomicznem. Przypuśćmy, że plemię to styka się z kupcami europejskimi i otrzymuje od nich drogą handlu wymiennego pewną ilość nowych towarów, nowej skuteczniejszej broni i t. p. Otóż jest rzeczą jasną, że te nowe nabytki znajdują się przedewszystkiem w rękach grup uprzywilejowanych, silniejszych ekonomicznie. W dalszym rozwoju stosunków nabytki te powiększą niezawodnie arsenał środków, służących posiadaczom i pozwolą im zwiększyć eksploatację grup podwładnych do rozmiarów, o jakich dawniej być może marzyć nie mogli *). Położenie klasy niższej zmieni się na gorsze. Wobec nowych środków walki w rękach wyzyskiwaczy, środków, które wyzyskiwanym jest o wiele trudniej opanować, będą oni bezbronni tembardziej, iż wiekowe nawyki ciążyą nad nimi bez porównania silniej.

Naturalnie w zastosowaniu do konkretnych wypadków wywód powyższy wydać się musi zbyt uproszczony. Niemniej jednak uwydatnia się tu w formie najprostszej mechanizm samego procesu w stosunku do ustrojów bardzo prymitywnych. Ale to samo może się dziać i dzieje się istotnie w warunkach nieskończenie bardziej skomplikowanych — przez setki i setki lat. Wejście form wyższych obcych nietylko rozrywa gwałtownie istnie-

*) Przykład powyższy znajduje potwierdzenie w wielkiej ilości faktów. Pomijam tu już wypadki bardzo często powtarzające się w dziejach zaborów kolonialnych, gdy państwo imperjalistyczne świadomie forsuje ustalanie się podporządkowanej imperjalistom arystokracji, w charakterze mandatarjusza przy eksploataowaniu danego kraju.

jące ustosunkowania, ale stwarza częstokroć nieproporcjonalną różnicę kulturalną (a to nie tylko stopnia lecz samego zakresu kultury *). Do ideologii klas wyższych zawsze wchodzi swoiste „kulturträgerstwo” poczucie wyższości kulturalnej nad klasami ciemniejszymi. Owóż to „kulturträgerstwo” tutaj, w wypadkach omawianych dochodzi do rozmiarów wprost potwornych. Różnice między klasami mają bowiem tendencję do wzrastania absolutnego. Mają one też znaczenie absolutne, zwłaszcza w walce klasowej.

Jest jedna olbrzymia dziedzina, która odgrywa rolę decydującą w stosunkach międzyklasowych, — to sprawy militarne. Historia ruchów ludowych zna przykłady powstań, które posiadały, zdawałoby się wszystkie warunki powodzenia: masowość, obejmowanie całego danego kraju i t. d., a które zostały stłumione wysiłkiem stosunkowo niewielkim, dzięki wyższości militarnej klas uprzywilejowanych. *).

Zresztą tych rzeczy nie można ujmować jedynie w fazach ostrych wybuchów. W pozornie cichych przebiegach codziennej „pokojowej” walki klasowej o przytłumionem echu czynniki owe działają może jeszcze silniej przez wydobywanie jednych, a tłumienie innych cech świadomości w masach uciskanych.

Trzeba tu wziąć pod uwagę wielkiej doniosłości fakt społeczno-psychologiczny: ocena swej zdolności do walki, która się odbywa odruchowo, instynktownie, jako wynik oceny szeregu codziennych starć. Wielkie efektowne przełomy historyczne są bardzo często wyrazem wcześniejszego obrachunku sił. Takie przełomy w stanowisku danej klasy zachodzą też niekiedy prawie niedostrzeżenie. Jeżeli idzie o kraje zacofane gospodarczo i kulturalnie — to odbywające się stale nasilanie klas posiadających zdobycami zzewnątrz, odbija się decydująco na możliwościach wewnętrznej walki klasowej.

Aby jeszcze bardziej nie schematyzować i tak już nader schematycznego przedstawienia rzeczy, nie dałem wyżej ogólnego sformułowania.

*) Takie potworne rozziwy spotykają się we wszystkich krajach kolonialnych między klasami uprzywilejowanymi (urzędnicy, arystokracja tubylcza), a masą ludności wyzyskiwanej (klasyczny przykład stanowią Indie Angielskie).

*) W krajach o wyższej organizacji gospodarczej ma miejsce, między innymi, ciągłe ulepszanie techniki militarnej. Otóż nie trzeba zapominać, że udoskonalona broń zagraniczna w krajach zacofanych gospodarczo odgrywa rolę olbrzymią, jako czynnik w walkach wewnętrznych. Znana jest powszechnie potężna siła interwencyjna jaką rząd Stanów Zjednoczonych posiada w stosunku do spraw wewnętrznych Meksyku przez proste regulowanie wywozu broni (embargo). Amerykańscy baronowie przemysłu mogą w ten sposób w każdym momencie wywołać ruch zbrojny przeciw rządowi, któryby wystąpił do walki z nimi. Analogiczne zjawisko mamy w Chinach. Generałowie walczący w interesie poszczególnych państw kapitalistycznych nie kosztują ich przypuszczalnie zbyt drogo — przynajmniej w stosunku do rozmiarów „interesu”. „Zyski” mogą zdobywać sami drogą łupienia bezbronnej ludności cywilnej. Potrzeba im tylko uzbrojenia. Obfitość materiału ludzkiego i niski poziom potrzeb ludności rolniczej pozwala łatwo dopełniać armję tembardziej, iż liczby wojsk w stosunku do ludności są stosunkowo nieznaczne. Analogia między Chinami a Meksykiem jest tem pełniejsza, że tu i tam interwencja zagranicy zwraca się przeciwko ruchowi klas pracujących.

Istota zagadnienia polega na tem, że proces formowania się nadbudowy *), pojętej w jaknajszerszym znaczeniu, w krajach gospodarczo zacofanych ma swój przebieg szczególny, właśnie dzięki oddziaływaniom wyższej techniki oraz wyższych form organizacji, eskamotowanym przez klasy uprzywilejowane.

Trzymając się ram porównania, aby uwypuklić całą rzecz, możnaby powiedzieć, że gdy formowanie się nadbudowy, w krajach o typie, w danym wypadku, miarodajnym (typie „wyższym”) dałoby się w pewnym sensie charakteryzować jako organiczne (przyczem owa „organiczność” będzie tu znowu raczej przenośnią niż stwierdzeniem jakichś cech stałych), to w wypadkach krajów, które nas tu szczególnie interesują — krajów zacofanych — proces ten dałby się przedstawić jako deformacja rozwojowa w bardzo określonym kierunku. Mechanizm tych deformacji usiłowałem przedstawić wyżej. Zastrzegam się zresztą, że są to sprawy nie podlegające jakimkolwiek dogmatyzowaniu, że granice przebiegów są tu niesłychanie płynne i że niezmiernie trudno byłoby tu robić jakąś grubą robotę segregacyjną. Tymczasem można poprzestać na wskazaniu niesłychanej ilości faktów, potwierdzających wywody powyższe, faktów dostępnych nawet dla najbardziej powierzchownej analizy *).

Wszędzie tu mamy do czynienia z faktem, że nadbudowa ideologiczna i prawna danego ustroju wpływ swój rozciąga długo jeszcze po upadku form, które je wytworzyły. Masy ludowe z reguły niemal bywają zaskoczone, zdezorjentowane przez przełom dokonany w życiu, i przez wzmocną dzięki niemu eksploatację, a nie orjentując się w nowych stosunkach, oczekują ratunku od starych urzędów, które już dawno zmieniły swój sens. Przecież jeszcze w 1905 roku masy robotników dzisiejszego Leningradu dały się prowadzić na manifestacje z portretem cara, z naiwną ufnością w jego pomoc. Tutaj też mamy źródło licznych „cnót” feudalnych, jakimi odznaczają się przeważnie społeczeństwa świeżo przyswojone kapitalizmowi, — ku ogromnemu zbudowaniu publicystów burżuazyjnych, którzy zdołali już w sposób najprostoduszniejszy zapomnieć historii własnej klasy (w Polsce w swoim czasie bardzo modna pod tym względem była Japonja).

Utrzymanie takiego stanu absolutnej dezorjentacji, uniemożliwiającej prowadzenie celowej walki jest naturalnie klasom panującym bardzo na rękę. Wysiłają się więc one wszelkimi sposobami, aby ten stan zacofania, nieświadomości przedłużyć — co się naogół udaje przy pewnym nakładzie sprytu i sprężystości. Inna rzecz, że dalszy rozwój świadomości klasowej może być piorunująco szybki, jak to widzimy w dziejach proletariatu rosyjskiego, a ostatnio chińskiego. Tu wchodzi jednak w grę czynniki przyspieszające znaczenia ogólniejszego, których teraz omawiać nie będę.

*) Według określenia Bucharina („Teoria materializmu historycznego”). „Przez „nadbudowę” rozumieć będziemy wszelką formę zjawisk społecznych, wznoszącą się ponad podstawą ekonomiczną; zaliczymy tu i psychologię społeczną i ustrój społeczno-polityczny wraz ze wszystkimi jego częściami materialnymi (np. armaty) i organizację ludzką (hierarchja urzędników) i zjawiska takie jak mowa i myślenie”.

*) Materiału dostarczyć może aż nadto historia choćby przenikania wpływu chrześcijaństwa i związanych z niem form organizacyjnych (feudalizmu) do krajów Europy wschodniej. Jeżeli idzie o czasy najnowsze: przenikanie kapitalizmu do zacofanych gospodarczo krajów Europy i Azji.

W powyższych, w sposób dość zresztą przypadkowy sformułowanych uwagach, chodziło mi o wskazanie pewnych czynników procesu historycznego, które muszą znaleźć zastosowanie przy omawianiu kwestji „zachodowości”. Rzecz jasna, iż w stosunku do krajów środkowo-wschodniej Europy sprawy te nie przedstawiają się tak prosto. Mamy tu przede wszystkim do czynienia z procesami, które trwały całe wieki i których przejawy ulegały, jedne zwielokrotnieniu, inne osłabieniu lub nawet zanikowi. Jeżeli idzie o kraje europejskie, stanowiące w całym przebiegu swej historii teren ekspansji gospodarczej i politycznej krajów zachodnich (przyczem ekspansja ta mogła przybierać najróżniejsze formy od zupełnego podporządkowania, ewentualnie zaboru danego kraju, do bardzo delikatnych więzów „wpływu” politycznego), to tutaj trudno dać jednolite sformułowanie, obejmujące wszystkie charakterystyczne osobliwości struktury społecznej. Można tylko ogólnie stwierdzić, że wpływ zachodu wzmacniał i utrwalał niektóre właściwości feudalizmu*), co możnaby łatwo udowodnić na historii Polski, Czech, Węgier czy Rumunii.

Wszędzie tu zaznaczyła się interwencja omówionych wyżej czynników, wpływających na proces formowania się nadbudowy, co określiło jej specyficzny charakter i specyficzne działanie na życie społeczne. Mamy tu do czynienia z całym, niezmiernie skomplikowanym systemem wymiany współzależności. Można tylko z wszelką pewnością twierdzić, że na strukturę społeczną tych krajów, wewnętrzne ustosunkowanie się sił klasowych musiały działać przyczyny wyłuszczone wyżej. Klasy panujące bez porównania szybciej wykorzystują udoskonalenia organizacyjne i techniczne przynoszone zzewnątrz i zużytkowują je dla swoich klasowych celów, to znaczy dla tem skuteczniejszego niewolenia mas ludowych. Istniejące sposoby ucisku zyskują nową straszliwą skuteczność dzięki stosunkowemu zacofoaniu mas. Tu jest źródło specyficznych cech cywilizacji tych krajów, a zarazem ich charakterystycznej bezpłodności, jeśli idzie o twórczość gospodarczą czy kulturalną w skali światowej**).

Wpływ zaznaczonych wyżej czynników, ich ukryte a niezmiernie skomplikowane w skutkach działanie, najlepiej może uwydatnia się w charakterystycznych właściwościach struktury społecznej dawnej Polski. Owe tendencje mogły dojść do najwyższego natężenia właśnie w Polsce, z powodu sprzyjających warunków historycznych. W ciągu całego okresu historycznego (XIV—XVII w.) państwo polskie miało nad sąsiednimi krajami zachodnimi przewagę wyższości sił i rozległości terytorjum — nad wschodnimi zaś wyższość techniczną. Te sprzyjające warunki pozwoliły klasie panującej na rozwijanie pewnych właściwości aż do ostatnich granic — aż do sytuacji, która w danej konjunkturze historycznej prowadziła do absurdu.

*) Trzeba tu mieć na uwadze nietylę feudalizm w tej postaci w jakiej istniał na Zachodzie Europy — ile pewne niescentralizowane formy rządzenia i wyzysku, istniejące w krajach rolniczych. W tem tylko znaczeniu można mówić o feudalizmie w Chinach, Indjach i innych krajach, które właściwej organizacji feudalnej w sensie średniowiecza europejskiego nie znały.

**) Stąd powstały całe teorie wśród uczonych zachodnich krajów — teorie dowodzące, że Słowianie są jakąś rasą absolutnie niższą, niezdolną do szerszej działalności.

Niezmiernie ciekawy jest zwłaszcza przebieg różnicowania klasowego, typowego dla dawnej Polski, aczkolwiek niejednakowo zaznaczonego we wszystkich dzielnicach — przebieg jedyny w swoim rodzaju i uwydatniający te osobliwości w formowaniu się nadbudowy, o których wyżej mówiłem. Za fundamentalny fakt społeczny dawnej Polski uważa się kolosalną przewagę szlachty, górującej nad innymi klasami w stopniu gdzieś indziej niewidzianym, oraz nieznanie gdzieś indziej zjawisko mas drobnej małorolnej szlachty szaraczkowej. Zjawiska te wiążą z sobą zupełnie słusznie: ta masowość szlachty stanowiła jeden z zasadniczych warunków jej wyjątkowej siły. Ale trzeba tu uwzględnić inną jeszcze stronę zagadnienia najbardziej w danym razie interesującą.

Rzecz w tem, iż jako ugrupowanie klasowe, więcej, jako pewna organizacja przywilejowa (czem w istocie był stan szlachecki we wszystkich krajach), szlachta polska związana była dość słabo. Jako całość stanowiła ona nie klasę, ale raczej agregat klasowy, któremu podstawę dawało pełnoprawne władanie ziemią w skali najróżniejszej od latyfundiów, aż do nędznych skrawków roli, wystarczających tylko dla najniższej egzystencji. Fakt przytem znamieny, że choć cicha walka klasowa między poszczególnymi odłamami „stanu” uprzywilejowanego istniała zawsze, to dopiero pod koniec bytu państwowego dawnej Rzeczypospolitej, więksi posiadacze ziemscy zdołali częściowo pozbawić praw politycznych masy tego uprzywilejowanego pół-proletariatu.

Trzeba zważyć, że przez swoją sytuację ekonomiczną szlachta szaraczkowa stanowiła właściwie najsilniejszą warstwę chłopstwa. Gdyby posiadacze folwarków w okresie stabilizowania się Rzeczypospolitej szlacheckiej (XV — XVI w.) wykazali większą siłę, a stąd większą wyłączność organizacyjną, jako klasa istotnie uprzywilejowana, to elementy z których tworzyła się szlachta szaraczkowa, stałyby się przednią strażą chłopstwa. Zamiana na półgłodną masę uprzywilejowanych równała się podporządkowaniu ich dążeniom prawdziwych „panów” — a zarazem masy chłopskie w ten sposób traciły swoją naturalną (z punktu widzenia gospodarczego) awangardę klasową, która stawała się najpewniejszą podstawą klas uprzywilejowanych.

Ta „asymilacja” przywilejowa (trudno to nazwać inaczej)*) najsilniejszej warstwy drobnorolnej, beznadziejnie pogrążyła sprawę chłopską w dawnej Rzeczypospolitej. Aparat represyjno-kontrolny w stosunku do klas wyzyskiwanych został w ten sposób potwornie rozszerzony. Zjawisko to wyjaśnia specyficzną ciszę społeczną dawnej Polski, bierność mas chłopskich, i uległość z jaką pozwalały one na bezgraniczne zwiększanie eksploatacji. Rozstrzygała tu nie ilość czy okrucieństwo represji, lecz stosunkowa wielkość i siła aparatu kontrolno-represyjnego będącego w rozporządzeniu klasy panującej.*).

*) Trzeba to zaznaczyć tembardziej, że ulubioną fintę historyków wybielających politykę szlachty w stosunku do chłopów stanowi wyliczenie buntów chłopskich w krajach sąsiednich, oraz represji i okrucieństw spadających z tego powodu na chłopstwo — poczem powołują się na spokój społeczny w Polsce. W dawnym Rzymie był zwyczaj, iż niewolnikowi schwytanemu na ucieczce podcinano ścięgna, aby nie mógł uciekać poraz drugi. Klasa chłopku w dawnej Polsce była w położeniu niewolnika, który miał porzeczniane pewne ścięgna i nie mógł myśleć o buncie. Tu tkwiła kapitalna różnica w sytuacji chłopu polskiego nawet w porównaniu ze straszną dolą chłopu niemieckiego czy rosyjskiego.

Bynajmniej nie twierdzę, że aparat ten w Polsce był silniejszy niż w innych państwach. Technika panowania, umiejętność i wysiłek administracyjny były w porównaniu z państwami zachodnimi mizerne i może nikłe. Ale w stosunku do siły oporu mas ludowych były potwornie wysokie i dlatego system był tak potwornie niszczyielski.

Jeżeli tu zatrzymałem się przy sprawie struktury społecznej dawnej Rzeczypospolitej (pomimo, iż to zdaje się tylko niepotrzebnie komplikować zadanie), to dlatego przede wszystkim, że chodziło mi o uwydatnienie całej złożoności, nawet zagmatwania procesów ustrojowych o których mowa. Charakterystyczna jest przytem pewna dodatkowa swoboda manewrowania klas wyższych, o wiele większa, niż w krajach przodujących. Fakt skomplikowanego różnicowania się społecznego w dawnej Polsce stanowi tu przykład najlepszy.

Jeżeli zechcemy należycie ująć działanie wyszczególnionych czynników na stosunki społeczne w Polsce, musimy wziąć pod uwagę, że działały one w ciągu bardzo długiego czasu, w ciągu całej znanej historii kraju. Mamy tu do czynienia z pewną progresją działania i z pewną progresją skutków. Tutaj można tylko podkreślić rolę tych czynników, jeśli idzie o pewne przełomy społeczne w Polsce w XIX w., analogiczne do zaszłych w tymże okresie w całej Europie. Zachodzi jedna jeszcze komplikująca okoliczność. Likwidacja najbardziej ostrych przeżytków feudalizmu w Polsce została przeprowadzona przez siły zzewnątrz kraju — państwa zaborcze. Mówię „likwidacja najbardziej ostrych przeżytków feudalizmu” dlatego, że nie była to całkowita likwidacja feudalizmu — w rzeczy samej państwa te zarówno Niemcy jak i Austria i Rosja, zachowywały z przywilejów feudalnych to wszystko co dało się uchronić.

W Polsce sytuacja była o tyle odmienna, że polityka szlachty na długo zdołała wyniszczyć lub sparaliżować te klasy, które na Zachodzie odgrywały w tym czasie rolę decydującą. Dzięki temu szlachta nie miała poprostu konkurenta do roli przodującej i, mogła po pewnem przystosowaniu się, bez przeszkód spełniać rolę, którą na zachodzie wywalczyła sobie burżuazja — rolę organizatora społeczeństwa. Z drugiej strony faktyczne usunięcie szlachty od rządów krajem, zniszczenie starego samorządu stanowego popychało olbrzymi jej odłam do nieustannej opozycji i pozwalało jej podporządkować sobie wszystkie świadomie-opozycyjne elementy kraju.

Swoboda manewrowania będąca cechą charakterystyczną owego wtórnego feudalizmu rozciąga się na wszystkie fakty nadbudowy, a więc i na ideologję. Szlachta była w sytuacji bezkonkurencyjnej; członkowie klasy panującej mogą swobodnie operować wszystkimi możliwemi hasłami, pozornie nawet szkodliwemi dla nich, ponieważ hasła te nie będą miały żadnego faktycznego oddźwięku, nie stoi za nimi żaden interes. To jest podłoże rewolucjonizmu i radykalizmu szlacheckiego w XIX w. *)

*) Kwestja ta szerzej traktowana była w artykule „Uwagi o demokracji polskiej”. Nowa Kultura Nr. 38 z 1924 r.

Zjawisko przystosowywania „miarodajnej” ideologji opozycyjnej, a nawet rewolucyjnej do zupełnie odmiennych potrzeb nie stanowi bynajmniej osobliwości wyłącznie polskiej. Opozycja obszarnicza w Rosji w początkach XIX w. szermuje hasłami ultraliberalnemi. Późniejsze prądy socjalistyczne aż nadto często służą za pokrywkę dążnościom elementów czysto burżuazyjnych. Bez uwzględnienia tego rodzaju „mimikry” ideologicznej,

Zjawisko, które możnaby określić jako wtórną reprodukcję feudalizmu w wyniku przemian zaszłych w ciągu XIX w., stanowi najcharakterystyczniejszy rys struktury społecznej dzisiejszej Polski. W jednym z następnych artykułów poruszę charakterystyczny przejaw wybuchu tradycji i właściwości feudalnych w nowoczesnym państwie polskim^{*)}). Tutaj dotknę jeszcze pewnych właściwości ściśle związanych z funkcjonowaniem ustroju kapitalistycznego w Polsce i dalszemi jego koniunkturami społecznymi.

Kapitalizm w Polsce ma niewątpliwie pewne cechy kapitalizmu półkolonialnego, jeżeli nie formalne to istotne. Określenie to jest niewątpliwie najbardziej zbliżone do rzeczywistości, jakkolwiek rzuca ono światło raczej na charakter eksploatacji kraju, niż na jego strukturę społeczną. Wchodzi tu w grę nie tylko bezpośrednia eksploatacja przez kapitalistów zagranicznych (np. drogą wywożenia procentów od kapitału) ale, i to przede wszystkim, nierównomierność sił ekonomicznych kraju gospodarczo słabszego w porównaniu z mocniejszym kontrahentem, co warunkuje wyzysk.

Jeżeli porównamy zewnętrznie strukturę społeczną Polski z typowymi krajami wielokapitalistycznymi, to bardzo łatwo spostrzec względną słabość burżuazji w Polsce. Słabość ta uwydatni się naturalnie tylko w porównaniu z miarodajnymi tutaj normami państw wielokapitalistycznych — na wewnątrz nie uderza ona zbyt silnie. Przejawia się to w składzie i działalności burżuazji. Baza gospodarcza szczupła i chwiejna nie pozwala na duże rozmachy. Burżuazja polska to drobny fuszer, istniejący przy poparciu potężnego protektora i odczuwający to niejednokrotnie bardzo dotkliwie. Poza to odgrywa tu olbrzymią rolę zróżnicowanie narodowościowe wielkiej burżuazji, handlowej i przemysłowej, które w znacznej mierze odbiera jej siłę i autorytet, zwłaszcza w porównaniu z obszarnictwem — i osłabia samopoczucie.

To wyjaśnia przewagę obszarnictwa i odpowiednio zwiększoną rolę elementów zaliczanych zwykle do drobnomieszczaństwa^{*)}) — szczególnie odłamów drobnomieszczaństwa, zbliżonych do burżuazji i współdziałających z nią w wyzysku. Przy całej niepewności tego rodzaju porównań możnaby zaryzykować analogię ze światem organicznym. Im słabiej u danego gatun-

niezrozumiała jest w ogóle historia ruchów społecznych w zacofanych krajach europejskich — niezrozumiałe są zupełnie takie np. zjawiska jak P. P. S.

^{*)} Objawy te niejednokrotnie podkreślali publicyści burżuazyjni — robił to w swoim czasie p. Artur Śliwiński, aczkolwiek bez dostatecznej perspektywy społecznej.

^{*)} Pojęcie drobnomieszczaństwa, bywa używane w stosunku do różnych grup społecznych o najróżniejszych dążeniach i programach. Poza to u pisarzy marksistów ma ono swoistą tradycję polemiczną: pakuje się tam wszystko, co się danemu autorowi z tych czy innych powodów nie podoba. W rezultacie do jednego worka trafiają — drobny majsterka o średniowiecznych, cechowych aspiracjach, sklepikarz, liberalny albo socjalizujący inteligent, wolnomyślny burżua i t. d., zwykle dodaje się tu jeszcze całe chłopstwo. W tem co zaliczyć można do drobnomieszczaństwa znajdują się grupy będące niejako odpadkami albo wtórnymi produktami rozwoju społecznego — i odbijające w sobie wszystkie najbardziej specyficzne właściwości danego kraju. U pisarzy, którzy pomijają te osobliwości, uniwersalizują pojęcie drobnomieszczaństwa, mówią o drobnomieszczaństwie w ogóle, powstaje nader często niewiarygodny wprost bigos scholastyczny.

Coś podobnego aczkolwiek w bez porównania mniejszym stopniu da się zastosować do pojęcia „inteligencja”. W stosunkach polskich te kwestje występują szczególnie ostro

ku zwierząt bywa rozwinięty mózg, tem większą rolę odgrywają niższe wykonawcze ośrodki nerwowe. Słabość właściwej burżuazji potęguje rolę odgrywaną przez drobną burżuazję, „inteligencję” personel administracyjny, wojskowych zawodowych i t. d. Trzeba tu jeszcze dołączyć kułackie elementy wsi. Naturalnie, nie można przesadzać znaczenia wszelkich analogji historycznych — ale ta bije w oczy. Stosunkowa słabość właściwej klasy rządzącej i jej stosunkowo szeroki zasięg społeczny przypomina stosunki w dawnej Rzeczypospolitej, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę jeszcze stosunki narodowościowe, wyznaniowe i t. p. Faktem jest, że występują tu pewne charakterystycznie powtarzające się właściwości, — jest to wynik pewnych niezmiennających się tendencji, wyrażający się w owej wtórnej reprodukcji feudalizmu w XIX w.

Trzeba wyjaśnić jedną rzecz. Jakiś apologeta „zachodowości” mógł by tu zauważyć, że bądź co bądź z jakichkolwiek tam motywów, kierowane swym interesem klasy panujące przenoszą jednak nowe wyższe formy organizacyjne, podnosząc tem samem ogólny poziom kultury kraju, niezależnie od odbicia się tych zjawisk w życiu mas. Nic fałszywego. Przyjmując pewne zdobycze kultury, klasa panująca przystosowuje je ściśle do swoich celów, do swych interesów. Interesy te polegają na doraźnem wykorzystaniu owych zdobyczy i niedopuszczeniu, aby rozeszły się między szerokie masy. Grupy panujące rozumieją dobrze, że w tym wypadku pozycja posiadaczy uległaby zakwestjonowaniu. Siła klasy panującej obiektywnie niewielka, jak to już wyżej zaznaczyłem, zmusza ją do stałej baczności i do stałego wzmacniania kontroli nad działalnością kulturalną; ta kontrola staje się w końcu celem najważniejszym.

Czynnikami te w Polsce przy dłuższem działaniu, nadały ogólnej cywilizacji kraju specyficzny arystokratyczno-konsumpcyjny charakter. „Elita” kulturalna jest niezmiernie mało zainteresowana w istotnej ciągłości i rozszerzaniu się kultury — przeciwnie stanowiłoby to dla niej niebezpieczeństwo utraty dotychczasowych pozycji. Wyżej uwydatniłem charakterystyczną, miazdzącą poprostu przewagę elementów represyjno-kontrolnych w życiu społecznem dawnej Polski. Odpowiada temu zupełnie identyczne nastawienie w działalności kulturalnej. Odzwierciadla się to dobitnie w literaturze — od najdawniejszych początków do czasów najnowszych. Pewne korektury trzeba by tu wprowadzić dla opozycyjnych nastrojów okresu rozbiorowego, ale istotne motywy zostały te same. Zresztą nie można tych nastawień szukać li tylko w jezuityzmie bigoterji, w jakimś szczególniejszem wysuszeniu życia myślowego, będącem cechą znamioną literatury szlacheckiej. Znaleźć je można w tem, co należałoby określić jako obyczaj kulturalny, miarodajne normy myślenia, najogólniejszej orientacji zarówno w poezji jak i w filozofji, nie mówiąc już o publicystyce.

Wspomniałem już o specyficznem przystosowaniu importowanej ideologii rewolucyjnej na taki użytek wewnętrzny, o którym nie śniło się ich twórcom. Pod tym względem w Polsce XIX i początków XX w. zdobyto rekordy w swoim rodzaju — jeżeli idzie o fałszowanie świadomości szerokich mas. I to są dziedziny najszkodliwsze, bo najtrudniejsze do uchwycenia.

„Zachodowość” stanowi w Polsce problem wcale istotny — trudno wyczerpać tę kwestję odrazu. Ale jeśli się o tem mówi, trzeba pamiętać, że związana jest ona z nastawieniami feudalnymi ścisłym związkiem funkcjonalnym.*). Naturalnie są inne jeszcze strony zagadnienia, tutaj narazie pominięte. Chodziło mi jednak przede wszystkim o uwydatnienie konkretnej wartości „zachodowych” haseł dla dzisiejszej burżuazji polskiej.

Wyżej wspomniałem już, że dziś właśnie, głównie burżuazja „młodych” narodów lubi szermować hasłem zachodowości. Tego rodzaju obiegowych haseł nie można wogóle lekceważyć — mają one przeważnie trwałe korzenie w interesach klasowych i tradycji klasowej. Naturalnie jeśli z powodu rewolucji rosyjskiej i ruchów, którym ta rewolucja dała początek, mówi się ogólnie o walce „Wschodu” z „Zachodem” to są czysto mistyczne brednie — jakkolwiek można tu dostrzec pewną istotną acz wypaczoną obserwację. Kapitalizm rozkłada się i wali przede wszystkim w tych krajach, do których przyszedł w stanie gotowym, gdzie trafił na nieuprzątnięte feudalne pozostałości. Ale głębsze czynniki jego upadku działają i tam gdzie wzrastał integralnie. Niema tu więc żadnego zasadniczego przeciwstawienia.

Zasadnicze przeciwnieństwo wewnętrzne istnieje w hasle „zachodowości”. Tak jak je powtarza burżua wschodnio-europejski (a wszystko jedno czy będzie to burżua z Warszawy, Zagrzebia czy Bukaresztu), ma ono konkretne brzmienie równoznaczne z feudalizmem — i wbrew cywilizatorskim, kulturträgerskim pozorom hasło to ma zupełnie konkretne znaczenie antycywilizacyjne, równoważąc się z wyniszczeniem istotnej siły kraju — żywej siły mas ludowych i z niweczeniem w zarodku wszelkiej istotnej inicjatywy cywilizacyjnej.

*) Ciekawy niezmiernie bywa sposób w jaki polski inteligent przyjmuje tego rodzaju fakty. Stanisław Brzozowski dotykając tego zagadnienia z okazji Whitmana, pisze w „Pamiętniku”: „Polska dla Whitmana to tylko feudalizm w jego pojęciu i przecież *tak jest* właściwie (podkreślenia Brzoz.). Trzeba myśleć, trzeba przekonywać siebie, że Polska to także warunek nieupośledzonej przyszłości 20 milionów, które miały, mają lub będą miały nieszczęście urodzić się polakami”. Nic bardziej charakterystycznego nad płaczliwy patos tych słów i nad tą absurdalną argumentację. Na takich sofizmatach opiera się cały nowoczesny obiegowy patriotyzm uczciwszej części polskiej „radykalnej” inteligencji. Brzozowski zresztą stawia tu sprawę wyjątkowo czysto i uczciwie. (Może dlatego, że w „Pamiętniku”). Normalnie słyszy się w odpowiedzi słodkąą błagę o demokracyzmie Mickiewiczów, Mochnackich i t. d.

Ł Ó D Ż

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Cięży sercu troska i pieśń,
troskę w sercu ukryj i nieś,
pieśń, jak kamień, podnieś i rzuć.
W dymach czarnych budzi się Łódź

Wyją syreny, wyją co rano,
grożą pięściami rude kominy,
w ceglach czerwonych dzień nasz jest raną,
noc jest przelaną kroplą jodyny,
niechaj ta kropla dzień nasz upalny
czarnym — po brzegi — gniewem napełni, —
staną warsztaty, staną przedzalnice,
śmierć się wysnuje z motków bawełny...

Troska iskrą w sercu się tli,
wiele w sercu ognia i krwi, —
dymem czarnym musi się snuć
pieśń, nim iskrą padnie na Łódź.

Z ognia i ze krwi robi się złoto,
w kasach pękających skaczą papiery,
warczą warsztaty prędką robotą,
tuczą się Łodzią tłuste Szajblery,
im — tylko radość z naszej niedoli,
nam — na ulicach końskie kopyta, —
chmura gradowa ciągnie powoli,
stanie w piorunach rzeczpospolita.

Cięży sercu wola i moc,
rozpal iskrę, ciśnij ją w noc,
powiew gniewny wciągnij do płuc, —
jutro inna zbudzi się Łódź.

Iskra przyniesie wieść ze stolicy,
staną warsztaty manufaktury,
pójdzie Piotrkowską tłum — robotnicy,
ptaki czerwone fruną do góry!...
Silnym i śmiałym, któż nam zagrodzi
drogę, co dzisiaj taka już bliska? —
Raduj się serce pieśnią dla Łodzi
gniewną, wydartą z gardła konfiskat.

S Z T U K A

R Z E C Z Y W I S T O Ś Ć

(artykuł dyskusyjny)

Znamienną cechą ewolucji jaka zaszła w dziedzinie sztuki w okresie panowania nowoczesnego kapitalizmu stanowi daleko idący rozdział między działaczem sztuki — artystą a życiem codziennym. Rozdział ten zaznacza się szczególnie w dziedzinie sztuk plastycznych. Zanim przejdziemy do wyjaśnienia przyczyn tego rozdziału, trzeba będzie wspomnieć o sposobach i warunkach pracy artystów w czasach dawniejszych.

Artysta dawnych wieków, przystosowany do ustroju gospodarczego, opartego na drobnej wytwórczości, pozostawał z nim w pewnej harmonii. Granice artysty były, jak to zresztą wiadomo, szersze niż dziś. W pewnym sensie artystą był każdy prawie rzemieślnik, wytwarzający przedmioty użytku: stolarz, ślusarz, cieśla, złotnik i t. d. Mając dużo czasu, nie spiesząc się zanadto, prymitywnymi stosunkowo narzędziami zdobił wytwarzane przez siebie przedmioty, według pewnych ustalających się kanonów, które nie rozwijały się zbyt szybko, ani też nie przeobrażały się gwałtownie — a niejednokrotnie przetrwały szeregi pokoleń. W ramach tego kanonu miał jednak pewną inicjatywę, na którą pozwoliło mu narzędzie, materiał i zmysł artystyczny.

Stosunki te zmieniły się radykalnie skoro na miejsce drobnej wytwórczości rzemieślniczej przyszedł kapitalizm ze swym burzliwym tempem rozwoju, gwałtownymi przewrotami technicznymi, nieuregulowanym rynkiem — a przede wszystkim masową wytwórczością maszynową, we wszystkich dziedzinach *).

T. zw. sztuki plastyczne pozostają w bezpośredniej zależności od budownictwa, które najwydatniej łączy w sobie treść użytkową z nadatkiem estetycznym. Budownictwo jest najściślej przystosowane do warunków życiowych tych, którym służy za schronienie lub warsztat pracy. Jest wskaźnikiem ich stanu materialnego „stopy życiowej”, zakresu wymagań i potrzeb życia codziennego, kultury, *przynależności klasowej*.

Harmonijne dostosowanie przedmiotów użytkowych wnętrza mieszkalnego (meble, naczynia etc.) do form samego budynku wpływa na ukształtowanie ich zewnętrzności (w znaczeniu estetycznym). W ten sposób urabia się „styl” (t. j. system estetycznego łączenia form). Sfery uprzywilejowane gospodarczo (przez to i kulturalnie) tworzą *własne* budownictwo — architekturę (budownictwo mieszkalne, reprezentacyjne, kultu religijnego, urzędowe etc.), w której dzięki środkom, jakimi władają, mogą w najwyższym stopniu rozwinąć stronę estetyczną obok wygody i przeznaczenia praktycznego. Tworzący się styl klasy uprzywilejowanej, zostaje narzucony całemu społeczeństwu — bez względu na to czy inne klasy miały zadatki swych własnych stylów (np. u nas t. zw. sztuka ludowa).

*) Nawet pozornie „samodzielny” dzisiejszy rzemieślnik jest niewolnikiem udoskonalonego narzędzia. Doszło do tego np. że zrobienie mebla o racjonalnych prostych kształtach kosztuje drożej, niż zrobienie tegoż mebla o kształtach secesyjnie powyginanych. Fabryki, produkując narzędzia dostosowane do wytwarzania w pewnym „guście”, uniemożliwiają niekiedy najracjonalniejsze i najbardziej skromne reformy.

Tempo rozwoju nowoczesnego kapitalizmu nie pozwoliło na dostosowanie w sensie artystycznym form wytwarzanych przedmiotów codziennego użytku (mieszkanie, dom, meble, wyroby włókiennicze, talerze, łyżki i t. p.) do nowych materiałów, nowych środków technicznych i nowych warunków życia. Ponieważ każdy wytwórca, poczynając od pierwotnego człowieka, stara się nadawać piękną formę, wytworzonym przez siebie, przedmiotom — odbiorca zaś wybiera taki przedmiot, który, poza stroną praktyczną, będzie mu dawał estetyczne zadowolenie — więc i fabrykant rozumiał doniosłość estetycznego „wabika” na rynku. By zdobyć ten „wabik” zastosował metodę najłatwiejszą i co najważniejsze najtańszą. Sięgnął po wzory, które natychmiast można było użytkować. Wzorów tych dostarczyła przeszłość, oraz współczesna „egzotyczna” sztuka i miejscami krajowy folklor ludowy. Czerpie się więc z tych źródeł pełnemi garściami, nalepia się „estetyczne” ozdóbki na treść zasadniczo nieraz odmienną. Wskrzesza się pseudo-antyk, pseudo-gotyk, robi się pseudo-chińszczyznę, pseudo-ludowość i t. d. i t. d. W ten sposób urabia się gust odbiorcy — i przystosowuje się narzędzia wytwórczości. Wnętrze mieszkalne, poczynając od mieszkań baronów przemysłu, bankierów i t. p. — skończywszy na mieszkaniu drobnego mieszczaństwa jest kramem, w którym, zależnym od stopnia zamożności jego właściciela gromadzi się chaotycznie i bezplanowo mnóstwo niepotrzebnych drobiazgów. Dla mas pracujących daje się produkt jeszcze lichszy i tandetniejszy — bo tańszy — no i mniej, rzecz oczywista. „Sztukę dla tłumu” reprezentuje reprodukcja o temacie sielankowym, batalistycznym, patriotycznym lub religijnym przeznaczona dla mieszkań robotników lub lokali, które odwiedzają.

Niewątpliwie na rozwoju sztuk plastycznych w ciągu XIX wieku odbił się charakter klasy, która w tym okresie wszędzie doszła do władzy. Burżuazja europejska wyłania się z tak zwanego „trzeciego stanu” „z ludu” w charakterze nowego elementu uprzywilejowanego politycznie i gospodarczo. Z jednej strony miała „lud”, drobnomieszczaństwo i proletarijat, napierające na jej przywileje, z drugiej zaś sformowane już grupy przywilejowe, feudałów do których usiłowała się przyłączyć i po krótkim okresie fermentu i walki przyłączała się pomyślnie. Należy zaś zaznaczyć, iż właściwa wielka burżuazja nigdy nie prowadziła z feudałami walki bezpardonowej.

Ta sytuacja społeczna, to tchórzliwe wcieranie się w szeregi uprzywilejowanych powoduje głęboko parwenjuszowski stosunek wiekiej burżuazji do sztuki i życia^{*)}. Typowo parwenjuszowskie jest jej rozmiłowanie się w przeszłości, w „stylach” przeróżnych, modach przebrzmiałych, poszukiwanie piękna w tem co stare, co straciło wartość użytkową i wstydzenie się tych właściwości realnych, użytkowych które się z sobą wnoszą. Stąd owe teorie estetyczne stawiające granice między pięknem a użytecznością, — piękne jest to tylko, co nigdy nie służyło lub też obecnie nie służy do użytku (kult starych ruin i t. p.). I nigdy rozdwojenie między tem co „piękne”, a co użytkowe nie doszło do tak potwornych rozmiarów. Z jednej strony imitacje przebrzmiałych stylów, z drugiej obrzydliwe murowane baraki, budowane

^{*)} Sorel zwracał uwagę na przedpokojowo-służbowe rysy w literaturze francuskiej XVIII w. Ale i po Wielkiej Rewolucji objawy te wracają z charakterystyczną siłą. Homer burżuazji, Balzak przejawia w swych powieściach dziwny napozór, lokajski kult dla arystokracji, obniżający wprost wartość wielu jego dzieł. Ciekawe objawy zauważyć się tu dadzą w filozofii Comte’a i t. d. i t. d.

bez żadnego względu na higienę (domy mieszkalne, lokale fabryczne). Nie idzie tu już zupełnie o ludzi — idzie o maksimum korzyści dla właściciela: budując fabrykę, buduje się kryte pomieszczenia dla maszyn, dla surowców i wyprodukowanych towarów, — niewiele myśli się o ludziach, którzy tam będą pracować. Budując domy mieszkalne nie bierze się pod uwagę elementarnych zasad stworzenia chociażby znośnych warunków dla życia ludzkiego. Typem budownictwa miejskiego staje się kamienica dochodowa, w której każdy metr sześcienny musi dać zysk. Lokale państwowe, biurowe, domy ludzi bogatych — stawia się z pozornym luksusem — gdyż to opłaca się — ściąga nabywcę lub daje powagę reprezentacyjną. Luksus przejawia się przede wszystkim w oprawie zewnętrznej: gzymsy, kolumny, fryzy i t. p. swą „stylową” pstrokacizną oblepiają front budynków — przyczem kosztują niewiele. Pomieszczenia są lepsze i wygodniejsze. Tu i owdzie zieleni i pewna dbałość o światło^{*)}. Wszystkie te pozory bezwzględnie odpadają w budownictwie dzielnic uboższych, w pomieszczeniach dla służby, stróżów, w suterrenach i poddaszach — gdzie panują warunki wprost okropne.^{**)}

Wpływ tych stosunków, — charakterystyczne cechy kapitalizmu, psychologia klasy panującej — powiększony został o nieprzystosowanie się artystów do większych zadań. Artysta tkwiący w starych metodach „twórczości” zwłaszcza artysta z własną inicjatywą jest za powolny, aby nadążyć za tempem rozwoju. Bywa też za kosztowny. Jak wyżej zaznaczyliśmy, jeżeli idzie np. o architekturę to strona „estetyczna” pozostaje domeną czystszej spekulacji. — Artyści pozostaje na pociechę „sztuka czysta”. Nie da się to wszystko zamknąć w ramach „podziału pracy”. Artysta odsuwa się coraz bardziej od życia, uprawiając „sztukę czystą”, „sztukę samą dla siebie”.

Znalazły się i inne przyczyny takiego „oczyszczania” sztuki od pierwiastków ziemskich. Artysta dawnych wieków niemal z reguły pracował dla odbiorcy wiadomego: czy było to miasto, zrzeszenie jakieś, kościół czy też prywatna jednostka. Później ten typ odbiorcy znanego schodzi na drugi plan. Artysta pracuje dla niewiadomego odbiorcy — wysyła swoje dzieło na rynek, na wystawę, do kunsthändlera. Ten nieznaný odbiorca nie jest jednak całkowitym anonimem: musi to być człowiek o tyle dobrze sytuowany materialnie aby mógł sobie kupić dzieło sztuki. To jedyny punkt orientacyjny — pozatem przewala się rozkiełznany żywioł

^{*)} Kapitalizm w swoim własnym dobrze zrozumianym interesie stwarza niekiedy „dobrodziejstwa”, które mogą uchodzić za przejawy społecznego altruizmu i dbałości o wymagania kulturalno-życiowe najszerzych mas. Np. nowa ustawa amerykańska o rozbudowie miast, w której dopatrują się pierwszych kroków na drodze do „urbanizacji miasta” tłumaczy się żądzą zwiększenia dochodów. Pomieszczenia bowiem na dolnych piętrach dzisiejszych drapaczy nieba, ze względu na panujący w nich zupełny mrok (spowodowanych nieproporcjonalną wąskością ulic w stosunku do wielopiętrowych gmachów) nie dawały dochodów w tej wysokości, jaka zaspokoiłaby apetyty kapitalistów. Nie względy więc humanitarne, a poprostu interes dyktuje kapitalizmowi owe posunięcia dające iluzję zdrowych, nowoczesnych tendencji społecznych w budownictwie.

^{**)} Robotnicze miasta ogrody i kolonie rozbudowane racjonalnie (w Anglii, Austrii, Niemczech, Holandji, Belgii) powstają pod naciskiem żądań proletariatu i traktować je należy jako jego *zdobycze konkretne*.

konjunktury rynkowej, w którym artysta pogrążony bywa w sposób podobny jak każdy drobny producent wartości luksusowych w dodatku.

Rynek ten był dość pojemny: szybko wzrastająca produkcja nadwar- tości kosztem mas robotniczych, wytworzyła całe nowe warstwy odbior- ców, znawców, — stworzyła grunt dla rozwoju tych nieznanych dotych- czas stosunków. Jeżeli dawniej artysta znał odbiorcę — to było również i odwrotnie. Styk ten został zerwany. O ile artysta stoi przed zagadko- wym, chaotycznym żywiołem rynku — z różnym stopniem samopoczucia zależnie od przyjęcia, to „konsument” również staje przed zagadką nie- znanego zupełnie przejawu „twórczości”. Artysta, niezależnie od narzędzi twórczości: poeta, malarz, rzeźbiarz staje w pozie kapłana posiadacza sił tajemniczych *) w stopniu daleko większym niż dotychczas. Zajmuje on po- troszę — w stosunku do estetyzującej masy odbiorców — pozycję taką, jaką miał średniowieczny alchemik, — trochę uczony, trochę szarlatan, szerokim zarozumiałym gestem, oddzielający się od tych spraw, w których nie może się czuć „mistrzem” i kapłanem — od spraw których nie może zrozumieć, między innymi sprawy rynku. Tym samym gestem oddziela się od „tłumu”.

Tu są źródła indywidualizmu w sztuce (Indywidualizm przez wielkie I naturalnie). Uwydatniają tu się najrozmaitsze składniki. Oprócz wyżej wyszczególnionych przyczyn wchodzi tu w grę i odgródzenie się od kon- kurenta — walka o swój kawałek rynku, o swoją rzeszę zasłuchanych i za- patrzonych „niepoświęconych” odbiorców.

Przypominamy jeszcze zjawisko tak zwanej cyganerii, stanowiącej w XIX w. nieodłączną zdawałoby się właściwość wszystkich „szczerých” przejawów w sztuce. Był to rodzaj szkoły życiowej, koniecznego przygo- towania się, aby być artystą „prawdziwym”. Cyganeria miała niewątpliwie znaczenie odspołeczniające w przygotowywaniu czystych artystów.

Życie wielkomiejskie stworzyło niewątpliwie warunki dla takiego właśnie rozumienia zadań sztuki, — przyczyniło się do rozwoju pewnych tendencji. Charakterystyczna dla mieszczanina tęsknota do przyrody, bę- dąca typowym wytworem stosunków wielkomiejskich (brak warunków zdrowotnych, powietrza, słońca i t. d.) — znajduje wyraz w malarstwie pejzażowym w ciszy „martwych natur”, w malarstwie rodzajowym. Du- szący się w mieście inteligent poszukuje sił „odrodzenia” u źródła pier- wotnej tężyzny, „ludu”, ludów dzikich, stąd ludowość, egzotyzm, pry- mitywizm.

Szybkie tętno współczesnego życia, gwałtowność i ostrość zmian w ustosunkowaniu się sił społecznych z jednej strony — z drugiej zaś łatwość szerokiego i względnie łatwego rozpowszechnienia zdobytych techniki artystycznej (co nieuniknienie bywa połączone z wulgaryzacją) — wszystko to odbija się na szybkości i ostrości przełomów w sztuce. W czasie względnie krótkim zachodzi szereg przełomów w malarstwie: klasycyzm, romantyzm, naturalizm, impresjonizm. W wieku XX zaś zmiany te przy- bierają tempo poprostu karuzelowe.

Pozostaje to w ścisłym związku z postępami techniki. Zapotrzebowanie na portret, pejzaż, malarstwo historyczne i batalistyczne, na ilustrację aktualną i t. d. pokrywa fotografia i kino, które są bezkonkurencyjne w dokładności, szybkości i taniości w stosunku do pracy artysty zadawal- niającej dawniej te zapotrzebowania. Artyście usuwa się grunt pod no-

*) Taką samą pozę miał średniowieczny majsterek — „mistrz” cechu.

gami, wymykają się całe dziedziny pracy. Pozostają zagadnienia formalne — w które zagłębia się coraz bardziej.

Już impresjonizm, pierwszy z kierunków zrodzonych w „czystej” atmosferze burżuazyjnej — wprowadza do sztuki zagadnienie analizy światła. Później następuje okres zachwyty nad maszyną. Zamiast wyrażania wątpliwej wartości osobistych nastrojów, wypowiedzenia ubożuchnej zresztą treści „duszy” u artystycznych osobników, niedowarzonych, rozgorączkanych, nie mających niejednokrotnie choćby skromnych wiadomości ogólnych, następuje reakcja: podziw nad cudami techniki (krótkotrwały zresztą). Praca nad zagadnieniami formalnymi postępuje naprzód: plastyka wyzwala się z pod supremacji naturalizmu, anegdoty literackiej i t. p. Następuje okres zbiorowego poszukiwania form, laboratoryjności metody pracy — dążenie do budowy dzieła sztuki samego dla siebie — nie wyrażającego nic, istniejącego absolutnie samowystarczalnie**).

Malarstwo stalugowe obiektywnie stało się luksusem i dodajmy luksusom niesłychanie spopolitowanym rzuconym na rynek wystawowy, który daje z czasem rezultaty bardzo nikłe. Wystawę bowiem, dostępną tylko w pewnych oznaczonych terminach i miejscach — dystansuje reprodukcja i artykuł w piśmie.

Jak to już wyżej zaznaczyliśmy, artysta egzystencję swą zawsze wiązał i wiązać musiał z warstwami posiadającymi, przez które traktowany był różnie, naogół jednak jako naddatek kultury, spełniający funkcję niebardzo potrzebną — czasem szanowną a niekiedy wprost śmieszną. Skazany na uprawianie sztuki samej dla siebie, sztuki czystej, artysta żył jednak i działał w „społeczeństwie” (rozumianem jako sfery dobrze sytuowane materialnie, a co za tem idzie i kulturalnie). Artysta więc w pracy swej musi dawać wyraz zainteresowaniom swej klienteli. Nie wyłącza to naturalnie faktu, że stosunek poszczególnych jednostek do tych spraw mógł być inny. Ale tu idzie właśnie o artystów jako o grupę społeczną.

Naturalnie nie jest to wcale przypadek, że przełom w ustosunkowaniu się artystów do zagadnień społecznych nastąpił równolegle z kryzysem ideologicznym i technicznym w sztuce. Wyrażają się tu tendencje te same co w innych dziedzinach współczesnego życia. Postępy maszynizacji, rozwój techniczny doprowadzają do absurdu i wywracają dotychczasowe sposoby działania i organizacji społeczeństwa. Rozwój techniczny przewyższa moc ram organizacyjnych dzisiejszego społeczeństwa, stąd absurdałne sprzeczności na każdym kroku zarówno w ideologii jak i w praktyce codziennej.

Artysta nowoczesny pozornie w oderwaniu (biorąc pod uwagę jego

*) Przemiany ideologiczne w sztukach plastycznych, oraz wykazanie wpływu ideologii burżuazyjnej na sztukę współczesną, omówimy w artykułach poświęconych kinu i reklamie — które to najlepiej ideologię tę reprezentują.

**) W nawale założeń formalnych decydująco zaważyły zagadnienia *materiału*.

Artysta zastanawiając się nad konstrukcyjnymi właściwościami materiału, nad różnorodnością cech powierzchni danego materiału w zależności od obrobienia, nad swoistymi właściwościami materiału w reagowaniu na światło, i t. d. i t. d. uświadomił sobie iż należy *uzależnić* charakter tworzonej rzeczy od użytego materiału. Zagadnienie materiału (nie traktowane fetyszystycznie jak u kubistów lub suprematystów) wysunęło zagadnienie użytkowych wartości dzieła sztuki — które to zagadnienie stało się punktem zwrotnym dla części nowoczesnych artystów.

sytuację społeczną, o której wyżej mówiliśmy), bez jasnego uświadomienia sobie tych sprzeczności szedł naogół drogą poszukiwań formalnych, drogą wnoszenia nowych wartości do dorobku poprzednich pokoleń. Mając dość czasu (brak doraźnego zastosowania) rozwija zagadnienia formalne i poszukuje w nich sensu tego co robi. Ma on właściwie przed sobą drogę już utartą: iść po linii najmniejszego oporu — zaspakajania gustów ludzi, którzy nie mając czasu na rozmyślanie nad problemami sztuki, posiadają jednak w ręku środki materialne zapewnienia egzystencji artysty. Nie jest to, rzecz naturalna, droga dla natur ambitniejszych, bogaciej uposażonych — może sumienniejszych. Ludzie ci, buntują się, wyłamują z ramek ustalonych, przeprowadzają aż do końca założenia eksperymentu formalnego, doprowadzając tem samem do absurdu fikcję „sztuki dla sztuki”, sztuki „czystej”. Bezinteresowna (w sensie zastosowania) praca nad zagadnieniami formalnymi (kubizm, futuryzm, suprematyzm i in.), zagłębianie się w nowe materiały, uświadomienie sobie w ten sposób nowych metod produkcji, uzależnienie charakteru twórczości od użytego materiału (tak, bo i to było niekiedy tajemnicą) wszystko to odślaniało całą potworną fikcję zawartą w hasłach „sztuki czystej”.

✕ Uświadomienie sobie faktu, że sztuka XIX w. była właściwie bez życiowego zastosowania, przebija się w takich nieokreślonych zresztą hasłach, wysuwanych w ostatnich latach kilkunastu przez artystów; „sztuka na ulicę”, „sztuka dla wszystkich”. Hasła te głoszone przez tak zw. nową sztukę łatwiej było wygłosić, niż w czyn wprowadzić. Zdemoralizowane przez dotychczasową praktykę środowisko konsumentów, nie widziało w tem nic innego ponad niewinne skądinąd, poszukiwanie „nowego dreszczu” w najlepszym razie odbicie pewnych fermentów, nurtujących sfery inteligencji. Co gorsza i co odejęło wartość tym hasłom, że w ten właśnie sposób rozumiała je znaczna część artystów. Świadczą o tem awantury, które futuryści popisywali się w kołach snobistycznych konsumentów. Istota konfliktu została zaciemniona i długo musiała pozostać niezrozumiana. ✕

Przyczyniał się do tego brak uwiązania społecznego. Artysta, pisarz, wogóle intelektualista, (przeszedłszy przez specjalne dodatkowe wychowanie o którym mówiliśmy) przyzwyczaił się wysyłać na zagadkowy rynek „czystą sztukę”, „czystą poezję”, „czystą myśl” i wogóle tylko czysty towar kulturalny. Ale ten towar kulturalny służył tylko ograniczonej ilości odbiorców. Szło to jako tako póki stosunki dotychczasowe pozostawały bez zmiany. Wojna i kryzys gospodarczy, będący jej wynikiem, wyniszczyły drobną i średnią burżuazję, inteligencję miejską, będącą główną odbiorczynią bieżącej produkcji artystycznej. (Wielka burżuazja, magnaci przemysłowi i ziemscy, kompletowali zbiory przeważnie dziełami starych, nieżyjących artystów o ustalonej renomie). Rynek zwęził się ogromnie.

Wysunął się i z biegiem coraz bardziej zaznaczać będzie swą obecność nowy odbiorca — proletarijat. Ale ten odbiorca żąda określonego produktu — nie chce „czystego” towaru, żąda wartości użytkowych. Zdezorientowany dotychczasowym chaosem nie określa swych żądań dostatecznie jasno, tem niemniej orientuje się instynktem, czego mu trzeba. Należy podkreślić te słowa: *orientuje się instynktem*. Kształtowanie się świadomości nowoczesnego proletariatu jest procesem jedynym w dziejach — o przebiegu ogromnie ciężkim i powikłanym przeróżnymi wpływami. W dziedzinie politycznej dążenia klasy robotniczej, z natury rzeczy, przejawiały się w sposób określony z powodu ostrej konieczności przeciw-

stawienia się klasom panującym. W dziedzinie sztuki, jak i w dziedzinie wielu spraw kultury, takiej ostrej konieczności nie było. Stąd też panuje tu chaos i bezprogramowość.

Dzieje się to nie tylko dlatego, że przewagę ma i długo jeszcze będzie miała doraźna walka polityczna, którą zaabsorbowane są wszystkie niemal siły klasy robotniczej. Trzeba tu wziąć pod uwagę, że przodujące żywioły robotnicze wzrastały, wychowywały się w ramach kultury burżuazyjnej i nieraz uważają produkty tej kultury za zjawiska szczytowe, których prześcignąć nie sposób. Krytycyzm ostry i głęboko sięgający, jeśli idzie o burżuazyjną politykę i ekonomję — zanika, przestaje należycie określać zjawiska, gdy wchodzi na teren kultury burżuazyjnej, na teren sztuki, literatury burżuazyjnej. Jednem słowem, rewolucyjność w polityce łączy się często z absolutnem zburżuazyjnieniem w zakresie spraw kultury. Stąd pochodzą tendencje, które możnaby określić jako ekspansję kulturalno-etykietkową. To znaczy, że na dany typowo burżuazyjny produkt usiłuje się nalepić etykietkę proletarjacką, w postaci kilku hasełek, jakiegoś ogólnikowego wezwania, czy tendencji. Produkty, tego rodzaju zwłaszcza, o ile robione są na zamówienie, łączą w sobie burżuazyjne sugestje wewnętrzne z tandetnością wykonania. Zupełnie serjo można spotkać wśród działaczy proletarjackich ludzi, w mózgach których proletarjackość nieuniknienie łączy się z tandetnością.

Mówiąc stylem kwiecistym, możnaby te zjawiska określić jako pianę nieczystą, nadpływającą proletarjackiej fali. I dlatego w sprawach tych należy się zdać raczej na instynkt masy, niż dotychczasowe rozumowane teorie w tym duchu, trącające nieuleczalnem mieszczaństwem swych twórców. Proletariatowi potrzeba sztuki, nie jako sztukaterijnej ozdóbki odświeżonej, ale sztuki na codzień. Musi zaginać ów rozdział będący wynikiem parwenjuszowskiego wstępu burżuazji — rozdział produkcji od życia, i spraw kultury, rozdział pociągający za sobą zfetyszyzowanie obłudne wszystkich przejawów działalności człowieka, a zarazem szereg potwornych kłamstw, oblepiających wszystko, począwszy od giełdy, instytucji rządowych i demokracji parlamentarnej, a skończywszy na najdrobniejszych, najcodzienniejszych sprawach. To musi zaniknąć, jak musiało zaniknąć typowe kłamstwo kapitalistycznego świata: sztuki samej dla siebie. Zaniknąć musi nie tylko w teorii — bo do niego dziś mało kto się przyznaje — ale i w praktyce.

Artysta zaczął myśleć. Uświadomił sobie dokładnie nicość swego dotychczasowego stanowiska społecznego. Artysta wyłamuje się z ram dzisiejszego ustroju — chce i szuka praktycznego celu, praktycznego zastosowania dla swej działalności. Nie chce być pustym „ornamentem” społeczeństwa — chce współdziałać w organizacji życia. Tego wszystkiego ustrój kapitalistyczny mu nie da i dać nie może. Nawet tam gdzie widoki takiej pracy napozór otwiera, okazują się one złudnemi. Tam nawet gdzie egoizm jednostek, podporządkowujący miliony swej woli, zdaje się odchodzić na drugi plan, zawsze okazuje się to sprawą tchórzliwego kompromisu — opuszczeniem pewnych eksponowanych pozycji, by tem pewniej bronić dalszych. Tylko nowy ustrój społeczny umożliwi wykorzystanie wszystkich możliwości postępu technicznego, zduszonych lub opacznie wykorzystywanych przez dzisiejszych panów świata i umożliwi powstanie nowych warunków dla tej formy działalności człowieka, którą nazywamy sztuką.



ROBOTNICZA W ŁODZI

WITOLD WANDURSKI

Niezbędne zastrzeżenia — liryczne i rzeczowe

Łatwo pisać ostre „krytykuły” o wędnącej sztuce burżuazyjnej. Trudniej już dodłubywać się analizą obiektywną do korzeni klasowych nieciekawej produkcji artystycznej, zasilającej dzisiejszy rynek polski. Ale prawdziwe trudności zaczynają się piętrzyć dopiero wówczas, gdy uświadomi miłośnikowi nam panującej sztuki mieszczańskiej usiłuje się przeciwstawić kielujące przejawy nowej twórczości — twórczości proletariackiej. Pomijamy narazie zasadnicze pytanie: czy — i o ile — możliwy jest rozwój sztuki proletariackiej w ustroju kapitalistycznym? Wyniki *formalne* są tu jeszcze zbyt nikłe i technicznie niedoskonałe. Nowy zaczyn twórczy przejawia się raczej w odrębnym podejściu do zadań sztuki, w organizacji samego procesu twórczości, w poszukiwaniu nowych technicznych sposobów wzmocnionej sugestji, bezpośredniego oddziaływania na odbiorcę. Jeżeli burżuazja *przed* dojściem do władzy stworzyła już wartościowe dzieła własnej sztuki — Molier i Beaumarchais we Francji, Fr. Schiller w Niemczech — to dlatego, że nadługo przed rewolucją miała już zapewnione fundamenty gospodarcze swej ekspansji, a więc i możliwość technicznego opanowania sztuki i literatury. Nowa ideologia w sztuce mieszczańskiej miała znacznie ułatwione zadanie. Proletariat musi znosić jarzmo podwójnego ucisku: politycznego i ekonomicznego.

W ramach ustroju kapitalistycznego — a tem bardziej przy stosowaniu dzikiej „racjonalizacji pracy”, popieranej przez bezrobocie w Polsce — jakieś 95% energii robotnika zużytkowuje się na ciężką walkę o byt. Pozostałe 5% pochłania wysiłek organizacyjny, obrona interesów klasowych, wypracowanie ideologii... Zaledwie mały odsetek procentu może być zużyty — i to tylko z pośród najodporniejszej awangardy młodzieży robotni-

czej — na twórczość artystyczną. Twórczość ta wogóle jest przewyżką, luksusem, możliwym dopiero wówczas, gdy najistotniejsze potrzeby zostały już zaspokojone.

Klasowo uświadomiony robotnik wielkiego przemysłu — a taki tylko może tworzyć sztukę proletariacką — nawykł do form społecznych wszelkiego wysiłku, myślowego i mięśniowego. Dlatego teatr, z natury swej sztuka gromadzka, odpowiada najbardziej jego potrzebom. Zresztą, ten rodzaj bezpośredniego wyładowania nagromadzonych w podświadomości a nie zrealizowanych jeszcze w życiu pragnień i dążeń, jest jedynie możliwą w obecnych warunkach formą twórczości proletariackiej. Poza to, teatralny aparat ułatwia nadawanie produkowanych przez twórcę-aktora wrażeń bezpośrednio odbiorcy-widzowi. Tem się częściowo tłumaczy samorzutne powstawanie licznych scen robotniczych na terenie Polski: w Łodzi, Warszawie, Kaliszu, Rzeszowie, Wilnie... Łódzka Scena Robotnicza, walcząca o swe istnienie bez przerwy już od lat czterech, zdobyła największe wyrobienie techniczne i ideologiczne. Fatalne warunki pół-legalnego istnienia Sceny Robotniczej po wyrzuceniu jej z lokalu O. K. Z. Z. przez TUR w roku 1925, konieczność urządzania dorywczych tylko widowisk w ciasnych lokalach związkowych, pozbawionych nie tylko sceny lub estrady, lecz często nawet światła elektrycznego, systematyczne represje policyjne i bojkot prasy burżuazyjnej — wszystko to sprawiło, że praca zespołu proletariackiego wyrzucona została za nawias publicznego życia kulturalnego i pozbawiona niezbędnej, jak powietrze, krytyki rzeczowej. Jako członek Sceny Robotniczej, związany z zespołem od pierwszych lat jego istnienia, a od dwóch lat jego kierownik i reżyser — nie mogę — z braku perspektywy — rościć pretensji do obiektywnej oceny naszego dorobku artystycznego. Ale doświadczenie, zdobyte w ciągu czterech lat wspólnych walk i pracy, pozwala mi podzielić się z czytelnikami „Dźwigni” garścią spostrzeżeń i uwag, które, zdaniem moim, rzucają pewne światło na podstawowe zagadnienia teatru proletariackiego, jego cele, środki wyrazu artystycznego oraz drogi rozwoju, możliwe do przebycia jeszcze w ramach ustroju kapitalistycznego.

Aktor-widz

Od początku swego istnienia Scena Robotnicza czuwała nad tem, by zachować jaknajbliższą łączność z widzem proletariackim. Członków rekrutowało się w miarę możliwości z pośród robotników przemysłu i rzemieślników, na bardzo szerokich podstawach bezpartyjności. Próby przez długi czas odbywały się publicznie w sali okręgowej komisji klasowych związków zawodowych. Zarządy, wyłaniane periodycznie przez zespół, miały za zadanie przestrzeganie linii proletariackiej w repertuarze i sposobach gry. „Amatorstwo” i żądanie dopuszczenia każdego do objęcia roli przestrzegane było świadomie. Upór zarządów pod tym względem był zdrowym objawem instynktu klasowego, chroniącym zespół proletariacki od zalewu drobnomieszczańskiego.

Żywiotowe dążenie do zapewnienia sobie własnego aktora, który reprezentuje interes klasowy wyłaniającej go grupy widzów jest cechą znaną narodzin i rozkwitu wielkich epok teatralnych. Klasyczny teatr grecki służył ideologii rycerstwa ateńskiego i aż do Eurypidesa trzymał się mocno ustalonych przez to rycerstwo kanonów. Komisja obywatelska wybierała nie tylko repertuar, ale zarazem i wykonawców z pośród przy-

szyłych widzów. Swoi grali bezinteresownie dla swoich, wolni dla wolnych. Niewolnicy nie mieli wówczas prawa wstępu do teatru. Później, kiedy rozwijające się handlowo Ateny wysunęły na miejsce arystokracji — demokrację mieszczańską, szlacheckie kanony tragedii wyrugowuje komedia obyczajowa, dawnego zaś „honorowego” aktora zastępuje nowy aktor — płaćnik, często wyzwolieniec lub rzemieślnik. Teatr zarazem staje się dostępny dla widzów szerszych — dla niewolników i biedoty miejskiej. Odbija się to zarazem na repertuarze, w którym nie mała rolę odgrywają już typy niewolników i prostytutek ulicznych. Arystokratyczna tragedia „wyradza” się stopniowo w satyryczną farsę uliczną i w pantomimę, które dochodzą do szczytu rozwoju w cezarystycznym Rzymie. — *Widz w świecie starożytnym dobierał sobie aktora, regulował jego rolę i sposób gry i urabiał repertuar według swoich potrzeb.*

To samo — chociaż w innym układzie sił społecznych — miało miejsce w rozwoju teatru średniowiecznego. Misterja i mirakle, potężne narzędzia propagandy kościelnej, obsługiwane były pierwotnie wyłącznie przez kler. Z chwilą, gdy do przedstawień *passyjnych wtargnął nowy aktor* — zaczęła się „wypaczać” *ideologia teatru średniowiecznego*. Zamożne mieszczaństwo zachowało dla siebie przywilej obsady „szlachetnych” ról. „Podłe” role diabłów i żołdaków powierzano biedocie wędrownej, związanej wspólną nędzą z dołami społeczeństwa średniowiecznego — t. zw. wesołkom, skoczkom i frantom. Dopuszczenie „dołów” do ról misteryjnych miało fatalny dla ideologii kościoła skutek. Biedota miejska skorzystała sprytnie z odrębnego przywileju ról diabłów, nieobjętych tekstem i wprowadziła wszelkiego rodzaju „diableries”, czyli improwizowane wypadki satyryczne przeciwko klerowi i możnym. Z tych właśnie improwizowanych wstawek satyrycznych — intermedjów i interludjów — rozwinęła się „komedia rybałtowska”, uprawiana i w Polsce 16-go wieku z talentem przez t. zw. rybałtów, czyli sproletaryzowanych przez reformę szkolnictwa kościelnego bezrobotnych nauczycieli ludowych¹⁾. Komedia jarmarczna, z której powstał teatr mieszczański pierwszego okresu twórczości Molière’a, oraz teatr urządzany w szynkowniach i zajazdach przez Szekspira i jego współczesnych — pozostawał w ścisłej łączności z widzem masowym, aż do 17-go wieku włącznie. Bogata burżuazja włoska (dom bankierski Medyceuszów, dorobkiewiczze Sforza), a wślad za nią burżuazja francuska wzorowała swój teatr na zamkniętych teatrach dworskich, które rozwinęły się z sal balowych, przystosowanych do widowisk baletowych i operowych. Od Francji cała burżuazja europejska przejęła ten typ arystokratycznego teatru dworskiego, który przystosowała do swego użytku w ten sposób, że zrobiła zeń przedmiot eksploatacji. Dawny *żywiotowy proces oddziaływania widza na repertuar przez aktora* został „demokratycznie” — i automatycznie — *uregulowany siłą pieniądza*. Że zaś w kalkulacjach dyrektorów tanie miejsca na galerji i „jaskółce” mało wchodziły w rachubę — *szerokie masy wielkomiejskie zostały na sto lat pozbawione odpowiadającego im istotnym potrzebom teatru.*

Ten pobieżny — i z konieczności schematyczny — przegląd głównych etapów rozwoju teatru z klasowego punktu widzenia pozwala wysnuć kilka

¹⁾ O rewolucyjnych tendencjach komediantów wędrownych patrz szkic mój „Stara komedia jarmarczna” w miesięczniku „Scena Polska”, Nr. 7—12, Warszawa, grudzień 1923.

22

wniosków, rzucających światło na drogi powstania i pierwszy etap rozwoju teatru proletarjackiego. Zwraca tu uwagę przede wszystkim fakt, że w okresach przejściowych rozwoju historycznego, kiedy klasa panująca zaczyna tracić wpływy w masach, a nowa klasa, jeszcze nie uświadamiająca sobie konkretnie własnych zadań, zdobywa pewną wagę w układzie sił społecznych — w tych okresach przejściowych *nowy widz oddziaływa na teatr nie przez zmianę repertuaru, lecz przez wprowadzenie do narzuconych mu sztuk własnego aktora*, który „wypacza” tendencje teatru w kierunku potrzeb, wyłaniającego go ze swego środowiska, widza. Rzeczą charakterystyczną, że „wypaczenie” *ideologiczne idzie zawsze po linii parodji, szarży, karykatury*: śmiech jest tu jedyną skuteczną bronią rewolucyjną, zapomocą której nowy widz przez nowego aktora nie tylko niszczy obowiązującą dotychczas ideologię, ale i zdobywa teatr dla siebie. *Aktor, reprezentujący dążności klasowe widza — nie zaś autor-dramaturg — jest siłą decydującą o charakterze danego teatru*. Dramaturg pojawia się znacznie później — gdy już aparat teatralny został faktycznie opanowany przez nowego widza. Plaut, np. nie mógłby wprowadzić na scenę typu niewolnika, gdyby uprzednio nowy widz nie wywalczył sobie prawa do regulowania repertuaru. Tak samo Szekspir, wprowadzający na scenę ludzi „podłych” — grabarzy, tkaczy i in. rzemieślników. Zresztą, dobry aktor potrafił być — w okresach rozkwitu teatru — i dobrym autorem. Przykładami mogą służyć — Ajschylos, Menander, Plaut, Moljer, Lope de Rueda, Szekspir, Charlie Chaplin... Obchodzili się oni jakoś bez szkół dramatycznych, w których dzisiejsza burżuazja hoduje na własny użytek różnych „redutowych” wy-moczków.

W zastosowaniu do Łódzkiej Sceny Robotniczej niemal wszystkie powyższe uwagi pozostają w sile. „Wypaczenie” po mieszczańsku ciężkawych „Tkaczy” Hauptmana — i to wypaczenie w stylu typowym dla „diableries” średniowiecznych „wesołków” — miało miejsce na jednym z pierwszych publicznych występów proletarjackiego zespołu w lipcu 1923 r., wobec wypełnionej po brzegi wyłacznie przez strajkujących włókniarzy sali. Wykonawcy ról ciemieńców — fabrykanta Drajcygiera, żandarmów i t. p. — zrobili z tych figur potwornie-karykaturalne groteski, ku wielkiej ucieście proletarjackich widzów. Łączność pomiędzy rozbawionym aktorem a wojowniczo usposobionym widzem była tu zupełna *).

Łączność była — ale nie było sztuki, nie było teatru... Zespół długo nie chciał się z tem zgodzić. Bo — jakże? Robotnicy grali „po swojemu” dla robotników i mieli u tej swojej publiczności powodzenie... Gdyby jakoś teatr proletarjackiego mierzyć tylko takim powodzeniem (opartem w znacznej mierze na serdecznej pobłażliwości widza proletarjackiego dla *swojego* aktora — oraz, jak w danym wypadku, na wyłącznie pomyślnej konjunkturze strajkowej) — należałoby pójść po linii lichego drobno-mieszczańskiego repertuaru, w rodzaju „Królowej przedmieścia” i „Icka zapieczętowanego”, uprawianego przez „robotnicze” teatry „popularne”.

*) Przedstawienie to miało moc defektów. Role robotników, np., recytowane były monotennie, bez wyrazu. Dziady kościelne — nie zrewoltowani tkacze! — Ale było dużo rzeczy ciekawych nawet w defektach. Szczegółowe sprawozdanie z tego wieczoru, jak, również informacje o powstaniu i pierwszych krokach łódzkiego zespołu proletarjackiego znajdzie czytelnik w art. Wis-kiego „Scena Robotnicza w Łodzi”, tygodnik „Nowa Kultura” Nr. 4 z dnia 15 sierpnia 1923 r.

Proletariat skazany jest w ustroju burżuazyjnym nie tylko na konsumpcję wszelkiego rodzaju „kawy Franck'a” z surogatów cykorii i t. p. „blutwusztów” z psiego mięsa — ale i na takie wyroby „estetyczne”, w rodzaju groszowych krawatów, mydełek ze „słodkimi” główkami i milusich pocztówek „z powinszowaniem”. Zatrucie odpadkami kultury burżuazyjnej niszczy tak samo psychikę proletariusza, w którym wyrabia się materiał podatny na drobnomieszczanina — jak organizm robotniczy zatrują okropne surogaty, sprzedawane „na krydkę” w sklepiku. Jeżeli więc pierwotnie zdawało się członkom Sceny Robotniczej, że wystarczy zagrać sztukę, która „nie przeczy ideologii proletariatu”, a jak ją zagrać, mniejsza, byle „po-swojemu, po-proletariacku” — to później zespół przekonał się, że *zachowując narzucone mu przez mieszczaństwo formy teatralne — przeważnie wzorowane na przedstawieniach „imieninowych” — przemycia się pod pokrywą tej obojętnej rzekomo formy wcale nie obojętną dla proletariatu walczącego ideologię mieszczańską* — lub, co gorsza, plewy, odpadki, dawno już przez burżuazję wyrzucone na śmietnik. „Powodzenie” więc, zdobyte tanim kosztem przez powierzchowne tylko zadowolenie potrzeby widza w śmiechu — bez pogłębienia tego śmiechu — może grozić nietyłe wypaczeniem tendencji odgrywanej sztuki, co wypaczeniem ideologii proletariackiej. Twórczy teatr proletariacki *nie może odbijać gustów nieświadomionego jeszcze klasowo proletariatu*, w Łodzi powojennej niedawno oderwanego od wsi, *lecz musi budzić w podświadomych głębinach ukryte dążenia i pragnienia oraz organizować je według ideologii proletariatu walczącego*. Bo wszelki teatr żywy nie jest zwierciadłem życia, lecz szkłem powiększającym — albo raczej radio-odbiornikiem, który chwyta niewidoczne fale i przesyła je widzowi przez aktora, jak przez głośnik.

W miarę jak zespół Sceny robotniczej uświadamiał sobie ciążące na nim obowiązki wobec zatrutego odpadkami kultury burżuazyjnej widza proletariackiego — wzrastała wśród członków potrzeba opanowania techniki sztuki aktorskiej. W drugim roku istnienia sceny zapanowała nawet tendencja do przejścia na stopę „zawodową”. Ówczesny kierownik Sceny, młody i energiczny reżyser Maksymilian Szacki, dążył wszelkimi siłami do wprowadzenia tej „zawodowości” i przyczynił się do wyrobienia technicznego członków zespołu. Lecz propagowana przez niego „zawodowość” miała tę ujemną stronę, iż pchała zespół proletariacki w kierunku istniejących już teatrów „popularnych” typu drobnomieszczańskiego. Odrywało to Scenę Robotniczą od mas i pozbawiało ją odrębnej ideologii proletariackiej, wywołując ustawiczne scysje zarządu z kierownikiem — co skończyło się wreszcie ustąpieniem kierownika.

Wkrótce potem odpadła część niezdecydowanych, drobnomieszczańsko nastawionych, członków zespołu. Kilku zwolenników „zawodowości” przedostało się nawet do Teatru Miejskiego, gdzie dają im czasem rólkę policjantów i lokajów. Pozostałe jądro proletariackie, uzupełnione przez dopływ nowych członków, wzmocniło się organizacyjnie i skryształizowało swe poglądy. Podstawowe założenia i konieczność „amatorstwa” oraz niezbędność jaknajściślej łączności z widzem proletariackim — pozostały w mocy. Formułę: „aktor-widz” pojmuje się obecnie w Scenie robotniczej w ten sposób, że *aktor, reprezentując w sztuce ideologię i interes klasowy proletariatu, nie może się odrywać od produkcji, przeciwnie, powinien w jaknajściślej kontakcie z życiem robotniczym i związać się w ten lub inny sposób z ruchem proletariackim*. Aby wydobyć w twórczości swej

pierwiastki emocjonujące artystycznie i zarazić niemi widza — *aktor-robotnik musi wyrobić w sobie sprawność techniczną i wynaleźć takie formy wyrazu scenicznego, które bezpośrednio docierają do najistotniejszych głębin widza proletarjackiego i odpowiadają jego kulturalnym potrzebom.*

Organizacja pracy zespołu

Warunki pracy zarobkowej zmuszają robotnika przemysłu do kar-
ności organizacyjnej. Organizacja, jako zasada główna ruchu robotnicze-
go, stanowi jego potęgę. Dlatego wszelką pracę kulturalną stara się robotnik
ująć w ramki organizacyjne. Scena Robotnicza od samego początku poszła
tą drogą. Skład klasowy zespołu ułatwiał zadanie. Według danych z roku
ubiegłego, skład ten przedstawia się w przybliżeniu tak:

<i>Mężczyźni:</i>	Robotnicy przemysłu (włók., skór., budowl., szklan., metal., drzew.)	ok. 80%
	Technicy (elektromonterzy, technicy dentystycz- ni i t. p.)	" 7%
	Pracownicy biurowi	" 13%
	<i>Kobiety:</i> Robotnicze przemysłu (dzianego, rękaw., poń- czoszkarki, papiern.)	" 52%
	Pracownice biurowe	" 8%
	Inne zawody (nauczycielki, prac. sklepowe, do- zorczyńie)	" 40%

W pierwszym roku istnienia Sceny Robotniczej udział procentowy
robotników i robotnic przemysłu był znacznie większy. Tłómaczy się to
szeregiem przyczyn. Naogół warunki pracy zarobkowej w r. 1923 były
lepsze, co pozwalało robotnikowi poświęcić wolny czas rozrywkom kultu-
ralnym — a Scenę traktował wówczas zespół jako rozrywkę; członkowie
przechodzili na próby dorywczo. „Racjonalizacja pracy”, zmuszająca ro-
botników-włóknarzy do 14-godzinnej nieraz pracy i do pracy nocnej —
wyszarpnęła z zespołu szereg dzielnych i wyrobionych członków. Pozatem,
przejście od dorywczej, niechlujnie „amatorskiej” pracy do systematycz-
nych prób i ćwiczeń teatralnych sprawiało wiele trudności, zajętym pracą
zarobkową i obciążonym rodzinami, członkom. Tylko najzdolniejsi i naj-
bardziej oddani sprawie teatru robotniczego wytrzymali próbę na cierpli-
wość — i w ten sposób nastąpił naturalny dobór sił aktorskich. Wielka
ilość „luźnych” członków pierwszego okresu znacznie zeszczupiała, przez
co Scena Robotnicza straciła nieco na „masowości”. Zato „ustabilizowany”
zespół, liczący obecnie około 20 członków (wraz z kandydatami) — zyskał
na spójności, jednolitości i wyrobieniu teatralnym.

Organizacja pracy zespołu przechodzi trzy różne etapy rozwoju.
Pierwszy etap charakteryzuje największa samodzielność zespołu, kiero-
wanego przez zarządy, największa ruchliwość, największa ilość przedsta-
wień. Ilość ta jednak nie przechodziła w jakość. Metody pracy przeniesiono
żywem ze związków zawodowych. Urządzano częste zebrania ogólne, na
których się kłócono zawzięcie o istotne i mniej istotne sprawy. Zarządy
odbywały częste posiedzenia, skrupulatnie protokołowane. Cała energia
zarządów skierowana była wówczas na to, by grać jaknajczęściej. Reżyser
ówczesny, p. Tadeusz Leszczyc, sumienny i energiczny aktor zawodowy,
niebardzo orjentował się w potrzebach istotnych widza proletarjackiego.
Przygotował np. „Tkaczy” — a potem... „Z dobrego serca” Rydla. Zarząd

zresztą zorientował się po premierze i na żądanie zespołu, karmelka tego nie pokazywano już więcej widzom. Jako tako zmontowane po 4 — 5 próbach „przedstawienia” przypominały w najlepszym razie „popisy” w szkołach powszechnych. O zdobycie własnego inwentarza — dekoracji, kostiumów, rekwizytów — zespół wówczas nie dbał.

Dla drugiego etapu rozwoju Sceny Robotniczej znamienne jest, jak już wspomniałem, ciążenie ku „zawodowości”. Reżyser „podciągnął” zespół. Próby odbywały się bardzo regularnie, we wzorowym porządku. Scena Robotnicza zdobyła nietylko jaki taki komplet kostiumów i uproszczonych dekoracji parawanowych, zastosowanych po objazdów, ale nawet otrzymała na czas pewien stały lokal. Wybudowano tu wspólnymi siłami scenę rozbieraną (bez gwoździ! na wypadek wyrzucenia co się wkrótce sprawdziło). Scena Robotnicza rozwijała się szybko, robiła niezłe obroty kasowe, z których pokrywano wydatki na kierownictwo i inwestycje. Rozwój Sceny zyskując poparcie mas robotniczych, zaniepokoił władze policyjne. Lokal uznano za nieodpowiedni „ze względu na bezpieczeństwo publiczne” i teatr zlikwidowano.

W trzecim etapie, zapoczątkowanym w kilka miesięcy po rozgromie i trwającym dotychczas, skompletowany szybko z rozbitków zespół proletariacki zmuszony był mimowoli przystosować się do nowych ciężkich warunków pracy i zrewidować dotychczasowe wyniki działalności. Znaczną część pokątnego już inwentarza udało się uratować i przewieźć do lokalu prowizorycznego, udzielonego Scenie Robotniczej gościnnie przez jeden ze związków klasowych. Ciasny ten i wilgotny, pozbawiony do niedawna światła elektrycznego, lokal można było wyzyskać tylko dla prób, oraz jako warsztat, w którym dokonywa się zestawienie przeróbek starego inwentarza na nową modłę, przystosowaną do lotnych przedstawień w pierwszej lepszej sali związkowej lub zabawowej. Nowe warunki zmusiły do radykalnej zmiany techniki teatralnej — zarówno w kierunku zredukowania t. zw. dekoracji do niezbędnych tylko rzeczy, zaznaczających miejsce akcji, jak i w dążeniu do precyzji i wyrazistości zdecydowanych „chwytów” aktorskich, w skondensowanej formie podających widzowi udratyzowaną ideologję proletariatu. Wobec trudności urządzania publicznych występów — praca zespołu mimowoli poszła po linii zamkniętego „studio” teatralnego. Próby odbywają się mozolnie i długo. Jedną krótką rzecz ujmując się reżysersko i aktorsko rozmaicie — potem sprawdza się wyniki pracy na widzu i dyskutuje na temat, *co dociera, a co nie dociera do widza i jak ten widz proletariacki reaguje na formy gry i inscenizacji* — poczem rzecz znów idzie na warsztat i przerabia się ją gruntownie. Ponieważ podstawowe zasady ideologii udało się już całkowicie uzgodnić — usunęło się przez to tarcia „zasadnicze” pomiędzy kierownikiem, a zespołem. Zarazem jednak brak pola do szerokiej ekspansji zewnętrznej wpłynął ujemnie na inicjatywę tak ruchliwych w pierwszym okresie zarządów, wywołując — zrozumiałe zresztą i może słuszne — utyskiwania na wypaczanie pierwotnej — „masowej” — linii pracy Sceny Robotniczej, pozbawionej obecnie szerokiego oddziaływania na widza w masie, tego widza, na którym Scena Robotniczej zależy przede wszystkim.

Repertuar

Na brak repertuaru uskarżają się ustawicznie wszystkie zespoły robotnicze. Lecz trzeba sobie raz na zawsze uprzytomnić, że w obecnych wa-



N. 1 kull 18



FOTOMONTAŻE LUDWIKI OLI

<http://rcin.org.pl>

runkach polski repertuar proletarjacki powstać i rozwijać się samodzielnie nie może. Repertuar obcy — jak pokazały próby zaszczepienia sztuk Tollera i Kaisera w Scenie Robotniczej, natrafiał zwykle na bierny opór (usprawiedliwiony zresztą w stosunku do typowo-drobnomieszczańskich sztuk wymienionych dramaturgów niemieckich). *Na brak repertuaru proletarjackiego jest tylko jedna rada: należy jaknajszerzej stosować „wypaczenie” przez inscenizację i styl gry istniejących sztuk mieszczańskich i drobnomieszczańskich*”), nadając im wybitne zabarwienie ideologii proletarjackiej, reprezentowanej przez nowego aktora — *oraz stosować szeroko przeróbki poematów i nowel na scenę, wprowadzając do tekstu rzeczy, których tam niema i nadając całości odpowiednie zabarwienie*. Jedno i drugie stosuje Scena Robotnicza od lat kilku.

W pierwszym okresie, kiedy Scena Robotnicza była *teatrem proletariatu*, lecz nie *teatrem proletarjackim*, wybierano sztuki mieszczańskie „nie stojące w żadnej sprzeczności z ideologią robotniczą” i grano je naiwnie — naturalistycznie. Czasem tylko, jak w „Tkaczach”, naturalny pęd proletarjackiego aktora do ośmieszania swych wrogów wyładowywał się w prymitywnych „diableries”. Wystarczy jednak wymienić sztuki, grane w ciągu pierwszego roku, by zakwestjonować ów „brak sprzeczności” z ideologią proletarjacką. Prócz „Tkaczy”, i „Z dobrego serca”, grano „W Dąbrowie Górniczej” Zapolskiej, „Święto majowe” Krygiera, „Człowieka, który redagował gazetę rolniczą” Marka Twaine’a. Gdy próbowałem wyzyskać naturalny pęd do „diableries” i nadać komedyjce Twaine’a charakter ostrej groteski w stylu kinowym, groteski opartej na ruchu i nieprawdopodobnych sytuacjach — i zrobić z miernej sztuki lekką bodaj satyrę na prasę burżuazyjną — reżyser Leszczyc „poprawił” moją reżyserję i sztukę grano „naturalnie”. W innych sztukach nie było nawet za co się uchwycić. Ten stan rzeczy zmienił się później, gdy Szacki przygotował własną przeróbkę nowel Leonarda Francka „Człowiek jest dobry”. Nie bacząc na braki w sentymentalno-pastorskim nastawieniu roli głównej — przeróbka ta miała duże powodzenie u widza masowego.*)) Lecz tenże Szacki za nic nie chciał się zgodzić na żądanie zespołu, by „Nadzieję” Heyermansa skończyć sceną demolowania lokalu Bossa w połowie ostatniego aktu. Sztukę grano naturalnie — w stylizowanie uproszczonych „zbiorkach” na czarnym tle. Frekwencji jednak nie było — chociaż grano „Nadzieję” bardzo „przyzwoicie”. Rzecz ciekawa: widzowie-robotnicy wychodzili z przedstawienia po drugim akcie. Gdy ich pytano — dlaczego? — mówili, że „za ciężko na to patrzeć...” Istotnie, sadyistyczne dręczenie widza obrazem bezkarnego wyzysku i krzyczącej o pomstę krzywdy — bez „katarsis”, bez rewolucyjnego wyładowania gniewu ciemionych — obce jest i *wrogie* nawet dzisiejszemu widzowi proletarjackiemu.

*) Tak, np. „Walkę” Galsworthy’ego, typowo-drobnomieszczański „dramat”, zepsuty ostatecznie przez zakończenie kompromisowe — można doskonale „wypaczyć” w ostrą satyrę na arbitraż i na całą obłudę i zdraziecką politykę ugodowych przywódców. Wystarczy porobić skrót, do ostatniego aktu wprowadzić kilka nowych postaci i dać im kilka typowych „słów” — a rezły dokona reżyserja i odpowiednio postawione role.

*) Rewizję realizacji scenicznej tej przeróbki znajdzie czytelnik w Nr. 3 „Życie Teatru” (Warszawa, 18 stycznia 1925 r. str. 24).

Moja „Śmierć na gruszy” nieco zaktualizowana na próbach i utrzymana w tonie stylizowanej rytmicznie groteski — natrafiła również na opór bierny zespołu. I w tym wypadku muszę przyznać, że opór podyktowany był przez zdrowy instynkt proletariacki.

Zwrot w repertuarze Sceny Robotniczej nastąpił podczas prób z „Gry o Herodzie”. Drobiazż ten, pisany dorywczo w stylu agitacyjno-plakatorym, kawałkami, od próby do próby, wskazał nam drogę, jaką powinien pójść w dobie obecnej repertuar scen robotniczych. Aktualna satyra polityczna, traktowana po dziennikarsku, plakato-wo, daje, jak się okazuje, najszerze pole zastosowania odrębnych sposobów gry aktorskiej i zarazem najbardziej przemawia do widza proletariackiego. Po „Herodzie” wzięliśmy się do opracowania scenicznego noweli Orkana „Bartek Nędra i partje polityczne”, dodając do tego scenicznego plakatu epilog, skonstruowany z różnych urywków trzeciej części „Słowa o Jakubie Szeli” Jasińskiego. W trakcie prób tekst odpowiednio „wypaczono” W poszukiwaniu aktualnego repertuaru — kierując się względami cenzuralności — wzięliśmy również na warsztat scenę poboru z drugiej części „Henryka IV” Szekspira. Oczywiście, — z musu, nie z cnoty nowatorskiej — akcję przenieśliśmy do współczesności. Kapitan Falstał nosi mundur oficera królewskiej armii angielskiej i werbuje lumpenproletarijusz do Chin. — Przeróbce uległa również jedyna satyryczna komedia Maeterlincka „Cud św. Antoniego”, gdzie cały akcent kładziemy na obłudne środowisko mieszczańskie, potraktowane w stylu karykatur Grosza.

Obok satyry polityczno-społecznej najbardziej odpowiada potrzebom widza i aktora repertuar patetyczno-rewolucyjny. Wzięliśmy więc na warsztat „Różę” Broniewskiego. Chór, wchodzący na specjalne skonstruowane dla dekoracji chóralnej podja, podzieliliśmy inaczej niż u Broniewskiego — pomiędzy głosy kobiece i męskie (tenory, barytony i basy) oraz pomiędzy kilku solistów na tle ogólnie-chóralnym. Akcenty bolesnej rozpacz i beznadziei, zmieniliśmy wszędzie na akcenty gniewu lub męskiego bólu stłumionego. Rzecz idzie crescendo i kończy się dumnym okrzykiem: „postokroć wzrośniemy wiosnami — skrwawieni bezdomni sami!” (ostatni wiersz: „różą z serca Okrzei” — jako wnoszący dysonans do zbiorowości — opuszczamy), — Poemat Standego „Inwalidzi” inscenizowany jest w ten sposób, że podkreśla się przepaść pomiędzy inwalidami, stojącymi przed barem, a tańczącą shimmy i charlestona publicznością w barze (za szybą) — przez jazz-bandową muzykę, grającą cały czas za sceną popularne „szlagiery” oraz „Pierwszą brygadę”. Wprowadzone na pierwszy plan figury nieme (starka, przechodzień pijany, prostytutka, pensjonarka...) — wnoszą dynamikę dramatyczną do akcji. Wiersz podzielony jest pomiędzy czterech inwalidów: dwóch na szczudłach, jednego ślepcę i jednego beznogiego na wózku. Okrzyk „za-pa-a-łki!” jak i strofy buntu krzyczą inwalidzi chórem, podnosząc w końcu szczudła i pięście. Ten fragment dramatyczny trwa 12 minut.

Fiasko w Scenie Robotniczej miała scena w policji z „Różą” Żeromskiego, odegrana przed robotnikami cegielni (strycharzami). Prawda, że grano tuż przed nosem widza, bez niezbędnej perspektywy — i przy pomocy zastępców. Widzowie śmiali się serdecznie w pierwszej części (rozmowa szpiclów). Zmieszało to bardzo zespół — tem bardziej, że scenę tę przygotowywaliśmy długo i starannie, wyrzuciwszy z niej uprzednio dużo balastu z monologów i djałogów, opuszczając role żołnierzy i prze-

nosząc całą akcję z roku 1905 do współczesności (o ile się to dało zrobić). Sceny szpiclów potraktowane były „w bloku”. Naogół — rzecz wypadła trochę operowo w miejscach dramatycznych, zaś zbyt realistycznie — w scenach rodzajowych. Po dłuższej dyskusji rzecz znów poszła do przeróbki, przyczem zmieniono oprawę dekoracyjną.

Ciekawym przyczynkiem do charakterystyki zespołu proletarjackiego może służyć stosunek jego do repertuaru „klasycznego”. W Scenie Robotniczej repertuar układa się w ten sposób, że kierownik referuje najwypierw treść i motywy obioru przedkładanego utworu, potem czyta się samą sztukę. Następnie reżyser wykłada projekt inscenizacyjnych zmian i swego ujęcia sztuki. Zespół przystępuje do zasadniczej dyskusji. Od wyników dyskusji zależy, czy sztuka będzie grana i jak, czy pójdzie tylko w próbach — lub nie pójdzie wogóle.

Otóż, dość burzliwą dyskusję wywołała propozycja grania „Małżeństwa z musu” Moliera, którą reżyser chciał potraktować, jako groteskową satyrę na „interes matrymonijalny” burżuazji — z wprowadzeniem reklam biura małżeństw „Fortuna”, ogłoszeń „Olla qum...”, meczu bokserskiego etc. Ostatecznie, farsę Moliera odrzucono i uchwalono wogóle nie sięgać do klasyków, jako zbyt dalekich i obcych ideologii proletariatu.

Reżyserja i gra aktorów

Reżyser zespołu proletarjackiego musi stale mieć na myśli widza, do którego trzeba dotrzeć najkrótszą drogą, oraz materiał aktorski i techniczny, którym się rozporządza. Specyficzne warunki przedstawień łódzkiej Sceny Robotniczej zmuszają prócz tego reżysera do wynajdywania wciąż nowych prostych, tanich i wyrazistych zarazem środków „dekoracyjnych”, wzmacniających sugestię gry aktorskiej.

W pierwszym okresie trosk tych wogóle nie było. W drugim etapie Scena Robotnicza korzystała z normalnych mniej więcej środków pomocniczych — jak pudełko sceny, połączone z widownią podjum, zakończonem szerokimi schodami, jak kurtyna, tła czarne, rampy sofitowe przed i wewnątrz sceny etc. — Po straceniu stałego lokalu trzeba było pomyśleć o takiej oprawie dla gry aktorskiej, którąby można łatwo składać i rozkładać, oraz przenosić z miejsca na miejsce. — Przedewszystkiem więc, trzeba było rzec się kurtyny. Poprostu, w sali związkowej ustawia się tła parawanowe czarne (tylko — 2½ mtr. wys., boczne — do 3 mtr.). Za temi tłami chowa się „dekoracje” i aktorzy czekają na wyjście, a od biedy mogą się przebierać. Z boku umocowuje się u góry, lub ustawia się wprost na podłodze przenośne reflektory. Na tem stałem czarnem tle parawanów, które można ustawiać w dowolnych kombinacjach, ustawia się dopiero konstrukcje lub parawany, zaznaczające miejsce akcji. W tych ograniczonych ramach trzeba zdobywać się na wynalazczość. Liczyć tu trzeba i na pomoc światła. O charakterze „dekoracji” może mieć czytelnik pojęcie z zamieszczonych w bieżącym N-rze fotomontaży, oraz z klisz, reprodukowanych w Nr. 2—3 „Dźwigni”. Zatrzymam się szczegółowiej na oprawie scenicznej „Bartka Nędzy” Orkana oraz „Prologu” Majakowskiego.

W pierwszym wypadku chodziło o to, by w rzeczy, trwającej zaledwie 15 minut, dać sześć zmian „obrazów”. Ponieważ „Bartek Nędza” — to

tylko przeróbka noweli, więc zrobiło się w ten sposób: 5 parawanów zbiło się grzbietami razem (na rzemykach), tak że złożone robiły wrażenie książki. Z prawej staje na mównicy lektorka, czytająca krótkie „remarki” autorskie, z lewej — robotnik, nie biorący udziału w akcji aż do epilogu, a przerzucający tylko „stronice” parawanów. Aktorzy wychodzą z poza parawanów. Tła parawanów, kostjумы i gesty aktorów stanowią jedną całość i robią wrażenie żywego plakatu.—W epilogu robotnik sprząta „książkę”— i akcja toczy się na czarnych tłach aż do gremialnego wyjścia uczestników.

W inscenizacji „Prologu” Majakowskiego chodziło o podkreślenie twardej, rąbanej, konstrukcyjnej rytmiki wiersza. Na ustawione wobec widzów podjum wchodzi jednocześnie — z prawej i lewej — odbijając takt nogami, robotnicy w niebieskich bluzach i robotnice w szarych sukienkach do pracy. Każdy niesie w rękę transparent z literą, lub sylabą. Układ pionów w rękach mężczyzn i skośnie ustawionych drążków w rękach kobiet daje odrazu ostry schemat, kanwę, na której wyszywa się głosami chóru recytację. Szereg kubistycznie ostrych gestów dopełnia całości.

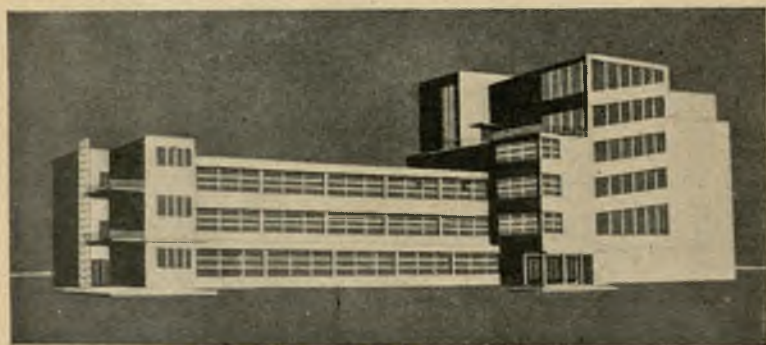
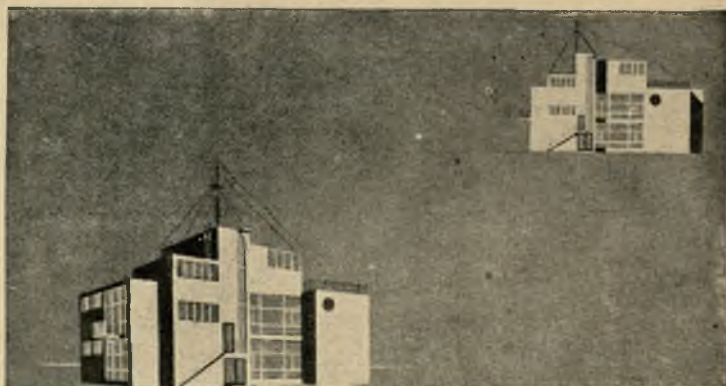
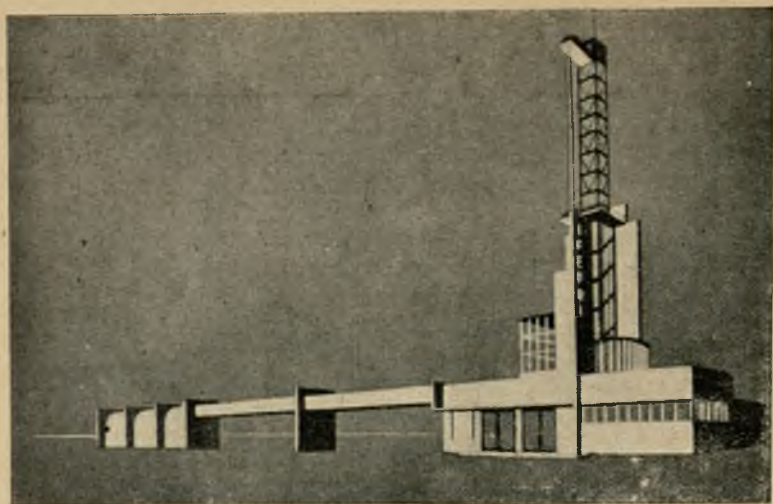
Z powyższego już widać, z jakich założeń wychodzi gra aktorów Sceny Robotniczej. Od wykonawców wymaga się *nie przeżywania roli, lecz jej budowania* z elementów trwałych, nieprzypadkowych, dających się powtórzyć na zawołanie. Twórczość aktora jest tu traktowana tak samo, jak robota przy budowaniu i ustawieniu dekoracji lub szyciu kostjumów, jak robota przy warsztacie lub przy biurku. Nie pozostało w takim podejściu do ról już nic z subtelnej „kameralności” teatrów burżuazyjnych, obliczonej na mimikę „przeżyć”, obserwowanych przez lornetkę. Aktor proletariacki operuje „szerokimi płaszczyznami”: dobrze postawionym, dobitnym głosem, dykcją, wyrazistym, zorganizowanym rytmicznie, gestem i takimż ruchem.

Tendencją gry aktorskiej w Scenie Robotniczej jest obecnie dążenie do *konstrukcjonizmu*. — Dawne, *ekspresjonistyczne* sposoby gry i inscenizacji mają jeszcze częściowo zastosowanie w repertuarze patetyczno-rewolucyjnym, ale i na tym odcinku szukamy innych środków wyrazu, zbliżonych do tych technicznych sposobów, które dają dobre wyniki w repertuarze plakatoowo-satyrycznym.

Obecnie zespół Sceny Robotniczej dąży do takich środków wyrazistości aktorskiej, któreby pozwoliły całą uwagę widza skoncentrować na grze i reżyserji, i obyć się bez tych resztek „dekoracji”, które jeszcze pokutują w Scenie. Dekoracje winne być zastąpione przez pożyteczne rekwizyty — jak drabina, taboret, rek lub trapez gimnastyczny i t. p. — Można tu wyzyskać żywiołowy pęd młodych członków zespołu do wyładowania nadmiaru energii mięśniowej w ćwiczeniach gimnastycznych i sportach — jak się wyzyskuje pęd do karykaturowania w „diableries”. Wówczas łódzka Scena Robotnicza zbliżyłaby się do typu „Niebieskich bluz”, proletariackich teatrów satyrycznych, które siecią swą pokryły nie tylko Z. S. S. R., ale i miasta przemysłowe Czechosłowacji i Niemiec.

Lecz jednocześnie trzeba tworzyć odpowiedni repertuar satyryczny.

Aby łódzka Scena Robotnicza mogła rozwijać się nadal i pomóc swem doświadczeniem innym zespołom robotniczym—*konieczne jest przeprowadzenie przez organizacje robotnicze energicznej akcji o legalizację Związku Scen Robotniczych*. W tym celu należy w jaknajszybszym czasie zwołać zjazd delegatów istniejących Scen Robotniczych.



MIECZYSLAW LECZYCKI

Projekt Instytutu Wychowania Fizycznego

DUSZA GRUZJI

WŁODZIMIERZ LIDIN

W nocy pod przełęczą płonęły ogniska; niskie obłoki, sączące szron, potwornie i purpurowo zwisały nad nami i noc gruzińska sownie odmierzyła mi stronicie niepowtarzalnej romantyki. Siedzieliśmy przy ognisku i jedliśmy błękitne pstrągi, które Terek okropił kaprawami punkcikami; wokół siedzieli milczący ludzie w obwisłych czapach baranich, spokojni mieszkańcy tych ponurych osiedli, wyniesionych na ptasie urwiska, i była cisza, chłód górski, szum niemilknący wód i surowa liryka tysiącleci. Tu, tej nocy, na dzikiej wysokości, tuż pod obłokami, objawiła mi się dusza Gruzji.

Hazawat, „Mcyri”, przepiękna muzyka Lermontowa, „Kozacy” Tołstoj, gorzka tkliwość puszkiniowskich rozmyślań kaukaskich — zjawy lat pacholących i pierwsze wrażenia sztuki, które podbiły i zatruty na zawsze świadomość chłopięcą. I oto płoną ogniska, i milczący ludzie z gór w pokoju siedzą dokoła, lotne pasmo obłoków przepływa nad nami i to, o czym się śniło za lat chłopięcych, wydaje się teraz spełnieniem niepowtarzalnych snów.

Lecz z tyłu, w ciemności, połyskuje czasem skrzydło stukonnego „Mercedesa”, — stara droga gruzińska, po której przechodziły wojska, zasypana już spełzającymi zboczami, a po nowej drodze piętnastomiejscowe „Fiaty” lekko przewyciężają przestrzenie i stromizny.

Dwie Gruzje, Gruzja starych marzeń, piękne zamki na wierchach, na które spojrzeć straszno, klechdy i smutek odeszłych wieków, wiersze Rustawelliego i subtelne piękno opuszczonych rzęs Tamary. A w Tyflisie — wystawa traktorów, które przyjdą na zmianę wieku kamiennego chłopskich narzędzi rolniczych, chłopska arba zbacza przed pędem nieustępliwych maszyn, i mieszkańcy wierchów nawykli już ustępować drodze ustanowionym rejsom.

Piękną romantykę zastępuje życie, a tu, na wyżynach, tuż pod obłokami, ludzie w posępnych papachach nucą nam pieśni, których się już nie śpiewa i które stają się już siwą zmierzchłością. Ludzie ci mają rudawe, szorstkie brody, oczy ich patrzą gdzieś w bok, a trzy instrumenty — fletnia, bębenek o drobnych, drżących kółeczkach i „tari” — rodzaj gitary o gardlanym dźwięku — strzępią ciszę tej nocy. Ludzie biją w bębenek, obrywają struny gitary, fletnia przyspiewuje, jak smutny ptak, ludzie śpiewają, jak derwisze, opętany i niesamowitym głosem, jeden z nich jest ślepy, niebieskie głuche okulary osłaniają dziobatą jego ślepotę — i to właśnie są te starodawne pieśni gruzińskie. Tak oto, wśród tych pieśni, wśród blasku ognisk i starodawnych jęków upływa dżdżysta noc w górach.

A o świcie inżynier, mój towarzysz podróży, budowniczy nowej Gruzji, jej elektrykator, zbudził mnie i spuściliśmy się z nim na dół, by się umyć lodowatą wodą z Tereku. Stara romantyka Gruzji odśniła nam się w tę noc, gdzieś tam na szczytach pozostało plemię chewsurów, którzy i dziś jeszcze noszą pancerne koszule i strzegą klechd odwiecznych, a sto koni wściekłych kipi w „Mercedesie” — i ten unosi nas z gór, bo inżynier ma w tece plany, kosztorysy i rysunki techniczne. W tych planach i rysunkach drzemie romantyka nowej Gruzji.

Wodne potoki opętane zbiegają z gór; pięknie smucił się nad Aragwą Puszkini i wody z Kury napił się Hamsun, by nie zapomnieć tego kraju baśni. Lecz potoki wodne — to olbrzymia siła, która puści w ruch setki elektrowni; krnąbrna woda Kury wejdzie w przeznaczone jej koryto i pięćdziesiąt tysięcy sił elektrycznych rzuci się na Tyflis, opasze go złotem zdobytego ognia i zawiruje w generatorach i dynamo.

„Spełniłem to, co spełnić miałem i wyrzekłem swe słowo. I wypilem wodę swą do dna” — tak napisano na mogile poety Saat-Nowa, przyjaciela i współzawodnika ostatniego króla Gruzji, a obok mogiły marzyciela i poety widnieje napis: „Dotknięcie grozi śmiercią” — na białej budce transformatora.

Tak, niezmiennie, jak Aragwa z Kura, zlewają się w jednym korycie, dwie Gruzje, by przemienić się w jedyną siłę kulturotwórczą. Przyroda w ręku człowieka, — nie zaś człowiek, poddany naturze i bez śladu wleczonego za drewnianym radłem dziadowskiem, wzorem ludzi pierwotnych, dłubiący w ziemi. Dojrzawszy pięknie wschodzące słońce, zasiewy, spuści się z wierchów chewsur, by od plemienia sąsiedniego przejąć zdobytą przezeń kulturę.

Inżynier wskazuje mi beton i rusztowania, białe budowle, turbiny w nich założone — w ciągu nocy bezsennej obrósł siwąwą szczecina — i mówi mi:

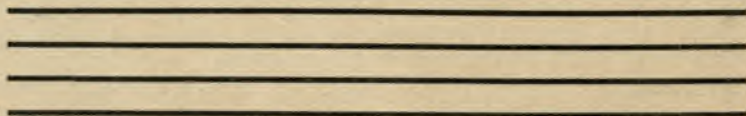
— Stara Gruzja kochała się w kontemplacji, aktywizm życia był jej obcy. Lecz naród, który pragnie zdobyć sobie przyszłość, nie może żyć przeszłością. Stara nasza kultura, która uczyła nas pieśni i męstwa, i nowa, z którą weszliśmy w styczność — oto Gruzja dnia dzisiejszego...

I mówi mi jeszcze o elektrowniach, które się budują i które będą zbudowane, o planach pohamowania rzek, o białym węglu, wskazuje mi ręką te przestrzenie, które podbija człowiek — i leciutki, czerwonawy Tyflis ze swemi ceglanymi dachami, ze starożytną fortecą na górze, z białawą wodą Kury, odkrył się naszym oczom pod wieczór.

Tu, w tem mieście, gdzie zgrzybiały majdan umiera rok po roku i stary liryczny Tyflis jest coraz bardziej rugowany przez europejski Tyflis nowoczesny — tu znalazłem ludzi, piewców i przyjaciół tego starego Tyflisu, pokazali mi oni miasto w rannej godzinie kiedy pachnie zielenią, dziką trawą górską, kiedy jest tak piękny w zorzy porannej, oświetlającej jego zmierzch i ruiny fortecy, która niegdyś straż trzymała nad jego losem. Ludzie ci pokazywali mi miasto, jego cudowne i tajemnicze zaułki, place pełne łagodnych bawołów i stepowych wielbłądów, spokój poranka, życie jego istotne — i ludzie ci mówili mi, że wszystko to wkrótce odejdzie, jak wiele rzeczy odeszło już bezpowrotnie.

Transformator obok mogiły poety, portret Rustawelliego, marzyciela i poety, stróżującego nad romantyczną przeszłością Gruzji, — i turbiny parowe, przemieniające bezużyteczne wody Kury w światło i energię.

(Tłumaczył W.).



POEZJE BRONIEWSKIEGO

Władysław Broniewski. DYMY NAD MIASTEM. Poezje „Książka”, 1927 r.

Z poetów, którzy na jesieni 1925 r. wydali zbiór „Trzy salwy” W. Broniewski wykazał niewątpliwie najwięcej siły lirycznej i najmniej konsekwentnego wyczucia społecznego. Mówię to nie dlatego, iżbym stanowczo twierdził, że te rzeczy stoją do siebie w jakiejś nie do pogodzenia sprzeczności. Istota sprawy tkwi gdzieś indziej. Wbrew temu co się powiada o „wieszczach” poeta zawsze bywa wyrazicielem spraw przeszłych, minionych. Ta przeszłość niekoniecznie musi być umarła i przeżyta — te minione sprawy mogą stanowić dawne przebiegi procesu, który ciągle jeszcze się odbywa.

Rzecz w tem, iż poezja wymaga gotowego, już określonego materiału życiowego — wyrażonego nie w ogólnych ideach ale w faktach. Ogólne idee, programy są dla poety utopją nawet wtedy, gdy dla polityka np. stanowią materiał zupełnie konkretny. Realność wizji poetyckiej, jej istotność wymaga znajomości i oddania masy tych drobnych często faktów, których skomponować nie sposób (jakieś drobne wydarzenia będące nieraz przekrojem ważnych wypadków, materiał wizualny, słuchowy, przenośnie i t. p.). Wyraża się tu w równej mierze opanowanie faktów przez poetę jak i opanowanie poety przez fakty — ta równomierność byłaby swojego rodzaju fachowym ideałem poezji. W t. zw. poezji „proletarjackiej” (bo o tej proletarjackości różnie można mówić) przeciwnie, często zdarza się lekceważenie faktu poetyckiego, lekceważenie zresztą wytłumaczalne i zupełnie uzasadnione. Tam bowiem, gdzie usiłuje się stworzyć nowe fakty, lub zmienić i rozwinąć istniejące, musi powstać pewien odpór w stosunku do tego co jest. Mocno rozwinięta aktywna w stosunku do życia ideologia zagłusza poezję. Przeciwnie twierdzeniu temu możnaby podnieść zarzuty, choćby powołując się na silną poezję rewolucyjną w Rosji. Ale bardzo łatwo byłoby udowodnić, że poezja ta korzeniami swymi tkwi faktycznie raczej w rewolucji lat 1905 — 7 niż w dzisiejszej i w pierwszym rządzie uwzględnia przejawy analogiczne aktualizując je i przeformowując odpowiednio.

Najwięcej może mówi o Broniewskim poecie fakt, że wyszedł on z Legjonów, które znów miały starsze tradycje w tamtych latach — kwestja bardzo ważna. Trudno tutaj omawiać szczegółowo wszystkie właściwości tego dziwnego skądinąd zbiorowiska ludzi, które w dziejach ostatnich dziesięcioleci lat w Polsce odegrało rolę tak wydatną. Należy jednak podkreślić społeczną pstrokaciznę tego wojska, w którym znajdowały się najprzeróżniejsze elementy od przedstawicieli zoologicznego nacjonalizmu, aż do mętnej czerwieni. Odgrywał tu wydatną rolę ochotniczo-inteligentki charakter Legjonów. Inteligent ma zawsze większe możliwości albo przynajmniej pretensje tego co się nazywa: „wolny wybór” stanowiska. Rzecz naturalna, że to jest złudzenie, ale owe subiektywne poczucie trzeba mieć ciągle na uwadze, gdy się mówi o tych kwestjach. Utrzymując się w ramach tej świadomości możnaby powiedzieć, że Legjony miały żywioły społecznie bardzo cyniczne i żywioły bardzo naiwne spo-

łecznie. Stąd później różne rozłamy i oddzielania się, najprzeróżniejsze fermenty ideowe, zachodzące nieraz niezmiernie daleko.

Byli tam ludzie porwani przez wojnę wcześniej, jak się to mówi w zaraniu życia i przez wiele lat wychowywani w szkole jej „konieczności”. Mówiąc o wojnie akcentuje się zwykle okropność mordu człowieka przez człowieka — okropność ta jest przecież powiększona i rozszerzona przez cały ten proces wojny, w którym samo zabijanie stanowi część zasadniczą, ale stosunkowo niewielką. Tresura, nawyk codziennych obowiązków musztry, marszów, rekwizycji, podpalań, grabieży, traktowanie całych rzesz ludzkich jak szkodliwych lub niepotrzebnych owadów, spotworniające psychikę — robia człowieka nieraz niezdolnym do istotnego współżycia społecznego.

Proces ten wytwarza obok żywiołów gruntownie obojętnych, pośrednich — także pewne „wielkości”, rekordzystów swojego rodzaju — wysuwa tęgich zawodowców, specjalistów różnych działów. Wytwarza też jednostki, które nie mogą potem żyć życiem zwykłym pokojowym. Ci ludzie potem popełniają samobójstwa, lub też mordują bez ceremonii pierwszego z brzęgu człowieka nie mogąc wytrwać do drugiej okazji, w której znowu znajdują się z swoim żywiole.

Ostatnia wojna dała jednak z pośród swych wychowawców gwałtownych pacyfistów jak np. niemiecki junkier b. oficer gwardji Unruh. Ten rodzaj pacyfistów jest z wojny i zna jej procesy. Podobny bliski konkretności wojny charakter nosi też pacyfizm Broniewskiego. Broniewski idzie dalej, ale przy konkretności wizji wojny, również nie widzi dalszych perspektyw, odwołując się do jakiejś tajemniczej „miłości”. Antymilitarystyczny „Soldat inconnu” kończy się słowami.

„Miłością” zakończona była też „Ostatnia wojna”. „Inna Francja” ma też odpowiednik w „Nike”

„zaprowadzę was do Francji innej,
do ojczyzny zwycięskiej miłości”.

„będzie inny bój i zwycięstwo
inna Grecja nas zdejmie z tarcz”.

Charakterystyczne unikanie precyzji w tem co się mówi o przyszłości, wiąże się z ciekawym zjawiskiem pewnego rozstrzelenia wewnętrzne-
go — możnaby rzec dwutorowości w poezjach Broniewskiego. Zatrzymam się tu na wierszu „Pionjerom”, który daje najwięcej materiału w danym razie. Przytaczam ten wiersz w całości:

Jeśli serce w piersi za ciężkie,
piers rozetnij i serce rwij!
Wyściel drogę wiośnie zwycięskiej
mostem ramion, purpurą krwi.

Jeśli z piersi krew nie wytryśnie,
starczy okrzyk rozgrzanych łuf,
Wyteż oczy! Zęby zaciśnij!
Stawaj w szereg! Nie trzeba słów.

Cóż, że depczą? Cóż, że są siłą?
Cóż, że miazdzą kolbami twarz?
W mur głowami! Serca przez wyłom!
W dni Bastylję zwycięski marsz.

W piers niech biją młotem — nie pęknie
Zatnij usta, choć w ustach krew...
Jeszcze będzie jaśniej i piękniej,
będzie radość i będzie śpiew!

Znaczenie symboliczne pierwszej zwrotki jest jasne. Jasne również, że nie o pionierach mowa — że trzeba tu szukać wyjaśnień raczej w psychologii wychodźcy klasowego, „zrywającego” ze swą klasą, a tak bardzo zaangażowanego w jej nawykach, tradycji, iż zdaje mu się, że musi przystać rozzerwać serce, „za ciężkie” od sentymentów, wspomnień i tradycji. Pionier, robotnik nie jest tem wszystkiem obciążony — nie potrzebuje więc „rwać” serca choćby symbolicznie. Wie, że most ku wiosnie zwycięskiej trzeba budować inaczej i walczyć inaczej, niż mu to każe poeta („W mur głowami! Serca przez wyłom”), eliminujący pierwiastki racjonalnej organizacji.

Końcowe wiersze mają znowu akcenty żywego optymizmu, choć znowu sformułowane trochę niespodziewanie i w trochę nieokreślony sposób. Podkreślam te kwestje dlatego, że mamy tu ciekawą wewnętrzną sprzeczność. Wiersz sam ma pewien zdobywczy rytm marsza i zewnętrznie może być tak właśnie rozumiany. Ale jego treść istotną stanowi pewna szarpanina wewnętrzna, przechodząca w nastawienie czysto ofiarnicze. Mamy tu wbrew pozorom czysto statyczne rozumienie spraw walki społecznej — z akcentem na przewalczanie pewnych spraw czysto wewnętrznych. Podobne motywy, niejako dopełniające „Pionierów”, daje wiersz „Róża”, który świadczy, że Broniewski dobrze, za dobrze odczuwa nastroje z przed lat dwudziestu, świetnie oddaje ideologję Żeromskiego z jej cierpiętnictwem, z jej jakimś mazochizmem pokutniczym. Ale przeciwstawienie się tej ideologii właściwie nie dochodzi do głosu.

Żeglujemy po falach Lety,
któż nam twardy ukaże grunt?

(„Nike”).

Leta — symboliczna rzeka zapomnienia. „Nike” zawiera zresztą elementy pozytywniejsze: coś jakby poszukiwanie nowych form bohaterstwa. Odwołanie się do klasycyzmu stanowi rzecz niezmiernie charakterystyczną. Broniewski wogóle ma w swych wierszach dużo specyficznej miękkości, chłodu i wytworności, co sprawia, że w stosunku do poruszonych spraw ostateczny ich wyraz niekiedy bywa nieco błądny. („Na śmierć rewolucjonisty”).

Wiersze drugiej części tomu wykazują główną siłę Broniewskiego — zdolność wywoływania nastroju pozornie bez wysiłku, kilkunastoma słowami. Pod tym względem trudno byłoby znaleźć mu równego wśród dzisiejszych poetów w Polsce. Wyjątkowa, nosząca pewne cechy wyłączności siła liryczna tych wierszy, rzuca może światło na specyficzne właściwości poezji pierwszej części.

Są to zresztą kwestje ściśle związane z tem co się mówiło na początku artykułu — z kwestją przeszłości w poezji. Czas dzisiaj przechodzi w tempie szybszem niż kiedykolwiek. Okresy, które się niegdyś liczyło na lata dziś można obliczać niemal miesiącami. Aktualność niezmiernie szybko staje się historją. Ale też trudno jest dziś stabilizować sądy, trudno mówić w formach skończonych zwłaszcza o poecie, który niezbyt dawno rozpoczął, rozpoczął rzeczami bardzo mocnymi i pięknymi (co może przy omawianiu cech specyficznych tej poezji niedość tu zostało uwydatnione), który dziś ma przed sobą drogę dużą, choć trudną.

Książka wydana bardzo ładnie — okładka niezmiernie efektowna i rzucająca się w oczy.

A. Stawar

ROMANTYKA REWOLUCJI

Wsiewołod Iwanow: Powrót Buddy. — Zbiegła Wyspa. — Przekład Jana Barskiego. Wydawnictwo „Alfa” 1927.

Borys Ławreniew: Czterdziesty pierwszy. Przekład Jana Barskiego. Wydawnictwo „Alfa” 1927.

Romantyka bujnych lat: 1918 — 1920 — pokutuje do dziś w twórczości poczytnych pisarzy rosyjskich. Nic dziwnego. Były to czasy, kiedy nawet solidny buchalter towarzystwa ubezpieczeń, wysadzony z fotela, przeżywać musiał robinzonady w stylu Coopera i Londona. I gdy dziś, po tylu latach, znajdzie w kufrze zgrzebny worek, w którym wśród niebezpieczeństw istic meksykańskich szmuglował mąkę z południa — ogarnia go rzewna liryka wspomnień, owianych czarem burzliwej poezji lat owych. I żał mu nawet tych strasznych i pełnych romantycznego uroku lat terroru i wojny domowej, lat, kiedy fantastyka realności i rzeczywistość fantastyki w nierozzerwalną stapiały się całość...

Tem poniekąd tłumaczy się psychologicznie nieustający popyt na utwory, których tematy oscylują romantycznie wokół żywiołowych wydarzeń burzliwego okresu rewolucji rosyjskiej. Zapotrzebowanie na tego rodzaju rzeczy pokrywają — fakt znamieny — pisarze ze środowiska mieszczańskiego, t. zw. satelici rewolucji („poputczyki”). Pisarze proletarijacy dążą raczej do *realistycznego* ujęcia w prozie artystycznej nowych form dźwigających się z gruzów obalonego ustroju — *konstrukcyjnej* rzeczywistości, dążą do przyłapania na gorącym uczynku objawów nowej psychologii klasowej tych warstw, które po zwycięskiej rewolucji powołane zostały do budowania nowych form życia społecznego. Dla pisarzy mieszczańskich rzeczywistość ta jest obcą, niepoetycko-egzotyczną.

Realistyczne podejście do zagadnień *bieżącej* rzeczywistości, realistyczną techniką pisarską może powstać na mocnym, *stabilizowanym* już podłożu gospodarzem i przy unormowanych stosunkach społecznych. Pisarz-realista musi czuć pewny grunt pod nogami, musi nasiąknąć organicznie właściwościami klasy, której interes i ideologię reprezentuje w sztuce. Okres bezpośrednio przedrewolucyjny a tem bardziej rewolucyjny jak najmniej sprzyja powstaniu kierunków realistycznych w literaturze. Postępujące szybko zmiany układu sił społecznych przesuwając niewidocznie płaszczyzny stosunków międzyklasowych — wywołują w świadomości pisarza obraz mglisty, pozbawiony ostrości konturów, podobnie jak na matówce aparatu fotograficznego, nienastawionego „na ostrość”. Dlatego czasy rewolucyjne sprzyjają powstaniu kierunków romantycznych w literaturze. Mglistość, rozlewność, niekonkretność romanetyki, jej pęd do nieokreślonych ściślej celów odpowiada najlepiej psychologii t. zw. „trzeciego stanu”. Typowym przedstawicielem „trzeciego stanu” jest ojciec „rewolucyjnego romantyzmu”, Fr. Schiller. W pierwszym okresie swej twórczości — w „Zbójcach”, „Wilhelmie Tellu”, „Intrydze i Miłości” — Schiller walczy w poezji o to samo, co girondyści w rewolucyjnym Paryżu. Ale gdy masy — przez sankiulotów — nadały biegowi rewolucji francuskiej zdecydowany kierunek — Schiller się zląkł, wyrzekł się swej rewolucyjności, czemu dał wyraz w znanej strofie „Pieśni o dzwonie”. Bierne, pogięzione przez szlachtę, drobno-mieszczaństwo niemieckie, zawiedzione w nadziejach pokładanych w rewolucji francuskiej — znalaz-

zło wyrazić swą ideologię w innym poecie — romantyku: w E. T. A. Hoffmannie. Marzycielski twórca „Braci Serapjonowych” roztopił trapiące mieszczaństwo sprzeczności (dojrzałość gospodarcza, a słabość polityczna) w godzącej wszystkie przeciwieństwa fantastyce ironicznej.

Grupa literacka, do której należał Wiaczesław Iwanow w okresie pisania „Powrotu Buddy” i której, jak widać z techniki pisarskiej, bliski był autor „Czterdziestego pierwszego” Borys Ławreniew — przybrała nazwę „Braci Serapjonowych”. Kult E. T. A. Hoffmana, uprawiany przez tę grupę pisarzy młodych, którym przewodził pisarz starszy, inżynier z zawodu, es-er z przekonania politycznych — Eugenjusz Zamiatin — nie jest czemś przypadkowym. W. Iwanow i B. Ławreniew, jak widać z poprzedzającej ich książki autobiografii, to romantyczni cyganie ze środowiska drobnomieszczańskiego. Przebywanie w wyludnionym podczas rewolucji Petersburgu, bierny, spektatorski, choć życzliwy stosunek do walki, jaką wówczas prowadził proletariąt z kontrrewolucją, upadek zainteresowania do spraw społecznych w miarę jak opadała burzliwa fala rewolucji — wszystko to przygotowało grunt do przejęcia się metodami rzemiosła literackiego, głoszonymi przez świetnego majstra prozy Zamiatina, który wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza przekazał uczniom i swą romantyczną, lewicowo-eserską — ideologię.

W autobiografii swej pisze W. Iwanow prostodusznie: „Nic jednak nie czytałem o kwestjach społecznych i kiedy wybuchła rewolucja 17-go roku, nie rozumiałem różnicy między es-er i es-de. Początkowo zapisałem się do obu partij”. Do tego czasu był Iwanow kolejno zecerem, subjektem sklepowym, „fakirem i derwiszem”, kłownem cyrkowym i kupcem w ca-fé chantant...

Nic dziwnego, że dla tego wędrownego cygana rewolucja socjalna była tylko dalszym ciągiem „bałaganu życiowego”. Bałagan ten nastroczał moc przygód barwnych, nęcił egzotycznością niezwyklej sytuacji i „mise-en-scène’ów w odwróconej fantastycznie perspektywie socjalnej. A że terenem przeżyć Iwanowa są kraje wschodnie Z. S. S. R.: Syberja, Turkiestan, Mongolja... — więc tło dekoracyjne i obfitość spotykanych typów etnograficznych wzbogaciły jeszcze naturalną zresztą dla Iwanowa egzotykę przeżyć. O zrozumienie dialektycznego procesu rewolucji Iwanow nie dba. Bierze ją ze strony widowiskowej. Stara się tylko, według rad mistrza Zamiatina, nawiązać wrażenia i przeżycia na wątek pomysłu i uporządkować bogaty materiał kompozycyjnie.

Pomysł „Powrotu Buddy” jest dobry. Rzeczywistość 1918 roku nasuwa dużo tego rodzaju pomysłów — należało je tylko w lot chwycić i umiejętnie wyzyskać. Komisarjat do spraw narodowościowych postanowił ze względów taktycznych zwrócić Mongołom złoty posąg Buddy, zrabowany ongiś przez carskiego generała. O zwrot posągu zabiega był oficer carski, kontrrewolucyjnie usposobiony „hygen” mongolski, Dawa-Dorzi. Dobiera sobie — dla osłony — profesora Safonowa, w którym czuje węchem kontrrewolucjonistę. Zabiegi Mongoła osiągają skutek: Komisarjat istotnie deleguje profesorzynę z posągiem Buddy na wschód.

Intryga z początku przeprowadzona jest zupełnie w stylu E. T. A. Hoffmanna. Zjawienie się tajemniczego Dawa-Dordzi u Safonowa, tropienie przezeń ofiary, nieoczekiwane znikania i pojawiania się zagadkowego Mongoła, oraz szereg romantycznie - ironicznych figurynek komisarza, zwłaszcza Anisimowa, stylizowanego na hoffmanowskiego „Mistrza Pcheł-

kę" — wzorowane są na opowieściach autora „Księżniczki Brannbilli”. Nawet tytuły naśladują niemieckiego ironistę.

Z chwilą wyjazdu safandudy Safonowa kompozycja zmienia się. Iwanowowi zależy na uwypukleniu fantastyki rewolucji. By nie zatracić bohaterów w chaosie wydarzeń, autor pakuje profesora, Dawa-Dordzi i kilku Mongołów wraz z jedną jedyną kobietą (potrzebną autorowi do uwypuklenia zmian wewnętrznych, zaszytych w Safonowie podczas podróży) do wagonu towarowego wraz z posągiem Buddy, za otwartymi zaś drzwiami wagonu, przesuwanego się wzdłuż całej Azji, każe rozgrywać się wypadkom rewolucji. W ten sposób zacieśnia się pole obserwacji, koncentruje się uwagę czytelnika na kilku figurach. Rewolucję widzi czytelnik we fragmentach tylko — o tyle, o ile miga ona w prostokącie otwartych drzwi. Na tym mocniej nieco naświetlonym ekranie skacze od czasu do czasu figurka „mistrza Pchełki” — latającego Holendra rewolucji — komisarza Anisimowa.

Psychologja przeżyć prof. Safonowa jest dość typowa dla inteligenta mieszczańskiego. Wrogi zasadniczo władzy sowieckiej, profesor jest jednak bierny i potulny jak baranek. Dziejze łatwo i marzenia jego nie sięgają ponad pieczoną baraninę. Cechuje go typowe dla solidnego burzua fetyszystyczne przywiązanie do rzeczy i wynikające stąd niemniej tabuistyczne pojmowanie „obowiązku”. Posąg Buddy odgrywa w opowieści Iwanowa mniej więcej taką rolę, co kuferek pana Kiwacza w „Pątniku Karapeta” Goetla. — Safonow niepotrzebnie znosi tysiące upokorzeń i niewygód, bo nie może wyrzucić na zbity łeb — względnie, spożytkować, jak inni towarzysze podróży — złoto tego (poślaczanego) posągu. Pan Kiwacz pilnuje kuferka podczas trudnej ucieczki przez granicę perską, bo to *jego majątek*. Oto cała różnica. Safanduda Safonow jest „idealistą” i dlatego ginie. Porzucają go wszyscy Mongołowie — on zaś wlecząc odrapane ze złota czupiradło w stępy — aż pada z ręki koczowników. Wydaje się profesorowi, że spełnia jakąś misję kulturalną, jakiś czyn pioniera cywilizacji, na który nie może się zdobyć zbuntowana „dzicz”. Złudzenie. Jakiej cywilizacji? Cywilizacji, opartej na fetyszystycznym uwielbieniu rzeczy, na kulcie własności — swojej czy cudzej. Lecz tę właśnie cywilizację rewolucja zmiata. I dlatego Safonow pada ofiarą — własnych zresztą przesądów i własnej słabości.

Niestety, autor nie dość uwypukla błąd Safonowa. Opowiadanie kończy obraz sponiewieranego przez Mongołów posągu Buddy.

„Zbiegła Wyspa” zbudowana jest znacznie słabiej. Celowe pomieszanie planów chronologicznych akcji wprowadza w błąd czytelnika, zwłaszcza nie-rosjanina. Środowisko sektantów, odmalowane barwnie, miejscami techniką ikonową — dla czytelnika polskiego jest zbyt obce. Kmicicowa postać kresowego rewolucjonisty — Zapusa — nie jest ani typowa, ani artystycznie przekonująca. Myśl przewodnia autora — zwycięstwo młodych sił nad skostniałymi szczątkami zamierchłej przeszłości — przeprowadzona jest błodo.

W dalszym rozwoju swego talentu pisarskiego Iwanow wyzbył się zewnętrznego podejścia romantycznego do zagadnień rewolucji i pogłębił swe opowieści ostrą dialektyką dramatycznych przeciwieństw.

Borys Ławreniew, wyznający otwarcie romantyzm („Literatura zapełnia mi pustkę życiową, spowodowaną wygnaniem romantyzmu”. „Co do kierunków literackich, jestem romantykiem”), stara się w swych utwo-

rach uwypuklić tę właśnie dialektykę dramatycznych przeciwieństw rewolucji. Najlepiej udaje mu się to w pierwszej z trzech opowieści w tomie „czterdziesty pierwszy”. Centralną figurą jest tu z niezwykłą plastyką i świeżością odmalowany typ młodej rybaczkii z pod Astrachania, Marutki. Całą duszą oddana sprawie rewolucji, Marutka wstępuje, jako szeregowiec, do armii czerwonej, walczącej w Turkiestanie i słynie z celności strzałów. Z pasją bierze na muszkę zwłaszcza oficerów z armii białej — i notuje skrupulatnie każdego położonego trupem. Trofeów takich liczy już czterdzieści — gdy nagle przy czterdziestym pierwszym strzale spudłowała. Ocalonym oficerem jest wzięty przez czerwonych do niewoli arystokrata Goworucha-Otrok. „Porucznik ma bardzo błękitne żrenice, jagdyby w śnieżno-białej pianie pływały gałki francuskiej ultramaryny w najlepszym gatunku” (str. 24). Ten motyw „błękitu” — błękitnych oczu porucznika, błękitnej krwi jego, błękitnej wody morza Arabskiego — przenika bardzo subtelnie całą kompozycję opowieści. „Błękit” pokonał na chwilę czerwoną Joannę d’Arc. Konwojująca porucznika Marutka zostaje wyrzucona przez burzę wraz z jeńcem na bezludną wyspę na morzu Arabskiem. Tu, w szopie pełnej cuchnących suszonych ryb, pozostawionych na zimę przez rybaków, odgrywa się porywający świeżością i żywiołowością romans dwojga, stojących na wrogich biegunach klasowych. Marutka, której nie wystarcza poezja romantycznych przeżyć, pisuje naiwne wiersze rewolucyjne, a że nie chcą je nigdzie drukować — zwraca się do „uczonego” arystokraty o pomoc fachową. Rozmowy na temat wersyfikacji przełamują lody wrogości wzajemnej — i wkrótce Marutka poddaje się czarom subtelnej kultury arystokratycznego swego więźnia. Lecz siła instynktu klasowego tkwi w każdym z kochanków mocno. Gdy do wyspy przypływa łódź z oficerami — porucznik rzuca się na spotkanie swych zbawców, Marutka zaś chwytą karbin i kładzie go trupem. „W wodzie, na różowej nitce nerwu, kołysało się wybite z orbity, oko. Błękitna, jak morze, gałeczka tęczołki patrzała na nią z żalosnem zdumieniem” (str. 78).

Opowieść nasyciona jest atmosferą burzy romantycznej „Intrygi i miłości” Schillera. Nawet sympatycznie narysowany porucznik Goworucha-Otrok ma coś z Ferdynanda. W następnym „opowiadaniu o prostej rzeczy” intryga romantyczna (komisarz czerezwyczajki gubernialnej, przenikający w przebraniu cudzoziemca do sztabu białej gwardji), chociaż w pierwszej połowie „bierze” czytelnika — nie jest przeprowadzona konsekwentnie do końca i rozpląta się w mglistych dIALOGACH zakończenia. Załamanie się komunisty Orłowa nie jest dostatecznie umotywowane. Z wielką plastyką i obiektywizmem maluje autor typy oficerów armji kontrrewolucyjnej. Widać, to środowisko jest mu bardziej znane.

Trzecia „powieść nieprawdopodobna” — „Niebieski kaszkiet” — jest nieudaną próbą oddania fantastyki realności już po-rewolucyjnej w stylu groteski romantycznej E. T. A. Hoffmanna, lub Meyrincka. Błahość tematu, osnutego na wyświechtanym już motywie „detektywa” — słabo związany węzeł intrygi, który czytelnik rozplątuje sobie sam już połowie tej „powieści nieprawdopodobnej” — przemawiały raczej za tem, by nie włączać tego chybionego utworu do ciekawego i z wielkim talentem napisanego tomu „41”.

Przekłady Jana Barskiego naogół dobre. Razi czasem (zwłaszcza w „Zbiegłej Wyspie” Iwanowa i „41” Ławreniewa) trochę nieporadne oddanie gwary ludowej rosyjskiej. Ale są to trudności nie do przeczwyciężenia niemal.

Witold Wandurski

WIEŻA BABEL W TEATRZE POLSKIM

„Wieżę Babel” uważa Antoni Słonimski za najlepsze swe dzieło. Grupa literacka, którą reprezentuje, przypisywała wystawieniu tej sztuki w czołowym teatrze stolicy doniosłe znaczenie. Realizacji scenicznej poematu dokonał najlepszy dziś w Polsce reżyser, Leon Schiller, dekoracje robił Tadeusz Gronowski. Augurowie krytyki przyjęli „Wieżę Babel” przychylnie, niektórzy — entuzjastycznie. Lecz publiczność — nie dopisała. Po kilku przedstawieniach sztukę zdjęto z afisza.

Jest w tem niepowodzeniu jaskrawy symptom, znamienny dla dzisiejszego stanu teatru burżuazyjnego. Spróbujmy więc przeanalizować przedstawienie „Wieży Babel” z teatralnego punktu widzenia.

Legendę biblijną transponuje Słonimski do współczesności, nadając sztuce tezę pacyfistyczną. Pacyfizm jest tu traktowany jako *zaprzeczenie wszelkiej walki* wogóle. Dialektyce realnych przeciwieństw, wywołujących siłą rzeczy tarcia i stanowiących zarazem motor zmian twórczych w życiu społecznym — przeciwstawia Słonimski *statyczną*, absolutną ideę. Jej symbol sceniczny stanowi abstrakcyjna, do żadnego użytku praktycznego nie przeznaczona, wieża Babel, zbudowana według wykresów inż. Thompsona z żelaza dla utrwalenia, *dokonanego* już braterstwa ludów i klas społecznych. Akcja dramatu rozpoczyna się w chwili ukończenia budowl: pozostaje tylko rozświetlić wieżę i oddać do użytku zebranych delegatów.

Już samo odsunięcie poprzedzającej porozumienie ludów walki o ideę pokoju powszechnego za nawias dramatu — rozmyślne zresztą i celowe — czyni go w założeniu *statycznym*, unieruchamia go, pozbawia istotnego, zdolnego emocjonować widza, konfliktu, wokół którego mogłaby oscylować akcja. Bez konfliktu jednak niema dramatu: *jest tylko deklamacja*. Ponieważ przez $\frac{3}{4}$ aktu pierwszego nie się właściwie nie dzieje, — autor zmuszony jest stworzyć jakiś konflikt. Budowniczy Thompson, inicjator pomnika braterstwa ludów, postanawia nagle nie oddawać delegatom wieży i budować ją wzwyż dalej. Konflikt sztuczny, nieistotny, nieprzekonywujący. Kapryśnego inżyniera, którego misja kończy się właściwie z chwilą wręczenia planów i obliczeń konsorcjum budowlanemu — usuwa się poprostu w takich razach z budowl i cały konflikt wygasa. Autor jednak chce inaczej. Manfred jego, czy Solness uparł się — i rób co chcesz... Dość dziwnie przy tem zachowuje się pomocnik Thompsona, inżynier Jeffries: deklamuje w uniesieniu o cyrklu i grafionie, pada przed swym szefem w zachwycie na kolana — i jakoś go głowa nie boli o to, czy wytrzymają fundamenty wieży, jeśli ją podnieść o drugie tyle, czy nie pękną dolne wiązania, czy nie ugną się pod ciężarem obliczone na pewną tylko wysokość belki żelazne?... Jeszcze dziwniejszym musi się wydać trzęwemu widzowi grzeczny i łagodny opór delegatów na wiecu w akcji drugim — a już zupełnie niezrozumiałą staje się scena, kiedy po kilku tyradach rzeczownika kaprysu Thompsona, inż Jeffriesa — część robotników i delegaci, specjalnie przybyli na akt otwarcia wieży, stają po stronie Thompsona. Raczej zabójstwo krnąbrnego budowniczego przez przywódcę opozycji Mixta wydaje się bardziej umotywowane — lecz zabójstwu temu nadaje autor właśnie cechy przypadkowości i porachunków osobistych. Tak czy inaczej, z chwilą usunięcia Thompsona wyczerpuje się konflikt i wygasa dramat. Ale pozostało jeszcze półtora aktu — co robić? Legenda biblijna mówi o zburzeniu wieży. Więc autor sprowadza karę boską na zbuntowanych robotników w postaci trzęsienia ziemi. Ofiarą kataklizmu padają, oczywiście, tylko robotnicy. Cała śmietanka towarzyska wychodzi bez szwanku, — taka błahostka nie robi na nią żadnego wra-

zenia — i zakłada na gruzach wieży kino Babel. Po raz wtóry wyczerpuje się wątek akcji. Lecz autor każe nanowo Jeffriesowi zaprząć skołowaciałych robotników do realizacji kaprysu Thompsona — i to na tym samym, nawiedzonym przez trzęsienie ziemi terenie. Sztukę kończy uroczyste nabożeństwo deklamacyjne — urzędowy „molebien” — w którym udział biorą zawsze potulni robotnicy i bracia ich taneczni, założyciele kina Babel.

„Wieża Babel” zbudowana jest bez planu. Nic nie łączy poszczególnych części. Luki wypełnia deklamacja liryczna — na temat piękna reflektorów, elewatorów, motorów, semaforów, traktorów i dynamo. Nie rządzi tu konieczność ani tragiczny przypadek. Rządzi wyłącznie liryczny kaprys autora. Nie bacząc na obfitość „żelaznych” konstrukcji słownych — „Wieża Babel” chwieje się co chwila i zawisa w próżni na cienkim włosku romantycznego wiersza. Padła od trzęsienia ziemi. Ale wystarczyłoby również wprowadzenie szczypty humoru do aktu drugiego — czego jednak znany z dowcipu poeta przezornie uniknął — by od lekkiego podmuchu zdrowego sensu, cała ta pompatyczna budowla nie runęła w gruzy.

Sztuka Słonimskiego ma tezę *budującą*. Tematem jej jest budowanie, bohaterem — *budowniczy* — konstruktor. Dlatego zapewne w inscenizacji nadano jej oprawę, która miała pozory stylu konstrukttywistycznego.

Malowany konstrukttywizm Gronowskiego, obliczony na efekt optyczny widza, lecz nie na użytek aktora — usiłował miejscami naśladować rusztowanie sceniczne Meyerholda. Na fotografii, pozbawione kolorowości, dekoracje te robią istotnie wrażenie budowli. Najlepiej rozwiązany był Prolog. Ale już w akcie pierwszym wyłazło sztydło z worka. Konstrukttywizm bez zrozumienia jego podkładów społecznych i bez utylitarnej celowości — staje się bluffem. Dekoracje Gronowskiego pozostały tylko *dekoracjami* — to nie budowle, organizujące przestrzeń sceny i wzbogacające możliwości ruchu poszczególnych aktorów i mas. Słupy z windami w akcie pierwszym nie związane są niczem z całością. Otwory wind, wysoko umieszczone, niczemu nie służą. Widz w głowę zachodzi, patrząc na stołecznych w dziurze robotników — „Kajś ta wlażł?...” Dwuwymiarowa rura zielona, zgięta w kolano nad pudłem centralnem „ozdobiona” jest czterema strunami. Co to? Kable — czy... lira maszynowo-poetycka? Schody i skośne podja symetryczne w akcie drugim nie ułatwiły w niczem rozplanowania mas. Konstrukcja z mównicą — jedynie dobra rzecz w całej dekoracji — zasłonięta była dla czegoś przez pół aktu tarczą i zupełnie nie zużyta na wiecu (pomysł ulokowania na tej mównicy warjata, oświetlanego w ciągu kilku minut smugą reflektora podczas trzęsienia ziemi — był niecelowy, dekadenski). Akt trzeci, malarsko dobrze skomponowany, nie liczył się jednak z treścią sztuki. Mowa tu ciągle o tem, że dynamo nie działa i światła niema, nawet elektrotechnik coś majstruje przy dynamo na scenie — a reklama świetlna „Ciné Babel” płonie sobie przez cały czas na całego... Niezrozumienie istoty konstrukttywizmu w pracy Gronowskiego ma zresztą swój równoważnik w absolutnej nieznajomości struktury społecznej (a więc — i dramatu socjalnego) w sztuce Słonimskiego. Dlatego dekoracje naogół harmonizowały z treścią.

Reżyserja Schillera poszła naogół po linii autora — podkreślając jednak dość wyraźnie ukryte w sztuce tendencje uboczne. Jeffries miał maskę Mussoliniego i w afektowanych gestach naśladował dyktatora faszystowskiego. Agitator, przemawiający na wiecu — dość głupawo zresztą — z ramienia opozycji, potraktowany był przez reżysera jak łalusiuwaty smarkacz. Sceny zbiorowe robotników — w windach, na wiecu, na „molebnie” — utrzymane są wszędzie w statyce. Tłum stoi nieruchomo, sztywno, frontalnie, twarzą do publiczności — jak na paradzie wojskowej. W Prologu tylko nadano robotnikom nieco taylorzowanych gestów. Podkreślona estetyczność wzmocniona przez muzykę zdawała się potwierdzać tezę teoretyków włoskich: „praca nie jest tylko wysiłkiem fizycznym, ale czynem duchowym...” (o socjalnej stronie pracy się nie mówi). Staty-

czność zachowana była przez cały ciąg niemal przedstawienia, co niezmiernie nuzło. Dopiero podczas trzęsienia ziemi sceny zbiorowe nabrały nieco dynamiki — lecz i tu dynamiczność żywiołową rozbił reżyser na szereg szarpanych i zastygłych po malarstwu obrazów *ekspresjonistycznych*. W scenie trzęsienia ziemi bierność i bezradność „maluczkich” robotników grubo podkreślono. Po śmierci „pasterza” Thompsona zabłąkane stado „owieczek” traci głowę, miota się w rozpacz, błądzi z wyciągniętymi rękoma — „gdzie Thompson?” — i wreszcie idzie pokornie pod komendę męża dzielnego, wodza i dyktatora — Jeffriesa. Z trzęsienia ziemi zrobił Schiller samodzielną wstawkę. Było tu kilka momentów świetnych (pierwsze wstrząsy) — ale w całości brakło umiaru i sceny te trwały stanowczo za długo, nudziły. Kaiser, w zakończeniu I-go aktu „Gazu” daje zupełnie podobne sceny po wybuchu, trwają one jednak zaledwie kilka minut — i dlatego robią wrażenie. — Efekty bruitystyczne: ryki syren, gwizdki, tuby, radio..., tak obficie stosowane dla „uwspółcześnienia” akcji w akcie pierwszym — nie wpłynęły jednak ożywczo na leniwe tempo zastygłego w deklamacyjnej statyce dramatu. W inscenizacji i reżyserji Schillera „Wieża Babel” pozostała, jak była — sztuką martwą.

...Jest w każdym samochodzie t. zw. skrzynka biegów. Łączy się tu wał kardanowy, który przenosi napęd na tylne koła — z wałem korbowym motoru, przy pomocy systemu trybów, odpowiadającego różnej szybkości biegów. Biegi reguluje się za pomocą lewarka. Lewarek trzeba przesuwac szybko i zdecydowanie — tak, by zaczepił tylko jeden z trybów, inaczej połamie je się. Jeżeli lewarek postawić w tak zw. kulisie pośrodku, luzno — żaden z trybów nie zaczepia się, wał kardanowy zostaje wyłączony. Nazywa się to — bieg jałowy.

Mechanizm społeczny ma swoją skrzynkę biegów: to struktura klasowa społeczeństwa. Każdy kierownik teatru znać ją powinien. Kto nie potrafi postawić lewarka w ten sposób, by zająć się o jeden z trybów — nie ruszy z miejsca.

O jakie tryby zahacza „Wieża Babel”?

Ziemiaństwo? Nastawia swój lewarek na bieg wsteczny. Wielka burżuazja? Przechodzi na drugą szybkość — odsuwając szoferów, którzy załatwiają sprawy jej lirycznie i poetycko, ale bez skutku. Robotnik? Ten pragnie jaknajszybciej zasiąść przy kierownicy, przejść na trzecią szybkość i wjechać w przyszłość na całym gazie... Więc — inteligencja drobnomieszczańska? Zawsze niezdecydowana — zawsze z lewarkiem pośrodku kulisy — ani tu, ani tam...

...Bieg jałowy, proszę państwa!

ŁÓDZKI TEATR MIEJSKI

„PERSY ZWIERZONTKOWSKAJA” St. Ign. Witkiewicza powtórzyła raz jeszcze wszystkie wymęczone kombinacje „czystej formy w teatrze”, znane dobrze z „Tumora Mózgowicza”, „Pragmatystów”, „Nowego Wyzwolenia” i prawdopodobnie innych 43 niegranych jeszcze dramatów tego uporczywego „nowatora”. Ilość kombinacji używanych przez Witkiewicza da się obliczyć w formułce $x = C \frac{n}{m}$, gdzie $n = 3$, zaś $m = 5$, mniej więcej. W nowej sztuce jego mamy tę samą, wywodzącą się w prostej linii od maciwody Micińskiego „filosofję” metafizycznych niedosytów, podsmarzanych na margarynie „perwersji” krakowskich i zakopiańskich demonów i demonic, to samo panoptikum niby — egzotyczne, tych samych niby — tragicznych manekinów, wywijających się w rzeżym wysiłku z rzekomej indywidualności wokół własnego „hyper-pępka”... Zgóry wie się już w połowie pierwszego aktu, jakie „niespodzianki” gotuje autor w następnych. Ewentualne zmiany mogą się zdarzyć w tym sensie, że najpierw będą mordować i torturować się wzajemnie, a później zamordowani i torturowani, zmartwychpowstawszy z upo-

rem i natarczywością manjaków będą torturować widzów soliterowemi monologami o ponad-osobowym „continuum” — albo i odwrotnie. Dla czystej formy niema to wszak znaczenia: można pisać z tyłu naprzód albo z przodu wtył, wynik będzie ten sam. Z rozpaczą widz oglądać musi wszystkie egzotyczności i anachronizmy w pocie czoła zmyślane i za ogon wywleczone na scenę... Aż wreszcie robi się przykro i niesamowicie. Widz wyczuwa, że obecnością swoją popełnia nietakt wobec autora, który w bolesny i bezsilny sposób wygląda przed nim — niby to drażniąc „zdrowy sens” i potrzebę „wstrząsów behawioralnych” widza — de facto zaś znużając go śmiertelnie jałowością i impotencją swych „ekstrawagancji”. Bo jeżeli jest jakiś dramat w pozbawionych nerwu dramatycznego sztukach Witkiewicza, chaotycznie zlepionych z elementów tandetnych, nie zaszczepiających się wzajemnie i nie zahaczających o wrażliwość widza — to chyba tylko dramat osobisty autora. Nietragicznym tragizmem twórczości Witkiewicza jest ten przewlekły katzenjammer epigona dekadentyzmu mieszczańskiego: bolesna i niepotrzebna udręka improduktywna, dokonywającego z chorobliwą pasją samogwałticiela ustawicznych abortów na samym sobie.

W wywiadzie, udzielonym „Republice”, która *aż pięć razy* zabierała głos w sprawie „Persy Zwierzontkowskiej”, autor wyraża całkowite zadowolenie z realizacji swej sztuki na scenie Teatru Miejskiego w Łodzi. Istotnie, reżyser Szpakiewicz zastosował się inteligentnie do teorii gry Witkiewicza. Aktorzy recytowali role bez wyrazu, figuрынki stosowały standaryzowane geoty, dekorator Mackiewicz wymalował kulisy „formistycznie” (udany był konstrukcyjnie ujęty akt trzeci). Lecz zarazem stało się jasne: za całą tę rzekomo nową stylizację kryje się zwykły mocno zblazowany, pocziwy teatrzynek mieszczański, z „problemami” sypialni, „dziewictwa” i t. p. Aktorzy, nawykli do sztuk „salonowych” — jakoś bardzo łatwo, bez wysiłku, bez treningu — zastosowali się do „formistycznego” stylu: wystarczyło wszak tylko usztywnić nieco i tak już przedwcześnie dotknięte sklerozą ciała... Postacie sztuk Witkiewicza, treść ich wewnętrzna, granice ich światopoglądu — pozostały wszak identycznie te same, co u autorów patentowanego ZAD’u. Publiczność, dla której poci się Witkiewicz — też pozostała ta sama. Cóż więc nowego wnosi do teatru propagator „czystej formy”?

„Nowością” w teatrze Witkiewicza jest tylko ostateczny rozkład luzem puszczonej i wypranej z istotnych konfliktów dramaturgii mieszczańskiej. „Nowością” jest otwarte samozaprzeczenie teatru burżuazyjnego, zapowiedziane przez „nowatora” w ostatnim jego wywiadzie. — Ale dlatego właśnie dyrekcje teatrów oraz publiczność stawiają sztukom Witkiewicza zrozumiałe opór.

Witold Wandurski

M I M O C H O D E M

W POŚWIĘCONYM SŁOWACKIEMU numerze „Wiadomości Literackich” znalazło się kilka inteligentnych sformułowań, określających znaczenie kulturalne uroczystości (O znaczeniu politycznym, o zakulisowych przyczynach sprowadzenia zwłok Słowackiego do Polski i bliskim związku z koronacją cudownego obrazu w Ostrej Bramie — pisały w swoim czasie gazety endeckie). P. Stefan Kofackowski pisze o barokowym charakterze twórczości Słowackiego i wpływach działających w tym kierunku: „Słowacki, czerpiąc z Szekspira, tworzył we własnym duchu, czerpiąc zaś znacznie mniej z pisarzy baroku — tworzył organicznie, typowo, w duchu baroku”. „Wpłynęły na to: „Malarstwo barokowe włoskie i — Pasek, kiełkowanie życia religijnego i — reminiscencje szlacheckie”. Naturalnie owe skromnie przez autora zaznaczone „reminiscencje” odegrały tu rolę najistotniejszą i właściwie ogarniają i Paskę i „życie religijne”. Jeżeli idzie o powiązanie kwestii baroku Słowackiego z naszymi czasami, to zdaje się tu

zbliżać do sedna sprawy p. K. W. Zawodziński, pisząc: „w czasach niewątpliwego baroku w obrazowaniu poetyckiem, w czasach zrozumienia baroku jako potężnego samodzielnego prądu... w czasach wreszcie, gdy „*barok polski*” stał się *stylem urzędowym budownictwa polskiego (a może i biurokracji polskiej)*”. Słowacki... może zostać należycie zrozumiany i oceniony przez analogję, jeżeli nie do naszej poezji XVII w., to przez analogję do sztuki plastycznych Hiszpanji i Włoch tegoż wieku” (podkreślenia nasze). Obaj wymienieni krytycy są, jak się zdaje entuzjastami baroku, chociaż niepotrzebnie unikają wspomniania polskich przedstawicieli baroku takich jak Sarbiewski, Miaskowski, Twardowski, Kochowski i tylu innych. Owa niekonsekwencja tłumaczy się tem, że barok polski XVII w. ma wogóle złą opinię i uważany jest za okres upadku. Ale bardzo pouczające byłoby zestawienie niektórych najbardziej „własnych” motywów twórczości Słowackiego z poezją tamtych czasów—choćby apologję Samuela Zborowskiego z inną apologją samowoli magnackiej u Wespazjana Kochowskiego — w osobie buntownika i banity Jerzego Lubomirskiego (Poemat pod tyt. „Kamień świadectwa Wielkiego w Koronie Polskiej Senatora Niewinności”. To są zresztą szczegóły. P. Zawodziński słusznie zaznacza dzisiejszą niespodziewaną pozornie „oficjalność” poezji Słowackiego — i wiąże z dzisiejszym stylem biurokracji polskiej i stylem jej budownictwa (choćby dworce kolejowe budowane na wzór dworców starszylacheckich). SŁOWACKI JAKO ODRODZICIEL BAROKU w literaturze polskiej niezawodnie uwypukli się jeszcze z biegiem czasu.

Niezawodnie też Słowacki jako umysłowość bliżej niż się wydaje, spokrewniony jest z typem intelektualisty polskiego z czasów baroku. Draper w „Dziejach rozwoju umysłowego Europy” raz jeden zdaje się wspomina o Polakach mówiąc o *polskich pedantach*. Jeżeli wyjdziemy poza utarte życiowe rozumienie tego słowa, to pedanta określić można jako typ intelektualisty, skrupulatnie spełniającego wszystkie formalne przedewszystkiem dezyderaty twórczości umysłowej, w sensie naśladownictwa, bez istotnych możliwości, popchnięcia sprawy naprzód. Zachodni uczony tak właśnie musi traktować polskiego umysłowca, który de facto zawsze tylko dotychczas uczy się i „dogania”, to co gdzieindziej zrobiono. Słowacki stoi bliżej tego typu, nieporównanie bliżej niż Mickiewicz, którego w tymże numerze „Wiad. Lit.” p. Nowaczyński chrzci „Litwinem” i „Białorusinem”.

U Słowackiego ogólne cechy typu podniesione zostały do potęgi genialności. Jego wieczna, nieukończona żądza naśladownictwa, żądza przymierzania się do kogoś, wieczne podporządkowywanie się jakimś „mistrzom” (przypomina się inny pisarz, który również w plejadzie odnowicieli baroku winien zająć pierwszorzędne miejsce — Stanisław Brzozowski), wieczny głód gotowych form, nigdy nie zaspokojony — to są przejawy typowe. Wiąże się z tem potworna konsumpcja intelektualna, otaczanie się masą książek, odcinanie się od życia murem książek — przejmowanie z nich napółgotowej treści, którą się ozdabia, ozdabia, ozdabia w nieskończoność. Bo przecież niema nic innego do roboty jak zdobić, zdobić, zdobić. Proszę wziąć pod uwagę obfitość czysto zewnętrznej ozdoby u Słowackiego. Nadmiar biżuteryjności: z brylantów, szafirów, szmaragdów, opali, pereł opustoszożona zda się wszystkie sklepy jubilerskie świata, z kwiatów — wszystkie kwietniki i cieplarnie, z gestów, kit pióropuszy — wszystkie rekwizytornie i wszystkie sale prób teatralnych. Na tem podłożu mógł powstać ów ślepy nieograniczony rozpęd frazesu poetyckiego, nieuregulowany niczem, co dziwnie łączyło się z przerostem formalizmu poetyckiego i cieplarnianym charakterem ekspresji, — właściwości odziedziczone przez całą prawie nowszą poezję polską.

Barok jest dziś oficjalnym stylem polskiej literatury; wiąże się to z ogólnymi tendencjami zarówno rządu jak i „społeczeństwa”. Apologeci baroku nie przypominają jednak, że kończył się on niegdyś czasami saskimi. Dzisiejszy barok polski ma jeszcze może swoich Kochowskich, Andrzejów Morsztynów, Maksymiljanów Fredrów, ale proces rozwija się niezmiernie szybko. Robi swoje i inny Morsztyn — cichym ale stanowczym

krokiem wchodzi na arenę literatury czysta *królowna Banialuka* i coraz głośniejsze, coraz namiętniej grzmi ksiądz *Józef Baka* — i do jego naśladowców należy, zdaje się, przyszłość nowoczesnego polskiego baroku.

To warto przypomnieć z okazji pogrzebu w „grobach królewskich” (jak przystało na iście republikańskie państwo) — genialnego odrodziciela baroku w Polsce.

JESZCZE O WIEKU SIEDEMNASTYM. Wychodzący w Warszawie dziennik „ABC” w nr. 182 pod nagłówkiem: „Kalecy rzucają kule, ślepi odzyskują wzrok” podaje co następuje::

„Całe Wilno, z jego tysiącami, przybyłych na uroczystości koronacji obrazu Matki Boskiej w Ostrej Bramie, żyje pod wrażeniem dwóch niezwykle wypadków. Gdy podczas momentu koronacji Cudownego Obrazu spadł deszcz i zagrmiały pioruny, nagle ktoś w tłumie stojącym przed katedrą na Placu Zamkowym, zawołał:

— O, Matko Boska!...

Rzucił kule, któremi podpierał się i padł na kolana ze słowami gorącej modlitwy na ustach. W tłumie narazie powstała konsternacja, a tymczasem mężczyzna, który rzucał kule, mówił:

— Od wielu lat byłem kaleką, przyjechałem do Wilna, aby wyprosić od Panny Marji zdrowie... I otom zdrow!...

Okazało się, że jest to pielgrzym z Litwy, Michał Żemajtis, któremu cud przywrócił władzę w nogach. W tym samym czasie, cokolwiek dalej, inny pielgrzym Józef Pasiewicz nagle odzyskał wzrok. Z radością zaczął opowiadać, że rozoznaje dobrze przedmioty i, że chociaż jest jeszcze osłabiony, to dziękuje Matce Bożej, za łaskę nad nim. Dwa te wypadki wywarły nieprzemijające wrażenie na rozmodlonych wiernych, zainteresowały całe duchowieństwo, oraz świat lekarski”.

BÓL SERCA przenika ostatni utwór Marji Rodziewiczówny, która niedawno w gronie dostojników Rzeczypospolitej obchodziła uroczyste 45-lecie swej pracy literackiej. „Entuzjastka, patriotka, wiecznie zajęta tajemnym nauczaniem, opieką nad kościołami” — słowem, „opiekunka wszystkich cierpiących za wiarę i ojczyznę” — wyszarpnęła z trzewi i w pysk rzuciła niewdzięcznym rodakom ociekającą posoką, żółcią i śliną starczą swą pieśń łabędzią: „*Nieodobitowski z granicznego bastjonu*” (Lwów — Poznań, 1926). Boże! ile niedoli, ile krzywd musiały zaznać od rządów Niepodległej biedne żubry kresowe, odżywiające się na 1547 dziesięcinach wyłącznie karczochami i barszczem! Poprostu — „bieleje włos!”... Bo, proszę państwa — „przed wojną były tu trzy narodowości: my (= szlachta kresowa), chłop Rusin i urzędnik Rosjanin. Zналиśmy się wszyscy z sobą... (str. 73). „Germaćna nie było co się bać. Srogie ale porządne ludzie byli” (str. 11). Ale — „wybuchła” Polska... „Administracja rządowa, o ile stanowczo odmówiła pomocy przy odbudowie obszarńnika, o tyle skwapliwie okazała swą troskliwość co do ściągania podatków.” (str. 19) „...cały dochód zabrały podatki” (str. 21 i in.). „Wszyscy przyszli i trwają względem nas z nienawiścią o jakiej dotychczas pojęcia nie mieliśmy” (str. 73). — Nauczyciel z miasteczka (pobory — 150 zł. mies.), kierownik poczty (200 zł.), sekretarz z gminy (120 zł.) — oto, proszę państwa „ślad naszych podatków, nieprawdaż? Poubieraliśmy ich wedle ostatniej mody” (str. 14). Administracja polska na kresach dzień i noc tylko przemysła nad tem, czemuby tu jeszcze uszczęśliwić — na złość... obszarńnikom — „chłopów w łachmanach bolszewickich (!)”, „dzicz apaszów czy goryłów”. To „chamstwo, hołodrańce” otrzymuje (jednak) „całe wagony odzieży amerykańskiej... po trzy garnitury na każdego członka rodziny” (str. 108). Na utra-

pienie wszystkich Niedobitowskich czy Niezabytowych — pan komendant policji Pączek i starosta Fagot jaknajtroskliwszą opieką otaczają ludność białoruską, na pohybel „garstki pozostałych Polaków” (str. 95 — 117). Słowem Kresy nasze — to raj dla chłopów i piekło dla obszarników.

Tyle — poezji. To samo przetłumaczone na język prozy, wygląda nieco inaczej. Właśnie w czasie, kiedy „Niedobitowski” ukazał się na półkach księgarskich, w Grodnie odbywał się proces innego Niedobitowskiego, ordynata Bispinga, oskarżonego o podpalenie 4 chat, 30 stodół, 90 chlewów i zabójstwo dwóch ludzi. „Republika” z dnia 19-go października 1926 r. podaje:

„Dziś zrana rozprawa rozpoczęła się o godz. 9.30. Pierwszy zeznawał Marcin Ryszko. Opowiadał on, że gdy usłyszał strzały, wybiegł na ulicę, aby zobaczyć co się dzieje. Fornale Bispinga strzelali z karabinów ręcznych. Na drodze ustawiony był kulomiot. Świadek widział jak Bisping podpalał chatę Prokopowicza i jak bił Prokopowicza. Podpaliwszy chatę, Bisping nie chciał wypuścić żony Prokopowicza z chaty. Lecz gdy ogień objął strzechę chałupy, otworzył drzwi i zawołał: „Uciekaj”.

Następny świadek, Uljana Borejsza, właścicielka spalonej przez Bispinga chaty opisuje sam fakt podpalenia..

„Całowałam pana Bispinga po rękach i za kolana go objęłam, aby nie palił. Nic to nie pomogło — mówi świadek wśród płaczu. — W tydzień potem umarł mój mąż, a w dwa miesiące, dwoje moich dzieci i tak zostałam sama na świecie”.

Następnie zeznaje świadek Rajnes, również właściciel chaty spalonej przez Bispinga.

Po kilkugodzinnej naradzie, późnym wieczorem sąd wydał wyrok uniewinniający ordynata Bispinga.

Oczywista, że Bisping walczył z „bolszewikami”. Tego rodzaju walki z chłopstwem białoruskim często prowadzą bohaterowie Rodzewiczówny. Niedobitowski i przyjaciel jego Olesza zachowują się w stosunku do ludności wiejskiej jak traperzy amerykańscy w powieściach Coopera względem czerwonoskórych. Każdy majątek — to „bastjon pograniczny”. Na str. 17 — 18 mamy opis takich walk z chłopstwem — z „bolszewikami”. Olesza kończy opowiadanie:

„Trzy trupy przezornie zaraz w nocy wrzuciliśmy do Stybeki, z kamieniem u szyi i nie dawaliśmy znaku życia. Ale chłopci donieśli policji, że „pany” w nocy strzelali. Szczęściem, że Kornio przewąchał donos i mnie uprzedził. Gdy się policja zjawiła, jużśmy byli zgrani. Zaczęło się dochodzenie, śledztwo, protokół. Wszystkie kobiety zeznały, że siedziały w piwnicy i modliły się. Juchim, że spał przy krowach, a rano powiedziano mu, że bolszewików pobito kamieniami... A strzelali bolszewicy. Pisanina i grad krzyżowych pytań trwały dobrych kilka godzin. Wreszcie spytałem komendanta, czy właściwie popełniliśmy coś karygodnego... na co mi odpowiedział, że włościanie narzekają, że we dworze jest broń, kiedy im broni posiadać nie wolno...”.

A gdy w kilka dni później wzywają Oleszę do policji w sprawie podstrzelonego przezeń chłopca —

„Spudłowałem — rzekł — mierzyłem w nogę — trzeba było wyżej — i wrzucić w przerebel. Teraz chłop drwi w żywe oczy! Na drugi raz się poprawię”. (str. 23).

Czy nie zawile powiedziała naiwna obrończyni „polskości” na kresach wschodnich?

Radzimy koniecznie wszystkim przeciwnikom tendencji klasowych w literaturze przestudjować uważnie dzieło czcigodnej jubilatki.

MILLER NAD MILLERAMI. Wśród literatów o mniej więcej zarysowanej fizjonomji drobnomieszczańskiej, coraz rojniej od takich, którzy zlekka, delikatnie, półgłostośno orjentują się na proletarjat. Samo przez się zjawisko raczej pocieszające — symptom, bądź co bądź, znak czasu. Dotychczas literat tego typu bywał tylko „ludowy”, teraz chce już być „ludowo-proletariacki”, „robotniczo-włościański”. Ano, niechby sobie był taki, i niechby sobie gawędził o tem przy pół czarnej, lub w artykułkach. Co giętszy, co bardziej przystosowany do warunków wysuwa się jednak na widownię — patrzeć, a już

głośno występuje w roli szlachetnego protektora proletariatu w literaturze. „Duszę ludu” zna świetnie — doskonale wie czym ten „lud” chwycić za serce. Stopki Chrystusowe w artykule ucałuje, księdza proboszcza w stulę zamaszyscie buchnie, ale przy okazji to i przed portretem Marksa się pokłoni — „ideę”, panie święty, szanuje — ba, na szlachci-
ca, burżuja krzywym okiem popatrzy, choć ta i na socjalistów psoczy, że nie daj Boże! Ho, ho, bo też to człowiek niezależny, co się zowie — całą gębą niezależny! Panu Bogu świeczkę zawsze postawi, ale ogarek dla diabła też znajdzie.

„Dźwignia” się naszemu literacie proletariackiemu podobać nie może, bo i jakże? Zaściankowe to, ciasne, proletariackie tylko wrzekomo. Lenin wyglansował im gotowe formuły myślenia. Co tu gadać! Żydy, żydy koszerne, stręcić się bali, okna na szeroki świat otworzyć, Millera wpuścić. Kulturę najezdniczą będą na łysinie życia polskiego szcze-
pili! Zgroza!

Mówmy poważnie. Kto to z tak wysokiego tonu w („nieurzędowym”) „Głosie Prawdy” zabiera głos o „kulturze”. Pan Miller pisywał i wydawał w swoim czasie wiersze liryczne, co do których opinia jest jak się zdaje ustalona i powszechna. Zasługi jego nie są w każdym razie ani na jotę większe, niż zasługi np. p. Radosława Krajewskiego lub p. Edwarda Kozikowskiego i tylu innych, którzy jednak nie przejawiają tak wielkiego tupetu. Bo też p. Miller został publicystą, krytykiem, ideologiem. Jak wiadomo u nas o to bardzo łatwo. Byłe tylko był szeroki, deklamatorski frazes, pewna ilość obcych i ciężkich do strawienia słów, no i dostateczny polot „patriotyczny” — „myśliciel” gotów. Im mniej zdaje się sam rozumieć z tego co pisze, tem otchłanniej musi być jego umysł. Nasz krytyk wydobyl się na światło dzienne niedorzeczniutką w typowo kurniczowym stylu utrzymaną polemiką o „Panu Tadeuszu”, zdobywając tą drogą ostrogi eksperta od zaściankowości. Wyciągnawszy zaś z tłumaczenia listów Rodczenki kilka niezupełnie po-
prawnych wyrażen (niektóre pущzone zostały zresztą umyślnie) pan ten napada gwał-
townie na język „Dźwigni”.

I znowuż, kto to robi? Aby nas nie posądzono o specjalne szperanie w utworach p. Millera celem wyszukiwania niedorzeczności dajemy parę przykładów jego zwykłego języka, podanych przez katolickiego p. Przybosa w Nr. 11 „Zwrotnicy”: Posłuchajmy, natężając wyobraźnię w celu zrozumienia tych głębi:

„Uragliwy śmiech Lucyfera, aprobującego bohaterski wysiłek pełnego i tragicznie rozszczepionego w walce z losem człowieka, albo kamienne oblicze wieczności niepoję-
tego Boga, do którego zbliżyć się można przez komną niewiedzę, kastrację wewnętrzną i prostotę duchową, oto dwa bieguny myśli i czucia Kasprowicz, dwa niezatarte piętna ciężającej na nim i określającej go całkowicie tradycji romantycznej”. Uragliwy śmiech Lucyfera nie tylko „aprobuje” ale jest zarazem i „biegunem” i „piętnem”, „rozszczepione” jest „pełnem” i t. d. Drugi przykład: „Pokrywające się cząstkami wzajem kręgi bytów poszczególnych tworzą wspólną płaszczyznę wrębu i wyrebu, która będzie podłożem wzajemnego przenikania, dociągania i przerastania się bytów, zagarniających rozkrętem od-
środkowych promieni, wodzących coraz większą płaszczyznę wspólnoty” Pan Przybós woła o uragliwy śmiech czytelnika, ale doprawdy trudno nawet śmiać się z tego magro-
madzenia oczyszczonych z wszelkiego sensu wyrażen.

Przypomina się znany wierszyk krótki, ale zaiste pełen, — jeśli nie tak głębokiej i tragicznej jak proza krytyczna p. Millera, — to równie groźnej i niepojętej treści:

Stał. Jedną ręką trzymał się sztachety,
A drugą krzyczał: niestety!

I oto człowiek piszący w ten sposób, terroryzujący nieszczęsnego polskiego czytelnika, takim mizernym, idealnie pustym, idealnie bezmyślnym, „metafizycznym” żargonem, którego utwory, np. przemówienie na akademii reymontowskiej (drukowane w „Wiadomościach Literackich”, 1 nr. 1926 r.) będą prawdopodobnie cytowane w historjach literatury jako jeden z najniższych stopni upadku słowa pisanego, podobnie jak utwory Baki, Ka-
jetana Jaksy Marcinkowskiego i in. — oto, powtarzamy, krytyk taki ma tupet pisać o języku „Dźwigni”. Warto by zachowywać granice jeżeli nie przyzwoitości to śmieszności.

Będzie to jak się zdaje bardzo trudne—choćby ze względu na potworną zaro-
zumiałość naszego uroczego europejczyka. Aby snadniej pognać krytyków „Dźwigni” zestawia ich... z p. Grzymałą-Siedleckim. Jeżeli to miała być szczególna uszczypliwość, to nasz krytyk trafił kulą w płot. P. Grzymała-Siedlecki z pewnością bliższy jest p. Millerowi niż nam, ale słuszność każe przyznać, że pomimo popełniania złych fars, jest to niewątpliwie pisarz, to znaczy człowiek umiejący ułożyć kilkanaście zdań i wy-
pisać je porządnie, logicznie i jasno — sztuka, o której deklamatorzy w rodzaju p. Millera pojęcia nie mają. Zestawienie z p. G. Siedleckim nie jest więc taką obelgą, — już byłoby gorzej gdyby p. G. Siedlecki zestawiał kogoś z piszących do „Dźwigni” z p. J. N. Millerem.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

J. Str. Lwów. „Pieśń o motorowym” ma pewne zalety: sporo świeżości i energii, ale też dużo nieopracowanego, nieprzerobionego surowca. Obrazowanie często przypadkowe i niedbałe. Trudno zresztą wyrobić sobie zdanie z jednego wiersza, jeżeli inne — przyslijcie. Pracować warto.

A. Zbar. Wasza polemika wisi w powietrzu — Sorel jest bardzo niepewny interpretatorem marksizmu, a cytata przytoczona przez Was świadczy o tem najwyraźniej, swą bałamutną treścią.

J. Kan. „Na marginesie powojennej literatury polskiej” zawiera sporo myśli interesujących i słusznych, ale sformułowanych w sposób niezmiernie ogólnikowy. Poddajcie swe poglądy próbie konkretyzacji — odpadną wtedy rzeczy nieistotne, oraz... wystrzegajcie się Sorela i Brzozowskiego.

St. Pisk. „Płonące Kamienie” do „Dźwigni” nie nadają się. Naszym zdaniem wogóle nie nadają się do druku.

M. Os. Wydrukujemy w jednym z następnych numerów.

Ter. Pewne możliwości są przy niedbalstwie opracowania formalnego. Starajcie się pisać, możliwie suchym, oszczędnym, prostym językiem. Modny dzisiaj barok przy pozorach zubożenia języka, zubaża i paraliżuje myśl.

Fel. M. Nie obiecujemy.

PISEMNYCH ODPOWIEDZI REDAKCJA ZASADNICZO NIE UDZIELA.

K S I A Ż K I N A D E S Ł A N E

Poezje — W. Majakowski — Warszawa 1927 „Książka”.

I nuovi poeti futuristi — F. T. Marinetti — Rzym.

W. Czachórski — H. Piątkowski. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff.

Formiści polscy — K. Winkler. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff.

I. Mierzejewski — Sz. Rutkowski, Warszawa 1927. Gebethner i Wolff.

Fronta. Almanach międzynarodowy. 1927. Brno.

P I S M A N A D E S Ł A N E

Anthologie (Liege)

America Libre (Cuba)

L'arts (Bruxelles)

Beneficencia Accion (Mexico)

Biulleten (Gosisdat — Moskwa)

Budowniczy (Lwów)

Cronica Bancaria (Buenos Aires)

C-a (Moskwa)

Construire (Bruxelles)

Documentum (Budapeszt)

Das neue Russland (Berlin)

Der Sturm (Berlin)

El Peludo (Buenos Aires)

Horizont (Brno)

Index (Rzym)

Informacjonnyj Biulleten (Moskwa)

Integral (Bukarest)

Kultura (Lwów)

Kuźnia (Warszawa)

Kwadryga (Warszawa)

Krasnaja Now' (Moskwa)

L'Italiano (Bologna)

Le Futurisme (Rzym)

Stroitielstwo Moskwy (Moskwa)

The Next Call (Hollandja)

Myśl (Warszawa)

Martin Fierro (Buenos Aires)

Noi (Rzym)

Nowyj Lef (Moskwa)

Przegląd Wileński (Wilno)

Pro Paria (Meksyk)

Pobudka (Warszawa)

Polska Wolność (Warszawa)

Przegląd Bibliograficzny (Warszawa)

Pacjent Kasy Chorych (Warszawa)

Pareceres (San Salvador)

Wiadomości Polsko-Słowackie (Cie-

szyn)

Walka (Kraków)

Wiedza i życie

Zwrotnica

**D
Ź
W
I
G
N
I
A**

Nr 5

**WARSZAWA
LISTOPAD
1 9 2 7**



W NAJBLIŻSZYCH MIE-
SIĄCACH UKAŻE SIĘ MO-
NOGRAFJA OMAWIAJĄ-
CA SZCZEGÓŁOWO
TWÓRCZCŚĆ M. SZCZUKI



M Szeźniak

17 X. 1898 – 13/VIII. 1927 r.

<http://rcin.org.pl>

MIECZYSŁAW SZCZUKA

Fakt śmierci zawsze narzuca poczucie pewnej bezsilności i bezradności. Zostawia je nawet wtedy, gdy przecina w sposób mniej więcej naturalny czynność życiową człowieka, który wielką część siebie już zrealizował, który kończy już i dopełnia to, czego niegdyś dokonał. To uczucie bezsilności i bezradności musi być nieskończenie większe, gdy śmierć zachodzi w takich okolicznościach, jak śmierć Mieczysława Szczuki, gdy śmierć krzyżuje i przecina w znacznej mierze niezrealizowane wysiłki, niedokonaną działalność, gdy odcina od wielkich motorów napędowych życia, ogrom wielkich zadań, ciężar olbrzymiej przygotowawczej pracy, której nikt inny w ten sposób prowadzić nie będzie mógł i nie może.

Działalność Szczuki wiąże się ściśle z pewnym zasadniczym przełomem, który zaszedł w rozumieniu sztuki, celów jej i zadań w ostatnich czasach. Szczuka był na polskim gruncie zupełnie samodzielnym inicjatorem tego przełomu, dziś jeszcze niedokonanego całkowicie — bowiem drzemia jeszcze siły, które mogą go dopełnić i wprowadzić w życie. Wtedy, gdy staną się jasne i widoczne rezultaty pracy zmarłego, będzie można szerzej i więcej mówić o tem, co zostało przezeń dokonane. Wtedy też może jego idee zasadnicze będą bardziej spopularyzowane, zrozumiałe i rozpowszechnione szerzej. Jedno jest nie do zastąpienia — energia inicjatorska, szerokość planu i właściwa mu odwaga w jego wypełnianiu. Tutaj można tylko pokrótce i zgrubsza skreślić ewolucje zmarłego, i zasadnicze dążenia, które nim powodowały w jego tak krótkiej, a tak intensywnej działalności.



Szczuka wzrastał w atmosferze wojny, która ciążyła nad rozwojem całego pokolenia. Do Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych wstąpił w 1915 r. Z gwałtownością i pasją, które cechowały go przez całe życie we wszystkim co robił, rozpoczął opanowywanie techniki malarstwa naturalistycznego. Ceną wytężającej pracy i drobiazgowych studjów doprowadza swoje rysunki naturalistyczne do szczytu wyrazistości, (kapitałne studja owadów, liści, głowy, aktu) cechuje go przytem kolosalna szybkość pracy. Niektórzy z profesorów widzą w nim przyszłego „Matejkę”. Wychowany w nastrojach mistycznych, zagrożony ciężką chorobą płuc przez znaczną część swego życia, maluje dużo na tematy religijne — miał przeszło 100 kompozycji i rysunków z Chrystusem. Stopniowo zresztą wraz z rozwojem w Szczuce myśli społecznej, traktowanie tematów tych ulega ewolucji — nabierają one odcienia satyry. Chrystus jawia się w polskiej współczesności — z polską, a nie rzymską policją ma do czynienia — staje

przed polskim sądem polowym. Stopniowo w miarę jak wygasają nastroje mistyczne, traktowanie tych spraw ulega dalszej zmianie — Szczuka robił świetne projekty karykatury antyreligijnej.

W dalszem posuwaniu się na drodze malarstwa naturalistycznego Szczuka natrafia na zdecydowany wewnętrzny opór.

Właściwość charakterystyczną ostatniego stulecia w dziedzinie sztuki stanowi jego "zmysł historyczny" nie spotykany w tym stopniu w żadnej epoce*). Dotychczasowy rozwój sztuki daje masę gotowych form,—naturalizm posunął do maksimum umiejętność oddawania i streszczania „rzeczywistości”. Sama ta łatwość, z jaką mógł opanować technikę naturalistyczną i pokrewne, spowodowała, iż Szczuka zrozumiał, że na tem polu nic naprawdę istotnego i żywego niema do zrobienia — że pozostaje tu tylko wzrastająca ciągle jałowość i rutyna. Rozpoczyna więc eksperymenty nad formą. W skróconem tempie, zupełnie samodzielnie przebywa tę drogę, którą przechodzili przodujący artyści zagraniczni od ekspresjonistów, kubistów, dadaistów do suprematystów. Nikt w Polsce przed Szczuką nie miał równie nowoczesnego podejścia i nie analizował tak głęboko zagadnień samej faktury malarstwa, (zagadnienie barw, chropowatości płaszczyzny obrazu, sposobu użycia pędzla i t. d.).

Działalność ta zjednała Szczuce nielicznych zwolenników i naśladowców wśród młodzieży artystycznej, ale również i wielu wrogów. Zarzucono Szczuce naśladowanie kierunków, powstałych gdzieindziej i t. p. Zarzuty te dziwnie zresztą brzmiące w kraju, którego cała sztuka opierała się do pewnego stopnia na naśladowaniu obcych wzorów — w tym właśnie wypadku, w stosunku do Szczuki najmniej miały faktycznych podstaw. Szczuka nigdy zagranicą nie był — wzrastał i rozwijał się w okresie wojny, w okresie izolacji od nowych prądów zarówno na zachodzie jak i na wschodzie. Linja jego wytknięta była już w ostatnim okresie pobytu w Szkole Sztuk Pięknych.

Wytknięta została przez tę samą żelazną konieczność, która zmuszała do jaskrawego przewartościowywania i przenicowywania tradycyjnych podstaw sztuki—wszystkich usiłujących serjo pracować i myśleć artystów europejskich. Ferment w sztuce sięgający tak głęboko jak nigdy dotychczas—powstał pod skombinowaniem działaniem całego szeregu czynników zarówno specjalnych, wchodzących w dziedzinę techniki artystycznej jak i — w stopniu decydującym — społecznych. Ferment ten z jednakową siłą

*) Musimy tu skierować czytelnika do artykułu p. t. „Sztuka a rzeczywistość” w Nr. 4 „Dziwni”. Artykuł ten jest częściowo rekapitulacją poglądów M. Szczuki na te kwestje.

wystąpił we wszystkich działach sztuki — zarówno w sztukach plastycznych, jak w literaturze, czy muzyce.

Równolegle z przewartościowaniem formalnym — właściwie nawet jako jeden z warunków tego przewartościowania — występuje znaczne zredukowanie zadań, rozrzedzenie intensywności potrzeb, które sztuka zaspokajała. Pozostaje to w związku z rozwojem techniki nowoczesnej — wysuwa się tu cały szereg czynników, których znaczenie jest poprostu nieobliczalne i nie zostało jeszcze w zupełności ujęte. Gazeta uderza w literaturę, reprodukcja fotograficzna — w malarstwo, kino w jedno i w drugie. Następuje szybka zmiana ról, dziś jeszcze niezakończona. Zanik pewnych czynności powoduje stopniowe uszczątkowanie, obumieranie organów które służyły do ich wypełnienia.

Dlatego też żadna z dotychczasowych „rewolucji” w dziedzinie sztuki nie była tak radykalna, tak gwałtowna i tak przewrotowa. Każda z nich wyciągała na jaw zagadnienia formy, poddawała je analizie i przewartościowaniu, ale żadna nie traktowała ich w ten sposób. Nowoczesne kierunki artystyczne jak kubizm, dadaizm, suprematyzm wyrzuciły na pierwszy plan zagadnienia wewnętrzno-pracowniane, laboratoryjne. Artyści (zarówno plastycy jak i literaci) traktowali to jako czynnik dopingujący publiczność i zwiększający ekspresję dzieła. Częstowanie publiczności zagadnieniami formalnymi (w niebardzo czystej zresztą postaci), zrobiło się w końcu bardzo modne. Dla wielu artystów, którzy nie mogli pójść dalej — pozostało to do dziś dnia szczytem nowatorstwa w sztuce.

Jest w tem coś z bankructwa, coś z likwidacji: jakgdyby fabryka przetwórcza wysyłała na rynek nie tylko swój wytwór, ale zarazem surowce, części maszyn i urządzenia z własnych biur. Bo też to było bankructwo, albo przynajmniej jego gorączkowe zapoczątkowanie — później ta likwidacja przeszła w fazę łagodniejszą, ale może skuteczniejszą.

Eksperymentalna działalność Szczuki nie była więc ani przypadkiem, ani naśladownictwem, jak to zarzucały przeróżne miernoty niezdolne do niczego innego, jak do naśladowania cudzych pomysłów. Szczuka właśnie tutaj wychodził z oceny całokształtu sytuacji w sztuce — i wysnuwał poprostu konsekwencje. Z tej prostej, krytycznej analizy, metody celów, stanu sztuki w danym okresie — oraz z uwzględnienia jej roli społecznej wynika reformatorska działalność zmarłego, która go zmusiła do wyjścia poza granice zakreślone obowiązującym rozumieniem artyzmu. W głębości tej analizy, w radykalizmie powziętych założeń Szczuka poszedł pod niejednym względem dalej, niż odpowiadający mu artyści zagraniczni.

Artyści zachodnio-europejscy wychodzili ze sztuki starej, o dużej tradycji samoistnego rozwoju i dużych tradycjach technicznych. W sztuce polskiej nie było ani jednego, ani drugiego. Artysta polski przyzwyczajony był do brania tych rzeczy intuicją — resztę nadrabiało się patosem patryjotycznym. W plastyce było to samo zresztą co w innych działach t. zw. „twórczości”. Szczuka naogół nisko cenił sumienność artystów polskich i czystość ich roboty. Z szacunkiem wyrażał się o paru zaledwie nazwiskach. Odbiło się to na jego krytyce malarstwa i przyczyniło się do jego wyzwolenia z pod fetyszyzmu techniki akademickiej. Ale zarazem ten brak przytłaczających tradycji sztuki starej, pozwalał na większą swobodę krytyczną i na szerszą, swobodniejszą ocenę wielu spraw, na co nie mogli sobie pozwolić artyści zachodni.

Poszczególne etapy w najwcześniejszym okresie jego działalności znaczą wystawy w r. 1920 i 1921 w Polonji, w Warszawie. Wystawy te, przemilczane lub ośmieszane przez „znawców” miały w swoim czasie znaczenie rewelacyjne i wywarły duży wpływ na młodych artystów, przez cały szereg prób i zastosowań zupełnie nowych, niespotykanych dotychczas. W 1923 r. Szczuka wystawia swoje rzeczy w „Sturmie” w Berlinie. Były tam m. in. projekty pomników Liebknechta, Kropotkina i in., kompozycje teatralne wielopłaszczyznowe i kinowe. Prace Szczuki w dziedzinie filmu abstrakcyjnego stanowiły jedne z pierwszych w tym rodzaju. Wtedy już wystawił pierwsze projekty architektoniczne (Pałac pracy, wnętrze kina i t. d.).

Osobny dział jego prac stanowiły kompozycje malarsko-literackie. Były tu projekty książek, zawierające w kilku słowach skondensowaną treść poetycką oraz odpowiednią kompozycję plastyczną. Na szeroką skalę zakrojone były analizy psychologiczne, gdzie prosty tekst słowny przepleciony był kompozycjami graficznymi oraz graficzną ilustracją procesów psychicznych. Już wtedy dużo zajmował się drukarstwem i układami graficznymi.

Pędzony żądzą eksperymentowania Szczuka nie dbał zupełnie o losy swych prac — wiele z nich sam zniszczył. Rzeczy wystawione w Berlinie pozostały już na miejscu.

W r. 1924 powstaje „Blok”, grupujący artystów modernistów, którego Szczuka jest faktycznym organizatorem (wraz z Teresą Żarnowówną). Pierwsza wystawa „Bloku” miała miejsce w marcu tegoż roku i stanowiła już dużą sensację. W „Bloku” grupowali się artyści na różnych stopniach rozwoju i o różnych tendencjach — stąd pewien eklektyczny charakter pisma tej samej nazwy. Przytem wszyskiem jednak pismo miało charakter istotnie międzynarodowy i stało na poziomie równorzędnym,

nieraz przewyższającym, identyczne wydawnictwa zagraniczne. „Blok” wprowadził nowe sposoby graficzne, które wywarły później wielki wpływ na drukarstwo. Szczuka występuje tu już jako konstruktywista — tu już wvraził się przełom, skłaniający go do odrzucenia malarstwa sztalugowego i pójścia na nowe zupełnie drogi.

Upadek *ideowy* sztuki w dotychczasowej formie — na faktyczne bankructwo trzeba będzie jeszcze dość długo czekać, — częściowe wydarcie podstawy realnych usług, które sztuka człowiekowi oddawała — zmuszało do oparcia całego załadnienia na podstawach pozornie nowych, a właściwie starych jak świat, to zn. na podstawach związku z całością bytowania ludzkiego. Frazes społeczny od kilkunastu lat stał się w sztuce bardzo modny, ale przeważnie służy on do zamalowania oczu publice, zatarcia wątpliwości i uspokojenia wewnętrznego samego artysty. Miało tu miejsce zupełnie podobne zjawisko, jak z używaniem motywów maszyny, które dla wielu plastyków i literatów służyło do „unowocześniania” starych ultradekadencjnych motywów.

W ogólnym reklamarskim hałasie nowoczesności w sztuce z trudnością przebijają się głosy tych, co myślą i działają na serio. Szczuka głęboko ujmował istotne cechy zależności sztuki od zjawisk życia społecznego, i od początku swej działalności opierał się o ściśle myślenie społeczne.

Zresztą bardzo łatwo można zauważyć, że sama głębokość przewrotu w dziedzinie sztuki, pozorna chaotyczność tego przewrotu i jego istotna logika — stanowią tylko odzwierciedlenie identycznego przewrotu w stosunkach społecznych. Wejście proletariatu do historii, jako czynnika decydującego, wstrząsa przecież nierównie głębiej społeczeństwem ludzkim, niż którakolwiek z dawnych rewolucji klasowych. Wielka rzeź światowa, którą wielu traktowała jako ostatnie konwulsje starego społeczeństwa — lata wojny, lata pozornego dzikiego chaosu rzezi, gdy burząca europejska z pozornym szaleństwem, w rzeczy samej popychana głęboką logiką rozwoju historycznego, sięgnęła aż po ostatnie zasoby krwi, zasoby gospodarcze, zasoby siły nerwowej krajów europejskich i podcinała beznadziejnie rdzeń własnej potęgi — lata owe, ich przygotowanie i efekt końcowy — pod niejednym względem znajdują swój odpowiednik właśnie w stanie sztuki ostatniej doby.

Wojna światowa nie była wprawdzie ostatnią konwulsją starego świata, ale pozostawiła po sobie rewolucję rosyjską i nowe państwo proletariackie. Sympatie dla rewolucji, przejawiane przez przodujących artystów zachodnich nie były wcale przypadkowe — świadczyły one o instynktownym poczuciu zgodności rewolucji w sztuce z rewolucją w społeczeństwie.

Proces chaotycznego wywracania starych wartości, omackowych poszukiwań wkrótce się skończył. Równolegle z zaznaczaniem się względnej stabilizacji kapitalizmu, określiły się pozycje w sztuce. Ferment osłabł — następuje pewna konkretyzacja celów. Rozpoczyna się wycofywanie — powrót tych, co się zanadto zapędzili na dawne miejsca, które niegdyś wydawały im się przecie nie do zniesienia. Zaczynają obiegać hasła powrotu do klasycyzmu, maskujące w znacznej mierze powrót na stare śmiecie. Równolegle z tym procesem krystalizacji reakcyjnej, odbywa się krystalizacja elementów naprawdę rewolucyjnych, naprawdę przyszłościowych w sztuce.

Kierunek zwany konstruktywizmem, który dążył do nawiązania związku z życiem społecznym, nieistniejącego w sztuce ostatnich czasów — nie został „wynaleziony” przez jakiegoś artystę, ani też powstanie jego nie jest związane z żadnym krajem. Sam termin „konstruktywizm” zjawiał się niemal jednocześnie w różnych krajach Europy i w Ameryce. Ujmował on najlepiej naprawdę pozytywne wysiłki przodujących artystów wszystkich krajów.

Trzymanie się dawnej sztuki wobec redukcji jej zadań użytkowych, sprowadzało się do produkowania wartości z góry określonych jako muzealne — pozostające poza życiem. Przeciwnie temu musiało być wysunięte hasło sztuki użytecznej. Przywrócenie związku z życiem tembardziej określić musiało jej cele społeczne. Nowa sztuka musiała być sztuką rewolucyjną — nie tylko w granicach formalnych — musiała być rewolucyjną społecznie. Powiązanie nowatorstwa w sztuce z dążeniami społecznymi proletariatu występuje u Szczuki bardzo wcześnie — staje się z biegiem czasu coraz ściśsze. Szczuka współpracuje w wydawnictwach robotniczych, w teatrze robotniczym, daje projekty plakatów i t. d. Zracjonalizowanie sztuki, upowszechnienie jej musiało się oprzeć z jednej strony na zrezygnowaniu ze starych pozycji, na których niewiele już było do zrobienia (a w każdym razie nic naprawdę żywego) z drugiej na przywróceniu sztukom plastycznym związku z całością osiedla ludzkiego. Tą drogą Szczuka przyszedł do architektury i szeroko traktowanych zagadnień urbanistycznych dając poraz pierwszy w Polsce cały szereg nowatorskich pomysłów, które wywarły ogromny wpływ.

Dalsza jego ewolucja społeczna i artystyczna przyczyniła się znacznie do odosobnienia, w jakim się wkrótce znalazł. W grupie „Bloku” nastąpił rozłam spowodowany w znacznej mierze tem, iż działalność taka nie mogła mieć w kraju sprzyjających warunków. Szerokość koncepcji i bezwzględność przywódcy odstręczała od niego ludzi poło-

wicznych. W Polsce człowiek taki jak Szczuka, zajmujący taką pozycję jak on, do pewnego stopnia staje się instytucją — spada na niego cały szereg spraw i zagadnień nie pozostających w bezpośrednim związku z jego własną pracą. Przewycięzając niedostatek osobisty — wraz z Teresą Żarnowerówną doprowadza „Blok” do początku r. 1926, organizuje międzynarodową wystawę architektury nowoczesnej, próbuje zorganizować w Warszawie muzeum reprodukcji sztuki starej i nowej, które w kraju posiadającym mało dzieł sztuki miałoby ogromny wpływ na wzrost ogólnej kultury artystycznej. Pracuje w najcięższych warunkach, wśród otaczającej go tępej wrogości, urozmaiconej atakami różnych dowcipnisiów, na które zmarły częstokroć zbyt wiele zwracał uwagi.

Niewyczerpana energia i siła woli umożliwiały mu tę pracę przez czas dłuższy. W końcu jednak musiał stanąć przed zagadnieniem przymusowej bezczynności. Szczuka był w Polsce typem do pewnego stopnia anachronistycznym. Miarodajny w Polsce typ artysty, wogóle działacza w dziedzinie kultury, to albo człowiek przystosowany całkowicie do kultywowania odrębności „narodowych” i wypaczający się w tem kultywowaniu — albo też utalentowany skądinąd średniaczek, zgrabnie kolportujący co starsze nowinki zagraniczne. To wszystko przystosowane jest ściśle do arystokratyczno-konsumcyjnego charakteru kultury kraju. Typy inicjatorskie — znana to rzecz — nie udają się. Z tych niewielu ludzi, którzy wychodząc z Polski wywarli pewien wpływ w dziedzinie sztuki czy nauki — wszyscy działali na terenie obcym — czy to będzie Chopin, Curie-Skłodowska albo Conrad. By móc działać, ludzie ci musieli się ekspatriować. Można z wszelką pewnością powiedzieć, że pozostawszy w Polsce p. Curie np. zostałaby do śmierci nauczycielką fizyki w szkole średniej, a Conrad najwyżej znanym autorem patriotycznych nowel.

Odrzuciwszy malarstwo sztalugowe, Szczuka stał przed koniecznością zdobycia nowego terenu pracy. Te dziedziny, które mogły być polem dla jego działalności (architektura, kino, plakat na szeroką skalę) były przed nim zamknięte. Człowiek, którego celem była szeroka działalność kolektywna, artysta, który dla tego celu zdolny był przełamać w sobie wszystko — znalazł się właśnie w pozycji ośmieszanej przez siebie częstokroć, odseparowanego od życia indywidualisty i fantasty. Potężny ten umysł i talent głęboko nowoczesny, w Polsce dzisiejszej pełnami żaglami płynącej w stulecie siedemnaste — nie mógł znaleźć żadnego zastosowania. W wieku lat 26 — 27, w okresie, gdy swą dotychczasową działalność traktował jako rzecz przygotowawczą (w ciągu ostatnich lat niszczył i palił swe najlepsze utwory młodzieńcze — nie dbał zupełnie o rzeczy wysyłane na wystawy), pomimo, iż wystarczyłaby ona niejednemu artyście na całe życie — Szczuka znalazł się

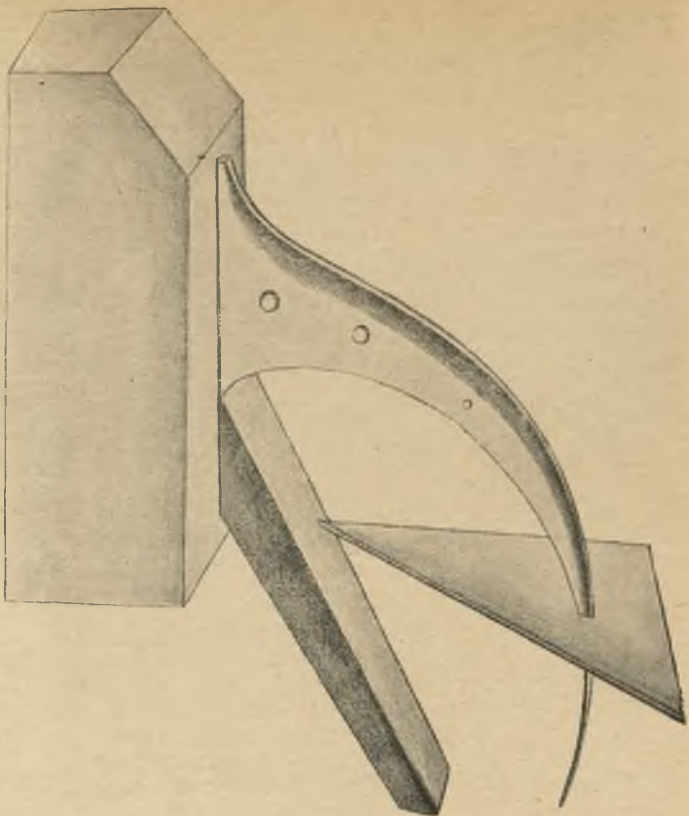
w sytuacji w której pozostawało albo cofnięcie się z obranej drogi, przekreślenie dorobku życiowego— albo przymusowa bezczynność. To też przyczyniło się do gwałtownego zajęcia się sportem. Nadmiar sił fizycznych po przebytej chorobie, nadmiar energii—wszystko to dążyło do wyładowania się w ostrych wysiłkach. Szczuka z początku rzuca się do boksu, potem jednak sport ten, jako nieodpowiedni dla intelektualisty zarzucił. W ostatnich latach na pierwszy plan jego zainteresowań wkracza sport wysokogórski.

Kolosalne walory fizyczne, zdolność ryzyka, zimna krew — pozwoliły mu i tutaj nie tylko wysunąć się na pierwszorzędne miejsce, ale zająć zupełnie wyjątkową pozycję. Według zdania wybitnych taterników, Szczuka w ciągu swego krótkiego „chodzenia w góry” (w czasie gdy mu na to pozwalało zajęcie nauczyciela rysunków w szkole średniej) wśród szermowania i niechęci starych taterników, zmienił radykalnie stosunki w tym sporcie, pogląd na trudności poszczególnych zadań i t. d. Nieopatrzność w wyborze przypadkowych towarzyszy wyprawy, wypływająca zresztą z właściwej mu ślepej ufności we własne siły — spowodowała śmierć.

Jego wspaniały, kipiący genialnością mózg został na szarej ścianie skalnej. Przerwane gwałtownie, niezakończone dzieło jego życia oceni dokładnie ta przyszłość, dla, której pracował z wytężeniem wszystkich sił i poświęcając wszystko.

A. Stawar



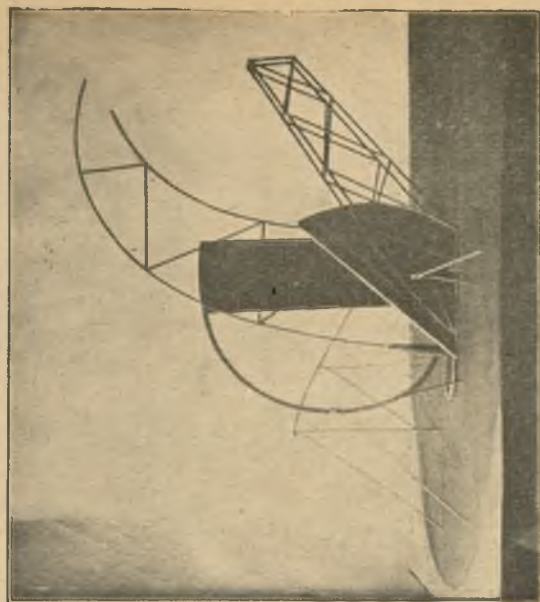


SZKIC DO PROJEKTU II-go
POMNIKA MAKSA STIRNERA
CZĘŁAZO — DRZEWO — KAMIEŃ
ROK 1923

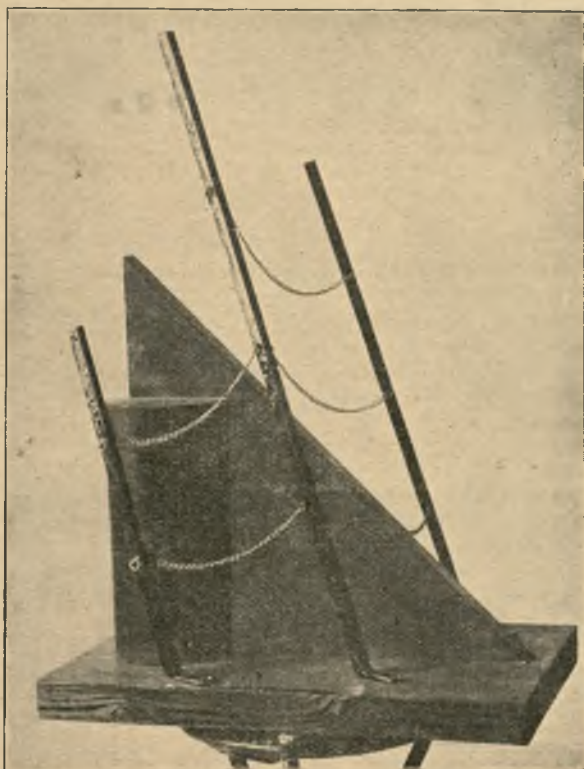


RYСУNEK ABSTRAKCYJNY

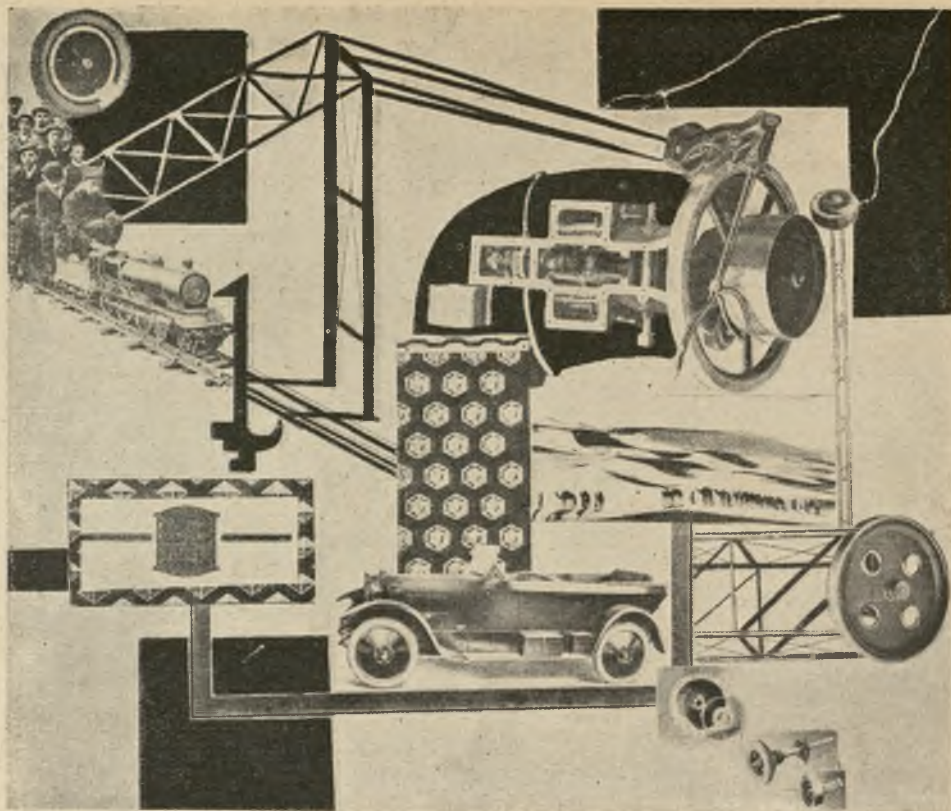
M.
S
N
C
N
U
K
A



PROJEKT POMNIKA WOLNOŚCI
Rok 1922...3



KONSTRUKCJA PRZESTRZENNA. Rok 1922
<http://rcin.org.pl>



FOTOMONTAŻ

FOTOMONTAŻ—najbardziej skondensowana w formie poezja

FOTOMONTAŻ—POEZYOPLASTYKA

FOTOMONTAŻ daje zjawisko wzajemnego przenikania się najróżnorodniejszych zjawisk zachodzących we wszechświecie

FOTOMONTAŻ—objektywizm form

KINO— jest wielością zjawisk trwających w czasie

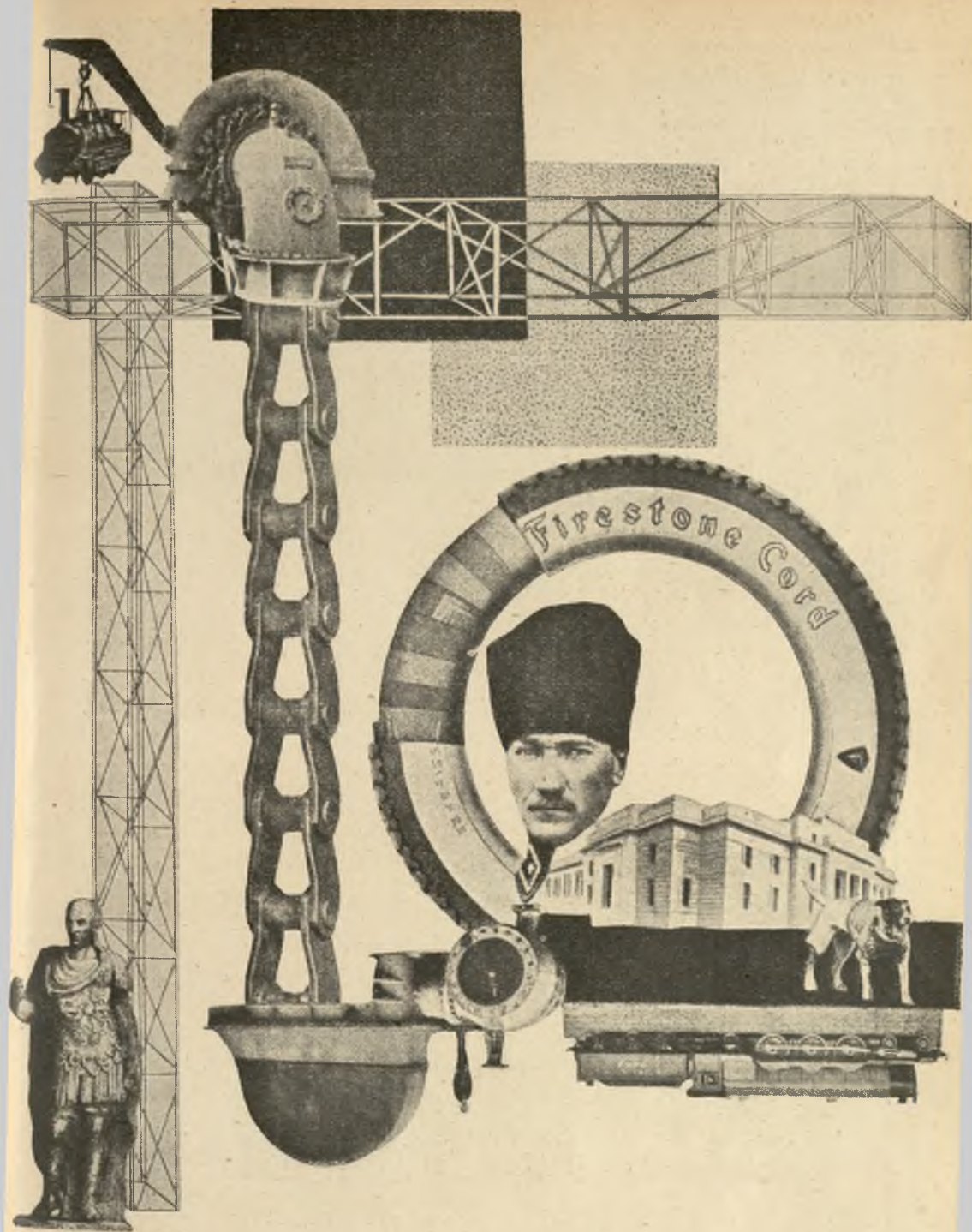
FOTOMONTAŻ—jest jednoczesną wielością zjawisk

FOTOMONTAŻ—wzajemne przenikanie się dwu - i trój - wymiarowości

FOTOMONTAŻ—rozszerza zasób możliwości środków: pozwala na użytkowanie tych zjawisk które są niedostępne dla oka ludzkiego—a które czuła klisza fotograficzna może uchwycić

FOTOMONTAŻ—nowoczesna epopea.

M. SZCZUKA
„BLOK” Nr. 9 — rok 1924



M. SZCZUKA. FOTOMONTAŻ — rok 1924





A R C H I T E K T U R A W N Ę T R Z

Zachowanie umiaru — równowagi w warunkach: 1) przeznaczenia; 2) wygody; 3) higieny; 4) przyjemności (= zmysł estetyczny) — da ekonomiczną całość.

Pokoje w każdej chwili mogą być przeistoczone: były: 2 sypialnie i jadalnia — jest: sala do przyjęć lub zebrań. Przesuwamy ściany; łóżka, szafy, stoły — giną lub wychodzą ze ścian.

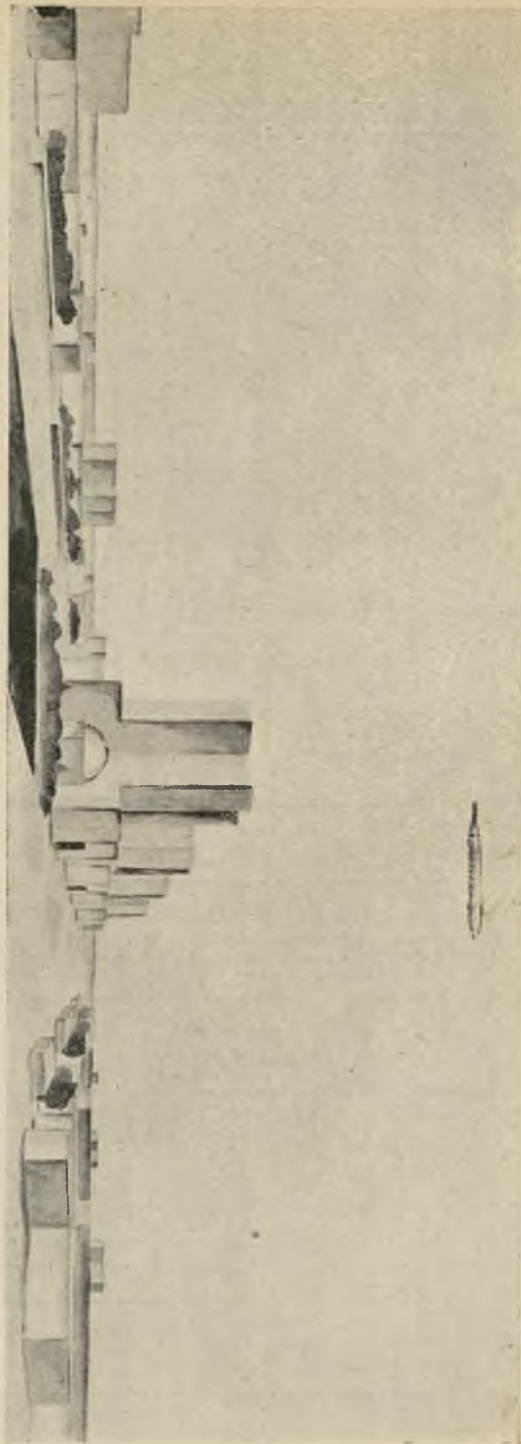
W ścianach maximum przestrzeni oszklonych: można je w każdej chwili zmniejszyć: ścianami zasuwanymi.

Wnętrze utrzymane w systemie konstrukcyjnym, pozwalającym na te przemiany: system poziomych i pionowych lub system krzywych — daje zawsze w sumie przyjemną całość (= estetyczną).

Wielkie przestrzenie okien doprowadzających światło dzienne — pozwalają a nawet wymagają barwy: sufit, ściany, meble, podłoga — są barwne.

Barwa jest radością życia. Barwa jest organicznym składnikiem każdej rzeczy.

M. SZCZUKA
„BLOK” Nr. Nr. 8 — 9 rok 1924



Zmienić materiał dopiero znaczy zmienić budownictwo; do chwili zmiany materiału będziemy stale popełniać kompromisy.

Nie należy wyodrębniać budynku lub kompleksu budynków; należy je utopić — rozpuścić w przestrzeni.

Budynek nie powinien oddziaływać jako bryła, lecz jako kompleks barwnych płaszczyzn, nierozdzielnie związanych z otaczającą je atmosferą.

Symetria podkreśla bryłę — asymetria łączy je z przestrzenią.

Osiągnięcie najdoskonalszego złączenia barwnych mas budowli z otaczającą przestrzenią — zdobędziemy, nadając budowli jaknajwiększy wyraz jej zasadniczej cechy — statyki.

Większość maszyn, a więc narzędzi ruchu ma układ form — statyczny.

Nie sposób jest pomyśleć, żeby jakakolwiek forma architektoniczna mogła być przeniesiona w jej dotychczasowym wyglądzie do nowego budownictwa.

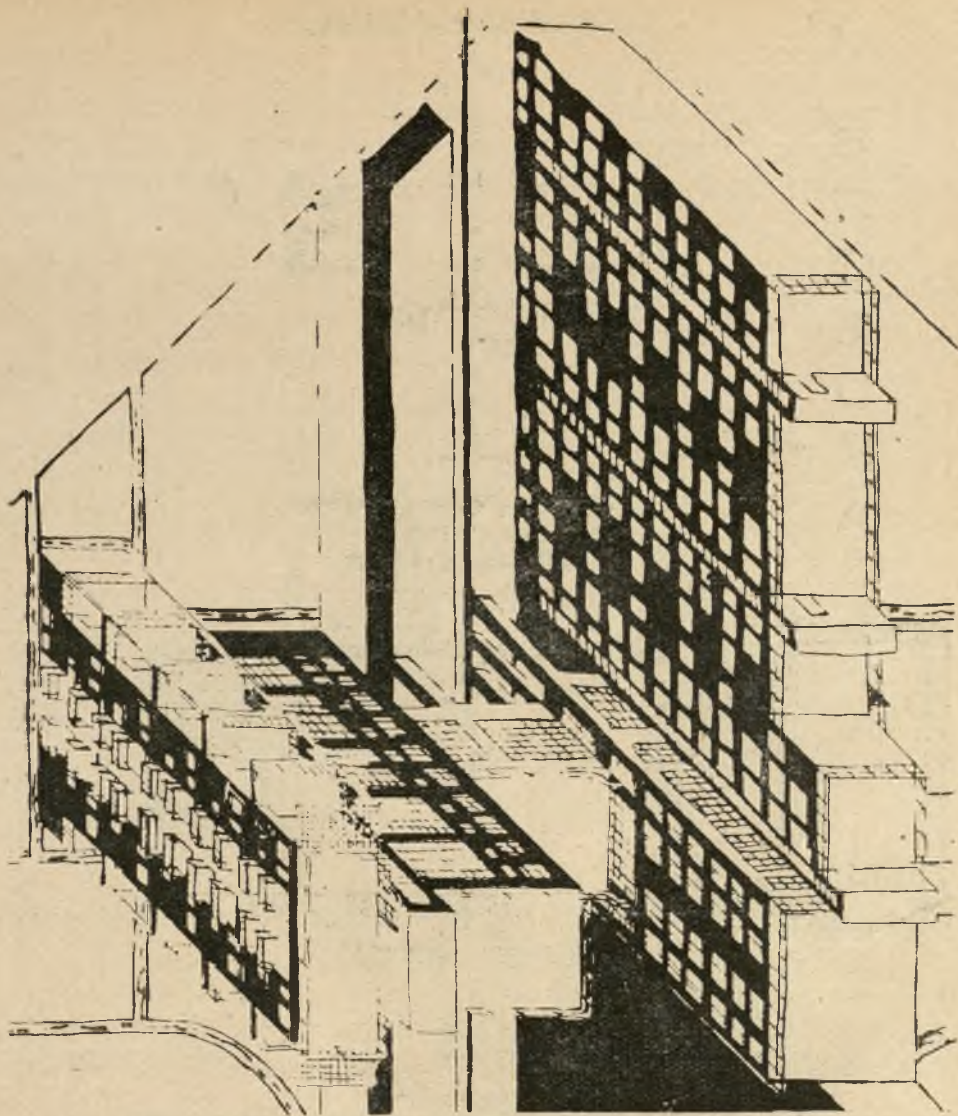
Płon i poziom winien być decydującym punktem wyjścia rozwiązań architektury.

Nowe budownictwo jest budową miast-ogrodów, w których z poszczególnych elementów jak: budynki, roślinność, przestwór powietrzny, arterie komunikacyjne etc. buduje się obraz pełen harmonii i ładu.

Osiadła ludzkie nie mogą przedstawiać widoku sprzeczności dysharmonii i przypadkowości.

Powietrzna przestrzeń i barwa są czynnikami, które przy odpowiednim rozplanowaniu mogą nadać całości najwyższy wyraz równowagi i spokoju.

M. SZCZUKA
„BLOK” Nr. 6-7, rok 1924



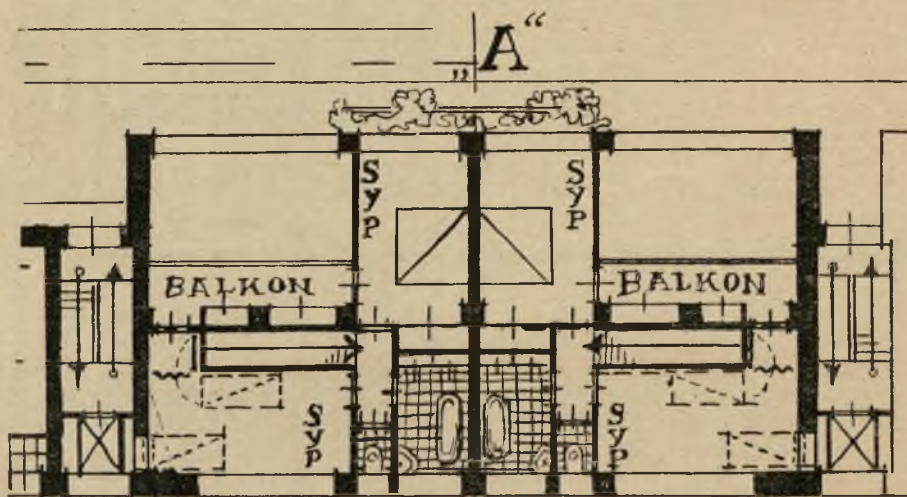
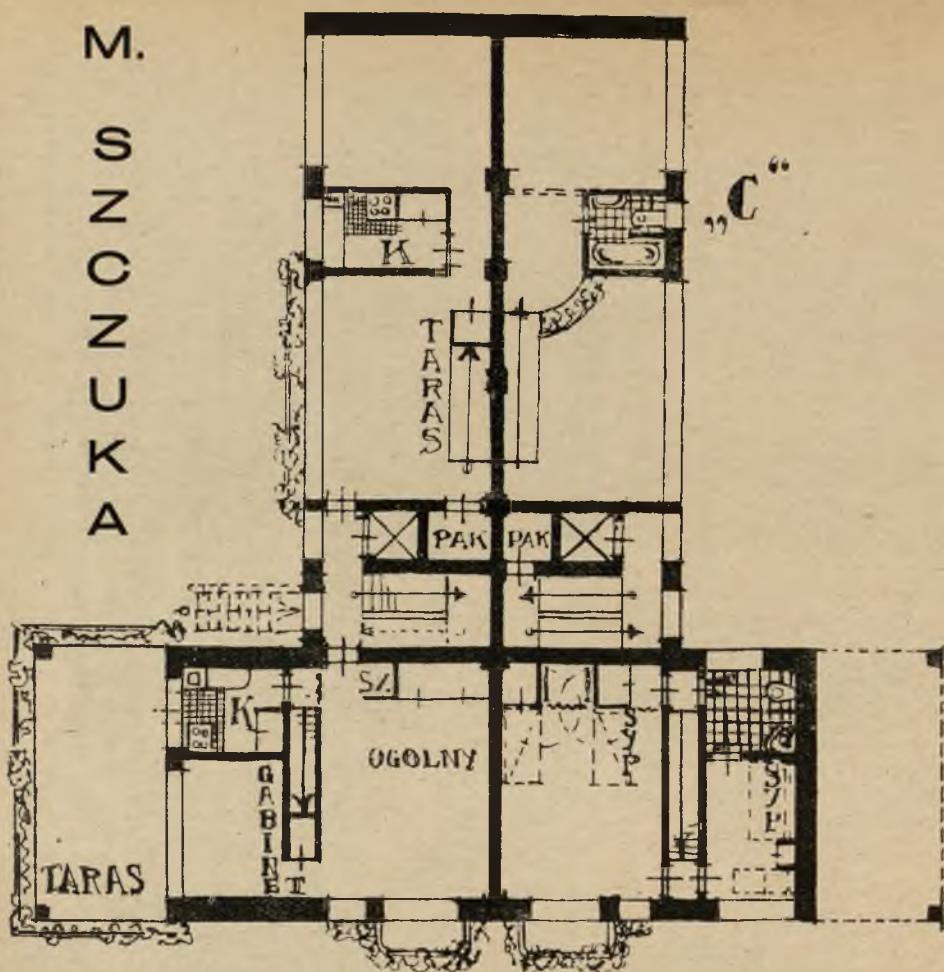
FRAGMENT KOMPLEKSU MIESZKANIOWEGO

M. SZCZUKA

(patrz Nr. 1 „Dźwigni“)

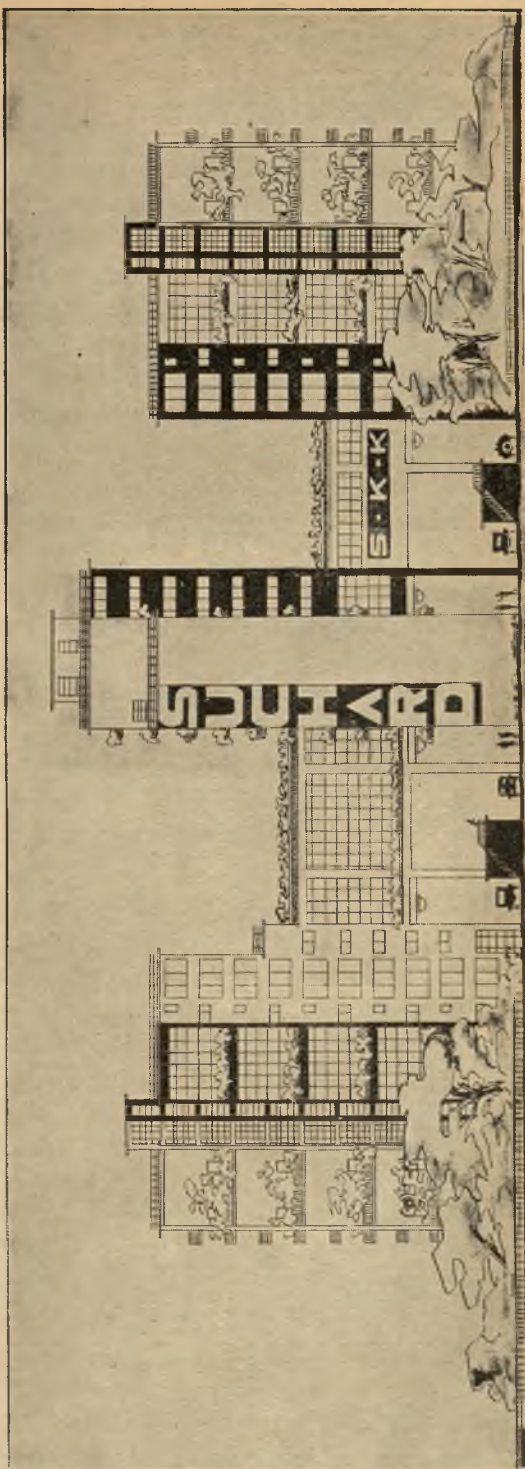
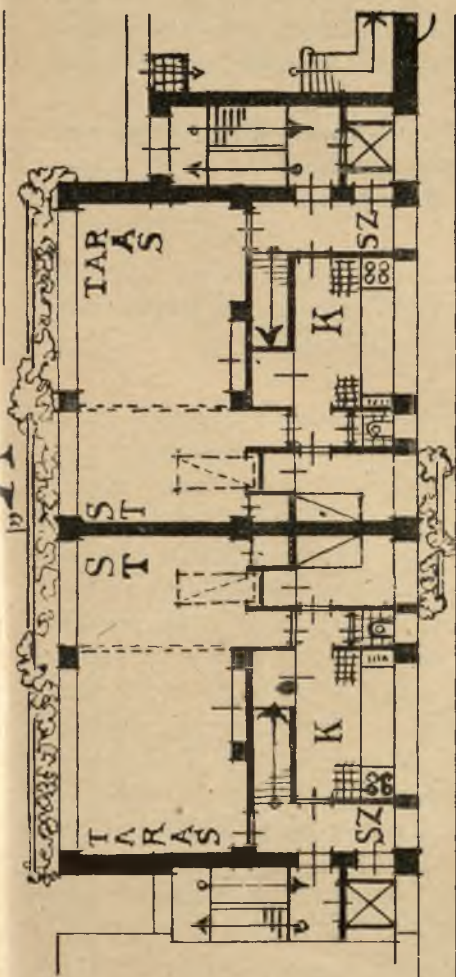
Nie wolno projektować mieszkań bez związku z całością osiedla. Mieszkanie jest komórką organicznie związaną z całością osiedla od niego uzależnioną i jemu swe wymagania narzucającą. Skupia się większe ilości mieszkań na jaknajmniejszym terenie budowlanym — a zyskuje się na przestrzeni dzielącej od sąsiedniego skupienia.

M.
SZCZUKA



FRAGMENTY KWARTALU MIESZKA- NIOWEGO

M. SZOZUKA
patrz Nr. 1 „Dźwigni“



Z ZAPISEK TATERNICKICH

M. SZCZUKA

L A T O 1 9 2 6 R.

Aczkolwiek mamy teraz lato (deszcz i deszcz—ale lato) chciałbym wśród różnorodnych zapisanych tu wspomnień dać obraz górskiej zimowej wycieczki, tak innej, różnej od tego czem góry darzą nas latem.

Dn. 5/IV r. b. w cudny bezwietrzny i bezchmurny dzień, dokonałem pierwszego zimowego wyjścia na Niebieską Turnię wschodnią granią — następnego dnia t. j. w niedzielę (6/IV r. b.) trawersowałem granią Wierchu pod Fajki. Pomimo, że ta druga tura była technicznie łatwiejsza i mniej może efektowniejsza, jednak opiszę ją właśnie, ze względu na specjalne warunki w jakich ją odbyłem.

— Około godz. 11 $\frac{1}{2}$ usiedliśmy (z p. F.) nad Czarnym Stawem Gąsienicowym na krótki odpoczynek i posiłek. Jednolita lukrowa polewa pokryła Tatry. Oczy błędzą po monotonnej bieli śniegów popstrzonych czarnymi krzesanicami ścianek i ścian, pooranej bruzdami lawin z pod turni Kościelca, ścian Granatów i zboczy Żółtej Turni. Wyżej mgły szarą, brudną masą zasłoniły szczyty — otuliły je szczelnie, ukryły przed nami z pomrukiem złowrogiej pogroźki wichru, który ziębił nas ostreimi podmuchami.

Wstajemy, idziemy, omijając zdradliwe pęknięcia lodu na Czarnym Stawie. Obejrzałem się — zima rozwiesiła pod ścianami Kościelca fantastyczne wisiorry lodowe, festony kruche i delikatne — pęki kwiatów leciutkich i łamliwych.

Gdzie latem prowadzi ścieżka na Granaty wznosimy się w górę, lawirując wokół woranego w zbocze Żółtej Turni żlebu, zapadając się od czasu do czasu po kolana lub po pas w sypkim śniegu. Mniej więcej w połowie wysokości żlebu, napotykamy na pogruchotany śnieg, nawalone głązy i powyrywane kosówki. Ślady lawiny. Ostrożnie by nie zbudzić licha, przemykamy się w prawo na grzędę i nią w górę. W lewo od nas wygładzony sypki stromy śnieg w żlebie grozi lawiną. Nieco wyżej serpentyną dołącza się doń nowy lawiniasty żlebek, bardziej stromy i czupurniejszy. Białe, białość mętnieje, szarzeje, szaro — mgły uciekające przed nami do góry, przystały, zakotłowały — i lunęły na nas, pochłaniając nas w mgnieniu oka. Osiągamy wreszcie grzbiet Żółtej Turni i kierujemy się teraz nim w prawo. Żółta Przełęcz. Przed nami Wierch pod Fajki. Wiążemy się liną i wchodzimy nań. Stajemy przed zadaniem dzisiejszego dnia. Z pod nóg rwą się w dół olbrzymie pola śnieżne i giną w szarości mgieł, boczne żebra skalne nurkują w masach mgły i śniegu — tu i owdzie stając wściekłego dęba — by za chwilę zapaść się jeszcze głębiej. Z szaro - białej otchłani wyrwała się grani, zwiewna, maja-

cząca niesłychanie śmiałymi zarysami — wystrzeliła zębami iglic i piramid. Przystanęliśmy. Jest około 3-ej i pół. Wiatr ze świstem szarpie nami, mgły zasłaniają grań, nic nie widać. — Zakładam linę o blok: najpierw F, a później ja zjeżdżamy ośnieżoną rysą na maleńką przełączkę. Nad nami majak pionowej igły skalnej — czarnej i mokrej — w tej chwili wichur uderza z wielką siłą. Przylegamy do najbliższego zębu — Niepokój. Wichur co raz to mocniejszy, należy przeczekać — minuty płyną jedna za drugą — godzina 4-ta z ogonkiem: wkrótce zacznie się ściemniać, należy działać. Posuwam się naprzód; znajduję się na ścianie obelisku. Próbuje go wziąć ostrzem zupełnie pionowem, wprost w górę. Lecz wichur i zimno nie pozwalają zdjąć grubych rękawic, czekan z głuchym dźwiękiem uderza o litą ścianę. Parę gimnastycznych sztuczek nie doprowadza do niczego — wyjście na sam wierzchołek jest trudne w warunkach letnich — obecnie stawia wielkie przeszkody. Rezygnuję więc z niego i trawersuję turniczka „normalnie”. Staję na ostrzu grańki i biorę igłę w wielkim trudzie od przeciwnej strony. Towarzysz mój asekurowany z góry, wynurza się z mgły i wiatru: dzwoni czekanem i zębami i za chwilę połączyliśmy się; on z dołu — ja zjechałem na linie z góry. Należy spieszyć się: następną ściankę, ośnieżoną i oblodzoną biorę błyskawicznie szturmem — poczem przerzucamy się jej południowym grzbietem na siodółko pod następnym uskokiem. Teraz opuszczamy się nieco na stronę Pańszczycy i brniemy w śniegu sypkim i niedającym żadnego oparcia. Z trudem wbijam węń czekan i krótką nieco przewieszoną rysą do góry — za chwilę jestem na wierzchołku następnej Fajki. Pół godziny tracę na „wyciągnięcie” towarzysza, który wreszcie wychodzi żółty, narzekając na serce. Jak miłą jest herbata gorąca z termosu. Odpoczywamy. Godzina około 6-tej, zaściemnia się. Należy szybko działać. Ostrą, poziomą, zaśnieżoną granią zjazd wprawo po śniegu i — Pańszczyta Przełęcz. Z trudem posuwamy się w dół: lód — ślizgamy się po nim, wreszcie śnieg. Stromy, sypki jak mąka — bocznem żeblem schodzimy. Przekraczamy jeszcze jeden żlebik z lawiniastym śniegiem i asekurowając się liną pod czarnymi ścianami żebra w dół. Wanty wielkie jak piec przeszły nad moją głową: to sprawka towarzysza. Śnieg popękany — kilkunastometrowe szczeliny — głębokie i czarne — szmer sączącej się w nich wody. Z uchem i wzrokiem wytężonym na każdy podejrzaný ruch śniegów wśród wzrastających ciemności schodzimy piorunem po lawiniastym śniegu. Odwiązujemy się, pędem trawersujemy żleb w prawo. Z prawej strony wlewają się na olbrzymie pole śnieżne — nowe masy lawiniastego śniegu. Z pod Granatów tuż, tuż nad głowami wiszą lawinki. Masy pogruchołanego śniegu, głązy i kawały lodów — to stare lawiny, wyrzucone na przyczajone, potworne cielska lawin, po których pędzimy w dół. Kilkanaście metrów jedziemy na czekanach — i znów nurzamy się w macie śnieżnej lepkiej i strasznej. Spoceni, zziębnięci, z duszą na ramieniu, dobijamy wreszcie do brzegu Czarne Stawu, uszczę-

śliwieni, że cało wyszliśmy z tego piekła. W godzinę później w mrokach nocy i mgieł pozostały poza nami koszmarny lawin — pod Kościelcem wśród pohukiwania dalekiego wiatru i migotania gwiazd — obejrzelśmy się: sen trzeciego trawersowania zimowego Fajek noc otuliła. Schronisko.

8.VIII. 26 r.

Śród nielicznych „problemów” nierozwiązanych dotychczas należy postawić na pierwszym miejscu dwa: Północno-wschodnią ścianę Rumanowego i zachodnią ścianę Łomnicy. Od lat całych mówi się o nich w taternickich kołach — są aktualne i żywe — męczące jako zagadnienia, których nikt się jeszcze nie podejmował lub ukrywał niepowodzenia nieudanych szturmów.

Zachorowałem na Rumanowego. Przed paru tygodniami powstała myśl zdobycia go. Porozumienie się z ludźmi „chorymi” na niego nie przedstawiało wielkiego trudu — i wyznaczaliśmy sobie termin: 7.VIII. b. r.

W olbrzymim amfiteatrze skalnym Białej Wody zagadka Rumanowego Szczytu strzela 700 m. ścianą ponad piargi i śniegi Kaczej Doliny — ścianą o olbrzymim nachyleniu (ok. 60°) w środkowych swych partjach — podciętą u dołu i ściętą pionową lub częściowo przewieszoną na właściwej turni szczytowej — wspartej na dwóch skarpach urwistych grzęd — z których prawa (orograficznie) urywa się u dołu gładkimi pionowymi ścianami, lewa zbiega się ze ścianą Ganku oddzieloną odeń czarnym kominem. To na pierwszy rzut oka — wrażenie, gdy staniemy u stóp Zasłoniętej Turni, doskonałego miejsca dla obserwacji „problemu”.

Godzina 3½ rano. Zrywamy się — pogoda jaka taka — wobec czego śniadanie: i w drogę. Na bulli Kaczej Doliny krótki postój: lustracja i wybór drogi na ścianę Rumanowego. Krótka narada — każdy wyraża swą opinię o ścianie — nb. bardzo pochlebna — i w dalszą drogę. Jest nas pięciu.

Jesteśmy pod ścianą: dwie spłoszone kozice pętają się po dolnych urwiskach Rumanowego, akurat w tym miejscu gdzie mamy zacząć nasze wyjście na niego: obserwujemy je: chcą uciec przed nami, biegną w lewo nie puściło je: — wracają, pobiegły w prawo — i we wspaniałych podskokach zniknęły. Odkryły nam „drogę”: „Hurra kozice!” „I kozice mogą się do czegoś przydać” opinujemy — jak później okazało się dobrze zrobiliśmy poszedłszy śladem tych improwizowanych przewodników.

Godzina punkt 7-ma — rozpoczęliśmy wstępować na ścianę — by zejść z niej dopiero po 24 godzinach.

Gdzie śnieg wrzyna się najwyżej w ścianę, tam początek naszej drogi. Na lewo od śniegu dwa krótkie żlebiki: prawy granitowy, lewy gnejsowy,

mokry. Idziemy lewym i na grzędę oddzielającą go od prawego. Stajemy na małej kazalnicy. Teraz około 25 m. trawersu poziomego wprawo pod próg. Próg (ok. 6 m.): wbijamy węł hak i przechodzimy go. Za progiem (ok. 75 m.) trawers łatwy ku górze do płytowej grzędy. Niał (ok. 25 m.) do góry pod turniczkę — znów trawers poziomy w lewo do olbrzymiej szerokiej rynny przeryniającej całą Pn. wsch. ścianę. Tu stajemy przed dolnym urwiskiem. Teraz źle uwarstwioną płytową rynną około 150 m. do góry, do miejsca gdzie rynna zwęża się (trawers w lewo po płytach niemal poziomych) a w dno wrzyna się wąski żlebik. Rysą w górę — nie dochodząc pod przewieszające się w rynnę skały, na kazalnicę w małej grzędce. Z niej w górę b. trudnym terenem ok. 10 m. ścianką ukosem w prawo — poczem bardzo trudno w lewo do rysy, w której tkwi mała skalna platforma. Z niej wprawo do góry na granię i do góry pod pionowy próg. Teraz pięknym i efektownym poziomym trawersem wlewo do bocznej rysy i nią do góry do wygodnego rozszerzenia się w niej — tu odpoczywamy i pojadamy sobie od 11.30 do 12-ej. Dalej rysa rozszerza się w płytowy żlebik (ok. 50 m.). Żlebik skręca w lewo i przechodzi w kruchy głęboki komin, którym drapiemy się w górę do jego końca. Teraz upłazami na trawiastoskalistą grzędę ograniczającą główny żleb Rumanowego.

Prawą (orograficznie) stronę grzędy pod Pn. wsch. szczytową turnię do miejsca gdzie ściana ta przypiera do pn. ściany. Dotychczas szliśmy w ciągłej mgłę, lecz gdy w b. fatalnym terenie rozpocząłem z Markiem atak pionowych ścian turni szczytowej, począł padać deszcz ze śniegiem. Wychodzimy do małego zacięcia na siodełko w bocznej skarpie, która urywa się natychmiast w urwisko powietrzne. Jedyna możliwość dalszego posuwania się — to wprawo do wylotu urywającego się komina w olbrzymiej zupełnie pionowej ścianie.

Co dalej? — Mokro, pada śnieg — nic nie widać. Wiemy tylko to że jesteśmy około 60 m. najwyżej od szczytu. Lecz w tych warunkach dalszy atak równa się szaleństwu. Długie narady, przed nami ostatnia partja, trudności mogą być kolosalne, a gdyby nie można ich przejść to odwrót mógłby się tam zakończyć katastrofą. Pada wreszcie ciężkie słowo: „Odwrót”. Odwrót ten następuje długi i męczący! Noc zapada. Jesteśmy w połowie ściany. Dalej iść już nie można. Wybieramy sobie możliwie dogodne miejsce pod pionowym uskokiem ściany na trawiastej płazience wściekle nachylonej — wbijamy 3 haki, przywiązujemy się linami — i nocujemy. Marjan, Stefan i Marek mogą spać — mają wygodniejsze stanowiska ja z Janem tkwimy niemal nieruchomo przez długie 8 godzin nocy. Ja wyszedłem na tem najgorzej. Nie mogłem na chwilę rozprostować podkurczonych nóg. Ledwo zdrzemnąłem się, a już czuję że się obsuwam. Zresztą majaki lin i haków, jakie śniły się, nie były rozkoszne. Przy słabem światełku latarki ćmię papierosy i staram się nie patrzeć w otchłań powietrzną u nóg i na wściekle od pionu odbiegającą przebytą już „drogę”.

Około 1-ej w nocy mgły przewaliły się: odsłoniły obrazy zaiste piekielne: Czarne upiory ścian otaczających, u nóg trupia biel śniegów, widma pełzających mgieł — szarzyzna ściany na której tkwimy, a która nachyleniem swem i strukturą wydaje się wprost nie do przebycia. — My zahartowani w walce z przepaścistością terenu — obyci z powietrznąścią urwisk — *nie mogliśmy patrzeć.*

Wyiskrzone gwiazdami niebo potęgowało jeszcze grozę. — Wreszcie zaczęło szarzeć. O 3¼, prześwitywać. O 4-ej ruszyliśmy zmaltretowani w dół. Schodziliśmy cały czas dokładnie po drodze naszego wyjścia. Schodząc mogliśmy ocenić dopiero trudności i przepaścistość przebytej drogi w górę — raz w raz następowały zjazdy na linie — raz w raz idący na pierwszego ginał pod nogami swych następców. O 6-ej m. 40 stanęliśmy wreszcie u stóp ściany u wylotu gnejsowego żlebiku. Przespawszy się nieco w schronisku „Salomona” — pożegnaliśmy się, każdy ruszył w swoją drogę. Tak zakończyła się pierwsza wogóle podjęta próba zdobycia Rumanowego z Doliny Kaczej: odwrotem o 60 m. od szczytu — po przebyciu około 650 m. ściany.



P R A W O D A W C O M

W. BRONIEWSKI

*Tobie mój gniew i pogarda
kulturo krzywdy i zbrodni!
Religjo krwi i miljarda,
jakaż mnie pieśnią zapłodzisz?*

*Krwią zachłyśnięty śpiewam,
krew śpiewam i krwi pożadam,
bo raziło mnie serce gniewem,
jak kat elektrycznym prądem!*

*Ameryko syła i tępa,
Europo ślepa i krwawa,
długoż mnie będzie potępiać
kłamstwo wolności i prawa?*

*Pokonały przestrzeń rekordy,
przeorały kontynent traktory,
ale wiecznie mi grozi mordem
śmiertelny fotel historii.*

*Położono fundament z kości
pod kamienne triumfy pionu,
aby żywe ciało ludzkości
wdeптаł w ziemię beton Bostonów.*

*Śmierć nas woła: kto pierwszej?
dwuch i milion umarło,
miasta wzrosłe na ścierwie
dławia, duszą za gardło.*

*Ziemio, syta padliną
pobojowisk pracy i wojny,
przepowiadam ci: będziesz inną,
omyta żywą krwią wolnych!*

*Historjo! — jutro od nowa!
Gwałt niech się gwałtem odciska!
Witaj chmuro gradowa!
Błogostawię piorun co błyska!*

CYRKULACJA DYKTATUR ELIPSY I GWIAZDA CZERWONA

A. STAWAR

(Konstanty Srokowski. Elita bolszewicka. Studium socjologiczne).

Niektórzy uważają książkę p. Srokowskiego za dzieło publicysty bardzo niezależnego i śmiałego, który rzetelnie usiłuje dociekać przedewszystkiem prawdy, nie oglądając się na żadne podszczuwania i bajdy rozpuszczane o bolszewikach przez prasę burżuazyjną. Bo jakże! Prasa ta dzień w dzień od lat dziesięciu psy wiesza na bolszewikach, nazywa ich zbójami, krwawymi opryszkami, zawodowymi zdrajcami ojczyzny. A tu nagle zjawia się, i to w Polsce, autor burżuazyjny, który pisze książkę o bolszewikach, i nie tylko traktuje ich „obiektywnie” ale wprost unosi się nad charakterami przywódców bolszewickich, nad ich konsekwencją, siłą woli, uczciwością, zdolnością do poświęceń. Tylko chyba wyjątkowa odwaga cywilna i miłość prawdy mogła podsunąć burżuazyjnemu publicyście takie postawienie sprawy, ostro sprzeciwiające się utartym zwyczajom stosowanym przy zwalczaniu bolszewizmu.

Nie trzeba zaznaczać, że w takim pojmowaniu pracy p. Srokowskiego, wyraża się nieuleczalna naiwność polityczna. Autor „Elity bolszewickiej”, wcale nie należy do rodzaju (zanikającego zresztą) publicystów jak się to mówi „dzikich”, działających w odosobnieniu wedle tego co fantazja i osobiste rozumienie sprawy podyktuje. Przeciwnie p. Srokowski jest dość mocno wmieszany w politykę czynną: redaguje „Nową Reformę” krakowską, w swoim czasie był lansowany na redaktora głównego półurzędowej „Epoki”. Taki publicysta niezawodnie dokładnie waży i rozważa efekt polityczny swego wystąpienia i bynajmniej nie będzie mu się uśmiechała pozycja odosobnionego bojownika o prawdę ani też, gorzkie przeżawienie, laury zbyt daleko posuniętej odwagi cywilnej. Otóż przyczyn takiego, a nie innego podejścia do kwestji „socjologicznej natury... bolszewików” szukać należy w sytuacji politycznej i zadaniach obozu, do którego autor jest zbliżony, to znaczy obozu sanacji, dzisiejszych piłsudczyków. Mimochodem zaznaczamy, że taki pseudo-objektywny, w każdym razie, nie wulgarnie paszkwilowy sposób pisania o rządzie bolszewickim, spotykał się już u ideologów obozu majowego z „Drogi” i „Głosu Prawdy” (artykuły p. Husarskiego). Rzecz w tem, iż elementy składające się na dzisiejszą sanację, znalazły się w obozie antyparlamentarnym bardzo niedawno, ideologje antyparlamentarną robią bardzo naprędce i szukają bardzo gwałtownie, argumentów dla jej pogłębienia. Próby mechanicznego przeniesienia ideologii faszystwu włoskiego na grunt polski nie mogą dawać rezultatów. Integralną właściwość faszyzmu włoskiego stanowi jego zoologiczny nacjonalizm — a panowie z sanacji przeciwstawiają swym konkurentom z Obwiespolu właśnie swoją liberalniejszą (w słowach) politykę narodowościową. Różni ich tu właściwie od endeków bardziej realna ocena sytuacji wewnętrznej Polski, podczas gdy endecy są utopistami państwa narodowego. Dlatego też sanatorzy nie mogą zbyt wiele czerpać z faszyzmu.

Poważniejsi publicyści tego obozu przystępują więc niejednokrotnie do oceny ustroju sowieckiego bez pospolitych frazesów oburzenia i oszczerstw, chcąc znaleźć w tym ustroju, w jego funkcjonowaniu argumenty przeciwko parlamentaryzmowi wogóle. Nie trzeba chyba dodawać, że w gruncie rzeczy ten sposób postawienia sprawy, nie biorący pod uwagę istotnych zasad ustroju sowieckiego i organizacji bolszewickiej oraz podstaw, na których one się opierają, ale wyrwywający na chybił trafił odosobnione cechy i właściwości dla zbudowania zupełnie dowolnych konstrukcji — sposób ten powtarzam, jest w gruncie rzeczy równie może wulgarny, jak metoda płaskich oszczerstw miotanych bez ładu i składu.

Swoją „Elitą bolszewicką” p. Srokowski niewątpliwie wysunął się na czoło tego rodzaju „badaczy”. W robocie jego, szytej zresztą dość grubym ścięgiem łatwo odnaleźć właściwy podkład polityczny.

Najbardziej interesujący jest pod tym względem rozdział pierwszy gdzie autor wykłada teorię cyrkulacji elit według Pareta. To co autor pisze dalej o partji bolszewickiej, jej organizacji i składzie, to są rzeczy opracowane dość solidnie, z dużą ilością szczegółów i cyfr statystycznych, ale w najlepszym razie sprowadzające się do stwierdzenia, że w dzisiejszym stanie rzeczy, przy dzisiejszym stanie oświaty szerokich mas — wykonywanie funkcji państwowych wymaga całkowitego poświęcenia czasu i wyższych niż normalne kwalifikacji, co pozwala p. Srokowskiemu daną jednostkę zaliczyć do inteligencji niezależnie od jej pochodzenia robotniczego. Rze-

czy te są naogół bardzo dobrze znane chociaż i tu sprawa nie przedstawia się tak prosto, jak ją p. Srokowski przedstawić usiłuje.

Zajmijmy się jednak socjologią autora „Elity bolszewickiej”:

Wyłonienie przywódcy i poddanie się jego przewodnictwu jest pierwszym warunkiem przeistoczenia się hordy ludzkiej w skupienie społeczno-polityczne. Najstarszą i najpierwotniejszą formą władzy społeczno-politycznej jest samowładztwo jednostki, wykonywane pierwotnie w zakresie każdorazowo sprawdzalnej przewagi siły rządzącego nad rządzonymi, później zaś w zakresie samego tylko wyobrażenia o tej przewadze jakie rządzący potrafił w rządzonych wytworzyć i przez tradycję utrwalić.

Udział we władzy rozszerza się w kierunku od jednostki ku grupie. Stopniowo rośnie grupa jednostek w różnym stopniu uczestniczących w rządzeniu. Maksymalnym rozszerzeniem tej grupy jest demokracja, oparta na fikcji t. zw. „suwerenności ludu”. W warunkach urzeczywistnionej demokracji, w których władza teoretycznie należy do całości rządzących, więc do wszystkich, zaczyna się proces odwrotny przesuwania się władzy od wielości do mniejszości, ku grupom coraz mniej licznym z powrotem do samowładztwa jednostki, czyli do t. zw. „dyktatury”. (str. 7).

Czyli, że sprawa przedstawia się przeraźliwie prosto. Społeczeństwo powstaje wtedy, gdy pojawia się „samowładztwo” jednostki. Wyraża się ono z początku w fakcie „każdorazowo sprawdzalnej przewagi siły rządzącego nad rządzonymi” to znaczy, prawdopodobnie, w przewadze tej samej pięści uzbrojonej w taki oręż. Potem ta przewaga lokuje się już na stałe w imaginacji rządzonych. W ten sposób otrzymujemy nieprzerwany genetycznie szereg „samowładców”, organizujących społeczeństwo, poczynając od pierwotnej hordy ludzkiej, a skończywszy na dzisiejszym bardzo zróżniczkowanym społeczeństwie klasowym. Na jednej płaszczyźnie umieszczony zostanie zarówno członek plemienia pierwotnego, wybrany dla przewodnictwa w jakiejś wyprawie łowieckiej czy wojennej jak i miłośnik panujący z bożej łaski Ludwik, Soliman, czy Mikołaj. Potem ilość jednostek uczestniczących w rządzeniu niespodzianie zaczyna rosnąć; puchnąć, aż rozszerza się w „demokrację opartą na fikcji suwerenności ludu”. Później zaczyna się proces odwrotny — wszystko wraca do normy — ilość „jednostek” uczestniczących we władzy, zmniejsza się, kurczy, kurczy stopniowo aż... pozostaje na placu tylko „samowładztwo jednostki” czyli dyktatura.

Naturalnie o jakiejś tam społecznej podstawie władzy, o związku jej z ustrojem gospodarczym, o jej klasowych właściwościach — mowy niema. Wszystko podciągnięte zostało pod jeden strychulec. Ktoby tam pamiętał o społeczeństwie niewolniczym, feodálnym, kapitalistycznym, które wszystkie wyłaniają najróżniejsze typy władzy, zależnie od najróżniejszych czynników społecznych i ekonomicznych. Dla p. Srokowskiego istnieje tylko samowładztwo jednostki, wyrodniejące stopniowo w fikcyjną demokrację, a potem znowu przywracane przez dyktaturę. Basta!

Ta samowładcza-dyktatorska socjologia jest trochę, jak to się mówi, toporem ciosana, ale jej sens polityczny w Polsce, w roku pańskim 1927 — nie wymaga chyba specjalnych komentarzy.

„Widzimy więc, że rozwój odbywa się niejako na linii eliptycznej. Jedna parabola tej elipsy biegnie od prymitywnego jedynowładztwa do demokracji, droga od demokracji z powrotem do jedynowładztwa czyli dykta-

ture. Poszczególne odcinki obu tych paraboli wypełnione są stopniowem już to rozszerzaniem się już to zacieśnianiem grupy w rządzeniu uczestniczącej i t. d. (str. 10).

„Vilfredo Pareto nazywa to zjawisko la circulation des élites” (cykulacja elit). Parabole sobie biegają, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Oto całe dzieje tego świata.

A mądry „turyński socjolog Robert Michels pisze”:

„Rezultat walk klasowych (partyjnych) przedstawia się w gruncie rzeczy jako wymiana: jedna mniejszość przychodzi na miejsce drugiej mniejszości w swem panowaniu nad masą. Klasy społeczne, które w naszych oczach na scenie historii staczają swoje tytaniczne walki, mające swe najgłębsze przyczyny w przeciwieństwach interesów gospodarczych, są podobne do dwóch grup tancerzy, które w kontredansie wykonują swoje *chassé croisé*”. (str. 10).

Kontredans nic więcej. O tem, że kontredans taki kończy się często postawieniem w kącie, a niekiedy wręcz wylaniem grupy tancerzy na zbity łeb z sali balowej (jeżeli już mamy prowadzić dalej figlarne porównanie turyńskiego socjologa) — o tem ani słowa.

Ale ciekawe, w jaki sposób odbywać się mogą rewolucje w tych tak mądrze, na wzór elipsy urządzonych społeczeństwach? Autor stwierdza, że:

„ukryta w społeczeństwie potencjalna siła niezadowolenia może być uważana za wielkość stałą” (str. 11).

Dobrze, ale w takim razie:

„Dlaczego ludzie, którzy do wczoraj żyli jeszcze całkiem spokojnie w pewnych warunkach, uważając je za niezmiennie, bo zastane, nawet przez siły wyższe ponad i pozaludzkie ustanowione, w pewnej chwili uznają te warunki za niemożliwe do zniesienia i zaczynają się awanturować dopóty, dopóki ich nie zmieniają, aby się znowu na czas jakiś uspokoić?”

Autor twierdzi, że ludzie awanturują się to znaczy (w tymże figlarным słowniku), robią rewolucję, dlatego, że:

Oto potencjalna energia niezadowolenia przeistacza się w kinetyczną pod wpływem produktów rozpadu grupy rządzącej. Odrywające się od niej wskutek tego rozpadu cząstki poszczególne odgrywają w tej przemianie rolę jakgdyby katalizatorów w procesach chemicznych.

Bowiem:

Zjawisko zużywania się i rozpadu każdej grupy rządzącej jest naturalnem i w istocie swej należy do ogólnego zjawiska zmienności i przemijalności wszechrzeczy” (str. 12).

O takich poziomych sprawach, jak jakieś tam procesy gospodarcze, narastanie stopniowe przemian społecznych, zmiany w ustosunkowaniu się sił klasowych, co podobno bardzo przyczynia się do powstania takich „awantur” — ani słowa. Elity cykluje. Parabole, a parabole biegają tam i z powrotem, tam i z powrotem... Zmienność i przemijalność wszechrzeczy...

Po tem przygotowaniu socjologicznem (niestety nie mogę tu przytaczać wszystkich kwiatków analizy z dziedziny socjologii elitarnej) dalsze wywody idą już autorowi gładko. Wulgarna publicystyka burżuazyjna wyjaśnia przyjście bolszewików do władzy i utrzymanie się przy niej, ich

nieślęchaną przewrotnością i zbrodniczością. P. Srokowski podchodzi do sprawy ze strony nieco innej — i wyjaśnia ten fakt innemi bardziej pozytywnemi właściwościami charakterowemi bolszewików. Ale w gruncie rzeczy oba te stanowiska się pokrywają. Podobnie jak wulgarna publicystyka burżuazyjna w występach, tak p. Srokowski w cnotach bolszewickich usiłuje utopić społeczną istotę rewolucji.

Rozdział o „umysłowości przywódców bolszewickich” otwiera p. Srokowski wspomnieniem o przeprowadniach politycznych Lenina z października 1913 odnoszących się do przyszłej wojny europejskiej oraz rewolucji. Poczem pisze:

„Zdajmy sobie sprawę z tego obrazu:

Oto emigrant rosyjski, spędzający całe dni w góralskiej chacie w Ponoronie, na lekturze i pisaniu artykułów i instrukcji partyjnych, żyjący w ubóstwie, które graniczy z głodem, na zebraniu takich samych jak on emigrantów lub nielegalnie przez granicę przekradających się przybyszów z Rosji, odcięty od wszelkich centrów kierowniczych, pozbawiony wszelkich organów wywiadowczych i informacyjnych, ograniczony niemal do własnej myśli, pracującej niestrudzenie wedle przyswojonej teorii dyalektycznej Marksa, stawiającego politycznego położenia Europy w jesieni 1913 r., przepowiada nie tylko sam wybuch wojny europejskiej, ale sposób jej przebiegu z taką niewzruszoną pewnością, że kończy wezwaniem do towarzyszy, aby w konsekwencji tej wojny przygotowywali się do objęcia władzy w... ogromnem i jakże wówczas potężnem państwie carskiem! I to wszystko zostaje wypowiedziane na tej samej konferencji, na której referent, zdający sprawę o położeniu partii w ojczyźnie, przedstawia je jako bardzo trudne, i jako jedyną, jakże charakterystyczną, pociechę przytacza fakt, że żandarmerji carskiej nigdy dotąd nie udało się schwycić całego komitetu centralnego naraz, że zawsze przynajmniej jeden jego członek pozostaje na wolności... Nie można wątpić, że gdyby ówczesnym wywodom Lenina i całej konferencji przysłuchiwał się był wówczas już nie jakiś wysoko postawiony i wtajemniczony mąż stanu, ale nawet przeciętny parlamentarzysta lub publicysta europejski byłby wyszedł z przekonaniem, że spędził czas w towarzystwie grupy nieuleczalnych, ale też całkowicie nieszkodliwych manjaków” (str. 39).

Nawiasem mówiąc, w swem uznaniu dla politycznych prorocत्व bolszewickich autor „Elity bolszewickiej” bynajmniej nie jest odosobniony. Przed paru laty p. Stroński, dzisiejszy redaktor „Warszawianki” (wtedy jeszcze „Rzeczpospolitej”), napisał artykuł ubolewający nad sprawdzaniem się prognoz Kominternu w polityce międzynarodowej i gorzko strofował kierowników tej polityki, że pracują tak, jakby umyślnie chcieli spełnić owe prognozy.

Na zasadzie takich i temu podobnych danych autor charakteryzuje umysłowość bolszewicką w sposób dość ciekawy, choć przytem nie można powiedzieć aby zachowywał się mądrzej niż ów „przeciętny parlamentarzysta lub publicysta europejski”. Jeżeli ludzie nie roszczeni sobie pretensji do żadnej nadnaturalnej wiedzy stawiają prognozy i przepowiadają z uderzającą ścisłością, o ile to jest w ludzkiej możliwości, fakty które mają się odbyć — to rzecz jasna, iż ludzie ci muszą mieć jakieś obiektywne dane na których się opierają. Tymczasem p. Srokowski ma do bolszewików pretensję, że traktują jako obiektywne i naukowe takie kategorie społeczne, jak „proletariat”, „klasa społeczna”, „burżuazja”.

W pojęciu bolszewika „klasa społeczna” nie tylko pragnie, dąży, walczy, cierpi, t. j. doznaje pewnych uczuć i wykonuje pewne ruchy i prace, ale ona także myśli, analizuje, syntetyzuje, ocenia, systematyzuje, jednym słowem występuje nie tylko jako istota obdarzona wolą i zdolnością ujawniania jej przez skoordynowane ruchy, ale także rozumem, a w pewnych wypadkach, np. rewolucji, zgoła cudowną nieomylnością.

Innym ulubionym przez bolszewickiego intelektualistę pojęciem jest t. zw. „proces historyczny”. Wyobrażenie (!) to zaczerpnięte z chemii czy biologii i przeniesione do interpretacji zjawisk historycznych, tylko na drodze odległej zresztą analogii, mające oznaczać związek przyczynowy zjawisk historycznych i ich ciągłość, w umyśle bolszewika staje się jedną z głównych kategorii myślenia”. (str. 45).

Na taki zarzut trudno właściwie dać odpowiedź. Operowanie tego rodzaju „wyobrażeniami” (jak to zresztą zaznacza sam autor) nie jest bynajmniej wynalazkiem myślenia marksowskiego. Chcąc nie chcąc musi nim operować każdy historyk burżuazyjny, naturalnie o ile nie zechce traktować historii jako domeny „samowładców” i splotu zawitych intryg. Są to bowiem sprawy bezsporne, stwierdzone doświadczeniem nie tylko historycznym ludzkości, ale i doświadczeniem codziennym. Jeżeli weźmiemy np. historię dawnego Rzymu, to wypadnie traktować arystokrację rzymską, jako jednostkę historyczną, działającą pod naciskiem pewnych konieczności historycznych, w myśl ochrony określonych interesów klasy. Poprzez senat arystokracja rzymska walczy o swój byt polityczny, wygrywa, przegrywa, idzie na kompromisy, *maneurowuje*. To samo można powiedzieć o innych klasach.

Podobieństwo albo jedność interesów wielu jednostek wytwarza ściśle jednolitość odczuwań. W ten sposób „walczy”, „cierpi”, „wygrywa”, cała klasa. Tak np. obecne bezrobocie sprawia dotkliwie cierpienia całej klasie robotniczej, a przynajmniej wprost lub pośrednio ogromnej większości jej członków. Jedność pragnień, odczuwań, cierpień wytwarza jedność walki.

Codzienna obserwacja przekonywuje, że to samo zjawisko odrębnego, grupowego życia spotyka się i w drobniejszych skupieniach grupujących pewną ilość ludzi koło wspólnych interesów lub nawet zainteresowań. Związek, towarzystwo sportowe, koło fabryczne żyje, rozwija się, działa lub zamiera. To samo można powiedzieć o poszczególnych instytucjach. W bardzo scentralizowanych formach władzy państwowej każdy wydział, każdy departament żyje, rozwija się, działa, ma pewne tendencje zdobywcze, dąży do rozszerzenia zakresu swej ingerencji. To samo można powiedzieć o jakimś towarzystwie akcyjnym i t. d. w nieskończoność. To są rzeczy elementarne, spotykające się codzień. Kolektywna organizacja ludzka ma swe własne życie związane z życiem przynależnych do niej jednostek mniej lub więcej ściśle, zależnie od ostrości i siły interesów, wchodzących w grę. Posiada zawsze ludzi, którzy oddają na jej rzecz swą umiejętność działania, inteligencję, doświadczenia życiowe, które jeżeli idzie o organizację długotrwałą, o celach i zadaniach bardzo skomplikowanych, ogarniają nieraz dziesiątki, a nawet setki lat i ustalają na dziesiątki, na setki lat metody działania, normy taktyczne i t. d. Tego zdawałoby się wyjaśniać nie trzeba. Człowiek może istnieć i działać w społeczeństwie tylko przez przynależność do klasy, do grupy. Odsobniona „jednostka” ludzka społecznie jest abstraktem. „Jednostka” ludzka nie opierająca się, choćby nieświadomo-

mie, na kolektywie, na organizacji, jeżeli idzie o praktyczną możliwość działania jest czemś, nieskończenie zbliżającym się do zera.

Zarazem jednak przez swe długie trwanie, przez zbieranie doświadczeń nieskończonej ilości jednostek, wielki kolektyw działający w ciągu wielkiej, a w każdym razie przechodzącej istnienie wielu pokoleń ilości czasu — pozwala ująć swą działalność w pewne normy.

Stąd przyczyna tych zastanawiających zarówno p. Srokowskiego jak i Strońskiego prorocत्व. P. Srokowski uznaje szczegóły ale nie uznaje metody, która niemi rządzi — traktuje on społeczeństwo ludzkie od najdawniejszych czasów do dzisiejszych dni, jako bierne, rozproszkowane stado jednostek, oczekujące przywódcy, króla, sułtana czy dyktatora.

Jak już wspomniałem cała ta sułtańsko-dyktatorska socjologia przystosowana jest ściśle do bieżącej sytuacji w Polsce i do psychologii rządzącego obozu. Dlatego właściwa zawartość studjum o bolszewizmie wisi w próżni. Autor nawet nie trudzi się zbytnio konkretyzować swych wniosków o rewolucji rosyjskiej i o nieuniknionem zwyrodnieniu „elity bolszewickiej” w tym czy innym kierunku — i opatruje to wszystko w końcu znakiem zapytania.

Ta sama sułtańsko-dyktatorska socjologia autora nie pozwala mu dostrzec nawet takiego zupełnie niespotykanego dotychczas zjawiska, jakim jest system sowiecki, zbliżający masy w stopniu dotychczas niepraktykowanym do najistotniejszych spraw rządzenia.

P. Srokowski te sprawy, podobnie jak społeczną i ekonomiczną podstawę władzy bolszewików — ignoruje. Wspomniałem już o politycznych przyczynach obiektywizmu a nawet pewnego podziwu z jakim autor (podobnie jak niektórzy inni publicyści sanacji) pisze o bolszewikach. Ignorując społeczno-gospodarcze podstawy rewolucji traktuje ich prosto jako zuchów, którym udało się pochwycić i utrzymać władzę w dużej państwie. A takimi chcieliby się widzieć dzisiejsi senatorzy.

Wogóle cała metoda autora skazywała go na kluczenie i lawirowanie. Wykazuje to najlepiej zakończenie pracy. Zestawienie z wielką rewolucją francuską pomimo, iż wolne od pewnych stałych wulgarności — jest mało co „przyzwoitsze intelektualnie” od innych tego rodzaju zestawień. Autor gmatwa się w przeciwstawieniach „cywilizacji rasy białej” i rewolucji bolszewickiej, rewolucji narodowej i światowej. Widać, iż materiał przerasta go, że autor traci panowanie nad materiałem. Dobre i to, że znajduje twarde ład w stwierdzeniu tak niespodziewanej prawdy że „Rewolucja bolszewicka nie jest dziełem przypadku, nie spadła z nieba nagle i bez widocznego powodu...” w rewolucji bolszewickiej elementy narodowo-rosyjskiej rewolucji połączyły się z elementami dojrzewającej wielkiej rewolucji całego cywilizowanego świata”. Ależ naturalnie, to samo będzie w każdym kraju — wszędzie elementy narodowej rewolucji połączą się z elementami rewolucji całego świata.

Co prawda na samym końcu p. Srokowski rozkłada ręce:

Zagadka pozostaje nierozwiązana. Ognisty znak pytania, który płonie nad wschodem, nie gaśnie, lecz raczej rozjarza się coraz bardziej. (str. 121).

Pisze to, po zacytowaniu znanej przepowiedni urobionej przez cerkiew prawosławna, że „Moskwa będzie trzecim Rzymem, a czwartego nie będzie”. Staćby się to mogło po objęciu „kierownictwa nad miliardem zaktywizowanych azjatów” (str. 129). „Zagadka, która każdego rozumnego i myślącego człowieka musi niepokoić”. Otóż każdego „rozumnego i myślącego człowie-

ka" łatwo byłoby przekonać, że autor oszukuje swój niepokój. Rzecz nie w samym „miliardzie zaktywizowanych azjatów” ani w „trzecim Rzymie”, ale w tym, że bardzo wiele milionów europejczyków poraz pierwszy w dziejach odnalazło solidarność interesów nie tylko z „miliardem azjatów” ale i z wieloma milionami afrykanów, z wieloma milionami amerykańców. I miliony te po zwaleniu dzisiejszego ładu zbudują nie żaden „trzeci Rzym”, ale nową zupełnie organizację społeczeństwa dającą, po raz pierwszy w dziejach, możliwość swobodnego rozwoju wszystkich sił człowieka.

ZAKŁADNICZY

BRUNO JASIEŃSKI

*Świat
zawisnął
na liczbie
jak na belce dźwigara!
W każdej linie — krzyk pręży się czyjs!
Tylko nas
tylko nas
jak bezcenne cygara
zatrzasnęli
w szkatułkach bez wyjść!
Tylko nas
tylko nas
krągłogłowych i białych
jak żyjące odsetki ich rent
zatrzasnęli
jak w sejfach swoich kas ogniotrwałych
w czarnych domach
tłuc głową
o preś!*

*Dzień
przysyła nam codzien
noc
przemądrą znachorke
Z wąskich palców tchnie słodycz i chłód — —
Gdzieś
za ścianą
ćmią miasta czarnych tłumów machorke
w łajkach fabryk
warsztatów
i hut
Długo człowiek na popiół w nich się zwęglął
i błyszczał
Skargą dymu*

do nieba się piał — —
Suchym kaszlem
gwałtownym
i chrapliwym
jak wystrzał
przyjdzie kiedyś
wykasłać go
z krwią!

We snach
skaczą
jak szczur
ręce chwytne i krewkie
w deszczu weksli
banknotów
i kart
Wszystkie rzeczy na świecie
mają szorstką podszewkę
z naszej krzywdy
rapatej
jak part
Armja mrówek nam wszechświat na atomy rozkradła
poznaczyła je:
który i czyj — —
W waszych skrzętnych mrowiskach
nasze domy-widziadła
będą sterczeć już zawsze
jak kij

Za oknami nam huczy wieczny odpływ
i przypływ
szumem kropel
namolnym
i złym
Żmudny kadryl bezmyślny
lat przestępnych i zwykłych
był łańcuchem jesieni i zim
Kiedyż wreszcie
na syren zachrypniętych skowronkach
sfrunie wiosna dla wszystkich na świat?
Na Pawiakach
w Brygidkach
po Łukiszkach
na Wronkach
my czekamy
czekamy
od lat!

Przyjdzie dzień twój —
o tłumie!
i przegródki dni martwych

*runą
dane na twardy żer łbom
Wypłyniemy
na falach twoich ramion
i bar twych —
sześć tysięcy Allainów Gerbauld!
Będzie w górze
nad nami
migot żrenic
jak w lustrze — —
trzask łamiących się lodów i form
Po cieśninach
zatokach
z najludniejszych w najpustsze
będzie ciskał
i huśtał nas
sztorm*

*Przyjdzie czas
przyjdzie czas
szale wagi się chybną
Jeszcze rok
jeszcze dzień
jeszcze pół — —
Może nam właśnie
nam
być tą kroplą niechybną
co ciężarem
przeważy ją
wdół — —
W wrzawie obcych protestów
w zgiełku słów byle o czym
zagłuszając ich nicość i czerzość
skrwawionemi rękami
w czarne ściany łomocem:
O — otwórzcie!
Otwórzcie!
Już dość!*

D R O G A

J. H E M P E L

Miesięcznik „Droga” uważany jest za organ grupy, nazywanej Piłsudczykami. Mam przed sobą dwa zeszyty, obejmujące pięć numerów tego czasopisma. Nie mogąc omawiać szczegółowo wszystkich artykułów, wybieram najcharakterystyczniejsze. Położenie, w którym znalazła się ta grupa, a które ona sama naiwnie widzi jako położenie całej Polski, bardzo dosadnie opisuje p. St. Zahorska w art. p. t. „Martwość kulturalna a idea kierownicza”.

„Stała się rzecz dziwna — pisze p. Zahorska — że w momencie, kiedy z żywiołową siłą powinno było wybuchnąć napięcie twórcze — nastąpiło jakgdyby wstrzymanie oddechu. Przyczyny dają się zawsze dokonstruować — jednakże sam fakt pozostaje niesamowity. Jest w gruncie rzeczy niezrozumiałe, dlaczego na naszym życiu intelektualnem, duchowem, artystycznym, na całym naszym twórczym życiu wogóle, zaciążyła jakaś martwość.

„Tragedją polskich pracowników umysłowych i artystycznych jest brak społecznego przydziału... Czujemy się wszyscy bezcelowi i niepotrzebni”.

W poszukiwaniu „Idei” p. Zahorska stwierdza:

„Żadna koncepcja realna i konkretna nie została pod słowo „Polska” podsunięta i *Polska do dziś dnia nie wie, czem ma być nazewnątrz i nawnątrz*”.

Na łamach czasopisma, wydawanego przez grupę ponoć twórców Polski nowoczesnej, brzmi to jak wyznanie zupełnego bankructwa ideowego.. Jeszcze jaskrawiej bankructwu temu daje wyraz p. M. Fularski, który w art. „Rola sportu w wychowaniu młodzieży” pisze:

„Przyczyny tego smutnego stanu rzeczy (nadzwyczaj niskiego poziomu ideowego społecznej młodzieży polskiej) są rozmaite. *Najważniejszą z nich jest uzyskanie przez Polskę niepodległości*”.

P. Fularski powiedział to, czego nie śmia formułować bardzo liczni przedstawiciele tego obozu. Osiągnięcie niepodległości spadło na nich, jak dopust boży. Stracili cel w życiu. Czują, że zginęło im coś niesłychanie ważnego i tak wołają w niepodpisanym artykule naczelnym, dedykowanym „pułkownikowi W. S. na pamiątkę wielkosobotniej rozmowy”:

„Za ciasno jest ludziom w dzisiejszej wielkiej epoce dziejowej. Wysiłki nadludzkie i śmierć, w które wczoraj życie obfitowało, dla samych idei wyrozumowanych, lub dla samej dyscypliny państwowej tylko — są sprawą nad siły. Im więcej przeto wysiłków takich poniesiono w niedawnej przeszłości wojennej i rewolucyjnej, im bardziej masową była w takich warunkach moralnych śmierć, tem silniej teraz rośnie tęsknota. Tęsknota za tem, by wymuszał na nas wysiłki pierwiastek jakiś ponadludzki, by śmierć porywała w ofiarne całopalenie dla idei, sięgających ponad naszą doczesność, i by życie całe, to codzienne nawet pracowite życie, opromienione było mytem, namaszczone dostojenstwem symbolów”.

„Wymuszamy na sobie niecierpliwie różne wiary — pisze dalej ten sam autor. — Usiłowania to jednak daremne i puste”.

A na pytanie, czem jest jego własna wiara odpowiada:

„*Wiarą naszą jest Polska...* Polska jako zbiorowy obowiązek wszystkich Polaków wobec świata, jako coś, co w całej pełni *niema jeszcze władzy* na ziemi i dąży ku rzeczywistości, jako przyszły porządek społeczny”.

Słowem, aby stało się zadość pragnieniu p. Fularskiego, który żałuje, że Polska niepodległa już jest, nieujawniony autor tego artykułu przekształca Polskę na marę romantyczną i zapewnia, że jej jeszcze zgoła niema.

Wszystko to łączy się z nawoływaniami ku jakiejś nibyto nowej i nibyto szczególnie polskiej filozofii intuicji, entuzjazmu, uczucia, nastrojów i t. p.

P. A. Skwarczyński pisze:

„W Polsce rozwój i postęp zdobywany był — i to nie tylko w ostatniej fazie dziejowej — wybuchami ducha, inspiracją, ofiarą, heroizmem, czynnym entuzjazmem. Było tak nie w jednej jakiejś dziedzinie. W dziedzinie politycznej i wojennej przykładów takich pełno, od czasów Kircholmu po czasy Piłsudskiego, w nauce — od Kopernika do Narutowicza i Curie-Skłodowskiej, poeci nasi osiągnęli szczyty natchnienia heroizmem ducha i czynu, filozofowie nie byli ludźmi szkoły i systematycznej metody, lecz ludźmi o apostołskim powołaniu”.

Taki artykuł — rzecz prosta — nie może obejść się bez cytaty „Mierz siły na zamiary”.

Cała ta jednak metoda bezmetodyczności — wszystkie te bohater-skie wykrzykniki najwidoczniej zgola nie przynoszą pożądanych wyników, bo — jak widzieliśmy — ci ludzie nietylko mają coś narodowi do dania, ile raczej tęsknie wyczekują, aby im ktoś coś dał, aby ich ktoś ku czemuś powołał, dzisiaj bowiem są „*bez przydziału*” jak to dosadnie określiła p. Zahorska. „Wiarę w Polskę” także dość trudno brać na serio, skoro Polska ponoć nie wie jeszcze sama czym właściwie ma być.

„Nieprawdą jest — pisze p. Zahorska — że przyczyną martwoży polskiej są ciężkie warunki zewnętrzne. Nieprawdą jest, że kiedy trzeba zdobywać chleb, „tworzyć od podstaw”, bronić granic, budować szosy, zakładać fabryki, ustalać robociznę — że niema wówczas miejsca na twórczość duchową”... „W Bolszewji do dziś dnia istnieje katastrofalny głód mieszkaniowy. Gdziekolwiek zresztą nietylko — mieszkaniowy. Warunki produkcji nie są uregulowane, położenie gospodarcze chyba nie lepsze niż u nas. Politycznie — nie mniej. A jednak! — Mimo wszystko Bolszewja potrafiła poddać swej woli, wrzucić do zorganizowanej pracy niemal wszystkie siły twórcze, intelektualne czy artystyczne narodu. Potrafiła uzgodnić w jednym rytmie organizacji i poddać jednej idei dwie, rzekomo rozbieżne i rzekomo wykluczające się mawzajem, strony życia społecznego¹⁾. Mniejsza o samą jakość tej idei. Ale dla niej pracują fabryki i teatry, meetingi polityczne i laboratoria uniwersyteckie. A przede wszystkim faktem jest, że pracują. Że Bolszewja znajduje pieniądze (skąd?) na organizację pracowni naukowych, muzeów, teatrów, na wysyłanie całych rzesz studentów na uniwersytety zagraniczne, że znajduje pieniądze nietylko dla propagandy nazewnątrz swej twórczości, ale na podtrzymanie jej wewnątrz”.

P. Zahorska obok „Bolszewji” stawia także, jako przykład pomyślnego rozwoju, Włochy Mussoliniego. Nie umie jednak podać żadnych rzeczywistych przykładów ich rozwoju. Bo też faktycznie we Włoszech istnieją tylko z wielkim trudem tworzone pozory rozwoju.

Zastanawiając się nad przyczynami tego zjawiska, p. Zahorska zapytuje:

„Kiedy elementy twórczości muszą wejść w skład aktualnej polityki? — i odpowiada, że dzieje się to wówczas — gdy rodzaj programu społeczno-politycznego wymaga niezbędnie zmiany *psychiki mas*... Nowa koncepcja społeczna okazała się niemożliwą do przeprowadzenia bez gruntownego przeorania struktury psychicznej narodu. I w tym momencie twórczość duchowa musiała bezpośrednio zahaczyć o życie i musiała stanąć w służbie nowej ideologii społecznej... Jeśli się to u nas nie stało, najwidoczniej nie zachodziła po temu istotna wewnętrzna potrzeba. Nie pojawił się program społeczny czy też polityczny — tak szeroki i tak nowy, by narzucił konieczność przemiany psychicznej mas ludności. Programy, które się pojawiały i które istnieją dotąd, nie przekraczały najwidoczniej już utartych kategorii psychicznych. Posuwały się po ubitej ziemi”.

Rozumowanie to oczywiście stoi na głowie. W t. zw. Bolszewji nie nowa ideologia musiała wychować sobie nową psychikę mas, lecz wejście do życia nowych mas wytworzyło nową ideologię. Słuszne jest jednak spostrzeżenie — że nowa niepodległa Polska nie przyniosła nic nowego. A stało się to nie dlatego, że nie wymyśliła nowej ideologii, lecz że nie oparła swego istnienia na nowych warstwach, które dla siebie zbudowałyby państwo nowe i nadały temu państwu nową ideologię.

Streścmy poglądy „Drogi”.

1) O jakie dwie strony życia społecznego idzie — trudno zgadnąć.

Poczucie martwoty i bezcelowości współczesnego życia polskiego. — Tęskne oglądanie się wstecz ku legijonowym uniesieniom młodzieńczym i pragnienie, aby te przeżycia górne i chmurne powtórzyły się raz jeszcze. Wyczekiwanie na jakieś niewiadomo skąd nadejść mające rozkazy, marzenia o jakowymś bóstwie, któremu można by się oddać na ofiarę. W poszukiwaniu uniesień religijnych „wymuszanie na sobie różnych wiar” — istny samogwałt religijny. Wobec tego zaś, że zarówno katolicyzm jak inne wiary europejskie już są ostatecznie zdyskredytowane, błąkanie się po wertepach starej religijnej ideologii hinduskiej, która dzięki swej egzotyczności robi wrażenie czegoś nowego. I wreszcie — ponieważ, jak powiada sportowiec p. Fularski, „ideologii nowej, przystosowanej do zmienionych warunków życia politycznego, nie można stworzyć z dnia na dzień, *tymczasem*” — sport.

To — *tymczasem* p. Fularskiego odnosi się właściwie do całej ideologii „Drogi”. cała ona jest *tymczasem* — byleby tylko czemś zagadać, byleby czembądź przesłonić pałace zagadnienia dnia dzisiejszego.

Wszystko to jednak nie farsa, ani nie głupota zapalonych radykałów — jak zdaje się A. Nowaczyńskiemu. Marzyciele z „Drogi” muszą być na coś komuś potrzebni, w przeciwnym razie zgołaby nie istnieli jako grupa społeczna.

Ideologia „Drogi” należy do bardzo rozpowszechnionych dzisiaj na zachodzie i starannie przez burżuazję podtrzymywanych poglądów drobnomieszczańskich. Roi się tam dzisiaj od teorii i teoryjek, propagujących oparcie się na t. zw. psychologii, na uczuciu, na nastrojach, na intuicji, bohaterstwie i t. p. W Niemczech nie brak przedstawicieli tych kierunków zarówno między jawnymi obrońcami burżuazji, jak między socjaldemokratami i socjalkatolikami. Wymienię tylko kilka nazwisk: Max Scheller, A. Pieper, Max Weber, O. Spann, A. Kranold i wielu innych. Wydają oni grube tomy, dowodząc, że nadchodzi nowa nauka, uduchowiona, przeciwstawiająca się ponoć już starej materialistycznej. Ta nowa nauka zamiast przeszkadzać religii w obezwładnianiu mas pracujących spełnia właściwie tę samą funkcję społeczną, co religja. Jest to unaukowiona religja nowoczesna, zdolna z powodzeniem bronić promieniejących wzniosłym idealizmem zysków kapitalistycznych, przed atakami ze strony zmateralizowanego motłochu.

Gdyby współpracownicy „Drogi” posiadali przygotowanie naukowe profesorów niemieckich i gdyby czytające drobnomieszczaństwo polskie było rynkiem księgarskim, zdolnym do pochłaniania grubych tomów, mielibyśmy to samo zjawisko w nieco większej skali i ze znacznie większym nakładem uczoności. Polskiemu zaściankowi muszą wystarczyć wykrzykniki p. Skwarczyńskiego, operowanie kilku niewyszukanymi frazesami i powoływanie się na Mickiewicza. Na zmianę charakteru zjawiska społecznego zgoła to jednak nie wpływa. Zarówno u nas jak w Niemczech grupy te posiadają te same zadania społeczne.

Sławny przed kilku laty Spengler, przerażony klęską wojenną swej niemieckiej ojczyzny i wzbierającą falą ruchu robotniczego, pisał o upadku Europy zachodniej. Domniemane bankructwo kultury zachodniej, było właściwie burżuazyjnym hasłem bojowym, wezwaniem do obrony dóbr burżuazyjnych przed rewolucyjnym ruchem robotniczym. Nasi neoroman-tycy i neoreligiancy z „Drogi” z dziwnym upodobaniem piszą o bezideo-wości Polski i ze śmieszną powagą szukają odpowiedzi na pytanie: *po co właściwie istnieje Polska?*

Ani na chwilę nie przychodzi im na myśl, że zamiast głowić się nad wymysleniem jakiejś racji bytu dla tej biednej Polski, dużo lepiej by zrobili, gdyby zastanowili się, w jaki sposób ta dzisiejsza burżuazyjno-obszarnicza Rzeczpospolita Polska powstała i czyim interesom faktycznie służy?

Żywo wspominając tak niedawne czasy legjonowe i porównując z nimi dzisiejszą swą pustkę, wołają o jakieś myty i symbole religijne, jakby w czasach walk legjonowych który bądź z nich myślał o mytach i symbolach. Nie myty i symbole uskrzydlały ich wówczas, jeno działające jeszcze w masach złudne nadzieje na tę Polskę, którą ich wysiłki urzeczywistnić miały. Szło przecie z nimi sporo proletariatu, szła i młodzież chłopska.

Inaczej mówiąc—to co dawało im siły wówczas—to nieuświadomione przez nich same parcie mas pracujących, to otaczająca ich atmosfera moralna nadziei—zdawało się—nieograniczonych. Z masami pracującymi nie współwalczyli oni nigdy, ale udawało im się wytwarzać wokół siebie złudzenia i to wystarczało do dania im samym pełni zadowolenia moralnego.

Czemuż dzisiaj do tego powrócić nie mogą? Czemu szukają jakichś mytów i boleśnie wymuszają z siebie frazesy quasi-religijne?

Bo te masy, które oni łudzili obietnicami, przekonały się czym jest Polska dzisiejsza. Masy pracujące poznały tę Polskę nie przez rozumowania idealistyczne, lecz przez głód i nędzę, poznały ją przez represje wszelkiego rodzaju, przez więzienia i wyroki. I wokół zakłamanych ideologów legjonowych powstała bolesna dla nich sama pustka, którą daremnie starają się dzisiaj zapęłnić paplaniną mistyczną.

Pani Zahorska mówi nieprawdę, gdy wmawia w nas, że nie wie kto był protektorem powstającej Polski obszarniczo-burżuazyjnej i jaką rolę spełniała Polska w świecie kapitalistycznym. Zarówno pani Zahorska, jak inni współpracownicy „Drogi” wiedzą bardzo dobrze, na czym polega misja Polski dzisiejszej jako t. zw. przedmurza cywilizacji zachodniej. Jeno „Droga” usiłuje maskować tę wyznaczoną Polsce rolę przez wmawianie w czytelnika, że Polska dzisiejsza, nie przestając być państwem burżuazyjnym, może z żandarma pogranicznego stać się twórczym genjuszem ludzkości—byleby tylko każdy obywatel Polski dostatecznie uidealistycznił, czy umistycznił się.

Teraz możemy odpowiedzieć na pytanie, po co istnieje „Droga” i jej ideologia?

Burżuazja utrzymuje tę grupę w tym samym celu, w którym utrzymywane były i są wszystkie religie: zadaniem ich jest wytwarzanie i narzucanie masom zagadnień złudnych, stawianie zadań nibyto niesłyszanych, nibyto narzucających się jak imperatyw kategoryczny, a w rzeczywistości zgoła niewykonalnych. Wszystko to zaś dla powstrzymania robotniczej myśli krytycznej, dla odwrócenia uwagi od spraw rzeczywiście ważnych, które tymczasem w myśl swych własnych klasowych interesów spokojnie załatwia burżuazja.

Ponieważ zaś podmiotem ideologii „Drogi” jest drobnomieszczaństwo, warstwa niesamoistna, rozdzielana sprzecznościami wewnętrznymi, pod całą tą akcją niema wiary w jej skuteczność. Wszystko to jest tylko na *tymczasem*, jak trafnie wyrwało się p. Fularskiemu.

Trzeci już tydzień pułk usiłował zdobyć bród przez rzeczułkę Ik. A bród był doskonały. Daleko, nawet w dni pochmurne, połyskiwało żółte, piaszczyste dno rzeczułki. I kiedy się patrzyło na ten wesoły połysk — każdy myślał, iż wystarczy przejść bród, a zacznie się lekka, wesoła wojna. Biali luną wzdłuż linii kolejowych, pułk wbiegać będzie co dnia do nowego miasta, a pociągi ze zbożem (jak gdyby zmęczone radością) syte popełzną na Ruś!

Komisarz pułku, Aleksander Piotrowicz Denisiuk, był spokojnym człowiekiem czynu. Martwiły go niepowodzenia pod brodem. I prócz tego sprawiało mu sporo zmartwienia, że, wobec wzrastającego ustawicznie pośpiechu, w żaden sposób nie udawało mu się zaprezentować sprawionych na święto, z wielkim trudem i wielką oszczędnością — wspaniałych galifé i frencza koloru sparciałej słomy. Zaledwie wypadło święto — a już kazało atakować, w ciągu zaś tych trzech tygodni, jak na złość, nie było ani jednego święta rewolucyjnego, a paradować w nowym ubraniu podczas świąt kościelnych Denisiuk się brzydził. Wieś Talica, w której kwaterował sztab pułku, kilkakrotnie przechodziła z rąk białych do czerwonych. Chłopów wy-czerpała wojna, nie było więc w tem nic dziwnego, gdy któregoś dnia za-meldowano Denisiukowi: na linii czołowej zjawił się z Talicy mieszkani-c jej, Maciej Kostiukow, tytułujący się bogiem Maciejem i oznajmił: „kule go się nie mają i nakazuje natychmiast zaprzestać wojowania!” Denisiuk mało wierzył w pracę kulturalno-oświatową, gdy jednak zjawiło się tak żywe wcielenie przesądów — rzekł z zadowoleniem: „Ano, wymawiają nam, że nie prowadzimy ponoć roboty kulturalnej. A my im teraz taki referacik kropniemy, że ha!...” — i kazał przyprowadzić boga. Bóg Maciej kazał się chłopkiem niewielkiego wzrostu, o głowę niższym od Denisiuka. Miał na sobie czystą, płócienną koszulę po kolana. Twarz miał bladą, wnie-bowziętą; maleńka, do góry zadarta bródka lśniła wysmarowana olejem lampkowym, lśniły również i kąciki długich warg. Denisiuk lubił ludzi za-dowolonych, sam był zadowolony z wielu rzeczy — z tego, że pułk posu-wa się z powodzeniem naprzód, z odwagi żołnierzy i własnej, a De-nisiuk był rzeczywiście odważny, i to odważny plakatowo jakoś, na wesoło; (biegł naprzykład na czele pułku i wrzeszczał: „zginiemy za rewolucję”, ro-bił przytem jakiś gest nieprzyzwoity w kierunku białych — i to cieszyło dla-czegoś żołnierzy i wzruszało ich do łez) — przedstawiono go do orde-ru, w gazetach pisano o nim kilkakrotnie — wycinał starannie te korespon-dencje, naklejał je na papierek i wysyłał matce, do domu. Bóg Maciej po-dobał mu się, chociaż Denisiuka drażniła nieco jawna pobłażliwość Macie-ja. Między nimi miała miejsce mniej więcej taka rozmowa:

— Czy istotnie uważasz się za boga?

Denisiuk poczuł natychmiast, że pytanie wypadło głupio, zaś Maciej, zdaje się, to zrozumiał, bo odrzekł z większą niż przedtem pobłażliwością:

— A przecie, jestem bogiem — we własnej osobie. Przyszedłem wam powiedzieć, że wojować nie trza, głupie to, a żyć należy w pokoju i ra-dości. Ot i mnie bez to kula się nie ima. Kazałem jej mnie się nie imać!

I znów spojrział na Denisiuka w taki sposób, iż ten poczuł w sobie wewnętrzne jakieś zmieszanie — i znów zabłysły pobłażliwie kąciaki długich warg Macieja. A Denisiuk, zdając sobie sprawę, że mówić nie należy, palnął jednak drugie głupstwo:

— A ja, rozumiesz, wezmę i wysłę cię na pierwszą linię!

Wypadło to już zupełnie ni w pięć ni w dziewięć, bo bóg Maciej aż się na stronę odwrócił, jak gdyby wstyd mu było powiedzieć: „A toć byłem przecie na pierwszej linii, pocóż mnie tamuj odsyłać?” I poszedł sobie, jeszcze bardziej promieniejąc brodą, twarzą, wargami, — żołnierze, uśmiechając się żałośnie i trwożnie, przepuścili go. Denisiuk pomyślał sobie, że właśnie czas powiedzieć coś pouczającego, w rodzaju — ot, przesady i ciemnota, jak ten próg, wszystkim pod nogi spozierają. Tyrada wypadła przydługą, nieprzekonywującą.

Sztab dywizji nadesłał pilną depeszę — wzywano go. Zapomniał o bogu Macieju, a jednak lekki niepokój tłukł się gdzieś po wnętrzu Denisiuka, i dlatego na posiedzeniu dowodził, z niezwykłą u niego zapalczywością, konieczności natychmiastowego przejścia do ataku. Propozycję jego odrzucono. Sztab był w posiadaniu dokładnych wiadomości, że biali szykują się przejść przez rzeczulkę Ik, do brodu ściągnięto znaczne siły. Tego rodzaju doniesienia dawniej zawsze dodawały mu animuszu — bardzo już bowiem ufał swemu szczęściu. Teraz jednak wrócił do pułku w tym samym stanie trwożnego podniecenia. Z jakąś wrogością względem siebie samego wysłuchiwał doniesienia politruka*). Politruk, tow. Połtawskij, krępy, ospowaty człowiek o zaostrzonych i wysoko postawionych uszach, często mawiał o sobie: „Ja — jak ta pijawka: krew piję, ale i życie daję. Dla pomyślności rewolucji najważniejszą rzeczą jest — wyzbyć się miłosierdzia”. — Teraz też powtórzył to przysłowie i dodał, że na pozycjach czołowych żołnierze są zmieszani: przed okopami kilkakrotnie przechadzał się bez szwanku bóg Maciej. Politruk lubił Denisiuka i mówić mu o tem, widocznie, było przykro, lecz zarazem miło mu było pokazać, że jest bezlitosny. Rozmowa toczyła się w chacie chłopskiej. Denisiuk dostrzegł nagle, że wszystkie chaty, które widział w ciągu ostatnich miesięcy, wewnętrznym sprzętem swoim dziwnie jakoś podobne są jedna do drugiej: chłopci chowają wszystko zbędne, pozostałe zaś sprzęty nieodzowne we wszystkich chatach są te same. Gospodarz chałupy, jak widać, musiał być bardzo pobożny — na ołtarzyku w kącie zostawił obrazek w srebrnej kapie. A i gospodarz sam słuchał ich rozmowy z jakimś podejrzanym spokojem i oczyma. Denisiukowi sprawiało przykrość widzieć to wszystko i rozumieć, lecz zarazem zdawał sobie sprawę, że i tak nic nie wymyśli i że długo jeszcze będą lały mu do głowy niepotrzebne myśli o chatach chłopskich, o obrazkach, o gospodarzach. Pojechał więc na pierwszą linię. Okopy wykopano naprędce, w gruncie piaszczystym, lecz zdążyły już nasiąknąć zapachem barłogu ludzkiego, parciankami, wszędzie walały się niedopałki kręconych papierosów i tylko niepomierna grubość tych niedopałków przypominała o wojnie. Bóg Maciej siedział w okopie na pustej i bardzo brudnej beczulce od śledzi. Z apetytem zjadał olbrzymią pajdę razowego chleba, maczając go w czajniku z herbatą. „Garczekbyście mu dali” — niewiedomo poco rzekł Denisiuk. Żołnierz, przyglądający się jedzeniu boga, odrzekł w zakłopotaniu i zarazem z poważaniem: „Daliśmy mu garczek, a jakże, ale on

*) Kierownik polityczny.

w zapomnieniu wyszedł na ten swój obchód, ano to mu kulą rozbili garczek". — Koszula na bogu Macieju była już brudna i pomięta, drażniły zwłaszcza przylepione do koszuli łuski śledziowe. I wydało się Denisiukowi, że żołnierze patrzą teraz na boga nie z dawną przychylną dobroduszością, do której był już przywykł, lecz że dobroduszość ich stała się teraz wymuszona jakaś, umyślna. Oto stłoczyli się naraz i zaczęli prosić o tytoń, chociaż tytoń wydano im zaledwie wczoraj — i to również go niepokoiło. Dzień był jasny. Za rzeczulką nad okopami białych leciała wrona i widać było wyraźnie, że gdy wrona machała skrzydłami (z pewnem znużeniem a może w poczuciu szczęścia) od skrzydła oddzieliło się kilka piór i wkrótce jedno pióro wypadło i, kręcąc się spiralą, powoli i ciepło jakoś padało na ziemię. Zadygotał i zgął karabin maszynowy. Bóg Maciej dojadł chleb, zebrał do podołka okruszyny, chciał je do ust włożyć, lecz wyrzucił za okop — „niechaj i ptactwo poje..." — rzekł kłamliwym, jak widać, obcym mu tenorkiem, a potem dodał już rzeczowo: „Tyś nie widział, ja ci pokażę, Aliksander Pietrowicz. Wojować nie trza, Aliksander Pietrowicz!" — Obciągnął koszulę, poprawił pasa, podsunął beczulkę i, postępując jakoś osobliwie, wylazł z okopu. Biali natychmiast dali ognia. Bóg Maciej, drobniutkim kroczkiem, nieustannie wycierając usta ręką i przekornie, boczekiem, spoglądając na Denisiuka, przeszedł się dwa razy wzdłuż okopów, postął, pomyślał, uśmiechnął się chytrze i mgliście i, zerwawszy żółty, nieprzyjemnie pachnący kwiatuszek, wrócił do okopu. Kwiatuszek podał komisarzowi. Denisiuka uderzyło nie to, że bóg Maciej wrócił bez szwanku, lecz to, że czerwonoarmiści nie odpowiadali na wystrzały i że on, komisarz Denisiuk, nie rozkazał im dać ognia. Należało wzruszyć ramionami i odejść, uprowadzić z sobą tego pomyłonego głuptasa, manjaka, lecz Denisiuk zrozumiał, że postąpić tak nie można: żołnierze spoglądali na boga Macieja żałośnie, surowo i zarazem z jakimś zachwytem. I wychodziło na to, jakby w konia łaciastego, nie szyto, nie krojono, a klin wstawiono. I dreszczem opaliła go myśl: „ucieknę" (strach go nachodził, jak i większość ludzi, po dokonanej już okropności) — obecnie żadnej okropności nie było, niemniej jednak strach go ogarnął. Zgrubsza i pokrótce mówiąc, miał takie poczucie, jak gdyby żołnierze już biegli, biegli po nim, po jego szczęściu, po zasługach jego wobec rewolucji i siebie samego... Więc zaczepnie, jak pędrak, krzyknął:

— A ja ci mówię, że cię kropną!

Bóg Maciej nawet nogą przytupnął i tak samo zaczepnie, troszeczkę może wyższym tonem, wykrzyknął:

— A ja ci mówię, że nie kropną! Jestem bogiem czy nie?

I zwrócił się do żołnierzy. Czerwonoarmiści milczeli. Bóg wgramolił się na beczulkę, znów postępując jakoś osobliwie. Niepotrzebna i głupia myśl o robocie kulturalno-oświatowej znów przyszła do głowy Denisiukowi. Ale na rozmyślanie nie było czasu, trzeba było się śpieszyć, rzekł więc surowo:

— Już ja ci urządzę sztuczkę pogładową.

— Czego? — odwracając się wesoło spytał bóg Maciej.

— Próbe — twardo i ostro odciął komisarz.

Wówczas bóg Maciej odrazu przygaśł. Usadowił się ponownie na beczulce, przemówił pouczająco: „My z tobą — niczem niebo i ziemia: dwa buhaje się boda, a zejść się nie mogą... a jednak ja z tobą będę rozmawiać". I powolną, rzeczową, chłopską gwarą począł opowiadać komisarzowi, jak

myśli urządzić próbę. Wybrał pole, powiadając, że topola tam stoi pośrodku, do wiatru podobna. Porównanie nie podobało się Denisiukowi, odrzekł — że takiego pola jakoś nie widział. Wówczas bóg Maciej dodał, że pod topolą doskonale będzie pouczać i opowiadać przypowieści. Ma on nawet taką jedną przypowieść... Komisarz przynaglał go, więc bóg mrugnął nań porozumiewawczo: potem, rozumiesz, opowiem ci... Gwarzył bóg spokojnie i pewnie, i wkrótce Denisiuk, jeśli nie we wszystkim, to jednak prawie zupełnie zaufał swej myśli, że bóg Maciej przed samą próbą stchórzy i wycofa się. Denisiuk znów odzyskał dobry humor, poklepał się po futerale kolta, szedł okopami i życie znów wydało mu się proste i wesołe. Próbę wyznaczono nazajutrz o zachodzie słońca. Politrak, tow. Połtawskij, wstąpił wieczorem do chaty, podreptał, gadał coś o jakimś śmiesznym liście, i w zakłopotaniu dorzucił, że obrazu w srebrnej kapie gospodarz jednak nie schował. „Zapomniał pewnie”, — rzekł, podchodząc do pieca i opierając się o niego tak, jak gdyby mu było zimno... Szybko wyszedł, nie dopowiedziawszy swych myśli, chociaż wątpliwe, by miał coś istotnego do powiedzenia — wówczas bowiem właściwa mu wiara w swą nielitościwość pomogłaby mu zapewne. Denisiuk zasnął prędko.

Dzień wypadł ciepły, suchy. Gdy Denisiuk przechodził pod drzewami, na ręce i ramiona padały mu liście jesienne — gorące, chrzęszczące, pachnące dziwnie: czadem. Olbrzymie pole tchnęło nań ciepłem. Topola pośrodku pola istotnie przypominała czemś wiatr. W oddali za dźwięczną, starczego koloru trawą widać było drgający purpurą lasek jesionowy. Żołnierze byli trwożnie podnieceni, oczy mieli obrzmiałe, pewno źle spali. Obok nich w stronę lasku jesionowego na nieosiodłanym koniu przejechał bóg Maciej. Za dnia wydano mu ćwierć funta mydła, przyniósł sobie z rzeczutki, pod ogniem, dwa wiadra wody — i wyprał koszulę. Koszula wyschła, zgrabiła nieco — fałdy i teraz jeszcze sterczały wyraźnie po bokach. Konia wybrał siwego. Wymył go również. Zatrzymał się na chwilę i, nie patrząc na żołnierzy, krzyknął im w jakimś wesołym zachwycie, by strzelili, jak tylko słońce zacznie się zniżać... Żołnierze milcząc potrzeli trwożnie na ostre jego łopatki, poruszające się pod schludną koszulą. Koń ruszył kłusa. Denisiuk spojrzał na niebo: słońce opuszczało się za barki żołnierzy, bogowi Maciejowi więc świecić będzie prosto w twarz. Denisiuk dał rozkaz załadować karabiny pustymi nabojami. Na chwilę żołnierze uśmiechnęli się, lecz zaraz potem zapomnieli widocznie o pustych nabojach i, mocno ściskając karabiny, trwożnie i ze znużeniem w oczach patrzyli na lasek jesionowy. Z lasku doleciał śpiew psalmu. Ani komisarz, ani żołnierze nie rozróżniali słów, a słowa były takie:

Maluczko, a nie stanie księcia ciemności
Spójrzysz na miejsce jego —
I już go niema
A pokorni odziedziczą ziemię
I napoją serca swe ogromem pokoju...

Bóg Maciej przyzwyczaił się śpiewać psalmy. Śpiewał i myślał razem, że oto pieśń, jak cebula — bez bólu, bez smutku, a wyciska łyż. A komisarz Denisiuk czekał aż słońce zajdzie, stał o trzy kroki od wstrząsanych dreszczem wewnętrznym żołnierzy — i myślał mglisto, że ten oto, tuż obok niego stojący, rumiany i kędzierzawy (Pietrow, zdaje się, z nazwiska) — jeżeli nie trafi w boga, spokojnie i szybko zarazem, a to zawsze wydaje się

czemś niespodziewanem, — skieruje w stronę komisarza karabin i wepchnie mu pod płuca bagnę. Śpiew wzmagął się. Głowa końska wychynęła z lasku. Powoli, na siwym koniu (purpurowa aureola płonęła nad jego głową) ukazał się bóg Maciej. Aureola ślepiła oczy. „Co za bzdura!” — pomyślał ze wstydem i złością Denisiuk. I krzyknął, patrząc w ziemię — „ognia!” — podczas gdy strzały padły znacznie wcześniej niż jego rozkaz. Żołnierze strzelili bezładnie. Koń, nawykły do strzałów, spokojnie usiłował skubać trawę — dlatego ręce boga Macieja wyciągnięte były w naprężeniu, śpiew mu się urywał i bóg czuł się urażony, bo myślał, że żołnierze wezmą to na karb jego tchórzliwości. Śpiewał więc, ale głosu mu nie starczało.

Aureola wciąż mocniej i mocniej biła w oczy. I wówczas Denisiuk chwycił karabin. Pośpiesznie załadował go ostremi, odrazu zmokłemi w ręku, nabojami. Bóg posuwał się bezustannie naprzód. Puste naboje wyczerpały się. Żołnierze z tym samym wyrazem twarzy bili ostremi: widoczne było, że odrazu nie uwierzyli, by im dano puste. Najbardziej śpieszył się rumiany Pietrow! Wystrzały wyrównywały się i wkrótce przeszły w salwy — i kiedy trzy takie salwy padły jedna po drugiej, oddzielone równymi przerwami — Denisiuk odrzucił karabin, spojrzał na twarz — i odwrócił się. Ręce mu drżały i nie trafiały do kieszeni frencza, twarz całą miał mokrą. Salwy ucichły. Komisarz spojrzał. Na ziemi, rozpaczliwie rzucając głową, koń zdychał w przedśmiertnych drgawkach. Żołnierze pobiegli, lecz bóg Maciej podniósł się z ziemi. I żołnierze na chwilę przystanęli. Równy obłoczek dymu buchnął nad nimi. Znowu pobiegli. Bóg upadł. Szybko — niewiadomo dlaczego poprawiając rewolwer — komisarz pobiegł do boga Macieja. Ramię jego było mokre i amarantowe. Uśmiechając się z zadowoleniem i błogością, bóg próbował unieść rękę — i nie mógł. Na czole cienkimi wstążeczkami przywiązany miał kawałek lusterka. Spostrzegł komisarza, uśmiechnął się z większym jeszcze zadowoleniem i rzekł powoli: „No i cóż, chłopcze, mówiłem ci — mnie sprzątnąć nie można! Kto mnie sprzątnie? Jestem bogiem — czy nie?...” I wówczas Denisiuk (zdając sobie sprawę, że tak postępować nie można, lecz że on inaczej postąpić nie może) pośpiesznie wsunął rękę do futerału rewolweru i to, że futeerał był niezapięty, niewiadomo dlaczego dodało mu otuchy, może dlatego, że wszystko to zawczasu gdzieś głęboko wewnątrz było już postanowione — pośpiesznie wyrwał Colta i jedną po drugiej wpakował w boga trzy kule. Obejrzał się — żołnierze bezdźwięcznie, nie wiedząc o tem widocznie — śmiali się. I sam Denisiuk, nie wiedząc czemu, roześmiał się. Obejrzał się na trupa i wsadził mu jeszcze jedną kulę. I wówczas wszyscy nagle spowaźniali. Rumiany i kędzierzawy Pietrow okazał się najroztropniejszy. Pobiegł po łopaty. Boga Macieja pochowano pod topolą; mogiłę wykopano płytką, bo Denisiuk naglił; mówił, że zbiera się na burzę — i rzeczywiście powietrze było suche, nie można było włosów przysładzić — tak trzeszczały trwożnie: — będzie burza napewno! I podczas kolacji naglił i, nie dojadłszy kolacji, zerwał się — dyspozycji takiej wcale nie było. Lecz Denisiuk kazał iść do ataku, jakgdyby się bał, że szczęście go opuści. Pułk zamruczał potakująco; zamigotały w rękach karabiny — i szczęście naprawdę nie zdradziło Denisiuka: nad ranem bród zdobyto, biali cofnęli się, porzucając tabory i armaty — a sam komisarz pułku, Aleksander Pietrowicz Denisiuk, zginął jak przystało na bohatera — na czele wszystkich! Przebaczone mu samowole; chowano go z paradą, nakrytego sztandarami niesiono przez lasek jesionowy, a potem po dźwięcznej, starczego koloru trawie, pod topolę, która istotnie była podobna do wiatru.

Burzy jednak nie było i jak przedtem trwała wielka susza. Politrak Połtawskij miał długą mowę, wytarł łzy — i wielu wytarło łzy. Olbrzymi tłum otoczył topolę i nikt nie zauważył, że mogiłę boga Macieja zupełnie zrównano z ziemią nogami (a zresztą piasek szybko schnie, rozsypuje się). Nasyp boga Macieja zniknął. A na nasyp komisarza Denisiuka, który może o głowę tylko był wyższy od zczeszłego nasypu boga Macieja — pułk długo się zastanawiał: co położyć godnego, a ponieważ dnia tego strącono samolot białych, więc w nasyp wkopano śmigło samolotu, ołówkiem chemicznym wypisano tłusto: — „zginął śmiercią walecznych” — i pułk ruszył dalej. Dnia tego było wielkie święto rewolucyjne i komisarz Denisiuk dumnie i prosto leżał w swej mogile, ubrany w nowy frencz i galifé wesołego koloru sparciałej słomy.

Przełożył W. W.

K I N O

CAR IWAN GROŻNY

Wśród filmów historycznych, których tak wiele produkują wytwórnie niemieckie i amerykańskie „Car Iwan Groźny” stanowi unikat. Filmy takie bywają naogół robione raczej kostjumowo, z dużym naciskiem na rekwizyty, „odzwierciadlające” daną epokę, ale z zupełnem wypaczeniem jej ducha. Epoka wychodzi najczęściej mizernie — bywa zawsze cokolwiek wylizana w sensie pewnej wulgarnej, operowej idealizacji, właściwej tak zwanym powieściom historycznym. Wulgaryzacja polega przedewszystkiem na wysunięciu na pierwszy plan cynika intrygi osobistej, powiązanej z wątpliwą historycznością przedstawianych wypadków. Historyczność kina w najlepszym razie bywa taka, jak historyczność powieści Dumasa ojca i Sienkiewicza.

Sprawy te zresztą związane są ściśle z tendencjami wychowawczemi dzisiejszego ustroju. Widz, czytelnik dzisiejszy, z historią zapoznaje się w szkole, gdzie mu ją dają w sposób niezmiernie wulgarny, wykrzywiający i zaciemniający tendencyjnie wypadki dziejowe, z wysunięciem na pierwszy plan roli czynnika personalnego. Widz ów, czytelnik przyzwyczajony się traktować dzieje swego czy cudzego kraju, jako mniej lub więcej frapującą kronikę kryminalną, gdzie bohaterowie i wogóle ludzie cnotliwi walczą z łotrami i szalbierzami, wygrywają lub przegrywają. Wytwarza to z gruntu fałszywy stosunek do historii samej, niezdolność zrozumienia i odczucia jej powagi, tego, że powaga ta może być niemniej interesująca od najsprytniej obmyślanej intrygi. A scenariusze filmów historycznych podobnie jak powieść historyczna przez swą fabułę dopuszczającą w szerokim zakresie nonsensy logiczne i psychologiczne — zbliżają się najbardziej do współczesnego romansu brukowego.

Jako typowe filmy historyczne wysokiej klasy, można wskazać np. „Dwie sieroty” Griffitha i niemiecki film „Lucrezia Borgia”. Zwłaszcza pierwszy z nich stanowi swego rodzaju arcydzieło ogromnie chwalone i naśladowane. Otóż „Dwie sieroty” posiadają bardzo wiele ładnych, efektownych, miejscami fascynujących, scen o wysokiej wartości, estetycz-

nej", ileż w tem wszystkim jednak głupoty i wulgarności historycznej! Aby rozszerzyć fabułę uczynić ją bardziej efektowną i zajmującą Griffith niemiłosiernie obniża i wulgaryzuje przedstawienie epoki. Z działaczy historycznych jak Danton, Robespierre robi błaznów i śpiewaków operowych. Wylewa całe jeziora głupstwa, aby móc na nie puścić stateczki estetycznych lub wstrząsających scen (Danton pędzący na czele wiernego oddziału kawalerji, aby wyciągnąć z pod tasaka gilotyny miłą dziewczkę i t. p.). Ażeby tem pewniej wzruszyć serca tkliwych sklepikarek i przekonanych czytelników romansu brukowego, Griffith nie waha się przed popełnieniem żadnego nonsensu. Podobne traktowanie materiału historycznego przejawiają filmy niemieckie, gdzie w dodatku jak np. we wspomnianej „Lucrezii Borgia”, wszystkie nonsensy i idjotyzmy, dla większej autentyczności, z rozpaczliwą niemiecką dokładnością opatruje się datami.

Nic podobnego niema w „Carze Iwanie Groźnym”. Scenariusz rozumny, sensacyjność intrygi nie wchodzi w paradę materiałowi historycznemu. Nadaje to całemu filmowi wielką jednolitość koncepcji. Przy całej akcesoryjności, przy obfitości „autentycznych” rekwizytów, film jest realistyczny. Czasy Iwana Groźnego to właściwie pełnia rosyjskiego średniowiecza. Nigdy jeszcze w żadnym filmie, nie zostały wydobyte i oddane z taką potęgą i realizmem najistotniejsze cechy średniowiecza — naturalnie nie tego średniowiecza, które spopularyzowała literatura romantyczna i które przeniknęło i utrwaliło się w świadomości przeciętnego europejskiego inteligenta. Całe ubóstwo, ciasnota życia średniowiecznego, brak warunków, które dziś uważane są za elementarną konieczność życiową — a co przecież łączy się ściśle ze światopoglądem — wydobyte i oddane zostało w „Carze Iwanie” z bezkonkurencyjną ścisłością. Weźmy np. realistyczne traktowanie życia dworskiego oraz „przepychu”, właściwego tym monarchom, którzy posiadając wiele krajów i prowincji, obywali się bez koszuli na grzbiecie, albo jak car Iwan jadali drewnianymi łyżkami i pili z drewnianych rynienek. Cała ta masa szczegółów obyczajowych, bytowych ani na chwilę nie wysuwa się na plan pierwszy, nie przytłacza akcji, podobnie jak nie przytłaczają jej aktorzy.

Rosja Sowiecka nie posiada „gwiazd” kinowych w stylu amerykańskim, lub niemieckim. Najlepsze filmy rosyjskie są robione albo bez aktorów, jak „Pancernik Potiomkin” albo też z aktorami teatralnymi, jak „Car Iwan Groźny”. Ale też kino sowieckie nie jest terenem dla popisywania się solistów, pozbawione jest operowości, jaką nieuchronnie wprowadza panowanie gwiazd. Pozostaje to w zgodzie z ogólnymi tendencjami społecznymi, i wysunięciem na pierwszy plan działania w ramach kolektywu. Powstaje stąd nowa zupełnie filozofja życiowa, nowy stosunek do zjawisk, inny sposób patrzenia na życie.

Należy to zaakcentować tembardziej, że ludzie przywykli do fryzjerskiego idealizowania, do dotrych zakończeń amerykańskiego kina, uważają „Carę Iwana Groźnego” za film pcnury, przygniatający, bez perspektyw. Ale trzeba tylko na sprawę spojrzeć inaczej nie z punktu widzenia snoba ignorującego walkę wielkich sił społecznych i demagającego się choćby w imaginacji spokoju, siesty, choćby fałszywych błogostanów, za wszelką cenę — a wtedy przejawia się potężny optymizm filmu. Optymizm ten idzie przede wszystkim od pewnej siebie, zuchwałej energii chłopca wynalazcy od jego bezwzględnego oddania się, podporządkowania

nurtującej go idei wynalazku. Że idąc za tą myślą nie może dojść do celu, nie może zwyciężyć—to jest tragizm, ale tragizm wyższego nie jednostkowego porządku. Nikita zostaje zgnieciony przez ślepią siłę teologicznego poglądu na świat, przez tyranstwo uważające każdą wielką próbę opanowania przyrody, wzmoczenia sił ludzkich—za powstałą z djabelskiego poduszczenia. Była to ta sama moc, która gniotła Rogera Bacona i która zgubiła tylu innych. Dlatego też w zgubie domorośłego lotnika z czasów Iwana nie ma nic przypadkowego—owszem zguba owa podkreśla z nie- miłosierną dokładnością walkę wielkich sił historycznych, wobec których błędnie najbardziej nawet reprezentatywnej jednostki. Nie ulega np. wątpliwości, że gdyby Nikita ocalał (jakby to niezawodnie zrobiono w filmie amerykańskim), to jednak los tych wartości które on reprezen- tuje nie zmieni się na lepsze. Dla człowieka, który przywykł patrzeć na życie, z punktu widzenia jednostki „dobre” zakończenie anegdoty jest wszystkim, pozwala ono odpocząć myśli, nie zajmować się problemami życia. Ale zupełnie inaczej działać muszą te rzeczy na widza wdrożonego do myślenia w ramach kolektywu.

W „Carze Iwanie” historia nie jest traktowana jako przedmiot kon- templacji, czy zachwytów estetycznych, oderwanych od dnia dzisiejszego. Tutaj historia wciągnięta została w konflikt. Zakończenie dramatu nie kończy sprawy, ale stanowić może raczej pewien punkt wyjścia, otwiera perspektywy na zagadnienia—wyrażając się starą terminologią—wieczne; to właśnie co stanowi o wielkości dawnych tragików. Z zakamarków śred- niowiecza, z niewoli, zagłuszenia, ponieważ człowieka, czego terenem była dotychczasowa historia ludzkości—film o carze Iwanie uderza w dzień dzisiejszy, uderza w przyszłość. To jest jedyny sposób przystą- pienia do tych rzeczy odpowiadający proletariackiemu widzowi i jedynie godny nowoczesnego człowieka. I to jest właśnie jedyny możliwy, twórczy optymizm dnia dzisiejszego.

Po zobaczeniu „Cara Iwana Groźnego” dziecinne wydaje się narze- kanie na brak dramatu, na brak literatury dramatycznej. Niezawodnie w filmie tym są pewne usterki, pewne drobne przeteatralizowania. Jeżeli jednak takie rzeczy mogą powstawać dzisiaj to fakt ten stanowi najlepszą odpowiedź na takie zarzuty. To jest ta sztuka, która naprawdę, jak się mówiło kiedyś, — wyzwala.

s.

K S I A Ź K I

FRONT CZY PARADA?

Frontc. mezirarod i sbornik soudobé aktivty, redakce: fr. halas, wl. prousa
zd. rossmann, b. vâclavek.

Front. recueil international de l'activité contemporaine, arts — lettres —
sciences — sociologie — technique — vie moderne. édition fronta, brno 15,
vaskova 11. 1927.

Nadesłany redakcji „Dźwigni” almanach międzynarodowy „fronta”
wydany jest luksusowo, na kredowym papierze, formatu dużej czwórki.

Dwieście z górą stronic tekstu, przeważnie czeskiego, zaopatrzonego jednak w krótkie resumé artykułów w językach niemieckim i francuskim — świetne klisze, w tekście i na specjalnych 48 stronicach — krój czcionek, racjonalne łamanie kolumn — cały ten przepych nowoczesnego almanachu, zredagowany w duchu prawie socjalistycznym, z nastawieniem na aktywizm, może zaimponować czytelnikowi polskiemu. Wysoka cena almanachu (około 37 zł.), w którym grupa awangardy artystycznej czeskiej — t. zw. dewětsil (Teige, Nerwal, Freika, Seifert, Hoffmeister, Housl, Prousa i in.) — dokonywuje rewji sił artystycznych „młodej” Europy, czyni go niedostępnym dla szerszego ogółu czytelników, niezależnie od niepopularności języka czeskiego. Almanach „fronta” obliczony jest widocznie na odbiorcę mieszczańskiego. Na specyficzną kategorię „postępowego” czytelnika zachodnio-europejskiego, sympatyzującego z kierunkiem społecznym, mniej więcej socjalistycznym, w sztuce nowoczesnej. Daje się to odczuwać w szeroko stosowanej tolerancji komitetu redakcyjnego, który puszcza na linję „frontu” awangardy bez zastrzeżeń dekadentów burżuazyjnych, jak J. Cocteau i pomyłonych na da-da „Kleinbürgerów” w rodzaju K. Solwitzersa — a zarazem nowoczesnych konstruktorów „czystych” (fotogramista Moholy-Nagy i inni pracownicy darmstadtского „Bauchaus'u” M. Szczuka, konstruktorów-markistów (Eisenstein — w filmie, Tynjanow — w literaturze i lingwistyce, Kornilow — w psychologii). Wyciąg z pism Marksa lub nawet Lenina sąsiaduje z głupawym wierszykiem „formistycznym” — „paris de mai” — jakiegoś Pierre Albert-Birot’a..., albo z obrazczyzną o banalnym temacie „kawiarni”... Jak piłat w credo — wpadł do „Fronty” sonet Rimbaud’a. Artykuł o „prognozie kulturalnej” pisarza-komunisty Fr. Junga — a tuż obok „Rozpustna ryba” — André Bretona. I tak ciągle — zarówno w dziale plastyki, jak i literatury, praktyki i teorii. Georg Grosz zdaje się mieć rację, gdy w artykuliku swym: „Sztuka w niebezpieczeństwie!” stwierdza: „artysta dzisiejszy może wybierać tylko pomiędzy techniką a walką klas”. Redakcja „fronty” — i to jest typowe dla wszystkich niemal rewolucyjnych artystów zachodu, sympatyzujących z proletariatem — zdaje się skłaniać zdecydowanie ku „technice”, ku uznaniu samowystarczalności „rewolucyjnej” czysto-formalnych poszukiwań w sztuce bez uwzględnienia potrzeb nowego odbiorcy. Kryje się za tem nieprzyzwyczajony jeszcze przez artystów mieszczańskich *tabutyzm*. Kaplański, „natchniony”, „z bożej łaski”, stosunek do sztuki i jej niezwykłych — mesjanistycznych niemal — zadań w procesie kulturotwórczym tkwi mocno i niezachwianie w świadomości większej części artystów, zgrupowanych w almanachu. Przebija to wyrażnie np. w artykule Willy Baumeistra „Duch zawsze rusza z posad góry”. Dopuszczenie tego rodzaju „duchownych” na linję „frontu” awangardy, hołdującej w zasadzie materializmowi i naukowemu ujmowaniu zjawisk — przemawia raczej za tem, że almanach „fronta” nie mobilizuje jeszcze gotowych do walki artystów-rewolucjonistów, lecz raczej urządza *wielką paradę* rebeljantów artystycznych, szukających w romantyzmem „nienasyceniu formą” punktu oparcia i zastosowania częściowo produkcyjnych, częściowo zaś zupełnie już wyjałowionych sił kulturalno-twórczych, których cofająca się w swym rozwoju burżuazja zachodnio-europejska wyekspluatować nie potrafi i nie może. Do „frontu” rewolucyjnego stąd jeszcze daleko. „Front” uformuje się później — zależnie od dalszego przebiegu walki klasowej. A wówczas wielu z łazików

i sanitarów artystycznych, pętających się na paradzie „nowej sztuki” — opuści linię bojową i ukryje się w kapliczkach „czystego natchnienia”.

W każdym bądź razie, ukazanie się almanachu „*fronta*”, w którym dano głos wolny zwolennikom i przeciwnikom wojującej sztuki społecznej, jeszcze nie opierającej się na odbiorcy proletariackim, lecz dążącej do socjalizmu — jest bardzo symptomatyczne. I nie napróżno jeden z redaktorów — B. Václavek — kończy zamykające almanach posłowie takim zdaniem: „Jeder kommunistisch gesinnte mensch muss die relativierung der bedeutung der kunst und die perspektive zu ihrer liquidation anerkennen”.

Witold Wandurski

HENRYK CUNOW. *Pochodzenie religji i wiary w Boga*. Przełożył z niemieckiego Z. Mierzyński, wstępem zaopatrzył Jan Hempel. Warszawa 1927. Nakładem księgarni „Książka”. Str. XXXVIII t. 205.

Dzieło Cunowa, przyswojone polskiemu piśmiennictwu religijnemu, jest zwycięską próbą zastosowania metody marxistowskiej do badania zjawisk religijnych. Próba ta przeprowadzona być mogła pomyślnie tylko na solidnym fundamencie rozległych badań etnograficznych nad ludami pierwotnymi, natomiast nie miała widoków powodzenia w tych czasach, kiedy antropologja i etnologja stawiały dopiero pierwsze kroki. Jak dalecy od dogmatyzmu byli twórcy materialistycznego pojmowania dziejów, — świadczy fakt, że, rozporządzając, narazie materiałem, opracowanym przez wielkiego językoznawcę Maxa Müllera, przypuścili — powiada Cunow — „że kult natury jest pierwszym szczeblem w procesie rozwoju dziejów religji”, i odpowiednio do tego przystosowali swoją metodę, „głosząc, że dopiero na względnie wysokim szczeblu rozwoju ideologja religijna ulega wpływowi stosunków gospodarczych”. (str. 15).

Obfite materiały spostrzeżeń etnologicznych, nagromadzone przez naukowo wyćwiczonych obserwatorów, przeciwstawione teorii kultu przyrody i opracowane przez Tylora, H. Spencera, Langa, Lipperta oraz przez nowszych badaczy, w tej liczbie samego Cunowa, który napisał cenną pracę źródłową „O prawie macierzyńskim u plemion australijskich”, — pozwalają autorowi „Pochodzenia religji, wnioskować z całą pewnością, że „ideologję religijną określa zarówno otoczenie i zjawiska przyrodnicze, jak i środowiska i życie społeczne; wrażenia jednak wywoływane przez naturę zależą w znacznej mierze od tego, w jaki sposób człowiek zdołał wyzyskać siły przyrody do swych celów produkcyjnych” (podkreślenie nasze). — „Ostatecznie więc materiał uzyskany z wrażeń, wywoływanych przez naturę, stanowi jedynie zewnętrzne jakby otynkowanie, koloryt miejscowy dla budowy myśli religijnej.” (20—21).

Inna rzecz, że sam Cunow popełnia rażące niekonsekwencje, twierdząc np., że „wszystkie ludy pierwotne i półprywatne są z natury rzeczy (podkreślenie nasze) dualistami” (29), podczas gdy skądinąd jest przeświadczony, że „człowiek jest... istotą, która *stawała się w ciągu dziejów* (podkreślenie nasze) i jest określoną przez dzieje istotą społeczną — osadem pewnego rozwoju społecznego” (12). Pozatem hipoteza Cunowa o powstaniu totemów odbiega zupełnie od jego zasadniczego stanowiska marxistowskiego. A przecież konsekwentne stosowanie raz obranej meto-

dy rzuciłoby nowe światło zarówno na zagadnienie rozdwojenia własnej osobowości dzikiego na duszę i ciało, jak i na sprawę powstawania totemów, o ileby oczywiście, przy uwzględnieniu najnowszych badań psychologicznych, przeprowadziło się uprzednio szczegółową analizę zasobu poznawczego człowieka pierwotnego i jego sposobów rozumowania.

Brak wykształcenia psychologicznego jest bodaj najpoważniejszym zarzutem, jaki należałoby postawić autorowi. Nie zapomniałby bowiem, w przeciwnym razie, o analogiach między religią ludów pierwotnych a wierzeniami ludów kulturalnych, chociaż — jak słusznie powiada w swym wstępie J. Hempel, „analogie takie niemal same się narzucają”. (XXXII). Chodzi zaś tutaj nie tylko o uwzględnienie badań metapsychicznych niezbędnych dla zrozumienia wiary w czary, będącej, według niektórych badaczy, najpierwotniejszą postacią religii, lecz: o poważne liczenie się z cennymi wynikami psychologii myślenia ludzi pierwotnych, opracowanej ostatnio przez Levy-Brühla, a rzucającej światło również na „pralogiczne” sposoby rozumowania i postępowania ludzi cywilizowanych.

Tylko brak wspomnianego wykształcenia powoduje chwiejność Cunowa, uwydatniającą się np. w niefortunnych usiłowaniach wyjaśnienia dualizmu człowieka pierwotnego. Jakkolwiek dualizm ten ma wynikać z samej „natury rzeczy”, to przecież potrzeba głównie spostrzeżenia faktu śmierci, aby wywnioskować, „że wraz z krwią lub oddechem uszło z ciała coś, co tem ciałem dotąd poruszało”. (28). Jak się jednak okazuje z badań von den Steinena i Fräsera, przytoczonych przez autora, dżicy posiadają doświadczenie, że człowiek umrzeć może, wszakże *nie rozumieją, że umierać musi*”, „że śmierć jest normalnem, nieuniknionem zakończeniem każdego życia” (26). W jaki więc sposób zjawisko, o którego konieczności powszechnej nie ma dżiki najmniejszego przekonania, prowadzić musi nieuchronnie do utworzenia wyobrażenia o koniecznem i powszechnem istnieniu duszy odrębnej od ciała — pozostaje tajemnicą autora.

Przyznać należy, że daleko lepiej powiodły się Cunowowi próby materialistycznego wyjaśnienia kultu przodków u ludów afrykańskich, następnie kosmogonii ludów pierwotnych oraz ich wyobrażeń o siedzibach duchów, wreszcie zaś rozmaitych stadiów rozwojowych kultu religijnego. Są to tytuły do niezaprzeczných zaślóg autora „Pochodzenia religii i wiary w boga”. Czego zaś Cunow z tych czy innych względów nie rozwinął — to dopowiedział w krótkich słowach J. Hempel w doskonałym i naukowo potraktowanym wstępie, zawierającym zwięzły szkic dziejów religjoznawstwa, zarys ogólny religii oraz rzut oka na przyszłość nauki o religii.

Przekład i dopiski d-ra Mierzyńskiego zasługują na wielkie uznanie, szata graficzna książki jest bardzo starannie wypracowana, brak tylko spisu rozdziałów i skorowidza imion i rzeczy, któryby w znacznym stopniu ułatwił korzystanie z dzieła o tak wielkiej wartości.

St. R.

Spis książek nadesłanych oraz odpowiedzi redakcji — w następnym numerze.

Pozostałe w niewielkiej ilości numery „Bloku” można nabyć
w księgarni „Książka”, Krucza 26

S P I S R Z E C Z Y

	Str.
MIECZYŚLAW SZCZUKA	2 — 9
REPRODUKCJE PRAC M. SZCZUKI	10 — 19
Z ZAPISEK TATERNICKICH — M. Szczuka	20 — 24
PRAWODAWCOM — W. Broniewski	24 — 25
CYRKULACJA DYKTATUR, ELIPSY I GWIAZDA CZER- WONA — A. Stawar	25 — 32
ZAKŁADNICY — Bruno Jasiński	32 — 34
DROGA — J. Hempel	34 — 38
BÓG MACIEJ — W. Iwanow	39 — 44
KINO	44 — 46
KSIAŻKI	47 — 49



Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Teresa Żarnowerówna

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 6-ej do 7-ej pp.

Konto czekowe P. K. O. 14.700

Prenumerata: Kwartalnie 4 zł — Półrocznie 7 zł. 75 gr. Rocznie 15 zł. — Zagranicą: Półrocznie
1 dol. St. Zjed., Rocznie 2 dolary. Cena pojedynczego numeru 1 zł. 50 gr., Zagranicą 25 centów

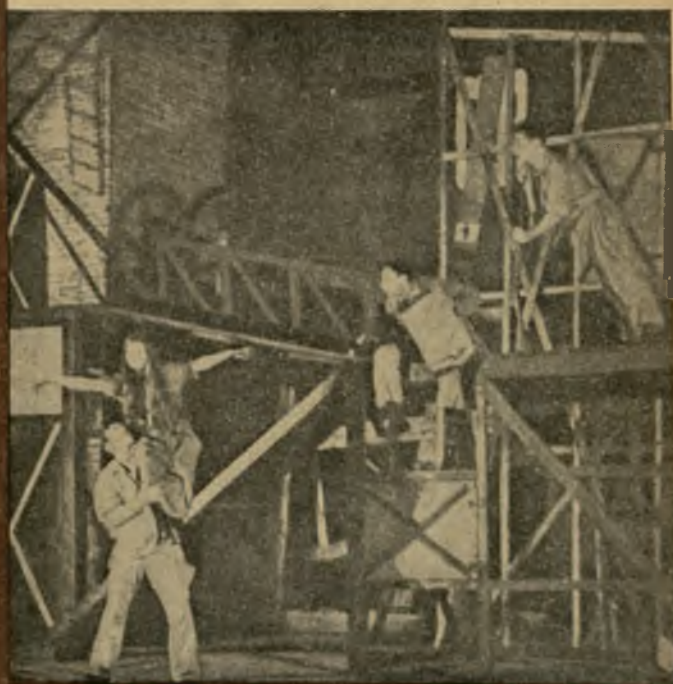
Redakcja: Wspólna 20 m. 39. Administracja: Krucza 26

Ogłoszenia: 1 kolumna 100 zł., $\frac{1}{2}$ kol. 60 zł., $\frac{1}{4}$ kol. 30 zł.

Druk „Rola” J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11

**D
Ź
W
I
G
N
I
A**

**WARSZAWA
STYCZEŃ
1 9 2 8**



N-r 7

Numery „DźwignI“ z roku ubiegłego pozostałe w niewielkiej ilości, do nabycia w administracji.

S P I S R Z E C Z Y

	Str
OD REDAKCJI	1
BARDZO POWAŻNA TRANZAKCJA — A. Stawar	2 — 7
7 LISTOPADA 1917 — Wł. Majakowski, przekł. Wł. Broniewskiego	8 — 10
STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI	11 — 12
DWA TEATRY ROBOTNICZE — J. Jankowski	12 — 15
FILM SOWIECKI: Linja generalna	16 — 18
KONIEC KRYWORYLSKA — B. Romaszow	19 — 21
NOWOCZESNE WNEŹRZA — arch. Fischer i arch. Ravenstejn	22
FILM POLSKI: Ziemia obiecana, Mogiła Nieznanego Żołnierza	23 — 24
TEATR POLSKI: Wojna wojnie — W. Wandurski	24 — 25
KSIĄŻKI	26 — 30
MIMOCHODEM	31 — 32
KSIĄŻKI NADEŚLANE	
NA OKŁADCE: „Rogacz wspaniały“ w inscenizacji Meyerholda	



Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Witold Wandurski

Redakcja przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 6-ej do 7-ej wiecz.

Konto czekowe P. K. O. 14.700

Prenumerata: Kwartalnie 4 zł — Półrocznie 7 zł. 75 gr. Rocznie 15 zł. — Zagranicą: Półrocznie 1 dol. U. S. A., Rocznie 2 dolary. Cena pojedynczego numeru 1 zł. 50 gr., Zagranicą 25 centów

Redakcja: Pańska 26 m. 28. Administracja: Krucza 26

Ogłoszenia: 1 kolumna 100 zł., 1/2 kol. 60 zł., 1/4 kol. 30 zł.

D Ź W I G N I A

STYCZEŃ

1928

N-r 7

Poprzedni N-r 6 „Dźwignia” z grudnia 1927 r. został skonfiskowany przez Komisarjat Rządu na miasto Warszawę „za zespół artykułów i ilustracji”.

W tydzień potem Redakcja otrzymała wyciąg z dziennika posiedzenia gospodarczego Wydziału VIII Karnego Sądu Okręgowego w Warszawie, odbytego w dniu 21 grudnia r. ub. tej treści:

„Upatrując w zamieszczonych w N-rze 6 czasopisma „Dźwignia” z grudnia 1927 r. artykułach „Przełomowe posiedzenie” i „Nauka w Z. S. S. R.” cechy przestępstwa w art. 129 K. K. przewidzianego, zajęcia rzeczzonego numeru czasopisma „Dźwignia”, na mocy art. 76 i 77 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 r. zatwierdzić i rozpowszechnienie tego numeru zabronić i korespondencję zwrócić Prokuratorowi przy Sądzie Okręgowym w Warszawie.”

Na oryginale właściwe podpisy.

Zgodny z oryginałem

(podpis)

Wobec powyższego numer bieżący „Dźwignia” wychodzi w uszczuplonych rozmiarach.

REDAKCJA

BARDZO POWAŻNA TRANZAKCJA

A. STAWAR

W polskim świecie literackim podniósł się w ostatnich miesiącach spory hałas z powodu przewidywanego utworzenia t. zw. akademii literatury. Kwestję akademii podniósł pierwszy Żeromski jeszcze przed wojną światową. Wyznaczał on wtedy akademii bardzo szerokie zadania. Obecny rząd, naturalnie nie bez głębszych celów politycznych, postawił podobno tę sprawę na gruncie realnym. Wywiązała się cała polemika — udział w niej wzięły nawet pisma codzienne, naogół niewiele interesujące się literaturą.

Rzecz charakterystyczna: nawet zwolennicy akademii, nie mówiąc już o przeciwnikach, nie mają żadnych złudzeń co do jej wartości jako pozycji czynnej w życiu kulturalnym. Sprawa została odrazu postawiona na gruncie interesów ekonomicznych. Idzie poprostu o gołą kwestję subsydjowania literatury przez rząd. Rynek literacki w Polsce jest ciasny — małe nakłady nie dają zarobku, produkcja literacka nie opłaca się, nie opłaca straconego na nią czasu. Rynek ścieśnia się między innymi wskutek pewnej niechęci publiczności do krajowej produkcji literackiej. Stąd ustawiczne, usprawiedliwione zresztą, skargi pisarzy na biedę, i wołanie o pomoc rządową, z powoływaniem się na honor domu, dawne zasługi, reprezentacyjną wartość literatury i t. d.

Kwestja akademii stała się więc właściwie kwestją budżetową, kwestją popierania literatury drogą utrzymywania znacznego odłamu literatów przez rząd — co do tego zgodni są zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy tej instytucji. Występując w roli stałego mecenasa literatury rząd obecny pozostaje w zgodzie ze swą zasadniczą linią polityczną — bezpośredniego kaptowania i podporządkowywania sobie możliwie najwięcej czynnych sił społecznych — literatura pomimo wszystko nie należy do najmniej ważnych. Wobec stosunkowo małej roli wolnego rynku, oddziaływanie rządu tą drogą może wywrzeć wpływ decydujący. Sumy wchodzące w grę na pensje „akademików” oraz na wszelkiego rodzaju subsydja, są, jak na polskie stosunki, dość znaczne (podobno pół miliona złotych rocznie — dochodzą tu zresztą jeszcze nagrody udzielane przez miasta). Jasne jest, że tą drogą wzmoże się ogromnie bezpośrednie oddziaływanie polityczne rządu na literaturę.

Dyskusja w sprawie akademii rzuca wogóle ciekawe światło na dzisiejszą sytuację literatury w Polsce i spowodowała kilka niezmiernie charakterystycznych wystąpień. Argumenty zwolenników obracają się naogół koło kwestji biedy pisarzy zwłaszcza starych i... powoływania się na francuską Akademię Nieśmiertelnych, która jest instytucją spokojną, dość niedorzeczną i bez głębszego wpływu na rozwój literatury. Ale Francja posiada wielki rynek literacki, zapewniający pisarzowi, (który się nań dostał, bo to jest rzecz dość trudna) pewną niezależność finansową. W Polsce rzeczy, jak wiadomo, stoją inaczej — stąd też akademja stanie się narzędziem grubego, niczem nie osłoniętego korumpowania literatury.

A że odporność jest bardzo słaba na to dostatecznie wskazują argumenty przeciwników akademii, zarówno z pośród starszych pisarzy, jak i młodych. Argumenty te niejednokrotnie wykraczają poza ścisłe ramy zagadnienia i jak powiedziałem wyżej rzucają światło na ogólny stan rzeczy w literaturze. W Nr. 43 „Wiadomości Literackich” Aleksander Wat w imieniu jak sam powiada „t. zw. młodych” charakteryzuje obecną sytuację w taki sposób:

Jednym z najważniejszych argumentów przemawiających przeciw utworzeniu akademii jest zupełne wyjałowienie rewolucyjnych popędów literackich w młodym pokoleniu pisarzy, słaba ich odporność, bierna ugodowość, zanik kontrowersyj między starymi a młodymi... Jeśli toczą się jeszcze jakieś walki to załębki (!), wieńczące osobiste animozje i porachunki. Krótki okres „Sturm und Drang'u”, który zaczął się od brawurowego wypadu „Skamandra” i skończył na rozsypce grupy „Nowej Sztuki”, zostawił w spuściznie zbyt łatwe zwycięstwo i zbyt sromotną klęskę. Wystarczy zaś wziąć do ręki enuncjacje liczego zastępu najmłodszych... aby stracić wszelkie złudzenia i nadzieje na najbliższą przyszłość. Służalność bezczelna, lizanina połączona z fufanckiem namaszczeniem, układna rezolucyjność, dostojna powaga, zuchwały epigonizm i nawet doprawdy zręczność poetycka tych zdolnych chłopców przejmują nas, o jakże młodych, jakże przedwczesnych weteranów, rozpaczliwym niesmakiem. W tych warunkach akademja będzie uświęceniem i utrwaleniem tego stanu rzeczy na bardzo długą metę, usystematyzowaniem zabójczego snobizmu służalczości, protekcji, znieprawiaczem i tak już dość znieprawionych charakterów.

...Akademja zasmaruje zapowiadające się dopiero młode piśmiennictwo, pokostem starczości, obskurancji, rutyny, bezwładu, tchórzliwego i zawistnego przemilczania spraw najistotniejszych — słowem wszystkich miłych przywar, któremi większość sygnowanych już przez opinię starszych panów zatruwa chwilowo samych siebie.

Rzecz naturalna, iż podobna opinja młodego pisarza o młodym pokoleniu o tyle bezwzględna ile szczerza — mogła być i została wyzyskana w ten sposób, że skoro to młode pokolenie jest takie, jak je Wat przedstawił, to niema właściwie powodu liczyć się z jego zdaniem. Niemniej ten szczerzy sąd Wata jest bodaj że powszechny — dzielają go starzy i młodzi. Wcześniej jeszcze w podobny sposób sformułował swe zdanie Antoni Słonimski.

„Tragizm polega na tem, że nowe pokolenie ludzi piszących w Polsce nie wnosi również żadnej burzycielskiej ani budującej siły. Triumfuje u nas wielka rzeczpospolita miernoty, wielkie wszechporozumienie przeciętności. Aż dziwne jest jak bardzo łatwo burzliwe do niedawna temperamenty dały się ugłaskać krzeselkiem w takim czy innym komitecie, bankiecie czy pogrzebie. Modne są dzisiaj hasła mdłego obiektywizmu i takt „Takt” staje się świętem przykazaniem. Dla tej grzeczności stosunków, w której jest wygodnie celebrować szlifami poety, toleruje się u nas niejedno błazeństwo, zatracą się granice między tem co żywe, prawdziwe i słuszne a kostniejącym marnym światem konwenansu. Obie strony walczące nie mają nic do wygrania ani do przegrania. Mogą się modlić albo pojedynkować. Uszy ich głuche są na głos budzącego się nowego życia. Co się dzieje u nas od śmierci Stefana Żeromskiego — to żałosne tło dla zaryso-

wania się przyszedłemu silnego pokolenia ludzi naprawdę czujących i myślących. Ale i tło może być bardziej lub mniej malownicze i w tym wypadku jest to tło i liche i nudne".

Wat, mówiąc o zbyt łatwym zwycięstwie i sromotnej klęsce, porusza właściwie kwestję walki obecnego pokolenia ze „starymi”. Ale przedstawiciel starego pokolenia, Irzykowski, w tej samej dyskusji, w artykule „Przewrót majowy w literaturze” stwierdza słusznie, że właściwie walki wcale nie było, że stosunek „starych” do „młodych” w Polsce jest obecnie raczej zbyt usłużny. Irzykowskiemu trzeba przyznać rację: młodzi u starych a starzy u młodych jednak gorliwie poszukują protekcji. Krótko mówiąc, mamy tu stosunek dwóch słabości, wytwarza się sytuacja przypominająca lafontenowską bajkę o zającu i żabie. Przykładów nie trzeba długo szukać.

Ale prawdopodobnie Wat nawet się nie spodziewał, że w krótkim czasie pojawi się w druku arcy poglądowe potwierdzenie jego tezy o nędzy duchowej młodego pokolenia, o „służalności, beczelnej lizaniu, połączonej z fufanckim namaszczeniem, układnej rezolutności” i t. podobnych cnótach dzisiejszej młodzieży literackiej. Mowa o artykule Mieczysława Brauna pod tytułem „Niech żyje akademja” (również w „Wiadomościach Literackich”). Braun szuka w literaturze istotnie „młodych”, szuka „utworów nieledwie rozsadzonych energią twórczą”, „gorących uczuć”, „przeknikania od końca do końca ludzkości całych ogromów”. Szuka, ba, znalazł tych młodych... Dajmy mu głos:

„I trafiam na święty ogień rewolucji (!) Żeromskiego, na światoburcze pociski Tetmajera, na żarliwe melodje Przybyszewskiego, Staffa, Kadena... Spójrzmy sobie w oczy: kto z pokolenia dojrzewającego za czasu wojny, gdy w potopie krwi powstawały nowe rzeczywistości, kto po dziś dzień pracowitością twórczą, bogactwem ducha, wielkością i rozmiarem dzieł tak szafował, żeby z pokornym wejrzeniem mógł podejść ku „starym” albo też cisnąć w ich stronę marmur, z którego wykuł zaczątek własnej wielkości”.

Z całego tego arcy patetycznego wywodu Brauna wynika, że właściwa młoda literatura, to ciągle jeszcze dawna „Młoda Polska” z przed dwudziestu-trzydziestu lat, która zachowała widocznie monopol na wieczną młodość. Co prawda niektórzy z tych „wiecznie młodych” bogów literackich, zesłali już chwalebnie z tego świata po przekroczeniu pięciu i sześciu krzyżyków. Według Brauna powieściopisarze i lirycy minionego pokolenia są to takie tytany, że nikt z obecnych młodych nawet „z pokornym wejrzeniem” nie ośmielił się podejść ku nim, nie mówiąc już o ciśnięciu w ich stronę „marmuru” (!?)

Uchodzi to za normalne, jeżeli dziecinnieją ludzie bardzo starzy, po przekroczeniu pewnej granicy wieku. Co innego, jeżeli dziecinnieją lub udaje dziecinniałego przedwcześnie człowiek młody. Do takiego właśnie przedwczesnego infantyliizmu M. Braun nawołuje nową literaturę polską w swoim apostołstwie pokory.

Kwestja akademji literatury wiąże się więc blisko z kwestją o wiele ważniejszą: kwestją dzisiejszego kryzysu literackiego. Że ten kryzys istnieje nikt nie zaprzecza, poza bezpośrednio zainteresowanymi optymistami

urzędowymi. Wyżej przytoczyłem opinie przedstawicieli literatury powojennej, ujmujące niektóre charakterystyczne objawy. Korzenie tego kryzysu tkwią jednak głębiej w całym rozwoju stosunków społecznych w Polsce, w ich najbardziej specyficznych właściwościach historycznych.

Hegemonję społeczną i kulturalną w Polsce sprawowała niepodzielnie szlachta — to właśnie Polskę wyróżnia z pośród innych krajów europejskich. Mieszczaństwo, które wszędzie odgrywało rolę twórcy i nosiciela kultury, w Polsce nie odgrywało żadnej prawie roli, stanowiło pozycję bierną. Pomijając już ubóstwo i małą aktywność polityczną, ludność miejska w Polsce była (i jest) zróżnicowana narodowościowo. Najsilniejsi ekonomicznie Żydzi i Niemcy tworzą żywioł kulturalnie wysoobniony. Te warunki złożyły się na pewien monopol szlachecki w literaturze. Odpowiednio do tego Polska nie posiada (a złożyły się na to i inne czynniki nad którymi nie mogę się teraz rozwodzić) tradycji literatury „narodowej” w tym sensie, w jakim mają je np. Francja, Niemcy, a nawet do pewnego stopnia Rosja.

Wiąże się z tem jedno bardzo ważne zjawisko, a mianowicie brak stałego centrum historycznego. Najżywotniejszy prąd literatury polskiej wyszedł w znacznej mierze z Kresów Wschodnich — stamtąd wyszli Mickiewicz, Słowacki i inni twórcy romantyzmu. Tam też, w środowisku ludowym białoruskiem i ukraińskim, ciągnąc jego soki żywotne, wyrabiał się najodporniejszy i posiadający największą zdolność ekspansji żywioł szlachecki. Później następowało niejednokrotnie przemieszczenie centrów, ale Warszawa w swoją rolę metropolii literackiej weszła niedawno. Łączy się z tem zjawisko, że największe naprawdę nowoczesne ośrodki, jak Łódź, Zagłębie, Śląsk stanowią jako konsumenci nawet pozycję raczej bierną. Odpowiednio do tego ci nawet pisarze, którzy występują jako reformatorzy, burzyciele — usiłując przedstawiać problemy socjalne, de facto kończą zawsze na jednym centralnym problemie dworu szlacheckiego.

Napozór koliduje z jednoliciem szlacheckim charakterem literatury fakt wtargnięcia, w okresie „Młodej Polski”, pisarzy pochodzenia chłopskiego, jak Kasprówic, Reymont, Orkan. Ale to raczej potwierdza powyższe tezy. Na pierwszy rzut oka można w okresie „Młodej Polski” odróżnić dwie linje: jedną społecznikującą, politykującą, w ramach, pomimo przeciwnych nieraz pozorów, bardzo tradycjonalistycznych — za przedstawicieli tej linii można uważać Wyspiańskiego, Żeromskiego. Druga linja to pisarze usposobieni raczej antyspołecznikowsko, odwracający się od polityki jak Kasprówic i Reymont. A jednak pisarze ci reprezentują dość wyraźnie ideologję wielkochłopską (Reymont zresztą pod koniec życia przeszedł do Witosy). A ta ideologja ich wyraża się między innymi właśnie w owym wstręcie do społecznikowania i polityki.

Ten wstręt i związana z nim (zresztą raczej pozorna) bezprogramowość — są zastanawiające u przedstawicieli, bądź co bądź, nowej klasy. Zastanawia to zwłaszcza jeśli ich zestawić ze znacznym aktywizmem ideologicznym całej literatury szlacheckiej. Pod tym względem stosunek między Reymontem a Żeromskim jest taki sam jak między Witosem a Piłsudskim^{*)}. Ta sama bezprogramowość społeczna, ciasnota, bezideowość cechują przedstawiciela politycznego polskiego kułactwa jak i chłopskich

*) Zestawienia między czołowymi przedstawicielami literatury a politykami — w krajach gdzie literatura z tych czy innych powodów, których teraz rozstrząsać nie można, ma program polityczny — nie są wcale taką dowolnością, jakby się zdawać mogło na

pisarzy „Młodej Polski”. I dlatego pisarze ci musieli przegrać jak i politycy — nie zmienili fizjonomji literatury, nie pozostawili właściwie trwałego oddziaływania.

Odegrała tu rolę istotną genealogja polityczna klasy, którą reprezentowali. Chłop polski przeszedł swój okres wyzwolenia z bezpośredniej zależności pańszczyźnianej — okres walki ze szlachtą o swoje istnienie polityczne na gruncie „antynarodowym” (bo w Polsce szlachta reprezentowała naród). W innych krajach europejskich chłop wyzwalał się przy pomocy własnej burżuazji — w Polsce wyzwalały go rządy zaborcze — chłop wygrywał o ile był przez nie popierany.

Od czasu, gdy wystąpili pisarze „Młodej Polski” sytuacja zmieniła się zasadniczo. Rewolucja agrarna obaliła „dwory” szlacheckie w znacznej części Ukrainy i Białorusi — dwory te już się nie podniosą. Razem z nimi upadła szlachecka ekspansja kulturalna. Panowanie caratu w Polsce pełne było pozornych paradoksów społecznych — czynownicy carscy popisywali się radykalną „demagogją”, — młodzi synowie obszarników prowadzili propagandę wolnościową, a pod koniec XIX i w początku XX w. propagowali nawet „socjalizm” w powstańczym sosie. Z upadkiem caratu ten wyścig o „dużę ludu” musiał się skończyć. Dziś maskowanie dążeń, cała ta mimikra społeczna nie przydaje się na nic. Jednocześnie dojrzały inne siły — ekspansja kulturalna inteligencji szlacheckiej ustała. Monopol literacki został złamany.

To, co teraz zachodzi w literaturze polskiej przypomina (zresztą podobieństwo jest bardzo dalekie) okres wtargnięcia „raznoczyńców” do literatury rosyjskiej w połowie XIX wieku. Znowu więc mamy zjawisko napływu nowych sił, podobnie jak to było z przedstawicielami chłopstwa w „Młodej Polsce” — zda się należałoby oczekiwać napływu nowych idei, nowych form, rozkwitu jednym słowem? Tego niema. Wybitni przedstawiciele młodego pokolenia uskarżają się bez ogródek na błahość, na pustkę, na denerwującą nudę i niesmak z powodu sytuacji w literaturze.

Mamy tu to samo zjawisko co przy wystąpieniu pisarzy chłopów, tylko w stopniu jeszcze większym. Żywioły, które wystąpiły na scenę, średnie warstwy mieszczaństwa i drobnomieszczaństwo, cierpią również na brak siły na brak poczucia uprawnień historycznych — na chroniczną niepewność. Nastykamy się tu na zjawisko, którem zajmowali się dotychczas wprawdzie tylko krytycy antysemiccy, ale które trzeba rozpatrzyć o ile chcemy zrozumieć dzisiejszą sytuację literatury w Polsce. Zjawiskiem tem jest ogromny na-

pierwszy rzut oka. Program polityczno-społeczny Marinettiego głoszony jeszcze przed wojną, wykazuje tak uderzające analogje z programem faszystowskim, realizowanym obecnie przez Mussoliniego, że wiele punktów sprawia wrażenie wprost zapożyczeń ze strony tego ostatniego. Nie mogąc się tu wdawać w wydobywanie szczegółowych analogij między Żeromskim a Piłsudskim wskażę tylko na charakterystyczne np. forsowanie inżynierów, techników w powieściach i studjach przez Żeromskiego, a przez Piłsudskiego w polityce czynnej. W przemówieniach, w stylu, taka sama pozorna mętność, nieokreśloność, szeroki sentymentalizm — za którym zgrabnie ukryty wyziera stary pradiadowski kańczug.

Trzeba jeszcze zaznaczyć, że w obu przytoczonych wypadkach pisarz głoszący dane idee wyprzedza polityka, a nie odwrotnie, tak, iż tu nie można mówić o prostym użytkowaniu opisowem materiału życiowego, ile raczej o wyczuciu uprzednie pewnych tendencyj zbiorowych.

pływu pisarzy pochodzenia żydowskiego. Napływ ten jest nie tylko ilościowy — jest to nie tyle przewaga liczebna, ile przewaga uzdolnień i ekspansji. Jeżeli zważymy, że polskie społeczeństwo burżuazyjne szczyci się obok Węgier i Rumunii opinią najbardziej antysemitowskiego w Europie, że hasła antysemitowskie mają wpływ niemal bezwzględny wśród drobnomieszczaństwa, gdyż nawet ugodowi socjaliści publicznie popisują się antysemityzmem w odezwach wyborczych — to fakt ten nabiera pewnej ironicznej wymowy.

Stanowi on bezpośrednie odbicie sytuacji w miastach i miasteczkach Polski. Ale samo położenie tych warstw, które teraz przyszły do głosu, skazuje je na bezsilność wewnętrzną i na rolę przyczepki. Dotychczasowe dziedzictwo literatury szlacheckiej powiększa dezorientację i chaos. Presja tradycjonalizmu szlacheckiego, dążenie do jaknajszybszego i najradzykalniejszego zatarcia własnych, wniesionych z sobą właściwości panują niemal wszechwładnie. Stąd specyficzny niepokój, stąd zaobserwowane trafnie przez p. Wata „brak poczucia humoru i łatwo zapalna emfaza”. Stąd unikanie spraw poważnych a drażniących — szczególnie gorliwe pielęgnowanie dziedzin „mało angażujących”, stąd kult filologii, kult rodzimego „słowa” jako takiego, zapuszczający korzenie w nowej poezji polskiej. Ten sam „brak poczucia humoru i łatwo zapalna emfaza” wyraża się w łatwym oscylowaniu między sjonizmem a antysemityzmem, między kosmopolityzmem a 110% patriotyzmem, między swoiście pojętym „marksizmem” a katolicyzmem. Naturalnie daleki jestem od tego, by rzeczy te składać na rachunek „pochodzenia”. Wyraża się tu poprostu sytuacja tych warstw wciśniętych między stare potężne jeszcze, eksploatujące korzystną koniunkturę siły feudalne, a narastający ruch proletariacki — sprzeczność, jakiej w tym stopniu nie zna żaden inny kraj.

Charakterystyczny w każdym razie jest upadek zainteresowań ogólnych. Odpowiada się tu zwykle, że jest to przejaw uzdrowienia literatury, nawrotu do zagadnień formalnych i t. d. Ale w rzeczywistości właśnie pod względem formalnym upadek jest największy. W epoce kultu dla filologii, hymnów do „słowa” przeciętny poziom pisarski obniżył się potężnie. Już dawno w literaturze polskiej nie stała tak nisko sztuka literackiego wypowiedziania się, nie szalał tak barok przy szeregowaniu słów bez myśli, konstrukcji sztywnych bez ładu, elementarnych sprzecznościach logicznych i monstrualnych nonsensach. Można przewidzieć, iż jeśli istniejące tendencje będą się rozwijały nadal — literatura dojdzie do stanu takiego, jak w sławetnej epoce saskiej.

Masowe subsydjowanie literatów przez rząd przyspieszy tylko tę ewolucję, obniży jeszcze bardziej poziom i dopiero stworzy grunt podatny dla rozwoju tych cnót i właściwości młodej literatury, o których tak dobitnie i przekonywująco piszą Słonimski i Wat. Fakt ten będzie miał niezawodnie poważne znaczenie społeczne — chociaż nie należy przeceniać jego właściwej wagi. Ten zaufek bez wyjścia, w jakim znalazła się współczesna literatura w Polsce — jest prostym wyrazem analogicznej sytuacji społecznej. Kryzys i tu i tam nie należy do uleczalnych — wszelka próba stabilizacji będzie tylko stabilizacją kryzysu, może co najwyżej odciągnąć nieco przesilenie. Istota szarpiących i osłabiających sprzeczności zostanie. Znieść je może tylko wejście sił naprawdę twórczych społecznie i naprawdę radykalnie zrywających ze starzyzną.

7 LISTOPADA 1917

FRAGMENT

WŁ. MAJKOWSKIEJ

Przełożył Wł. Broniewski

W takie noce,
gdy wszystko zamilkło
w mroku,
w śnieżnej zawiei,
na ulicach
— któż? —
chyba tylko
poeci
albo złodzieje.
Ocean mroku
światem zawładnął.
Rudy od ogni.
Siny.
Jak łódź podwodna,
poszedł na dno
Petersburg
trafiony miną.
I tylko
kiedy
w wichrze płonącym
mrok
zakółysał się
w górze,
przypominało się
nieustającą,
wracą
wokóło
burzę.
Wodę
mrok
i tak przypomina:
bezdenne,
sine przestwory,
a tutaj jeszcze,
jak widmo rekina
cielsko
Aurory.
Ogień
mitraljez
place wystrzygł.
Na wybrzeżach
pustka i spokój.

Tylko
 ogniska
 w zgęstniałym tlą się i błyszczą
 mroku.
 I tam,
 gdzie ziemię
 ogrzewa płomień
 i taje
 śnieg
 od gorąca,
 w językach
 ognia
 trzymając dłonie,
 grzeje się
 żołnierz drżący.
 Żołnierz
 poruszył ogień,
 przytem
 iskra
 mu padła
 na oko.
 Poznałem,
 rzekłem zdziwiony:
 „Witam,
 Aleksandrze
 Błoku!
 Futuryści górą!
 Niedługo ze wszystkiem
 frak starzyzny
 rozlazły
 się podrze“.
 Błok popatrzył —
 płoną ogniska —
 i rzekł:
 „To dobrze“.
 Wkoło
 tonęła
 Rosja Błoka...
 Stare
 liryczne
 rupiecie
 szły
 na dno,
 jak idą
 ułamki,
 puszki od konserw
 i śmiecie.
 I zaraz,
 mroczny,
 jak śmierć na weselu,

czoło
 zasepił
 zmarszczką:
 „Piszą mi...
 ze wsi...
 spalono...
 w niedzielę..
 bibliotekę
 na folwarku”.
 Błok powstał —
 powstał
 wielki cień Błoka,
 za nim
 na murze usiadł...
 Jak gdyby
 obaj
 z wody i mroku
 wypatrywali
 Chrystusa.
 Lecz Chrystus
 nie szedł
 ku nim
 tą drogą.
 Błok
 posmutniał
 i westchnął...
 Zamiast Chrystusa,
 żywi
 z za rogu
 ludzie
 nadchodzą
 z pieśnią.

R O B O T N I C Y
 W K L U B I E
 F A B R Y C Z N Y M
 S Ł U C H A J Ą R A D J A



1868 — 1927

Dwadzieścia kilka lat temu Przybyszewski był pisarzem bez miary zwalczanym przez jednych a uwielbianym przez innych, jako nowator i burzyciel. Przyłgnęło do niego określenie go jako przedstawiciela dekadentyzmu ze wszystkimi konsekwencjami zawartymi w tem pojęciu. Autor „De profundis”, starał się je uzasadnić całym swoim życiem i przykładął do tego sporo wysiłków. Było to wtedy jeszcze, gdy o rozpadzie mówiło się bardziej otwarcie, nie ukrywając jego prognoz i symptomów — może dlatego, że siły rządzące światem europejskim czuły się jednak bardzo mocno w siodle.

Przybyszewski rozpoczął swą działalność literacką w Berlinie, w początku lat dziewięćdziesiątych. Pisał początkowo po niemiecku, od razu zaznaczywszy się jako świetny stylista. Niektórzy zaliczają go do tych pisarzy, z których wyszła nowa proza niemiecka. W każdym razie wpływ literacki Przybyszewskiego w Niemczech, oraz w późniejszych latach w Rosji, w kołach „dekadentów” był wielki. Do Polski sprowadzono go w roku 1898, objął wtedy redakcję krakowskiego „Życia”, gdzie ogłosił swoje pierwsze manifesty artystyczne („Confiteor”). Wystąpił też z całym szeregiem dramatów i powieści^{*)}, które łącznie z owymi manifestami spowodowały ogromny ruch umysłowy i wpłynęły na wszystkich prawie pisarzy „Młodej Polski”.

Początek lat dziewięćdziesiątych, gdy Przybyszewski rozpoczynał swą działalność — reprezentuje ważny zwrot w burżuazyjnej umysłowości europejskiej. Był to okres, gdy nauka i filozofja burżuazyjna (a zwłaszcza ta ostatnia) rozpoczyna ze zgrozą patrzeć na wyniki metod materialistycznych, uważając, iż prowadzą one zbyt daleko. Rozwój materializmu, stanowiący potężny czynnik walki burżuazji z siłami feudalnymi — musiał zwrócić się przeciw samej burżuazji, z chwilą gdy twórcy socjalizmu naukowego podnieśli i rozwinęli metody materialistyczne, jako narzędzie wyzwolenia proletariatu. Filozofja materialistyczna, naukowe badanie rzeczywistości, zaczyna się z kolei zwracać przeciwko stosunkowo niedawno umocnionemu panowaniu burżuazji. Rozpoczyna się więc okres powrotu do idealizmu, przynajmniej w dziedzinie filozofji, okres ostentacyjnego załamывwania rąk, narzekania na niepewność nauki, marność wyników wiedzy ludzkiej, okres rezygnacji, której wyrazem były między innymi rozgłosne wyznanie przyrodnika niemieckiego Du Bois Reymond'a („ignoramus, ignorabimus...”).

W latach studenckich Przybyszewski przez pewien czas uważał się za socjalistę — był krótko redaktorem socjalistycznej „Gazety Robotniczej” wychodzącej w Berlinie. Pozostawał wtedy pod pewnym wpływem materializmu przyrodniczego — o marksizmie nie miał właściwie pojęcia,

^{*)} Dramaty: „Dla szczęścia”, „Złote runo”, „Matka”, „Śnieg”, „Odwieczna baśń”, „Gody życia” i in. Ostatnio „Mściciel” wystawiony jeszcze w 1927 r. Poematy prozą, powieści: „Wigilje”, „Nad morzem”, „Androgyne”, „Dzieci szatana”, cykl „Homo sapiens”, „W godzinie cudu”, cykl „Mocny człowiek” i t. d. W ostatnich czasach Przybyszewski opublikował wspomnienia i charakterystyki p. t. „Moi współcześni”.

jakkolwiek wyraża się o nim w swoich wspomnieniach z wielkim tupetem i nader lekceważąco. Krótki okres sympatii dla ruchu proletariackiego minął — jednocześnie wystąpiła też odraza do materializmu. Przybyszewski filozoficznym umysłem nie był — idealizm filozoficzny mu nie wystarczył — rzucił się więc w okultyzm, magię, satanizm. Należał do tych przedstawicieli intelektu mieszczańskiego, o których możnaby powiedzieć, że demonologią usiłują przepłoszyć socjologję.

Najefektowniejszą stroną pisarstwa autora „Dzieci Szatana” stanowiła jego „teorja” chuci, jego demoniczny panseksualizm. To budziło najwięcej zgromy i oburzenia w „mydlarskiej” publice. Istotnie tutaj działalność Przybyszewskiego występuje jako czynnik poważnego przełomu obyczajowego. Cała ta kompilacja metafizyczna z Szopenhauera zawierająca sporo psychopatologii seksualnej, nawet z punktu widzenia idealistycznego stanowi czysto dowolne fantazjowanie na pewne tematy. Ale zarazem zupełnie słusznie „mydlarz”, filister widział w Przybyszewskim niszczyciela rodziny mieszczańskiej. Demoniczne obłaski rzucone przezeń na sprawy płciowe, owa maszynerja metafizyczno-mistyczna służyła w gruncie do przełamania norm obyczajowych tradycyjnej cnoty mieszczańskiej. Stanowiło to w gruncie rzeczy odbicie zmian w sytuacji społecznej kobiety — usunięcia patriarchalnego skrepowania płciowego. Rzecz charakterystyczna jak prędko zmienił się stosunek „mydlarzy” do autora „Godów życia”. Bo też Przybyszewski w traktowaniu spraw płciowych kładł tyle zaczerpniętego ze średniowiecznych doktryn demonizmu — taką wagę udzielał pojęciom o grzechu i karze — że z punktu widzenia mieszczańskiego idee jego traciły w pewnej fazie swą siłę burzącą — i przejawiały swój głębiej tkwiący podkład moralistyczny. Dlatego Przybyszewski wyczerpał się tak prędko — i tak prędko przestał budzić zgrozę. Przełom obyczajowy w życiu poszedł dalej — Przybyszewski zyskał szacunek i uznanie, ale nad jego metafizyką seksualną nad jego demonicznymi problematami płci, zaczęto lekko wzruszać ramionami. Zwłaszcza, że berło oficjalnego metra, specjaliści od „edukacji sentymentalnej” mieszczańskich panien — podjął po nim w sposób gładki, filuterny bez „demonizmów” i metafizyki — autor „Słówek”, Boy Żeleński.

Olbrzymi wpływ Przybyszewskiego był krótkotrwały, poszedł raczej wszcz niż w głąb. Już dość dawno należał on właściwie do historii literatury.

S.

DWA TEATRY ROBOTNICZE

Korespondencja

BERLIN W GRUDNIU 1927

Te dwa teatry — to Piscatorbühne, na Nollendorfplatz i Volksbühne na Bülowplatz. — I jedno i drugie uważane jest za teatr proletariacki. Jakie jednak olbrzymie między nimi różnice!

Piscator wystawił „Rasputina” — sztukę A. Tołstoja przetłomaczoną na niemiecki, przez Piscatora inscenizowaną. Trudno właściwie nazywać to — sztuką teatralną, tak dalece to widowisko odbiega od zwykłych wyłącnie mówionych widowisk teatralnych. Jest to połączenie kina z teatrem.

Treść — to kawał życia, wyrwany z dziejów Rosji i wielkiej rewolucji.

Scena wypełniona jest olbrzymią, nieco stożkowato wydłużoną, obracającą się szarą półkulą. W tej półkuli tworzą się większe lub mniejsze otwory — trójkąty lub czworoboki sferyczne, — w których rozgrywają się poszczególne sceny. Dla scen zaś masowych otwiera się całe wnętrze półkuli, jakby rozcina jej. Szara powierzchnia półkuli służy jako ekran kinematograficzny.

Zaczyna się kinem. — Szereg portretów carów — od Iwana Groźnego poczynając — z podaniem w paru słowach, w jaki sposób każdy z nich był zamordowany. Mikołaj II-gi na tym samym ekranie i w tym samym miejscu ukazuje się jako żywy aktor. — Potem kinematograficznie nędza chłopska i robotnicza, więzienia, Sybir, etapy, sądy. Potem wojna, okopy i pośród tego teatr: — sceny z życia dworu, car, carowa, ministrowie, Rasputin — i sceny z konspiracyjnych narad rewolucjonistów.

Podczas gry żywych aktorów w jakimś wycinku półkuli-ekranu, na całej powierzchni tej półkuli idzie kino. — Np. podczas scen dworskich masowe demonstracje uliczne, strzelanina w okopach i t. p. — W trzech trójkątach półkuli — dwa na dole, jeden na górze — pojawia się jednocześnie trzech cesarzy: Mikołaj (na górze), Franciszek Józef i Wilhelm (na dole) — i wygłaszają autentyczne historyczne przemówienia wojenne, powołując się każdy na „wolę bożą” i „niezłomne wyroki opatrności”.

Nb. — „republikańskie” władze niemieckie zakazały profanowania w teatrze świętej osoby Wilhelma. Zamiast niego więc występuje w stosownym miejscu aktor w marynarce i odczytuje wyrok sądowy — co publiczność przyjmuje chóralnym gwizdem.

Potem występują na scenie jednocześnie Lenin i Kiereński. Każdy w innym miejscu sceny i każdy tak, jakby przemawiał do tłumów — falujących jednocześnie w zdjęciach kinowych. Rozgrywa się między nimi dialog, ułożony z wyimków przemówień historycznych. — Publiczność jest porwana i entuzjastycznie oklaskuje poszczególne zdania, zupełnie jakby się czuła na wiecu.

Obrazy kinowe wyświetlane są nie tylko na powierzchni półkuli, lecz i w inny sposób. — Przed sceną spada zasłona muślinowa, poprzez którą widać aktorów, na zasłonie zaś wyświetlane jest kino. W ten sposób rozgrywają się sceny dworskie w Carskim Siole. — Rozmystyczniona i modląca się carowa rozpacza z powodu zabicia Rasputina (którego przedtem zgładzili spiskowcy kierowani przez Puryszkiewicza), minister Protopopow pogrąża się w ekstazy mistyczne, a jednocześnie na zasłonie muślinowej odbywają się olbrzymie, tłumne walki uliczne.

Żywi aktorzy na tle kina nabierają szczególnie jaskrawej barwności — wyglądają jak jaskrawe malowanki. Stosowną grą światła można przytem albo wyjaskrawić ich, albo też gasić, wydobywając bądź aktorów, bądź kino na miejsce naczelne.

Jest to olbrzymie źródło zupełnie dotychczas nieznanych efektów scenicznych. Do takiego wystawiania jednak potrzeba sztuk specjalnych. — „Rasputina” np. nie można by wystawić w inny sposób. A przerabianie na taką wystawę sztuk starego repertuaru — do niczego by nie doprowadziło. Może niektóre rzeczy Szekspira — np. Juljusz Cezar — dałyby się wystawić w ten sposób?

Teatr Piscatora jawnie i bez osłonek stawia sobie cele polityczne. Jest to agitacyjny teatr polityczny. — Idzie o to, aby porwać widzów, nastawionych na stosowną tonację polityczną. Oczywiście dla widzów politycznie

obcych będzie to widowisko conajmniej dziwaczne. Widz robotniczy jednak, dla którego ten zupełnie nowy rodzaj sztuki widowiskowej jest przeznaczony, przyjmuje te rzeczy z olbrzymim entuzjazmem. — Wypełniona przez proletariąt widownia wybucha oklaskami przy każdym przypadającym jej do smaku powiedzeniu politycznym, lub też sykaniami i wrogiemi okrzykami reaguje na wystąpienia tych, których uważa za swych wrogów klasowych. Słowem — łączność między sceną a widownią jaknajżywsza. Łączność ta i napięcie uczuciowe wzmacnia się nieustannie aż do końca widowiska, odbywającego się w najszybszym tempie kinematograficznym tylko z jedną przerwą przez cały wieczór, i kończącego się, jak bardzo udany wiec, wielkimi hasłami programowymi.

Zupełnie inny nastrój panuje w drugim berlińskim teatrze robotniczym — w Volksbühne na Bülowplatz. — Piscator wystawia swe sztuki w teatrze wynajętym. Volksbühne ma swój własny wspaniały gmach — bodaj największy, a napewno najwygodniejszy z teatrów berlińskich. Świetnie urządzona widownia, doskonała akustyka.

W tym bogatym teatrze, uznawanym oficjalnie za teatr robotniczy, grywają teraz codziennie „Per Gynta” Ibsena i co kilka dni „Hinkemanna” Ernesta Tollera.

Dlaczego właśnie Ibsen dla proletariatu jednej z wielkich stolic społecznego świata kapitalistycznego? — Czy dlatego, że wywlekanymi przez niego „otchłannymi” zagadnieniami strasznie wzruszała się inteligencja drobnomieszczańska przed trzydziestu laty? — Dla walczącego proletariatu zawsze był on i będzie obcy. Czuje to najwidoczniej kierownictwo Volksbühne, bo daje widzom specjalny artykuł, usiłujący powiązać Ibsena ze współczesnością. Ibsen miał ponoć napisać do Jerzego Brandesa: „mojem zadaniem jest stawianie pytań, a nie dawanie wskazań”.

Dlatego właśnie — pisze o tem p. Frank Albert Osssenrey, usprawiedliwiając wystawianie Ibsena — jest on szczególnie bliski naszemu pokoleniu. „*Bo przecie stoimy wobec świata w ruinach. Wszystko jest zakwestjonowane*”.

To ostatnie zdanie jaskrawo ujawnia oblicze klasowe piszącego. Czyżże to świat jest w ruinach? — Czyje wartości są zakwestjonowane?

Przecie nie świat proletariacki i nie stojące się miarą wszystkiego wartości proletariackie. W ruinach leży przede wszystkim świat ideałów drobnomieszczańskich. Drobnomieszczańskie, radykalno-inteligenckie wartości zakwestjonowane są do samych podstaw.

Dla tych wiecznie rozszczepionych i wiecznie po rozdrożach błakających się dusz Ibsen rzeczywiście może być bliski.

Ale przejdźmy do Tollera, to przecież pisarz ekstra społeczny i ponoć proletariacki. „Hinkemann” jest wielce reklamowany przez socjalną demokrację jako sztuka antymilitarna.

Hinkemann — to przeciętny masowiec robotnik, zdrowy, silny, sentymentalny i niezbyt inteligentny mąż młodej, zdrowej kochającej go żony. Wzięto go na wojnę, z której wrócił, bez ...genitalij. Na tem tle zniechęcenie do życia i t. d. Dośpiewać to sobie nietrudno. — Sztuka kończy się samobójstwem żony; on pozostaje — „ogromny, silny i śmieszny” — jak sam o sobie powiada.

Utrata tak ważnej, szczególnie w pożyciu małżeńskim, części ciała zapewne jest wypadkiem bardzo bolesnym. Ale to samo może się zdarzyć i niekoniecznie na wojnie. Wypadki takie możliwe są i podczas ćwiczeń sportowych, możliwe są i w fabryce, no i w każdej epoce, historycznej. Ka-

zdy pisarz podejmie się napisać na ten temat „sztukę”, umieszczając „bohatera” w danym mu środowisku: to samo może się dziać w domu patrycjusza rzymskiego, w zamku rycerskim lub w wydwanym mieszkaniu społecznego małżeństwa burżuazyjnego. Proletariackość utworu Tollerera polega tylko na tem, że scena przedstawia mieszkanko robotnicze i że mówi się tam o pieniądzach na węgiel i na komorne. A antymilitaryzm tylko na tem, że ten przykry wypadek zdarzył się naj wojnie. Autor nie zdobył się nawet na frazesy antywojenne.

Głębokim nieporozumieniem jest nazywanie tego utworu „dramatem społecznym”. Przeciwnie — to zasadniczo antyspołeczne traktowanie sprawy. — Mamy scenę w knajpie, gdzie Hinkemann spotyka się z robotnikami — działaczami społecznymi różnych kierunków i oto dochodzi do wniosku, że „na jego nieszczęście żaden przyszły ustrój mu nie pomoże”.

Abstrakcyjni biorąc, wniosek zupełnie słuszny. Ale sposób postawienia całej sprawy ma w sobie wyraźną tendencję reakcyjną. Błąd polega na tem, że nieuleczalne kalectwo indywidualne zostało potraktowane na płaszczyźnie masowych dążeń i walk społecznych. — Tak stawiać sprawę może tylko ktoś, kto tych walk i dążeń absolutnie nie rozumie.

Po dyskusji w knajpie następuje dziwaczna nocna scena na ulicy wielkiego miasta. Po ludziach wyobrażających brutalny, rozkrzyczany, rozpustny i bezmyślny tłum, jawią się tam jakieś zmory, duchy, strzygi. — Jeszcze krok dalej i autor znajdzie rozwiązanie dla swego Hinkemanna w uniesieniach religijno-mistycznych.

Tollerowskie założenia rzeczywiście tylko do mistycyzmu doprowadzić mogą. Gdyby autor miał odwagę domyslenia swych myśli do końca, kazałby swemu Hinkemannowi znaleźć pociechę w Armji Zbawienia, w Teozofji, lub poprostu w Kościele Katolickim.

Zsuwanie się w bajoro religijno-mistycznego głupstwa jest dzisiaj bardzo znamienne dla socjalnej demokracji niemieckiej.

W sumie sztuka jest nudna. Autor niema czem wypełnić czasu. Biedny widz od pierwszego aktu już wie wszystko; wie także, że autor niema mu już nic ważnego do powiedzenia.

Jeśli z tą rozmazaną i sentymentalną, drobnomieszczańską nudą zestawimy kipiące życiem i — pomimo zastosowania wszystkich możliwych skrótów i wszystkich nowoczesnych środków scenicznych — rozsadzające swe ramy widowisko Piscatora, nie będziemy mieli najmniejszej wątpliwości, gdzie jest młoda twórczość, a gdzie starcza impotencja.

Skąd się bierze robotnicza publiczność na te przedstawienia — skoro teatry w Berlinie są bardzo drogie? ~

Istnieje tu ogromna kooperatywa robotnicza zakupująca niemal wszystkie miejsca w niektórych teatrach na zgóry określone przedstawienia. — Wszystkie bilety kosztują — łącznie z kontramarkarnią po — 1 marce 70 fenigów. — Przy wejściu do teatru wyciąga się swój bilet, jako los na loterję, z urny — i siada się bądź w pierwszych rzędach krzeseł, bądź wysoko — jak wypadnie. Przy tym systemie na niektórych przedstawieniach cały teatr bywa wypełniony przez publiczność proletariacką.

Ten nastrój u Piscatora, o którym mówiłem poprzednio, bywa oczywiście tylko przy proletariackiej widowni. W inne wieczory — „Rasputin” jest grany codziennie od dłuższego czasu i codziennie wypełnia widownię — jest dużo publiczności burżuazyjnej, która przychodzi na widowisko w poszukiwaniu teatralnych ciekawostek snobistycznych.

J. Janowski.

F I L M S O W I E C K I

REŻYSER EISENSTEIN I JEGO FILMY BEZ AKTORÓW

Publiczność polska miała dotychczas możliwość zapoznać się z produkcją filmową sowiecką głównie z trzech obrazów: „Car Iwan Groźny“, „Dekabryści“ i „Szczęście żydowskie“. Filmy te realizowane były siłami aktorów teatrów państwowych. W pierwszych dwóch role główne odtwarzają artyści teatrów rosyjskich, w trzecim — aktorzy teatru żydowskiego „Habima“. Film „Szczęście żydowskie“, wyposażony w dekoracje i rekwizyty malarza Altmana, rozwijający się na kanwie scenariusza I. Babela i świetnie obsłużony przez zespół żydowski z Michoelsem na czele — film, nasiąknięty subtelnym humorem Szaloma Alejchema i poezją groteskowego smutku żydowskiego — przeszedł w Polsce niepostrzeżenie.

Nie te filmy jednak, obsłużone przez artystów teatrów zawodowych, stworzyły sławę porewolucyjnego kina rosyjskiego. Nowe walory, nowe podejścia do zadań sztuki filmowej, nowy stosunek do tematów i materiału kina — wniósł dopiero reżyser Eisenstein, uczeń i były pomocnik słynnego Meyerholda.

Eisenstein zerwał całkowicie z tradycją teatralną w kinie. Filmy swe tworzy bez scenariusza. Jako temat — obiera sobie zwykle jakieś praktyczne zadanie, podyktowane przez potrzeby chwili bieżącej. Wychodzi z założenia, że sama rzeczywistość jest już „fotogeniczna“. Trzeba tylko umieć podejść do tej rzeczywistości z obiektywem aparatu filmowego i zorganizować według zasady celowej selekcji — „przyłapaną na gorącym uczynku“ proces życia społecznego. Dlatego Eisenstein obchodzi się *bez aktorów* i *przeważnie bez dekoracji* (z wyjątkiem tych wypadków, gdy zachodzi potrzeba budowania makietów, *kopjujących* zresztą obiekty istniejące — jak nprz. makiet dworca Finlandzkiego w filmie „Listopad“). Odtwórcami ról w filmach Eisensteina — filmach kolektywistycznych — są zwykli „amatorzy“ przypadkowi — robotnicy, chłopci, marynarze, przechodnie ulicznych... Tak, nprz., w filmie „Listopad“ rolę Lenina odtworza uderzając do niego podobny robotnik Nikandrow z Noworosyjska. Talent Eisensteina polega właśnie na nieomyślności jego bystrego oka, który z gąszczy życia wyławia potrzebne mu „fotogeniczne“ figury. Tak zbudowane zostały trzy największe i najpiękniejsze jego filmy — „Pancernik Patiomkin“, „Listopad“ i „Linja generalna“.

Poniżej podajemy garść refleksji samego Eisensteina, powstałych podczas realizacji jego filmu:

LINJA GENERALNA

... Wieś!...

Któż inny powołany jest wstrząsnąć ten zgąstek problemów, jeśli nie kino?

Lenin powiedział:

„Ze wszystkich sztuk najważniejszą dla nas — jest kino“.

Nie same tylko obrazki z dziedziny kultury rolnej i kroniki bieżącej powołane jest robić kino. Chwycić za kołnierz i bezapelacyjnie postawić zdębiałego widza oko w oko wobec aktualnego zagadnienia, zmusić go wziąć w niem udział, oto — obowiązek kina przedewszystkiem.

Pierwszą więc troską było: obrać jedną tylko ograniczoną linię. Linja ta — to linja kolektywizacji gospodarki i uprzemysłowienia wsi, linja etapów decydujących o przejściu przez kooperację do budownictwa socjalistycznego.

W ten sposób powstał nowy mój film — „Linja generalna“. Jest to pierwszy obraz monumentalny, zbudowany na gospodarczo - rolniczym materiale chłopskim. Realizacja tego filmu próbuje wykazać jak donio-

słemi i zajmującymi mogą być najpowszedniejsze nawet zagadnienia chłopskie, które z punktu widzenia politycznego i społecznego — mają kolosalną wagę.

Front wiejski. Walka klasowa na wsi. Linja uporczywej długiej głuchoj walki.

Walka! Zazwyczaj myśli się wówczas o rozwianych sztandarach, paszczach armatnich, tętencie kawalerji, potokach zrewoltowanych mas.

Lecz pochód zwycięzki idzie nie stamtąd.

Duński podjazd. Konkurs znoszenia jaj. Ogrzany chlew. Orka na śniegu wiosennym. Gruba warstwa tłustego nawozu na kolektywnie obrobionem polu. Połączenie artelów.

I urzędowo - znana terminologia rezolucyj, uchwał, dyrektyw — zaczyna żyć utuczonymi stadami rasowego bydła, terkotem żniwiarek wiążących automatycznie snopki, traktorów i lokomobil Mac-Cormicka i Państwowego Trustu Maszyn Rolniczych.

Od patosu wielkiej walki rewolucyjnej, od płomieni powstań — do codzienności chłopskiego bytowania, do obory, do ksiąg buchalteryjnych, do artelu mleczarskiego.

Zmusić szanować te myczące cyfry, diagramy zwiększonego udoju i kartoteki notujące selekcje wielotysięcznych gatunków ziarna — oto zadanie, które wyznaczamy sobie.

Nie dość tego. Kino burżuazyjne Zachodu prowadzi agitację na rzecz miłości ojczyzny, Boga i uczciwego komiwojażera i stawia pomniki „nieznanemu żołnierzowi”.

My musimy porwać, zakochać naszą ogromną widownię w chłopskiej powszednio - szarej pracy, w rasowym buhaju, w traktorze, zaprzężonym do pary z chuderławą szkapą, ciągnącą wielgaśny wóz budownictwa socjalistycznego w Z. S. S. R.

Czyż na zachodzie wiedzą cokolwiek o naszych niesłychanych zdobyczach na wewnętrznym „pokojowym froncie”? Czyż zachód ma pojęcie o bohaterstwie „pierwszych ataków pionierów gospodarczo - rolniczej rewolucji”? Wszak oprócz anegdoty o tradycyjnym niedźwiedziu, spacerującym na ulicach Moskwy, większość o niczem nic nie wie.

W naszych kino - teatrach wyświetlano obraz „Trzy epoki”, razem przeplatane. I było to śmieszne. Przystępując do kwestji gospodarki rolnej, my mamy przed sobą „Pięć epok”. Razem splecione. I to jest wspinałe.

Oto mamy chłopski system przeplatania ziemi ornej pasemkami drobnej własności („czerezpołosica”). Pasemko takie wszcz nie daje możliwości ułożyć nawet teki. Ilość dziesięcin, stanowiących własność poszczególnych mieszkańców, rozrzucona jest w 30 miejscach. A obok — siedmiopolówka wzorowego gospodarstwa zbiorowego.

Chłopi są niezadowoleni z zarządu Państwowej Chodowli Bydła, bo rasowych prosiąt (szlachetne potomstwo angielskich wieprzów) nie wolno zarzynać na mięso — a obok przechadza się radca misji duńskiej: wszak potomstwo wieprza angielskiego plus rosyjska „czuszka” — to bacon pierwszej klasy! Rosyjski bacon — to postrach Danji.

— W głowie się kręci od jędrnego zapachu żywicy, bijącego od świeżo zrąbanych sosen. Drzazgi sosnowe. Budujemy. We wszystkich pięciu epokach odrazu. Oto gospodarstwa zbiorowe, gdzie jak w kroplici wody gra, odbijając się, bezkres horyzontów nowej ery socjalnej. Aka-

demja Rolnicza im. Timirjazzewa, gdzie uczą się robotnicy i chłopi. Doświadczalna Stacja Genetyczna im. Anikowa. Jedyne na świecie *państwowe* laboratorium, opracowujące tego rodzaju zagadnienia.

Inżynierja hodowli bydła. Świadome konstruowanie celowo dobranej rasy zwierzęcej, utrwalenie przypadkowej mutacji w nową odmianę gatunku. Koniec tajemniczej magji i tajemnic przypadkowych kopulacyj. Runęła jeszcze jedna fikcja bóstwa.

„Dajcie nam rozumnych rodziców” — dolatuje z pod brooderu sztucznej kwoki. Ile fanatyzmu! Ile oddania się sprawie!

Rośnie zboże selekcyjne. Zaorane na śniegu. Buduje się epokę pary i elektryczności.

A w perspektywie: kilka wielkich gospodarstw na Syberji będą w stanie zaopatrzyć w chleb całą Unję Sowiecką.

Ale co to wszystko znaczy w porównaniu z patosem pierwszego zbiorowego separatora, lub po raz pierwszy powstającego artelu.

Patos separatora. Od separatora do rozplodowca rasowego, od rozplodowca buhaja — do traktoru, do dwóch, do dziesięciu, do setki, do uprzemysłowienia w skali masowej.

Co znaczy w porównaniu z tem patos „Pieśni o Rolandzie”? Dlaczego drżą serca widzów, gdy przy gromowych dźwiękach wagnerowskiej miedzi brylantami zapala się święty puchar Graala? Na diabła nam to hiszpańskie naczynie!

Niech lepiej ogniem zapłoną oczy przed połyskiem blaszanki zbiorowego separatora.



KADR Z FILMU „LINJA GENERALNA“

KONIEC KRYWORYLSKA

MELODRAMAT SATYRYCZNY B. ROMASZOWA

FRAGMENT AKTU DRUGIEGO

RYBAKOW, REDAKTOR, BERGMANÓWNA, SEKRETARKA, FELDMAN
GŁUCHA PROWINOJA, LOKAL REDAKCYJNY. WIECZÓR

RYBAKOW. Daj papierosa, Rózo.

BERGMANÓWNA. Cóż to? gębę masz taką zdeptaną...

RYBAKOW. Wyczerpany jestem. Tyle przemyślałem przez ten czas, Bergman. Cały wagon myśli. *(Zapała papierosa i siada na brzeżku stołu).*

BERGMANÓWNA. Porcja niezgorsza. To wcale niezłe, Lampo.

RYBAKOW. Ale głupie. Wogóle, całe to zagadnienie jest głupie. Ale co robić, kiedy zmuszeni jesteśmy nie tylko przeżuwać instrukcje i pisać artykuły, ale i pić, jeść, żyć wspólnie...

BERGMANÓWNA. Nadbudówki fizjologiczne.

RYBAKOW. Dużo myślałem, Rózo: w tramwaju, na posiedzeniach, w domu. Sprzykrzyło mi się ciaćkać, jak z surowym jajkiem, a wyzbyć się tego nie mogę.

BERGMANÓWNA. Do czego zmierzasz? Mów odrazu, Rybakow.

RYBAKOW. Wszak żyliśmy z sobą, Rózo.

BERGMANÓWNA. Tak jakby.

RYBAKOW. To było niezłe.

BERGMANÓWNA. Nie pamiętam.

RYBAKOW. Stosunki nasze były mi drogie. Chłopcy nasi wynajdywali powody drzwi sobie z mojej romantyczności. Niema w tem żadnej romantyczności, ot, poprostu — zamiłowanie do czystości, wstręt do niechlujstwa.

BERGMANÓWNA. Fizjologia. Dalej.

RYBAKOW. Dalej gorzej. Łapałem się na tem, że nawet przywiązałem się do ciebie. Nie obawiam się powiedzieć: kochałem. Gwizdę na to, że ktoś tam powie: mieszczańskie nałogi. Więcej z łyka ma w sobie ten, kto ustawicznie zmienia jedną babę na drugą, nie troszcząc się o skutki. Wogóle nie znoszę sentymentów. Ale ciebie ceniłem, jak cenię czyste powietrze w pokoju, dobrą książkę, łaźnię. Bez ciebie czuję się parszywie. Od czasu, jak się to skończyło — jak gdybym stracił jedno płuco.

BERGMANÓWNA. Toć możesz świetnie, Rybakow, nawiązać takie same stosunki z pierwszą lepszą z naszych dziewcząt. I otrzymasz taką samą „łaźnię”.

RYBAKOW. Djabła tam. Jak ty tego nie rozumiesz, Rózo? Traktowałem cię jak żonę.

BERGMANÓWNA. A tyś myślał, że żona to tak, na lat dziesięć lub dwadzieścia, prawda? Własność? Sprzęt domowy?

RYBAKOW. Kręcisz. Nigdy nie patrzałem na ciebie jak na sprzęt domowy.

BERGMANÓWNA. Rozczarowanie? Ile jeszcze kwasu mieszczańskiego tkwi w tobie!

RYBAKOW. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy pograżać się w anarchji. Jakaż w tem zasługa, iż dziś żyjesz z jednym, jutro z drugim? Wyjaławiasz się tylko.

BERGMANÓWNA. Ano, rzecz prosta, lepszy samowar z imbryczkiem, pod szydełkowym kapturkiem. Kredensik. Łóżko na dwie osoby. Kanarek. Co sobota — łaźnia wspólna, a co rok to prorok.

RYBAKOW. To głupie, Bergman.

BERGMANÓWNA. Bynajmniej nie żyję z każdym, Rybakow, lecz nie widzę najmniejszej potrzeby robić z tego jakiegoś kultu czy celebracji. Każdy zdrowy chłopiec, jeśli nie jest mi wstrętny, może stać się moim mężem, jak ty to nazywasz. Lecz, otwarcie mówiąc, tak mam mało czasu, że nie łamię sobie nad tem głowy, jak ty: na posiedzeniach, w domu. A miłość? Ja kocham tylko robotę partyjną. Zrozumiano? Godzę się na czystość, owszem, ale od kanarka — jak najdalej. Wystarczy poddać się, a zaraz zacznie się słuchać słowików.

RYBAKOW. A czyż ty z Miechonoszewem nie słuchasz słowików?

BERGMANÓWNA. Z Miechonoszewem kłócimy się, ile wlezie.

RYBAKOW. Nie przeszkadza ci to żyć z nim.

BERGMANÓWNA. A, więc scena zazdrości? Pięknie. Oho, Lampo, wbiłeś ty mi klina.

RYBAKOW. Bynajmniej nie robię ci żadnych scen zazdrości, lecz wstrętnie mi patrzeć na twe niechlujstwo.

BERGMANÓWNA. Głupi. Umyj się.

RYBAKOW. Djabła tam zazdroszczę, ale z przyjemnością zbiłbym cię na kwaśne jabłko, wraz z nim.

BERGMANÓWNA. *(śmieje się wesoło)*. Strzelaj z Nagana.

RYBAKOW. Wczoraj ze mną, dziś z nim, a jutro z kim?

BERGMANÓWNA. A tobie co do tego?

RYBAKOW. Bardzo mi do tego, bo to już świństwo. To ruja. Rozpusta.

BERGMANÓWNA. Lampa — kaznodzieja? Tybyś naszym chłopcom mógł w niedzielę kazania prawić. Świętoszek! Cuchniesz mi kazidłem.

RYBAKOW. Powiedz no jeszcze słówko, Bergman.

BERGMANÓWNA. Świętoszek i do tego bałwan.

RYBAKOW. Spiorę cię, chociaż jesteś...

BERGMANÓWNA. Ty — mnie? *(zawija rękawa)*. Daligo! Cóż to, napróżno się boksu uczyłam? Gotuj się!

RYBAKOW. *(zdejmuje marynarkę)*. Będiesz beczeć, Bergman.

BERGMANÓWNA. Zobaczymy.

RYBAKOW. Lepiej się nie bić, Bergman.

BERGMANÓWNA. Aha, stchórzyłeś! No — daligo? *(ściąga z siebie kurtę)*.

RYBAKOW. Nno, pokażę ja ci.

(Zaczyna się formalny boks. Róża jest zgrabniejsza od Lampy: ten zmuszony jest bronić się przed jej gwałtownymi atakami. Róża zapędziła go w kąt, pod szafę. Bokswi towarzyszą okrzyki: „Daligo!” — „Nie bój się, Lampo!” — „Nieprawidłowo!” Dzwoni wniebogłosy telefon.)

FELDMAN. Cóż to, nie słyszycie telefonu? Wesoła kultura fizyczna, niema co. Hallo? Tak. Rybakow, jakimi czcionkami składać artykuł wojenkoma? Redaktor ćwiczy się w boksie. Składajcie garmontem *(Wiesza słuchawkę)*. Towarzyszek Bergman, zaprzestańcie łupić nieszczęsnego redaktora. Dostyc już, towarzyszeko Bergman. Poczekajcie, zaraz was uspokoję. *(Chłusta na nich wodą)*.

(Boks przerywa się. Lampa ociera pot z czoła, szuka pod stołem okularów).

Sądzę, że dla ćwiczeń fizycznych miejsce to jest trochę niedogodne.

BERGMANÓWNA *(naciąga kurtkę)*. Rybakow dowodził mi problemu płci.

FELDMAN. Dawniej dowodzono tego w zgoła inny sposób. Zdaje się, iż wasze argumenty okazały się skuteczniejsze.

RYBAKOW. Bergman bije się, niczem bokser cyrkowy.

BERGMANÓWNA. Mam nadzieję, żeś zadowolony z naszej dyskusji. Ten siniec pod okiem wymaga okładów z wody gulardowej.

RYBAKOW. Możesz się o to nie troszczyć! Wrócę za godzinę, Feldman. Artykuł wstępny poszlijcie do drukarni *(chwytą czapkę i tekę)*. Gdyby dzwoniono z komitetu — wrócę za godzinę. „Torreadorze, śmiało...”.

BERGMANÓWNA. Zdaje się, że jest nam po drodze, Lampo.

RYBAKOW. Idź do diabła, poczwaro! *(Wychodzi pośpiesznie, Feldman i Róża śmieją się)*.

BERGMANÓWNA. Lecę do komitetu. Towarzyszu Feldman, wiecie, jaki jest najlepszy środek na miłość?

FELDMAN. Dawniej była na to jedna rada — małżeństwo.

BERGMANÓWNA. Bujda. Boks! Radykalne wyleczenie. Całkowita gwarancja. Nie zajmujecie się kulturą fizyczną?

FELDMAN. Trochę, z bękartami.

BERGMANÓWNA. Napróżno. Uczcie się boksu. *(zartem naciera nań)*. Od czasu, jak zaczęłam uprawiać sport, nabrałam energii za pięćiu. A jaki apetyt! Łykam życie, jak strus. Życie to bycza rzecz, towa-

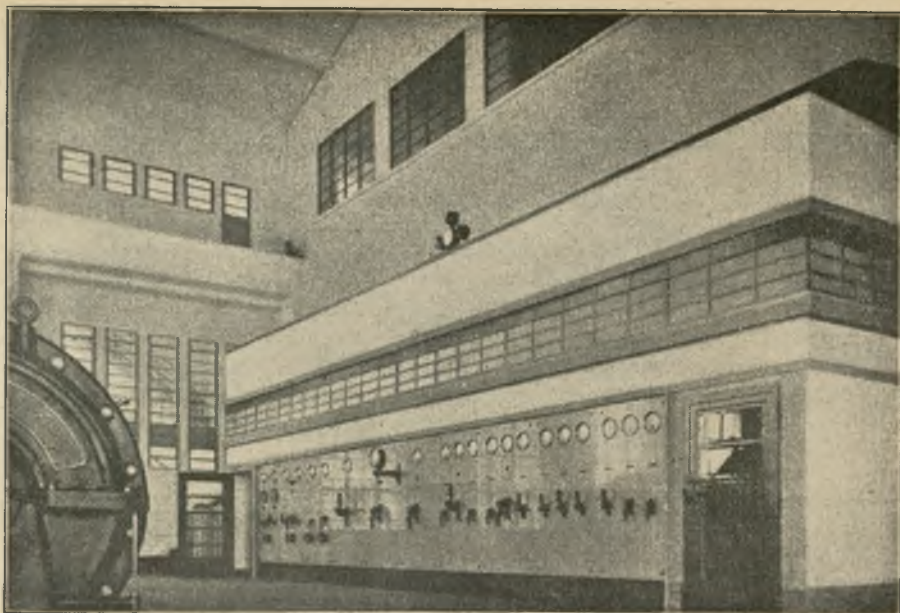
towarzyszu Feldman.

FELDMAN. Niezgorszy wynalazek.

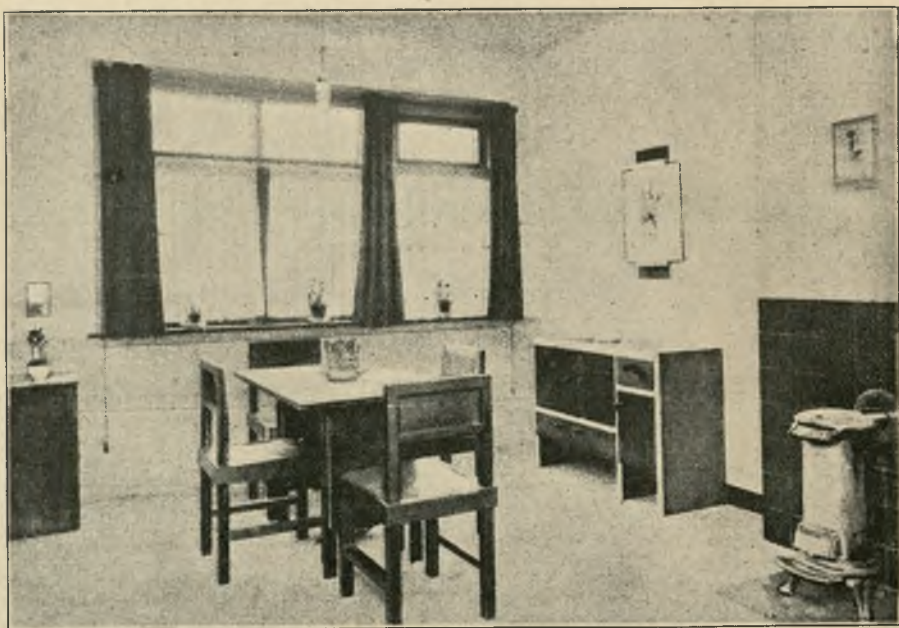
BERGMANÓWNA. Boks, towarzyszu Feldman! *(ze śmiechem wybiega)*.
Tłumaczył B. D.

ROBOTNICZY TEATR
K L U B O W Y
„NIEBIESKA BLUZA”





ARCH. A. FISCHER (ESSEN): CENTRALNA HALA MASZYN W KÖNIGSBORN
 Przykład uwzględnienia środowiska wysiłków fizycznych: widno, wesoło, czysto



ARCH. S. RAVENSTEJN: TANIE NOWOCZESNE MIESZKANIE ROBOTNICZE
 Proste—[pełne światła—nieprzeładowane niepotrzebnymi sprzętami]

FILM POLSKI

„ZIEMIA OBIECANA”

Pierwszy film polski na poziomie technicznym zagranicznej produkcji kinowej. Znać, że zdjęciami kierował inżynier — przy pomocy dobrego operatora. Zdjęcia klarowne, kąt widzenia urozmaicony, lampy jupiterowe użyte umiejętnie, powiększenia stosowane przeważnie dla akcentu psychologicznego. Nieźle trick'i: walka w oddziale maszyn, szurgot nóg prześladowający fabrykanta. Montowanie zadawalniające. Wyciąć tylko partacką damską jazdę samochodem, a bohaterkę posłać na przeszkolenie na kurs gentlemański. Odpadną wówczas niesmaczne skutki tej jazdy.

Technicznie film nie wnosi nic nowego, stosuje tylko ze zrozumieniem rzeczy dorobek kina zagranicznego. To już wielki krok naprzód.

Scenariusz „Ziemi obiecanej” wykrojono z powieści Reymonta dość zręcznie. Stuszowano naiwności i dorobiono „dobre” zakończenie. Tendencja filmu naogół ta sama co w powieści: „krytyka” przemysłu kapitalistycznego w imię idyllicznych stosunków w dworcu polskim. Nie koliduje to bynajmniej z linią wytyczną sfer rządzących obecnie. Owszem, jest poniekąd na rękę zwolennikom agraryzacji Polski.

„Zagranica”, którą zdaje się włączono do kalkulacji obrazu, ma możność w „Ziemii obiecanej” podziwiać przemysł łódzki. Łodzi naogół jest w tym filmie niewiele. Ale obiekty wybrano sprytnie. Realizator dokonał zdjęć w najlepiej zainstalowanych fabrykach włókienniczych: „Scheibler i Grohmann” i „Widzewska Manufaktura”. Ta ostatnia posiada od lat kilku instalację maszynową według najnowszych modeli, sprowadzonych po pożarze fabryki z Anglii: Salfaktory, szpulmaszyny, warsztaty automatyczne a nawet bielnik („blich”) wyglądają na ekranie imponująco. Oczywiście, typowych dla Łodzi szarpani („wilków”), sortowni bawełny, farbiarni i apretur, gdzie panują okropne warunki sanitarne — nie pokazano. A przecież byłoby to malownicze tło dla scen wysysku robotnic. Nie pokazano też typowego ostatnio dla Widzewskiej Manufaktury obrazka: jak przybyli ze wsi okolicznych robotnicy śpią podczas ruchu fabryki — po przepracowanych 12 godzinach — wprost pod warsztatami, skąd smar i oliwa kapią im na twarz. „Fotogeniczność” takiej sceny nie ulega chyba wątpliwości? Wrodzona jednak skromność fabrykantów łódzkich nie pozwoliła im popisać się przed szeroką publicznością wspaniałe przeprowadzaną w Łodzi przez rodzimych taylorystów „racjonalizacją pracy”.

Są w tym konwencjonalnym filmie momenty, zaznaczające walkę klasową, któreby można rozwinąć do potęgi dramatycznych przeciwieństw dyalektycznych. Ale za każdym razem, gdy ukazuje się rąbek świata krzywdy i wyzysku, realizator (inżynier Gwiazdowski, jak widać, orientujący się w świecie pracy) śpieszy czempredziej nalepić plaster mdłego „litosierdzia” i roztopić narastający dramat w melodramacie. Ukryć całkowicie krzywdy społecznej dziś już nie można, widz nie uwierzy, więc nawet lepiej kalkuluje się „popuścić” mu trochę. Warto pokazać naprz. „piękno świata pracy”, „poezję pracy” — nic nie kosztuje a dobrze smakuje. Istotnie, zdjęcia pierwszej części „Ziemi obiecanej” na tych motywach oparte: Łódź o świecie, gwizdki, pierwszy tramwaj, robotnicy z blaszankami wsiąkający w paszczę bramy fabrycznej, inspekcja Bucholca, typy włókniarzy — należą do najbardziej udanych w filmie.

Dobrze oddany jest świat przemysłowo-handlowy Łodzi. „Lodzermensch” stanowi jednak typ odrębny — i warto go było wprowadzić na ekran. Figury z burżuazji żydowskiej przedstawiono w świetle dość sympatycznej groteski, z humorem i werwą. Ludzie ci w Polsce nieźle reprezentują „Europe”. Typ rekina przemysłu, harpagonowo-demoniczny Bucholc, trąci dziś myszką. Podupadły przemysł powojenny Łodzi nie zna już takich fabrykantów, typowych dla 80 i 90-tych lat zeszłego stulecia, kiedy burżuazja łódzka miała swój „wiek złoty”. Fałszywie postawiona jest też postać inż. Buchowieckiego. „Ty-tan”, „nadczołowiek” i byznesman w początku sztuki — kończy jak zwykły zblazowany

ślamazara u stóp sentymentalnej gęsi ze dwora. Takie to są skutki „dobrych” polskich zakończeń „w stylu amerykańskim”.

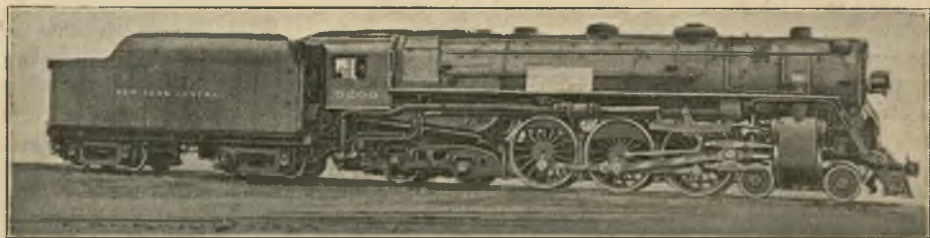
Film „Ziemia obiecana” nieźle oddaje nerwowe tempo życia łódzkiego. Łódź, zaniedbana kulturalnie, dzięki swemu przemysłowi, dzięki stosunkom handlowym z zagranicą, bliższa jest Zachodowi (a zwłaszcza Ameryce), niż pozornie efektowniejsza stolica. Realizator filmu — inżynier — potrafił to pokazać. Przez grubą skorupę nawarstwień konwencjonalnych, przez wszystkie „ludpole” i wystrzyganki łowickie, suto film oblepiające — przebija jednak żywa struga życia. Jest w tym filmie patos pokonywania przeszkód, urok budowania, zapowiedź nadchodzącej kultury konstruktywistycznej. Sceny budowania fabryki — zwłaszcza sceny w zwykłym sobie baraku z dykty, gdzie pracują inżynierzy — mają coś ze zdrowej atmosfery świeżości i młodości, która nas tak czaruje w niektórych filmach (zwłaszcza farsach) amerykańskich.

Dlatego może „Ziemia obiecana” jest pierwszym filmem polskim, o którym można już mówić.

w.

MOGIŁA NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA

Film ten — w przeciwieństwie do „Ziemi obiecanej” — stoi na równie tandetnym poziomie artystycznym i technicznym, jak i demonstrowany przed siedmiu laty podobny kicz agitacyjny „Tajemnica medaljonu”. Tendencja dość naiwnej powieści A. Struga w scenariuszu i reżyserji Ordyńskiego w nieporadności swej miejscami wprost rozpruwa ekran, wywołuje w tragicznych miejscach śmiech lub wrzucenie ramion. Kogo dziś mają przekonać te operowe demony, kabaretowe djablice, oleodrukowe księżne, biegający nieporządnie, tam i zpowrotem „masowo” ludzie w kaszkietach i inne „wyraziste” metody oddziaływania na widza? — Sceny batalistyczne — jeżeli się uwzględni poziom odpowiednich obrazów amerykańskich, jak „Wielka Parada” i in. — wypadły dla wytwórni polskiej wprost kompromitująco. Cała „Mogiła” to tandetny „monumentalny” kicz.



LOKOMOTYWA CIĄGNĄCA 20 WAGONÓW Z SZYBKościĄ 144 km. NA GODZ.

TEATR POLSKI

„WOJNA WOJNIE”

Nowaczyński sprawił zawód nawet swym wrogom: dał nad podziw lichą sztukę. Nic tu nie trzyma się kupy. Elementy „Lizystraty” i „Rycerzy” Arystofanesa posklejane mechanicznie i „zmodernizowane” na modłę przeciętnego teatryka rewji. Wiersz częstochowski. Stumetrowe „dowcipy”, którymi autor zalewa publiczność przez pięć długich aktów — pozbawione są humoru i jakiegokolwiek żądła politycznego. Jeśli to ma być „satyra”, to na kogo i na co? Nie warto było podnosić tyle hałasu o wystawienie takiej lichoty. Jedynie reklamie sanacji, bojkotującej autora, i reżyserji Leona Schillera zawdzięcza „Wojna wojnie” powodzenie u publiczności mieszczańskiej i ziemiańskiej, która traktuje to widowisko, jak pięcioaktowy skatch w „Qui pro quo”. Gdyby młody autor napisał coś podobnego, żaden dyrektor nie odaważyłby się przyjąć tego na scenę.

Schiller nadał całej „komedji” charakter rewji z nieodzownymi „girlsami”. Jest w tej realizacji kilka pomysłów reżyserskich, godnych lepszej sztuki (ułani, cienie chińskie, szturm). Ale poco każdy akt zaczynać wrzaskiem przy zapuszczonej kurtynie? Charakterystyczne, że w inscenizacji tej właśnie budwy zastosowano po raz pierwszy w Polsce rusztowania sceniczne miast „dekoracji”. Konstrukcje Wł. Daszewskiego są trafne, dobrze pomyślane i solidnie wykonane. Można by poszczególne elementy mocniej spręgnąć w jedną całość organiczną i opuścić niektóre niepotrzebne szczegóły, zwłaszcza w akcie pierwszym, skądinąd dającym największe możliwości w rozplanowaniu ruchu mas aktorskich. Stylizowany konstruktywistycznie portyk z kolumnami doryckimi wyłamuje się z całości i nie wiąże z dobrze zbudowanym „ślimakiem” w akcie ostatnim. Dobry był pomysł obracania sceny przy otwartej kurtynie: zademonstrowano w ten sposób przewagę budowlanej rusztowaniowej nad zwykłymi, używanymi przez Reinhardt’a jeszcze, „praktykami”.

Czy nie sympotomatyczne to dla naszych stosunków, że wybitni artyści polscy, pozbawieni właściwego ich talentom pola pracy, muszą marnować siły i pomysły na bzdurach tego rodzaju, co „Wojna wojnie”?

Witold Wandurski

P. S. *Pro scena sua*. Przyjaciele zwrócili mi uwagę na to, iż rzucają się w oczy analogie pomiędzy „Wojna wojnie” a moją agitką „Gra o Herodzie”. Trawestacja znanego tematu, kukiełkowość figur, rąbane rytmy (u Nowaczyńskiego — marsz kobiet, u mnie Prasa), wstawianie popularnych „szlagierów” do tekstu („Gdy zobaczysz ciotkę ma...”), wreszcie — wiersz. U Nowaczyńskiego: „...inne tortury, o których nie mówię ze względów cenzury” (Miroluba). U mnie: „Kłamstwo, że król Herod umarł — a pfe! a pfe! — nie dopuści wszak cenzura!” (Prasa) Można znaleźć tego więcej.

Nie przypuszczałem, że spotka mnie taki „zaszczyt”. Pisałem swój skatych polityczny w pośpiechu, wierszem częstochowskim, dla użytku chwili — i ani mi się nie śniło, że „Arystofanes polski” zużytkuje niektóre pomysły i nawet rymy w swem epokowym dziele. Przydała mu się trochę i zbojkotowana przez krakauerskich zuchów „Śmierć na gruszy”.

W. W.



KONSTRUKCJA DO „WOJNY WOJNIE”, AKT PIERWSZY

KSIĄŻKI

Z OBCHODU 250-ej ROCZNICY ŚMIERCI SPINOZY

(„*Chronicon Spinozanum*“, tom V, Haga 1927).

Najpoważniejszą enuncjacją naukową, poświęconą pamięci wielkiego myśliciela jest bezsprzecznie tom V „*Chronicon Spinozanum*“, wydany przez Towarzystwo Spinozańskie („*Societas Spinozanum*“). Każdy naród, biorący udział w ogólnym dorobku badań nad historią filozofii, znajduje na kartach „*Chronicon*’u” swego wybitnego przedstawiciela, którego artykuł wydrukowany jest przede wszystkim w języku ojczystym autora, następnie zaś w przekładzie francuskim lub niemieckim.

Polskę reprezentuje prof. *Myślicki* („Znaczenie filozofii Spinozy dla naszego kraju”), Rosję — prof. *Deborin*, kierownik Instytutu Filozoficznego im. Karola Marksa („*Spinoza a marksizm*”). Artykuł prof. Deborina, jednego z najwybitniejszych filozofów marksistowskich kierunku „ortodoksyjnego”, autora bardzo cennych prac z zakresu teorii i historii materializmu filozoficznego, zasługuje ze wszech miar na pobieżne choćby omówienie gwoźli użytkowi czytelnika polskiego. Nie możemy bowiem narzekać na nadmiar wydawnictw, poświęconych Spinozie, niepodobna twierdzić o polskich instytucjach naukowych tak, jak z słuszną dumą pisze Deborin o analogicznych instytucjach na terenie Z. S. S. R. — żeby „szykowały się w 250-tą rocznicę śmierci Spinozy do godnego uczczenia jego pamięci przez urządzenie uroczystych posiedzeń i specjalnych referatów, wyjaśniających z różnych stron system filozoficzny wielkiego myśliciela”. A co gorsza, przesadą byłoby u nas pisać, że „imię wielkiego Benedykta Spinozy cieszy się olbrzymim szacunkiem u marksistów polskich”. Wiele należałoby jeszcze uczynić, aby tak było naprawdę, aby ten i ów nie kojarzył w „niebezpieczne związki” Marksa z Machem i Avenariussem albo, dla odmiany, z Jamesem, Dewey’em i Schillerem — zamiast uświadomić sobie właściwy rodowód filozofii Marksa i Engelsa, związanej jak najściślej z socjologią wielkich mistrzów socjalizmu naukowego.

Wielką zasługą wspomnianego artykułu prof. Deborina jest właśnie wzmocnienie więzi, łączących marksizm ze spinozyzmem. „Wielu” — powiada autor — „sądzi, że marksizm jest tylko pewną nauką ekonomiczną i teorią rozwoju historycznego społeczeństwa. W rzeczywistości jednak sprawa jest bardziej złożona, zarówno bowiem nauka ekonomiczna, jak i teoria materializmu historycznego jest wynikiem i wyrazem pewnego filozoficznego poglądu na świat i naukowej metody badania, związanej z tym poglądem. Marksizm pojmowany w ten sposób sprowadza się do materializmu dialektycznego. Bez materializmu jako ogólnofilozoficznego poglądu na świat, bez dialektyki jako metody — nie masz marksizmu. Oto stanowisko zajmowane przez Marksa i Engelsa, a wślad za nimi przez J. Plechanowa i W. Lenina”.

Stanowisko to odbiega zupełnie, zdaniem autora, od „epistemologicznej (teorjopoznawczej) scholastyki i beztreściwego formalizmu etycznego Kanta, stanowiącego „urzędowe credo filozoficzne socjaldemokratów niemieckich” (przypomnimy od siebie, że ostatni program socjaldemokracji niemieckiej opracowany został pod auspicjami sędziwego neokantysty, prof. Vorländera, autora znanej pracy: „*Marks i Kant*”), natomiast zbiega

się z filozofią L. Feuerbacha „z jego materializmem przepuszczonym przez pryzmat dialektyki“. A materializm Feuerbacha jest tylko — jak usiłuje dowieść autor — spinozyzmem wyzwolonym z obłonek teologicznych. „Feuerbach — podobnie, jak Spinoza — twierdził, że świat zjawisk podmiotowych jest jeno drugą stroną świata zjawisk przedmiotowych. W ten sposób Feuerbach zajmował stanowisko jedności przedmiotu i podmiotu, myślenia i bytu. Lecz ten punkt widzenia Feuerbacha został w całości przejęty przez Marksa i Engelsa“. „To, co Spinoza nazywa istotą (substancją) albo bogiem“ jest według Feuerbacha, Marksa i Engelsa — „jedynie przyrodą“. — „Przyroda — według Spinozy i jego spadkobierców w w. XIX — „jest wielką całością, w której obrębie wszystko pozostaje we wzajemnym związku. Człowiek jest również tylko częścią tej jedynej całości, częścią przyrody, poza którą nic nie istnieje. Poznanie nasze zwrócone jest w kierunku ustalenia związków przyczynowych i praw natury“.

Nie zamierzam streszczać tutaj wszystkich dowodów autora, przemawiających na rzecz definicji marksizmu jako „odmiany spinozyzmu“, opartych na bardzo przenikliwej analizie krytycznej „Etyki“ i obu „Traktatów“ Spinozy. Wypadnie mi powołać się na niektóre z tych dowodów przy innej sposobności, w przygotowanym do druku osobnym studjum, omawiającym wpływ Spinozy na materializm w. 18-go, będący jednym z najważniejszych etapów w rozwoju myśli marksistowskiej.

Należy jeszcze z uznaniem podnieść śmiałość filozofa marksistowskiego, który na kartach organu burżuazyjnych wielbicieli Spinozy nie waha się stwierdzić, że „spinozyzm jest zrehabilitowany w naszej „oświeconej“ epoce, ale zrehabilitowany tylko o tyle, o ile udało się go wypaczyć i przemienić za pomocą wszelkich interpretacji w idealistyczny system filozoficzny... Teologowie — powiada Feuerbach — całkiem słusznie oskarżali Spinozę o ateizm. I w rzeczy samej słuszność mają tym razem klechy, a nie ci interpretatorzy filozoficzni Spinozy, którzy za wszelką cenę pragną odmierzyć pod słońcem przyrody spinozańskiej kącik dla boga *). Ale w systemie przyrody Spinozy niema takiego kącika“.

Tyle o artykule prof. Deborina. Na zakończenie parę słów o naszym partykularzu. Podczas gdy w licznych miastach Starego i Nowego świata odbyły się uroczyste obchody spinozowskie, gdy w Hadze obradował zjazd najwybitniejszych badaczy myśli Spinozy, gdy na całym obszarze Z. S. S. R. dzień 250-tę rocznicy śmierci Spinozy poświęcony został okolicznościowym uroczystościom urzędowym i nieurzędowym, posiedzeniom specjalnym towarzystw naukowych, akademjom i odczytom publicznym, u nas ani jedna instytucja naukowa nie zdobyła się na jakikolwiek już nie powiem obchód, ale choćby zwykłe posiedzenie z odczytem. Krakowska Akademia Umiejętności nie raczyła nawet wysłać telegramu powitalnego na zjazd spinozański, nie mówiąc o osobnym delegacie. Ani jedno z czasopism filozoficznych nie pomyślało o wydaniu specjalnego numeru spinozowskiego (pamiętano zato w swoim czasie o osobnym numerze kantowskim — zarówno, jak i o obchodzie), ani jedno z dzieł Spinozy nie uka-

*) Jeden z takich interpretatorów, jezuita *Dunin-Borkowski*, polak z pochodzenia, autor bardzo wartościowej pracy „O młodym de Spinozie“ reprezentował Polskę wraz z prof. *Myślickim* (obaj tylko w charakterze członków „Societas Spinozana“) na jeździe haskim. Wyjątek ten potwierdza jednak tylko słuszność ogólnego poglądu Deborina.

zało się w nowym wydaniu polskim (i to wobec kompletnego wyczerpania dotychczasowych przekładów), ani jedna książka czy broszura nie wyjaśniła szerszej publiczności, kim był Spinoza. Publiczność ta zdana była na pastwę erudycji pismaków dziennikarskich, z których jeden srodze się dziwił, czemu to zagranicą wyprawiają wielkie hece z tym uczonym rabinem żydowskim, co całe życie swe prześlęczał nad Talmudem, drugi zaś zaopatrzył wzmiankę o Spinozie wcale udatnym portretem... Pestalozziego (autentyczne!).

Pomijając te ostatnie curiosa — cprawda jedyne w swoim rodzaju w całym świecie cywilizowanym, obchodzącym rocznicę śmierci Spinozy, — upatrywać należy w zachowaniu się naszego urzędowego „świata naukowego” objaw nieomylnego instynktu klasowego, działającego ze szczególną sprawnością na rubieży t. zw. „cywilizacji zachodniej” a przestrzegającego przed jakimikolwiek nieopatrznymi wyrazami hołdu dla wielkiego samotnika, którego myśl wyhodowała przewrotną filozofję czynu Marksa i Engelsa. Boć według tej filozofji chodzi głównie nie o to, aby świat objaśniać, lecz o to, aby świat zmienić.

Stefan Rudniański

JAK NIE NALEŻY POPULARYZOWAĆ HISTORJI

Biblioteczka „Książki”. Historia, Szczepan Runicz. Jak upadła Polska szlachecka. Warszawa 1927.

Popularyzacja zagadnień historycznych ma ogromne znaczenie. Klasy panujące przykładają do niej wielką wagę. Przeróżne obchody, rocznice i t. d. bywają powodem do wydawania wielkiej ilości tanich i przystępnych broszur. Jasne jest bowiem, że takie czy inne oświecenie wypadków dziejowych wpływa na stosunek danej jednostki do współczesności. Nauka historii zawsze była bardzo bliską sąsiadką polityki.

Zadaniem popularyzacji historii wśród robotników winno być przeciwdziałanie szkodliwym skutkom wykładu szkolnego i popularnych broszurek przekręcających fakty, dających fałszywe oświecenie w duchu militarystycznym i nacjonalistycznym. Naturalnie, od popularyzatora robotniczego nie można żądać dawania nowych teorii historycznych. Można natomiast i trzeba aby przynajmniej uwzględniał sumiennie wyniki pracy uczonych burżuazyjnych, dając ich oświecenie w duchu materializmu dziejowego. Czy broszurka Runicza spełnia to minimum wymagań?

Autor rozpoczyna wykład swój o upadku Polski szlacheckiej, od opisu położenia chłopów i mieszczan, poczem zaraz opowiada o pierwszym rozbiórce, wyniku „rządów magnackich i chciwości państw sąsiedzkich”. Autor nie zapomina naturalnie napsioczyć Fryderykowi II, który „jako wilk żarłoczny czyhał... na bezbronne a bogate dzielnice zachodnie Polski”. Nic zato Runicz nie wspomina o konfederacji barskiej, o powstaniu chłopskim na Ukrainie, choć te wypadki są bardzo mocno związane z pierwszym rozbiorem i z późniejszą sytuacją polityczną w kraju.

Mniejsza zresztą o „patriotyczną” frazeologję autora i przeróżne przemilczenia. Są gaffy poważniejsze. Pisząc o nastrojach w Polsce w r. 1789, Runicz daje na str. 54 podtytułik: „Ruchawka po wsiach i miastach”, a w nim między innymi strasznymi wiadomościami: „Od słowa niedaleko

było do czynu, zaczęły wnet i w Polsce tu i owdzie wybuchać bunt, a na Wołyniu i Podolu wydarzyły się nawet znaczniejsze rozruchy".

Runicz czytał dzieło ks. Walerjana Kalinki „Sejm czteroletni”, w każdym razie przytacza stamtąd cytaty. Otóż Kalinka rozpatruje tę sprawę bardzo szczegółowo i obszernie udowadnia, że „buntów” wcale nie było, że pogłoski o buntach na Wołyniu i Podolu wyrośli się w Warszawie (dzisiaj byśmy powiedzieli, że miały charakter czysto prowokatorski), że zostały podtrzymane przez koła sejmowe i posłużyły za przyczynę do niesłychanych represji. Jedyny wypadek zamordowania szlachcica przez jego lokaja i rymarza we wsi Niewierkowie, w powiecie łuckim — był zupełnie odosobniony i mógł być traktowany jako przestępstwo kryminalne.

Zdarza się często, że jakiś organ administracyjny, zwłaszcza niższy, dostaje od władzy polecenie wypełnienia np. jakiegoś formularza statystycznego, do którego zupełnie niema materiału. Ale papier musi być załatwiony. Podaje się więc dane wzięte z bylekaąd, najczęściej z własnej imaginacji albo, jak się to kiedyś mówiło, „z sufitu”. Runicz pisząc o r. 1789 w Polsce stworzył sobie własnowolnie taki formularz w dziejach tego roku we Francji. Zestawia więc starannie wypadki: Zgromadzenie Narodowe we Fracji, bunt, zdobycie Bastyli — z zebraniem deputowanych miast polskich, którzy „nielegalnie”, „bez pozwolenia władz państwowych” każą się modlić po kościołach i demonstracyjnie, jak powiada autor, „uzbrojeni (!!!) w szpady” składają swoje żądania. Chłopi francuscy burzą zamki i niweczą przywileje feudalne. Autor nasz, prawdziwy „paryżanin północy” namyśla się niedługo i „z głowy” komponuje „bunt chłopskie” i znaczniejsze rozruchy. Czego się nie robi dla symetrii.

To byłoby tylko zabawne, ale niestety, nasz autor ma inne jeszcze powody dla swej historycznej twórczości. „Oto władze wojskowe zdusiły niepokoje i ukarały surowo sprawców”. W rzeczy samej prowokacyjne plotki warszawskie (rozsielane w interesie hetmana Branickiego, któremu się chciało dorwać do komendy) w połączeniu z efektem jaki wywarło zabójstwo niewierkowskie i strachem szlachty, mającej w pamięci „Kolicyznę” (o której autor znowu nabrał wody do ust) — wszystko to posłużyło jako pretekst do straszliwej rozprawy z chłopami wołyńskimi i podolskimi, przemilczanej zasadniczo przez historyków polskich, a o której, skrajny przedstawiciel tendencji obszarniczych, ks. Kalinka mówi, że „przykro te rzeczy opowiadać”).

Ten wyjątkowo haniebnym, bo niczem niezawinionym terorem wywarły na chłopach ukraińskich kładzie się brudną i ponurą plamą nie tylko na szlach-

*) Dla przykładu przytoczę kilka faktów podanych przez Kalinkę. Świadczą one o motywach prześladowań. „Pierwszy dał przykład Wilczyński, dzierżawca wsi Lubeza, do ks. Woronieckiego należącej. Chłopi tej wsi byli bogaci i często na posesora przed dziedzicem skarżyli, stąd nienawiść pierwszego, a u chłopów po pijanemu odgrążania się. Za te zuchwalstwa przywieziono ich do Łucka”. Przysięga dziedzica lub posesora wystarczała do skazania. „Strach był wielki, a wiadomo, że nic bardziej nad strach nie czyni człowieka okrutnym. Skoro Wilczyński zaprzysiągł swoje oskarżenia, dwóch chłopów dn. 8 kwietnia, dwóch drugich dn. 10 kwietnia powieszonych zostało. Nie było kata do spełnienia wyroku, użyto kominiarza; po 6 do 8 godzin męczyli się na szubienicy. Za przykładem Łucka poszły i inne miasta, a gdzie komisji porządkowych nie było, tam magdeburgie doraźnym sądem egzekwowały...”. „Z Kuryłówki przystawiono do Dubna 17 delikwentów. Powodem do tego było, że podochoćni w czasie świąt chłopci poszli pod

cie Wołynia i Podola ale i na „Wielkim” Sejmie i najlepiej maluje stosunek patriotów sejmowych do chłopów. A Runicz dorabia sobie bajki o „buntach” chłopskich. Trudno doprawdy znaleźć słów na należyte określenie takiego popularyzatorstwa.

Tak samo cały szereg fałszów i przemilczeń popełnia autor przy omawianiu roli stronnictwa patriotycznego. Podkreślając np. ścisły stosunek elementów wrogich reformom z dworem carskim, przemilcza o takich samych stosunkach patriotów z dworem pruskim (można by też wspomnieć o bardzo ciekawej roli, jaką odegrała polityka angielska). Zacierają się w ten sposób charakterystyczna i dla czasów późniejszych dwutorowość polityki różnych rządów i stronnictw w Polsce — a czytelnik otrzymuje zupełnie fałszywy obraz. Przy wyjaśnianiu carofilstwa targowiczian pomijają zupełnie względy gospodarcze, dając wzamian spekulacje na temat różnych gatunków patriotyzmu i t. p.

Broszura Runicza zasługiwała na szersze omówienie przez typowość podejścia. Nie można zresztą autorowi odmówić całkowicie dobrych chęci i usiłowań. Wydaje mu się jednak, że skoro pisze rzecz popularną dla robotników, to wystarczy popularność jakich nowoczesnych „Wieczorów pod lipą”, tylko podana w „klasowym” sosie i upstrzona czerwonymi słówkami. Jest to zwyczajne — pod maską frazeologii marksowskiej — tandeciarsstwo burżuazyjne: niestety trudne do wykorzenia, z którym jednak trzeba walczyć. Bez tego nie ruszy się z miejsca.

A. Stawar

E. BRAND. EKONOMICZNE MOMENTY W PRZEWROCIE MAJOWYM I W POLITYCE OBECNEGO RZĄDU

Nakładem Spółdzielni Księgarskiej „Książka”, Warszawa 1927.

Tymczasem sygnalizujemy tylko pojawienie się ciekawej pracy Branda. Autor próbuje dać ocenę tych czynników gospodarczych, które stały się bezpośrednią przyczyną przewrotu majowego i późniejszej polityki gospodarczej rządu sanacyjnego. Praca Branda przeciwstawia się poglądom wyrażonym w broszurze M. Fiedlera „Tło gospodarcze przewrotu majowego”.

„Ekonomiczne momenty w przewrocie majowym i w polityce obecnego rządu” o wiele gruntowniej i głębiej ujmują zagadnienie niż tamta broszura. Niemniej jednak Brand zapędził się w kierunku przeciwnym — dał cały szereg oświeśleń politycznie przeciągniętych. Broszura Branda, z którą powinien zapoznać się każdy interesujący się marksizmem czytelnik, zasługuje na bardzo szczegółową ocenę, którą damy w następnym numerze „Dźwigni”.

oknami swojej pani zaśpiewać kolendę późno wieczorem. Kasztelanowa wystraszona kazała ich za tę niespodziankę przepędzić kijami. Stąd u chłopstwa gniewy i przegróźki. Następnie donos, przyznanie się „pod plagami”. — Było to dostateczne, by trzech za wyrokiem magdeburgii skazać na ćwiartowanie, dziesięciu na szubienicę, resztę na srogie bicia” i t. d. i t. d. Prześladowanie i egzekucje rozszerzyły się stopniowo na księży unickich — potem szybko ustały. W wywołaniu pozorów buntu zainteresowany był hetman Branicki, a pogłoski rozsiewała jego partja.

Ciekawe że najprzywzwoitsze stanowisko zajął późniejszy „zdrajca” i targowiczanie. Szczęsny Potocki, który demaskował bajania o buntach, a nawet miał się z tego powodu podać do dymisji. Działał tu przez niego nie jakiś sentyment dla chłopów, ale poprostu rozsądek gospodarski, którego nie posiadała dziedzica szlachta wołyńska i „patrijoci” z Sejmu.

M I M O C H O D E M

BRATERSTWO ZBRODNI. Na czele nader smakowicie dokonanego wyboru nowel współczesnych pisarzy rosyjskich, pod pięknym i jakże trafnie charakteryzującym sąsiadów z poza wschodniego kordonu tytułem: „Ludzie jaskiniowi” — J. Kaden-Bandrowski zamieszcza niemniej apetycznie przyrządzoną przedmowę. I zapytuje sam siebie:

„Po cóż więc trud sobie zadawać, pocóż językowi polskiemu przyswajać słowa poczęte z natchnienia tych obcych, wrogich ludzi i obcych, a może nawet nienawistnych losów?!”

Ach, pocóż???—zapytujemy. Przedmówca zaś dalej opowiada. „Widzę was oczyma was wszystkich, którzy żyjecie na tych kartach. Biedną, umierającą Maszę, jej męża, tklivego złodzieja. Kozaków, którzy broczą we krwi szalonej, bratobójczej i ojcobójczej... Owego chama portjera...”

Was wszystkich, którzy wedle słów jednego z pisarzy tej książki jesteście, — „Gwałtownie dziwaczną Rosją, jak stado wszy odzieżowych, tupoczącą łapcami z obu stron pociągu”.

Żyją te troglodyty, parrycydy zawszone, złodzieje tklive i chamy i ani się domyślą, jak to szanowny przedmówca w imię „zawsze jednej Muzy” — opowieści o nich „przyjmuje jak swoje do współczującego serca”.

„Rozumiem cię, kozaku, któryś rznął ojca... I ciebie, któryś dostrzeł szmuklerkę, i ciebie, biedny człowieku, któryś kradł polana, i was wszystkich.

Och — wszystkich”.

Przyjmuje do serca, bo to przecie „my” pisarze:

„My, ludzie serca, oczu tklivie otwartych i czulej, kochającej fantazji, którzy umiemy słuchać gniewu naszych wrogów z uśmiechem serdecznej pomocy, którzy cierpiemy, gdy krew z nich upływa!...”

To właśnie czułe serce dyktuje mu słowa wyciągane ze smakiem:

„Słuchajcież tam, koledzy: Oto widzę, iż przystawiacie czyste zwierciadło światu swemu, jak my tu swemu światu staramy się czyste zwierciadło pokazać”.

Jakże się nie ma cieszyć sentymentalne serce pisarza polskiego, jakże nie przyświadczać, skoro widzi, jasno widzi w tem „czystem zwierciadle” pisarzy „bolszewickich”, że to tamci z za kordonu nic nie robią jeno zajmują się ojcobójstwem, bratobójstwem, kradną, broczą we krwi, że „krew z nich upływa” — jakże, przecież pisarze bolszewiccy sami to piszą.

Był we Francji pisarz: Maupassant. Pisarz ten przeżył wojnę 1870 roku, gdy ojczyzna jego została powalona przez wroga — pisał opowiadania z tych czasów: w dwóch z nich, uznanych za mistrzowskie, rolę prawdziwych reprezentantek patriotyzmu odgrywają prostytutki, w innej żołnierz murzyn przyrządza potrawy z ciał wrogów. W opowiadaniach Maupassanta już z czasów pokoju zdarzają się takie sytuacje, gdy brat w dziewczynie, którą posiadał w domu publicznym, poznaje siostrę, a ojciec córkę, — jest też opowiadanie o takim co zabił rodziców. Wyobraźmy sobie teraz, że jakiś wydawca, „wróg” niemiec, w patriotycznej trosce opisania „wrogów” francuzów zebrał tego rodzaju nowele i wydał je w jednym tomie — może dobrał jeszcze inne podobne. Wyobraźmy sobie następnie, że znalazł się pisarz niemiecki, który taki wybór poprzedził przedmową, dyszącą nienawiścią i przedstawiającą Francję, jako kraj, gdzie godność narodową reprezentują dziewczyny uliczne i antropofagowie, gdzie obywatele zajmują się przeważnie kazirodztwem i bratobójstwem. To wszystko można sobie wyobrazić — i wydawcę

tak patriotycznego i pisarza (może zresztą naprawdę tak było). I należy przypuszczać, że każdy rozsądny człowiek niemiec, czy anglik, przeczytawszy ten zbiór i tę przedmowę, ruszyłby ramionami i zapytał: poco wogóle w taki poniżający sposób „patriotycznie” obelgiwać swój naród i swoje społeczeństwo? A możeby spostrzegł, że nawet tak dobrane nowele Maupassanta więcej bodają mówią o wielkości jego kraju, niż niejedna fanfara pochwalna urzędowego fanfaronu?

To wszystko można sobie doskonale wyobrazić — to są rzeczy, jak powiadają, ludzkie. Ale doprawdy trudno wyobrazić sobie pisarza, który pisząc do podobnego wydawnictwa podobną przedmowę, słowa piekającej nienawiści, żółci i ślinę nieugaszonej wzdąrdy i podjudzania tak usiłował pokryć miodem fałszywej serdeczności, któryby judząc i szkalując, popisывał się słowami rzekomej solidarności pisarskiej i koleżeństwa w sztuce. I jak określić podobne postępowanie, jak nazwać taką przedmowę — gdy pisarz taki się znalazł, gdy przedmowę podobną napisał Kaden-Bandrowski?

POECI KONSKIEGO CZAPRAKA. Nieporównanym poprostu materiałem dla przyszłego historyka naszej epoki będą nekrologi zamieszczone w gazetach z powodu śmierci głośnej „Kasztanki”. Już samo zestawienie tytułów tych nekrologów jest niezmiernie ciekawe. „Kurjer Poranny” pisze: „Kasztanka *nie żyje*”, „Express”: „Zgon historycznej kasztanki Marszałka Piłsudskiego”, endecka „Gazeta Poranna Warszawska” daje wyraz swej żółci pisząc opozycyjnie: „Kasztanka *zdechła*”. To samo mniej więcej w pismach prowincjonalnych. Najlepiej wszakże popisał się „Głos Prawdy”, który obwieściwszy: „Kasztanka zakończyła swą służbę”, dodaje elegję nieznanego autora, który po różnych głębokich a nieogarnionych zwykłym sensem ludzkim wywodach pisze: „Przyoblekła cię piosenka żołnierska w czaprak poezji”.

Następnego dnia zabiera głos p. M. J. Wielopolska we wspaniałej elegji również prozą, dogadując się m. in. do takiej apoteozy: „*Kasztanko! koniu bojowy wierny! Z nieświadomością twoją związana jest na zawsze najwyższa świadomość nasza...*” Powinszować tej „najwyższej świadomości”, autorce tak wrażliwej na znaki czasu.

Najwyższą karierą dla konia ongiś było wprowadzenie do rzymskiego senatu. W Polsce byłoby to jeśli nie niemożliwe to dość utrudnione ze względu na brak warunków wymaganych od kandydatów: zbyt niski wiek (18 lat w chwili śmierci), nieumiejętność czytania i pisania po polsku, no i... niepewność fluktów wyborczych. Żałować jednak należy, że Kasztanka nie oczekiwała się mianowania do przyszłej akademii literatury. Czyż można wątpić, że koń o takich zaletach i zasługach wobec świadomości narodowej byłby o wiele lepszą ozdobą przyszłej akademii od niektórych literatów z „Głosu Prawdy”?

DZIADY WARSZAWSKIE. Na scenie Teatru Narodowego wystawiono „Dziady” Mickiewicza w nowej inscenizacji. Wzorowano się na nowinkach zagranicznych. W Niemczech reżyser Piscator zastosował w sztuce Tollera: „Hopa! wir leben...”, której akcja toczy się współcześnie, częściowo w więzieniu — ekran, na którym wyświetlano treść wypukiwanych w celach rozmów więźniów politycznych.

Więc i w mickiewiczowskich „Dziadach”, w scenie, gdy Konrad wypisuje węglem na ścianie więziennej po łacinie:

„Obiit Gustavus, natus est Conradus”

słowa te wyświetlano, literkę po literce, na modłę reklam świetlnych: „Pijcie likiery Mikolascha”. Były też i inne „inowacje” w podobnym stylu.

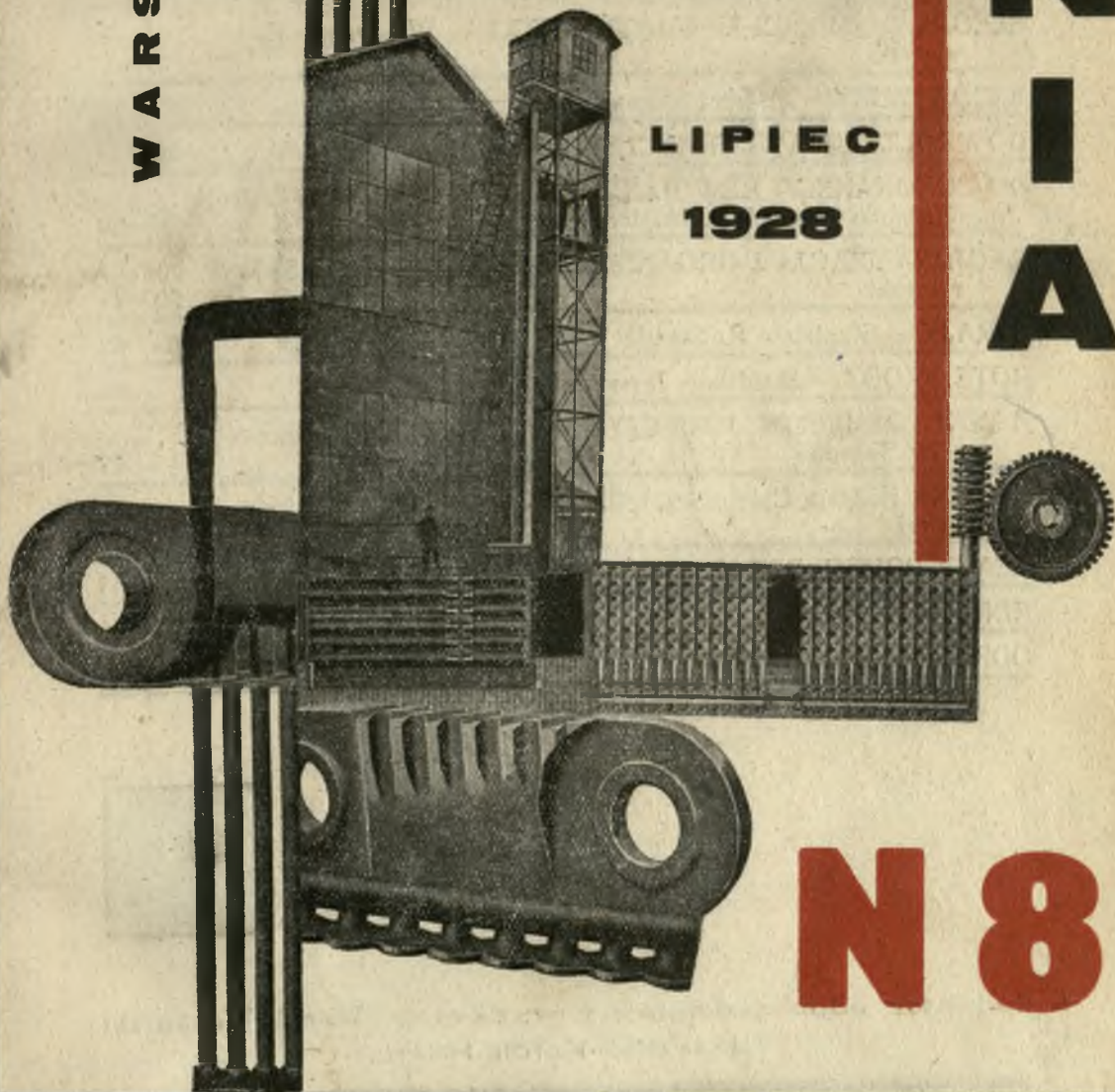
W Radzie stoł miasta Warszawy — burza! Rady z literatury sanacyjnej zabiera głos po zamknięciu sesji i występuje z nagłym wnioskiem: „Rozbito głowę poezji polskiej!...”. Dyskusja z tego powodu trwa godzinę. Ostatni zabiera głos znany radny z P. P. S. i proponuje, aby ten ważny wniosek wnieść w formie interpelacji do magistratu. Zrobiono. Rada miejska jednomyślnie przyjmuje wniosek.

Świetnie. Ale... „nie pomoże blansz i róż, kiedy dziady stare już”.

W A R S Z A W A

D'ZWIG N I A

LIPIEC
1928



N 8

Adres: Warszawa, Krucza 26

<http://rcin.org.pl>

S P I S R Z E C Z Y

	Str.
ELEGJA O ŚMIERCI L. WARYŃSKIEGO — Władysław Bro- niewski	1—2
BRZozowski — Andrzej Stawar	3—26
DO PROLETARJATU FRANCUSKIEGO — Bruno Jasiński	26—28
DO POKONANEGO REWOLUCJONISTY W EUROPIE — Walt Withman — przeł. S. Napierski	28—29
RACJONALIZACJA I ORGANIZACJA PRACY — Stefan Swie- rzewski	30—41
STRAJK — Stanisław R. Standé	42—53
ROTE FRONT — Stanisław Jerszyna	44
Z TEKI POŚMIERTNEJ MIECZYŚŁAWA SZCZUKI — Miecz- sław Szczuka	45—47
KSIĄŻKI: Historia Chłopsstwa, t. II. — Polska w gospodarce świa- towej	49—52
TEATR POLSKI: BROADWAY — W. Wandurski	53—55
KINO: HURAGAN	55—56
ODPOWIEDZI REDAKCJI	okładka



Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Witold Wandurski

Okładka układu **Karola Hillera.**

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 6-ej do 7-ej pp.

Konto czekowe P. K. O. 14.700

Cena pojedynczego numeru 1 zł. 50 gr., Zagranicą 25 centów

Redakcja i administracja: Warszawa, Krucza 26.

Ogłoszenia: 1 kolumna 100 zł., 1/2 kol. 60 zł., 1/4 kol. 30 zł.

Druk. „Rola“ J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11

<http://rcin.org.pl>

ELEGJA O ŚMIERCI LUDWIKA WARYŃSKIEGO

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

*Jeżeli nie lękasz się pieśni
stłumionej, złowrogiej i głuchej,
gdy serce masz męża i jeśli
pieśń kochasz swobodną — posłuchaj.*

*Szeroka, szeroka jest ziemia,
gdy myślą ogarniesz ją lotną,
szeroko po ziemi więzienia,
głęboka w więzieniu samotność.*

*Już dziąsła przeżarte szkorbutem,
już nogi spuchnięte i martwe,
już koniec, już płuca wypłute, —
lecz palą się oczy otwarte.*

*Poranek marcowy. Jak cicho.
Jak dziwna się jasność otwiera.
I tylko tak ciężko oddychać,
i tylko tak trudno umierać.*

*Posepny, jak mur Schlüsselburga,
głęboki, jak dno owej ciszy,
z za krat, z więziennego podwórka
dobiega go śpiew towarzyszy.*

*I słucha Waryński, lecz nie wie,
że cienie się w celi zbierają,
powtarza, jak kiedyś w Genewie:
— Kochani... ja muszę do kraju...*

*Do Łodzi, Zagłębia, Warszawy
powrócę zawzięty, uparty...
ja muszę... do kraju, do sprawy,
do mas, do roboty, do partji...*

*Ja muszę... — I śpiew się urywa,
i myśli urywa się pasmo.
Ta twarz już woskowa, nieżywa,
a oczy otwarte nie gasną.*

*Gdzieś w górze krzykliwy i czarny
rój ptactwa rozsypał się w szereg,
jak czcionki w podziemnej drukarni,
gdy nocą składali we czterech...*

*Fabryka Lilpopa... róg Złotej...
Żórawia... adresy się mylą...
roboty... tak wiele roboty...
i jeszcze — dziesiąty pawilon...*

*Ach, płuca wyplute nie bolą,
śmierć w szparę judasza zaziera,
z ogromną tęsknotą i wolą
tak trudno lat siedem umierać.*

*Wypalą się oczy do końca,
a kiedy zabraknie płomienia,
niech myśl, ta pochodnia płonąca,
podpali kamienie więzienia!*

*Raz jeszcze się dźwignął na boku:
— Ja muszę... tam na mnie czekają... —
i upadł w ostatnim krwotoku,
i skonał. I wrócił do kraju.*

I

Brzozowski umarł przed siedemnastu laty, gdyby dziś był żył, byłby człowiekiem pięćdziesięcioletnim, a więc prawdopodobnie w samej pełni działalności pisarskiej. W pewnym sensie nie przestał być pisarzem współczesnym. Wpływ jego ciąży dziś bezwzględnie silniej, niż kiedykolwiek — co do tego nie może być dwóch zdań. Ogromna zależność publicystyki literackiej dnia dzisiejszego przejawia się choćby w formach zewnętrznych: stylu, sposobu podawania myśli, zakresie poruszonych tematów i t. d. Trudniejszym do uchwycenia byłby wpływ polityczny Brzozowskiego, większy, niż się może zdawać z pozoru. Oddziaływanie Brzozowskiego idzie tu w dwóch kierunkach, zarówno na pewne odłamy burżuazji i drobnomieszczaństwa, jak i na ruch robotniczy w Polsce, gdzie odgrywa dużą rolę, zwłaszcza przez kształcenie umysłów młodzieży.

Ta wielostronność polityczna idei Brzozowskiego przypomina jego mistrza, Sorela. Przedstawiciel skrajnie reakcyjnej obszarniczej konserwy, monarchista prof. Kazimierz Zdziechowski poświęcił mu całą książkę. Publicyści drobnomieszczańscy pozostają pod całkowitym wpływem, zarówno jego formułowań jak i hasła — dzisiejsza sanacja czerpie z nich pocichu, ale pełną garścią. Wreszcie w obozie proletariackim zainteresowanie się Brzozowskim raczej się wzmoгло w czasach ostatnich.

Nie tak dawno rozmawiałem o tej kwestji z jednym z przedstawicieli tej młodzieży, bardzo czynnym i dość rozgarniętym, który, nie broniąc otwarcie Brzozowskiego, zupełnie poważnie jednak dowodził, że czytanie jego dzieł stanowi znakomitą odtrutkę na „fatalizm”, bijący z książki Plechanowa i Kautsky'ego, z których dzisiejsza młodzież robotnicza przeważnie zapoznaje się z marksizmem. Poglądy tego młodzieńca są bardzo rozpowszechnione. Znajdują one odbicie takie, jak np. głośna praca Bronowicza o Żeromskim, która, przy całej osobliwości swych założeń, nie przestaje wywierać wielkiego wpływu. Niewątpliwie wpływ Brzozowskiego na dzisiejszego czytelnika robotniczego rozszerza się dzięki pewnym przewartościowaniom dawnych pojęć o marksizmie, które dziś straciły obieg. Z tem zjawiskiem trzeba się bardzo liczyć.

Ta niesamowita realizacja zgody wszechnarodowej, z jaką mamy do czynienia przy Brzozowskim, gdy z jednego źródła prawdy czerpie monarchista, faszysta oraz... komunista — to rzecz jest doprawdy bardzo zastanawiająca. Nie można zaś mówić, że ci ludzie powołują się prosto na poszczególne fazy działalności pisarza. Cała ta działalność trwała bowiem bardzo krótko i naogół wykazuje dosyć wyraźną linię. Jeżeli można mówić o zboczeniach, a raczej wyjaskrawieniach w pewnym kierunku, to są też wyjaskrawienia w innych kierunkach — i te wyjaskrawienia znoszą się wzajemnie.

To szerokie rozpięcie i różnorodność wpływów Brzozowskiego zmusza do ostrożności w wyznaczaniu zakresu tego, co się o nim mówi. Przypomina mi się tu pewien wypadek. Wyżej wspominałem o owym młodzieńcu, który w tak naiwny sposób uzasadniał dzisiejszą popularność Brzo-

zowskiego. Świadectwem, jak głęboko sięga wpływ tego pisarza i jak dalece ludzie, nie uświadamiając sobie tego zupełnie, pozostają pod jego oddziaływaniem, może być opinia, którą usłyszałem od jednego starego wybitnego działacza proletariackiego. Mowa była o przeciwdziałaniu wpływowi Brzozowskiego i o trudnościach jakie się tu następują. Działacz ten powiedział mniej więcej: „Brzozowski, ho, ho — ażeby go należycie rozgryść, trzeba by przynajmniej ze trzy lata czasu. Samo przeczytanie tych autorów, których on cytuje, zajmie masę czasu”.

Powiedzenie to jest bardzo charakterystyczne. Trzeba zresztą zauważyć, że Brzozowski sam rzadko czytał dokładnie autorów, na których się powołuje. Przeważnie czytywał ich, według jednogłosnej opinii tych, którzy go znali, raczej po łebkach, wybierając stronicę i poszczególne ustępy na materiał do cytowania. Niezawodnie jego erudycja była duża i różnostronna, ale w tem zasypywaniu czytelnika chmurą nazwisk, tak dobrze znaną tym, którzy czytali Brzozowskiego, jest też sporo zwykłego sypiania piaskiem w oczy. W każdym razie przytoczone przykłady świadczą o zabobonnej prawie czci, jaką żywią u nas do Brzozowskiego ludzie, gotowi nawet przyznać, że był on pisarzem *wrogim* klasie robotniczej.

Niewątpliwie jedną z przyczyn tego fascynującego wpływu stanowi fakt, że autor „Głosów wśród nocy” ma do pewnego stopnia monopol w swojej dziedzinie. Pisarzy, zajmujących się sprawami kultury z marksowskiego punktu widzenia, jest wogóle niewiele, nawet w krajach, gdzie marksizm znalazł wybitnych teoretyków. W Polsce, jak wiadomo, takich właściwie niema. Brzozowski zaś, pozostając idealistą z przekonania — umiał nieraz świetnie wykorzystać metodę materializmu historycznego, nie krępując się zresztą zupełnie sprzecznościami, jakie z tego wynikały.

To też rzeczą ważniejszą od analizowania poszczególnych poglądów lub też uwytatniania sprzeczności, których zresztą sam Brzozowski ani myślał się wypierać, — ważniejszym od tego wszystkiego będzie określenie pewnych cech typu społecznego, uwytatniających się w działalności pisarza. Rzuca to światło na stosunek Brzozowskiego do konkretnych zagadnień społecznych, na stosunek jego do marksizmu, który właściwie jest tu najważniejszy. To pozwoli na zdecydowane określenie właściwego charakteru działalności pisarza. Należy bowiem przyznać słusność samemu Brzozowskiemu, który w pismach swoich, przy pozornych sprzecznościach założeń i wyników, widział zasadniczą jedność idei i metody. O tem właśnie zamierzam pisać.

Zagadnieniem, którego nie wolno przeoczać przy rozpatrywaniu utworów Brzozowskiego, jest ich głęboki tradycjonalizm wewnętrzny. W pewnym miejscu swego pamiętnika Brzozowski rzuca, z okazji Saint Beuve'a, kapitalną uwagę, którą i do niego samego można w zupełności zastosować.

„Czytając Sainte Beuve'a, trzeba zwracać uwagę na powiedzenia ogólnikowe, myśli napotkane po drodze. Jest to charakterystyczne dla typu pisarskiego, do którego on należy. Ludzie ci żyją w pewnej rzeczywistości i nie myśląc o niej, wypowiadają ją. Sainte Beuve jest w takim stosunku do kultury francuskiej: nietylko ważne są — o ile są one wogóle — ogólne

umyślne definicje tej kultury przez niego, ile raczej jej życie w nim samym: jest ona wewnętrznym prawem jego umysłu, zasobem nie tylko miar, ale i ustalonych faktów". (Pamiętnik, str. 21).

To samo można powiedzieć do pewnego stopnia o związku Brzozowskiego z polską kulturą szlachecką. Tu właśnie tkwi zagadnienie wewnętrznej jedności jego dzieł. Ale można też powiedzieć więcej, można to rozciągnąć na pewną rzeczywistość społeczną, rzeczywistość klasową, w której żyje i którą wyraża Brzozowski. Wyraża ją niekoniecznie świadomie, raczej przez instynkt, poprostu automatycznie, mimo, a nieraz wbrew temu, co możnaby wyczytać z jego książek, jeżeli czyta się je, nie mając na uwadze tych, żeby użyć modnego w obozie rządzącym dziś Polską słowa — imponderabiljów. Ważna naprawdę i istotna nie jest ta lub inna terminologia, takie albo inne określenia teoretyczne, powoływanie się na tych lub innych autorów (np. na Marksa) — ważne są naprawdę owe wewnętrzne „prawa” jego myślenia, „zasoby nie tylko miar, ale i ustalonych faktów”, które zgóry regulują stosunek Brzozowskiego do zagadnień społecznych. Twierdzenia zaś poszczególne, terminologia — to rzeczy bardzo istotne, ale nie w tym sensie, jak się pospolicie rozumie.

Sprawy te trzeba wyjaśnić odrazu, jeżeli się nie chce, pisząc o Brzozowskim, zaplątać w gmatwaninie frazeologii. Już to, że Brzozowski umarł wcześniej, nie zdoławszy swych zasadniczych tendencji wyjaśnić do końca, przeszkadza niezmiernie ich zrozumieniu. Dla wielu ludzi sam fakt, że Brzozowski nazywał siebie socjalistą, mówił o materializmie historycznym, tu i owdzie powołał się na Marksa, wystarczy, by uważać go za socjalistę, a znowu, ponieważ to wszystko robił bardzo efektownie, bardzo gwałtownie, z pewnem gorączkowym napięciem frazesu — wystarczy, by teorie jego uważać za odmianę socjalizmu rewolucyjnego. To właśnie bywa najczęściej przyczyną nieporozumień, oraz sądów w rodzaju tych, o których wspominałem na początku.

Chcąc uwypuklić należycie metody Brzozowskiego i ich wyniki społeczne, należy zająć się jego strukturą psychiczną, jako pisarza. Trzeba też uwzględnić jego rozumienie kultury, które właściwie odgrywa tu rolę zasadniczą. Trudno mówić o jego poszczególnych książkach — całe swoje pisarstwo traktował on jako pamiętnik filozoficzny, którego poszczególne rozdziały zawarte są w „Kulturze i życiu”, „Ideach”, „Legendzie Młodej Polski”. Obok niektórych szkiców z „Głosów wśród nocy”, pisanych w 1911 r., właściwy „Pamiętnik” zawiera najwięcej konkretnego materiału. „Pamiętnik” jest może najprawdziwszą książką Brzozowskiego — mniej tu niż gdzieindziej balastu frazeologii i brak patosu kaznodziejskiego, który czyni książki jego monotonnymi. Zresztą poszczególne dzieła Brzozowskiego są tak ściśle ze sobą powiązane, że chcąc nie chcąc, trzeba brać Brzozowskiego całego, mniej zważając na jego w gwałtownem tempie zmieniające się stanowiska.

Jedną z cech charakterystycznych Brzozowskiego stanowi wielkie zaostrzenie analizy, zwłaszcza jeżeli idzie o pewne punkty, i bardzo krytyczny stosunek do własnego środowiska. Jest to zresztą pod niejednym względem właściwością całego okresu — jeżeli idzie o literaturę, te same cechy wykazuje np. Żeromski i cała publicystyka obozu t. zw. dawniej niepodległościowego. Brzozowski pisze o fatalnym wpływie, jaki na jego pisarstwo wywierał Przybyszewski. Powiada — a definicję tę odnieść można do całego okresu „Młodej Polski”, — iż pisanie miało na celu „wy-

rażanie siebie *) nie zaś tworzenie jasnych i zdolnych trwać przedmiotów myślowych". Można bez wielkiego ryzyka powiedzieć, iż Brzozowski poza stan nakreślony wyżej właściwie nigdy nie wyszedł. Jego utwory stały się monologiem wewnętrznym, rozłożonym na tysiące stron druku. Właściwym triumfem jego myśli — a wkracza to też i do jego krytyki społecznej — była introspekcja, analiza funkcjonowania własnej psychiki.

To jednak nie odejmuje znaczenia społecznego jego książkom. Ta introspekcja przeprowadzona jest bardzo szeroko. Brzozowski nie tylko jest przedstawicielem pewnego typu społecznego, ale wyraża ten typ najkompletniej.

W pozornej sprzeczności z tem, co się powiedziało, zdaje się pozostawać fakt, że Brzozowski nie należał do pisarzy o usposobieniu kontemplacyjnym — przeciwnie, był naturą bojową i lubił występować zaczepnie. Tem dziwniejsze wydają się te przenikliwe samooceny spotykane w „Pamiętniku” i innych książkach.

Owe sprzeczności pozorne wynikły z samej istoty środowiska, z którego wyszedł autor „Legendy Młodej Polski”. Związane to jest z procesem formowania się nowoczesnej inteligencji miejskiej w Polsce. Brzozowski pisze wyraźnie, nawiązując do tego środowiska i upatrując w niem przyczyny braków, jak powiada, „własnej organizacji umysłowej”.

„...Przyczyny te — to brak wzorów w otoczeniu, jakichkolwiek bądź przykładów i wskazań, a mnóstwo najróżnorodniejszych czynników i dezorganizujących i osłabiających wolę.

Rodzice moi byli oboje, w różnej postaci, rozbitkami szlacheckiego rozkładu: z tradycjami zamożności i majątku, bez tradycji pracy, z osłabionem lub zanikającym poczuciem rzeczywistości celów i uczuć ogólnych” („Pamiętnik”, str. 17).

Nietyle analiza, ile wypominanie skutków tego rozkładu zajmuje wiele miejsca na najmocniejszych stronicach krytyki kultury polskiej u autora „Idej”. Nieustannie mówi się tam o rozbiciu, rozkładzie, zawieszeniu w próżni społecznej współczesnego mu działacza kultury.

Brzozowski sam przedstawia typowy przykład takiego rozbicia. Ale nie należy przytem zapominać, że był to już okres konsolidacji tych rozbitych, rozproszkowanych sił i że Brzozowski, przy całej swej ostrości krytycznej, należy już w znacznej części właśnie do tych czynników konsolidacyjnych. Nawet jego krytyka służy tym potrzebom i stąd w znacznej mierze pochodzi jej szerokość.

W ostatnim ćwierćwieczu XIX zaznaczył się już niezmiernie ostro przełom w sytuacji społecznej burżuazji, w związku z postępami ruchu robotniczego. Odpowiadają temu w literaturze objawy, które określić można jako kryzys indywidualizmu mieszczańskiego. Nie będę się tu wdawał w szerszy rozbiór. Zaznaczę tylko, że samo zagadnienie indywidualizmu, istotne dla burżuazyjnej inteligencji w Polsce przedstawiało się nieco odmiennie, niż w kapitalistycznych krajach Zachodu. Korzenie tego środowiska, którego przedstawicielem był Brzozowski, tkwiły, jak on sam to przyznaje, jeszcze w stosunkach pańszczyźnianych. Tradycje związane

*) „Nie ulega wątpliwości, że estetyka Przybyszewskiego sprzyjała niechlujstwu umysłowemu. Przy niej powstał stan rzeczy tego rodzaju, że można było *nie wiedzieć*, co się chce napisać i nie tracić nadziei, że naga dusza „wywiediot”, jak powiadają moshale”. (Pamiętnik, str. 7, podkreślenie autora).

z temi stosunkami spotykały się z brutalnem przeciwstawieniem pierwszej fazy gwałtownego wzrostu kapitalizmu. Sprzeczności te ścierały się przy prymitywnym a nieznośnym nacisku maszyny carskiej.

Tu tkwi właściwa przyczyna charakterystycznego rozdarcia światopoglądu oraz wybijania autoanalizy. To specyficzne zgniecenie, łamanie jednostki, jakiego był świadkiem w swych warunkach i co odczuł również na sobie, nasuwało mu pewne nowe problemy, jakich nie mógł znaleźć u Nietschego czy Ibsena. Stąd pewne niezrównane akcenty prawdy i bólu w jego pracach. Było to tak jak człowiek, patrzący na złamaną nogę, w szczególnie jasny sposób uświadamia sobie, że posiada krew i kości, widząc obnażone tkanki i obnażoną kość. U Brzozowskiego indywidualizm jest załamany i załamanie to, mówiąc jego stylem — krwawi.

Tu bodaj tkwi przyczyna jego fascynującego wpływu na pewną kategorie inteligentów.

To odosobnienie, brak poczucia przynależności organizacyjnej, powodujące stan charakterystycznej depresji, wrażenie zawieszenia w pustce — związane jest zarazem z zastanawiającem oderwaniem się od spraw życiowych. Nie można nawet powiedzieć, by stosunek do tych spraw był zupełnie abstrakcyjny — jest to raczej obojętność. Rzecz charakterystyczna. W pismach Brzozowskiego niema prawie powoływania się na wypadki konkretne z życia, porównań i t. d. Impuls do myślenia dają tu nie fakty życiowe, lecz książki. Jest to czysta „literatura” prawie bez wtrętów z zewnątrz. Jest on tak bardzo pochłonięty przeżywaniami natury książkowej, że nie interesują go zupełnie fakty życiowe. Na stu kilkudziesięciu stronach „Pamiętnika” Brzozowski nie zajmuje się żadnym faktem zewnętrznego świata, o ile ten nie odnosi się wprost lub ubocznie do jego osoby.

Ten indyferentyzm wobec zdarzeń życia zewnętrznego, szczególnie uderzający u publicysty, wypadnie jeszcze podnieść. Brzozowski zdawał sobie z niego sprawę — jakkolwiek nie ogarniał jego całkowitego znaczenia. Píše np.:

„Niedobrze jest, że gardzę zazwyczaj przykładami z codziennego życia”.

Wejrzenie we własne życie, jak zwykle u niego, zastanawiające. Wypowiedzenia się jego o znaczeniu kwestji, dotyczących indywiduum są dostatecznie ostre i jasne. W „Pamiętniku” czytamy:

„Co nie jest biografią — nie jest wogóle”. „Dochowanie wiary samemu sobie — w czym? W postanowieniu, w kierunku życia. Frazes. Frazes demagoga”. „Co sobie przypisuję ponad biograficzne, ponad konkretne, indywidualne znaczenie, jest właściwie mniej rzeczywiste”. („Pamiętnik”).

Odpowiednio do tego zasadniczym elementem filozofji Brzozowskiego jest przeciwstawianie się światu jako całości. A świat ten jest w gruncie rzeczy obcy, straszny — co gorzej — stanowi wieczne „bezmyślne” niebezpieczeństwo dla jednostki. W sposobie pisania Brzozowskiego łatwo zauważyć pewien specjalny patos, a właściwie przesadę w patosie. Polega to na częstem używaniu mocnych lub bardzo emocjonujących słów w rodzaju: tragiczny, żelazny, śmiertelny, nieubłagany, tragizm, śmierć, żywioł, męka, otchłań, los, piekło — i t. d. Używa ich w najogólniejszem, „metafizycznym” znaczeniu. Grandilo kwencja ta nie jest tylko zwyczajnym nałogiem stylowym. Daje ona wyraz rzeczywistej, nieudanej zgrozie, którą Brzozowski

chciałby udzielić swemu czytelnikowi, a która stanowi podstawowy ton jego myślenia.

Trudno dać właściwe określenie tego stanu psychicznego, który pojawia się stale. Jest tu niewątpliwie coś z tego przerażenia, jakie odczuwają dzieci myślące z nadmiernie rozwiniętą wyobraźnią, przy pierwszym zetknięciu się z niektórymi zasadniczymi pojęciami metafizycznymi. Coś podobnego zdarza się u dzieci wobec wielkich imponujących budowli, jakichś kolosalnych zjawisk. Stan ten łączy się niekiedy z nadzwyczajnym wysiłkiem, by sobie wyobrazić, jak te rzeczy ogromne „gotowe” mogły powstać — a wyobraźnia nie może temu podołać w szczegółach i nasuwa tylko ogólne pojęcie czegoś mistycznego, nadprzyrodzonego.

„Gotowy świat” — oto ulubione wyrażenie Brzozowskiego; pojęcie, które prześladuje go stale i z którym on toczy walkę w imię stojącego się żywiołu, walkę bezpłodną! Bezpłodną jak wszystkie tego rodzaju wewnętrzne walki. Autor „Legendy Młodej Polski” stawiał niekiedy bardzo ciekawe zagadnienia kultury, ale tylko w szczegółach. W całości jego rozumienie kultury, mówiąc jego własnym słownikiem, było zupełnie bezwyjściowe — było bowiem fetyszystyczne.

Na czym polegał ten fetyszyzm? Każdy kto czytał Brzozowskiego pamięta ten znany (a niekiedy ośmieszany przez pamfletistów), przewijający się co parę stronic sznur nazwisk. Świadczy to nietylko o sumienności w cytowaniu „źródeł”. Właściwie o źródłach w znaczeniu utartym w przyczynkarstwie literackim trudno tu mówić. Owi tak często wspomniani przez Brzozowskiego myśliciele zapewne z trudnościąby rozpoznali ślady swoich idei na stronicach jego książek — traktował je on bowiem jak improwizator poddane mu tematy, a urabiał je w atmosferze swej myśli. Właśnie w tem powtarzaniu owego sznura nazwisk obnaża się dręcząca Brzozowskiego niepewność zasadniczych podstaw myślenia i usiłowanie pewnej asekuracji, znalezienia autorytetu, pozostającego poza wszelkimi zakwestjonowaniem.

W „Pamiętniku” są bardzo ciekawe miejsca, w których sam Brzozowski zastanawia się nad tą kwestją. Widać tam nieraz znak zapytania, postawiony przez autora nad dojrzałością i szczerością własnego dzieła. Ale nawet wtedy, gdy mówi o swej ostatniej fazie „dojrzewania”, którą uważa za prawdziwą i o swej uprawnionej równości w świecie myśli, nawet wtedy nie zapomina dodać: „Wiem, że mam, do końca życia będę miał mistrzów”. O tych „mistrzach” trzeba pamiętać jakkolwiekby się oceniało rolę ich w formowaniu się ostatecznych wyników myślowych autora „Idej”.

Zauważyć można łatwo, że Brzozowski jako myśliciel czuje się zawsze młodszy od kogoś. Zdaje się on należeć do tych ludzi, którzy nigdy naprawdę się nie usamodzielniają. Wynika to z jego wstępu do rzeczywistości, do konkretnych zdarzeń zewnętrznego świata, o czym już wspominałem. Wyniki jego myśli są często niespodziewane, przeważnie wprowadzone dowolnie, — ale organizacja tej myśli, jej uporządkowanie, słowem metoda, zachowuje zawsze wyraźny ślad wpływu „mistrza”. Brzozowski ma w sobie coś z ośmieszzonego typu wiecznego studenta — tylko cechy te rozwinięte są do rozmiarów kolosalnych i na skalę poprostu historyczną.

To że cudza, skończona myśl powołuje niemal zawsze do życia jego własną — staje się powodem fetyszystycznego stosunku do myślenia. Stąd nadzwyczajne poddanie się i pokora w stosunku do myśli „mistrzów”, istny

poemat bierności, gdzie w tysiącu odmian odbywa się krystalizacja jednego uczucia *)).

Ale co ważniejsze, to, że, jak wiadomo, ci „mistrzowie” Brzozowskiego, te nazwiska otaczane tak fanatycznym kultem, bez różnicy, należą do autorów o najprzeróżniejszych fizjonomjach i dążeniach politycznych oraz społecznych. Weźmy którąkolwiek z list myślicieli, których nazywa swymi „mistrzami”, którzy na niego wpływ wywarli, a znajdziemy tu najdziwniejsze pozornie pomieszanie. Modernista katolicki, kardynał Newman, obok Marksa, Proudhon’obok mistyka Blake’a i t. d. pomieszani w zgodzie. Vico, Mazzini, Carlyle, Hegel, Renan, Gauthier, Bergson, Sorel, neokatolicka literatura we Francji, nowoczesna powieść angielska. Wszystko to przytem traktowane jako jeden olbrzymi fakt kulturalny, bez różnicowania, na jednej płaszczyźnie. Pozornie u podstawy tego pomieszania leży fikcja o jakimś intelektualnem duchów obcowaniu — ale przecież Brzozowski był również społecznikiem i musiał sobie zdawać sprawę z zasadniczych różnic społecznych, dzielących tych myślicieli?

Jakież tedy cel ma ten jednocześnie niemal propagowany kult dla pisarzy rewolucyjnych i reakcyjnych, badaczy myśli i księży, apologetów kościelnych? Co pozwala łączyć tych pisarzy, wyrażających najgłębsze sprzeczności społeczne i walczące z sobą obozy klasowe? Jeżeli damy odpowiedź na te pytania, to rzuci ona światło zarazem na ukrytą, istotną metodę działania autora, przystosowaną ściśle do specjalnych celów danego środowiska klasowego. Otóż dla Brzozowskiego te wszystkie sprzeczności, nie do pogodzenia, ta walka stapia się w jeden fakt kulturalny, streszczający się w jednym słowie: *Zachód*. On to stanowi istotną podstawę jego myśli.

Brzozowski nieraz bardzo rozsądnie i przenikliwie demaskował polskich zachodowców, demoralizujący wpływ jaki wywiera na umysłowość inteligenta polskiego to wieczne oglądanie się na import ideologiczny z zachodu, które niszczy samodzielność myślową — mało tego, zwalnia właściwie polskiego inteligenta od myślenia — „Zachód” już wszystko wynajdzie, my zaś siedźmy spokojnie i czekajmy, patrzmy, by w swoim czasie zrobić to co zachód. Ta ocena wypowiedzana w sposób ostry, choć sformułowana niezawsze jasno, jest bezwzględnie słuszna. Zresztą Brzozowski miał tu specjalne cele.

„Istnienie w jakiejś warstwie lub grupie mocno zakorzenionych, zdogmatyzowanych nawet tradycyją myślowych i moralnych, może kępować badacza, stawać się dla niego osobiście groźnem, ale dla umysłowej wartości jego pracy jest to, pomimo wszystko, stan rzeczy mniej niebezpieczny, niż bezgraniczna plastyczność psychiki, która niema nawet mocniejszych i stałszych instynktów uczuciowych (!) a od dawna już nie wie, co jest dla niej prawdą a co paradoksem. Przedewszystkiem zaś korzystając z nieustannego napływu myśli, nastrojów, informacji, nie przez nią wytwarzanych, dostarczanych jej prawie automatycznie przez sam kontakt ciągły i niezależny właściwie od niczyjej woli z kultami Zachodu, psychika ta uczuwa tę swą moż-

*) Proszę przeczytać pełne niesłychanej pokory i wręcz uniżoności ustępy „Pamiętnika”, w których np. pisze o kardynale Newmianie: „Niech błogosławione będzie imię nauczyciela mego i dobroczyńcy. Prawie lękam się, że go znieważam przez to powiązanie mojej biednej duszy z jego światłością” i t. d. Newman był sprawcą pośrednim jego nawrócenia, ale i innym pisarzom nie szczędzi wyrazów czci, zakrawającej na dewocję: „Turgeniew — na zawsze powinno to być święte dla mnie imię”. Podobnych objawów czci i radosnego oddania się napotkać można wiele we wszystkich rzeczach w stosunku do innych autorów.

ność mówienia o wszystkim w sposób, posiadający gdzieś poza nią prawa obywatelstwa, a więc chroniący od pocucia nicości i śmieszności, i w ten sposób zabezpiecza samą siebie przed zagadnieniami, dotyczącymi podstaw myśli i twórczości. Możemy się nie troszczyć, czy posiadamy własne podstawy do tworzenia nauki, utrzymania myśli naszej i kultury na pewnym poziomie, gdyż zawsze z Zachodu będzie nam dostarczane tyle już wyrobionej nauki, ile jej możemy potrzebować, i zawsze też dostarczona będzie taka suma stanowisk, a chociażby frazesów, że za ich pomocą będziemy w stanie uzasadnić każdą naszą postawę w sposób nie wyglądający gorzej, niż to, co się da bez ujemy w jakimkolwiek środowisku wypowiedzieć". („Głosy wśród nocy", str. 103).

Urywków podobnych możnaby przytoczyć znacznie więcej. Wszystkie one, pomimo pewnej mętności sformułowania, świetnie nieraz charakteryzują pewne właściwości typowe naogół polskich intelektualistów, a z którymi można się zetknąć literalnie na każdym kroku. Jest tu pewna tromtadracja, swoboda lekkiego gadania o wszystkim — skombinowana w dziwny sposób ze swoistym pedantyzmem. To jest charakterystyczna właściwość polskiej publicystyki i to nie tylko reakcyjnej lub drobnomieszczańskiej, niestety, odbija się to silniej i na publicystyce marksowskiej. Jakaś bezgruntowność, łatwe chlapanie frazesem na prawo i lewo, a pozatem ślepa wiara w autorytety. Naturalnie, że rozumienie tych autorytetów jest równie płache i tromtadrackie — i daje w rezultacie pewne błędne koło, z którego trudno wybrnąć. Najlepszy przykład tego błędnego koła, przykład poprostu klasyczny, daje zresztą sam Brzozowski.

Bo też te wszystkie właściwości nie są bynajmniej zjawiskiem przypadkowym, ani też dowolnie dającym się usunąć. Brzozowski, który je najostrzej piętnuje, sam pierwszy daje im wyraz w całej swojej pracy. Związane to jest z temi cechami kultury polskiej, które wynikają z jej szlacheckiego charakteru. Wpływy te kształtują literaturę, język, metody wychowawcze i nie mogą być tak łatwo przezwyciężone.

Jeżeli już jest mowa o tradycyjnym „dziedzictwie" polskiej kultury, to najcharakterystyczniejszym momentem, wyznaczającym treść tego co Brzozowski, niedokładnie zresztą, nazywa świadomością kulturalną (należałoby raczej mówić o nastawieniu) — stanowi nietyle niski poziom tej kultury, ale wtórność jej najwyższych przejawów. Materiał ideologiczny przychodzi już niejako przeżuty — a działalność myśli ogranicza się raczej do jego przyswajania. Względna obfitość tego przychodzącego z zewnątrz materiału zmniejsza do minimum zdolność do samoistnego myślenia — pewne dziedziny intelektu ugorują. Co więcej owa tresura intelektualna wytwarza pewien dobór — pewne organy poprostu zanikają.

Brzozowski jest tradycjonalistą przede wszystkim w swoim dążeniu do „naprawiania" „myśli polskiej" branej jako całość. Podłoże klasowe tej myśli, wyrażające ściśle pewne stosunki, rozumie — określa je często — bardzo trafnie nawet, ale w praktyce działa w myśl tradycji. Jako myśliciel stanowi zamknięcie romantyzmu polskiego — tylko że tu już musiałby być rozpatrywany z punktu widzenia ironji romantycznej.

Rozprawiając się z „zachodowcami", autor „Głosów wśród nocy" ani się spostrzega, że stosuje ich metody, tylko na skalę większą. Łatwo spostrzec, że dla Brzozowskiego niezbitym faktem myślenia jest również ów „Zachód", owo „duchów obcowanie", w którym bierze udział i Marks i Proudhon, zarówno jak Carlyle i Newman. Rola Brzozowskiego zaś spro-

wadza się właściwie do rozszerzania owego panteonu, w który ma wierzyć inteligent polski.

To zaś, że owe idee programowe tak *en masse* znoszą się wzajemnie — że niemożliwe jest Marksa pogodzić z Newmanem — to Brzozowskiego bynajmniej nie wzrusza. Rewolucjoniści, pragnący przetrwać społeczeństwo w imię dobra proletariatu, i reakcyjniści, pragnący zachować władzę burżuazyjną, dla niego są jedynie materiałem do interpretacji i w gruncie rzeczy jednako obojętnym. Konkretnie sprzeczności interesów, jakby się wydawało, wcale go nie zajmują. Odgrywała tu rolę owa, wspomniana już, obojętność na konkretne fakty, o której sam pisał — ale to jest kwestja raczej osobista. U podstawy tego pojmowania rzeczy znaleźć można wyraźną dążność klasową.

Służy jej cała propaganda ideologiczna Brzozowskiego — służy jej owa koncepcja „Zachodu” jednolitego pomimo sprzeczności poszczególnych. Jeżeli się tak w jednym wierszu, w jednym artykule, w jednej książce zestawia obok siebie Marksa, Hegla, Carlyle’a, Proudhona, Newmana i t. i t. d. i mówi się o nich z tym właściwym Brzozowskiemu gorączkowym entuzjazmem, jeżeli się w jednym rozdziale książki, jako środek odrodzenia narodu, propaguje swoiście spreparowany materializm dziejowy, a w innym rozdziale tej samej książki propaguje się katolicyzm — to jasna rzecz, jaki cel ma to wszystko. Idzie o zasugerowanie czytelnika, wmówienie mu, że wszystkie te różnice klasowe, różnice ideologii to są szczegóły, drobiazgi — Marks tu, Newman tam, to rzeczy pomimo swej ważności raczej drugorzędne: bo istotnie ważny jest „naród” — a jak Brzozowski ten naród pojmuje i jakie konsekwencje stąd wyprowadza, wspomnę o tem niżej.

Trzeba tu oddzielić tromtadracką beztroskę inteligenta, papłającego na różne tematy w jednako inteligentny sposób — od zasadniczego celu, któremu właśnie służy propaganda Brzozowskiego. A cel ten jest bardzo poważny i bardzo konkretny. Tymczasem wspomnę jeszcze o innej charakterystycznej właściwości autora „Legendy Młodej Polski”.

Mówił on nieraz o swoim „kaznodziejstwie” — mówili o tem inni, a Chlebowski porównywał go nawet z księdzem Piotrem Skargą. To nie będzie takie przypadkowe rozróżnienie, ale charakterystyka metody, jeżeli się powie, że w Brzozowskim kaznodzieja, powiedzielibyśmy moralista, stanowczo przeważał nad teoretykiem-publicystą.

Myśliciel, teoretyk, filozof, publicysta w wielkim stylu ma za zadanie przetrząśnięcie lub zniszczenie starych, zaskorupiałych nawarstwień pojęciowych i wprowadzenie nowych pojęć — o ile one wyrażają wejście nowych warstw społecznych do życia historycznego lub też ich wzmożony udział. Jako metoda służy tu analiza pewnych faktów (zależnie od terminologii, panującej w danym okresie, ogólnego stanu badań i t. d.), oświeclanie tych faktów w sposób wygodny dla danej klasy społecznej — wreszcie wynajdywanie nowych sposobów postępowania, nowych metod, które mogą przynieść korzyść danej klasie, ułatwić jej zwycięstwo. Filozofowie spekulatywni dawnego typu jak Hobbes, Locke, Leibnitz, Hegel i t. d. byli zarażeni, z małemi wyjątkami, teoretykami społecznymi i publicystami.

Co innego kaznodzieja czy moralista. Odziaływanie jego opiera się przede wszystkim na patosie oburzenia etycznego. Nie potrzebuje myśleć i badać — odwołuje się prosto do zgóry założonej solidarności słuchacza lub czytelnika. Musi mieć przede wszystkim wspólny grunt, wspólny język z tymi, do których przemawia — orjentować się na ich prze-

ciężny poziom. Apeluje do ich uczuciowości, opartej na zrozumieniu swych interesów, założenia jego muszą być bezsporne dla tych ludzi, do których się zwraca. Jeżeli nawet uzasadnia rozumowo tezę, że nie należy np. okradać bliźnich, a natomiast trzeba kochać ojczyznę tak, jak ją rozumieją ludzie danej klasy, danego środowiska — to nawet wtedy owo rozumowe uzasadnianie stanowi właściwie ornament, istotną rzeczą jest solidarność uczuciowa. Opiera się na rzeczach stwierdzonych, bezspornych, co do których słuchacze są bezwzględnie pewni.

Nie wyklucza to pomysłowości w podchwytywaniu przeciwnika na jego własnym gruncie. Tak np. apologetyka katolicka wykorzystuje bardzo sprytnie przejawy sceptycyzmu w kołach naukowych co do pewnych metod badania, idealistyczne prądy w nauce i t. d.

Kaznodziejstwo musi opierać się na określonym systemie dogmatów — słowem na systemie religijnym. Brzozowski był kaznodzieją bez takiego systemu — miał natomiast przeróżne namiastki. Jedną z tych namiastek był właśnie Zachód, w rozumieniu takim jak wyżej określiłem, w połączeniu najmonstrualniejszych sprzeczności.

Wspomniałem o fetyszyzmie ideologicznym Brzozowskiego. Myśl cudza zakończona, ujęta w logikę systemu, wydaje się mu czymś nadnaturalnym, magicznym. W pojęcie kultury obficie wprowadza — może nawet wbrew woli — elementy magii.

Nie umie on opanowywać faktów, które są życiowym równoważnikiem myślenia — pochłania tylko książki. Ogrom faktów nagromadzonych, dzieł, doświadczeń, wynalazków, to dla niego ów właśnie „gotowy świat”. Ma on dla niego podziw i korne uwielbienie barbarzyńcy i coś z uczuć dziecka, które zaczyna odkrywać świat idei. Świat ten przytłacza go straszliwie i gnębi swoją wielkością, ogromem dokonanych rzeczy, idei już wynalezionych, książek już napisanych.

Filozofia kultury — centralny punkt idei Brzozowskiego — postawiona jest u niego w sposób scholastyczny. Brzozowski, który piętnował i zwalczał elementy dogmatyzmu, teologii w myśleniu, w całym szeregu punktów wprowadza je na nowo, odnawiając jedynie terminologię i sposób podejścia. Wykazuje on brak poczucia dialektycznego, które cechuje każdego naprawdę płodnego myśliciela. Kultura zachodnio-europejska stanowi dlań, pomimo wszelkich pozornie przeciwnych omówień — zamkniętą skarbnicę, do której poszczególni działacze poszczególnych epok — twórcy, jak to się mówi, znoszą ciągle nowe rzeczy *).

Takie właśnie niedialektyczne pojmowanie kultury doprowadza do tego, że wyobraża ją niby Sezam nagromadzonych wartości, nagromadzonej pracy, doświadczeń. Trzeba tylko w jakiś sposób się dorwać do tego skarbu i brać pełnemi garściami. Do tego właściwie sprowadzają się wul-

*) Twierdzenie powyższe wydać się może napozór niesłuszne i naciągnięte. Można by bowiem przytoczyć cały szereg miejsc z dzieł Brzozowskiego — wyżej dałem jeden przykład — gdzie on właśnie tego rodzaju błędy i złudzenia nader trafnie analizuje i ostro się z nimi rozprawia. Ale tu dla wytłomaczenia tych wszystkich sprzeczności, decydujące znaczenie mają ostateczne cele pisarza — te sprzeczności, przechodzenie nad nimi do porządku było właśnie istotną właściwością Brzozowskiego. Całość zaś jego idei, jego cele społeczne, pomimo tych wszystkich sprzeczności i osobliwego zamętu pojęć, przedstawiają się tak jasno, jak u mało którego pisarza. A sam ten zamęt i nieporządek z pewnego punktu widzenia okazuje się zupełnie celowy i znakomicie służy najważniejszym celom autora

garne przesady polskiego zachodnicwa, z którymi Brzozowski napozór stale walczył. Ale ta walka była wypędzaniem djabła przez Belzebuba. Na miejsce wygnanych Brzozowski w swej działalności wprowadza takie same przesady tylko trwalsze, lepiej uzbrojone, zdolniejsze do życia, no i „współcześnione”. Krytyka Brzozowskiego sprowadzała się właściwie do odnowienia całej tej maszynery i uniemożliwienia jej działania w zmienionych okolicznościach.

Jak już wspomniałem, w praktyce Brzozowski wychodzi z jakiejś wyobraźalnej myśli europejskiej i kultury europejskiej — jest to rodzaj kościoła powszechnego, panującego nad zwalczającymi się prądami. Do świętych tego kościoła zaliczają się wszyscy wybitni myśliciele, bez różnicy stanowisk i celów społecznych. Przedstawiciele burżuazji, szlachty feudalnej, kleru, żyją tu pospółu z przedstawicielami klas rewolucyjnych. W świecie czystej idei, czystego kapłaństwa myślowego nic nie ma ci tej świętej zgody.

Nie trzeba chyba dowodzić, że takie postawienie sprawy jest błędem, albo, mówiąc otwarcie, wprost oszustwem. U podstawy jego tkwi historyzm, kult historii samej w sobie, który powoduje taki napozór bezstronny stosunek do palących spraw teraźniejszości, jakby to były jakieś zamierzchłe i niewiele obchodzące dzisiejszą ludzkość wypadki. Zarazem jednak ten kult historii ma tu inne cele. Ukazując ogrom tych doświadczeń zdobytych w ciężkiej walce, ogrom nadzwyczajnych idei, dokonanych dzieł — akcentując przytłaczającą wielkość tego świata, Brzozowski usiłuje czytelnika przygnieść i wzbudzić w nim pewien pietyzm historyczny, tę świętą zgrozę, o której wspomniałem. Czytelnik powinien nietyle zrozumieć, ile przejąć się mistycznym lękiem, i pozostać już na zawsze pod wrażeniem tego mistycznego lęku i myśleć już nadal pod tym naciskiem.

W jego „straszonym świecie” historycznym tkwi jego „dusza historyczna”, przytłoczona grozą zamarłych faktów i wielkich dokonań. Nie można powiedzieć, by Brzozowski lekko ujmował te sprawy. Cała jego energia wchodzi w dążenie do zrekonstruowania w sobie całego olbrzymiego procesu powstawania historii, kultury, myśli — i to dążenie staje się dla niego rzeczywiście zmorą (jak stało się zmorą dla wielu współczesnych inteligentów). Wytwarza się położenie bez wyjścia, a raczej z jedy-nym wyjściem. Człowiek pada tu na kolana przed dziełem „ludzkości” i zamiera w ekstazie, w bezruchu przed czymś, na co nie wymyślono terminu. Zresztą słowo ludzkość wyda się zanadto poufałem. Szuka czegoś, co mogłoby przygnieść do reszty i znajduje. Bóg — potrzeba boga historycznego.

Taki jest mniej więcej schemat konfliktu wewnętrznego przeżytego przez autora „Idej” (dodajmy, że konflikt ten jest typowy dla inteligenta, przed którym stają w jakiejkolwiek formie zagadnienia rewolucyjne) i opisanego dostatecznie głęboko.

Że wysnuta z tego ideologia musi być stanowczo kontrrewolucyjna, to nie ulega wątpliwości. Epoki rzeczywiście rewolucyjne, rzeczywiście twórcze są usposobione antyhistorycznie — nowe klasy są bowiem w wojnie ze swoją bezpośrednią historją, z której wychodzą. Widzimy to we wszystkich rewolucjach. Jeżeli chce się tworzyć nowe życie, nową historję, nową kulturę, trzeba sobie zgóry powiedzieć, co z dziedzictwa historycznego ubiegłych epok uważamy za rupieciarnię, co za dekorację muzealną, co za

łom — a co za materiał dla nowych konstrukcyj. Niema innego wyjścia, chyba kulenie się w starych formach.

W swojej „czystej” postaci, w kategoriach kulturalnych konfliktów przedstawia się w ten sposób, że albo wielkość dzieł, dokonywanych współcześnie, przytłoczy historję i mniej więcej usunie ją z pola subiektywnej świadomości — albo też odwrotnie historia przytłoczy współczesność, przytłoczy życie i zmuszać je będzie do cofania się wstecz. Ideologje kontrrewolucyjne oparte są zawsze na historyzmie. Historia użyta bywa tu poprostu jako prasa do miażdżenia idej buntu. Brzozowski zaostrza to jeszcze przez wprowadzenie całego systemu sofizmatów socjalnych, odwołań etycznych i t. p. (Trzeba tu wziąć pod uwagę, że propaganda ta odwołuje się bezpośrednio do inteligentów, u których interes teoretyczny odgrywa ogromną rolę — i wtedy rozumie się dostatecznie jej antyrewolucyjną działalność). Ponury inferalny poprostu, obraz świata, grandilokwencja stylu, nadużywanie wielkich słów — nadmiar patosu etycznego (stale się mówi o obowiązkach, konieczności, pracy) wreszcie taki klasyczny poprostu opis oderwanego od gruntu społecznego inteligenta, pozbawionego oporu i zdanego na łaskę losu, któremu to inteligentowi jako deskę ratunku podaje się historję — wszystko razem skierowane jest ku specjalnemu celowi, który przyświeca całej propagandzie Brzozowskiego.

Równolegle do magiczno-teologicznej koncepcji kultury daje się zauważyć wybitnie „kapłańskie” pojmowanie myślenia. Charakterystyczne są tu napomknienia o wchodzeniu na „poziom wysokiej myśli”. Owe różne poziomy myślenia — ów powszedni niski poziom i wyższy, od wielkich spraw, jakby kapłański, raz jeszcze świadczą, jak głęboko tkwiły elementy „magji” w psychice Brzozowskiego. Tęskniąc ciągle do dorównania „mistrzom” nie rozumie tego, iż waga i znaczenie owych mistrzów polega przedewszystkiem na umiejętnem ujmowaniu rzeczywistości i odpowiedniego organizowania faktów w myśleniu. Sam zaś myśleć może tylko w stanie jakiegoś rozmodlenia i widzi w myśli jakiś nadzwyczajny stan łaski, błogosławieństwa.

To, co się tu powiedziało, obraca się w ramach raczej ogólnej charakterystyki — zresztą niekompletnej — metod Brzozowskiego. Ale, rzecz jasna, iż znaczenie jego polega przedewszystkiem na związku jaki umiał wytworzyć — słusznie czy nie, to rzecz w tej chwili drugorzędna — ze związku jego idei z materializmem historycznym, teorią walki proletariackiej. Z tej strony trzeba Brzozowskiego rozpatrywać, chcąc go należycie ocenić. Tu trzeba będzie rozpatrzyć przedewszystkiem programowe dążenia całych ugrupowań socjalnych — wiążących się z dziejami socjalizmu europejskiego przed kilkunastu laty — pewną specyficzną fizjonomję klasową tych grup i przyczyny ich dalszej ewolucji. Dzieje niektórych krajów europejskich w czasach ostatnich rzucają jaskrawe światło na te rzeczy.

Dla scharakteryzowania tych prądów dużo materiału dają przedewszystkiem dzieje faszyzmu włoskiego, którego wielu przywódców, jak wiadomo, wyszło z szeregów socjalistycznych. Biografka Mussoliniego, Salfatti, wyraźnie powiada w swojej ciekawej książce („Dux”):

„My bowiem, członkowie nowej burżuazji, przez paradoks pozorny, za którym krył się życiowy instynkt samozachowawczy, zaciągaliśmy się pod znaki ówczesnych przypuszczalnych nieprzyjaciół burżuazji”.

W dalszym ciągu postaram się rozpatrzyć przyczyny takiego rozwoju stosunków, dlaczego ta młoda burżuazja musiała szukać oręża dla siebie w socjalizmie, dlaczego ta nowa burżuazja, wiedzona przez instynkt samozachowawczy musiała działać w szeregach przypuszczalnych nieprzyjaciół burżuazji. Rozpatrzenie tych spraw pozwoli zrozumieć nam działalność Brzozowskiego, ewolucję, której działalność ta ulegała, oraz jej ostateczne wyniki.



Chcąc wyjaśnić to zjawisko eskamotowania teorii rewolucyjnych, eskamotowania ruchu rewolucyjnego proletariatu na rzecz burżuazji, czego wyrazem był szereg kierunków w „przedwojennym” socjaliźmie, niby socjalistycznych, cały szereg teoretyków niby rewolucyjnych, — aby zrozumieć — trzeba cofnąć się o kilkadziesiąt lat wstecz, kiedy w większości t. zw. zacofanych krajów europejskich kroczył i wzmocnił się nowoczesny kapitalizm. W większości tych krajów, a jeżeli mówimy tu o krajach zacofanych, to rozumiemy przez to wschód i południe Europy, kraje dawnej Rosji carskiej, Polskę, Węgry, kraje bałkańskie, wreszcie Włochy, półwysep Pirenejski — zarysowała się całkiem szczególna sytuacja społeczna.

Powstanie hegemonii burżuazji w przodujących krajach przemysłowych Europy Zachodniej poprzedzone było przez cały szereg walk klasowych, sięgających aż w. XVII i XVI. Przedtem jeszcze w średniowieczu były stulecia walki, toczonej o istnienie przez przodków dzisiejszej burżuazji przemysłowej i handlowej. Ale najsilniejszymi, najbardziej uderzającymi etapami tych walk były wielkie rewolucje burżuazyjne: angielska w połowie w. XVII i francuska w końcu w. XVIII, która w wynikach swoich rozkołysała cały kontynent (a zwłaszcza kraje niemieckie i Włochy). Burżuazyjnemi były te rewolucje nie dlatego, aby robione były rękami burżuazji — przeciwnie, rolę armii właściwej, łamiącej feudalizm, odgrywał zawsze proletariąt, chłopstwo i drobnomieszczaństwo — ale dlatego są to rewolucje burżuazyjne, że burżuazja im przewodziła i zebrała z nich korzyści, a masy ludowe nie wniosły do nich własnej świadomej ideologii i programu klasowego, lub też posiadały je w niedostatecznej mierze — dlatego w ostatecznych rozgrywkach zawsze pozwalały się zwyciężać.

Zacofane kraje Europy Wschodniej i Południowej nie znały tych zwycięskich walk z feudalizmem, toczonych pod kierunkiem burżuazji. Kraje te przytem rządzone były zzewnąrz, nie posiadały samodzielnego bytu państwowego lub też grzęzły w archaicznych stosunkach państwowych. Dopiero w drugiej połowie XIX w. stosunki te ulegają radykalnym zmianom. Część tych krajów (Włochy, państwa bałkańskie) usamodzielnia się. We wszystkich zaś powstają warunki, umiżliwiające działanie kapitalu przemysłowego, (w stopniu słabszym lub silniejszym). Jednakże te nawet kraje zacofane, w których przemysł fabryczny rozwinął się na większą skalę, nie posiadały takich kadrów kierowniczej burżuazji z tradycjami walki politycznej, jak burżuazja francuska, angielska lub niemiecka. Zmiany stosunków społecznych i politycznych, które zostały wywalczone przez rewolucję francuską: likwidacja zależności pańszczyźnianej na wsi, for-

małna przynajmniej „równość” wobec prawa, pewne minimum swobody osobistej i t. d., w krajach, o których mowa, powstały nie w rezultacie zwyciężonych walk klasowych, ale poprostu z nadania rządu. Naturalnie nie można tego schematu zastosowywać zbyt ściśle. We wszystkich tych krajach, jak Włochy, Hiszpania, Polska, stosunki te układały się w zależności od warunków lokalnych układu sił społecznych i t. d. — w Polsce np. odmiennie w różnych dzielnicach, pozostających pod różnymi rządami.

Jedna zasada wszelako była wspólna tym wszystkim krajom. Nie było mowy nawet o takiej likwidacji przeżytków feudalnych jak w krajach, które przeszły przez rewolucję. Jeżeli szlachta feudalna ustępowała ze swych przywilejów to dobrowolnie, drogą kompromisu, z wyrachowania, pod działaniem czynników zewnętrznych, niepowodzeń, które spotykały przestarzałą maszynę państwową w wojnie (np. związek między nieudaną wojną krymską a reformami Aleksandra II). Wzrastała też tu niepomniernie rola biurokracji przez wprowadzenie nowoczesnych reform i „medjatorstwo” klasowe. Biurokracja ta przeniknięta była wszędzie żywiołami szlacheckimi i prowadziła ich politykę”).

Czyli więc burżuazja krajowa, która tutaj dochodziła do głosu, dochodziła jako petent i w małym bardzo stopniu mogła odwoływać się do swojej siły, bo tej nie było prawie. Wpływ burżuazji na aparat państwowy, jej faktyczna władza wzrastała w miarę jak rozwijał się przemysł, postępowała kapitalizacja. Ale ten wpływ rozwijał się raczej drogami pokątnymi.

Burżuazja ta nie miała kapitału tradycji walk politycznych wspólnie z proletariatem i drobnomieszczaństwem — z którego procenty do dziś ciągnie liberalna burżuazja francuska i angielska. Zależność od kapitału zagranicznego — czyniła ją mało sympatyczną nawet tym odłomom drobnomieszczaństwa, które musiały się z nią solidaryzować z racji swej sytuacji społecznej. Nagi wyzysk, uniżoność wobec biurokracji i policji, w oparciu o którą przemysłowcy krajów zacofanych powtarzali wszystkie okropności związane z pierwotną akumulacją kapitału, oto co przedewszystkiem miała do dania masom burżuazja tych krajów. Stąd nikłość jej siły politycznej. Stąd też burżuazja ta miała mniejszą siłę w opanowywaniu przynajmniej czasowem sprzeczności, które rodził ustrój kapitalistyczny — odpowiednio do tego natężenie i dzikość aparatu przemocy, którą burżuazja angielska czy francuska wolała zostawiać dla podwładnych krajów kolonialnych — tutaj uderzała w masy z całą siłą. Tembardziej, że kraje usunięte były od korzyści, jakie wielkim państwom imperjalistycznym dawał podział świata między siebie.

Te wszystkie czynniki razem wzięte powodowały, że rozkład burżuazji i tych krajów, o których mowa, szedł o wiele szybciej, niż rozkład, któremu ulegała burżuazja przodujących krajów kapitalistycznych. Rozwój stosunków wysuwał na pierwszy plan żywioły słabe i tchórzliwe, skorumpowane, zgniłe od zalażka. To powodowało, iż propaganda socjalistyczna w krajach tych robiła znacznie szybsze postępy, i rewolucyjne hasła proletariackie znajdowały nieraz odzew głębszy i pełniejszy pomimo, iż proletariąt był tu słabszy niż w krajach przodujących.

*) Naturalnie idzie tu tylko o podkreślenie zasady nie zaś o wyznaczenie dokładnego schematu. Inaczej przedstawiała się więc sytuacja w Prusach, a inaczej w Rosji carskiej, jakkolwiek zasadnicze momenty pozostały wspólne.

Ruch proletarjacki robi postępy szybkie i gwałtowne — znajduje odzew w drobnomieszczaństwie i chłopstwie, które szczególnie cierpi z powodu pozostałości stosunków feudalnych. Ciężka walka, nieustające represje wzmagają spoistość tego ruchu. Ale jednocześnie ta polityka odzruca do opozycji cały szereg żywiołów zbliżonych do burżuazji, zwłaszcza inteligencję miejską. Stąd ogromną rolę odgrywa protest „etyczny”, (a często możnaby nawet powiedzieć etyczno-estetyczny), skierowany przeciwko nikczemności, zgniliźnie ustroju kapitalistycznego, przeciwko korupcji, tchórzostwu i podłości jego kierowników — protest ten charakterystyczny dla rewolucjonizujących inteligentów. W imię tego protestu młodzi inteligenci burżuazyjni ci co mają „już dość” „tego wszystkiego” przechodzą do socjalizmu, przechodzą do ruchu robotniczego.

Potrzeby ruchu masowego, nieprzygotowanie proletariatu i brak własnych sił kierowniczych, potrzeba propagatorów, dziennikarzy stworzyły podstawy do symbiozy. Etycznie oburzający się inteligent wchodził w organizację, zajmował stanowiska kierownicze i... bardzo często poglądy jego zmieniały się z biegiem czasu, oburzenie gasło i ustrój burżuazyjny stawał przed nim w świetle mniej ponurem. Zresztą rozwój oportunistu w ruchu robotniczym miał swój przebieg odmieniający się raczej w szczegółach w zależności od stosunków krajowych — a w zasadniczych liniach jednaki. Są to rzeczy znane.

W tych krajach, gdzie burżuazja nie miała dostatecznych sił i tradycji rządzenia — reformizm robotniczy, pokrywał sobą elementy radykalnej opozycji burżuazyjnej. Tak było z tą nową burżuazją we Włoszech, o której mówi Sarfatti. Jeszcze silniej może zjawisko to uwidacznia się w socjalistycznym ruchu rosyjskim, gdzie krypto-burżuazyjne tendencje ugrupowań socjalistycznych, poczynawszy od narodników, a skończywszy na mieniszewikach występują szczególnie jaskrawo. Tę radykalno burżuazyjną opozycję walczącą w szeregach socjalistycznych Sarfatti słusznie określa jako wyraz instynktu samozachowawczego burżuazji. Sformułowanie napozór paradoksalne ale istotne.

W krajach tych (Rosji, Polsce, Włoszech i innych) ruch proletarjacki uderzał tem silniej w podstawy panowania kapitalizmu, im bardziej zgniła, tchórzliwa i bezsilna była oficjalna burżuazja. „Nowa” burżuazja miała przed sobą zadanie życiowe — zdobyć jakiekolwiek poparcie lub choćby kontakt z częścią mas drobnomieszczańskich i robotniczych. W tym celu trzeba się było przemałować na czerwono. Ta instynktowna mimikra klasowa przez niektórych zresztą mogła być brana na serjo. Wybuch rewolucji proletarjackiej w Rosji zmył tą sztuczną czerwień — ale straszliwe szczyby w ruchu robotniczym zostały dokonane i „nowa burżuazja” mogła w całym szeregu krajów dostać się do władzy, wzbogacona doświadczeniem i walką masowego ruchu robotniczego.

W Polsce stosunki mamy o tyle odmienne, że klasy posiadające odsunięte były od władzy politycznej, że panowały biurokracie zaborcze, wobec których mogły one uprawiać opozycję, mogły nie brać za władzę odpowiedzialności, a zarazem korzystać z ich pomocy. Dochodziła jeszcze jedna osobliwość. Burżuazja polska z racji swego napływowego pochodzenia, późnego formowania się, pstrokacizny narodowościowej i waśni na tem tle — jeszcze mniej była zdolna do politycznego działania niż gdziekolwiek. Formalną hegemonję polityczną zachowała szlachta, która zachowała przytem

wpływ na inteligencję miejską, rekrutującą się w olbrzymiej mierze z takich właśnie rozbitków szlachetczyzny, jakich przedstawicielami byli Brzozowski, Żeromski.

Mamy tu również napływ młodych przedstawicieli klas posiadających do socjalizmu. Tylko że tu przewagę ma młode obszarnictwo, bądź też ludzie blisko z obszarnictwem związani. Przedstawicielką tej mimikry politycznej stała się przede wszystkim dawna P. P. S., a później wydział bojowy, który stał się ośrodkiem Frakcji Rewolucyjnej, to znaczy królewiackiej części dzisiejszej P. P. S.

Przez szkołę socjalistyczną lub półsocjalistyczną w charakterze sympatyków i t. p. przeszli też ludzie, którzy zarzucili wcześniej mimikrę i należeli do twórców N. D. Zresztą przed rokiem 1905 między wszechpolakami, a pepesowcami panowały nieraz sielankowe wprost stosunki. W jednym z licznych wspomnień starych czasów spotkałem charakterystyczny szczegół. Otóż przy przemycaniu bibuły przez granicę zdarzały się nieporozumienia i bywało tak, że np. wszechpolskie druki dochodziły do rąk pepesowskich i odwrotnie. Zdarzało się wtedy, że ci „socjaliści” w braku swojej kolportowali nacjonalistyczną bibułę. Byle tylko uświadamiać „lud”.

Stosunek Brzozowskiego do marksizmu oraz właściwy zakres wpływu i działania tego pisarza stanowi tu wzór poprostu klasyczny. Z ogólnej charakterystyki autora „Legendy Młodej Polski” wypływałoby, że jako umysłowość był on predysponowany raczej na wroga socjalizmu i wroga rewolucji. Zaczął swoją działalność, jak sam mówi, raczej jako konserwatysta. W szkicu „Anty-Engels”, zamieszczonym w tomie „Idej”, mówi wyraźnie dlaczego marksizm stał się dlań „zagadnieniem tak ważnym”. Oto:

„Marksizm wywiera wpływ na siły nieskończenie cenniejsze, niż wszystko to, co w dziedzinie inteligencji może być stworzone, wpływa na atmosferę duchową *budzących się do samodzielności mas ludowych*” (podkreślenie moje).

Wpływ marksizmu ocenia raczej negatywnie ale z tego właśnie względu, ponieważ marksizm ma wpływ na masy, stara się przeto wchodząc weni „naprawiać” ile się da. O tem zasadniczym podejściu do marksizmu trzeba pamiętać, o ile się rozpatruje nawet najdalsze zagalopowania się Brzozowskiego w dziedzinie pomysłów rewolucyjnych.

Zrozumieć marksizmu nie był w stanie — zresztą nie chciał i nie potrzebował zrozumieć. Nie miał on tu stosunku ani oddanego zwolennika, ani badacza. Wciela poprostu marksizm do pewnego systemu dydaktycznego, — niekiedy zaś zdaje się stawiać marksizm w centrum zagadnień — i usiłuje zrobić zeń ośrodek wiary solidaryzmu narodowego. Materjalizm dziejowy w interpretacji Brzozowskiego staje się czemś w rodzaju beznamietnej opatrności — „duchem historii”. Odpowiednio do tego Brzozowski anuluje klasową zawartość marksizmu, wykorzystuje jednak świetnie, to trzeba przyznać, narzędzia walki, dostarczone mu przez marksizm w kierunku wygodnym dla siebie.

Przewodnikiem Brzozowskiego był tu Sorel. Sorelizm przedstawia to francusko-włoskie wypaczenie marksizmu — które Brzozowski przystosował do stosunków polskich. Na dogmatyka z instynktu jakim był Sorel (podobnie jak i sam Brzozowski) oddziaływała przede wszystkim potężna normatywna fasada świata marksowskiego. Sorel jest bodaj najważniejszym wyrazicielem tego protestu „etycznego” burżuazyjnej inteligencji,

o którym wyżej mówiłem, protestu bardzo dwuznacznego w swej istocie i wynikach. Jako teoretyk dąży on do ocalenia choć części wartości starego burżuazyjnego świata — (napozór machnął już nań ręką), a które to wartości uważa za zdrowe. Stąd np. jego stosunek do prawa i teorii prawnych.

Brzozowskiego łączył z Sorelem tradycjonalizm umysłowy. Sorel czuł w sobie ciężar tradycyjnej myśli mieszczańskiej francuskiej i pęta przestarzałych metod, Sorel to tradycyjne myślenie uważa za anachronizm. Stąd jego walka z tem, co on określa jako kartezjanizm — walka wewnętrzna i bezpłodna, czujemy bowiem na każdej prawie stronicy jak dalece sam on tkwi w owym „kartezjanizmie”. Typowy racjonalistyczny dogmatyzm, cechujący tak dobitnie burżuazyjną myśl francuską, wdziera się do każdej konstrukcji myślowej autora „Złudzeń Postępu”. Zastarzała rutyna myślowa, której obecność on sam odczuwa i z którą walczy, przeszkadza mu na każdym kroku. W rezultacie nie potrafi naprawdę uporządkować swych poglądów. Określenie, które wypowiedziano o pisarstwie Woltera, „chaos myśli jasnych”, można zastosować, bodaj czy nie z większą jeszcze słusnością do Sorela.

Nie jest on pisarzem społecznym, we właściwym znaczeniu. Z pism jego dowiadujemy się przeważnie co on wie, co sądzi o każdej rzeczy, ale z trudnością dowiadujemy się czego chce Sorel — i czasem tracimy nadzieję dowiedzenia się o tem. Każdy pogląd jego z osobna zdaje się jasny — wszystkie razem tworzą chaos. Postulaty swoje stawia napozór bardzo wyraźnie, ale jest ich za wiele — stąd zdaje się nieżyłowe i często kłóć się z sobą.

Ale to jest tylko jedna strona kwestji — sprawa czystości teoretycznej i konsekwencji teoretycznej. Zupełnie co innego zobaczymy, jeśli zajmujemy się praktycznymi konsekwencjami tych teoryj. Tutaj to przede wszystkim Sorel był jeżeli nie twórcą to w każdym razie najwybitniejszym przedstawicielem określonego kierunku. Zastanowiwszy się bliżej nad tą pozorną gmatwaniną idei w jego dziełach, spostrzeżemy, że przedstawia ona szerokie pole do stosowania wszelkiego rodzaju „pseudonimów” ideologicznych. Przekonamy się, że pozorny chaos, owa gmatwanina posiada swoistą logikę i dużo ukrytej celowości, i że praktyczne jej znaczenie jest niezmiernie doniosłe, że przekracza ono bezpośredni zakres poszczególnych błędnych czy słusznych twierdzeń Sorela.

Jeżeli weźmiemy Sorela z tej właśnie praktycznej strony, przekonamy się, że jego celem jest taka interpretacja marksizmu, aby nie było konsekwencji marksizmu. Znaczenie tego trudno było zrozumieć w porze, gdy rozgłos teoryj Sorela był największy — ale dziś dokładnie widzimy ich skutki. Można by to wyrazić w ten sposób, że Sorel z elementów zagrażającego burżuazji marksizmu sporządza surowicę ideologiczną, która ma uratować burżuazję.

Czasy nowsze utworzyły zjawisko, które można określić jako nowy rodzaj kondotierstwa — kondotierstwo socjalne. Wynika ono z życiowych potrzeb burżuazji współczesnej. Burżuazja wszędzie potrzebuje do rządów ludzi, mających wpływ na masy lub choćby kontakt z niemi, i jakkolwiek może się to wydać z pozorów bardzo dziwne, — ludzi, którzy przeszli przez przygotowywanie walk i masowej organizacyjnej walki proletariatu. W roku 1919 bezpośrednio po wojnie faktycznymi „głowami” i rządcami wszystkich większych krajów europejskich, z wyjątkiem Włoch, byli politycy, któ-

rzy kiedyś brali aktywny udział w ruchu robotniczym. Millerand, Scheide-
man, Ebert, Lloyd George, Piłsudski i inni. A we Włoszech w roku 1922
dyktatorem został były socjalista Mussolini, a cały szereg przywódców fa-
szyzmu rekrutuje się z byłych socjalistów.

Wspominałem wyżej o specjalnych warunkach krajów „zacofanych”
powodujących odmienną fizjonomję burżuazji i wytworzenie się specjalnej
opozycji „młodej burżuazji”. Tu znalazła później zastosowanie taktyka
przewrotu zbrojnego jako antidotum na rewolucję socjalną („rewolucji bez
konsekwencji” jak to określił twórca przewrotu majowego w Polsce). Wło-
chy dały klasyczny typ kondotiera socjalnego, jakim jest Mussolini (między
innymi z racji swego pochodzenia drobnomieszczańskiego). W innych kra-
jach zjawisko to przybrało formy mniej jaskrawe ale istnieje wszędzie.
Taktyka ta polega zawsze na wydobyciu doświadczeń masowego ruchu ro-
botniczego i biciu wroga jego własną bronią. Do tego niekoniecznie trze-
ba stworzyć nową partię, jak we Włoszech, można też zużytkować na szero-
ką skalę ugodowe partje socjalistyczne jak w Polsce. Tak czy owak istota
rzeczy wszędzie przedstawia się jednakowo. To właśnie pozwoliło burżua-
zji przejść w pewnym stopniu do ofensywy w ostatnich latach — tem bar-
dziej, że w rewolucyjnym odłamie ruchu robotniczego nie wszędzie rozu-
mieją tą taktykę i walczą z nią według dawnych szablonów, które straciły
wartość.

Zresztą tych spraw wchodzących już w zakres zagadnień ściślejszego
formowania się faszyzmu w Europie i jego taktyki nie będę tu szerzej po-
ruszał — i to ściśle do tematu nie należy. Ale to wybiegnięcie w przeszłość
do wypadków dzisiejszych było konieczne, aby wyjaśnić sprawy, które na
kilka lat przed wojną wcale nie były tak jasne.

Brzozowski świetnie przystosował sorelizm do stosunków polskich.
Z Sorelem jak już wspominałem łączył go tradycjonalizm myślowy, będący
zresztą podobnie jak u tamtego wynikiem rzeczywistego stanowiska spo-
łecznego. Podobnie w metodach myślenia Sorela odczuwa się krepujące
pęta tego właśnie zwalczanego przezeń usilnie kartezjanizmu — podobnie
Brzozowski pozostaje w tradycyjnej niewoli romantyzmu polskiego, który
zwalcza znowu w imię instynktu samozachowawczego.

Przedmowa do tomu szkiców, wydanych pod tyt. „Idee”, stanowi do-
kument interesujący, miejscami wprost poruszający. Maluje ona najlepiej
Brzozowskiego, ideologa. Opowiada on o swej ewolucji ideowej i widzimy
jak do swego „ja” wyolbrzymiałego potwornie przymierza myśli, systemy,
idee, ponad które jego wyolbrzymiałe „ja” wyrasta, niby ponad zbyt szczup-
ło zabudowane domki. I wszystkie te idee, systemy, poglądy wydają się ja-
kieś karłowate dziwnie, jakby powyrywane rośliny usychające powoli, —
potrzebne jeno, by dać świadectwo, że owo „ja” jest wielkie, jedyne, ele-
mentarne.

W tej przedmowie Brzozowski opowiada o swym stosunku do teoryj
marksowskich (zresztą zaczerpniętych przeważnie od rewizjonistów). Mówi
tam wyraźnie, „marksizm był dla mnie tylko teoretyczną wiedzą”. Mówi
też: „Moje ponadmarksowskie ja przyswoiło sobie kulturę romantyki
polskiej”...

W tem co Brzozowski pisze o marksizmie ciekawy jest zwłaszcza
stosunek do osoby samego Marksa. Jak zaznaczyłem wyżej autor „Idej” był
dogmatykiem i fetyszystą z instynktu. Myśli czy systemu myśli nie

może sobie poprostu wyobrazić bez osobistości twórcy — i owa osobistość, mniejsza o to, czy w przedstawieniu jej zawarły się cechy istotne, czy nie, staje się dlań stałym konkretnym symbolem („co nie jest biografią, nie jest wogóle“).

Owa skłonność do fetyszyzmu wyraża się w niesłychanej adoracji, którą Brzozowski otacza osobę Marksa, spychając to co było dlań niewygodne w marksizmie na Engelsa, przeciwko któremu wystąpił w bardzo pretensjonalnym szkicu.

Pojmowanie marksizmu z początku jest tu, by tak powiedzieć, prymitywnie prometeuszowskie: „Najdumniejsza myśl jaka kiedykolwiek istniała” i to łączy się z osobą Marksa. „Marks tworzył zdumiewające kompleksy nadludzkiej woli” („Idee” str. 348). W charakterystyce autora „Kapitału” zawartej tam mamy do czynienia nie z Marksem określonym działaczem, politykiem, myślicielem, teoretykiem, nawet nie z Carlyle’owskim bohaterem, ale wprost z jakąś mistyczną postacią, z jakimś „marksobogiem” czy półbogiem. („Marks ma w sobie coś z „półboga” „Idee”). Takie konstrukcje związane wogóle z deifikacją procesu historycznego są dla Brzozowskiego potrzebą umysłu wprost nieodpartą. Co zresztą nie przeszkadza mu później zgodnie z mistrzem Sorelem nad Marksa przenosić Proudhona. („Proudhon człowiek o genjuszu głębszym i tragiczniejszym niż marksowski” „Idee” str. 378).

Ciekawe co Brzozowski zarzucał twórcy materjalizmu historycznego. Zarzuty te sprowadzają się do następujących.

„Marks zbyt często ulegał wpływom doświadczenia życiowego” oraz że (tu u Brzozowskiego rozstrzelony druk) „rozpatrywał zresztą myśl własną jako arsenał dostarczający oręża i narzędzi wszystkim, którzy w zasadzie praktycznie w danym momencie pracowali z nim razem i wskutek tego osłabiło się intensywne i żywe usposobienie metafizyczne Marksa”. „Myśl jego działała zawsze pod naciskiem konieczności regulowania akcji zbiorowej i stąd zawsze pod pokusą zaniedbywania tych różnic, które nie prowadziły do żadnej rozbieżności w kierunku działania. Zwolna tępiała ona i zniczułała się na *subtelności* własnego rozwoju” (podkreślenia Brzoz.)

Tutaj już wyraźnie słyszeć się daje szczebiot indywidualisty zupełnie nieorientującego się w metodach i wartości prawdziwie społecznego działania.

Gdyby Marks (a odnosi się to do każdego teoretyka społecznego), na pierwszy plan wysuwał zgłębianie subtelności własnego rozwoju, nie byłby Marksem. W oczach Brzozowskiego pomniejsza Marksa to właśnie, co stanowi o wielkości i zasłudze twórcy „Kapitału”. Tutaj widzimy raz jeszcze typową próbę odrewolucjonizowania, odmarksowienia Marksa. Zresztą Brzozowski robi to poprostu instynktownie, częstokroć nie zdając sobie sprawy z niedorzeczności takiego stawiania sprawy — kolosalnej wrażliwości i intensywności myśli jego, gdy chodziło o wejście w „owe subtelności własnego rozwoju”, o introspekcję — odpowiada nierównie większa tępota i apatia w stosunku do faktów. Rzuca to też światło na jego historyzm, który był płytki w swojej aktualizacji.

Ciekawa jest obrona Brzozowskiego wobec zarzucanego mu niejednokrotnie „schlebiania klasowej dumie robotników”. Odpowiada na to, że przecież klasa robotnicza w Polsce poprostu nie była na tyle rozwinięta,

aby czytać jego pisma. W „Pamiętniku” zresztą przyznaje się do demagogii. I w jednym i w drugim wypadku ma rację. Sofisterja leży w tem, że była demagogja i schlebianie — ale tego nie można utożsamiać z popieraniem klasowych interesów robotnika. Mamy w Polsce przykłady analogicznego stosunku do chłopstwa, odziedziczone po szlacheckim chłopomanstwie. Na wyścigi schlebia się „klasowej dumie” chłopstwa. Mówi się że chłop jest liczny, pracowity, dzielny, wytrwały — że właściwie jest, czy powinien być panem kraju. I bezpośrednio po tych pochlebstwach przychodzi wykiwanie chłopca w jego klasowych interesach.

Brzozowski był jednym z prekursorów takiego właśnie stosunku do klasy robotniczej w Polsce. Zwracał się bezpośrednio do inteligencji i zwierzchnich warstw robotniczych i tu było znaczenie „wychowawcze” jego demagogii. Jest gatunek pochlebstwa bardzo pospolity, który polega na tem, że wrabia się kontrahentowi pewne cnoty, które mu w danym razie mogą zaszkodzić, np. kapitalista chwali spokój, potulność robotnika, jak oszust, pragnący naciągnąć kogoś, wmawia weń wspaniałomyślność i ufność, które powodują, że takiego człowieka łatwo wziąć na lep pięknych słówek.

Brzozowski tu spełniał swoją rolę doskonale. Mógł być niepomieranie szczodry w entuzjazmie i pochwałach dla klasy robotniczej — ponieważ ujmował ją jako jeden z elementów solidaryzmu narodowego. Ale jednocześnie te komplementy służyły dla osłodzenia pigułek bardzo niebezpiecznych, w rodzaju następującej:

„Klasa robotnicza ma wszelki interes, aby każda grupa społeczna, o ile jest ona czynnikiem narodowym, wywiązywała się ze swej roli jak najświadomiej i najpełniej”.

„Niewątpliwie przyrost charakteru w klasie rządzącej może zaostrzyć tu i owdzie warunki klasy robotniczej: naogół jednak jest w interesie tej klasy, aby pozycję w tej walce określone były przez rzetelny stosunek sił”.

(Głosy wśród nocy).

Znowu jeśli chodzi o praktyczne konsekwencje to te rzeczy wyglądają wprost na kpiny z klasy robotniczej, klasy, która drogą rewolucyjną usiłuje sobie dopiero zdobyć możliwość walki o równych szansach. W rezultacie tych licznych pochlebstw widzimy wniosek, że w interesie klasy robotniczej leży „odrodzenie moralne” burżuazji. To jest właśnie szczyt demagogii Brzozowskiego. Naturalnie ostateczne przesłanki opierają się o dogmat upośledzenia narodowego, z którym trzeba walczyć przedewszystkiem, bo:

„Inne narody żyć mogą z rozdwojoną, rozszczepioną świadomością: — my „potrzebujemy jednolitej”. „W Polsce niema miejsca na właścicieli, na spożywających — tu jest zastęp oporu i pracy, więcej nic”... „Własność polska obchodzi nas tylko jako organ samowychowywania polskiej pracy. Tylko rola jaką odgrywa ona w produkcji narodowej jest jej podstawą prawną. Gdy stać będziemy konsekwentnie na gruncie interesów polskiej pracy, napotkamy zawsze te interesy własności, które są interesami narodu, a nie własności”. („Legenda Młodej Polski”. Str. 157 — 159).

Ilość podobnych wypowiedzeń możnaby odpowiednio powiększyć. Morał zawsze jednaki: „Inne narody żyć mogą z rozdwojoną, rozszczepioną świadomością” — to znaczy mogą sobie (szczęśliwie!) pozwolić na walkę klas, „my — nie”. „W Polsce niema miejsca na właścicieli, na spożywających” a zawsze napotkamy „te interesy własności, które są interesem na-

rodu, a nie własności", których zatem, jak łatwo się domyśleć, oświecony przez Brzozowskiego, proletariusz winien bronić do ostatniej kropli krwi *).

Dochodzimy do szczytowego punktu ideologii Brzozowskiego — do filozofii pracy. Tu Brzozowski miał szczególne powodzenie i jego frazeologia rozszerza się z niepowstrzymaną szybkością, powodując niesłychany zamęt w głowach.

Samo słowo praca, majestat pracy, godność pracy, praca jako podstawowy fakt istnienia znalazło się już dawno w arsenale środków dopomagających w uspokajaniu mas drogą zamącania ich świadomości. Jeżeli teraz te rzeczy wracają z większą niż kiedykolwiek siłą, to dzieje się to dlatego, że pracownik fizyczny przesunął się naprawdę na wyższe miejsce w hierarchii pojęć przeciętnego inteligenta. Sławienie pracy jako takiej stało się spraktykowanym oddawna sposobem kokietowania proletariatu.

Brzozowski sięgnął tu więc, jak zwykle, do dziedziny pojęć obiegowych i już bardzo spopularyzowanych. Usiłuje je odnowić i postawić na nowo w „Prolegomenach do filozofii pracy” (ogłoszonych w tomie „Idej”). Trudno właściwie ocenić tą półmetafizyczną frazeologję. Ważniejszy jest sposób, w jaki Brzozowski popiera tą drogą całokształt swojej propagandy.

Brzozowski wprowadza pojęcie pracy w młyn swej dramatycznej frazeologii, ogólnikowo, nie różnicując samego pojęcia. W owem nieróżnicowaniu tkwi ukryty — wsteczny z gruntu sens całej teorii. Praca tak jak ją określa autor „Prolegomenów do filozofii pracy” („biologiczny wysiłek, straszna mięśniowa praca”) istnieje nie tylko u ludzi. Pracę w sensie wysiłku produkcyjnego kierowanego przez człowieka wykonywują również zwierzęta: koń, wół, wielbłąd. Najważniejsze jest to, że same granice pracy ludzkiej i zwierzęcej nie są jasno określone. Na dalekim wschodzie riksza (człowiek-konń) spełnia całkowicie zadanie, odpowiadające u nas podziałowi pracy między konia dorożkarskiego i dorożkarza. Tam znowu rolę zwierząt pociągowych i jucznych wypełniają ludzie. U nas w tej samej wsi niedługo zdarza się, że jednakowa praca młócenia zboża, przypuśćmy, bywa wykonywana raz przez ludzi innym razem przez konia lub maszynę.

Ta niemożność rozgraniczenia była i jest ważną cechą pracy fizycznej. Pewne sposoby spełniania pracy zdają się wyłączać jakikolwiek ludzki stosunek pomiędzy ludźmi. Człowiek staje w jednym rzędzie ze zwierzęciem, jako bydlę robocze poręczniejsze, a nieraz i wytrzymalsze od innych. Na tem opierała się podstawa gospodarcza wielu tysięcy lat cywilizacji. Działała tu nieubłagana hierarchia ekonomiczna, której na szerszą skalę nic nie jest w stanie się przeciwstawić: żadna religia, żadne abstrakcyjne prawo człowieka. Przecież nie minęło jeszcze stu pięćdziesięciu lat od czasu, gdy *oficjalny* handel ludźmi ras europejskich istniał w Europie Zachodniej. (Dla Polski i wogóle dla Wschodu datę tę należałoby odpowiednio przesunąć).

Jeżeli zaś mamy mówić o „gloryfikowaniu pracy”, to na tem „pracy” nigdy nie zbywało. Kult Apisa w Egipcie był przecież także gloryfikacją pracy. Rozsądnemu właścicielowi bydła praktyka nakazuje pewien szacunek dla pracy tegoż bydła, nim się ono zestarzeje. Taki był stosunek

*) Nawiasem mówiąc, język jakim przemawiali uczniowie Sorela w różnych krajach jest zupełnie podobny: styl młodego Mussoliniego jest bardziej konkretny — ale podobnie dramatycznie wzniosły, gubiący się w ogólnikach i tragizmach wszelkiego rodzaju. I dziś jeszcze demagogia, grająca na upośledzeniu „narodu”, będącego wynikiem zacofania kraju, zajmuje masę miejsca w wyrzuciach publicystów faszystowskich.

starego Katona do jego niewolników. Inaczej być nie mogło. W dawnej Polsce, jak szlachcic miał prawo do oficjalnego określenia prawnego „urodzony”, tak chłop był prawnie „pracowity”. A nie tak daleko sięgając, proszę przeczytać jakąkolwiek argumentację inteligentnego obszarnika z lat trzydziestych, czterdziestych ubiegłego wieku przeciwko zniesieniu pańszczyzny. Jak subtelnie a zarazem gorąco ludzie ci potrafili mówić o dostojności pracy, o prawie człowieka do pracy i temu podobnych pięknych rzeczach. W każdym razie od wielu dzisiejszych gloryfikatorów różnili się korzystnie lepszym zdawaniem sobie sprawy z tego co mówią.

Ale odwrotną stroną tej nieustannej gloryfikacji było życie „ludzi pracy”. Z jednaką nieodmiennością, w różnych okresach historycznych, — czy to przy dźwiganiu piramid, czy przy budowaniu Wersalu albo Petersburga, — wdeptywano w ziemię tysiące ludzi, ludzi posiadających nie tylko kości i mięśnie. Ginęli bez żadnego heroizmu pod kijami, wieszani, gdy chcieli pracy zaprzestać. Nieustająca w historii gloryfikacja pracy jakoś temu nie przeszkodziła.

Dopiero tam gdzie między przyrodą, a ręką człowieka znalazło się udoskonalone nieskończone narzędzie — maszyna, wzrosła wartość człowieka pracy. Ale i tu zaczęła ona rosnać naprawdę dopiero wtedy, gdy między „ludźmi pracy”, pochłoniętymi prawie bez reszty przez tę pracę w ciągu 14 — 16 godzin na dobę, znalazł się leń i warchoł niepoprawny — wieczna zmora fabrykanta, wiecznego gloryfikatora pracy, — agitator, który doradził robotnikom, aby, założywszy ręce, w *próżniactwie* mierzyli się z władzą pana i kapitalisty. Każde z tych błogosławionych próżniactw okupywało lata poniżenia i hańby człowieka pracy.

Brzozowski zaś propaguje pracę jako taką, pracę dla pracy — mało zwracając uwagę na człowieka, który pracuje, na dolę mas pracujących. Zresztą życie tak czy owak jest strasznym dramatem etycznym, męką, tragedją — wobec tego kwestje bytu robotnika są całkiem drugorzędne. A to jest praca dla historii:

„Trzeba, aby aktualne przemijanie było zużytkowane w pewien sposób, aby wytworzona została pewna suma wysiłku wrzucona w otchłań, żywa masa krwi, potu, woli i cierpienia”.

Tu mamy w całej okazałości znaczenie społeczne historyzmu Brzozowskiego. Historia jest tym Molochem, któremu owa krew, pot, kości, ciało ludzkie (biologiczny wysiłek, straszna mięśniowa praca) ofiarowane być muszą. Jest w tem wszystkim jakiś arystokratyzm przybity i schowany w sobie dla względów kaznodziejskich. Wizja kaznodziei i usiłowanie przeniesienia jej w duszę słuchaczy, oto na czem stoi filozofia pracy Brzozowskiego.

„Trzeba wreszcie pamiętać, że argumentacja filozoficzna jest wezwaniem do widzenia. Odłóżcie książkę, aż stanie przed wami to co mówię, aż uczujecie grozę, trud łamiący kości, krzyk z głębi dusz dla tragicznej wielkości człowieka, aż stanie przed wami olbrzymia masa historii”...

„Aby móc jutro ją wznowić, trzeba rzucić w otchłań swoje krwawe dzisiaj...”

To jest filozofia pozornie heroiczna, ale trzeba wiedzieć, dla kogo jest ona przeznaczona i jaką masę perfidnej dyplomacji zawiera. Brzozowski, którego optymizm dokucza nawet dobrodusznemu prof. Zdziechowskiemu,

skiemu — naogół sady się na najdziksze inferalne obrazy świata. I jego filozofja ma dlatego swego rodzaju znaczenie jakgdyby metaforyczne;

„prześla logiczne są pomostami rzuconymi przez naszą wygodną myśl nad dźwigającą nasz świat, nasze ja, same jego logiczne właściwości gehenną...”

Trzeba było wieków całych nawarstwień powstałych z parazytyzmu ekonomicznego i kulturalnego, aby postawić w Polsce taką filozofję pracy, z jej fałszywym heroizmem, przetkanym dyplomatyczną obłudą. Jest to właściwie metafizyka poganiacza, w gruncie bez dalszych perspektyw społecznych.

Jasne jest w każdym razie jedno. Cała ta działalność Brzozowskiego ma na celu, aby pod osłonką nowych haseł, nowej terminologii, nowych pozornie tendencji przemycić i podtrzymać stary, zachwiany świat wartości. Idzie o to, aby pod osłonką nieco tylko „przystosowanych” tych nowych haseł — żyć mogła i rozwijać się stara filozofja posiadaczy, filozofja wyzysku, filozofja uciemiężenia — i co niebezpieczniejsze, by filozofja ta przemawiać mogła „nowym” językiem, umożliwiającym wkorzenie się w świadomość mas, które dopiero zaczęły się budzić do życia, nowego systemu oszustw.

W świetle tego, co się wyżej powiedziało jasne się staje zbliżanie się Brzozowskiego do katolicyzmu. „Życie ludzkie jest szyderstwem, igraszką jeżeli kościoła niema” powiada w „Pamiętniku”. Kościół musi być dla niego koniecznością. Trzeba odróżniać osobisty ferment psychologiczny od działania wielkich systemów myślowych. Im większy nieporządek, a nawet chaos był w jego umyśle — tem silniej musiał mu dokuczać brak norm zewnętrznych. Nawrócenie Brzozowskiego przypomina tutaj te tradycyjne typy, co to w młodości muszą się wyszumieć, by w pewnym wieku zamknąć się w bigoterii.

Brzozowski zresztą szedł do katolicyzmu bynajmniej nie przez mistykę, religijantwo, ale przez świadomy program społeczny. Bo „katolicyzm jest dzisiaj najważniejszym co do wpływu narzędziem wychowania woli polskiej” („Legenda M. P.”)

„Każda wiara która istnieje w jakimś narodzie, jest zawsze organem duszy tego narodu” (Idee).

Mówiąc o filozofji Sienkiewicza w „Rodzinie Połanieckich”, Brzozowski dał jadowite porównanie świata sienkiewiczowskiego z robakami w serze limburskim, by podkreślić parazytyzm tego świata, jego „bezwyjściowość i gnuśne obracanie się w jednym kręgu tych zagadnień”. Brzozowski nienawidził szczerze połaniecczyny i Sienkiewicza. Ale przypatrzmy się bez uprzedzeń faktom i faktycznym podstawom, faktycznemu motywowaniu działalności Brzozowskiego, nie zważając na grzmot wielkich słów, na hałas erudycji, a dostrzeżemy istotne podobieństwo dokonanej przez Brzozowskiego pracy myślowej, przynajmniej jeżeli idzie o wyniki ze znienawidzoną przezeń filozofją Maryni Połanieckiej. Rzecz naturalna trzeba pamiętać o tem, że Brzozowski robił to bardzo hucznie, z wielkim nakładem pracy i większą rozpiętością frazesu, no i w nowej terminologii. Ale istota sprawy, ale wyniki są podobniuteńkie, ale morał jest podobny. Zresztą przecie i Połaniecki (Sienkiewicz) też nie tak odrazu doszedł do połaniecczyny — był kiedyś dzielnym liberałem, czytywał Spencera, Darwina, Buckle’a, wymyślał na obskurantyzm, pokpiwał z klechów. Ale na dobrą sprawę mo-

tywy jego nawrócenia mało się różnią od motywów Brzozowskiego — ta sama wychowawcza wartość kościoła, konieczność wychowywania narodu, „msza odprawia się od 2 tysięcy lat” i t. d. I czy to jadowite powiedzenie o robakach w serze limburskim nie charakteryzuje również świata idei Brzozowskiego.

Znaczenie tego ostatniego leży w tem właśnie, że robił on tę robotę na skalę bez porównania szerszą i że działał na te grupy, na które połaniecczyzna już działać nie mogła. Dziś, gdy robota jego wydaje jaskrawe rezultaty — trzeba bardziej niż kiedykolwiek oceniać i zwalczać tą złowrogą propagandę, która niejednokrotnie dociera blisko rdzenia sił ludowych, ponieważ w formach pseudorewolucyjnych daje wyraz przesłanki propagandy faszystowskiej.

DO PROLETARIATU FRANCUSKIEGO

BRUNO JASIEŃSKI

*Wiem,
tego nie zagłuszyć wrzawą słów odświętną!
O tem dudni pod stopą znieważony bruk
i krzyczy waszych domów rumieniec ceglasty.
Wiecznie będzie na czole palić was jak piętno
rok 1914.*

*Nie pojme kto was wciągnął w ten upiorny trans.
Na krzyk we krwi po łokcie unurzanych Foszów
szliście ze śpiewem, szeregiem,
ostrem sztydem bagnatów dłubać w sercach boszów —
„p o u r l a F r a n c e !”*

*W dusznych, stłoczonych wagonach
na stoki werdeńskich wzgórz,
gdzie krukowi żreć was obrzydło,
przez cztery długie lata, ciężące jak wieki,
szliście stadem, z orkiestrą, potulni jak bydło,
pod nóż.*

*Gdy paszcze grubych Bert
śliną pocisków opluły wam Paryż,
wyjąc po nocach jak gongi, —
nad mięsem ludzkich stert,
nad zorzą nocnej łuny,
nie wytrysł nad nim, nie wykwiłł,
nie załopotał jak ongi,
w obliczu tych samych dni,
sztandar Komuny!*

*Nie wyrósł w dymie strzech
gniewną, czerwoną monstrancją
nad miast spalonych lament i nad wsi pożogę.
I to był twój najcięższy, twój śmiertelny grzech,
z którego może wieki cię rozgrzeszą,
Francjo,
ja — nie mogę.*

*Gdy ścichł ostatni wystrzał
od Ypres — „zum blauen Donau“,
prosty rachunek rachmistrza
dumnych zwycięzców pokonał.
W nocy, w śmiertelnej ciszy
wyście ocknęli się pierwsi,
twarze zwrócili na Wschód,
lecz mocno przygniótł wam piersi
miljonostopy,
gwiazdzisty,
amerykański but.*

*I poszły przez waszą pierś
pociągi, tramwaje, auta,
tonny ludzkiego cielska,
tęczą się sadła strumieniąc,
i przycisnęła wam krtąń
opasła dłoń niszczycielska,
świat zasłoniła wam chmurą
morda, wytarta jak pieniądz.*

*Chodziłem na was patrzeć wciśnięty za róg,
kiedy z fabryk, objętych lokautem,
wyrzucano was hurmą na bruk,
gdy tłum przez bramy chlustał,
jak przez otwarty spust, —
patrzyłem, czy macie usta,
czemu święty krzyk gniewu nie wytryśnie niemi?
Lecz krzyku nie słyszałem, jakbym stracił słuch,
jak gdybyście byli niemi,
bez ust!*

*I trzeba było dopiero,
by wygnać was z waszych uliczek
i wydrzeć wam z trzewi ten krzyk, —
by wam Obcy wymierzył policzek.
Trzeba było, by zbrodni przepętniona miara
gniewem ludów na kablach zagrała na alarm,
byście powstałi i krzyknęli:
Wara!
Nie pozwalam!*

*I wówczas pierwszy raz,
gdym zbliżka w oczy wam spojrział,
pojąłem
jak długi czas
ten gniew w was dojrzewał —
aż dojrzał!
W blasku tłuczonych szyb,
gdy z hukiem lawa zalewała plac twa,
z za barykady twą ujrzałem twarz
i zrozumiałem:
na nic masakry żołdactwa!
Paryż jest wasz!*

*Stłoczeni w ciasny krąg,
jak armja jeńców trwożna,
kolczastym drutem pogróżki, —
ujrzeliście tej nocy, że w złaczeniu rąk
można miasta otrząsać jak gruszki!
Gniew, który zerwał szluz
i raz już z domów wygnał
zahukaną, zbiedzoną, skatowaną czeladź,
czeka już odtąd tylko na powtórny sygnał,
aby się przelać!*

*Przez czarny dymnik swój
buchniecie rankiem, o świcie,
blade, zdziwione miasta zatapiać jak fale.
I to już będzie wasz ostatni bój —
„la lutte finale“!*

Paryż, w sierpniu 1927

(W dzień zamordowania Sacca i Vanzettiego)

DO POKONANEGO **REWOLUCJONISTY Z EUROPY**

WALT WHITMAN

Odwagi, mimo wszystko, bracie mój lub siostrzo moja!
Zawsze naprzód — Wolność domaga się, by jej służyć, cokolwiek miałoby
się stać;
To nie liczy się, co się da sprowadzić do jednej lub dwóch przegranych,
do nieokreślonej liczby przegranych,
Albo do obojętności, albo do niewdzięczności ludu, lub jakiegokolwiek bądź
nierzetelności,

Albo do skrzyżowanych drągów władzy, żołnierzy, dział, karnych kodeksów.
To, w co my wierzymy, trwa w oczekiwaniu niewidzialnem i bezustannem
poprzez wszystkie lądy,

Nie naprasza się nikomu, nie obiecuje nic, spoczywa w spokoju i światłości,
zwarte i opanowane, nie zna zniechęcenia,

Wyczekując cierpliwie, wyczekując swojej godziny.

Pieśni moje nie są to tylko pieśni wierności,

Ale pieśni buntu zarówno,

Bowiem jestem poetą zaprzysiężonym wszystkich hardych buntowników
w świecie całym,

I ten, kto mi towarzyszy, spokój i nawyk pozostawia za sobą,

A życie jest stawką, którą stracić może w każdej chwili.

Bitwa wre, rozcinana niejednym dźwięcznym alarmem, marszem naprzód
i częstym odwrotem,

Niedowiarek triumfuje, lub zda mu się, że triumfuje,

Więzienie, szafot, kajdanki na ręce, kajdany z żelaza i kule z ołowiu speł-
niają swe dzieło,

Bohaterowie znani lub bezimienni w inne przechodzą dziedziny,

Wielcy mówcy albo pisarze są wygnani, trawi ich tęsknota za ojczyzną
w krajach dalekich,

Sprawa drzemie, krtanie najpotężniejsze czują swą własną krew, jak je
zalewa,

Młodzieńcy opuszczają powieki ku ziemi, gdy się spotkają;

Ale, mimo to wszystko, Wolność nie zesła z placu, ani niedowiarek nie
osiągnął ostatecznego zwycięstwa.

Kiedy Wolność schodzi z jakiego placu, ona nie pierwsza go opuszcza, ani
druga, ani trzecia,

Czeka, aby odejść, aż to uczynią wszyscy inni, i odchodzi ostatnia.

Kiedy ani jedno wspomnienie nie pozostanie po bohaterach i męczennikach,

I kiedy wszystko życie i wszystkie dusze mężczyzn i kobiet zostaną
wymazane z jakiegokolwiek bądź części ziemi,

Wtedy dopiero wolność i idea wolności wymazana będzie z tej części ziemi,
I niedowiarek posiadać pełne zwycięstwo.

Odwagi zatem, zbuntowany, zbuntowana z Europy!

Czyż ty nie powinienes zaprzestać, póki nie zaprzestanie wszystko?

Nie wiem, jaka jest rola twoja (tajnem jest mi poco jestem tutaj ja sam
i poco jest tu rzecz każda),

Lecz uważnie usiłowałbym wykryć to, nawet pokonany, jak ty nim jesteś
dzisiaj,

W porażce, w ubóstwie, w niezrozumieniu, uwięziony — bowiem i to jest
wielkie.

Czyż myśleliśmy, że zwycięstwo jest czemś wielkiem?

Jest niem w istocie — ale wydaje mi się teraz, kiedy nie można jej zapobiec,
że klęska jest wielka,

I że śmierć i powalenie są wielkie.

Przełożył *Stefan Napierski*.

RACJONALIZACJA I ORGANIZACJA PRACY

STEFAN ŚWIEŻEWSKI

We wszystkich zakładach przemysłowych Polski święci triumfy t. zw. racjonalizacja. Podstawową cechą tej racjonalizacji,¹⁾ obok obniżania zarobków i przedłużania dnia pracy, kasowania urlopów i t. p., jest sprawa wyciśnięcia z robotnika większej ilości pracy niż dotychczas.

Aby zobrazować do jakich rezultatów kapitaliści w tej dziedzinie doszli, wystarczy przytoczyć parę następujących przykładów:

Na kopalni węgla Grodzice II w Zagłębiu Dąbrowieckim otrzymano zwiększenie wydajności pracy²⁾, w tartaku drzewnym o 100%, przy dowozie piasku do zasypywania wyeksploatowanych komór po węglu o 100% i praca rębaczy w chodnikach o 150% i t. d. (Dziennik Poznański 20-III-28).

W fabryce zapalek Błonie, robotnice pakują zamiast, jak dotychczas 100 tuzinów pudełek zapalek, aż 270 tuzinów na godzinę, a więc o 170% więcej.

Jeszcze charakterystyczniejsze są dane, przytoczone przez „Kurjer Poznański”, 17-IV-28, w związku z racjonalizacją w cukrowni „Włostów” (woj. Kieleckie).

Zmniejszenie marnotrawstwa materiału, czasu i pracy dzięki wykresom Gantta (uczeń F. W. Taylora, który opracował system graficznej kontroli wydajności) wyraziło się kwotą przeszło 1000 zł. dziennie, a więc stokilkadziesiąt tysięcy w ciągu całej kampanji. Podkreślić specjalnie należy, że te wspaniałe rezultaty osiągnięto *bez żadnych nowych maszyn czy urządzeń technicznych, a wyłącznie dzięki harmonizacji i innym metodom naukowej organizacji* wyrażonym przez kilka wykresów, których koszt wahał się od kilku do kilkudziesięciu złotych³⁾.

A więc bez „żadnych nowych maszyn i urządzeń technicznych”. To właśnie jest cechą zasadniczą metod „racjonalizacyjnych”. Zwiększenie ilości pracy, pobranej przez kapitalistę od robotnika, następuje wyłącznie dzięki zwiększonej eksploatacji siły żywotnej robotnika, a nie dzięki jakimkolwiek ulepszeniom. Racjonalizacja, narówni z najstraszliwszą epidemią, niszczy siły i zdrowie klasy robotniczej. Poza to, jak widzimy, względne zwiększenie się zarobków, nie dorównywuje nawet w połowie wzrostowi wykonywanej przez robotnika ilości pracy..

Metody racjonalizacyjne, stosowane w Polsce, należą do najprymitywniejszych, są to: stale przykręcana śruba płacy akordowej, która zupełnie wyparła dniówkową, zwiększenie ilości obrotów oraz szybkość maszyn i warsztatów, zwiększenie terenu działania jednego robotnika²⁾, obsługa większej ilości maszyn przez jednego robotnika, a przede wszystkim „odpowiedni system kontroli”.

Metody te jednak w dalszym biegu „racjonalizacji”, stają się przestarzałe i powoli przestają skutkować t. j. zmuszać robotnika do pracy ponad siły i nie dają już kapitaliście gwarancji, nie tylko dalszego zwiększenia eksploatacji, ale nawet utrzymania osiągniętego już stopnia wyzysku. Poza to metody te napotykały na zbyt silny opór robotników.

¹⁾ Zasadniczo reorganizacja jest pojęciem szerszym, gdyż obejmuje również koncentrację, centralizację, a co za tem idzie niżenie kosztów administracji, usprawnienie tej administracji i t. p. Podstawą jednak reorganizacji przemysłu w krajach kapitalistycznych jest systematycznie zwiększany wyzysk robotnika i ta właśnie cecha ma dla nas charakter decydujący.

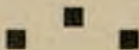


RUCHOMA WSTĘGA FORDOWSKA

Chodzi więc kapitalistom o zastosowanie nowych metod, ulepszonych i skuteczniej działających, a pozatem otoczonych nimbem „naukowości”. Przy pomocy tego właśnie „unaukowienia” metod wyzysku, kapitaliści zamierzają uczynić niezrozumiałymi dla robotnika ich poczynania i w ten sposób osłabić opór robotnika, któremu tłumaczyć będą, że tylko ciemny człowiek, może się sprzeciwiać „ulepszeniom” w pracy.

W tym celu kapitaliści polscy sięgają do wzorów obcych, przede wszystkim zaś amerykańskich, wysuwając hasło „tayloryzacji” polskiego przemysłu.

Burżuazja polska, mając na celu propagowanie tych hasel, organizuje „sieć racjonalizacyjną”; w ośrodkach przemysłowych powstają specjalne koła organizacji pracy, prowadzona jest usilna propaganda i t. p.



Aby tem skuteczniej zwalczyć opór robotników, kapitaliści twierdzą niejednokrotnie, że zastosowanie nowych „metod organizacyjnych” pozwoli na... skrócenie, przedłużanego obecnie systematycznie, dnia roboczego, podwyższenie zarobków i t. p. Starają się w ten sposób narzucić robotnikowi mniemanie, że skrócenie dnia roboczego jest wynikiem zwiększenia wykonywanej ilości pracy, a nie odwrotnie.

Wysunięcie hasła 8 godz. dnia pracy było pierwszą zasługą klasy robotniczej na polu rzeczywiście naukowej organizacji pracy. Dzięki skróceniu dnia roboczego, praca robotników, mniej przemęczonych, stała się bardziej wydajną, z drugiej zaś strony, skrócenie czasu pracy, zmusiło kapitalistów do wprowadzenia ulepszeń technicznych oraz nowych produkcyjnych maszyn.

8 godz. dzień roboczy, przyczynił się do zwiększenia wydajności pracy, a nie odwrotnie.

Ale kapitaliści chcieli, aby w ciągu krótszego, niż przedtem okresu czasu wycisnąć z robotnika taką samą, a nawet większą niż dotychczas, ilość pracy. Kapitaliści starali się w danym przeciągu czasu skondensować, „zaęścić” możliwie największą ilość pracy, zaczęli więc stosować względną intensyfikację pracy. Służyły im w tym celu metody, obecnie najczęściej w Polsce stosowane, a więc: zwiększenie ilości obrotów maszyn, zwiększenie pola działania robotnika i t. p. Pozatem stworzyli szereg „zasad”; są to: 1) zasada obróbki wielu przedmiotów na jednej maszynie¹⁾; 2) zasada wielu narzędzi, zawartych w jednej maszynie; 3) zasada obsługiwanie wielu maszyn przez jednego robotnika²⁾. Zasady

¹⁾ Np. robotnica fabryczna w Ameryce pracuje przy maszynie do szycia, zaopatrzona²⁾ w 12 igieł i wykonywującej 4.000 ściągów na minutę.

²⁾ Żywą ilustracją tej zasady jest tkacz, obsługujący 4 lub 6 krosien (patrz H. Krahelska „Łódzki przemysł włókienniczy wobec ustawodawstwa pracy”). W Ameryce robotnik obsługuje 20 warsztatów tkackich, systemu „Northrup”, a są tacy, którzy obsługują 30 do 40 warsztatów, a praca ich jest wtedy rozpaczliwym wyścigiem z maszyną.

²⁾ Osiąga się to przez „zwiększenie rozmiarów mechanizmu, pozostającego pod kontrolą jednego robotnika t. zn. przez zwiększenie terenu działania tego ostatniego” (Marks. „Kapitał”, t. I).

te były pierwszą próbą w dziedzinie względnej intensyfikacji pracy, obecnie zaś zawędrowały do krajów spóźnionego kapitalizmu, a więc i do Polski.

Nie wystarczało to jednak kapitalistom. Brak im było całkowicie opracowanego systemu wyzysku. Poza płacą od sztuki, przestała przynosić pożądane dla kapitałów rezultaty. Robotnik, wiedząc, że w razie wykonywania przez niego, przez czas dłuższy, większej, niż dotychczas ilości pracy, ilość ta uznana zostanie za normę i stawki zarobkowe zostaną obniżone, nie dokładał starań w kierunku zwiększenia, wykonywanej przez się ilości pracy. Wobec tego zaczęto stosować nowe systemy płacy zarobkowej. Są to przeważnie różnego rodzaju systemy premij. Według tych systemów robotnik nigdy nie otrzymywał premii w wysokości, odpowiadającej ilości pracy, wykonanej ponad normę. Np. jeżeli ilość pracy wykonanej ponad normę wynosiła 25%, ta premja była wyznaczana w wysokości 15%, w najlepszym razie 20%. U podstawy każdego z tych systemów kryło się jakieś oszustwo. Według jednego z tych systemów robotnik otrzymywał premję w wysokości trzeciej części zarobku za zaoszczędzone godziny, t. zn., jeżeli zadanie było wyznaczone na przeciąg 100 godz., a robotnik wykonał je w ciągu 60 godz., to otrzymywał premję w postaci $\frac{1}{3}$ zarobku za zoszczędzone 40 godz. Według innego systemu (Rowen'a) premja odpowiada procentowo ilości zaoszczędzonych godzin, ale podstawą do obliczeń jest nie zarobek za 100 godzin, ale za tę ilość godzin, w ciągu której zadanie zostało wykonane, a więc premja była obliczana na podstawie sum, stale ulegających zmianie. Np. jeżeli zadanie zostało wykonane w ciągu 80 godz., zamiast 100 godz., to zaoszczędzono 20 godz., czyli — 20%. Zarobek w tym wypadku za 80 godz. wynosi, przypuśćmy, 48 zł. (za godz. 60 gr.), premja zaś wyniesie 20% tej sumy t. j. 9 zł. 60 gr. Dzięki temu jednak, że premja jest obliczana na podstawie sum stale ulegających zmianom, wzrasta ona stale, aż do wykonania pracy w ciągu 50 godz. Gdyby jednak robotnik wykonał zadanie w mniej niż 50 godz. (co jest nb. prawie niemożliwe), otrzymałby już mniejszą premję i premja ta staleby się zmniejszała, im w krótszym terminie wykonywałby zadanie. Jeżeli robotnik np. wykona zadanie w ciągu 50 godz., to otrzymuje premję w wysokości 15 zł., jeżeli robota ta zostanie wykonana w ciągu 40 godz., to robotnik otrzyma zarobek 40 godz. $\times$ 60 gr. = 24 zł. i premję w wysokości 60% od tych 24 zł., t. j. 14 zł. 40 gr.; jeżeli zadanie będzie wykonane w ciągu 30 godz., to premja spadnie do poziomu 12 zł. 60 gr. i t. d. Ponieważ jednak robotnicy nigdy prawie nie zdołają wykonać zadania, którego wykonanie trwać ma 100 godz., w ciągu 50, 40 i 30 godz., nie mają więc sposobności przekonać się, że, czem więcej będą pracowali, tem mniejsza ich czeka nagroda.

Ciekawą jest rzeczą, że podstawą tych wszystkich systemów jest już nie płaca od sztuki, lecz płaca za godzinę.

Taylor stworzył swój własny system t. zw. płacy różniczkowanej (dyferencjalnej). Zasada tego systemu jest „wysoka płaca za wykonanie zadania i obniżenie płacy w razie niewykonania zadania”. Taylor przytacza następujący przykład. W jednej z fabryk metalowych robotnik obtaczał dziennie 4 do 5 sztuk wytworu; Taylor wyznaczył zadanie w wysokości 10 sztuk dziennie. Za obtoczenie tych 10 sztuk, przy niższej już płacy od sztuki, robotnik zarabiał blisko o dolara więcej niż za obtoczenie 5 sztuk, jeżeli jednak obtoczył o jedną mniej, to zn. 9 sztuk, otrzymywał blisko o połowę mniej, niż za obtoczenie poprzednio 5 sztuk. Działo się to dzięki

temu, że płaca od sztuki przy wykonaniu 10 sztuk jest znacznie wyższa, niż przy obrotach 9.

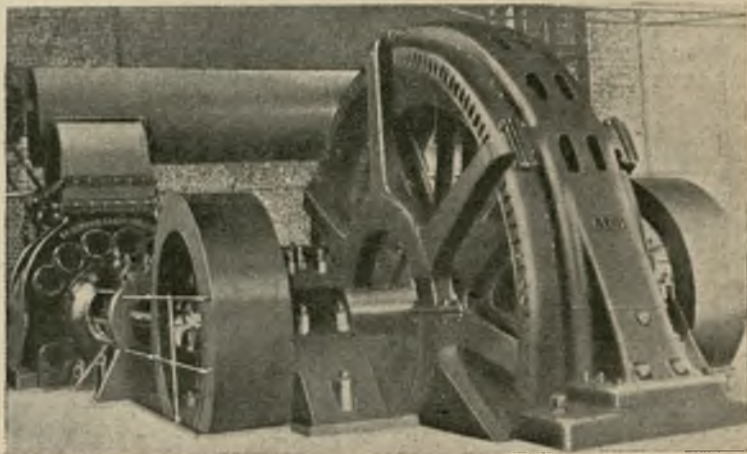
Wszystkie ważniejsze systemy płacy zarobkowej powstały jeszcze przed wojną. Na okres przedwojenny przypada również niemal cała działalność Taylora.

Po wojnie jednak zagadnienia płacy i t. zw. organizacji pracy nabrały szczególnej aktualności. Wojna poniszczyła maszyny i urządzenia fabryczne. Przemysł wymagał odbudowy i „reorganizacji”. Wśród szeregu głodów dał się odczuć „głód organizacyjny”. I tu przyszli z pomocą kapitalistom Taylor i jego uczniowie. We wszystkich krajach kapitalistycznych odbudowa przemysłu spadła na barki robotników; kosztem ich sił i zdrowia została ta odbudowa przeprowadzona.

Typowym „organizatorem” produkcji w myśl dążeń kapitalistów był F. Taylor. Aby z większą łatwością narzucić robotnikowi nowe jarzmo, on to wpadł na dowcipny pomysł. Oto święto dotychczas prawo zysku zostało przezeń „unaukowane”. Od tej chwili wszelka, najbardziej podejrzana machinacja, zmierzająca do wyciśnięcia z robotnika większej ilości pracy, niż dotychczas, zyskała miano „naukowej”. Kiedy robotnikowi oświadczono, że możliwość wykonania przez niego takiej a takiej ilości pracy została zbadana naukowo (np. przy pomocy osławionego chronometrażu) odbierano mu tem samem możliwość sprzeciwu. Związki zawodowe występujące przeciw tego rodzaju „naukowości”, narażały się na miano rzeczników „wstecznictwa”. W każdym swem wystąpieniu Taylor zwraca się przeciwko związkom zaw., jakoby kultywującym „próżniactwo” i tem samem ograniczającym produkcję¹⁾.

„Naukowość” Taylora została wprawdzie zdemaskowana przez prof. Hoxie, który został delegowany przez parlament amerykański do zbadania warunków, w jakich pracują robotnicy w „staylorizowanych” przedsiębiorstwach. Prof. Hoxie zarzuca Taylorowi poprostu nieuctwo. Parlament ame-

¹⁾ Taylor uzależnia wzrost produkcji przedewszystkiem od stopnia „pracowitości” robotnika.



D Y N A M O
A. E. G.

rykański zaś uchwałą zakazał stosowania chronometrażu w przedsiębiorstwach państwowych.

Taylor twierdzi, że wszechstronnie i naukowo zbadał możliwości robotnika w dziedzinie wykonywania przezeń większych wysiłków fizycznych, niż dotychczas. Przyjrzyjmy się najpierw, w jaki sposób przeprowadzał badania w dziedzinie skrawania metali, gdzie istotnie działał dużo.

„Okres doświadczalny trwał 26 lat, o ile nie brać pod uwagę przerw przypadkowych. Do doświadczeń zbudowano 10 różnych maszyn. Wykonano 30.000 do 40.000 prób, nie licząc prób chybionych lub przygotowywanych. Określenie praw skrawania kosztowało od 150 do 200 tysięcy dolarów; zużyto przytem 400 tonn żelaza i stali”¹⁾.

Jak widzimy badania te były prowadzone z dużym nakładem sił i środków.

Czy Taylor w ten sam sposób przeprowadził badania nad racjonalnem zużytkowaniem maszyny ludzkiej? Czy zaprosił do współpracy fizjologów? Bynajmniej. Stwierdził tylko, że robotnik „próżnuje”, że normalnie wyrabia zaledwie $\frac{1}{3}$ lub $\frac{1}{4}$ „sumiennej dniówki” i zaczął poprostu zmuszać robotnika do wykonywania większej ilości wysiłków fizycznych niż dotychczas.

Badania przeprowadzał w następujący sposób: wybierał dwóch najbieglejszych robotników, dawał im „podwójną płacę” w przeciągu okresu doświadczalnego i oświadczał „że po pierwszej próbie oszukania będą pozbawieni miejsca. Robotnicy ci dokładali wszystkich sił przy pracy w ciągu całego okresu obserwacji”²⁾.

Na zasadzie tych „obserwacji” ustalał zadanie dla wszystkich robotników (tych, którzy nie mogli podołać, wydalali) i za tę, jak sam pisze „wytężoną pracę” wyznaczał premję, taką, aby nie była za mała i „zachęcała robotników do pracy”, lecz, aby przytem nie była zbyt duża, gdyż „dla wielu ludzi jest niewskazane zbyt szybkie bogacenie się”.

Taylor nigdy nie „oddziaływa” na grupę, zawsze na jednostkę. Zdaniem jego „błąd, który popełnia 99 ludzi na 100, polega na tem, że próbowali oni oddziaływać na dużą grupę ludzi odrazu, zamiast wpływać na nich pojedynczo”. Tego błędu Taylor nie popełnia i kamieniem węgielnym jego teorii jest likwidowanie w zarodku wszelkich przejawów solidarności robotników³⁾.

W jaki sposób Taylor dokonywa „naukowego” wyboru robotnika, nad którego pracą mają być przeprowadzone obserwacje, świadczy następujący fakt: opisując badania nad robotnikiem przy przenoszeniu gęsi z żelaza

¹⁾ Taylor „Zasady Organizacji” 1913 r. Str. 80.

²⁾ Taylor „Zasady Organizacji” 1913 r. Str. 37.

³⁾ W rozbijaniu solidarności robotników jeszcze dalej idzie uczeń Taylora, Gilbreth, który proponuje, aby „przy różnych robotach, np. przy kładzeniu fundamentów ustawić obok siebie robotników różnych narodowości, gdyż to wytwarza współzawodnictwo. Jeżeli jest to niemożliwe, to należy oddzielić kawalerów od żonatych, albo wysokich od niskich i t. p.”.

lanego, Taylor stwierdza, że powinna to być „jednostka typu wołu roboczego, ociężała pod względem fizycznym i umysłowym”, dodając, iż „można byłoby nauczyć wykonywania tej pracy mądrego goryla i otrzymać w ten sposób bardziej wydajnego robotnika od człowieka”¹⁾.

Wybór Taylora padł na robotnika nazwiskiem Schmidt, holendra²⁾, który słynął z chciwości i skąpstwa. Taylor pisze, że robotnicy mówili o nim: „dziesiątka jest dla niego tak wielka, jak koło u wozu”.

Przeprowadzona zostaje odpowiednia rozmowa³⁾, podczas której Taylor, spekulując na najniższych instynktach Schmidta, nakłania go do przenoszenia zamiast, jak dotychczas, 12 tonn żelaza, ni mniej ni więcej, tylko 47 i $\frac{1}{2}$ tonny.

Aby być ścisłym i naukowym Taylor stosuje t. zw. chronometraż, t. zn. rozkłada jakąś czynność na szereg pomniejszych czynności lub ruchów, następnie oblicza czas trwania takiego ruchu przy pomocy zwykłego sekundomierza. Czas trwania każdego poszczególnego ruchu lub czynności może być obserwowany u różnych robotników, a brany jest pod uwagę tylko czas najkrótszy. Obliczenia te zostają podsumowane i na podstawie tego zostaje wyznaczone zadanie. Aby zadanie takie zostało wykonane przez robotnika, Taylor utrzymuje specjalnych majstrów—poganiaczy. Oni to przede wszystkim dostają premię za pracę robotnika. Jeżeli „time study man” (prowadzący chronometraż) wyznaczy takie zadanie, że robotnik pod nadzorem majstra mu nie podoła, to wówczas „time study man” dostaje premię, jeżeli natomiast zadanie zostaje wykonane, wtedy premię otrzymuje majster-nadzorca. W rezultacie „time study man” stara się wyznaczyć takie zadanie, aby robotnik mu nie podołał, a majster wszelkimi sposobami pogania robotnika, aby zadanie to zostało wykonane. Oto jest tajemnica „naukowego” systemu Taylora.

Taylor wielokrotnie stwierdza, że ta „wytężona”, jak sam mówi, praca nie grozi robotnikowi przemęceniem. Dowodzi on, że robotnik, przenoszący 47 $\frac{1}{2}$ tonn surówki, zamiast 12 tonn, jak dotychczas, pracuje tylko 43% czasu, natomiast przez całe 57% odpoczywa. W jaki sposób? Oto dlatego, że schodzenie robotników po pochyłości od wagonu do stosu żelaza bez ładunku uważa Taylor za odpoczynek. Robotnik ten, według danych Taylora, przebiegał dziennie 26 klm.: 13 w jedną stronę i 13 w drugą. Już samo przejście takiej ilości kilometrów jest poważną pracą. Prof. Siechenow twierdzi, że po 10 godzinach chodzenia bez żadnego ładunku potrzeba do całkowitego usunięcia zmęczenia nie tylko 8 godz. snu, ale ponadto 6 godzin wypoczynku.

¹⁾ Jermanskij zwraca uwagę, że stałe utrzymywanie goryla kosztowałoby znacznie drożej, niż każdorazowe kupowanie od człowieka jego siły roboczej.

²⁾ Holendrzy byli najlepszym materiałem do tego rodzaju poczyniń, gdyż, pochodząc z kraju rolniczego, starali się zarobić jaknajwięcej w jaknajkrótszym czasie, aby móc powrócić do kraju i tam kupić kawałek ziemi.

³⁾ O rozmowie tej pisze sam Taylor: „Rozmowa ta wydaje się nieco brutalną. Byłaby ona coprawda taką w stosunku do robotnika inteligentnego. Lecz odpowiada ona za to ograniczonej inteligencji Schmidta, gdyż skupia całkowicie jego uwagę na większym zarobku, gorąco przez niego pożądanym, dzięki czemu uważa on propozycję za możliwą do przyjęcia”. „Zasady Organizacji” 1913 r. Str. 31.

Ale „kapitał nie pyta o długość życia siły roboczej” — pisał Marks w I t. „Kapitału”. — „Jedyna rzecz, która go interesuje — to maximum siły roboczej, jaką można wycisnąć z robotnika w ciągu dnia roboczego. I osiąga ten cel przez skrócenie życia siły roboczej — podobnie, jak chciwy właściciel ziemski osiąga zwiększony dochód przez wyjałowienie siły produkcyjnej ziemi”.

Tej właśnie zasadzie kapitału hołduje Taylor.

Jak twierdzi Jermanskij, taylorizm obok strony negatywnej posiada stronę pozytywną. W tem jednak tkwi sprzeczność całego systemu, że negatywna strona taylorizmu—nadmierna intensyfikacja pracy—paraliżuje stosowanie jego strony pozytywnej. W raporcie swym prof. Hoxie pisze, że organizacja produkcji, nawet w myśl wskazań Taylora, jest prawie niestosowana, gdyż wymaga dużego nakładu środków pieniężnych, nie przynosi doraźnych zysków i przez to mniej się kapitalistom opłaca, niż nadmierna intensyfikacja pracy robotnika, przynosząca bez wkładów natychmiastowe zyski.

Innym kierunkiem, zmierzającym również do nadmiernej intensyfikacji pracy, jest fordyzm, z tą jednak zasadniczą różnicą, że rolę taylorowskiego dozorczy—poganiacza spełnia sama maszyna swoim nieprzerwanym ruchem. Wstęga fordowska wytwarza nieprzerwany łańcuch czynności, wykonywanych przez różnych robotników; najmniejsze opóźnienie powoduje zahamowanie toku produkcji. Robotnik w danym przeciągu czasu musi wykonać swoją czynność, gdyż na przedmiot obrabiany oczekuje już następny robotnik, opóźnienie zaś powoduje pozatem fakt, że w pewnym momencie przybędzie drugi przedmiot, obrobiony już przez poprzednika. Fordyzm — to zorganizowany wyścig człowieka z maszyną.

Nic więc dziwnego, że w Ameryce robotnik w wieku lat ponad 40 jest już niezdolny do pracy. Robotnik taki już nie jest do pracy przyjmowany. Na bramach wielu fabryk amerykańskich widnieje napis „We dont employ people over 40!” (Nie przyjmujemy ludzi w wieku ponad lat 40). W innych fabrykach nie przyjmują siwych lub nawet szpakowatych. Jak stwierdza Holitscher, robotnicy amerykańscy, aby ich przyjmowano do pracy, farbują włosy, a ci, których na to nie stać, używają do włosów poprostu... pasty do obuwia. Oto są skutki systemów, które obecnie kapitałiści chcą zastosować i w Polsce.

■ ■ ■

Dodatknie i ujemne strony taylorizmu omówił szczegółowo w swej książce („Nauczna organizacja truda i sistema Taylora“, Moskwa) O. A. Jermanskij, stwierdzając, że negatywna strona tego systemu niweczy dodatnie działanie, osiągniętych przez Taylora rezultatów pozytywnych. Jeszcze w roku 1918, a więc przed ukazaniem się raportu prof. Hoxie (1920), wystąpił Jermanskij z zasadniczą krytyką taylorizmu w broszurze p. n. „System Taylora“. Również na wniosek Jermanskiego Wszechrosyjska Konferencja w sprawie naukowej organizacji pracy (1921) przeciwstawiła się

tayloryzmowi, a hasło, wysunięte przez konferencję brzmiało „nie tayloryzm, lecz organizacja naukowa”.¹⁾

Jermanskij przeciwstawia się zasadniczo wszelkiej intensyfikacji pracy. Pod tym względem nie bierze pod uwagę potrzeb *okresu przejściowego*, w którym częściowa intensyfikacja pracy może stać się koniecznością. Nie mówiąc już o tem, że zmiana stosunku robotnika do narzędzi wytwarzania może spowodować również względną intensyfikację pracy. Robotnik, zdający sobie sprawę z tego, że nie pracuje już na kapitalistę, że sprawa zwiększenia produktywności jest kwestią rozbudowy społeczeństwa socjalistycznego, jest więc jego własną sprawą, będzie pracował usilniej, będzie wkładał w swoją pracę całego siebie, a więc praca jego będzie intensywniejszą.

Rozwijając pogląd Marksa na intensyfikację Jermanskij pisze: „Racjonalizacja, ulepszenia, wyższy poziom organizacyjny środków wytwarzania i sposobów pracy — oto źródło zwiększenia produktywności pracy człowieka współczesnego. Niezaradność techniczna, niedołęstwo i ograniczoność czasów minionych, jak również chciwa i rabunkowa eksploatacja „rąk” roboczych w czasach obecnych — oto źródło nadmiernej intensyfikacji pracy”.²⁾

W rozgraniczeniu tych dwóch dziedzin dalej jeszcze idzie Jastrzębski, wyodrębniając z dziedziny *organizacji produkcji* i przeciwstawiając jej do pewnego stopnia — organizację pracy. Książkę swoją Jastrzębski poświęcił wyłącznie zagadnieniu organizacji pracy fizycznej.³⁾

„Zadaniem naszym będzie — pisze Jastrzębski — nie konkretny plan organizacji pracy fizycznej, lecz *wytknięcie najogólniejszych i najnaturalniejszych warunków, w których wysiłki fizyczne płyną z największą łatwością*”.⁴⁾

Głównym momentem więc w dziedzinie organizacji pracy jest ułatwienie stawania się wysiłków fizycznych, a nie jaknajdalej idąca eksploatacja sił i zdrowia robotnika. Jak pisze w przedmowie prof. Krzywicki „pracownik przestał być przedmiotem doświadczeń, lecz stał się podmiotem”.

Zagadnieniem pierwszorzędnej wagi w dziedzinie organizacji pracy jest sprawa obciążenia racjonalnego (naturalnego, jak pisze Jastrzębski). Jak wiadomo człowiek nie jest w stanie wykonać więcej ruchów, niż mu na to pozwolą jego serce, płuca i t. d. Nie ulega kwestji, że zarówno zbytne przyspieszenie ruchów jak i ich zbytne zwolnienie powoduje wzrost zmęczenia. Istnieje więc jakaś średnia ilość w czasie i szybkości wysiłków fizycznych, zapewniająca maksimum wydajności, przy minimum zmęczenia. „Istnieje dążność do układania się szybkości wysiłków w takie normy, w których wysiłki te pod względem zużycowania energii dają optimum rezultatów na kilogramometr roboty”.³⁾

¹⁾ Książka Jermańskiego nie daje gotowego systemu organizacji naukowej, nie wykreśla nawet jej dróg i podsumowuje ona tylko to, czego dokonano w tej dziedzinie i na czem można się oprzeć w dalszej pracy nad zagadnieniem organizacji naukowej.

²⁾ W. Jastrzębski „Organizacja pracy fizycznej, wykonywanie wysiłków”. Warszawa 1926.

³⁾ Tamże str. 11.

⁴⁾ Tamże str. 16.

W tej dziedzinie zostały już przeprowadzone badania przez fizjologów (Chauveau i jego uczeń Laulanié), którzy ustalili optimum np. przy przenoszeniu ciężarów na pewną wysokość. Ustalono więc, na jaką wysokość może być wnoszony odpowiedni ciężar, tak, aby przy tym zużycie energii było jaknajmniejsze.

Z zagadnieniem obciążenia naturalnego wiąże się bezpośrednio kwestja rytmu w pracy. „Rytmiczny ustrój w pracy fizycznej faktycznie był, a przy wielu rodzajach pracy i dziś jest jedyną zasadą organizacyjną”¹⁾.

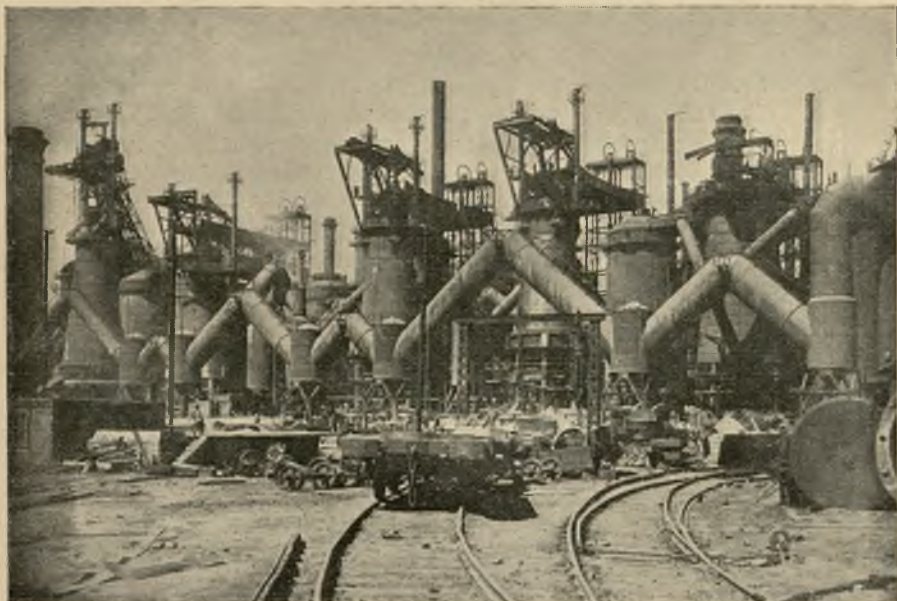
„Układ rytmiczny wysiłków fizycznych jest — według Jastrzębskiego — drugim z kolei naturalnym warunkiem organizacji pracy fizycznej”. Rytm sprawia, że praca przebiega z większą łatwością, gdyż w znacznym stopniu zostają odciążone ośrodki mózgowe.

„Szczególnie przyczynia się do tego prawidłowe powtarzanie się, prawidłowy rytm wysiłków człowieka, ułatwiający ponowne powstawanie w organizmie reakcyj typowych, które nie wymagają wtedy specjalnych bodźców i impulsów ze strony ośrodków mózgowych”²⁾.

Rytm w znacznym stopniu osłabia monotonię pracy zautomatyzowanej. „Męczącą staje się — powiada Bücher — tylko taka jednostajność pracy, której nie można nadać charakteru rytmicznego i która wymaga

¹⁾ Jastrzębski str. 51.

²⁾ Jermanskij str. 316.



przy każdym nowym wysiłku wciąż nowego, choć zawsze jednakowego działania naszej woli").

Czy jednak rytm w pracy można zastosować wszędzie?

Oto jak odpowiada na to pytanie Jastrzębski: „uczeni organizatorzy pracy, dodajmy „cudzej“, uważają za rzecz zupełnie naturalną, że na jedne sposoby pracy „maszyna“ pozwala, a na inne nie pozwala. Nas jednak nie obowiązuje to rozumowanie, które, dyktując robotnikowi tempo oddechu, szybkość bicia serca, rozkazuje mu popędzać naturalne napięcie przebiegów fizjologicznych wstrzykiwaniem do organizmu arszeniku. Takich wymagań nie stawiał robotnikowi nikt jeszcze. Twierdzimy, że maszyna ich nie stawia.“

Jeżeli chodzi o zagadnienie rytmu tonicznego, to nie odgrywa ono tej roli, jaką odgrywać powinno. W zaraniu dziejów rytm toniczny był naczelną zasadą organizacyjną. I dziś jeszcze istnieją pieśni pracy a np. w Japoni są w użyciu nawet specjalne instrumenty muzyczne, stosowane przy pracy.¹⁾

Znaną jest rzeczą, że pewne tonacje i zespoły tonów działają uspakajająco, inne podniecająco, i t. d.²⁾ W tej dziedzinie ciekawe są doświadczenia niektórych fizjologów (m. in. dr. Spirtowa). Przy doświadczeniu na ergografie A. Mosso praca palca, aż do zmęczenia, wynosiła przy pełnej kwinie (la-mi) 112 kilogramometrów i tylko 7 kilogramometrów przy kwinie zmniejszonej (la-mi z bemolem).

Trzecim ważnym czynnikiem organizacji pracy jest t. zw. holownictwo, które, jak powiada Jastrzębski, „objektywizuje możliwość stawiania się wysiłków fizycznych w sumie i w czasie“. Holownictwo napotykamy wszędzie tam, gdzie istnieje ustalony, niczem niezamącony, rytm pracy i najczęściej łączy się z pieśnią (np. u żniwiarzy, kosiarzy, burłaków i t. p.). Do nowych odmian hodownictwa należy stawianie między robotnikami, pracującymi na dniówkę, robotnika, pracującego na akord, lub wogóle stawianie na czele zespołu robotnika, najlepiej w danej pracy wyćwiczonego. Odmianą holownictwa jest również ząbienie się nawzajem wysiłków fizycznych, które tworzą wówczas nieprzerwany łańcuch.

Holownictwo ma ogromne znaczenie. „Znaczenie to — pisze Jastrzębski — wynika z obiektywności samego toku produkcji: „tak pracuje zespół ludzi i maszyn, a więc tak pracować możesz i ty“.

Jednym z ważnych momentów jest zorganizowanie w odpowiedni sposób środowiska pracy. Trzeba, aby fabryki imponowały nie tylko swoim ogromem, ale i celowością oraz wygodą urządzeń, nie tylko nagromadzeniem maszyn, ale i ich racjonalnym ustawieniem.

„Należy nawsze pamiętać o bardzo głębokim poglądzie, wypowiedzianym przez Marksa, że środki wytwarzania mają o wiele większe znaczenie od rzeczy wytworzonych. Wszystkich, oddających się przemysłowi uderza zbytek, z jakim buduje się dziś wielkie maszyny. Dąży się do tego, aby miały one coś więcej niż samą tylko trwałość; uważamy za ko-

¹⁾ „Łowy, ryżobranie, trud na morzu, w ogrodach i hutach, budowa domów, liczenie towaru lub pieniędzy — wszystko to łączy się z pieśnią, sprężystymi ruchami i tańcem“ pisze S. Łubiński. (Muzyka Nr. 5).

²⁾ Wiedzieli już o tem starożytni. Stosowanie gamy w górę, jako podniecającej i niepokojącej było zakazane w starożytnej Grecji.

nieczne nadawać im przestronność, piękne proporcje i dostojęństwo; otaczamy ją taką miłością, jaką starożytni otaczali swe świątynie".¹⁾

Fabryka, jako środowisko pracy, powinna ułatwiać stawanie się wysiłków fizycznych, jak przypuścmy odpowiednie urządzenie szkoły ułatwia naukę. Pozatem jednak konieczna jest możliwie największa izolacja środowiska wysiłków fizycznych od świata zewnętrznego.

Wraz z coraz dalej idącym podziałem pracy, wraz z mechanizacją i automatyzacją wysiłków fizycznych idzie w parze „zmaszynizowanie” całego naszego życia. Praca fizyczna zostaje rozłożona na szereg elementów najprostszyc, pracę umysłową coraz częściej zastępuje maszyna. Opisuając jeden z wydziałów współczesnego urzędu statystycznego, gdzie wszyscy posługują się maszynami, Jastrzębski wskazuje „jak daleko zaszliśmy w kierunku zastąpienia wykwalifikowanej, prostą pracą fizyczną”.

Rozłożenie procesu wytwarzania na elementy najprostsze ułatwi zrozumienie i objęcie całokształtu produkcji. Fabryka stanie się miejscem nauczania, gdyż przejrzystość przebiegu produkcji szkolić będzie skuteczniej, niż wykłady teoretyczne.

„Najmici, uwolnienie przez maszyny od długiej nauki zawodowej i nadmiernego dnia roboczego, zabijającego wszelką energję życiową, skierowują swe siły na rozwój umysłowy. Obznajmiony z mechaniką wytwórca będzie mógł zajmować się w różnych gałęziach przemysłu t. j. potrafi obchodzić się z różnemi maszynami. Pozostanie tym samym robotnikiem, lecz strona techniczna i naukowa produkcji przestanie mu być obcą. nie będzie ona już monopolem tak zwanej „arystokracji ducha”.²⁾

Naukową organizację pracy może przeprowadzić tylko właściwy wytwórca-robotnik. Wprowadzie prof. Hoxie domaga się dopuszczenia do zarządu fabryką także przedstawicieli robotników, jak to, według niego, dzieje się w państwie demokratycznym, ale są to rzeczy nieziszczalne. Panowanie kapitału będzie zawsze jego dyktaturą w przemyśle.

Dopiero wtedy, kiedy narzędzia wytwarzania, stają się niepodzielną własnością robotników rozebrzmieć może hasło „wszystko dla produkcji!": Proces wytwarzania stanie się dla robotnika, że powtórzymy słowa Marksa, „grą jego własnych sił duchowych i cielesnych”.

¹⁾ Sorel „O sztuce, religji i filozofji” str. 39.

²⁾ Lafargue „Praca umysłowa wobec maszyny”. Str. 72.

I

Kręciły się dnie
 wrzeczona omotane gniewem
 kręciły się rosły puchły w tygodnie
 kręcili się ludzie pod ciężkiem niebem
 kręcili się w ranki chłodne
 kręcili się ludzie pod fabrykami
 gubili oczy w szarych milczących oknach
 fabryka
 zimny na drogę rzucony kamień
 kręcili się ludzie
 deszcz
 moko
 dnie kręciły się kwaśne
 ocet
 suche
 chleb
 i chleba suchego nie stało!
 głód wpijał się w ciało
 osy
 kłutł żądlami ostre osłabłe ciało
 zasuwały się szczęki wokół żałości
 rygle
 byle przetrwać byle przetrwać godziny
 krople ołowiu ciekące w tygle
 dni
 byle zdradzie nie dać wyrość kąkołem
 byle się nie ukorzyć
 choćby paść!
 a w walce —
 zbierali na opał wióry przegniłych polan
 zaciskali wychudłe palce.

II

Sześć tygodni sześć tygodni czekali
 czekali —
 Zagłębie! Śląsk!
 cały kraj!
 czekali —
 wszędzie się rozpali!
 wygramy wygramy strajk!
 ale w hutach na Śląsku piece nie pogasły!

z Zagłębia
 węgiel
 szedł!
u Szajblera
 z dwóch
 na cztery krosna!
a głód
 piekł
A przy zielonym stole tymczasem
głowami ich
 grali kartami!
wszystkie atuty z czerwonym asem
sprzedali!
sami zostali bezsilni sami
wróca
 jeńcy
 do ciemnych fabryk
będą rzygać w niebo dymami
smolić pola zielone łubin chabry —

III

Sami?
 200 głów
 400 rąk!
a obok
 a wokół
 200 do n — tej!
Przegrana?
 Nieprawda!
 Przerwany chwilowo prąd!
naprawić kontakty! świeże elementy!
niech motor warczy! niech maszyna łka!
niech się pod ręką waszą gnie!
bo przyjdzie czas
 wśród dnia
białego
 krzykniecie:
 Nie!
staniecie jeden z drugim chłop
maszynom krótki rozkaz:
 stop!
słyszycie?
 krzyczy kraj:
trwa
 Strajk!

ROTE FRONT ■ ■ ■ ■ ■

STANISŁAW JERSZYNA

Wszystkie wichry nam dały skrzydła do naszych stóp!
Drapieżnym orłom wydarlim żar roziskrzonych oczu!
pokornie przywarł do ziemi, spłaszczył się trwożny bruk,
gdy rwącą strugą bez końca bojowy huf nasz kroczył.

Z niesmakiem skrzywił się w grobie wytworny, boski Goethe,
najświętsze prochy cesarzy szarpnął odrazy wstrząs.
A zdala — na wygnaniu — z skulonym grzbietem —
Wilhelm dłonie pieszczono w bezsilnym gniewie kasał.

Z drogi!
hełmy o ziemię!
strojna hołoto do ścian!!
Zmiecie was, zmiecie powódź czerwieni
z otwartych Europy płynąca ran!!

Na widok Sztandaru z Pięścią skurczył się Berlin i zbłądł
rzekłbyś — gdzieś się dopala pod światem miny lont —
Groza — — —
i w miljon grzbietów bólem i strachem smagnął bat
krzyku z ust miljona:
es lebe! die rote Front!

Dość balansowań po sznurze hipotez,
tępych zapatrzeń w dno kielicha myśli!
Pieśń swoją zewrzyj w twardej pięści protest
i woli białym reflektorem błysnij!

Dosyć nakradłeś barw, złodzieju zręczny —
by złożyć w stu kolorach emalję wierszy — dzwonków.
Dziś czarny ziemi chleb brunatną krwią napęczniał,
na sąd nas wzywa grzmot armatnich strzałów gongu.

Spęłzły tragedij noce kirami wyklejane,
prysły cacka sonetów z porcelany z Sèvres.
Wszyscy Hamleci dziś — pójda pod ścianę!
lub ozdobią rosochate ramiona drzew.

Słyszysz? w gajach Böcklina rozległ się bębnow werbel...
To nie błędni rycerze w białych krzyżach i w czerni.
Idą w szarych mundurach, czerwień kokard ich herbem,
przed nimi olbrzym z dymów salwami kroczy: październik.

Hej, towarzysze, w szeregi! majstrowie barw i dźwięków!
w straszliwą burzę podnieście bandery wzwyż, na maszt!
W ostrym rytmie maszynek, w bagnietów naszych szczęku
dzika poezjo walki — przedziwnie grasz!

(Na Zjazd Rot-Frontkämpferbundu, w Berlinie 1928).

Z TEKI POŚMIERTNEJ MIECZYŚŁAWA SZCZUKI

W dniu 13 sierpnia r. b. upływa rok od chwili tragicznej śmierci redaktora „Dźwigni”, tow. Mieczysława Szczuki. Niżej podajemy wyjątek z zapisek tatarniczych tow. Szczuki. Zwracamy uwagę na wartości plastyczne prozy opisowej przedwcześnie zmarłego artysty.

Redakcja

13 VIII 26 r.

Mnóstwo wspomnień ciśnie się — każde, z osobna brane, bogate i wrażeń potężnych pełne — razem zebrane — mało ich. Więcej — dużo więcej chciałoby się ich mieć. Głód wrażeń i przeżyć ubogą przedstawia ich sumę; — tatarnik w obliczu *swych* gór jest nienasycony. Gdy myślą cofnę się wstecz — do mroźnej nocy przy wiatrze w lesie — do noclegu na majaku ściany — do widzianego na morzu mgieł widma Brokenu — do niefrasobliwych zabaw kozic, zawidzianych przezemnie na ścianach Hrubego — tłoczą się inne i inne wspomnienia różnorodne i nieprzebrane w swem bogactwie wrażeń. = Czy będzie to gruchot i wycie potwornej lawiny kamiennej, wałacej się nad głową z niebotycznych ścian, czy groza ponura grzmotu dalekiego, który wstrząsał naprężonemi do ostateczności nerwami, w zawrotnej wspinaczce na ścianie Zamarłej Turni, — czy nieubłagane kleszcze zimna wysysające siły i życie w kurniawie tatrzańskiej, — gdy senność krępowwała ruchy, a za sennością szła śmierć cicho i nieodwołalnie.

— Krąży orzeł wokoło samolotu — trzech ludzi przylepionych do ściany Małej Buczynowej Turni śledzi w zachwycie ich poruszenia — falujące, swobodnie — i samolot i orzeł i ludzie, zanurzeni w przestrzenie mgławej i nasłonecznionej, pozostają, niczem niezastąpionem w swej oryginalności i pięknie, wspomnieniem — równie dziwnem choć różnem od widoku ośnieżonej Fatry, widzianej w pełnem świetle księżyca ze szczytu Wielkiego Wierchu, gdy noc na nim zaskoczyła mnie.

Z wielu wspomnień wryło się w pamięć zwłaszcza jedno — poszukiwanie zaginionego i wyprawa Pogotowia Ratunkowego.

Rok temu — dn. 10/VII (dzisiaj jak i wtedy był piątek) spadł człowiek z Małego Koziego Wierchu. Spadł w żleb stromy i ponury, żłobiący płn. ścianę — zginął — czy żyje jeszcze? Ranny może — należy pomoc mu dać lub ciało znaleźć.

W godzinę po wypadku we czterech byliśmy już pod ścianą Małego Koziego. Wiążemy się linami po dwóch i możliwie szybko staramy się przejść odpeknięciami między ścianą, a śniegiem wylot ośnieżonego żlebu.

W czarną — mokrą jego czeluść zagłębiamy się coraz to wyżej i wyżej — aż wreszcie oślizgły, przewieszony próg zagradza dalszą nam drogę. Trudnawym zachodzikiem wymijamy w lewo, pełznąc na brzuchu, po-

pod dolnymi urwiskami ściany, i na długość 2 — 3 lin łatwym terenem po nikłym żebrze bocznym w górę. Tolo i Staszek trawersują od tego miejsca poziomo w lewo do sąsiedniego ramienia żlebu, ja z Jerzym pniemy się w lewo skos ku górze po terenie kruchym i niepewnym. Teren staje się stopniowo trudniejszy. Gdy brałem pionowe kruche i niebezpieczne ścianki i stanąłem popod następny pierścieniem ścianek, usłyszałem gromkie wołanie: „Jest — Jest!!!” Iskra elektryczna przebiegła po grzbiecie: jest — żyje czy zabity, — ruchy powolnieją — coś nieoczekiwanego i groźnego zastąpiło drogę, tragedia ludzka tuż obok nas; teraz jeszcze zagadka za chwilę dotkniemy się jej — „Jeeest — miazga!” dochodzi głos — wzdrygnąłem się — gdzieś obok nas człowiek zabity. — — — — — „Chodźcieeee — !! Do naaaas — !” wołanie. Należy wycofać się, lub podejść wyżej i trawersować — robimy jedno i drugie, lawirując między ściankami — trawkami i po kruchych gzymsach i zachodzikach kierujemy się w lewo do żebra, ograniczającego lewą (orograficznie) stronę żlebu, w którym leży trup. Obejrzałem się za siebie — w dół — nad Zmarzłym Stawem galerja speszonych turystów zbита w grupki, zafrasowana — lornetują ścianę i coś krzyczą — — — — —
— — — — — puszcza Jurka na linie do żlebu — zginał mi z pod nóg — chwila oczekiwania lina pełźnie wolniutko po bloku, zatrzymuje się — „Czy już,” — lina rusza się, chrobocze po ściance — cichy szmer osuwających się kamiuszczków — stanęła — cisza — „Czy już?” — „Wolno iść — dolatuje z pod nóg odpowiedź — obmacuję rękami niepewny blok, zarzucam linę na niego, ujmuję ją mocno i — wychylam się: nade mną czarne urwiska ściany, pod nogami próżnia — olbrzymy żleb ponury, czarny, makry rwie w dół i ginie poza podciętemi progami, — wyskoczył gdzieś nad głową, mignął płątami śniegu, zagadał szmerem sączącej się wody i przepadł. Zjeżdżam 2 — 3 metry, przystanąłem na malutkim wysterku — spojrzałem pod nogi — baczę — którędy teraz? Wzrok jak wywiadowca przebiegł kolisko płytowego dna i bocznych żeber koryta, do którego mam zjechać — — przebiegł i zamarł w osłupieniu, ręce silniej — kurczowo ścisnęły linę = ujrzał: po mokrych płytach, po czarnych ściankach, po wielkim języku śnieżnym = smugi krwi i platy krwawej piany — od dołu do góry, żleb krwią obryzgany; zasłabłem na chwilę — coś wielce przykrego i ponurego uderzyło we mnie = krew zabitego człowieka, który jeszcze rano jadł obok mnie śniadanie w schronisku, który spał pod tym samym dachem, a który teraz krwią swoją poplamiał koryto ośnieżone mrocznego żlebu, który drobiazgi toaletowe zostawił na mokrych płytach — porozrzucane — zmoczone — skrzwawione, gdy wbił się z wielkiej wysokości głową w dół — w ostatniej swej śmiertelnej wędrówce. —

— — — uderzyłem nogami o dno żlebu, stanąłem w nim. We czwórkę zebraliśmy się pod progiem pionowym = szukamy trupa, które-

go nigdzie znaleźć nie możemy. Tolo wgląda wreszcie wyżej pod śniegiem. „Jest”, — — odsunąłem się i odwróciłem. Tolo i Staszek wyciągają ciało = „Tył głowy rozbity” = słyszę głos —

„Wracajmy” mówię — „Zaraz tylko go wyciągniemy” — „A może ściągniemy w dół?” Protestuję — nie mam nerwów do tego, zresztą egoizm — małostkowość może — — nie chcę szarpać i brudzić krwią lin — „Może tu leżeć — nie spieszy Mu się — Pogotowie zabierze Go sobie” — Argument wystarczający — schodzimy — — — —

— — — — —

Po południu deszcz. Pogotowie nie mogło dotrzeć do ciała — mrok zaskoczył ich w skałach — — wracali po nocy. Rano mają iść znowu —

— — — — —

Rozpłakał się beznadziejną siępawicą nad Tatrami poranek następnego dnia, zginęły turnie w powodzi mgieł i dżdzu. Od 5-ej tłuczemy się z Pogotowiem około schroniska, czekając na polepszenie się pogody. Próżne oczekiwania. Pluta wzmagą się. Około 8-ej ruszamy. Pod ścianą Małego Koziego znajdujemy szczątki młodego orła — w żlebie kąpiel w siklawach wody i grad kamieni. Ciężka jest praca, znoszenie zaszytego w worki trupa. Schodzę ostatni; pod progiem zaklinowałem się: trzymam liny — dwie od ludzi żywych i jedną od trupa. Zaparty nogami i plecami przepuszczam mokre ich zwoje w rękach, za kołnierz leje się mi niteczka zimnej wody i pełznąć wzdłuż grzbietu i nóg wylewa się przez buty — dobrze było. Puszczamy ciało po śniegach; oparłem się o piargi. Niesiemy je na bambusie — miłe sąsiedztwo zniekształconej twarzy umarłego, która wyziera z poza podartego płótna i sąsiaduje tuż tuż obok mojej. Późno już było, gdy złożyliśmy ciało pod schroniskiem. Nieludzko zmęczeniu i wygłodniali wступujemy w buchające ciepłem i suchością jego wnętrze.

P. S. Zabity nazywał się Skowron, student Un. Jagiell.



Kwietniowy zeszyt berlińskiego „Sturmu” poświęcony został omówieniu prac i działalności artystycznej Mieczysława Szczuki. Obok licznych reprodukcji prac naszego zmarłego towarzysza znajdujemy tam przedruk jego artykułu o architekturze oraz wspomnienie biograficzne pióra Herwartha Waldena.

Również moskiewska „Sowremiennaja architektura” wydała w roku bieżącym numer, omawiający prace Szczuki.

Aleksander Świętochowski. Historia chłopów polskich w zarysie T. II. W Polsce podległej.

Drugim tomem Świętochowski kończy swoją historję chłopów polskich. Nasuwa się pytanie — w jakim stopniu jest to historia chłopów? Otóż trzeba stwierdzić, że Świętochowski nietylko, że niema przygotowania społecznego niezbędnego do pisania historii klasy — ale niema również pewnego elementarnego zrozumienia kwestyj społecznych jakie się spotyka u lepszych współczesnych autorów burżuazyjnych. Dziś nie są to rzeczy nadzwyczajne — jakie takie rozumienie stosunków klasowych, uwzględnienie walk klasowych spotyka się dość często. Świętochowski zaś pisze tak prawie, jak się pisało kiedyś, w czasach przedlelewelskich. Obrusza się osobiście na rzeczy, które go oburzają, pieni się na widok ucisku chłopu, to znów broni szlachty, ma, albo zdaje mu się, że ma, najlepsze serce dla chłopów — ale właściwie zdaje się nie rozumieć o co idzie — niema nawet próby głębszego wyjaśnienia istoty zjawisk.

Rozbrajającym poprostu dowodem, jak autor „Historji chłopów polskich” rozumie swoje zadanie — jest jego tłumaczenie się na wstępie do II tomu, że za dużo daje przytoczeń z literatury i... „obliczeń gospodarczych”. A tych obliczeń właśnie jest za mało. Dobrze określają cele pracy następujące słowa z owego wstępu: „Wydawało mi się pożądanem możliwie najdokładniejsze przedstawienie opinii sfer inteligentnych, wpływowych i rządzących w przyszłości, leżącej poza granicami pamięci pokoleń obecnie żyjących, zwłaszcza, że ta opinja stanowi ważną część historii chłopów polskich”. Właśnie drugi tom historii Świętochowskiego stanowi w ogromnej mierze przedstawienie opinii tych sfer. — Poza tem jest kompilacja materiału mniej lub więcej ciekawego, ale dającą bardzo słabe pojęcie i bardzo przypadkowe o losach chłopów polskich w XIX w.

Przedewszystkiem autor zupełnie nie analizuje całokształtu stosunków ekonomicznych i ewolucji, której one przez cały okres omawiany podlegały — nie rozpatruje też odmienności w rozwoju poszczególnych państw zaborczych, w których znalazły się polskie dzielnice. To też wymknął się autorowi zupełnie istotny sens, łagodzących pańszczyznę, rozporządzeń austriackich i pruskich z końca XVIII w. — zestawia je czysto mechanicznie. Tak samo niewyjaśniony prawie pozostaje skutek reform napoleońskich — ujętych znowu poza rozwojem ekonomicznym. Nie wyjawia się, dlaczego szlachcie polskiej, po pierwszym okresie niezadowolenia, tak bardzo podobał się kodeks napoleoński i dlaczego broniła go ona z takim uporem.

Autor półgębkiem jedynie wspomina o przejściu z trójpółowki na płodozmian oraz intensyfikacji rolnictwa z tem związanej — sprawy takie prawdopodobnie nie uważa za należące do historii chłopów. A przecież kwestje te miały znaczenie zasadnicze.

Naturalnie niema mowy o jakimkolwiek zróżnicowaniu chłopstwa, przed lub po uwolnieniu, o przedstawieniu przemian zewnętrznej struktury wsi bardzo nawet ciekawych, pauperyzacji chłopstwa po wejściu w tryby gospodarki kapitalistycznej i t. d.

Ze sposobów załatwienia kwestji chłopskiej na ziemiach polskich auto-

rowi najlepiej się podoba pruska regulacja z r. 1823 nb. silnie faworyzująca powstanie bogatego chłopstwa. Pozatem wypisuje on oderwane wypadki filantropji szlacheckiej, jak np. historję gospodarczego filantropa Brzostowskiego, właściciela dóbr Sztabin. Ale opowiadając obszernie jak Brzostowski, odziedziczywszy zapuszczony i zniszczony majątek, podnosi go na wysoki poziom — autor tylko mimochodem wspomina, że rząd właśnie rozpoczął kopać kanał augustowski. Budowa śluz potrzebowała odlewów żelaznych i Brzostowski mógł otworzyć hutę. Olbrzymią rolę odgrywała tu więc, jak w wielu klasycznych wypadkach filantropji — poprostu konjunktura. Brzostowski nie mógł wcale stanowić przykładu dla przeciętnego dziedzica ówczesnego, bo przecież nie każdy mógł budować u siebie w majątku huty, zakładać „fabryki miodu, porteru, araku, wódki, piwa”. A na tem opierało się powodzenie Brzostowskiego.

Zresztą, tam gdzie autor przechodzi do charakteryzowania właściwej polityki szlacheckiej — bywa nieraz bardzo ostry. Z prawdziwym jadem scharakteryzowane są zwłaszcza rządy oświatowe stańczykierji galicyjskiej. Dziś zwłaszcza wobec niezmiernie szybkiego odegrania się tej stańczykierji oraz jej decydujących wpływów — te rzeczy wyglądają wprost na ostre przypomnienia.

Charakterystyczny rys Świętochowskiego stanowi nienawiść do biurokracji oraz stronnictw ludowych, żerujących na chłopie. Tu jednak autor wikała się w sprzecznościach. W Świętochowskim widać typowego przedstawiciela dawnej burżuazji królewickiej, wychowanej w okresie powstaniowym w jednakiej nienawiści i pogardzie do polityki i spraw rządu. Obecna sanacja wykorzystuje te antypolityczne nastroje — stąd pewien paralelizm Świętochowskiego do propagandy sanacji — pomimo, że jest on najczęściej konfiskowanym publicystą endeckim.

Niezawodnie dwutomowe dzieło Świętochowskiego ma pewną wartość jako popularna kompilacja materiałów, dekretów, opinji — nie daje jednak tego, co zapowiada. Historia chłopów polskich nie jest napisana.

Dr. Mieczysław Szawleski. Polska na tle gospodarki światowej.

Książka ta, jak się okazuje z przedmowy p. Młynarskiego, wicedyrektora Banku Polskiego, przedmowy króciutkiej, ale napisanej niesłychanie zawiłym i niestarannym językiem — powstała z inicjatywy władz Banku. Pan Młynarski jakgdyby zastrzega się przeciw pomówieniu wydawnictwa o półurzędowość, i pisze, że pozostawił autorowi wolną rękę w doborze materiałów i wyprowadzeniu wniosków. Autor zgóry zresztą zaznacza, że książka jego ma stanowić jeden z przyczynków do programu gospodarczego, jeszcze nic nieskonkretyzowanego, ale który kiedyś ma się skonkretyzować.

Praca p. Szawleskiego rozbita jest na siedem rozdziałów, w których autor rozpatruje najważniejsze zagadnienia społeczno - gospodarcze: jak „Ludność”, „Rolnictwo i surowce przemysłowe”, „Przemysł i handel międzynarodowy” i t. d. Autor rozpatruje stan omawianego zagadnienia w największych państwach światowych i zarazem wspomina o Polsce, dość mechanicznie i krótko, z czego uważa się zresztą za stosowne usprawiedliwiać.

W tych wszystkich wywodach czerwoną nicią przechodzi przeciwstawienie wyczerpanej, dekadencjonalnej, „starej” Europy, uderzanej zarówno od strony nowego kapitalizmu amerykańskiego, jak budzących się z wielowiekowej drzemki i zastoju „kolorowych” narodów kolonialnych.

Najciekawsze są i najwięcej ogólnych wniosków zawierają poza rozdziałem „Praca” — dwa ostatnie rozdziały „Kapitał” oraz „Nowy świat”, gdzie wyprowadza się wnioski. Przesuwanie się światowego zapasu złota z Europy nad brzegi Pacyfiku, upadek kapitalizmu europejskiego jako bankiera i przemysłowca światowego ilustruje autor całym szeregiem cyfr i wywodów. Dość starannie przeprowadzona została analiza walki konkurencyjnej między Stanami Zjednoczonymi a Anglią — i coraz silniejsze spychanie Anglii wstecz. Ukryta zawziętość tej walki i jej jawnie beznadziejny dla Anglii charakter uzasadnia p. Szawleski przytoczeniem sporego materiału cyfrowego.

Ameryka korzysta już tu w znacznej mierze poprostu z rozprężenia kapitału europejskiego, świadczy o tem równoległy do przypływu kapitałów amerykańskich do Europy — fakt odpływu rodzimego kapitału europejskiego do Stanów Zjednoczonych. Odpływ ten zwiększa się z każdym nowym pogorszeniem się stanu rzeczy w gospodarce kapitalistycznych państw Europy.

„Według obliczeń Departamentu Handlu w Waszyngtonie cudzoziemskie lokaty różnych typów w Stanach pod koniec 1926 r. wynosiły 3.3 miljarda dolarów. Powyższe lokaty są pochodzenia głównie europejskiego, a po części kanadyjskiego i południowo-amerykańskiego. W szczególności należności banków emisyjnych, głównie Europy, w końcu marca 1927 r. wynosiły przeszło 1 miliard dolarów. Europa zaciąga zatem uciążliwe pożyczki w Ameryce, lecz wpływy pożyczkowe pozostawia na małym oprocentowaniu na miejscu, co świadczy o głębokiej zależności od wierzyciela amerykańskiego i wyjaśnia przyczynę, dlaczego mimo strumienia kredytów, złoto nie może odpłynąć do Europy”.

Te kwestie stopniowego podporządkowywania się kapitalizmu europejskiego woli mocniejszego krewnego z za oceanu oraz upadku angielskiej hegemonii finansowej, p. Szawleski oświetla dość wyczerpująco. Wnioski jego przytem brzmią bardzo pesymistycznie. Wewnętrzne rozbicie, rozprężenie kapitalizmu uwydatnia się zwłaszcza przez rozwój nowych form gospodarczych Z. S. R. R.. O Związku autor wyraża się naogół dosyć ostrożnie, stwierdzając, że walka Unii Sowieckiej z imperjalizmem angielskim, tworzyć będzie „na daleką jeszcze przyszłość oś, koło której wiele problemów politycznych i gospodarczych obracać się będzie”. Dalej zaś p. Szawleski pisze:

„Na podstawie dokonanej analizy nie można odmówić bolszewizmowi, poza czynnikami destrukcyjnymi, pierwiastków twórczych. Przetrwał wiele momentów niebezpiecznych, zmontował na nowo produkcję i utrwalił się przy władzy na długie lata wobec braku czynników, które mogłyby go zastąpić. W porównaniu z caratem dba więcej o dobrobyt mas, może lepiej trafić do ich psychiki. Posiada duży impet i śmiałość, podnosząc tempo aktywności u apatycznego naogół Rosjanina” (str. 382).

Jako ciekawe zestawienie można tu przytoczyć opinię autora o sytuacji klasy robotniczej Europy. Autor wyraźnie stwierdza tu straszliwe cofnięcie się wstecz.

„Obecna sytuacja przypomina w pewnej mierze położenie warstwy robotniczej z początkiem wieku XIX”, kiedy to „po wojnach napoleońskich nędza w Anglii była tak silna, że np. 1821 r. na 6 osób jedna była notowana jako nędzarz (pauper)”. „Współczesna robotnicza armia rezerwowa, która przed wojną stanowiła niezbędny zapas do zadośćuczynienia wzmożonym potrzebom wytwórczości, wzrosła do katastrofalnego rozmiaru, ztracając rolę przedwojenną”. A dalej: „Powstaje w Europie typ nędzarza, przypominający prototyp angielskiego „pauper” z początku XIX w.” Ale: „Gdy wówczas rewolucja przemysłowa przyniosła zjawisko bezrobocia, to współcześnie zmiany w tętnie gospodarki światowej to zjawisko zaostarzają” (str. 237).

Ażeby jakoś ominąć podstawową trudność wyraźnego przeciwstawienia kapitalizmu i komunizmu, autor zamiast otwarcie mówić o tem przeciwstawieniu — stara się rozbić świat kapitalistyczny na trzy działy: neokapitalizm europejski, superkapitalizm amerykański i faszyzm (!). Naturalnie ten zregionalizowany podział jest zupełnie dowolny i fikcyjny. W rezultacie sam p. Szawleski powiada: „Na widownię dziejową świata z całą potęgą wysuwają się dwa bieguny rozpędowe, dwa ogniska światoburcze: superkapitalizm amerykański i komunizm sowiecki... Na razie obie potęgi, walcząc o duszę świata, nie mają wiele punktów tarcia. Buforowem państwem jest imperjum angielskie, które amerykańizm podrywa gospodarczo, a bolszewizm ideowo. Dopiero na gruzach imperjum brytyjskiego te dwa światopoglądy (!) zetkną się bezpośrednio”, co według autora „jest kwestją dalekiej jeszcze przyszłości”.

Ale zarazem autor bardzo wymowne stronicę poświęca zarysowywaniu się gmachu owego słynnego dobrobytu amerykańskiego, w znacznej mierze, mającego charakter fatamorgana, zbliżającemu się krachowi owej legendarnej „prosperity”, który właśnie na początku 1928 r. rozprysnął się po świecie wieściami o 4 czy nawet 6 milionach bezrobotnych w Stanach Zjednoczonych.

Tak więc widoki, jakie autor rysuje przed kapitalizmem światowym, są dość ponure — nie lepsze są widoki dla kapitalizmu polskiego. Perspektywy produkcji przemysłowej i rolnej, bilans handlowy, polityka ludnościowa i emigracyjna nasuwają p. Szawleskiemu „horoskopy mało pomyślne” jak sam mówi.

Jako środek zaradczy autor wysuwa potrzebę silnej władzy. „Polska musi mieć komendę niezwykle silną”, nawołuje do aktywnej polityki morskiej i bardzo półgębkiem do... neomaltuzjanizmu. Od czasu do czasu to zachmurzone niebo nad polskim kapitalizmem rozświecła się błyskami urzędowego optymizmu. Zdobywa się on wtedy na taką pociechę (co wcześniej jeszcze mówił Dmowski): „Wśród powojennej dekadencji Europy przyszłość należy do krajów więcej przyzwyczajonych do biedy, jak Italia i Polska”. Jeżeli to przyzwyczajenie do biedy, przyzwyczajenie mas ludowych do pustego żołądka i nagiego grzbietu, ma być zadatkiem na przyszłość i obok faszystowskiego kija jedyną obroną przed ogólną dekadencją kapitalizmu, to chyba trudno znaleźć lepszy dowód istotnej dekadencji, istotnego rozkładu samego ustroju i rozstroju w głowach jego obrońców, którzy te mądre idee propagują.

TEATR POLSKI: BROADWAY

„Broadway”, produkt „zracjonalizowany” pracy Ph. Druminga i G. Abbota, dwóch studentów amerykańskich „teatralnego seminarjum Nr. 47” — to poprostu dobrze zmajstrowany i doskonale przystosowany do warunków światowej konsumpcji widowiskowej melodramat kryminalno-sensacyjny. Tani fabrykat do powszechnego użytku — jak fordowski „model T”, jak brzytewki „Gillette” (naturalnie z zastrzeżeniem pożytku socjalnego). Te same walory, które zapewniły standaryzowanym wyrobom przemysłu amerykańskiego zdobycie rynku globalnego, sprawiły, że „Broadway” z Nowego Yorku, przez Frisko i Honolulu, dotarł do Londynu i Berlina, a stamtąd do Warszawy, wszędzie robiąc kasę. Publiczność większych miast wali tłumnie na tę banalną skądinąd sztukę. Lecz publiczność zawsze ma słuszość — nawet wówczas, gdy jej nie ma. W ustroju burżuazyjnym powodzenie utworu reguluje ekonomiczne prawo podaży i popytu. Gdy sztuka (lub książka) ma powodzenie u „szerokiej” publiczności — świadczy to o dobrze wykonanym „obstalunku społecznym”, przystosowanym do koniunktury rynku. Autorzy „Broadway'u” wywiązali się należycie z przyjętych na się zobowiązań: dali standaryzowanej przez światowy rozwój kapitalizmu publiczności wielkomiejskiej — standaryzowany fabrykat teatralny. Model T, wykonany według zasad fordowskiej zracjonalizowanej produkcji masowej: dostępność — względna trwałość — taniść.

Amerykanizacja sztuki postępuje szybko naprzód. Po ekspansji ekonomicznej, po uzależnieniu Europy od U. S. A. drogą pożyczek — zdobyła Ameryka rynek filmowy. Obecnie zdobywa teatr. W spóźnionej gospodarczo Polsce w ciągu ostatniego półrocza lepsze teatry polskie dają raz po raz: „Pociąg - widmo”, „Nieuchwytny”, „Broadway”.... Ta ostatnia sztuka, ciesząca się największym powodzeniem, wyróżnia się jakością roboty. Nic tu nie pozostawiono przypadkowości „natchnienia”. Wszystko w „Broadway'u” — począwszy od pomysłu i skończywszy na naoliwionych w miarę „literaturę” dialogach standaryzowanych *dramatis personae* — zostało poddane skrupulatnym obliczeniom. Części składowe fabrykatu są liche, ale — jak w fordowskim samochodzie modelu T — zrobione z materiału, którego wytrzymałość wypróbowano i wykorzystano w racjonalnym montowaniu. Co stanowi treść tego „dramatu”? Typowa dla wielkich stolic historia „expressowa” o dwóch rywalizujących szajkach bandytów wysmokingowanych — z dwoma morderstwami i z detektywem, zastępującym Los, karzącą Mojrę dramatu greckiego. Gdzie odbywa się akcja? Oczywiście, za kulisami music-hallu — tego najbardziej skondensowanego odcinka życia przechodniów ulicznych. Girlsy i bandyci — cóż może być bliższego przeciętnemu konsumentowi emocji wielkomiejskich! Brukowa prasa „czerwona” istniała wszędzie. Stawka na wielomilionowego czytelnika „czerwoniaków” nie zawodzi. I w tym tkwi amerykańska demokratyzacja sztuki. „Zgniła stabilizacja” kapitalizmu zredukowała potrzeby przeżyć dramatycznych burżuazyjnego widza do emocji codziennej kroniki skandaliczno-kryminalnej. Sztuka teatralna na tych emocjach oparta daje miły dreszczyk, wyładowujący się w uproszczonej „katarsis” — w t. zw.

„happy-end'zie”, gdzie policja reprezentuje Opatrzność. Lekki posmaczek ideologii niby — anarchistycznej, którym zaprawia się monologi kryminalnych odpadków ustroju społecznego, opartego na legalizowanej ekspropriacji mas — daje złudzenie „pogłębienia socjalnego”. W budowie ekspozycji „Broadway'u” studenci „seminarium teatralnego Nr. 47” wyciągnęli wszystko co się dało ze starej Europy. Zachowano tradycyjną jedność miejsca i ustalony schemat akcji. „Literaturę” dozowano umiejętnie. W doborze postaci scenicznych kierowano się zasadą standaryzacji, maksymalnej ekonomji i... przyzwoitości. Po scenie kręcą się girlsy, akrobaci, bandyci, jest grek, murzyn, detektyw. Ale nie ma tu ani jednego przedstawiciela t. zw. dobrego towarzystwa: zmysł kastowości nakazywał autorom zachować czystość kastową. Pozatem — wyzyskano tu dorobek nowego teatru: montowanie atrakcji, obfitość ruchu, żywe tempo akcji, minimum psychologii. Dzięki dobremu zmontowaniu poszczególnych scen „Broadway” działa ze sprawnością dobrze funkcjonującego motoru spalinowego. Industralizacja produkcji teatralnej występuje tu na całej linii.

Spółki autorskie pracują dla teatru od stu lat bez mała. Celowali w tem dotychczas francuzi. Od czasu Napoleona III Paryż był „stolicą świata”, edenem burżuazji międzynarodowej. Przed wojną dostarczał Paryż nie tylko perfum, modeli mód (i to męskich!) i t. p. przedmiotów luksusowych — lecz komedij i fars firmowych spółek autorskich. Konsumentami tych produktów były do niedawna górne warstwy finansjery i drobno-mieszczanstwa zamożniejszego. Lecz nowa konjunktura gospodarcza Europy powojennej, uzależnionej finansowo od Ameryki, zachwiała hegemonją kulturalną Francji. Rzemieślnicza produkcja różnych Caillavetów i de Fleurs'ów, oparta przeważnie na kombinowaniu trójkątów małżeńskich i obliczona na nielicznych konsumentów widowiskowych nie odpowiada już „obstalnukowi socjalnemu”. Rozszerzyła się baza konsumentów, zmienił się skład społeczny publiczności powojennej. Na zachodzie nuworysze, na wschodzie Europy — proletarijat i chłopstwo pragną „swego” teatru, bardziej nowoczesnego, bardziej odpowiadającego industralizacji życia zbiorowego. I oto — mamy obecnie dwa ścierające się z sobą i dialektycznie wzajemnie na siebie oddziaływujące prądy teatralne. Z jednej strony — U. S. A., amerykanizacja sztuki, jawne podporządkowanie twórczości zasadom masowej „demokratycznej”, produkcji industralnej na rynek światowy. Z drugiej — Z. S. R. R., utylitaryzacja sztuki, uzależnienie twórczości do ideologii walki, wyzyskanie wszelkich nowych zdobyczy techniki, kult wynalazczości: i w tym planie — wykonanie „obstalnuku społecznego” mas proletariatu i chłopstwa. Rozwój obecnych form teatralnych w Europie oscyluje pomiędzy tymi dwoma biegunami.

W Polsce, uzależnionej całkowicie od światowego systemu kapitalistycznego i izolowanej skrupulatnie od wszelkich wpływów „Wschodu” — amerykanizacja sztuki traktowana jest jako objaw postępu a w każdym razie, jako jej unowocześnienie. Co nowego wnosi ta amerykanizacja, to zrealizowanie „sztuki dla ulicy” — widzimy na przykładzie „Broadway'u”. Technicznie — amerykanizacja teatru wyrugowuje przestarzałe „subtelności” rzemieślniczych wyrobów francuskich, zastępując je „zracjonalizowaną” produkcją, standaryzowaną na rynek masowy. Kulturalnie — nie wzbogaca niczem, nie posuwa wynalazczości teatralnej ani na krok. Ideologicznie — odbija tylko „zgniłą stabilizację” nowoczesnego kapitalizmu.

To zaś, co można postawić jako plus „Broadway'u”: montowanie atrakcji, tempo, wprowadzanie elementów tańca i akrobatyki do dramatu — wszystko to zapożyczone zostało z dorobku rewolucyjnych reżyserów: Meyerholda, Tairowa, Forregera oraz dramaturgów typu Tretjakowa. Reżyserja Leona Szyllera — jak zwykle wysoce kulturalna i doskonale wyzyskująca materiał dramaturgiczny, aktorski i techniczny — poszła po linii rosyjskiej raczej, niż amerykańskiej. Zarzucićby można tej ostatniej pracy Szyllera zbyt „pogłębianie psychologii” zdawkowych, „z kurjera wyciętych” postaci scenicznych „Broadway'u”. W ten sposób uwypuklało się mimowoli cały banal zarówno „konfliktów”, jak i „węzła dramatycznego” melodramatu. Pozatem — wbrew hasłu wypisanemu na dekoracji: „Tem-po-o-o!” — właśnie tempa nie przestrzegano. Zwłaszcza „rozłiryczenie” zakończenia aktu drugiego — cała ta spóźniona o lat 20 „poezja” melinowa o fotelu elektrycznym, i cały ten „nastrój” w stylu popularnej ongiś piosenki: „Wiatr za szybami skarży się — psia krew! to życie takie złe...” — nie nadawał się do złodziejsko — zdrowej atmosfery „Broadway'u”.

WITOLD WANDURSKI.

K I N O

HURAGAN

Prawie każdy większy film polski reklamowany bywa jako przełom w polskiej kinematografii. Niema w tem nic nadzwyczajnego, że „Huragan” reklamowany był w sposób podobny. Zresztą film naprawdę zrobiony został w pewnej mierze na wzór lepszych filmów zagranicznych, z dużym wysiłkiem w kierunku precyzji technicznej, co w części zostało osiągnięte.

Ale bardzo charakterystyczne i zastanawiające jest samo ujęcie wypadków i tła r. 1863. Niezawodnie gdyby na temat r. 63 zrobił film jakiś „prawdziwy” reżyser francuz czy wiedeńczyk albo, co lepsze, amerykańin — ilość nonsensów w treści byłaby naturalnie większa, te nonsensy przybrałyby na jaskrawości, a r. 63, skarykaturowany byłby daleko gorzej — ale tem niemniej „Huragan” zbliża się do rekordu. Rok 63 oglądany jest tu wyraźnie przez „oczy Zachodu”.

Zaczyna się to od pierwszego obrazu — od przedstawienia spisku. Spisek ten występuje pod postacią tuzina sztubaków, którym przywodzi niemniej sztubaczkowato wyglądający „bohater”. Ówczesni spiskowcy „czerwoni” byli to rzeczywiście ludzie młodzi, ale nie chłopcy kilkunastoletni. Ich dalsze postępowanie, manifestacja, zrobione są w sposób urągający zdrowemu rozsądkowi, karykaturalny. Reżyser ratuje się zwykłą baliwnią amerykańskich filmów, pościgiem i t. p. i całym szeregiem wyraźnych bzdurstw.

Zagubiony został w ten sposób sam spisek — bezwątpienia przez swe rozmiary i formy działania nietylko jeden z najbardziej zdumiewających faktów w historii — ale też i istna kopalnia tematów dla reżysera z inicjatywą, któryby chciał się zapoznać z jego przebiegiem. W dalszem przed-

stawieniu wypadków oparto się na Grottgerze — wysuwając na pierwszy plan feudalną stronę powstania i operowe efekciki z tem związane. Nieprzypoita ignorancją odznacza się też karykaturalne przedstawienie strony wojskowej — jakkolwiek przy filmie pracowali wojskowi (tak opiewa prospekt).

Nonsensy są tem wiarogodniejsze, bo poprostu niepotrzebne, jak np. ten Padlewski w Górach Świętokrzyskich — przecież reżyserowi nic nie szkodziło wziąć nazwisko jakiegoś innego dowódcy, który naprawdę był w Górach Świętokrzyskich, i nie mnożyć absurdalności. Dodać trzeba jeszcze niepotrzebne i nieuzasadnione archaizowanie mowy.

Ta karykaturalna ignorancja zastanawia dlatego, że powstanie 63 r. to nie żadna zamierzchła historia — są ludzie, którzy byli świadkami, jest masa pamiętników, w najgorszym razie wystarczyłoby przeczytanie Przyborowskiego lub Berga. Film wcaleby na tem nie stracił, zyskując na sensie.

Oparcie się wyłącznie na inscenizacji rysunków Grottgera spowodowało zresztą w końcu niesłychane powikłania i galimatjas, z którego wybrnięto pocztówkową apoteozą zakończenia.

Jaki cel takiej roboty oglądać nie trudno. Chodziło o to poprostu, by rok 63 w przedstawieniu kinowem, że tak powiem, sterylizować, aby odjąć tę pewną elementarną rewolucyjną siłę, która bądź co bądź tkwiła w samej istocie powstania, cokolwiekby o niem można powiedzieć: w samym łacie spisku, oporze władzy, socjalnych momentach tego oporu. Dlatego trzeba było skarykaturować spisek i dlatego trzeba odsunąć od prawdy historycznej, — dając zdawkowy amerykanizm i zdawkową wiedeńszczyznę. Nonsensy i głupstwa w filmie o roku 63, służą właśnie po to, by zabić fakty przeszłości, by wyjałowić twórczą ich siłę. W tym wypadku zasłonięte jest dążeniem do poprawności technicznej — do poziomu „europejskiego” i tem jaskrawiej występuje nędza wewnętrzna.

„Huragan” stanowi przykład typowy w polskiej produkcji kinowej — i zarazem do pewnego stopnia świadectwo, dlaczego produkcja ta tkwić musi w bagnie zastoju.

SPROSTOWANIE.

W „Robotniku” z dnia 24 czerwca r. b. Karol Irzykowski w końcu artykułu „Wypaczenie idei Żeromskiego” (artykuł ten został wydany w osobnej odbitce), zalicza niżej podpisanych do grona zwolenników Izby (Rady) Literackiej. Stwierdzamy, że wprowadzić każdy z nas rozmawiał z Irzykowskim zarówno na temat Izby jak i na ten temat innych zagadnień życia literackiego, jednak akcesu do Izby nie zgłaszaliśmy i zgłaszać nie mogli ze względów zasadniczych. Zaliczenie nas do zwolenników Izby czy Rady Literackiej uważamy za nieporozumienie, które niniejszem protestujemy.

Władysław Broniewski
Witold Wandurski

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Ig. Por.-ski. Artykuł p. t. „Wychowanie przez nauczanie, pojęte jako proces pracy społecznej” nie nadaje się do „Dźwigni”. Nie dlatego, by temat tu poruszony był nam obcy — lecz dlatego, że postawione zagadnienie omawiane jest w tym artykule zbyt ogólnikowo, niekonkretnie, abstrakcyjnie. W dziedzinie wychowania zrobiono w ciągu ostatniego dziesięciolecia bardzo dużo zarówno w Stanach Zjednoczonych, w Niemczech, jak i w Z. S. R. R. Bez krytycznego rozbioru i zużytkowania tego materiału żadna praca na temat pedagogiki nie ma wartości.

F. G., Gródek Jagielloński. Za nadesłane przekłady z żydowskiego dziękujemy. Niestety „Pieśni inwalidzkie” — przynajmniej wybrane przez Panią — nie nadają się dla nas. Tego rodzaju podejście do zagadnienia kalectwa, które niekoniecznie musi być wynikiem układu stosunków społecznych, nie wnosi nowych wartości.

Z Beł. w Łodzi. Nadesłane próbki poetyckie nie stoją jeszcze na odpowiednim poziomie technicznym.

D. F., Warszawa. Utworów, o których Pani wspomina w listach, redakcja dotychczas nie otrzymała.

N. R. w Warszawie. W notatce „Lichtbildbühne” z dn. 2 lutego 28 r., która komunikuje o wprowadzeniu prawa autorskiego w Z. S. R. R. z włączeniem prawa dziedziczności spadkobierców autora na lat dziesięć, nie widzimy żadnej rozbieżności z zasadniczą linią budownictwa socjalistycznego. Wszelka praca, w myśl zasad socjalizmu, musi być wynagradzana. Pisarz musi mieć możność utrzymania się przy życiu. Prawo dziedziczności na produkty pracy pisarskiej zabezpiecza dzieciom możność kształcenia się aż do pełnoletności i zastępuje emeryturę rodzinie. Pozatem — prawo dziedziczenia obiektów własności drobnej, wartości do 10.000 rb. zł., zostało wprowadzone w życie w Z. S. R. R. jeszcze w okresie komunizmu wojennego. Szczegółowe omówienie tych spraw znaleźć można na łamach czasopisma „Na literaturnom postu” z roku ubiegłego.

P.I

453